

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA



CASUS BELLI

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika
Tekst Jeff Rovin

Tom Clancy
Centrum IV - Casus belli

•Poniedziałek, 11.00 – Kamiszli, Syria

Ibrahim al-Raszid zsunął na czuto okulary przeciwsłoneczne i wyrztał przez brudne okno Forda Galaxy z 1963 roku. Młody Syryjczyk cieszył się blaskiem słońca, odbitym od złotego piasku pustyni. Cieszył się bólem oczu, ciepłem na twarzy, potem zraszającym kark. Cieszył się niewygodami życia, tak jak zapewne cieszyli się nimi prorocy, ludzie, którzy na pustyni oczekiwali ciosów bożego młota, kształtującego ich tak, by byli w stanie spełnić wielkie dzieło Allacha.

W każdym razie, myślał, czy to się komu podoba, czy nie, Syria latem jest jak rozgrzany piec.

W samochodzie zamontowany był wiatraczek, zaledwie poruszający gorące powietrze – tym gorętsze, że oprócz Ibrahima w samochodzie znajdowały się jeszcze trzy osoby.

Samochód prowadził starszy brat Ibrahima, Mehmet. On też się pocił, zachowywał jednak niezwykle spokojny wobec wyprzedzających go na dwupasmowej drodze nowszych od Forda Fiatów i Peugeotów. Nie miał zamiaru prowokować walki w żadnej formie, nie teraz. Kiedy jednak dojdzie do walki, będzie, jak zwykle, pierwszy. Jako dziecko bez wahania rzucał się na chłopców starszych od siebie, nawet gdy mieli przewagę liczebną.

Siedzący na tylnym siedzeniu Jusuf i Ali grali w karty, piasra za wejście. Przegraną każdy z nich kwitował przekleństwem. Nie potrafili przegrywać... i właśnie dlatego znaleźli się tu.

Ośmiocylindrowy silnik jadącego drogą nr 7 samochodu mrucał spokojnie. Ford był o dziesięć lat starszy od Ibrahima, remontowano go jednak wielokrotnie – większość napraw dokonał sam Ibrahim – przede wszystkim ze względu na przestronny bagażnik, w którym zmieściło się wszystko, czego potrzebowali, a także solidną konstrukcję nadwozia. Ford Galaxy pod wieloma względami przypominał Arabów, Kurdów, Ormian, Czerkiesów i wiele innych narodów, złożonych z mnóstwa części, niektórych starych, niektórych całkiem nowych.

I jak owe narody, niezmordowanie parł przed siebie.

Ibrahim przyglądał się wypłowiałemu w słońcu krajobrazowi pustyni. Nie była to pustynia południa, pustynia piasku i piaskowych burz, pustynia miraży, pustynia trąb powietrznych, ciemnych namiotów Beduinów, pustynia, na której od czasu do czasu spotyka się kwitnące oazy, lecz raczej nie kończący się pas jałowej ziemi, nagich wzgórz oraz setek kopców, ukrywających ruiny prastarych osad. Od czasu do czasu w owym niezmiennym pejzażu pojawiały się elementy współczesne: porzucone samochody, nędzne stacje benzynowe, szopy, w których sprzedawano wygazowaną Coca-Colę i stare placki z mąki. Syryjska pustynia od zawsze kusila kupców, poetów, poszukiwaczy przygód i archeologów, rzucających się w objęcia niebezpieczeństw, by opisać je potem tak, jakby były czymś najcudowniejszym w świecie. Niegdyś dorzecze Tygrysu i Eufratu rzeczywiście żyło, niegdyś, ale nie dziś. Nie dziś, bo dziś Turcy opanowali źródła wody.

Woda to życie. Jeśli masz wodę, żyjesz.

Ibrahim znał historię i geografię tych ziem. O wodzie wiedział wszystko. Odsłużył dwie tury w lotnictwie Syrii, a kiedy odszedł do cywila i zatrudnił się na dużej farmie, reperując traktory oraz maszyny rolnicze, uważnie słuchał starych robotników rolnych, opowiadających o głodzie i suszach.

Znana w historii pod nazwą Mezopotamii, co po grecku znaczy „kraj między rzekami”, ta część Syrii nosiła teraz nazwę al-Gezira, czyli wyspa. Wyspa bez wody. Rzeka Tygrys była niegdyś najważniejszą drogą transportową świata. Swe źródło miała w dzisiejszej wschodniej Turcji, skąd przez ponad tysiąc osiemset kilometrów płynęła równinami Iraku, łącząc się z Eufratem w Basrze. Równie potężny Eufrat bierze swój początek z połączenia rzek Kara i Murad we wschodniej Turcji. Na długości przeszło dwóch tysięcy siedmiuset kilometrów płynie na południe i południowy zachód. W górnym biegu kanionami spada z gór, a potem rozlewa się szeroko na równinach Iraku i Syrii. Po połączeniu Tygrys i Eufrat płyną na południowy zachód, kanałem Szatt al Arab, stanowiącym granicę między Irakiem i Iranem, do ujścia w Zatoce Perskiej. Oba kraje długo i krwawo walczyły o prawa do żeglugi na tym niespełna dwustukilometrowym odcinku.

Tygrys i Eufrat na wschodzie wraz z Nilem na zachodzie formowały tak zwany Żywny Półksiężyc, w którym cywilizacje rosły i upadały począwszy od roku 5000 p.n.e.

Kolebka cywilizacji. Ibrahim nazywał ten kraj ojczyzną. Tu żyła w rozpaczy jedna trzecia jego wielkiego narodu.

Przez wieki Eufratem żeglowały okręty wojenne, a wielkie migracje spychały zamieszkujące jego brzegi plemiona na zachód. Kanały irygacyjne i młyny wodne na wschodzie niszczały, rozkwitała za to zachodnia część kraju. To tu powstawały wielkie miasta: Aleppo na północy, Hama, Homs, wieczny Damaszek. Eufrat został wreszcie najpierw porzucony, a potem zamordowany. Przezroczysta niegdyś woda, brązowa dziś była od ścieków miejskich i przemysłowych, pochodzących przede wszystkim z Turcji, nie ratowały jej ani roztopy, ani obfite opady. W latach osiemdziesiątych naszego wieku Turcja rozpoczęła prace nad regulacją rzeki. W jej górnym biegu wybudowano szereg tam. Eufrat nieco się wprawdzie oczyścił, tureckie pola zostały nawodnione, północną Syrię jednak, a zwłaszcza al-Gezirę, zaczęły gnębić susze. ludzie głodowali.

A Syryjczycy nie zrobili nic, by temu zapobiec, pomyślał gorzko Ibrahim. Na południowym zachodzie walczyli z Izraelem, na południowym wschodzie mieli Iran, który bez przerwy trzeba było uważnie obserwować. Syryjski rząd nie miał zamiaru narażać sześćsetpięćdziesięciokilometrowej północnej granicy, prowokując napięcia w stosunkach z Turcją.

Teraz jednak rozległ się tu nowy głos i brzmiał coraz donośniej. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Ibrahim cały swój wolny czas spędzał w Haseke, sennym miasteczku na południowym zachodzie, pracując z patriotami z PPK, Partii Pracy Kurdystanu, której członkiem był jego brat. Dbając o to, by maszyny drukarskie pracowały bez zarzutu, a samochody jeździły bez awarii, Ibrahim słuchał Mehmeta mówiącego o nowej ojczyźnie Kurdów. Pomagając pod osłoną nocy nosić broń i środki do

produkcji bomb, Ibrahim przysłuchiwał się gorzkim ocenom możliwości-zjednoczenia z innym kurdyjskimi ugrupowaniami. Odpoczywając po treningu z fedainami, których uczył metod walki wręcz, słuchał o przygotowaniach do spotkań z Kurdami irackimi i tureckimi, spotkań, na których zamierzano planować powstanie nowej ojczyzny, wybrać jej przywódcę.

Ibrahim założył zdjęte przed chwilą okulary przeciwsłoneczne i świat znów pociemniał.

Współcześnie al-Gezirę odwiedzali niemal wyłącznie jadący do Turcji turyści. Ibrahim też jechał do Turcji, choć pod każdym względem różnił się od przeciętnego turysty. Przeciętny turysta, uzbrojony w aparat fotograficzny, przybywał tu zwabiony urokiem bazarów, okopami z czasów I wojny światowej, meczetami. Przybywał z mapami i narzędziami archeologicznymi, albo z amerykańskimi džinsami i japońską elektroniką do sprzedania na czarnym rynku.

Ibrahim i jego ludzie przybywali natomiast z czymś innym. Przybywali z celem. Było nim przywrócenie wody al-Gezirze.

· Poniedziałek, 13.22 – Sanliurfa, Turcja

Lowell Coffey II stał w cieniu białej sześciokołowej furgonetki. Rąbkiem zawiązanej na szyi chusty otarł ściekający w oczy pot. W myślach przeklął cichy szum zasilanego z akumulatorów silnika, świadczący o tym, że w środku furgonetki działa klimatyzacja, a potem ruszył przed siebie, deptając jałową ziemię, na której z rzadka pojawiały się niskie suche pagórki. Jakieś trzysta metrów dalej znajdowała się opuszczona droga, której asfalt gotował się wręcz w żarze słońca, zaś mniej więcej pięć kilometrów i pięć tysięcy lat stąd stało miasteczko Sanliurfa.

Po prawej ręce prawnika szedł doktor Phil Katzen, trzydziestotrzyletni długowłosy biofizyk. Doktor Katzen przysłonił oczy dłonią i przyjrzał się pokrytym kurzem murom starej metropolii.

–Wiesz, Lowell – powiedział – że dziesięć tysięcy lat temu właśnie tu po raz pierwszy udomowiono zwierzę pociągowe? Aurocha – dzikiego wołu. Właśnie woły uprawiały ziemię, na której stoisz.

–Co za wspaniała nowina – odparł Coffey. – I pewnie potrafisz mi nawet powiedzieć, jaki był wówczas skład gleby, prawda?

–Nie – z uśmiechem zaprzeczył Katzen. – Potrafię ci tylko powiedzieć, jaki jest dzisiaj. Wszystkie kraje tego regionu zmuszone są do gromadzenia podobnych danych celem sprawdzenia, jak długo da się tu cokolwiek uprawiać. Mam dyskietkę ze składem gleby. Kiedy Mike i Mary Rose skończą to, co robią, znajdę ją i będziesz mógł przeczytać sobie zawarte na niej dane... jeśli tylko zechcesz.

–Serdecznie ci dziękuję. Wystarczy mi kłopotów z opanowaniem wiedzy, którą muszę opanować. Starzeję się, wiesz?

–Przecież masz dopiero trzydzieści dziewięć lat!

–Już nie. Urodziłem się, licząc od jutra, czterdzieści lat temu. Katzen uśmiechnął się szeroko.

–No to wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie mecenasie.

–Dzięki, ale nie spodziewam się niczego najlepszego. Starzeję się, Phil.

–Daj spokój. – Biochemik wyciągnął rękę, wskazując Sanliurfę. – Kiedy to miasto było młode, czterdziestolatków uważano za starców. Średnia życia wynosiła wówczas około dwudziestu lat, a dwudziestolatkowie nie bywali bynajmniej zdrowi. Próchnica, źle zrosnięte po złamaniach kości, wady wzroku, grzybica stóp, co tylko chcesz. Niech to diabli, w dzisiejszej Turcji czynne prawo wyborcze dostaje się w wieku dwudziestu jeden lat. Zdajesz sobie sprawę z tego, że starożytnym, którzy rządzą Uludere, Sirnak i Batman, nie wolno byłoby zagłosować na samych siebie?

Coffey przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

–Jest tu miejsce, które nazywa się Batman?

–Nad samym Tygrysem – wyjaśnił Katzen. – Widzisz? Zawsze można nauczyć się czegoś nowego. Dziś rano spędziłem kilka godzin w Centrum Regionalnym. Matt i Mary Rose zaprojektowali cholernie fajną maszynę. Wiedza odmładza, Lowell.

–Nie bardzo wierzę, że warto żyć wyłącznie dla tureckiego Batmana i CR – stwierdził Coffey. – A jeśli chodzi o tych twoich starożytnych Turków, to biorąc pod

uwagę, że musieli siać, orać, nawadniać pola i oczyszczać je z kamieni, kiedy dożyli czterdziestki mieli pewnie wrażenie, że stuknęła im osiemdziesiątka.

–Prawdopodobnie.

–I pewnie tę samą pracę wykonywali od dziesiątego roku życia. Tylko że w naszych czasach podobno nie tylko żyjemy dłużej, ale jeszcze rozwijamy się pod względem zawodowym.

–Chcesz mi powiedzieć, że nie dotyczy to ciebie?

–Rozwijam się mniej więcej tak doskonale jak dinozaury. Byłem pewien, że w tym wieku będę znanym międzynarodowym prawnikiem, negocjującym porozumienia pokojowe i traktaty handlowe w imieniu prezydenta.

–Rozluźnij się, Lowell. Przecież pracujesz w centrum wydarzeń.

–Jasne. Pracuję dla agencji rządowej tak tajnej, że nikt nic o niej nie wie...

–Utajnienie nie oznacza nieistnienia – zauważył Katzen.

–W moim przypadku praktycznie nie ma różnicy. Pracuję w piwnicy bazy Sił Powietrznych Andrews... nawet nie w Waszyngtonie, niech to wszyscy diabli... uzgadniając szczegóły prawne z narodami średnio przyjaznymi Stanom, takimi jak Turcja, byśmy mogli bez problemu szpiegować narody jeszcze mniej przyjazne Stanom, takie jak Syria. Poza tym smażę się jeszcze na jakiejś cholerniej pustyni i pot ścieka mi po nogach w cholerne skarpetki! A chciałem przecież dyskutować aspekty wykładni pierwszej poprawki do konstytucji przed Sądem Najwyższym

–W dodatku marudzisz – stwierdził Katzen.

–Przyznaję się do winy. Jako jubilat mam prawo.

Katzen naciągnął Coffeyowi na oczy kapelusz z podwiniętym rondem, w którym prawnik wyglądał jak australijski traper.

–Rozchmurz się – powiedział. – Nie każda przyzwoita praca musi być zaraz podniecająca.

–Nie w tym rzecz – odparł Coffey. – No, może trochę. Zdjął kapelusz, palcem wskazującym przesunął po potniku i wcisnął go z powrotem na brudne jasne włosy.

– Chyba chodzi mi o to, że byłem niegdyś cudownym prawniczym dzieckiem, Phil. Byłem Mozartem prawa. Miałem dwanaście lat, kiedy czytałem akta procesowe z archiwum taty. Kiedy moi koledzy marzyli o karierze astronautów albo zawodowych graczy w baseballa, ja pracowałem nad procedurą zwolnienia oskarżonego za kaucją. W wieku piętnastu lat nie miałbym problemów ze zwolnieniem za kaucją większości oskarżonych, wiesz?

–Tylko że garnitury by na tobie wisiały – zażartował Katzen. Coffey zmarszczył brwi.

–Przecież wiesz, o co mi chodzi – stwierdził, urażony.

–Twierdzisz, że nie spełniłeś pokładanych w tobie nadziei. Ja też, mój drogi, ja też. Witamy w prawdziwym świecie.

–Fakt, że jestem jednym z wielu, wcale mnie nie pociesza, Phil.

Katzen pokręcił głową.

–I co mam ci powiedzieć? W każdym razie żałuję, że nie było cię przy mnie w czasach Greenpeace.

–Niestety, nie nadaję się do skakania z pokładu statku celem ratowania życia ślicznym małym foczkom i nie umiałbym powstrzymać myśliwego o wzroście dwa piętnaście przed wyłożeniem surowego mięsa na przynętę dla czarnego niedźwiedzia.

–Popatrz, a ja robiłem jedno i drugie. Po drugim został mi złamany nos, po pierwszym wspomnienie o tym, jak strasznie przeraziłem pewną małą foczkę. Ale chodzi mi o to, że miałem załogę darmozjadów, z których żaden nie był w stanie odróżnić delfina od morświna i, co gorsza, żadnego z nich nic to nie obchodziło. Byłem u ciebie, kiedy uzgadniałeś wizytę Centrum z ambasadorem tureckim. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

–Rozmawiałem z przedstawicielem kraju, którego zagraniczny dług wynosi czterdzieści miliardów dolarów, z czego większość przypada na Stany. Przekonanie ich, że warto nam pójść na rękę, nie czyni ze mnie geniusza.

–Bzdura – stwierdził spokojnie Katzen. – Islamski Bank Rozwoju też trzyma Turcję w garści. A to przecież zaplecze finansowe fundamentalizmu.

–Turcy nie dadzą się wziąć w karby prawa koranicznego, nawet przez tego swojego fanatycznego fundamentalistycznego przywódcę. Mają gwarancje konstytucyjne.

–Konstytucje można zmieniać. Wystarczy popatrzeć na Iran.

–Turcja ma znacznie większy procent świeckich obywateli. Gdyby fundamentaliści spróbowali zamachu, wybuchłaby wojna domowa.

–A kto mówi, że wojna domowa w Turcji jest niemożliwa? A w ogóle, to przecież nie w tym rzecz. Powołałeś się na regulacje prawne NATO, na prawo tureckie, na polityczne zasady Stanów Zjednoczonych i oto jesteśmy w Turcji. Nikt inny nie potrafiłby tego dokonać.

–Dobra, więc musiałem się odrobinę postarać – przyznał Coffey. – I co z tego? Było to prawdopodobnie moje najważniejsze dokonanie w bieżącym roku. W Waszyngtonie wszystko wróci do normy. Z Paulem Hoodem i Marthą Macall odwiedzimy panią senator Fox, entuzjastycznie pokiwam głową, kiedy Paul będzie ją zapewniał, że wszystko, co robiliśmy w Turcji, było najzupełniej legalne, że wyniki badań gleby udostępnione zostaną Ankarze i że to było „prawdziwym” powodem naszej tu obecności. Obiecuję solennie, że jeśli program Centrum Regionalnego dostanie dodatkowe fundusze, nadal operować będziemy w granicach prawa międzynarodowego. Potem wrócę do biura popracować nad użyciem CR w sposób, któremu prawo międzynarodowe drastycznie się nie sprzeciwia. – Coffey pokręcił głową. – Wiem, że tak załatwia się te sprawy, ale to praca zupełnie pozbawiona godności.

–Przynajmniej próbujemy zachować godność – zwrócił mu uwagę Katzen.

–Ty z pewnością. Poświęciłeś życie śledzeniu wypadków w elektrowniach atomowych, dokumentowaniu pożarów pól naftowych, mierzeniu stopnia skażeń atmosfery. To, co robiłeś, pozostawiło po sobie jakiś ślad, a nawet jeśli nie, to przynajmniej stawiałeś czoło wyzwaniom. Ja poszedłem przecież na prawo, by walczyć z przestępstwami na skalę światową, a nie szukać prawniczych wybiegów

dla szpiegów w nieznośnie upalnych krajach Trzeciego Świata.

–Jesteś *szwizing* – westchnął Katzen.

–Jestem co?

–Pocisz się. Denerwujesz. Jutro skończysz czterdziestkę. I oceniasz się wyjątkowo niesprawiedliwie.

–Nie, wręcz przeciwnie, oceniam się zbyt łagodnie. – Coffey ruszył w kierunku lodówki, stojącej w cieniu jednego z trzech rozbitych nieopodal namiotów. Wewnątrz namiotu w oczy rzuciło mu się nie otwarte kieszonkowe wydanie „Rewolty na pustyni” D. H. Lawrence'a. To właśnie on przywiózł ze sobą tę książkę. W klimatyzowanej waszyngtońskiej księgarni wydawała się doskonale odpowiadać duchowi wyprawy. Teraz żałował, że nie zabrał ze sobą raczej „Doktora Żiwago” albo „Zewu krwi”. – Zdaje się, że doznałem objawienia. Jak ci patriarchowie, którzy udawali się na pustynię.

–Przecież to nie pustynia. Fachowo nazywa się to nieuprawnymi pastwiskami.

–Dzięki. Zapamiętam to sobie na równi z informacją, że w Turcji istnieje miejscowość o nazwie Batman.

–Jezu, rzeczywiście jesteś roztrzęsiony. Nie sądzę, by czterdziestka miała z tym cokolwiek wspólnego. Po prostu słońce wyprażyło ci mózg.

–Być może – zgodził się Coffey. – Być może to przez słońce ludzie w tej części świata bez przerwy ze sobą wojują. Słyszałeś o Eskimosach, walczących o prawa do jakiejś kry albo o jaja pingwinów?

–Odwiedziłem Inuitów, mieszkających nad Morzem Beringa uświadomił go Katzen. – Oni nie walczą, bo mają po prostu zupełnie inny pogląd na świat. Religia opiera się na dwóch elementach: wierze i kulturze. Inuici wierzą bez fanatyzmu, dla nich wiara jest czymś bardzo prywatnym. Kulturę za to mają publiczną. Dzielią się mądrością, tradycją, legendami i nie udowadniają nikomu, że ich prawda jest jedyną prawdą. To samo da się powiedzieć o wielu ludach zamieszkujących tropikalną i subtropikalną Afrykę, Amerykę Południową i Daleki Wschód. Nie ma to nic wspólnego z klimatem.

–Nie wierzę. A przynajmniej nie do końca. – Coffey wyjął leżącą wśród kostek lodu puszkę Taba. Popijał napój, przyglądając się długiej, lśniącej furgonetce. Na moment rozpacz go opuściła. Ten na pozór zupełnie przeciętny samochód w rzeczywistości był piękny. Samo to, że jest z nim jakoś związany, już było powodem do dumy.

Odjął puszkę od ust i powiedział:

–Tylko popatrz na miasta i więzienia, w których zdarzają się rozruchy. Przypomnij sobie sekciarzy z Jonestown czy Waco. Nic nigdy nie dzieje się podczas zimy i zamieci, tylko gdy nadejdą upały. Pomyśl o biblijnych prorokach, którzy szli na pustynię. Wychodzili jako normalni ludzie, siedzieli na pustyni, wracali jako prorocy. Upały przepalają nam bezpieczniki.

–Nie sądzisz, że z Mojżeszem lub Jezusem mógł mieć coś wspólnego na przykład Bóg? – spytał go Katzen poważnym tonem.

–*Touche* – stwierdził Coffey i napił się.

Katzen spojrzał na stojącą po jego prawej ręce młodą ciemnoskórą kobietę. Miała na sobie szorty i przepoconą bluzę khaki. Włosy przewiązała białą chustką. Tak

wyglądał mundur „czysty”. Nie było na nim emblematu oddziału szybkiego reagowania Iglica – skrzydlatej błyskawicy – nie było na nim w ogóle niczego sugerującego wojsko. Podobnie jak furgonetka, której umieszczone na burcie pokaźne lustro wsteczne wyglądało jak zwykle lustro, a nie antena satelitarna, a celowo pogięta i miejscami sztucznie skorodowana blacha doskonale ukrywała wzmocnioną stal. Kobieta sprawiała wrażenie weteranki polowych prac archeologicznych.

–A ty co myślisz, Sandra? – spytał ją Katzen.

–Z całym szacunkiem – odparła dziewczyna – myślę, że obaj się mylicie. Moim zdaniem pokój, wojna, rozsądek to wyłącznie kwestie przywództwa. Przyjrzyjcie się tylko temu staremu miastu. – W jej głosie brzmiała nuta wielkiego szacunku. – Trzydzieści stuleci temu właśnie tam narodził się prorok Abraham. Właśnie tam mieszkał, kiedy Bóg nakazał mu przenieść się wraz z rodziną do Kanaan. Człowiek ten napełniony został Duchem Świętym. Stworzył ród, naród, moralność. Jestem pewna, że było mu równie gorąco jak nam, a zwłaszcza wtedy, gdy na rozkaz Boga przyłożył ostrze sztyletu do piersi swego syna, Izaaka. Jestem pewna, że na przerażoną buzię Izaaka padały nie tylko jego łzy, ale i pot. – Dziewczyna spojrzała najpierw na Katzena, potem na Coffeya. – Jego rządy opierały się na wierze i miłości, a teraz po równi szanują go muzułmanie i chrześcijanie.

–Doskonale powiedziane, szeregowa DeVonne – stwierdził Katzen.

–Doskonale powiedziane – poparł go Coffey. – Tyle że w niczym nie sprzeciwia się to mojej tezie. Nie wszyscy możemy być tak posłuszni i tak twardzi jak Abraham. U niektórych upał podwyższa naturalny stopień irytacji. – Wśród kostek lodu znalazł wilgotną puszkę zimnej wody mineralnej. – I jest jeszcze jedna sprawa. Po dwudziestu siedmiu godzinach i piętnastu minutach naszego pobytu w tym miejscu znienawidziłem je szczerze. Uwielbiam klimatyzację i zimną wodę w szklance, zamiast ciepłej wody w plastikowej butelce. No i kocham łazienki. Nie powiem nigdy złego słowa o łazienkach.

–Tu, być może, nauczysz się doceniać je tak, jak na to zasługują – uśmiechnął się Katzen.

–Doceniałem je wystarczająco przed wyjazdem. Szczerze mówiąc, nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy przeprowadzić testów prototypu w Stanach Zjednoczonych. I tam nie brakuje nam przeciwników. Od każdego sędziego natychmiast dostałbym pozwolenie na obserwację podejrzanych o terroryzm, obozów bojówek paramilitarnych, mafiosów – co tylko chcecie.

–Odpowiedź na to pytanie znasz równie dobrze jak ja – powiedział Katzen.

–Jasne. – Coffey opróżnił puszkę, wyrzucił ją do plastikowej torby na odpadki i ruszył z powrotem w kierunku furgonetki. Jeśli nie pomożemy umiarkowanej Partii Prawdziwej Drogi, partia fundamentalistów islamskich, Partia Dobrobytu, będzie powiększała swe wpływy. A mamy tu przecież także Socjaldemokratyczną Partię Ludową, Partię Demokratycznej Lewicy, Partię Demokratycznego Środka, Partię Reform Demokratycznych, Partię Prosperity, partię Refah, Partię Jedności Socjalistycznej, Partię Słusznej Drogi, Partię Wielkiej Anatolii. Z każdą trzeba się

dogadać i każda chce ugryźć kawałek niewielkiego tureckiego tortu. Że już nie wspomnę o Kurdach, którzy pragną uwolnić się z niewoli Syryjczyków, Turków i Irakijczyków. – Palcem wskazującym Coffey otarł pot z czoła. – Jeśli Partia Dobrobytu zdobędzie władzę w Turcji i wpływy w armii, Grecja poczuje się zagrożona. Nasilą się konflikty w basenie Morza Egejskiego i NATO rozpadnie się na kawałki. Europa i Bliski Wschód poczują się zagrożone i natychmiast zwrócą się o pomoc do Stanów Zjednoczonych. Pomożemy im, oczywiście, ale będzie to pomoc polegająca wyłącznie na wysyłaniu i przyjmowaniu dyplomatów. W wojnie takiej jak ta po prostu nie wolno nam będzie poprzeć żadnej ze stron.

–Doskonałe podsumowanie, panie mecenasie.

–Zabrakło w nim tylko jednego – powiedział Coffey. – Jeśli o mnie chodzi, oni wszyscy mogą sobie iść równym krokiem do diabła. Nie przypomina to sytuacji, kiedy bierze się wolny dzień, by ocalić przed drwalami rzadki gatunek sowy.

–Przestań – przerwał mu Katzen. – Zawstydzasz mnie. Nie jestem aż taki cnotliwy.

–Nie mówię o cnotcie. Chodzi mi o poświęcenie się czemuś, czemu rzeczywiście warto się poświęcić. Pojechałeś do Oregonu, zorganizowałeś protest na miejscu, złożyłeś zeznanie przed sądem stanowym i załatwiłeś sprawę. Tu mamy do czynienia z konfliktami liczącymi sobie pięć tysięcy lat. Grupy etniczne zawsze ze sobą walczyły, zawsze będą ze sobą walczyć i my nigdy nie zdołamy ich od tego odwieść, a kiedy próbujemy, marnujemy tylko cenne środki.

–Nie zgadzam się z tobą. Jesteśmy w stanie co najmniej załagodzić sytuację. I kto wie, może kolejne pięć tysięcy lat będzie jednak lepsze?

–A może Stany Zjednoczone dadzą się wciągnąć w wojnę religijną, która rozszarpie nasze państwo na strzępy? Wiesz co, Phil, w głębi serca jestem izolacjonistą. To jedyna moja cecha wspólna z panią senator Fox. Stworzyliśmy najlepsze państwo w historii ludzkości i ci, którzy nie chcą dołączyć do nas w naszym demokratycznym tyglu*, [mogą strzelać do siebie, rzucać bomby, puszczając gazy bojowe, walić się atomówkami i produkować seryjnie męczenników, póki nie trafią wreszcie do tego swojego wymarzonego raju. Mnie to nie obchodzi.](#)

Katzen skrzywił się.

–Przypuszczam, że to odosobniony punkt widzenia – powiedział niechętnie.

–Tak i nie mam zamiaru za niego przeproszać. Ale... może mógłbyś wyjaśnić mi pewną sprawę?

–Tak?

Wargi Coffeya zadrżały od powstrzymanego śmiechu.

–Powiedz mi, jaka jest właściwie różnica między morświnem a delfinem?

Nim biochemik zdołał odpowiedzieć, otwarty się drzwi furgonetki i wyszedł z niej Mike Rodgers. Coffey przez sekundę rozkoszował się falą chłodu klimatyzacji, generał zamknął jednak drzwi niemal natychmiast. Miał na sobie džinsy i obcisły podkoszulek. Jego jasnobrązowe oczy w promieniach słońca wydawały się niemal złote.

Mike Rodgers rzadko się uśmiechał, teraz jednak w lekkim uniesieniu kącików jego warg Coffey odczytał przynajmniej zapowiedź uśmiechu.

–No i...? – spytał.

–Działa! – powiedział Rodgers. – Jesteśmy w stanie podłączyć się do wszystkich pięciu satelitów Narodowego Biura Rozpoznania. Mamy dźwięk, obraz termiczny i widzialny wyznaczonego regionu, wraz z kompletem danych radiowych. Mary Rose właśnie rozmawia z Mattem Stollem sprawdzając, czy docierają do nich nasze dane. – Rodgers wreszcie się uśmiechnął. – Ten akumulatorowy cud wszechświata rzeczywiście działa!

Katzen wyciągnął rękę.

–Gratulacje, generale – powiedział. – Matt musi być szczęśliwy jak dziecko.

–A tak, owszem, sprawia wrażenie bardzo szczęśliwego. Po tym, co przeszliśmy budując CR, sam jestem szczęśliwym człowiekiem.

Coffey uniósł puszkę wody mineralnej, jakby wnosił toast. Wypił łyk.

–Zapomnij o tym, co ci mówiłem, Phil – powiedział. – Jeśli Matt Rodgers jest szczęśliwy, to znaczy, że wybiliśmy piłkę na trybuny.

–Szlem w pikach – przytaknął Rodgers. – To dobra wiadomość. Zła wiadomość brzmi natomiast tak, że helikopter, który miał zabrać ciebie i Phila nad jezioro Van, ma opóźnienie.

–Jak długie? – zainteresował się Katzen.

–Prawdopodobnie wieczne. Najwyraźniej ktoś z Partii Ojczyźnianej zaprotestował przeciw naruszeniu obszaru powietrznego. Nie kupują tej naszej ekologicznej historyjki, jakobyśmy badali wzrost alkaliczności tureckich szlaków wodnych i jego wpływ na jałowienie ziemi.

–O, niech to diabli! – zmartwił się Katzen. – A myślą, że niby czym się, do cholery, zajmujemy?

–Gotowi na niespodziankę? – spytał Rodgers. – Tak? To słuchajcie. Wierzą, że znaleźliśmy arkę Noego i zamierzamy wywieźć ją do Stanów Zjednoczonych. Zwrócą się do rządu o cofnięcie nam pozwolenia na prowadzenie badań.

Katzen z wściekłością kopnął spaloną ziemię.

–A tak chciałem przyjrzeć się jezioru! Jest tam taki gatunek ryb, darek, które doskonale przystosowały się do życia w wodzie o dużym stężeniu sody. Moglibyśmy wiele nauczyć się od nich o adaptacji.

–Bardzo mi przykro – powiedział Rodgers – ale wygląda na to, że sami będziemy musieli nauczyć się czegoś o adaptacji. Spojrzał na Coffeya. – Wiesz coś o tej Partii Ojczyźnianej, Lowell? Mają wystarczające wpływy, żeby spieprzyć nam robotę?

Prawnik przeciągnął chusteczką najpierw po mocno zarysowanej szczęce, potem po karku.

–Prawdopodobnie nie – powiedział w końcu – chociaż może i warto byłoby skonsultować się z Marthą. To całkiem mocna partia, sytuująca się sporo na prawo od centrum. Ale jeśli nawet zechcą zacząć debatę, pisma przez dwa albo trzy dni krążyć będą od nich do premiera i z powrotem, a dopiero później wniosek stanie na forum parlamentu. Nie wiem nic o zamierzonej przez Phila wycieczce, ale powinniśmy mieć wystarczająco wiele czasu, by zrobić to, po co tu przyjechaliśmy.

Rodgers skinął głową.

–Szeregową DeVonne – powiedział do Sandry – wicepremier poinformował mnie, że na ulicach rozrzucone są ulotki, informujące obywateli o naszych planach obrabowania Turcji z jej dziedzictwa narodowego. Rząd przysłała nam oficera wywiadu, pułkownika Nejata Sedena, do pomocy na wypadek jakiegoś incydentu. Proszę poinformować szeregowego Pupshawa, że niektórzy z Turków, jadących na targ melonów do Diyarbakir oprócz owoców mogą też zabrać ze sobą nastroje antyamerykańskie. Macie zachować spokój.

–Tak jest.

Sandra zasalutowała i truchcikiem pobiegła do Pupshawa, zajmującego posterunek po przeciwnej stronie obozu. Obserwował tam niknącą za pasmem wzgórz drogę.

Katzen zmarszczył brwi.

–Cudownie! – stwierdził. – Nie tylko stracę pewnie szansę zbadania dareków, ale w dodatku stanę się obrońcą elektroniki w waszym wozie, wartym jakieś sto milionów dolarów. Póki nie zjawi się tu ten pułkownik Seden, do obrony mamy dwójkę żołnierzy Iglicy, uzbrojonych w radia przy pasach i M21, których nie mogą użyć, bo podobno przyjechaliśmy tu bez broni.

–Odniosłem wrażenie, że podziwiasz moje talenty dyplomatyczne – zauważył Coffey.

–Bo i podziwiam.

–No to uwierz mi, że lepszego układu nie dało się zawrzeć. Działałeś w Greenpeace. Kiedy w 1985 roku francuskie tajne służby zatopiły w Auckland „Rainbow Warrior”, nie poleciałeś do Paryża strzelać do ludzi na ulicach.

–Ale miałem ochotę. Boże, miałem wielką ochotę!

–Niemniej nie strzelałeś. Jesteśmy pracownikami obcego państwa prowadzącymi, z upoważnienia rządu mniejszościowego, obserwacje islamskich fanatyków i przekazującymi dane armii. W zasadzie żaden imperatyw moralny nie nakazuje nam strzelania do tubylców. Jeśli zostaniemy zaatakowani, zamkniemy się w furgonetce i zawiadomimy przez radio miejscową *Polisi*. Dzięki swym wyścigowym Renault z początku wieku *Polisi* błyskawicznie pojawi się na miejscu i zrobi, co do niej należy.

–Chyba że akurat sympatyzuje z Partią Ojczyźnianą.

–Nie – stwierdził stanowczo Coffey. – Policja tu jest całkiem w porządku. Mogą cię nie lubić, ale wierzą w prawo i będą pilnować jego przestrzegania.

–A w każdym razie – dodał Rodgers – wicepremier nie spodziewa się tego rodzaju kłopotów. W najgorszym razie obrzucą nas melonami, jajkami, nawozem, tego rodzaju pociskami.

–Cudownie – powiedział Katzen. – W Waszyngtonie człowieka obrzucają wyłącznie błotem.

–Jeśli jakimś cudem spadnie tu deszcz, błota też im nie zabraknie – zauważył Coffey.

Rodgers wyciągnął rękę. Coffey podał mu puszkę. Generał pociągnął z niej solidny łyk.

–Pociesz się – poradził współpracownikowi – jak to raz powiedział Tennessee

Williams: „Nie tęsknij do dnia, w którym przestaniesz cierpieć, bowiem gdy ten dzień nadejdzie, będziesz miał pewność, że nie żyjesz”.

· Poniedziałek, 6.48 – Chevy Chase, Maryland

Paul Hood siedział w gabinecie swego podmiejskiego domu, popijając kawę. Odsunął zasłony koloru kości słoniowej, podniósł okno na kilka centymetrów i wyglądał na podwórko. Wiele podróżował po świecie i wiele jego części znał doskonale, ale nic nie wprawiało go w równie dobry nastrój jak brudnobiałe drewniane ogrodzenie, wyznaczające tę jego małą częśćkę.

Trawa lśniła wilgotną zielenią. Ciepły wiaterek niósł zapach róż z ogródka jego żony. Kosy i szpaki śpiewały jak najęte, wiewiórki zachowywały się jak kosmaci żołnierze Iglicy, biegnąc przed siebie, zatrzymując się, rozpoznając teren i biegnąc dalej. Spokój poranka burzyły tylko dźwięki, które kochający jazz Hood nazywał „sesją drzewiową”: trzask drzwi wejściowych, wizg drzwi do garażu, trzaśnięcie drzwiczek samochodowych.

Po prawej ręce Hooda stał dębowy, ciemny regał biblioteczny, wypełniony przede wszystkim zbiorem książek Sharon, dotyczących ogrodnictwa i gotowania. Na półkach stały także encyklopedie, atlasy i słowniki, z których Harleigh i Aleksander już nie korzystali – cały ten materiał mieli na CD-ROM-ach. W kącie znajdowała się kolekcja ulubionych książek Hooda: „Ben Hur”, „Stąd do wieczności”, „Wojna światów”, dzieła Ayn Rand, Raya Bradbury'ego, Roberta Louisa Stevensona, stare powieści z serii „Samotny Strażnik”, autorstwa Fran Striker, które czytał jako nastolatek i do których ciągle jeszcze od czasu do czasu wracał. Po lewej miał półki wypełnione bibelotami po kadencji burmistrza Los Angeles. Plakietki, kubki, klucze do innych miast, wspólne fotografie z krajowymi i zagranicznymi dygnitarzami.

Kawa i świeże powietrze w równych proporcjach napełniały go energią. Lekko wykrochmalona koszula była wygodna. Nowe buty wydawały się luksusowo drogie, choć drogie wcale nie były. Pamiętał czasy, kiedy jego ojciec nie miał pieniędzy, by kupić mu nowe buty. Było to trzydzieści pięć lat temu, Paul miał wówczas lat dziewięć i właśnie zamordowano prezydenta Kennedy'ego. Ojciec Paula, Frank „Krażownik” Hood, podoficer Marynarki podczas II wojny światowej, zwolnił się z jednej posady księgowego, by wziąć drugą. Hoodowie sprzedali dom i właśnie mieli przenieść się z Long Island do Los Angeles, kiedy nowa firma zrezygnowała z naboru pracowników. Firmie było bardzo przykro, ale doprawdy nie wiedziała, co się stanie z nią, z gospodarką, z całym krajem. Ojciec Paula nie miał pracy przez trzynaście miesięcy. Musieli się przenieść do mieszkania tak małego, że Paul słyszał jak matka pocieszała płaczącego nocami tatę.

A teraz... teraz świat znormalniał. Pieniądzy im nie brakuje. Ma pracę – jest dyrektorem Centrum. W niespełna rok, wraz z najbliższymi współpracownikami, zmienił instytucję, nazywającą się pierwotnie Narodowym Centrum Zapobiegania Kryzysom, mającą z założenia pełnić rolę łącznika między CIA, Białym Domem i innymi agendami rządowymi, w agencję rozwiązywania kryzysów, działającą na własny rachunek. Stosunki Hooda z owymi najbliższymi współpracownikami, zastępcą dyrektora Mike'em Rodgersem, szefem sekcji wywiadu Bobem Herbertem i szefem sekcji polityczno-ekonomicznej Martha Macall nie były może idealne, ale Paul

cecił sobie różnicę zdań. A poza tym, gdyby nie umiał opanowywać kryzysów rodzących się raz za razem w jego gabinecie, nie miałby szansy na rozwiązanie politycznych i militarnych kryzysów, pojawiających się tysiące kilometrów dalej. Potyczki konferencyjne nie pozwalały mu zaśniedzieć, utrzymywały go w gotowości do większych i ważniejszych bitew.

Hood powoli popijał kawę. Praktycznie co rano siadał, w rozkosznej samotności, na tej kanapie.

Dopił kawę żalując, że ostatni łyk nigdy nie smakuje tak dobrze jak pierwszy. Prawda ta sprawdzała się i w przypadku kawy, i w przypadku życia. Wstał, odłożył kubek do zmywarki, wyjął z szafy płaszcz i wyszedł na ciepłe, wonne powietrze poranka.

Pojechał na południowy wschód, przez Waszyngton, kierując się w stronę kwatery głównej Centrum, mieszczącej się w bazie Sił Powietrznych Andrews. Na drodze pełno już było ciężarówek, limuzyn i furgonetek kurierskich, śpieszących się, by na czas wykonać poranne zlecenia. Zastanawiał się, ile osób myśli tak jak on, ile osób przeklina natężenie ruchu, ile zaś osób po prostu cieszy się poranną przejażdżką i muzyką.

Włożył do odtwarzacza kasetę z muzyką hiszpańskich Cyganów, upodobanie do niej zostało mu po dziadku, Kubańczyku. Samochód wypełniły słowa w romany, języku Romów. Nie rozumiał tego języka, ale niesione przez muzykę uczucia pojmował doskonale.

· Poniedziałek, 7.18 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

Matthew Stoll nienawidził konwencjonalnych określeń, nadawanych ludziom „jego rodzaju”. Nienawidził ich niemal tak bardzo, jak nienawidził urodzonych optymistów, szaleńczo wygórowanych cen oprogramowania i curry. Przyjaciołom i kolegom z pracy od czasu, kiedy na MIT zasłynął jako cudowne dziecko – nic nie miał przeciw temu określeniu – tłumaczył, że nie jest komputerowym szaleńcem, maniakiem techniki i jajogłowym.

–Uważam się za techodkrywcę – powiedział Paulowi Hoodowi i Mike'owi Rodgersowi podczas pierwszej rozmowy po złożeniu podania o etat oficera wsparcia operacyjnego.

–Co takiego? – zdziwił się Hood.

–Jestem odkrywcą w dziedzinie techniki – wyjaśnił spokojnie Stoll. – Przypominam Meriwethera Lewisa, tylko że do odkrycia nowych technologicznych kontynentów będę potrzebował więcej niż kongresowe dwa i pół tysiąca dolarów. Spodziewam się także żyć dłużej niż trzydzieści pięć lat, choć tego, oczywiście, nikt nigdy nie jest pewien.

Paul powiedział mu później, że ten neologizm wydał mu się tani. Matt nie obraził się. Już podczas ich pierwszego spotkania zorientował się, że „Świętego Paula” nie cechuje ani nieokiełznana wyobraźnia, ani oszałamiające poczucie humoru. Hood był po prostu urzędnikiem sprawnym, spokojnym, doskonale umiejącym posługiwać się intuicją. Generała Rodgers, wielkiego wielbiciela historii, wzmianka o Meriwetherze Lewisie po prostu podbiła. Obaj z Hoodem musieli zresztą przyznać, że Stopa nie sposób zlekceważyć. Nie dość, że skończył MIT jako pierwszy na roku, to jeszcze wyniki miał najlepsze od dwudziestu lat. Korporacyjna Ameryka zwabiła go na jakiś czas, Mattowi jednak szybko znudziło się projektowanie jeszcze łatwiejszych w obsłudze magnetowidów. Matt marzył o tym, by pracować na najlepszych na świecie, unikalnych komputerach, pracować z satelitami i dysponować takim budżetem na badania, jakiego żadna prywatna firma nie była w stanie zapewnić.

Bardzo pragnął także pracować ze swym najlepszym przyjacielem i kolegą z roku, Stevenem Viensem, szefem Narodowego Biura Rozpoznania, NBR. To Viens polecił Matta Centrum. Dawał także Mattowi i jego współpracownikom prawo pierwszeństwa w dostępie do danych NBR, ku oburzeniu przedstawicieli CIA, FBI i Departamentu Obrony. Na szczęście nigdy nie udało im się dowieść, że to Centrum w największym stopniu zajmuje satelity. Gdyby się im udało, biurokratyczne lanie dostaliby wszyscy winni bez wyjątku.

Viens połączony był siecią ze Stollem w Centrum i Mary Rose w Turcji. Sprawdzali, czy nadchodzące z CR dane są dokładne. Informacje wizualne, pochodzące z satelitów, ustępowały jakością informacjom NBR, przenośny sprzęt dawał obraz o rozdzielczości o połowę niższej od monitorów Viensa. Dane przychodziły jednak błyskawicznie i bez przekłamań, a rozmowy z telefonów komórkowych i faksów przechwytywano ze skutecznością NBR i Centrum razem wziętych.

Po przeprowadzeniu końcówki testu, Stoll podziękował Mary Rase i poinformował ją, że może wyłączyć się z sieci. Dziewczyna podziękowała mu, podziękowała Viensowi i wylogowała się z bezpiecznego łącza.

Viens pozostał podłączony do sieci.

Stoll odgryzł kawałek sezamowej bułki. Popił ją łykiem herbaty ziołowej.

–Boże, uwielbiam poniedziałki – powiedział. – Znów zaprzężono nas do wózka odkryć.

–Ładne to było – odparł Viens.

Stoll gwałtownie przelykał serek kremowy.

–Zbudujemy ich jeszcze kilka, umieścimy na statkach i samolotach i będziemy w stanie obserwować każdy zakątek świata stwierdził.

–Tylko spróbujcie, a pozbawicie mnie pracy prędzej niż Komisja Kontroli Wywiadu – zażartował Viens.

Stoll przyjrzał się widocznej na monitorze twarzy przyjaciela. Był to środkowy z trzech monitorów, wbudowanych w ścianę za jego biurkiem.

–Przecież to tylko takie szczeniackie straszenie – powiedział. – Nikt nie ma zamiaru wywalić cię z roboty.

–Nie znasz senatora Landwehra. Jest jak bardzo mały piesek, który dorwał bardzo wielką kość. Prowadzi własną, osobistą krucjatę przeciw przekazywaniu funduszy.

Przekazywanie funduszy, pomyślał Stoll. Ze wszystkich rządowych szwindelków ten był najlepszy. Pieniądze, przeznaczone specjalnie na projekt, którego realizacja została wstrzymana, w teorii należy zwrócić. Trzy lata temu NBR dostało dwa miliardy dolarów na zaprojektowanie, zbudowanie i umieszczenie na orbicie nowej generacji satelitów szpiegowskich. Program ten został później zlikwidowany, lecz zamiast zwrócić pieniądze, różnymi kanałami przekazano je na inne konta i dwa miliardy dolarów po prostu znikły. Centrum, CIA i reszta agencji rządowych także łągała na temat swych funduszy. Tworzono niewielkie, tak zwane czarne budżety, ukryte wewnątrz innych, legalnych i w ten sposób zabezpieczone przed publicznym nadzorem. Używano ich do finansowania skromnych na ogół operacji wojskowych i wywiadowczych. Z nich finansowano także kampanie do Kongresu i dlatego Kongres zezwalał na ich istnienie. NBR posunęło się jednak za daleko.

Przekazanie funduszy NBR odkrył Frederick Landwehr, senator pierwszej kadencji, były księgowy, i natychmiast poinformował o wszystkim przewodniczącego senackiej Komisji Kontroli Wywiadu. Kongres zareagował błyskawicznie. Odzyskano co pozostało z tych pieniędzy... wraz z odsetkami. Do odsetek doliczono głowy winnych. Viens nie uczestniczył w podziale łupów, zaakceptował jednak zwiększenie budżetu na swój dział wywiadu satelitarnego, choć doskonale wiedział, skąd pochodzą pieniądze.

–Prasa musi dać miejsce nowemu człowiekowi, walczącemu w nowej sprawie – pocieszył go Stoll. – Nadal wierzę, że, kiedy sprawa zejdzie z nagłówków, zostanie załatwiona po cichu.

–Zastępca sekretarza obrony Hawkins nie podziela tego jakże nietypowego dla

ciebie optymizmu.

–O czym ty mówisz?! Widziałem Hawka wczoraj wieczorem, w telewizji. Każdy z pismaków, który ośmielił się zarzucić mu brak nadzoru, natychmiast dostawał haka w szczękę.

–Tymczasem pan zastępca sekretarza już szuka sobie pracy w sektorze prywatnym.

–Co? – zdumiał się Stoll.

–A przecież minęły dopiero dwa tygodnie od odkrycia przekazywania funduszy. Jeszcze parę osób opuści nasze szeregi. Viens żałośnie uniósł brwi. – Ta sprawa śmierdzi, Matt. Dostałem wreszcie Conrada i nie mogę się nim nawet nacieszyć.

Conrady były nieoficjalnymi nagrodami, wręczanymi corocznie na prywatnej kolacji przez szefów amerykańskich organizacji wywiadowczych. Statuetka w kształcie sztyletu nazwana została Conradem na cześć Josepha Conrada, pisarza, którego powieść z 1917 roku, „Tajny agent”, była jednym z pierwszych wielkich utworów literackich poświęconych szpiegom. Viens od dawna marzył o tej nagrodzie i ostatnio wreszcie ją dostał.

–Moim zdaniem powinieneś przetrzymać – pocieszył go Matt Stoll. – Nie będzie żadnego prawdziwego śledztwa. Zbyt wiele tajemnic wyszłoby na jaw przy tej okazji. Parę osób dostanie po łapach, pieniądze znajdą się i trafią z powrotem do skarbu państwa, a wasz budżet przez parę lat będzie pod wzmożoną obserwacją. Zupełnie jak przy kontroli urzędu skarbowego.

–Matt, słuchaj, jest jeszcze coś.

–Zawsze jest. Każda akcja spotyka się z równą, lecz przeciwnie skierowaną reakcją. W czym rzecz?

–Mają zamiar użyć dyskietek jako dowodów w śledztwie.

To ruszyło Stolla. Jego szerokie ramiona uniosły się powoli. Dyskietki wyposażone były w kod czasowy i zakodowane informacje o zamówieniu. Bez najmniejszych wątpliwości wykażą, że Centrum otrzymywało nieproporcjonalnie wiele czasu satelitarnego.

–Jak wiarygodne jest źródło tej informacji?

–Bardzo wiarygodne – odparł ponuro Viens.

W brzuchu Stolla coś niespokojnie zaburczało.

–Słuchaj... ale ty... to nie twoja robota, co?

Stoll pytał Viensa, czy to on zarządził podsłuchiwanie Landwehra. W myśli zanosił modły, by nie był to przyjaciel.

–Matt, nie żartuj – powiedział Viens.

–Chciałem się tylko upewnić. Różni ludzie różnie reagują na wzrost ciśnienia.

–Ale ja nie reaguję w ten sposób. Chodzi mi o to, że póki nie skończy się rozróżba, niewiele będę mógł dla ciebie zrobić. Inni dostaną tyle czasu, o ile poproszą.

–Rozumiem. Przynajmniej z tego powodu nie musisz się pocić.

Viens uśmiechnął się, ale widać było, że nie jest mu wesoło.

–Moje testy wykazują, że nigdy się nie pocę. Najgorsze, co może mi się zdarzyć, to przejście z Hawkiem do sektora prywatnego.

–Pieprzysz, bracie. Byłbyś tam tak nieszczęśliwy, jak ja byłem. Słuchaj, lepiej nie liczyć kur przed zniesieniem jaj, tak to się mówi? Hawk idzie w diabły – być może to załagodzi trochę sytuację.

–Marne szanse.

–Ale zawsze jakieś – stwierdził Stoll. Spojrzał na zegar w dolnym lewym rogu monitora. – Słuchaj, o siódmej trzydzieści mam się zobaczyć z szefem, poinformować go, jak działa CR. Może zjedlibyśmy dzisiaj kolację? Na koszt Centrum?

–Obiecałem mojej pani, że gdzieś pójdziemy.

–Świetnie. Zapraszam was oboje. Na którą?

–Siódma?

–Doskonale.

–Żona spodziewała się wina, świec i trzymania za rękę. Zabije mnie.

–Co oszczędzi Landwehrowi fatygi. Do zobaczenia o siódmej.

Stoll przerwał połączenie. Czuł się fatalnie. Jasne, Viens dał mu dostęp do satelitów, ale Centrum tkwiło po uszy w bagnie, co całkowicie usprawiedliwiało jego decyzję. A w ogóle co to za różnica, komu potrzebny jest dostęp do satelitów. Centrum, Tajnej Służbie, nowojorskiej policji? Przecież w gruncie rzeczy wszyscy są jedną drużyną.

Zadzwoił do pierwszego asystenta Hooda, „Pluskwy” Beneta. Benet poinformował go, że szef właśnie przyjechał. Matt opuścił gabinet, dopijając herbatę i kończąc drugą połowę bułki.

· Poniedziałek, 14.30 – Kamiszli, Syria

Ibrahim spał, kiedy samochód zwolnił i zatrzymał się.

–*Imszee... imszee!* – krzyknął budząc się i na pół przytomnie rozglądając dookoła.

Jego wzrok napotkał okrągłą, ciemną twarz brata, lśniąca od potu. Mehmet patrzył we wsteczne lusterko.

–Dobry wieczór – powiedział.

Ibrahim zdjął okulary. Potarł zmęczone oczy.

–Mehmet! – szepnął z wyraźną ulgą.

–A owszem. – Jego brat uśmiechnął się lekko. – To ja. Powiedz mi, kto miał zostawić cię w spokoju?

Ibrahim odłożył okulary na półeczkę.

–Nie wiem. Jakiś człowiek. Nie widziałem jego twarzy. Byliśmy na bazarze. Chciał, żebyśmy gdzieś poszli.

–Miałeś pewnie obejrzeć nowy samochód, samolot albo coś podobnego – stwierdził Mehmet. – Przyjacielu Ibrahimie szepnął kusząco – to ja, dżin sennych marzeń. Zabiorę cię gdziekolwiek chcesz. Powiedz mi. Chcesz poznać piękną dziewczynę, która zostanie twoją żoną? Och, dziękuję, dżinie. Jesteś niezwykle wielkoduszny. Jeśli jednak dysponujesz motorówką lub komputerem, bardzo chciałbym je poznać.

Ibrahim skrzywił się.

–Gdzie jest napisane, że człowiek nie ma prawa lubić szybkości, mocy, maszyn? – spytał.

–Nigdzie, bracie – przyznał Mehmet. Zamiast w twarz brata patrzył teraz we wsteczne lusterko.

–Lubię kobiety – przyznał Ibrahim. – Kobiety jednak lubią dzieci, a ja nie. Mamy więc pata. Rozumiesz?

–Oczywiście. Czegóż jednak nie rozumiesz. Mam żonę. Spędzam z nią jedną namiętą noc tygodniowo. Rankiem, wychodząc, całuję śpiące dzieci. Potem pracuję z Walidem. Jestem zadowolony.

–Ty jesteś zadowolony. Kiedy nadejdzie właściwy czas, ja jednak pragnąłbym być lepszym mężem, lepszym ojcem.

–Gdy znajdziesz kobietę, która tego chce i tego potrzebuje, będę się cieszył twoim szczęściem, Ibrahimie.

–*Szukran*, dziękuję – powiedział Ibrahim. Ziewnął i energicznie potarł oczy.

–*Awfan*, nie ma za co – odparł Mehmet. Przez chwilę patrzył we wsteczne lusterko, a potem otworzył drzwi. – A teraz, Ibrahimie, skoro starłeś z powiek pył snu, przypatrz się – oto nadjeżdżają nasi bracia.

Ibrahim spojrział przez przednią szybę. Dwa samochody wyprzedziły ich, zjechały na pobocze i zatrzymały się. Oba były wielkie i stare, Cadillac i Dodge. Nieco dalej, w odległości niespełna kilometra, stały pierwsze niskie, kamienne domki Kamiszli, szare kształty na pół ukryte w migoczącym od żaru popołudniowego słońca powietrzu.

Ibrahim, Mehmet oraz dwaj jadący w ich samochodzie towarzysze wysiedli. Szli w kierunku Cadillaka i Dodge'a, kiedy nisko nad ich głowami przeleciał kierujący się na pobliskie lotnisko Boeing 707. Huk silników długo odbijał się echem po otaczającej ich równinie.

Na spotkanie Ibrahima i jego towarzyszy z Cadillaka wysiedli trzech mężczyzn, z Dodge'a zaś czterech. Wszyscy byli starannie ogoleni i ubrani w dżinsy i zapięte pod szyją koszule... wszyscy z wyjątkiem jednego, Walida al-Nasri. Ponieważ Prorok nosił brodę i luźną *abaja*, Walid także miał brodę i ubierał się w *abaja*. Tych siedmiu mężczyzn pochodziło z Raqqi, miasta znajdującego się na południowo-zachodnim krańcu al-Geziry nad Eufratem. To właśnie rozpaczliwa sytuacja miasta, stojącego niegdyś wśród żyznych pól, skłoniła Walida do aktywnego zaangażowania się w ich ruch. Ich ruch był zaś aktywny przede wszystkim dzięki sile i determinacji nowo wybranego dowódcy, Kajahana Sirinera.

Kurdowie przywitali się serdecznymi uściskami, uśmiechami i tradycyjnym powitaniem, *Al-salaam alejkum*, pokój z tobą. W odpowiedzi usłyszeli również tradycyjne *Wa alejkum al-salaam*, i z tobą niech będzie pokój. Powitanie było bardzo serdeczne, serdeczność szybko jednak ustąpiła miejsca sprawom praktycznym.

–Macie wszystko? – spytał ubrany w długą szatę Walid.

–Mamy wszystko, Walidzie – odparł Mehmet.

Walid przyglądał się ich Fordowi, Ibrahim tymczasem nie odrywał wzroku od uwielbianego dowódcy grupy. Twarz miał bardzo ciemną, pociągłą, jej dolną część prawie w całości skrywała stalowoszara broda. Wyjątkiem była ukośna blizna, biegnąca od lewego kącika ust aż prawie do szyi. Pozostała mu jako pamiątka po inwazji Izraela na Liban w 1982 roku. Walid był pilotem jednego z dwudziestu pięciu syryjskich samolotów, zestrzelonych nad doliną Bekaa.

Walid onieśmiał Ibrahima. Możliwość pracy z nim to przecież zaszczyt.

–Bagażnik waszego samochodu – powiedział Walid – nie wydaje się bardzo obciążony.

–*Ajwa*, tak – przytaknął Mehmet. – Większość broni ukryliśmy pod przednimi i tylnymi siedzeniami. Nie chcieliśmy, by samochód osiadł na tylnym resorze.

–Dlaczego?

–Z powodu amerykańskich satelitów. Nasz człowiek w pałacu w Damaszku twierdzi, że ich satelity bez przerwy obserwują Bliski Wschód i widzą wszystko. Nawet ślady stóp. Wielokrotnie jechaliśmy po piasku. Satelity są w stanie zmierzyć głębokość śladów.

–Ośmielają się naśladować Wielkiego i Miłosiernego! – powiedział Walid, unosząc ku niebu twarz, zniszczoną upalnym słońcem i życiem pełnym napięcia. – Oczy Allacha to jedyne oczy, które się liczą! – krzyknął. – Powiedziane jest jednak, że mamy strzec się nieprzyjaciół – dodał, zwracając się do Mehmeta. – Postąpiłeś mądrze.

–Dziękuję ci – odparł Mehmet. – Także strażnicy na naszej granicy mogliby zauważyć, że coś wieziemy. Nie chciałem, by obrócili się przeciw nam.

Walid uważnie przyjrzał się Mehmetowi i jego towarzyszom.

–Oczywiście – stwierdził. – Jesteśmy nastawieni pokojowo, zgodnie z naukami Koranu. Koran zabrania mordować. – Walid uniósł ręce ku niebu. – Zabójstwo w samoobronie nie jest jednak morderstwem. Jeśli prześladowca wyciąga w naszą stronę krwawe dłonie, czy nie jest naszym obowiązkiem odciąć je? Jeśli pisze o nas źle, czy nie jest naszym obowiązkiem odciąć mu końce palców?

–Jeśli taka jest wola Boga – przyznał Mehmet.

–Taka jest wola Boga – potwierdził Walid. – Nasz los jest w jego rękach. Czy ręka Boga cofa się przed nieprzyjacielem, choćby był potężny i liczny?

–La, nie – odpowiedzieli obecni, potrząsając głowami.

–Czy nie jest zapisane na Niebieskiej Opcie, a więc nieomylnie „Jest znak dla ciebie w dwóch armiach, które spotkały się na polu bitwy. Jedna walczyła w sprawie Boga, druga była armią niewiernych. Wierni na własne oczy zobaczyli, że niewiernych jest dwukrotnie więcej. Bóg jednak dodaje siły radą tym, których On wybierze”. Czy nie obraża Boga to, jak traktują nas Turcy? – Głos Walida spotęźniał. – Czy nie jesteśmy orężem wybranym przez Boga?

–Ajwa – potwierdzili Kurdowie.

Ibrahim powiedział „tak” ciszej niż jego towarzysze. Wierzył równie głęboko jak Mehmet lub Walid, uważał jednak, i nie on jeden, że Koran doradza sprawiedliwość, nie zemstę. Była to kwestia często dyskutowana w jego rodzinie, podobnie jak zresztą w całym islamie. Koran z pewnością uczył jednak wierności i oddania. Kiedy ataki na Kurdów nasiliły się i Mehmet zaprosił go do ich grupy, Ibrahim nie mógł mu odmówić.

Walid opuścił ręce. Przyjrzał się grupie Mehmeta.

–Jesteście gotowi? – spytał.

–Jesteśmy gotowi – usłyszał w odpowiedzi.

–A więc pomódlmy się. – Przyjmując rolę muezina, wzywającego do modlitwy, zamknął oczy i wyrecytował Adhan, wezwanie do modłów. - *Allach Akbar*. Allach jest większy. Bóg jest większy. Świadczę, że nie ma boga oprócz Boga. Świadczę, że Mahomet jest prorokiem Boga. Powstańcie do Boga. Powstańcie do szczęścia. Bóg jest większy. Bóg jest większy. Nie ma boga oprócz Boga.

Gdy Walid mówił te słowa, jego ludzie wyjęli z samochodów dywaniki modlitewne i rozpostarli je na ziemi. *Qiblu*, kierunek modlitwy, wybrany został bardzo dokładnie. Mężczyźni skierowali się twarzą na południe, ku zachodniej Arabii Saudyjskiej i świętemu miastu Mekka. Kłaniając się nisko, odmówili popołudniową modlitwę, trzecią z pięciu: o świcie, w południe, po południu, o zmroku, po zapadnięciu ciemności. Modlitwa trwała kilka minut, składała się z recytacji wersów Koranu i medytacji.

Po jej zakończeniu Kurdowie wrócili do samochodów. W kilka minut później jechali już w kierunku małego, starego miasteczka. Podczas jazdy Ibrahim myślał o tym, że są tylko jedną z niezliczonego mnóstwa karawan, przebywających tę drogę od zarania cywilizacji. Zmieniały się środki transportu, zmieniali się ludzie i cele, mimo to jednak czuł się częścią całości, choć miał także poczucie, że jest nieważny. Bowiem każdy ludzki trop, pozostawiony na piaskach al-Gezira, trwał tylko chwilę.

Szybko minęli Kamiszli. Ibrahim nie zwrócił uwagi ani na minarety starych meczetów, ani na zatłoczony rynek. Ignorował Turków i Syryjczyków, których pełno było w tym nadgranicznym mieście. Myślał o zadaniu, które mieli wykonać i wierze, bo była to dla niego jedna sprawa. Myślał o tym, co Koran mówi o Dniu Sądu, w którym spełnią się zarówno groźby, jak i obietnice Boga. Myślał o tym, jak ci, którzy żyli zgodnie ze świętymi słowami, dołączą do pięknych hurys w raju, i o tych niewiernych, którzy wieczność spędzą w piekle. Potrzebował tej namiętnej wiary, by dokonać tego, czego miał dokonać, gdy nadejdzie czas.

Kiedy minęli wioskę i samochody skierowały się ku granicy tureckiej, Ibrahim otworzył okno.

Przeście graniczne składało się z dwóch posterunków, umieszczonych jeden za drugim – syryjskiego i tureckiego. Przy budkach znajdowały się szlabany, dzieliło je mniej więcej trzydzieści metrów. Po stronie syryjskiej droga zarośnięta była chwastami, po tureckiej czysta i dobrze utrzymana.

Samochód Walida jechał pierwszy, Ibrahima ostatni. Walid przedstawił do kontroli paszporty i wizy ludzi ze swego samochodu. Urzędnik przejrzał je i dał uzbrojonemu żołnierzowi znak do podniesienia szlabanu.

Ibrahim poczuł na ramionach ciężar przeznaczenia. Walid wybrał go do dokonania specjalnego czynu, dla Ibrahima była to jednak także sprawa osobista. Był Kurdem, nomadem równin i gór wschodniej Turcji, północnej Syrii, północno-wschodniego Iraku i północno-zachodniego Iranu.

Od potowy lat 80. jedna z wielu frakcji Kurdów prowadziła wojnę partyzancką przeciw Turkom obawiającym się, że autonomia kurdyjska doprowadzić może do powstania nowego, wrogiego Kurdystanu z ziem należących do Turcji, Iranu i Iraku. Nie była to kwestia religijna, lecz kulturowa, językowa i polityczna.

Do 1996 roku ta nie wypowiedziana wojna pochłonęła dwadzieścia tysięcy istnień ludzkich. Ibrahim nie brał w niej udziału, póki wskutek działań tureckich nie wyschły studnie i bydło nie zaczęło wymierać z pragnienia. Choć służył w armii syryjskiej jako mechanik, nigdy nie był człowiekiem gwałtownym. Wierzył, że Koran uczy pokoju i współistnienia. Widział jednak, jak Turcja odbiera możliwość przeżycia jego ludowi, a zagłada narodu nie może nie pociągnąć za sobą zemsty. Kiedy Mehmet zaprosił go w szeregi kurdyjskich bojowników Walida, przyjął zaproszenie.

Przez dwa lata był członkiem jedenastoosobowego oddziału. Akty terroryzmu i sabotażu, przeprowadzane w Turcji, przestały być wyłącznie aktami zemsty. Walid miał rację twierdząc, że Allach zdecyduje o tym, czy kiedykolwiek powstanie nowy Kurdystan, akcje zbrojne miały tylko przypominać Turkom, że Kurdowie pozostaną ludem wolnym – z ojczyzną lub bez niej.

Typowa akcja polegała na tym, że nocą dwóch, trzech, czasem czterech bojowników wślizgiwało się do Turcji, myląc patrole graniczne. Wysadzali w powietrze transformatory, rurociągi, czasami strzelali do żołnierzy. Dziś jednak wszystko miało wyglądać inaczej. Dwa miesiące temu tureccy żołnierze, wykorzystując wiosenne roztopy i trwający jednostronny rozejm z tureckimi Kurdami, rozpoczęli potężną ofensywę przeciw buntownikom. W ciągu trzydniowych

nieustannych walk zginęła setka partyzantów. Atak miał uspokoić zachód kraju, pozwalając tureckiemu rządowi zwrócić uwagę na wschód, na terytorialne spory z Grecją i nasilające się napięcie między chrześcijańskimi Atenami i muzułmańską Ankarą.

Walid wraz z Kenanem Demirelem, przywódcą tureckich Kurdów, zdecydowali, że ten akt agresji nie może pozostać bez odpowiedzi. I że odpowiedź nie może być dziełem małego oddziału, któremu udało się przeniknąć przez granicę. Nie, Kurdowie wkroczą do Turcji, z dumą udowadniając przeciwnikowi, że zdrada i przemoc nie pozostają bez odpowiedzi.

Samochody minęły czarny drewniany słup, wbity obok drogi. Były już na terenie Turcji. Gdy dojechały do tureckiego szlabanu, uzbrojony żołnierz wystawił lufę pistoletu maszynowego *MIAL* przez niewielki otwór w szybie. Pojawił się jego towarzysz. Podeszedł do samochodu Walida. W lśniącej nowej kaburze miał dziewięćmilimetrowego *Walthera*.

Pochylił się i zajrzał do samochodu.

–Paszporty.

–Ależ oczywiście – powiedział Walid. Z kieszonki na osłonie przeciwsłonecznej wyjął kilka niewielkich pomarańczowych książeczek. Podał je urzędnikowi.

Niewysoki wąsaty Turek porównał twarze na zdjęciach z twarzami w samochodach. Nie śpieszył się, był bardzo dokładny.

–Co was sprowadza do Turcji? – spytał w końcu.

–Jedziemy na pogrzeb – wyjaśnił Walid. Gestem wskazał dwa dalsze samochody.

– My wszyscy – dodał.

–Dokąd?

–Do Harran.

Strażnik zerknął na samochody. Przyglądał się im przez chwilę.

–Zmarły przyjaźnił się wyłącznie z mężczyznami? – spytał.

–Nasze żony pozostały z dziećmi.

–Nie oplakują go?

–Sprzedawaliśmy mu jęczmień – tłumaczył Walid. – Nasze żony go nie znały.

–Jak się nazywał ten człowiek?

–Tansu Ozal. Zginął w sobotę, w wypadku. Wjechał samochodem do rowu.

Strażnik machinalnie poprawił zieloną wojskową kurtkę. Przez chwilę przyglądał się Walidowi, a potem wrócił do budki. Drugi ze strażników nadal mierzył do nich z pistoletu maszynowego.

Ibrahim przysłuchiwał się rozmowie. Wyraźnie słyszał wypowiedane słowa. Droga była pusta, cicha. Wiedział, że Walid nie kłamie, że Tansu Ozal zginął w wypadku samochodowym. Walid nie wspomniał oczywiście o tym, że Ozal był Kurdem, który zdradził swój naród. Że doprowadził Turków do broni, ukrytej pod starym rzymskim mostem w kanionie Koprulu. Ludzie Kenana zabili go za zdradę.

Ibrahim palcem otarł pot z czoła. Pocił się i z upału, i z nerwów. Podobnie jak on, Walid zdobył dokumenty dla swych ludzi przedstawiając sfałszowane akty urodzenia. Imię Walida, choć nie jego twarz, znane było Turkom. Gdyby strażnik wiedział, z kim

ma do czynienia, wszyscy zostaliby natychmiast aresztowani.

Turek telefonował. Odczytywał do telefonu dane z każdego paszportu po kolei. Ibrahim nienawidził go. Był to tylko pomniejszy urzędnik, zachowywał się jednak tak, jakby chronił Kopułę na Skale.* [Turcy nie mieli pojęcia, co jest ważne, a co nie.](#)

Zwrócił uwagę na siedzącego w budce żołnierza. Podczas planowania operacji dowiedział się, że gdyby ktokolwiek z przekraczających granicę poszukiwany był przez tureckie władze albo zachowałyby się podejrzanie, żołnierz natychmiast przestrelałby opony. Gdyby ktoś sięgnął po broń, żołnierz strzelałby, by zabić. Jego towarzysz przed wyjęciem broni nacisnąłby przycisk alarmu, który odezwałby się w odległej o osiem kilometrów strażnicy. Uzbrojony helikopter stał tam cały czas w pogotowiu bojowym. Wystartowałby natychmiast.

Syryjscy żołnierze otworzyliby ogień wtedy, gdyby sami znaleźli się pod ostrzałem. W Turcji nie mieli żadnej władzy.

Ibrahim wtulił się w siedzenie, obserwując Cadillaka. Po prawej, między siedzeniem i drzwiami, trzymał pojemnik z gazem łzawiącym. Będzie gotów na sygnał Walida.

Mały turecki urzędnik zatrzasnął drzwi budki i podszedł do samochodu. Pochylił się, rozkładając paszporty w ręce jak karty.

–Możecie wjechać na dwadzieścia cztery godziny – powiedział. – Musicie wrócić przez to przejście graniczne.

–Oczywiście – powiedział Walid. – Dziękujemy.

Strażnik wyprostował się i oddał im paszporty. Skinął ręką na drugi samochód. Potem wrócił do budki, podniósł szlaban i przepuścił samochód Walida. Cadillac przejechał pod szlabanem, który natychmiast został opuszczony.

Na miejsce podjechał Dodge. Cadillac zatrzymał się tuż za przejściem granicznym.

–Jedź dalej! – krzyknął na niego strażnik.

Walid pomachał wystawioną przez lewe okno dłonią. „Słyszałem” – zasygnalizował i nagle opuścił rękę, nie chowając jej.

W tej samej chwili Ibrahim wraz z pasażerami z dwóch pierwszych samochodów wychylił się przez okno, zerwał pokrywkę z pojemnika z gazem łzawiącym i rzucił nim w budkę strażniczą. Niski strażnik sięgnął po pistolet, jego partner otworzył ogień poprzez gęste chmury pomarańczowego dymu. W tym samym momencie Walid wrzucił wsteczny bieg, cofnął samochód rozbijając szlaban i uderzył w budkę. Budka zachwiała się, a siedzący w niej strażnik przerwał ogień, choć tylko na moment. Jednocześnie kierowca środkowego samochodu wystawił przez okno *Makarowa*. Strzelał i jednocześnie obrzucał Turków obelgami.

Mimo gęstniejących oparów gazu łzawiącego Ibrahim dostrzegł padającego strażnika, który sprawdzał im paszporty. Żołnierz z budki, przekrzywionej teraz pod ostrym kątem, strzelał jednak nadal. Walid podjechał parę metrów, cofnął samochód i jeszcze raz uderzył w budkę. Tym razem się przewróciła.

Z drugiego samochodu wysiadło dwóch Kurdów. Obaj założyli maski przeciwigazowe i znikli w rozszerzającej się chmurze gazu. Ibrahim usłyszał jeszcze kilka strzałów, po czym wszystko ucichło.

Obejrzał się na syryjskich żołnierzy. Syryjczycy ukryli się we własnej budce, mierzyli w ich stronę z broni, ale nie strzelali.

Walid upewnił się, że obaj Turcy nie żyją, podziękował Allahowi za zwycięstwo i wrócił do samochodu. Gestem dłoni nakazał ludziom ruszać.

Kiedy znaleźli się w Turcji, Ibrahim doznał zupełnie nowego uczucia. Paliło go w żołądku – wydarzenia toczyły się już same z siebie, nie było sposobu na ich powstrzymanie.

–Dzięki niech będą Allahowi – powiedział głośno, sam siebie zaskakując tymi słowami. Nagle zaczerpnął powietrza. – Chwała Mahometowi! – krzyknął. – Pokój z Nim!

Mehmet milczał. Ze skroni, po policzkach jego śniadej twarzy pot ściekał aż do ust. Siedzący na tylnym siedzeniu Kurdowie także zachowali milczenie.

Ibrahim tymczasem przyglądał się samochodowi Walida. Po dwóch minutach Cadillac zjechał z drogi na złoty piasek pustyni. Dodge i Ford pomknęły za nim, jechały za zachód, spod kół unosiła się chmura piasku. Po stu metrach zakopały się na amen. Kurdowie wysiedli.

Ibrahim i Mehmet usunęli siedzenia. Zdjęli fałszywe dno bagażnika. Reszta członków oddziału również pracowała szybko i sprawnie.

· Poniedziałek, 14.27 – Mardin, Turcja

Hughes 500D jest helikopterem wyjątkowo cichym ze względu na doskonałe wytłumienie silnika turbinowego Allison 250-C20B. Konstrukcja prostego ogona w kształcie litery T daje mu wspaniałą stabilność przy każdej prędkości oraz doskonałą manewrowość. Z przodu ma miejsce na dwóch pilotów i dwóch pasażerów, z tyłu na dwóch do czterech pasażerów. Dysponuje bocznym dwudziestomilimetrowym działkiem oraz karabinem maszynowym kalibru 12,7 mm.

Jednym słowem, idealnie nadaje się do patrolowania granicy.

Kiedy w bazie lotniczej w Mardin rozległ się dźwięk alarmu, uruchomionego na przejściu granicznym na północ od Kamiszli, piloci *Hughesa* jedli właśnie późny lunch. Odbyli już dzisiejszy regularny godzinny patrol, następny lot zaplanowany mieli dopiero na czwartą, obaj jednak powitali alarm z radością. Od kiedy rząd mocniej przycisnął Kurdów, zrobiło się bardzo spokojnie. Tak spokojnie, że piloci obawiali się, że porosną mchem.

Hughes wystartował w pięć minut później. Załoga i obsługa pozdrawiali się znakami wyprostowanych kciuków.

Pilot poprowadził helikopter nisko nad ziemią. Przelatywali nad z rzadka rozrzuconymi wioskami, samotnymi zabudowaniami, odizolowanymi od świata farmami. Nie udało im się wywołać posterunku straży granicznej przez radio, byli więc przygotowani na kłopoty. Zbliżali się do linii granicznej szybko, lecąc nad wysuszoną ziemią. Pilot z przyzwyczajenia utrzymywał helikopter na tle słońca, utrudniając zadanie komuś, kto chciałby zestrzelić go z ziemi.

Wraki samochodów zauważyli tuż przedtem, nim dostrzegli ruinę budki strażniczej. Krążąc nad terenem na północ od granicy i od samochodów, przez radio przekazali dowództwu informację o tym, co zobaczyli, zwłokach dwóch pograniczników oraz trzech kierowców.

–Samochody wydają się postrzelane – powiedział pilot do zamocowanego w hełmie mikrofonu. Przez chwilę obserwował ziemię. – Dwaj kierowcy nie poruszają się, trzeci zdradza oznaki życia.

–Pomoc medyczna przybędzie drogą powietrzną – odpowiedział łącznościowiec bazy.

–Wygląda na to, że samochody sforsowały szlaban, rozjechały budkę i zostały zatrzymane ogniem naszych żołnierzy. Na oko ranny nie pożyje długo – mówił dalej pilot. – Proszę o pozwolenie na wylądowanie i przesłuchanie go, nim umrze.

W radiu przez chwilę panowała cisza.

–Kapitan Galata mówi, że możecie postępować według własnego uznania – usłyszał w końcu pilot. – Co z pogranicznikami syryjskimi?

–Obaj siedzą w swojej budce – poinformował łącznościowca pilot. – Najwyraźniej nic im się nie stało. Chcesz, żebyśmy spróbowali ich wywołać?

–Nie – odparł natychmiast łącznościowiec. – Skontaktujemy się z nimi kanałami rządowymi.

Pilota bynajmniej to nie zaskoczyło. Jeśli martwi i umierający byli Syryjczykami,

syryjscy pogranicznicy nie odezwą się do Turków ani słowem. Jeśli są Turkami, Syryjczykom nikt nie uwierzy. Samo umożliwienie pilotom przekroczenia granicy celem porozmawiania z nimi wymagałoby zgody na bardzo wysokim szczeblu. Całe to przedsięwzięcie nosiłoby cechy długiego, wyczerpującego i całkowicie bezsensownego.

Pilot obniżył nieco *Hughesa*. Dokonał kolejnego okrążenia, dwanaście metrów nad ziemią. Wirnik nośny wzburzył piasek, ograniczając widoczność.

Helikopter osiadł na piasku w odległości około pięćdziesięciu metrów od samochodów. Obaj lotnicy zdjęli z uchwytów tuż za ścianą kabiny pistolety maszynowe *Uzi*. Założyli gogle, mające chronić ich przed piaskiem wzniesionym przez wirnik. Drugi pilot wyskoczył na ziemię, jako pierwszy i zatrzasnął drzwiczki kabiny. Pilot wysiadł zaraz po nim. Nie zatrzymywał wirnika na wypadek, gdyby przyszło im szybko startować. Zamknął drzwiczki kabiny od swojej strony.

Obaj piloci, idąc gęsiego, ruszyli w kierunku pierwszego samochodu, Cadillaka – jego kierowca nadal zdradzał oznaki życia. Leżał, wychylony przez częściowo otwarte okno. Ze zwisającej wzdłuż drzwiczek ręki ściekała na piasek krew. Z wyraźnie widocznym wysiłkiem podniósł głowę.

–Po... mocy... – wydyszał.

Drugi pilot uniósł broń. Rozejrzał się w lewo i w prawo. Pilot szedł przed nim, z bronią uniesioną do góry.

Odwrócił się.

–Kryj mnie – powiedział, podchodząc do samochodu.

Drugi pilot zatrzymał się, uniósł broń do ramienia i wymierzył w ранego kierowcę. Pilot szedł przed siebie, zwalniając w miarę zbliżania się do samochodu. Obejrzał się za siebie, skręcił, obszedł samochód, nie zapomniał nawet sprawdzić, czy ktoś się pod nim nie kryje. Rzucił okiem na przestrelone opony i podszedł do ранego kierowcy.

Brodąta twarz uniosła się lekko.

–Kim jesteś? – spytał pilot.

Kierowca próbował coś powiedzieć, mówił jednak zaledwie szeptem.

Pilot pochylił się ku niemu. – Powtórz...

W tym momencie kierowca przetknął ślinę. Podniósł okrwawioną rękę. Nagle jednym płynnym gestem złapał pilota za kark, uderzając jego czołem w górną framugę otwartego okna.

Turek znajdował się na linii ognia drugiego pilota, który właśnie próbował się przesunąć, gdy za jego plecami uzbrojony mężczyzna wstał nagle spod piasku, pilot śmigłowca nie usłyszał nawet serii, która go zabiła. Gdy tylko padł, Walid puścił drugiego pilota, który zatoczył się i upadł.

Mehmet zabił go, nim piasek opadł z jego ubrania.

Ibrahim wstał spod piasku, z drugiej strony samolotu. Czekał tam na wypadek, gdyby helikopter wylądował z tej strony. Reszta Kurdów ukryta była w bagażnikach trzech samochodów.

Walid otworzył drzwiczki i wysiadł. Odwiązał skórzany rzemień, opasujący mu

bark. Wyjął ukryty pod rękawem woreczek z kocią krwią i wrzucił go do samochodu. Wsadził za pas pistolet, który trzymał pod prawym udem. Podbiegł do helikoptera.

– Nikogo nie straciliśmy! – oznajmił z dumą. – Dodatkowy człowiek okazał się niepotrzebny. Dobrze to zaplanowałeś, Mehmedie.

– *Al-fi skuhr*, dziękuję – odparł Mehmet, energicznie wytrzepując piasek z włosów. Ibrahim pobiegł za Walidem. Tylko on miał jakieś takie pojęcie o helikopterach.

– Bałem się... – Ibrahim energicznie splunął śliną zmieszaną z piaskiem. – Bałem się, że strumień powietrza z wirnika nas odsypie.

– Wówczas zastrzeliłbym obu Turków – stwierdził Walid, otwierając drzwi od strony pilota. Nim wsiadł, przykrył dłonią odpowiedni przycisk i wyłączył radio. Ibrahim podszedł do kabiny od drugiej strony. Reszta oddziału zbliżała się do nich biegiem, oni jednak skoncentrowali się na wyłączeniu nadajnika pozycyjnego. Walid skinął głową. Turcy w Madrin z pewnością założą, że helikopter stracił nagle moc i spadł. Ekipa ratunkowa będzie poszukiwała go wzdłuż zaplanowanej trasy lotu.

– To nie Turcy mnie martwią – powiedział Ibrahim. – Zaplanowaliśmy tę operację w najdrobniejszych szczegółach. Ja naprawiałem helikoptery, ty je pilotowałeś, a jednak żaden z nas nie przewidział, że strumień powietrza z wirnika helikoptera może zniweczyć nasz plan.

Zawsze zdarza się coś nieoczekiwanego – zauważył Walid, wspinając się do kabiny.

– Słusznie – przytaknął Ibrahim. – Tylko że my dwaj powinniśmy przewidzieć coś tak oczywistego.

– I dlatego my dwaj to przeoczyliśmy – warknął Walid. – Zostaliśmy ostrzeżeni. Bowiem powiedziane jest: „Nie ukarzymy narodu, póki nie wyślemy mu apostoła, aby ich ostrzegł”. Zostaliśmy ostrzeżeni.

Obserwując biegnących przyjaciół Ibrahim zastanawiał się nad słowami Walida. Trzech Kurdów uściskało pozostających na pustyni towarzyszy, życząc im powodzenia. Ludzie ci mieli za zadanie odprowadzić samochody z powrotem do Syrii. Mając za osłonę uzbrojony helikopter, z pewnością zostaną przepuszczeni przez Syryjczyków. Syryjscy pogranicznicy nie ośmielą się pomóc prowadzącym dochodzenie urzędnikom z Damaszku i Ankary. Ze strachu przed zemstą.

– Od tej chwili nie oglądamy się za siebie – oznajmił Walid trzem siedzącym w helikopterze mężczyznom. – Patrzymy przed siebie. Drugi helikopter będzie tu za mniej niż dziesięć minut. Spojrzał do tyłu. – Gotowi? – spytał.

Mehmet czekał, aż do kabiny wejdzie ich radiooperator, Hasan. Z samochodów załadowano dodatkowe zbiorniki paliwa oraz plecak, z którym obchodzono się bardzo ostrożnie, jako że zawierał materiały wybuchowe i detonatory. Kiedy Ibrahim usiadł na swoim miejscu z plecakiem na podłodze, między nogami, Mehmet wskoczył do kabiny.

– Gotowi – zameldował, zatrzasnąwszy drzwiczki.

Walid w milczeniu sprawdził wskazania instrumentów, dodał mocy i helikopter znalazł się w powietrzu.

Ibrahim obserwował oddalającą się pustynię. Plamki asfaltu drogi pokryte były

wzorem nawianego nań przez wiatr piasku, krajobraz pustyni obserwowany z góry wydawał się tym bardziej bezosobowy. Obrócił twarz ku słońcu. Niemal przepalało osłonę kabiny, czyniąc bezsensownymi wysiłki uruchomionej klimatyzacji.

Walid miał rację. Popętnili błąd, jeden drobny błąd, lecz mimo popełnionego błędu udało im się osiągnąć cel. Teraz czeka na nich kolejny, znacznie większy. Jeśli go osiągną, radować się będą Kurdowie na całym świecie. Jeśli go osiągną, świat w końcu będzie musiał zająć się losem Kurdów.

Jeśli go osiągną, zniknie porządek świata taki, jakim był dotychczas.

· **Poniedziałek, 7.56 – Waszyngton, Dystrykt Columbia**

–Mnie też wcale się to nie podoba, Matt – stwierdził Paul Hood, dopijając pierwszy w Centrum kubek kawy. – Steven Viens jest naszym dobrym przyjacielem. Chciałbym mu pomóc.

–Więc pomóż – powiedział Stoll. Siedział na kanapie po lewej stronie drzwi. Nerwowo postukiwał nogą w podłogę. – Cholera, jesteśmy przecież tajnymi agentami. Porwijmy go i zapewnijmy mu nową tożsamość.

Hood zmarszczył brwi.

–Z przyjemnością powitam każdą rozsądną propozycję – skarcił Stolla. Matt nadal patrzył na niego, a nie na szefową sekcji polityczno-ekonomicznej, Marthę Macall. Martha siedziała na kanapie po lewej. Skrzyżowała ręce, twarz skrzywiła w grymasie, który z pewnością nie oznaczał sympatii.

–Dobrze, zgoda, nie mam pojęcia, co powinniśmy zrobić przyznał Matt. – Charty z kapitolu nie rzucą się na ofiarę jeszcze przez dziewięćdziesiąt minut. Do tego czasu powinniśmy przecież coś wymyślić. Może zrobić listę misji, podczas których pracowaliśmy ze Stevenem. Albo znaleźć ludzi, których życie ocalił. Jezu, przecież właśnie to powinno się liczyć, a nie stworzone przez biurokratów zasady.

–Nie, chyba że ci ocaleni przez niego to znacząca liczba wyborców.

Martha skrzyżowała długie nogi.

–Matt, doceniam twoją lojalność – oznajmiła. – Niestety, przekazywanie funduszy to dziś najważniejsza sprawa. Stevena Viensa złapano za rękę, kiedy przekazywał pieniądze z jednego projektu na drugi.

–Bo wiedział, że ten drugi projekt jest istotny dla bezpieczeństwa narodowego. Przecież się na tym nie wzbogacił.

–To nieistotne – stwierdziła Martha. – Złamał zasady.

–Bo to są głupie zasady.

–To także nieważne. Szczerze mówiąc, możemy tylko mieć nadzieję, że nikt z komisji nie wpadnie na pomysł objęcia śledztwem Centrum, które dysponowało niewłaściwym dostępem do zasobów NBR.

–Preferencyjnym dostępem – poprawił ją Hood.

–Słusznie. Zobaczymy, czy Larry Rachlin określi to tak uprzejmie, kiedy jego chłopcy z CIA zeznają, że dysponowaliśmy satelitami dziesięciokrotnie dłużej niż oni. A jak myślisz, co się stanie, kiedy Komisja Kontroli Wywiadu postanowi bliżej przyjrzeć się naszym finansom? Nie zapłaciliśmy NBR za cały ten czas satelitarny, bo nie mieliśmy tej pozycji w budżecie.

–Obliczyliśmy zadłużenie i wpisaliśmy je do przyszłorocznego budżetu – przypomniał jej Paul.

–Kongres uzna, że żyliśmy ponad stan. Zechce sprawdzić, jak długo i dlaczego.

–Właśnie! – krzyknął Stoll, klaszcząc w dłonie. – Ta groźba to jeszcze jeden powód, żebyśmy stanęli za Stevenem jak jeden mąż. Jedna agencja to wygodny cel, ale dwie to zjednoczony front, to potęga! Jeśli staniemy po stronie NBR, Kongres pomyśli dwa razy, nim weźmie się za nas. Zwłaszcza jeśli wyciągniemy argument

zagrożenia bezpieczeństwa narodowego.

Martha spojrzała na Hooda.

–Szczerze ci powiem, Paul, że niektórzy z kongresmanów z przyjemnością podwinęliby rękawy i zabrali się do generalnego przeglądu całego tego bezpieczeństwa narodowego. Wiesz, co słyszę od przyjaciół w Kongresie od czasu, kiedy Mike Rodgers ocalił Japonię przed północnokoreańską rakieta z głowicą jądrową? Niektórzy mówią: „Dlaczego mamy płacić za chronienie Japonii przed atakami terrorystycznymi?”, inni: „Dobra robota, ale jak to się stało, że nie zorientowaliście się we wszystkim, nim sprawy zaszły tak daleko?”. To samo z bombą w nowojorskim tunelu. Znaleźliśmy winnego, ale co bardziej wścibscy kongresmani bardzo chcą wiedzieć, dlaczego nasze źródła wywiadowcze nie poinformowały nas o wszystkim przed faktem? Nie, Matt. Siedzimy zbyt blisko burty, by teraz huścić łodzią.

–Nie mam zamiaru czymkolwiek huścić. Rzućmy tylko przyjacielowi koło ratunkowe – jęknął Stoll.

–Sami możemy go potrzebować – odparła Martha.

Stoll uniósł ręce, jakby miał zamiar zaprotestować, ale opanował się w porę.

–Czy to wszystko, co możemy zrobić dla dobrego lojalnego przyjaciela? – spytał tylko. – Zostawić go, żeby szarpał się jak ryba na haczyku? Powiedz, Paul, czy tak samo zostawilibyście mnie albo Marthę, albo kogokolwiek z Centrum, gdyby wpadł w tarapaty?

–Myślałem, że lepiej mnie znasz – powiedział Hood.

–W każdym razie to coś zupełnie innego – zauważyła Martha.

–A to dlaczego? Bo płacą nam tu, a nie gdzie indziej?

–Nie – odparła chłodno Martha Macali. – Dlatego, że Centrum musiałoby w każdym przypadku zaaprobować to coś, przez co wpadłeś w kłopoty. Jeśli zaaprobowałibyśmy błędną decyzję, ponieśliśmy jej konsekwencje wraz z tobą.

Matt spojrzał na nią, a potem na Paula.

–Wybacz mi, Paul, ale Martha jest tutaj, ponieważ Lowella nie ma w mieście. Pragnęłaś opinii prawnej i ją właśnie otrzymałaś. Teraz proszę cię o opinię moralną.

–Twierdzisz, że jestem niemoralna? – Brązowe oczy Marthy zabłyśły gniewnie.

–Ależ skąd. Bardzo ostrożnie dobieram słowa, nim się nimi posłużę. Powiedziałem tylko, że sformułowałaś opinię prawną.

–Moja moralna opinia brzmiałaby bardzo podobnie – wysyczała Martha. – Ten człowiek postąpił źle. W przeciwieństwie do nas. Jeśli postanowimy go poprzeć, jakiś żądny sławy kongresman weźmie pod lupę nasze operacje. Dlaczego mielibyśmy ryzykować?

–Bo jest to rzecz słuszna. Miałem wrażenie, że my, pracownicy wywiadu, jesteśmy jedną wielką rodziną. I nie sądzę, by zaczęto nas deptać, gdyby Paul i ty, Murzynka...

–Afroamerykanka.

–...poinformowali kongresową komisję śledczą, że dobre uczynki Viensa znacznie przewyższają zło, wyrządzone przekazywaniem funduszy. Chryste, przecież on nie schował do kieszeni ani centa. Wszystko pozostało w kufrach NBR.

–Na jego nieszczęście z powodu, tego, co zrobił, wzrósł nieco dług narodowy. Podatnicy zapłacą od tego odsetki. Na moje oko Amerykanie dzięki jego metodzie prowadzenia księgowości stracili około osiemdziesięciu milionów dolarów.

–On użył tych pieniędzy, by lepiej wykonać swoją pracę syknął przez zaciśnięte zęby Stoll. – Służył Amerykanom.

Paul patrzył w pusty kubek po kawie, jednocześnie poklepując go czubkami palców. Żona tolerowała w domu wyłącznie serwisy porcelanowe. Ten kubek był jego, z godłem drużyny Los Angeles Rams, dostał go od rozgrywającego, Romana Gabriela, podczas spotkania z graczami-weteranami, które odbyło się w ratuszu.

Centrum też było jego. Miał się nim opiekować, miał je chronić. Miał dopilnować, by działało na pełnych obrotach. Steven Viens pomagał działać Centrum, pomagał mu w ocaleniu ludzkiego życia, chronieniu narodu.

A teraz Viens potrzebował pomocy.

Pytanie brzmiało: czy on, Paul Hood, ma prawo ryzykować przyszłością ludzi, którzy odpowiadali bezpośrednio przed nim, ludzi, którym zaszkodzić mogą dochodzenia i cięcia finansowe, by uratować kogoś, kto bezpośrednio przed nim nie odpowiada?

Matt, jakby czytając w jego myślach, powiedział żałośnie.

–Wygląda na to, że Centrum troszczy się o ludzi, których lojalność opłaciło, a nie o tych, którzy ofiarowali mu lojalność za darmo.

–Oboje wiecie doskonale, że nie reprezentujecie racji absolutnych – powiedział Paul.

Martha kręciła stopą. Był to dowód, że zdenerwowała się, ale nie miała zamiaru wdawać się w pyskówkę. Martha często wściekała się na Paula i innych członków Centrum, postępujących w sposób mogący zaszkodzić jej karierze. Mimo wszystko to, że ktoś ma ambicję, nie oznacza jeszcze, że nie ma racji.

–Kto jest naszym najlepszym przyjacielem w Komitecie, prowadzącym dochodzenie w tej sprawie? – spytał ją Paul.

–To zależy – odparła Martha, która bynajmniej się nie uspokoiła. – Czy panią senator Fox uważasz za naszą przyjaciółkę?

Jeszcze przed kilkoma miesiącami senator Barbara Fox prowadziła walkę o drastyczne cięcia w budżecie Centrum. Swe poglądy zmieniła radykalnie, kiedy Paul Hood, podczas pobytu w Niemczech, znalazł winnego śmierci jej córki, zamordowanej przed laty.

–W tej chwili pani senator jest naszym przyjacielem – oznajmił Hood. – Matt słusznie zauważył jednak, że jedna osoba to cel, dwie zaś to siła. Jeśli mamy wyjść na ring wymachując rękami, kogo jeszcze będziemy mieli w narożniku?

–Nikogo – uświadomiła go Martha. – Pięciu z ośmiu pozostałych członków komisji czekają w najbliższej przyszłości wybory, przewodniczący Landwehr zaś czuje się już jak wódz wyprawy krzyżowej. Każdy z nich zrobi co może, żeby wypaść jak najlepiej. Oznacza to ochronę podatnika poprzez ukaranie oszusta. Wybory nie czekają Boyda i Griffitha. A oni obaj zaprzyjaźnieni są z Larrym Rachlinem.

Hood skrzywił się. Dyrektor CIA, Rachlin, nie był przyjacielem Centrum. Dla niego

Centrum Rozwiązywania Sytuacji Kryzysowych było grupą, która zabrała mu sporo z jego zagranicznego biznesu... i to mając na etacie zaledwie siedemdziesięciu ośmiu pracowników. Tak więc Centrum mogło liczyć wyłącznie na Barbarę Fox. I trudno powiedzieć, w którą stronę obróci się pani Fox, jeśli nacisną na nią członkowie jej komisji oraz prasa. Naciski mogłyby spowodować nie tylko utwardzenie stanowiska, ale nawet zmianę nastawienia o sto osiemdziesiąt stopni.

–Słuchajcie, przytoczyliście doskonale argumenty na poparcie swych poglądów, ale jest też coś, czego po prostu nie możemy zignorować. Znaleźliśmy się w oku cyklonu, czy tego chcemy, czy nie. Wygląda mi na to, że powinniśmy przejść do ofensywy.

Matt wyraźnie się rozpogodził. Martha kręciła stopą. Palcami postukiwała w oparcie kanapy.

–Martha, jak dobrze znasz senatora Landwehra?

–Niezbyt dobrze. Spotkaliśmy się na paru kolacjach, bywaliśmy na tych samych przyjęciach. Jest spokojny, konserwatywny, dokładnie taki, jak go opisują w gazetach. Dlaczego pytasz?

–Jeśli pojawią się wezwania przed komisję, obejmą prawdopodobnie mnie, Mike'a Rodgersa i Matta. Jeśli jednak ty staniesz przed komisją jako pierwsza, być może zdołamy przejść do ataku.

–Ja? – zdumiała się Martha. – Bo nie ośmielą się zaatakować czarnej kobiety, tak?

–Nie. Jesteś jedyną z nas, która zajmowała się sprawą, ale nie prowadziła żadnych bezpośrednich negocjacji z NBR. Nie masz tam przyjaciół. W opinii komisji możesz więc zeznawać. Równie ważne jest, że w oczach publiczności będziesz najmniej stronniczym wyższym funkcjonariuszem Centrum.

Martha przestała kręcić stopą, przestała też stukać palcami po oparciu kanapy. Miała prawie pięćdziesiątkę i nie zamierzała dożyć emerytury w Centrum. Dobrowolne, obiektywne zeznania zwróciłyby na nią uwagę opinii publicznej. Takimi motywami kierowałyby się, stając przed komisją. Hood miał inne motywy – wiedział, że choć sprawa Centrum jest słuszną sprawą, przesłuchania przed komisjami Kongresu są także przedstawieniem. Jeśli odpowiednio wybrało się moment wejścia na scenę oraz aktorów, jeśli przeprowadziło się kilka prób, względnie łatwo było zmienić porażkę w zwycięstwo.

–I co miałabym tam powiedzieć?

–Prawdę – powiedział po prostu Paul. – I to w tej całej sprawie jest najlepsze. Powiesz komisji, że tak, owszem, od czasu do czasu, na bardzo krótki okres czasu monopolizowaliśmy środki NBR w sprawach dotyczących bezpieczeństwa narodowego. Powiesz im, że Steven Viens jest bohaterem, który pomagał nam, broniąc praw obywatelskich i ratując ludzkie życie. Senator Landwehr nie będzie w stanie zaatakować nas za mówienie prawdy. Jeśli on i senator Fox staną za nami, i przedstawią Viensa jako patriotę, komisja straci wiele ze swej atrakcyjności. Pozostanie sprawa zwrotu przekazanych pieniędzy, nudna jak flaki z olejem. Nawet CNN się nią nie zainteresuje.

Martha przez chwilę siedziała nieruchomo.

–Pomyślę o tym – powiedziała w końcu.

Paul miał wielką ochotę powiedzieć jej „Zrobisz to bez gadania”, ale zrezygnował.

Martha była rogatą duszą, należało obchodzić się z nią bardzo ostrożnie.

–Daj mi znać najpóźniej dziś po południu – powiedział więc tylko.

Martha Macall skinęła głową i wyszła.

Matt Stoll obrzucił Paula spojrzeniem pełnym szacunku.

–Dziękuję, szefie – powiedział. – Nie żartuję, naprawdę jestem ci strasznie wdzięczny.

Hood wypił ostatnie zimne krople kawy.

–Twój przyjaciel spieprzył sprawy tam, u siebie, wiesz o tym, prawda, Matt? Ale jeśli nie wspomóżę się człowieka, który był wiernym sojusznikiem, robi się świństwo.

Matt zrobił kóleczek z palca wskazującego i kciuka, podziękował szefowi raz jeszcze i wyszedł.

Znów pozostawiony sam sobie, Paul Hood przetarł oczy. W swej karierze zawodowej zdążył już być bankierem i burmistrzem wielkiego miasta. W jego wieku, mając czterdzieści trzy lata, ojciec Paula projektował ampułki dla firmy produkującej środki medyczne, był szczęśliwy, nieźle zarabiał i wracał do domu regularnie wpół do szóstej. Jakim cudem syn Bena Hooda dotarł do miejsca, w którym decydował o karierze ludzi, więcej, decydował o ich życiu i śmierci?

Paul, oczywiście, znał odpowiedź na to pytanie. Kochał rządową pracę i wierzył w system. Decydował, ponieważ był pewien, że potrafi podjąć decyzje inteligentne i oparte na ludzkich uczuciach. Boże, pomyślał, jednak to strasznie trudne.

W tym momencie przestał litować się nad sobą. Wstał, trzymając w ręku kubek i wyszedł z gabinetu po następną kawę.

· Poniedziałek, 15.53 – Sanliurfa, Turcja

Mary Rose Mohalley uruchomiła ostatni program diagnostyczny, sprawdzający systemy lokalne. Program zakłócacza w podczerwieni ALQ-157 wszedł i pracował dobrze. Nie było problemów z mierzącym dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów X-pozerem, zaprogramowanym do wykrywania mikroskopowych resztek nitrogliceryny, Semtexu, Detasheetu, TNT i innych materiałów wybuchowych. Sprawdziła jeszcze, czy akumulatory i ogniwa słoneczne CR pracują pełną parą. Pracowały. Dwadzieścia cztery akumulatory dostarczały energii jego systemom wewnętrznym. Cztery akumulatory napędzały silnik furgonetki w sytuacji braku paliwa. Z pozostałych czterech akumulatorów dwa były niskoenergetyczni akumulatorami gromadzącymi energię elektryczną, dwa zaś wysokoenergetycznymi akumulatorami napędowymi, wspólnie umożliwiały one furgonetce przejechanie blisko tysiąca trzystu kilometrów bez doładowywania. Wszystkie te niklowo-hybrydowe akumulatory mieściły się w dwóch pojemnikach o wymiarach półtora metra na trzydzieści sześć centymetrów, wbudowanych w podłogę. Ogniwa słoneczne zasilające klimatyzację także grały doskonale.

Dwudziestodziewięcioletnia Mary Rose wstała. Miała zamiar przespacerować się, rozprostować nogi, może także poopalać się przez kilka minut.

–Słuchaj – powiedział Mike Rodgers – mogłabyś może puścić OLM Matta, nim zrobisz cokolwiek innego?

–Oczywiście, chętnie – powiedziała, siląc się na wesołość. Jeszcze w Centrum psycholog, Liz Gordon, ostrzegła ją, że w towarzystwie Rodgersa jedyne ciepłe uczucie, jakie odbierze, będzie śladowym promieniowaniem z zabezpieczonego komputerowego monitora.

Po wydaniu polecenia podwładnej Rodgers przeciągnął się w milczeniu. Następnie powrócił do własnej listy czynności.

No i macie, pomyślała dziewczyna. Generał Rodgers właśnie zafundował sobie przerwę.

Spojrzała na monitor i rozpoczęła zabawę myszą. Program napisany przez Matta Stopa, nazywał się OLM, On-Line Mole. Choć oboje bardzo ciekawi byli jego działania, miał zostać zainstalowany w drugiej kolejności. Początek jego działania wyznaczono na szesnastą. Prośba generała Rodgersa równała się jednak rozkazowi.

Mary Rose przetarła oczy, które nie przestały od tego piec. Nadal dokuczała jej różnica czasów, poza tym była po prostu bardzo zmęczona.

Ba, ale generał Rodgers nie jest zdolny do odczuwania zmęczenia, powiedziała sobie.

Jeśli już się nad tym zastanowić, generał wydawał się raczej ożywiony. Siedział tyłem do niej, twarzą do rzędu monitorów, studiując widoczne na nich obrazy, nadawane przez satelity oraz informacje dotyczące aktywności mikrofalowej i poziomu smogu oraz alergenów w powietrzu. Gwałtowne nasilenie promieniowania mikrofalowego oznaczało skokowy wzrost liczby rozmów przez telefony komórkowe, częstokroć zapowiadający początki aktywności militarnej w regionie. Wyższy poziom

stężenia spalin i zanieczyszczeń informował o stopniu gotowości bojowej jednostek zmechanizowanych. Mary Rose zdumiała się niebotycznie, kiedy główny lekarz Centrum, Jerry Wheeler, powiedział jej, że większość armii nie ma wystarczających zapasów antyhistamin. Nawet najbardziej skomplikowana i skuteczna broń jest mało skuteczna w rękach zakatarzonych, zapłakanych żołnierzy.

Nie, generał Rodgers rzeczywiście nie odczuwał zmęczenia. Mary Rose nie miała wątpliwości, że z radością poświęcił się odczytywaniu danych. To przez niego nie miała przerwy od czasu krótkiego, piętnastominutowego lunchu. Generał właśnie zapoznawał się z metodami walki w wojnie przyszłości, wojny, nie prowadzonej już przez masy żołnierzy, lecz przez małe oddziały przeciw małym oddziałom, przez satelity przeciw komputerom i centrom telekomunikacyjnym. Przeciwnikami przyszłości nie będą bataliony, lecz grupki terrorystów uzbrojonych w broń chemiczną i biologiczną, atakujących cywilną ludność, zabijających i znikających. To zespoły w rodzaju załogi CR będą musiały zaplanować chirurgicznie precyzyjne uderzenia odwetowe, umożliwić elitarnym oddziałom w rodzaju iglicy dotarcie jak najbliżej mózgu przeciwnika i zniszczenie go, jeśli nie atakiem komandosów to pociskiem manewrującym, samochodem-pułapka, bombą ukrytą w telefonie komórkowym lub elektrycznej maszynie do golenia w nadziei, że gdy mózg przestanie działać, przestaną funkcjonować także ręce i nogi.

Mary Rose wiedziała, że w odróżnieniu od wielu „starych żołnierzy”, żalujących dawnych dobrych czasów, czterdziestoparoletni Rodgers wręcz kocha stawiać czoło wyzwaniom. Uwielbiał nowe pomysły i nowe zabawki tak, jak uwielbiał cytować stare aforyzmy. Dzisiaj, wczesnym rankiem, kiedy zajmowali miejsca w furgonetce, powiedział jej przecież z chłopięcym entuzjazmem: „Jak powiedział Samuel Johnson «Świat nie wyczerpał jeszcze swych cudów, niech jutro zobaczą coś, czego nie widziałem dzisiaj». Czegoś takiego właśnie oczekuję, Mary Rose”.

Instalacja i uruchomienie OLM zabrało jej nieco ponad piętnaście minut. Kiedy już załadowała i sprawdziła program, Rodgers kazał jej włamać się do komputera tureckich sił bezpieczeństwa. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o pułkowniku Nejacie Sedenie, tym, który miał z nimi współpracować. Powiedział, że Seden będzie ich także obserwował i tego samego spodziewa się po Amerykanach. Tak właśnie pracowało coś, co nazywał „systemem obserwacji,.. Błędne koło szpiegostwa. Sam Rodgers szpiegował Turków i Syryjczyków, Izrael prawdopodobnie szpiegował i jednych, i drugich, podczas gdy CIA szpiegowała ich wszystkich. Rodgers stwierdził, że po prostu wypada, by Turcy włączyli się w tę pętlę szpiegostwa.

Mary Rose podejrzewała jednak, że w jego prośbie było coś więcej niż polityka. Generał lubił także wiedzieć, z jakiego kalibru człowiekiem będzie miał do czynienia. Siedząc obok niego w fotelu samolotu transportowego C-141A, którym przylecieli do Turcji, Mary Rose dowiedziała się między innymi, że jest coś, czego generał Mike Rodgers nienawidzi przede wszystkim.

Generał nienawidził, kiedy otaczający go ludzie nie byli tak jak on oddani pracy.

Mary Rose niespokojnie poruszyła się w krześle, wpisując polecenia. Ponieważ krzesła na kółkach wydają bardzo charakterystyczny dźwięk, te, w które wyposażone

było CR, zostały na stałe przytwierdzone do podłogi. Główny inżynier Centrum, mający dyplom Yale, powiedział podczas projektowania CR „Kółka to prezent dla podsłuchiowcy. Z pewnością zdziwią się, słysząc dźwięki wyposażenia biurowego dobiegające z furgonetki przeznaczonej do badań archeologicznych, prawda?”

Mary Rose dobrze go rozumiała, ale nie poprawiało to sytuacji i aluminiowe krzesła pozostały tak niewygodne, jak były. Poza tym dziewczyna czuła się nie najlepiej z powodu braku słońca. Tylne okna furgonetki zostały przyciemnione, jej część przednią od tylnej oddzielała wyłożona ołowiem ściana z jednym wąskim, pozbawionym drzwi przejściem pośrodku. Matt Stoll nalegał na podjęcie tego środka ostrożności. Wielu współczesnych szpiegów wyposażonych było w „zestaw detekcyjny”, czyli „DeteKit”. Te przenośne odbiorniki z idealną dokładnością „czytały” promieniowanie elektromagnetyczne z komputerowych monitorów, umożliwiając odczytanie tego, co pojawia się na monitorze z zewnątrz i to ze sporej odległości.

Może powinnam zaciągnąć się do Iglicy, pomyślała. Ćwiczyć, uprawiać sporty, wspinać się po skałkach i pływać w Akademii FBI w Quantico. Opalić się trochę. Nakopać po tyłku temu i owemu. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że w dni wolne od pracy opalała się, a poza tym uwielbiała komputery i najnowsze zdobycze techniki.

Więc przestań narzekać i zabierz się za programowanie, młoda damo.

Młoda dama miała długie, śliczne, kasztanowate włosy, związane w koński ogon tak, by podczas pracy nie opadały na klawiaturę. Zacisnęła usta łącząc się modemem z komputerem tureckich sił bezpieczeństwa w ich kwaterze głównej w Ankarze i podrzucając im OLM. OLM, niczym doskonały szpieg, zrobił sobie miejsce, ładując absolutnie legalny program do komputera tureckich sił bezpieczeństwa.

–Szybciej, kochany – prawie krzyknęła. Rozluźniła się wyraźnie i nie zaciskała już warg aż tak mocno.

Mike Rodgers roześmiał się.

–Zupełnie jakbyś kibicowała któremuś z kłusaków ojca – powiedział.

Ojciec Mary Rose, William R. Mohalley, był wydawcą pisma ilustrowanego oraz właścicielem kilkunastu najlepszych koni zaprzęgowych na Long Island. Miał nadzieję, że córka będzie dla niego powozić, ale kiedy Mary Rose w wieku lat szesnastu dorosła do metra siedemdziesięciu siedmiu, jego nadzieje rozwiały się jak dym. Mary Rose nie zrobiło to najmniejszej różnicy. Uwielbiała jeździć konno, ale nie pragnęła zarabiać w ten sposób na życie.

–Mam wrażenie, jakby to był wyścig – powiedziała.

Przyjmując nazwę „pożyczonego” pliku, OLM wślizgnął się do systemu. Znalazłszy się w systemie, po znalezieniu poszukiwanej informacji i skopiowaniu jej, rzucił pożyczoną skórę i wycofał się. Zastąpiony przezeń tymczasowo program powracał bit za bit, jeden bit OLM wycofywał się, jeden bit oryginału wracał, tak że nie następowała żadna zmiana dostępnej pamięci. Cała ta procedura zajęła niespełna dwie minuty. Jeśli podczas operacji ktoś chciał uruchomić program, którym OLM stał się czasowo, twór Matta szybko go podładowywał i albo wcielał się w inny program, albo zawieszał operowanie. OLM był znacznie bardziej skomplikowany niż

agresywne, „fizyczne” programy, stosowane przez większość hackerów. Zamiast bombardować odwiedzany komputer hasłami wybranymi na chybił trafił, co mogło zabrać godziny, a nawet dni, OLM badał bezpośrednio fragment pamięci zwany „kubłem”, znajdując w nim wykorzystane hasła. Nie zauważony przez „śmietnikowe” systemy znajdował na ogół powtarzające się ciągi znaków, dające mu dostęp do działających programów. W dziewięciu procentach przypadków nie znajdował jednak niczego użytecznego. Jeśli tak się zdarzyło, przestawiał się na tryb poszukiwania. Wielu ludzi jako hasła używa dat urodzin albo tytułów ulubionych filmów, podobnie zresztą jak na tablicach rejestracyjnych amerykańskich samochodów. OLM w bardzo szybkim tempie wypróbował ciągi opracowane z wydarzeń po 1970 roku, bowiem większość użytkowników komputerów urodziła się po tej dacie, tysiące imion (wraz z imieniem Elvis, oczywiście), tytuły filmów (łącznie z „2001”, „Star Trek” i „007”). W ośmiu procentach znajdował właściwe hasło w ciągu pięciu minut. Rozwiązanie „siłowe” stosował tylko w jednym procencie przypadków.

Twarz Mary Rose rozjaśniła się, kiedy na ekran wyskoczyły akta pułkownika Sedena, wyciągnięte z komputerowego „kubła”.

–Mam je, generale – powiedziała.

Mike Rodgers przesunął się w lewo. Na małej przestrzeni trudno mu było wstać z krzesła, nie mógł również wyprostować się pod niskim sufitem. Stał nad stanowiskiem Mary Rose z pochyloną głową, brodą dotknął jej włosów i cofnął się szybko. Wolałaby, żeby się nie cofał. Przez jedną krótką chwilę generał był po prostu mężczyzną, ona zaś kobietą. Chwila ta okazała się niezwykła i podniecająca.

Mary Rose wróciła do dossier Sedena.

Trzydziestosześcioletni pułkownik okazał się wschodzącą gwiazdą tureckich sił bezpieczeństwa. W wieku siedemnastu lat wstąpił do żandarmerii, *Jandarma*. Był wówczas o dwa lata starszy od większości rekrutów. W kawiarni podsłuchiwał trzech Kurdów, planujących zatrucie przeznaczonego do Europy ładunku tytoniu. Poszedł za nimi i aresztował ich samodzielnie. Dwa tygodnie później zaoferowano mu pracę w siłach bezpieczeństwa. W aktach znajdowała się utajniona notatka od dowódcy Sedena. Generał Sulejman wyrażał w niej opinię, że aresztowanie Kurdów było „aż za dobre”. Po rodzinie matki Seden miał w żyłach domieszkę kurdyjskiej krwi, generał obawiał się, że Kurdowie podsunęli im „śpiocha” celem infiltracji sił bezpieczeństwa. Późniejsze postępowanie Sedena nie usprawiedliwiło jednak tych podejrzeń. Wydawał się być całkowicie oddany krajowi i służbie.

–Oczywiście, że nie będzie się narażał – mruknął Rodgers, kiedy sam przeczytał notatkę. – Takiego szpiega nie umieszcza się w strukturach bezpieczeństwa, żeby zaraz szpiegował. Czekaj się.

–Na co?

–Na jedną z dwóch rzeczy. Albo na kryzys, kiedy informacje są rozpaczliwie potrzebne, albo na to, by szpieg dotarł na szczyty hierarchii, otrzymując dostęp do wszelkich tajnych materiałów. Na tym poziomie agent może wprowadzić do struktur innych agentów. Niemcy często postępowali w ten sposób podczas II wojny światowej. Znajdowali sympatyka w sferach brytyjskiej arystokracji, który polecał

lordom, oficerom czy pracownikom rządowym służbę, szoferów i tak dalej. Ci ludzie byli, oczywiście, niemieckimi agentami. Szpiegowali pracodawców przekazując informacje mleczarzom, listonoszom i tak dalej – tym kupionym, oczywiście, przez Niemców.

–No, no... Tego nie uczono mnie na zajęciach komputerowych i wykładach o technikach światłowodowych – powiedziała Mary Rose.

–Nie mówi się o tym nawet na większości wykładów z historii – powiedział z ubolewaniem generał. – Zbyt wielu historyków boi się obrazić Amerykanów pochodzenia niemieckiego, Amerykanów pochodzenia brytyjskiego i w ogóle Amerykanów jakiegoś tam pochodzenia, którzy, oczywiście, czują się zranieni do głębi duszy, kiedy powie się coś nie tak.

Dziewczyna skinęła głową.

–Czyli ten Seden z całą pewnością związany jest z Kurdami zawyrokowała.

–Ależ skąd! Tureckie statystyki wykazują, że zaledwie jedna trzecia Kurdów sympatyzuje z kurdyjskimi ruchami nacjonalistycznymi, reszta jest lojalna wobec rządu. Po prostu pokażemy mu tylko to, co absolutnie musimy pokazać.

Rozmawiając przeglądali dossier. Seden był kawalerem. Miał owdowiałą matkę, mieszkającą w Ankarze i niezamężną siostrę, która mieszkała z matką. Ojciec był niciarzem, zginął w wypadku na budowie, kiedy jego syn miał dziewięć lat. Pułkownik chodził do świeckiej szkoły w Stambule, uczył się dobrze, jednocześnie trenując podnoszenie ciężarów. Należał nawet do tureckiej ekipy olimpijskiej. Potem rzucił szkołę i wstąpił do *Jandarma*.

–Żadnych prawdziwych związków rodzinnych – stwierdził Rodgers. – Cóż, w dzisiejszych czasach niewiele to znaczy. Fikcyjne małżeństwa między szpiegami to stosunkowo nowa sprawa. Jeśli szuka się szpiega, zwraca się uwagę przede wszystkim na ludzi samotnych.

Mary Rose zamknęła plik.

–W takim razie gdzie stoimy z panem pułkownikiem? – spytała.

–Na gruncie wiedzy – odparł Rodgers.

–Wiedzy? I to wszystko?

–Wszystko. Nigdy nie wiadomo, kiedy przydadzą się informacje. – Rodgers uśmiechnął się szeroko. – Może zrobiłabyś sobie teraz przerwę? Do roboty wrócimy, kiedy pułkownik...

Przerwał. Jeden z komputerów zaczął popiskiwać – cicho, lecz nagłaco. Dwa sygnały na sekundę, sekundowa przerwa, jeden sygnał na sekundę, sekundowa przerwa i od nowa.

–ABA – powiedziała Mary Rose. Gwałtownie pochyliła głowę i spojrzała przez ramię siedzącego generała.

ABA, Air Border Alarm, czyli Powietrzny Alarm Graniczny, był zaawansowanym systemem radarowo-satelitarnym, monitorującym ruch powietrzny w obrębie państwa lub jego części. Na ekran można było wywołać dokładną trójwymiarową mapę, pokazującą personelowi CR, jak szybko i wysoko leci dana maszyna. Obserwacja promieniowania cieplnego z satelity dodatkowo informowała o

prędkości. Samoloty rozpoznawcze latały zazwyczaj wyżej i wolniej niż maszyny bojowe. ABA używał także cyfrowego szablonu kraju lub prowincji celem określenia, kiedy samolot znajduje się o kilometr od granicy. Właśnie naruszenie tej przestrzeni spowodowało alarm.

Lecąca nisko i szybko jednostka, kierująca się w stronę granicy, uważana była za wroga. Alarm odzywał się po jej namierzeniu.

–Leci prawie dokładnie na północ – powiedział Rodgers. Szybkość i wysokość wskazują na helikopter. – W jego głosie brzmiał niepokój, lecz i podniecenie. CR bezbłędnie wykonywało swoje zadanie.

Mary Rose przykucnęła przy konsoli, po jego lewej ręce.

–Zaskoczyło pana, że jest sam? – zainteresowała się.

–Patrole graniczne na ogół prowadzone są w pojedynkę. Ale ten leci za szybko jak na zwykły patrol. Leci dokądś.

Dziewczyna wcisnęła przycisk automatycznego strojenia. Antena, ukryta w kopulastym, ciemnym szklanym dachu furgonetki, obróciła się natychmiast w stronę celu ABA. Przysłuchiwała się rozmowom w eterze. Komputer zaprojektowany został na setki języków i dialektów. Czyszcząc cyfrowo zakłócenia prezentował na monitorze przekład komunikatu w czasie rzeczywistym.

...znalazłeś?

Helikopter nie odpowiedział.

–Powtarzam, Madrin Jeden. Co znalazłeś na przejściu?

Żadnej odpowiedzi.

–To helikopter z tureckiej bazy w Madrin. – Rodgers uderzył w klawiaturę, wywołując dane o bazie. – Co my tam mamy? Dwa helikoptery typu Hughes 500D, jeden samolot *Piper Cub*. - Zerknął na wskaźnik prędkości ABA. – Ten leci trzysta piętnaście kilometrów na godzinę. Całkiem nieźle pasuje do pięćsetki.

–Więc co to takiego? Pilot się zgubił?

–Nie sądzę. Wygląda na to, że maszynę wysłano na rekonesans i pilot nie zgłosił się z meldunkiem. Gdyby się zgubił, nie leciałby z maksymalną szybkością. I nie ucieka z kraju, leci w głąb Turcji.

–Może ma uszkodzone radio?

–Być może. Z drugiej strony, leci z maksymalną prędkością. Ci goście gdzieś się śpieszą.

Uderzając klawisze palcami wskazującymi, Rodgers spytał komputer o urządzenia wojskowe w południowo-wschodniej części wschodniej Anatolii. W odróżnieniu od większości terytorium Turcji, na które składały się góry i pustynie, Anatolia była głównie płaskowyżem z kilkoma pasmami niewysokich wzgórz.

Na ekranie niemal natychmiast pojawiło się czerwone X. Żadnych instalacji.

–Dobra, wiemy, że nie lecą na lotnisko awaryjne – skonstatował Rodgers.

Przez równy szum klimatyzacji Mary Rose usłyszała dobiegający z zewnątrz, zbliżający się dźwięk silnika. Nie odrywała wzroku od monitora, odczytując z niego transkrypcję kierowanych do helikoptera rozmów.

–...poza zasięgiem radaru. Nie odbieramy twego sygnału. Czy masz problemy?

Dlaczego nie odpowiadasz?

–Może ktoś nielegalnie przekroczył granicę i teraz go ścigają? – zasugerowała Mary Rose.

–Więc czemu nie zgłaszają się do bazy? – Rodgers pokręcił głową. – Nie, coś mi tu nie gra. Poinformuję tureckie siły bezpieczeństwa. Zobaczymy, co powiedzą.

–Nie sądzi pan, że jeśli rzeczywiście coś się stało, to już zostały poinformowane?

–Raczej wręcz przeciwnie. W tym kraju rywalizacje między instytucjami rządowymi sprawiają, że waszyngtońskie przepychanki wyglądają jak bal Anonimowych Alkoholików. Niewiele ustępują walkom między fanatykami religijnymi.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mary Rose pochyliła się, obróciła klamkę i wyjrzała. Zobaczyła szeregowego Pupshawa.

–Tak?

–Pułkownik Nejat Seden chce spotkać się z generałem Rodgersem – zameldował potężnie zbudowany żołnierz.

–Wpuść go.

–Tak jest!

Szeregowy odsunął się. Mary Rose otworzyła drzwi. Uśmiechnęła się miło do wchodzącego mężczyzny. Pułkownik był potężnie zbudowany, miał starannie przycięte wąsiki oraz najgłębsze, najczarniejsze oczy, jakie dziewczyna widziała kiedykolwiek. Wilgotne, kręcone ciemne włosy przylegały mu do czaszki. Prawdopodobnie od motocyklowego kasku, pomyślała.

Pułkownik uzbrojony był w czterdziestkępiątkę, którą nosił w kaburze przy pasku. Seden odpowiedział jej uśmiechem. Skłonił głowę.

–Dzień dobry pani – powiedział. Mówił z akcentem, wydłużając samogłoski i skracając spółgłoski, na wzór swego ojczystego języka.

–Dzień dobry – odparła dziewczyna. Ostrzeżono ją, że Turcy, nawet wykształceni, będą ją traktować co najwyżej uprzejmie. Choć Turcja dawno temu przyznała kobietom równe prawa, równość ta była dla wychowanych w islamie mężczyzn czymś wyłącznie teoretycznym. Psycholog Centrum, Liz Gordon, ostrzegła ją: „Koran nakazuje kobietom zawsze przykrywać głowy, ramiona i nogi. Kobiety, które nie stosują się do jego nakazów, uważane są za grzesznice”. A jednak ten mężczyzna ciepło się do niej uśmiechnął. Najwyraźniej nie brakowało mu sympatycznego, naturalnego uroku.

Pułkownik Seden zasalutował generałowi Rodgersowi. Kiedy Rodgers oddał mu honory, podszedł do niego i wręczył mu schludnie złożoną żółtą kartkę papieru.

–Oto moje rozkazy, panie generale – zameldował.

Rodgers rzucił na nie okiem i niemal natychmiast obrócił się ku monitorom.

–Przyjechał pan we właściwej chwili – powiedział. – Mamy na ekranie jeden z waszych helikopterów, o tu. – Wskazał na czerwony obiekt mknący po przesuwającej się zielonej siatce.

–Dziwne – zainteresował się Seden. – Helikoptery wojskowe latają na ogół w parach. Ze względów bezpieczeństwa. Wie pan może, z jakiej jest bazy?

–Z Madrin.

–A, patrol graniczny.

–Baza nie może nawiązać z nim łączności. Jakie uzbrojenie mają te maszyny?

–Najczęściej karabin maszynowy i zamontowane z boku działko obrotowe, panie generale. Typowe działko ma kaliber dwadzieścia milimetrów i magazynek na sto pięćdziesiąt nabojów.

–A właściwie, gdzie on się tak śpieszy? – spytała Mary Rose.

–Nie wiem. – Pułkownik Seden nie odrywał wzroku od ekranu. – Tam, gdzie leci, nie ma żadnych instalacji wojskowych, są tylko rozrzucone, małe wioski pozbawione znaczenia strategicznego.

–Może został porwany? Może ktoś chce go ukryć, nim maszyna zostanie zauważona, a potem użyć... no, do jakichś celów.

–Niezbyt prawdopodobne, proszę pani. Łatwiej już kupić helikopter w Indiach albo Rosji i przemieścić do kraju w częściach.

–W częściach?

–Statkami, powietrzem lub lądem, wśród, na przykład, niewinnych maszyn. Nie jest to takie trudne, jakby się mogło zdawać.

–A poza tym – wtrącił Rodgers – tureckie siły powietrzne z pewnością go szukają.

–Ale nie tam, tylko wzdłuż wyznaczonej trasy patrolowej stwierdził pułkownik.

–Przecież go znaleźliśmy. Inne radary też z pewnością go zauważą. I to szybko.

–Z całą pewnością temu, kto leci tym helikopterem, nie robi to różnicy. Planuje użyć go natychmiast – powiedział Rodgers. Pułkownikowi, czy chce pan poinformować siły powietrzne, gdzie znajduje się maszyna?

–Za chwilę. Wolę ich raczej poinformować, dokąd leci, niż gdzie jej nie będzie, kiedy się pojawią.

Mary Rose spojrzała na niego spod oka, zaskoczona. Mike Rodgers również. Z wyrazu jego twarzy odczytała, że zadaje sobie to samo pytanie, co ona: „Czy Sedenowi zależy na zebraniu informacji, czy na opóźnieniu akcji?”

Pułkownik tymczasem uważnie obserwował mapę, po której poruszała się czerwona plamka.

–Czy mogę zobaczyć większy wycinek terenu? – spytał. Rodgers skinął głową. Uderzył w klawisze i na monitorze pojawiła się mapa w mniejszej skali. Helikopter był teraz małą czerwoną kropką.

Seden obserwował go jeszcze przez chwilę.

–Generale, jeśli wolno spytać... czy zna pan zasięg tego typu maszyn?

–Okolo sześciuset pięćdziesięciu kilometrów, w zależności od ładunku. O czym pan myśli?

–Jedynym celem, jaki przychodzi mi do głowy, są tamy na Firat Nehri... rzece, którą wy nazywacie Eufratem. – Wskazał rzekę na mapie. Przesunął wzdłuż niej palcem, na południe, przez Turcję do Syrii. – Tama Keban, tama Karakaya i tama Atatürk. Ma w zasięgu je wszystkie.

–Dlaczego ktoś miałby je atakować? – zdumiała się Mary Rose.

–To bardzo dawny konflikt – odparł Seden. – Prawo islamu nazywa wodę „źródłem życia”. Narody mogą walczyć o ropę, ale ropa to drobiazg. To woda

wzburza krew... a czasami prowadzi do jej rozlewu.

–Moi przyjaciele z NATO poinformowali mnie, że tamy z projektu „Wspanialsza Anatolia” stały się już przyczyną konfliktów powiedział Rodgers. – Umożliwiły Turcji kontrolę nad wodą wpływającą do Syrii i Iraku. I, jeśli się nie mylę, pułkownikowi Seden, Turcja rozpoczęła teraz prace irygacyjne w południowo-wschodniej Anatolii, które doprowadzą do jeszcze większej redukcji dopływu wody do tych krajów.

–Zgadza się. Czterdzieści procent mniej wody dotrze do Syrii, sześćdziesiąt procent mniej do Iraku.

–Więc jakaś grupa, może Syryjczycy, może Irakijczycy, porwała turecki helikopter. Ci ludzie trzymają wojsko w niepewności co do tego, czy helikopter rzeczywiście został skradziony. Będą trzymać je w niepewności wystarczająco długo, by zaatakować cel, który sobie wyznaczyli.

–Ataturk to największa tama na Bliskim Wschodzie, jedna z największych na świecie, panie generale – powiedział Seden z wielką powagą. – Czy mogę skorzystać z telefonu?

–Tu jest telefon. – Rodgers wskazał komputer, stojący przy ścianie furgonetki. – I niech pan się lepiej pośpieszy. Od pierwszej z tam helikopter dzieli najwyżej pół godziny lotu.

Seden obszedł Mary Rose. Podszedł do telefonu komórkowego, wiszącego z boku monitora i podłączonego bezpośrednio do łącza satelitarnego CR. Wystukał numer. Mówił cicho po turecku, odwracając się plecami do Amerykanów.

Mary Rose i Mike Rodgers wymienili spojrzenia. Kiedy Seden odwrócił się całkowicie, Rodgers wystukał komendę, po czym spokojnie obserwował pojawiające się na monitorze tłumaczenie rozmowy pułkownika.

· Poniedziałek, 16.25 – Halfeti, Turcja

Tama Ataturk na Eufracie nazwana została od imienia Kemala Ataturka, legendarnego tureckiego polityka i przywódcy. Rozejm, kończący I wojnę światową, zakończył sześć wieków rządów tureckiej dynastii Osmanów. Ponieważ jednak Turcja sprzymierzyła się z Niemcami, które wojnę przegrały, Grecy i Brytyjczycy pozwolili sobie na zajęcie sporych fragmentów jej terytorium. Oczywiście Turkom to się nie podobało i w 1922 roku ich armia pod dowództwem Kemala wygnała okupantów. W 1923 roku podpisany został traktat lozański, w wyniku którego powstała Republika Turecka.

Ataturk ustanowił republikę jako państwo demokratyczne, a nie sułtanat. Wprowadził wzorowany na szwajcarskim system prawny, zastępując nim *szariat*, czyli prawo koraniczne. Turcja przyjęła także kalendarz gregoriański w miejsce islamskiego. Kemal Ataturk zakazał noszenia turbanów i fezów, ich miejsce zajęły stroje typu europejskiego. Fundował świeckie szkoły, a język turecki dostosowany został do alfabetu łacińskiego, a nie arabskiego.

Rezultatem tak dogłębnych zmian w tureckim społeczeństwie była pogłębiająca się frustracja większości wierzących muzułmanów.

Jak wszyscy Turcy, pięćdziesięciodwuletni Mustafa Mehid znał życie i legendę Ataturka. Mustafy nie obchodził jednak Ojciec Turków. Jako zastępca głównego inżyniera tamy, zajmował się głównie pilnowaniem, by nie bawiły się na niej dzieci.

W odróżnieniu od majestatycznych, wysokich tam grawitacyjnych i ogromnych tam łukowych, tamy bulwarowe są długie, szerokie i względnie niskie. Pod wodą zbiornika kryje się ściana górna, wznosząca się do szczytu jak ściana piramidy. Szczyt tamy stanowi wąska droga. Przeciwległa, dolna ściana jest najczęściej wycięta w schodki. W połowie wysokości znajduje się ława, na której spoczywa górna kamienna część tamy. Warstwa drenu znajduje się w połowie wysokości między ławą a dolną częścią ściany. Kiedy taką tamę ogląda się z boku, przypomina ona z jednej strony wyższe, a z drugiej niższe W. Jądrzem tamy bulwarowej jest gruba warstwa gliny i piasku. Otacza ją warstwa kamienia.

Wielkie tamy bulwarowe wytrzymują na ogół nacisk do pięćdziesięciu milionów metrów sześciennych wody. Tama Ataturk wytrzymywała nacisk osiemdziesięciu pięciu milionów metrów sześciennych wody. Mustafie wcale to jednak nie przeszkadzało. Większości wody w zbiorniku po prostu nie widział, znikła mu z pola widzenia wśród sztucznych konstrukcji, zmniejszających jej ciśnienie. Zbiornik kończył się prawie poza zasięgiem wzroku.

Dwa razy dziennie, o jedenastej rano i czwartej po południu, Mustafa pozostawiał dwóch współpracowników w niewielkiej sali kontroli u podstawy tamy i wychodził szukać dzieciaków. Zwykle o tej porze przychodziły poskakać sobie do chłodnej wody.

–Przecież wiemy, że tu można skakać bez strachu – powtarzały zawsze. – Pod wodą nie ma kamieni i pni drzew, *dost*

Zawsze mówili mu *dost*, przyjacielu, Mustafa podejrzewał jednak, że się z niego

wyśmiewają. Ale gdyby nawet były szczere, po prostu nie mógł pozwolić im popływać. Gdyby pozwolił, na tamie wkrótce zaroiłoby się o dzieciaków. Za nimi pojawiliby się turyści i wkrótce tama obciążona zostałaby masą większą, niż przewidywali konstruktorzy.

–A potem zawaleniem się tamy i zalaniem południowoschodniej Anatolii obciążono by, oczywiście, Mustafę Mecida powiedział Mustafa, głaszcząc się po gęstej kasztanowatej brodzie.

Pięćdziesięciopięcioletni Turek radował się z tego, że ma dwie dorosłe córki. Chłopcy są tacy kłopotliwi. Obserwował- dzieci siostry i zupełnie nie miał pojęcia, jak radzi sobie z nimi ich matka. Ojciec Mustafy musiał posłać syna do armii, kiedy chłopak skończył szesnaście lat, bo zawsze pakował się w kłopoty, i z nauczycielami, i z sąsiadami, i z pracodawcami. Nawet kiedy Mustafa służył w wojsku – na granicy greckiej, niedaleko zatoki Saros utrudnił życie przemytnikom bardziej niż jakikolwiek turecki żołnierz od czasu jego dostojności Ataturka. A kiedy się ożenił, biedna żona prawie nie mogła z nim wytrzymać. Kilkakrotnie skarżyła się, że jej mąż ma brata-bliźniaka, który o północy wślizguje się do jej łóżka.

Mustafa obrócił twarz ku niebu.

–O Panie – powiedział – moim zdaniem stworzyłeś tureckich mężczyzn z tego samego powodu, dla którego stworzyłeś szerszenie. Żeby przenosili się z miejsca na miejsce i pracowali, a pracując, żeby drażnili innych i zmuszali ich do aktywności. – Uśmiechnął się promiennie, dumny z tego, że jest mężczyzną i Turkiem.

Szedł szybko, ciężkie buty chrzęściły na żwirze chodnika na szczycie tamy. Chodnik ten wysypany był żwirem, żeby odstraszyć latające na bosaka dzieciaki – wymyślił to jakiś uniwersytecki inżynier, którego stopy nie miały okazji stwardnieć od biegania na bosaka. Prawe biodro obijał mu przyczepiony do paska radiotelefon. Spod daszka trawiastozielonej czapki patrzył na północ, na zbiornik. Oddychał głęboko, twarz owiewał mu ciepły wiatr. Potem spojrzął w dół, na fale łagodnie obmywające tamę. Lustro czystej wody – co za kojący widok. Przystanął na chwilę, rozkoszując się samotnością.

Nagle z południa dobiegł go dźwięk przypominający ryk silnika motocyklowego. Obrócił się i spojrzął w tamtym kierunku. Z gruntowych dróg, wijących się wśród otaczających tamę wzgórz, nie unosił się kurz, a jednak dźwięk stawał się coraz głośniejszy.

Po chwili Mustafa usłyszał charakterystyczny łopot wirnika helikoptera. Naciągnął czapkę niżej na oczy i popatrzył w niebo. Niedzielni piloci regularnie latali nad tamą, a ostatnio pojawiało się coraz więcej helikopterów. Kurdyjscy terroryści wzmogli aktywność wokół jeziora Van i znajdującej się na wschodzie góry Ararat, na granicy z Iranem. Z radiowych meldunków wynikało, że armia obserwuje ich z powietrza i czasem nawet atakuje.

Tuż nad wierzchołkami drzew Mustafa dostrzegł mały czarny helikopter. Przed chwilę widział dolną część jego kadłuba, potem przód – helikopter kierował się wprost na niego. Leciał nisko, od podmuchu poruszały się gałęzie drzew.

I jeszcze obniżył lot. Słońce odbiło się od czarnej owiewki, oślepiając inżyniera.

Dźwięk silnika stawał się coraz głośniejszy.

–Co oni wyprawiają? – powiedział głośno Mustafa.

Odzyskał wzrok i zobaczył, co wyprawiają, nic jednak nie mógł na to poradzić.

Helikopter wyleciał już spomiędzy drzew i leciał teraz celując w środek tamy.

Mustafa dostrzegł strzelca, mierzącego wprost w niego. Znajdujące się po stronie pilota obrotowe działko skierowane było niżej.

–Zwariowali, cholera! – krzyknął. Najszybciej jak potrafił pobiegł drogą, którą przyszedł. Helikopter znajdował się niespełna dwieście metrów od niego i leciał szybko. Mustafa czuł celujący w niego karabin maszynowy tak, jak zahartowani w bojach żołnierze czują wycelowaną w nich broń. Bóg przemawiał mu do ucha.

Rzucił się nieoczekiwanie w prawo, do wody. Już skacząc usłyszał wyrok śmierci – strzelający karabin maszynowy. Podciągając kolana, walcząc ze sznurowadłami, dziękował Bogu za to, że postanowił do niego przemówić.

Walczył ze sznurówkami, póki nie rozboleły go płuca. Oczy miał otwarte, widział bąble powietrza od pocisków, które przeszywały wodę wokół niego. Kilka przeleciało bardzo blisko i Mustafa dał sobie spokój z butami. Podpłynął do ściany tamy, wbił palce w szczeliny między kamieniami i powoli wspinał się ku powierzchni. Zatrzymał się tuż pod nią, przyciskając się brzuchem do tamy. Helikopter zanurkował, huk wystrzałów był doskonale słyszalny. Tama drżała, ale przynajmniej poczuł się bezpiecznie. Ciekawe, jak radzą sobie jego współpracownicy. Do nich chyba nie strzelano, miał nadzieję, że są bezpieczni. Miał także nadzieję, że załoga helikoptera nie wykona drugiego nalotu. Nie wiedział, czego chcą dokonać ci ludzie, ale zaczął obawiać się o tamę.

Nie wytrzyma dłużej bez powietrza. Wysunął na powierzchnię same usta.

Zaczerpnął oddechu... i jego oddech natychmiast wyparty został z płuc przez coś, co mocno uderzyło go w brzuch.

· Poniedziałek, 16.35 – Sanliurfa, Turcja

Mike Rodgers zaczął powątpiewać, czy atak w ogóle nastąpi.

Napaść przy użyciu melonów i nawozu była prawdopodobnie fikcją, wymyśloną przez tureckie siły bezpieczeństwa. Szósty zmysł Rodgersa podpowiadał mu, że siły bezpieczeństwa wymyśliły rozróbę, by umieścić w CR obserwatora w osobie pułkownika Seden. Nie to, by Seden był podejrzany. Poprosił kwaterę główną o powietrzne poszukiwanie helikoptera. Jego prośba poszła drogą służbową i tureckie lotnictwo przygotowywało parę myśliwców F-4 *Phantom* do startu z bazy na wschód od Ankary. Rozmowa, którą streścił Rodgersowi, była w całkowitej zgodności z tłumaczeniem, widniejącym na monitorze komputera.

Oczywiście, może to być tylko pułapka, pomyślał Rodgers z naturalną u oficera wywiadu podejrzliwością. Tureckie siły bezpieczeństwa mogły po prostu sprawdzać, w jaki sposób najlepszy na świecie sprzęt wywiadowczy CR wykryje helikopter i *Phantomy*. Być może przekażą otrzymane dane wywiadowi Izraela, z którym mają umowę o współpracy. W zamian za wzajemną pomoc marynarek obu krajów i udoskonalanie starzejących się tureckich myśliwców, Izraelczycy wynegocjowali dostęp do tureckiej przestrzeni powietrznej i danych wywiadu. Znając możliwości CR Izraelczycy mogą zakazać Centrum Regionalnemu wjazdu na swe terytorium lub, przeciwnie, mogą naciskać na zyskanie do niego dostępu. W każdym wypadku najpierw jednak. musieliby wiedzieć, co CR tak naprawdę potrafi.

Nic z tych spekulacji nie było w stanie zmienić trybu pracy Mike'a Rodgersa. Raczej wręcz przeciwnie. CR nie pokazało niczego, czego nie powinno się pokazywać Sedenowi. Generał zdążył już wymazać przekład jego rozmowy z kwaterą główną sił bezpieczeństwa, a program włamujący się do bezpiecznych baz danych zakończył działanie przed przyjazdem pułkownika. Reprezentowane przez CR możliwości szpiegostwa elektronicznego były rzeczywiście wielkie, ale w tym wypadku trudno było mówić o jakimkolwiek przełomie. W rzeczywistości Rodgersa ucieszyłoby, gdyby pułkownik Seden złożył swym przełożonym raport o tym, że amerykański sprzęt jest wprawdzie doskonały, ale przecież nie rewolucyjny. Ułatwiłoby to jego późniejsze działanie w Turcji, oraz wprowadzenie go do innych krajów członkowskich NATO. Zgodnie z tym, co generał powiedział Mary Rose, kiedy czekali na przyjazd Seden, pełne informacje umożliwiają dowódcy podjęcie właściwych decyzji wywiadowczych, militarnych i dyplomatycznych. Mając pełne informacje dowódca jest w stanie wmówić co trzeba nie tylko przyjacielowi, lecz nawet wrogowi.

Czekali teraz na meldunki *Phantomów*. Pułkownikowi Sedenowi zaproponowano zajęcie miejsca na względnie wygodnym fotelu pasażera, odmówił jednak uprzejmie. Stał pod ścianą, zabijając czas wyglądaniami przez okno. Od czasu do czasu podchodził do monitora, śledząc na nim postępy helikoptera. Rodgers zauważył, że nie sprawia już wrażenia człowieka, który czuje się niepewnie, bo przypadkiem trafił w jakieś obce miejsce. Jego oczy błyszczą autentycznym zainteresowaniem.

Czy to dlatego, że jest lojalnym Turkiem, czy dlatego, że nim nie jest? – zastanawiał się Rodgers.

Ze swej strony Mary Rose życzyłaby sobie szczerze, by pułkownik wyszedł. Rodgers wiedział, że powinna puścić testy innych programów. Ze swego terminalu wysłał do niej informację, żeby się na razie wstrzymała. Zamiast pracować, wywołała jedną z symulacji strategicznych, które Mike trzymał w komputerze dla rozrywki. W alarmującym tempie przegrała bitwę o wzgórze San Juan w imieniu Teddy'ego Roosevelta i jego Rough Riders*, [zmusiła Cyda do schrzanienia oblężenia Walencji podczas wojen z Maurami oraz uniemożliwiła zwycięskiemu niegdyś Jerzemu Waszyngtonowi pokonanie najemników z Hesji w bitwie pod Trenton.](#)

–I na tym polega wartość symulacji – pocieszył ją Rodgers. Uświadamia ci, jak trudno rzucić na historię cień tak wielki jak ten, który rzucali ci geniusze.

Seden obserwował ostatnią z klęsk, które poniosła dziewczyna. Sprawiał wrażenie lekko rozbawionego. Potem obrócił się. Zerknął przy tym na monitor, ukazujący helikopter – pomarańczowy punkcik pośrodku ekranu. Wszechobecna do tej pory zieleń od środka na zewnątrz zaczęła zmieniać się w błękit.

–Generale – powiedział, najwyraźniej zaniepokojony.

Rodgers obejrzał się.

–Zmiany temperatury – stwierdził podniesionym tonem. Coś się tam dzieje.

Kiedy Mary Rose spojrzała na monitor, niemal cały był już niebieski.

–Oho! – prawie krzyknęła. – To coś spowodowało poważny spadek temperatury.

Na obszarze o średnicy przeszło półtora kilometra.

Seden niżej pochylił się nad monitorem.

–Generale, jest pan pewien, że to ochłodzenie, a nie ocieplenie?

–Jestem pewien. – Rodgers pośpiesznie stukał w klawiaturę. – Gdyby śmigłowiec zrzucił bombę, ekran rozjarzyłby się na czerwono.

–Ale co mogło tak szybko schłodzić taką masę powietrza? zastanawiała się Mary Rose. – Temperatura spadła z dwudziestu pięciu stopni Celsjusza do nieco powyżej dziesięciu. Chłodna masa powietrza nie poruszałaby się tak szybko.

–Bez wątplenia. – Rodgers sprawdził meteorologiczną bazę danych, po czym obejrzał sobie skomputeryzowaną mapę geofizyczną. Wywołał sześciokilometrowy widok terenu, po czym zażądał od satelity odczytu źródeł temperatury.

Helikopter otrzymał piąty stopień AHL – Average Heat Level, czyli średniego poziomu temperatury. Oznaczało to, że znacznik cieplny odbierany jest przy pracy silników w temperaturze trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza z dokładnością plus minus dwa stopnie. Wszystko w tej temperaturze pojawiało się na monitorze w kolorze pomarańczowym. Powyżej tego zakresu temperatur znajdował się jeszcze stopień szósty – czerwony, oraz stopień siódmy – czarny. Poniżej istniał stopień czwarty – zielony, stopień trzeci – niebieski, stopień drugi – żółty i stopień pierwszy – biały, oznaczający temperatury poniżej zera Celsjusza.

Według komputerowej mapy podstawowa temperatura podłoża tego regionu wokół Eufratu wynosiła nieco ponad siedemnaście stopni. Pasowało to do poziomów stopnia czwartego. Stopień trzeci rozpoczynał się od temperatury wynoszącej niespełna piętnaście stopni Celsjusza. Cokolwiek działo się wokół helikoptera obniżało temperaturę o minimum pięć stopni z szybkością przeszło siedemdziesięciu

pięciu kilometrów na godzinę.

–Nie rozumiem – powiedział Seden. – Co my właściwie tu widzimy?

–Raptowne ochłodzenie powietrza wokół Eufratu – wyjaśnił mu Rodgers. –

Sądząc ze wskazań anemometru, rozchodzi się ono niemal z prędkością huraganu.

Czy w tym rejonie zdarzają się huragany?

–Nigdy o żadnym nie słyszałem.

–Ja też mam wrażenie, że się nie zdarzają. A poza tym wiatr o tej prędkości zmiotłby helikopter.

–Więc jeśli to nie powietrze, to co?

Rodgers spojrział na monitor. Istniało tylko jedno wyjaśnienie dla tych wskazań. Znał je... i poczuł mdłości.

–Przypuszczam, że woda. Zaraz skontaktuję się z Centrum. Pułkowniku, moim zdaniem ktoś właśnie wybił dziurę w tamie Ataturk.

· Poniedziałek, 16.46 – Halfeti, Turcja

Lecieli nad Eufratem. Ibrahim przyglądał się światu przez powietrze drżące od ciepła generowanego przez strzelające bez przerwy, dwudziestomilimetrowe działko Mehmeta. Szyta pociskami woda błyskała pianą, z tamy odpadały odłamki kamienia.

Ibrahim oparł ręce na kolbie i spuście karabinu maszynowego. Nie nadszedł jeszcze czas na jego zadanie, więc bez przeszkód obserwował odłamki skały, odpryskujące z tamy pod ogniem helikopterowego działka. Walid prowadził maszynę bez drgnienia, mimo to nogi, między którymi spoczywał plecak, wparł mocno w podłogę.

Helikopter przelatywał nad tamą, kiedy Ibrahim dostrzegł, jak duży skalny odłamek uderza w brzuch próbującego wypłynąć na powierzchnię inżyniera. Uderzenie nie było chyba wystarczająco mocne, żeby go zabić, ale przecież nie miało to najmniejszego znaczenia. Za kilka chwil Turek i tak umrze.

Przelecieli nad tamą. Walid zawrócił ostro. Lecieli teraz ku pomieszczeniom kontroli. Ibrahim zaczął strzelać z karabinu maszynowego. Jeden z Turków zginął przy wejściu, choć zadaniem strzelca nie było bynajmniej zabijanie ludzi. Miał po prostu zmusić ich do szukania schronienia pod stołami czy gdzie tam, trzymać ich z dala od okien i od radia. Walid nie chciał, by ktokolwiek widział, w którą stronę odlecieli po skończeniu zadania. Jeśli nie zdołaliby powrócić do Syrii, nim zacznie się pościg, mieli przynajmniej dolecieć jak najbliżej granicy.

Siedzący z tyłu Hasan rozrzucał paski aluminiowej folii, ich zadaniem było zagłuszenie ewentualnych sygnałów radiowych wychodzących z pomieszczenia kontroli. Jednocześnie, przez słuchawki w hełmie, przysłuchiwał się transmisjom w paśmie wojskowym. Na wypadek, gdyby komuś z zatrudnionych na tamie udało się jednak przekazać informacje o tym, co się dzieje, na przykład przez telefon, zaplanowali wylądowanie i rozproszenie się. Potem, samodzielnie, każdy z nich miał dostać się do jednego z dwóch bezpiecznych domów, należących do ludzi sympatyzujących z Kurdami w południowej Anatolii, na granicy syryjskiej.

Helikopter skręcił do kolejnego nalotu. I znów pociski z potężnego działka biły w środek tamy. Znów w powietrze pofrunęły odłamki skały. Działko nie mogło oczywiście osłabić betonowej konstrukcji, jego zadaniem było jedynie wyłobienie półki, na której należało postawić trzymany między nogami plecak.

Teraz, kiedy niemal nadszedł już właściwy moment, Ibrahim rozpiął plecak, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Pięćdziesiąt lasek dynamitu, połączonych mocną taśmą izolacyjną. Zapalnik czasowy, umieszczony na ich szczycie. Przeciągnął palcem wzdłuż przewodów do zapalnika, sprawdzając czy któryś z nich się nie obluzował. Nie. Trzymały się mocno.

Helikopter zawisł zaledwie jakieś trzydzieści centymetrów nad tamą. Ibrahim wyskoczył, umieścił plecak w najszerszej szczelinie, nastawił zapalnik na minutę. Kiedy wskoczył na miejsce, ruszyli z pełną prędkością.

Młody Kurd zdjął okulary i obejrzał się za siebie. Zobaczył błyski słonecznych promieni na powierzchni wody. Ptaki polowały na ryby, niebo było wyjątkowo czyste.

I nagle, w jednej chwili, znikł ten sielski obrazek.

Zmrużył oczy – to na szczycie tamy rozkwitł pomarańczowo-czerwony płomień. Dźwięk dobiegł ich dopiero po chwili i helikopter aż zakołysał się na jego fali. Hasan i Mehmet obejrzeni się także. Zobaczyli, jak wali się wielki fragment ściany niemal dokładnie w jej środku, pociągając za sobą kawałki skrzydeł. Woda przelała się przez wyłom, gasząc ogień i zmieniając go w parę. Potężna fala pochłonęła odłamki skały, zalała je, niosła przez wierzch tamy. Wyłamała ją w wielkie V, sięgające niemal podstawy. Wyrwą płynęła woda, bez wysiłku wypłukując ziemię, spadając na rosnące poniżej drzewa. Para rozwiała się, wielka fala pochłonęła pomieszczenie kontroli, zniosła jego szczątki w dolinę.

Huk pędzącej wody wypełnił kabinę, zagłuszając ryk silnika. Ibrahim nie słyszał nawet własnych okrzyków triumfu. Widział lecz nie słyszał – Mehmeta chwającego Allacha.

Helikopter pędził na południe nad rozszalałymi wodami Eufratu, kiedy Hasan nagle poklepał Walida po ramieniu. Pilot lekko odwrócił głowę. Hasan wyciągnął dłoń do góry i szybko przesunął nią przed siebie. Pokazał dwa palce.

Ścigały ich dwa odrzutowce.

Hasana wyprowadziło to z równowagi. Helikopter leciał zbyt nisko, by namierzyły go radary, a z pomieszczenia kontroli nie wyszła żadna informacja – przecież prowadzili nasłuch. Siły powietrzne dowiedziały się jednak, co się stało. Jakim cudem?

–Przykro mi, mój bracie! krzyknął.

Walid podniósł dłoń.

–Ufamy słowu Pana! – odkrzyknął. – Napisane jest: „Ten, który ucieka z ojczyzny w służbie Boga, znajdzie wiele kryjówek”.

Hasana to nie pocieszyło, chociaż wszyscy oprócz niego wydawali się zachwyceni. Odnieśli sukces, więc trafią wprost do raju. Mimo to wcale nie mieli zamiaru się poddać. Walid pilotował helikopter nad szerokimi, burzliwymi wodami rzeki. Mehmet zaczął ładować działko. Ibrahim obrócił się w lewo, pragnąc mu pomóc. Raj rajem, oni jednak będą walczyć o życie i o przywilej kontynuowania dzieła Allacha tu, na ziemi.

Walid nagle potrząsnął głową.

–Sadiq! – krzyknął. – Przyjacielu! Nie będziesz tego potrzebował.

Mehmet pochylił się ku niemu.

–Nie? Więc kto będzie walczył za nas?

–Ten, który jest Panem Dnia Sądu.

Ibrahim zerknął na Mehmeta. Obaj mocno wierzyli w Allacha, wierzyli również Walidowi, nie całkiem jednak potrafili uwierzyć, że mocarna dłoń Pana sięgnie z nieba i osłoni ich przed Turkami.

–Ale, słuchaj... – powiedział Mehmet.

–Zaufajcie mi – przerwał mu Walid. – Zachód słońca obejrzyście z bezpiecznego miejsca.

Walid skupił się na pilotowaniu maszyny. Najwyraźniej miał jakiś plan. Ibrahim

obliczał szanse przeżycia. Najbliższa baza tureckich sił powietrznych znajdowała się przeszło trzysta dwadzieścia kilometrów stąd. Lecące z prędkością niemal dwóch tysięcy pięciuset kilometrów na godzinę myśliwce – najprawdopodobniej śmiercionośne amerykańskie *Phantomy* – dopadną ich w niespełna dziesięć minut. Helikopter nadal będzie bardzo daleko od granicy z Syrią. Z czasów, kiedy sam służył w wojskach lotniczych, zapamiętał, że każda z maszyn jest najprawdopodobniej uzbrojona w osiem rakiet *Sidewinder* z termicznym systemem naprowadzania. Jedna taka rakietka najzupełniej wystarczy, by zniszczyć helikopter na długo przedtem, nim zobaczą lub usłyszą tureckie maszyny. A przecież piloci z pewnością zestrzelą ich raczej, niż pozwolą im opuścić kraj.

Dobrze, pomyślał, niech strzelają. Obejrzał się. Tama Atatürk, duma Turków i dowód ich arogancji, została bezpowrotnie zrujnowana. Eufrat popłynie jak w dawnych czasach, Syryjczycy będą mieli tyle wody, ile jej potrzebują. Miasta, leżące poniżej tamy, zostaną zniszczone na odcinku wielu kilometrów, wioski, leżące powyżej tamy, zależne od zbiornika, pozostaną bez wody dla pól i bydła. Rząd turecki wykrwawi się, próbując uratować ten region przed suszą.

Patrzył na kotłującą się w dole wodę, wspominając werset z Koranu: „Faraon i jego wojownicy czynili krajowi gwałt i niesprawiedliwość, pewni, że nigdy nie wezwiemy ich do odpowiedzialności. Lecz my walczyliśmy z nim i jego wojskami, i wepchnęliśmy je do morza. Rozważ los tych, którzy sieją zło”.

Jak grzesznicy, zatopieni w potopie, Turcy także ukarani zostali wodą. Ibrahimowi chciało się przez chwilę płakać z podziwu dla tego, co zaszło. Cokolwiek czekałoby go w przyszłości, uczucia, że dokonał dzieła świętego, nikt nie mógł mu odebrać.

· **Poniedziałek, 9.59 – Waszyngton, Dystrykt Columbia**

Bob Herbert, szef sekcji wywiadu Centrum, wjechał na wózku do gabinetu Paula Hooda.

–Mike miał rację, jak zwykle – powiedział. – NBR potwierdziło, że tama Ataturk została wysadzona w powietrze.

Hood westchnął przez zaciśnięte zęby. Wystukał na komputerze jedno słowo: Potwierdzam. Dodał to słowo do e-mailu kodu czerwonego z dziewiętej czterdzieści siedem, który zawierał też początkową ocenę Rodgersa. Potem wysłał potwierdzenie generałowi Kenowi Vanzandtowi, nowemu przewodniczącemu Kolegium Szefów Sztabów. Skopiował go także dla sekretarza stanu Ava Lincoln, sekretarza obrony Ernesto Colom, dyrektora CIA Larry'ego Rachlina i superjastrzębia, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Steve'a Buskova.

–Jak blisko zagrożonego terenu jest CR? – spytał Paula

–Jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od tamy – odparł Herbert. – Dobrze poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

–Jak dobrze jest „dobrze”? Poglądy Mike'a na zakres strefy bezpieczeństwa mocno różnią się od poglądów zwykłych ludzi.

–Nie pytałem Mike'a – wyjaśnił Herbert. – Tylko Phila Katzena. Phil ma doświadczenia z wielkiej powodzi na Środkowym Zachodzie, tej z 1993 roku. Przeprowadził na miejscu kilka obliczeń. Twierdzi, że osiemdziesiąt kilometrów daje im bufor od dwudziestu pięciu do trzydziestu paru kilometrów. Jego zdaniem poziom Eufratu wzrośnie o dobre sześć metrów na odcinku biegnącym przez Syrię aż do jeziora Assad. Syryjczykom nie wyrządzi to poważniejszych szkód, bo większość tych terenów jest w lecie wysmażona jak grzanka i nie zaludniona. Za to zalanych zostanie sporo leżących nad rzeką tureckich wiosek.

Herbert mówił jeszcze, kiedy pojawił się Darrell McCaskey. Szczupły, czterdziestoosmioletni były agent FBI, pełniący teraz funkcję łącznika między obiema agencjami, zamknął cicho drzwi i oparł się o nie.

–Co mamy na temat sprawców? – spytał Hood.

–Satelita pokazał nam tureckiego *Hughesa 500D*, opuszczającego miejsce zamachu – odparł Herbert. – Był to zapewne helikopter, który tego samego dnia, nieco wcześniej, skradziono straży granicznej.

–Dokąd odlecieli?

–Nie wiemy. Szukają ich teraz dwa *Phantomy*.

–Szukają? – zdziwił się Hood. – Sądziłem, że mamy go na satelicie.

–Mieliśmy. Jakimś cudem znikł między jednym zdjęciem a następnym.

–Zestrzelony?

–Nie – odparł z przekonaniem Herbert. – Turcy by nam o tym powiedzieli.

–Może i tak.

–Niech ci będzie. Nawet gdyby nam nie powiedzieli, dostrzeglibyśmy wrak. Nie ma śladu helikoptera w promieniu stu trzydziestu kilometrów od miejsca, gdzie widziano go po raz ostatni.

–Co to według ciebie oznacza?

–Nie mam zielonego pojęcia – przyznał Herbert. – Gdyby w okolicy były jakieś wystarczająco duże jaskinie uznałbym, że wlecieli do którejs i tam się przyczaili. Nadal szukamy.

Paula mocno to zdenerwowało. Nie przypominał Mike'a Rodgersa, uwielbiającego kolekcjonowanie poszlak i rozwiązywanie zagadek. Drzemiący w nim bankier domagał się kompletnych, uporządkowanych informacji i domagał się ich na teraz.

–Znajdziemy go – zapewnił go Herbert. – Właśnie analizują nam ostatnie zdjęcia celem ustalenia kursu i szybkości tej pięćsetki. Prowadzimy także kompletną analizę ukształtowania terenu. Próbujemy znaleźć jakąś jaskinię czy kanion, w których mógł się ukryć helikopter.

–Doskonale. A tymczasem... co robimy z CR? Zostawimy je w spokoju?

–A czemu nie? Zostało zaprojektowane do prowadzenia rozpoznania na miejscu. Bardziej na miejscu już nie mogło się znaleźć.

–Słusznie – przytaknął Hood. – Mnie jednak bardziej obchodzą kwestie bezpieczeństwa. Jeśli ten atak to preludium do czegoś groźniejszego, to CR jest wystawione na strzał. Mają tylko dwójkę żołnierzy do obrony przed atakiem z czterech stron świata.

–Jest z nimi oficer tureckich sił bezpieczeństwa – wtrącił McCaskey.

–Wygląda na przyzwoitego faceta – dodał Herbert. – Sprawdziłem go. Jestem pewien, że Mike też go sprawdził.

–Niech wam będzie, trójkę. Zaledwie trójkę.

–Plus generał Mike Rodgers – przypomniał im Herbert. W jego głosie brzmiała nutka szacunku. – Jednoosobowy pluton. I w każdym razie nie przypuszczam, żeby Mike dał się teraz ewakuować. Urodził się po to, żeby brać udział w takich akcjach.

Paul Hood poprawił się w fotelu. Rodgers odbył dwie tury w Wietnamie, w wojnie w Zatoce Perskiej dowodził brygadą zmechanizowaną, prowadził także tajną operację Iglicy w Korei Południowej. Z pewnością nie ucieknie przed atakiem terrorystów na turecką tamę.

–Masz świętą rację – przyznał. – Mike z pewnością zechce zostać. Ale to nie on podejmie decyzję. Jest tam także Mary Rose, Phil i Lowell, wszyscy cywile. Bardzo chciałbym wiedzieć, czy ten atak to pojedynczy wystrzał, czy też salwa przed wielką bitwą.

–Oczywiście dowiemy się czegoś, kiedy znajdziemy winnych – podpowiedział mu McCaskey.

–To dajcie mi coś, cokolwiek, żebym miał o czym myśleć pożalił się Paul. – Jak sądzicie, kto za tym stoi?

–Rozmawiałem z CIA, z tureckimi siłami bezpieczeństwa, a także z izraelskim Mossadem – powiedział McCaskey. – Wszyscy twierdzą, że albo Syryjczycy, albo tureccy fundamentaliści muzułmańscy. Okoliczności wskazują po równi na jednych i na drugich. Fundamentalisci rozpaczliwie pragną osłabić związki Izraela z Turcją i Zachodem. Atakując infrastrukturę, nakładają dodatkowe ciężary na obywateli, nastawiając ich przeciw rządowi.

–W takim przypadku możemy się spodziewać kolejnych ataków – zauważył Hood.

–Słusznie – przytaknął McCaskey.,

–Tak, ale to do mnie nie przemawia – powiedział Hood. Fundamentalisci są w Turcji wystarczająco silni. Dlaczego niby mieliby brać siłą coś, co przy następnych wyborach samo może wpaść im w ręce?

–Bo są niecierpliwi – zauważył McCaskey. – Iran płaci ich rachunki. Teheran chce zobaczyć wreszcie jakieś rezultaty.

–Teheran już umieścił Turcję po stronie aktywów – stwierdził Herbert. – Dla niego to tylko kwestia czasu. Teraz zajmuje go przede wszystkim Bośnia. W czasie wojny bałkańskiej wspierali ją sprzętem i doradcami. Wojna się skończyła, ale doradcy zostali, co więcej, mnożą się jak króliki. W ten sposób fundamentalisci pragną zdobyć przyczółek w sercu Europy. Jeśli chodzi o Turcję, Iran pozostawił jej politykę biegowi czasu.

–Nic z tego, jeśli Turcy będą coraz bardziej polegać na pomocy militarnej Izraela oraz finansowym i wywiadowczym wsparciu Stanów Zjednoczonych – zaprotestował McCaskey. – Iran wcale nie pragnie kolejnej amerykańskiej twierdzy niedaleko swych granic.

–A co-z Syryjczykami? – przerwał spór Paul. McCaskey i Herbert spierali się zawsze, choć darzyli się też wzajemnym szacunkiem. „Umysł Darrella przeciw instynktowi Boba”, tak to podsumowała psycholog Liz Gordon. Z tego powodu Hood zaprosił Darrella na naradę, gdy tylko Bob powiedział mu przez telefon, że ma pewne dane na temat ataku. Dzięki nim obu Paulowi zawsze udawało się wypracować być może skrótowy, ale raczej spójny obraz sytuacji, choć sporo wysiłku wymagało powstrzymanie ich od namiętnej i uczonej debaty politycznej.

–Jeśli chodzi o Syryjczyków, mamy dwie możliwości – odezwał się McCaskey. – Terrorysty mogą być syryjskimi ekstremistami, dla których cały Bliski Wschód winien stać się po prostu Wielką Syrią...

–...dobierają do talii, jak Liban – przerwał mu Hood z goryczą.

–Słusznie. Albo, co wydaje się bardziej prawdopodobne, tamę wysadzili syryjscy Kurdowie.

–Z całą pewnością mamy do czynienia z Kurdami – stwierdził z przekonaniem Herbert. – Ekstremiści syryjscy nic nie robią bez aprobaty wojska, a wojsko przyjmuje rozkazy wyłącznie od prezydenta. Gdyby rząd chciał zatargu z Turcją, załatwiłby to w zupełnie inny sposób.

–W jaki? – zainteresował się Hood.

–Postąpiliby tak, jak zawsze postępują agresorzy – wyjaśnił Herbert. – Przeprowadziliby ćwiczenia na granicy, zgromadzili żołnierzy i sprowokowali incydent, który wciągnąłby Turków w ich granice. Syryjczycy nogi w Turcji nie postawią. W wojsku mieliśmy takie powiedzenie: lubią dostawać. Datuje się to od 1967 roku, kiedy czołgi izraelskie weszły na ich terytorium tuż przed Wojną Sześciodniową. Syryjczycy bronili domu, wyglądając dzięki temu jak bohaterowie, a nie agresorzy. Pomaga im to zgromadzić wokół siebie inne arabskie narody.

–A poza tym – dodał McCaskey – z wyjątkiem 1967 roku, Syryjczycy w zasadzie

prowadzili wojny zza pleców innych. Dostarczali broń Iranowi w wojnie z Irakiem w latach osiemdziesiątych, pozwolili Libańczykom zabijać się przez piętnaście lat wojny domowej, po czym osadzili tam swój marionetkowy rząd.

Herbert spojrział na McCaskeya.

–Więc zgadzasz się ze mną? – spytał, zdziwiony.

McCaskey wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Nie, to ty zgadzasz się ze mną – zażartował.

–Założywszy, że Bob ma rację – przerwał im Hood – dlaczego niby syryjscy Kurdowie mieliby zaatakować Turcję? Skąd wiemy, że nie działali jako agenci Damaszku? Być może wysłano ich tam, by wszczęli bójkę?

–Syryjscy Kurdowie zaatakowaliby raczej Damaszek niż Turcję – stwierdził Herbert. – Nienawidzą tamtejszej władzy.

–A w dodatku odwagi dodaje im przykład Palestyńczyków dodał McCaskey. – Chcą własnego państwa.

–Nawet własne państwo nie uspokoiłoby ich – nie dał się prześcignąć Herbert. – Są sunnitami i nie chcą mieć nic wspólnego ani z szyitami, ani z resztą ludzkości. Gdyby jednak zdobyli sobie własne państwo, cztery sekty sunnickie: hanafici, malikici, szafici i hanbalici – natychmiast skoczyłyby sobie do gardła.

–Może i nie – sprzeciwił się McCaskey. – Izraelscy Żydzi są równie podzieleni, a jakoś koegzystują.

–Tylko dlatego, że, przynajmniej jeśli chodzi o religię, wszyscy wierzą mniej więcej w to samo – wyjaśnił swój punkt widzenia Herbert. – Różni ich polityka. Sunnitów dzielą bardzo podstawowe i bardzo ważne kwestie religijne.

Paul Hood pochylił się w fotelu.

–Czy syryjscy Kurdowie zrobili to sami, czy w porozumieniu z innymi kurdyjskimi nacjonalistami? – spytał.

–Bardzo dobre pytanie – ucieszył się McCaskey. – Jeśli to Kurdowie stoją za atakiem na tamę, to zrobili coś znacznie ambitniejszego niż ich zwykle wyczyny: ataki na magazyny broni, ostrzeliwanie patroli wojskowych, tego typu rzeczy. Mam wrażenie, że do czegoś aż tak dużego potrzebowali pomocy tureckich Kurdów, od jakiś piętnastu lat walczących ze swym rządem z twierdz na wschodzie kraju.

–Co pragną osiągnąć, łącząc się ze swymi tureckimi braćmi?

–Zdestabilizować region – odparł natychmiast Herbert. Gdyby Syria i Turcja rzuciły się na siebie, a syryjscy i tureccy Kurdowie zjednoczyli, staliby się w regionie poważną siłą.

–Załóżmy, że skorzystają z tego, iż wojna odwróciła uwagę władz w inną stronę i okopią się na granicy – wtrącił się McCaskey. – Zinfiltrują wioski, miasta, pójdą w góry, założą ruchome obozy na pustyni. Mogliby latami prowadzić wojnę partyzancką, w której tylko partyzanci mogą zwyciężyć, podobnie jak to się stało w Afganistanie.

–A gdyby przyciśnięto ich w jednym kraju – zawtórował mu Herbert – po prostu przeszliby do innego. Albo połączyliby się z Kurdami irackimi, by wciągnąć do wojny i Irak. Wyobrażacie sobie wojnę między tymi trzema krajami? Prędeziej czy później

ktoś użyłby broni jądrowej lub chemicznej. Prędkiej czy później Syria lub Irak uznałyby, że to Izrael zbroi Kurdów...

–Co wcale nie jest nieprawdopodobne – przerwał mu McCaskey.

–...i wystrzeliłyby na Jerozolimę rakiety.

–A w końcu – mówił dalej McCaskey – kiedy doszłoby do rozmów pokojowych, na tapecie musiałyby pojawić się sprawa kurdyjska, inaczej nie byłoby najmniejszej szansy na pokój. No więc Kurdowie mają ojczyznę, Turcja rzuca się w ramiona fundamentalistów, a kto najwięcej traci? Demokracja, oczywiście, i Ameryka.

–Jeśli w ogóle dojdzie do porozumienia – powiedział Herbert. Zabrzmiało to groźnie. – Mówimy o animozjach sprzed tysiącleci, nagle dochodzących do głosu. Jeśli ten dzin wyrwie się kiedyś z butelki, zapędzenie go do niej z powrotem może okazać się niemożliwe.

Paul Hood rozumiał to doskonale. Równie doskonale wiedział, że zadaniem Centrum nie jest planowanie wojny na Bliskim Wschodzie. Zadaniem Centrum było rozpoznawanie „sytuacji zapalnych” i zajmowanie się nimi, kiedy przeszły w „kryzys”. Gdy stawały się problemami politycznymi”, przechodziły pod jurysdykcję Białego Domu. Prezydent poinformuje ich, jak mają pomóc i gdzie. Właściwe pytanie brzmiało: co można zrobić, by ograniczyć rozmiary bieżącego kryzysu?

Paul obrócił się w stronę komputera i wywołał swego pierwszego asystenta, Stevena „Pluskwę” Beneta. Niemal natychmiast na monitorze pojawiła się twarz młodego człowieka.

–Dzień dobry, Paul – powiedział Pluskwa. Jego głos dobiegał z głośników, umieszczonych po bokach monitora.

–Dzień dobry, Pluskwa. Mógłbyś wywołać dla mnie Mike'a Rodgersa? Jest nadal w CR.

–Już się robi – powiedział Benet. Jego twarz znikła.

Hood zerknął na Herberta.

–Co robi Mike, żeby znaleźć ten zaginiony helikopter? – spytał.

–To samo, co my – usłyszał w odpowiedzi. – Analizuje dane. Ma lepszą pozycję do nasłuchu radiowego, więc jestem pewien, że tym także się zajmuje. Będzie się trzymał wszystkich procedur, które opracowaliśmy dla CR.

–Jakie jest minimum zabezpieczenia osobowego dla CR w terenie?

–Dwóch żołnierzy Iglicy – poinformował go Herbert. – I tyłu tam teraz mamy.

Na ekranie z powrotem pojawił się Pluskwa.

–Generał Rodgers jest nieobecny – poinformował. – Wykonuje zadanie w terenie.

Hood zacisnął usta. Znał generała zbyt dobrze, by od razu wyczuć, co kryje się za tym eufemistycznym określeniem.

–Dokąd pojechał? – spytał tylko.

–Mary Rose poinformowała mnie, że generał i pułkownik Seden wyjechali jakieś dziesięć minut temu. Pojechali motocyklem pułkownika.

–Co z komputerowym telefonem komórkowym? Czy można użyć go do porozumienia się z generałem?

–Generał telefonował do Mary Rose w kilka minut po wyjeździe, celem

sprawdzenia łączności. Łączy satelitarne pracowało doskonale, prosił jednak, by nie telefonować do niego, chyba że w przypadku niebezpieczeństwa. Na wypadek, gdyby na linii był ktoś jeszcze.

–Tam, na otwartych przestrzeniach, krzyżuje się mnóstwo rozmów – stwierdził Herbert. – Zabezpieczenie jest zerowe.

Paul skinął głową. Podczas misji wojskowych personel centrum używał na ogół systemu *TAC-SAT*. Radiostacje miały swoje własne anteny paraboliczne, umożliwiające bezpieczne połączenie z satelitą i przekazanie informacji bezpośrednio do Centrum. CR miało wprawdzie na wyposażeniu *TAC-SAT*, urządzenia te były jednak raczej nieporęczne. Rodgers najwyraźniej wolał podróżować bez zbędnego bagażu.

Paul był wściekły na Mike'a, niepokoiło go także, że nie zabrał ze sobą żołnierzy. Nie mógł jednak wyciągnąć z CR nikogo, nie narażając procedur bezpieczeństwa, nie chciał także zakazywać Rodgersowi akcji. Generał miał swoje poglądy na różne sprawy, a przy tym nie naruszył żadnych zasad. Nie było też zajęciem szefa domyślanie się, co właściwie wyrabia jego zastępca, odległy w tej chwili o piętnaście tysięcy kilometrów.

–Dziękuję, Pluskwa – powiedział tylko. – Pozostań w kontakcie z CR i daj mi znać natychmiast, gdy cokolwiek od nich usłyszysz.

–Tak jest, szefie.

Paul przerwał rozmowę i spojrzał na Herberta.

–No i co? Wygląda na to, że Mike próbuje zdobyć jakieś informacje z pierwszej ręki.

Bob machinalnie stuknął w klawisze wyposażonego w głośnik telefonu, zamontowanego na oparciu wózka inwalidzkiego.

–Jasne. Taki po prostu ma styl – skonstatował.

–Dlaczego nie pojechał CR? – zainteresował się McCaskey. Przynajmniej mógłby wykonać robotę dokładniej.

–Ponieważ wiedział, że sytuacja będzie niebezpieczna – wyjaśnił Paul. – Znasz Mike'a. Nie chciał narażać ani sprzętu, ani ludzi. Taki po prostu ma styl.

Spojrzał na Herberta, który patrzył mu w twarz. Oficer wywiadu przymknął oczy i energicznie skinął głową.

–Znajdę go – obiecał. Uderzył w klawisz telefonu, łączący go z NBR. – Zobaczymy, czy Viens może znów odłożyć wszystkie inne sprawy i dać nam jasny, czysty obraz Rodgersa w Arabii.

–Dzięki. – Paul spojrzał z kolei na McCaskeya.

–Jak zwykle? – upewnił się agent.

Hood przytaknął skinieniem głowy. Niegdyś agent FBI, McCaskey doskonale wiedział, co ma teraz zrobić. Jeśli jakaś grupa przyzna się do zamachu, jego zadaniem będzie sprawdzić przez odpowiednie instytucje krajowe i zagraniczne, jakimi grupami ta dysponuje środkami. Jeśli nie, trzeba będzie się dowiedzieć, kogo kryją terroryści i dlaczego. Jeśli kryją, przepuści ich metody działania przez komputer, by sprawdzić, jaki może być ich następny krok i jak długo trzeba będzie

na niego czekać. Potem wraz ze swymi doradcami zmuszony będzie ocenić, czy uda się powstrzymać następne ataki środkami dyplomatycznymi, czy należy przeprowadzić akcję wojskową, i jakie inne cele mogą zostać przez terrorystów zaatakowane.

–Zatrudnij do tego Liz – powiedział jeszcze Hood. McCaskey skinął głową i wyszedł.

Psychologiczne portrety terrorystów z Bliskiego Wschodu były szczególnie ważne. Jeśli motywowała ich wyłącznie polityka, jak w przypadku niektórych Kurdów, mniejsza była szansa zamachów samobójczych, co umożliwiało zabezpieczenie przed ich atakami z ziemi i powietrza. Jeśli motywowała ich religia i polityka, jak w przypadku znacznej większości Kurdów, byli czczeni za to, że oddali życie. W tym przypadku zabójcy mogli zaatakować wszędzie... Mogli na przykład nieść sześć do ośmiu kostek TNT w specjalnie zaprojektowanym pasie, podtrzymywanym przez zwykłe szelki. Mogli nieść plecak załadowany dwudziestoma pięcioma do trzydziestu kilogramów plastiku, podłączonego przewodami do dwóch baterii z przełącznikiem. Przełącznik terrorysta trzymał na ogół w kieszeni spodni, co umożliwiało mu spowodowanie wybuchu, kiedy chciał i gdzie chciał. Przeciw tego rodzaju atakom nie sposób się bronić, z tego rodzaju terrorystami nie sposób negocjować. Najbardziej frustrujące zaś i najbardziej ironiczne było to, że jeden terrorysta okazywał się najczęściej znacznie bardziej zabójczy niż grupa. Pojedynczy człowiek sam sobie dyktował taktykę, pojedynczy człowiek był w stanie zaskoczyć każdego i w każdej chwili.

Bob Herbert odłożył telefon.

–Viens wie już, czego potrzebujemy. Mówi, że za dziesięć minut może odebrać Departamentowi Obrony 30-45-3. To jeden z tych starszych, nie ma podczerwieni, ale powinniśmy dostać dobre zdjęcia w paśmie widzialnym.

Określenie 30-45-3 odnosiło się do trzeciego satelity, prowadzącego obserwacje od trzydziestego do czterdziestego piątego stopnia długości wschodniej w stosunku do południka zero. Ten rejon uwzględniał także Turcję.

–Viens to fajny gość – powiedział Hood.

–Z tych najlepszych. – Herbert ruszył wózkem w kierunku drzwi. – W każdym razie podchodzi do kongresowego śledztwa z poczuciem humoru. Powiedział mi, że w wieko jego trumny wbito już tyle gwoździ, że ma zamiar ochrzcić swój wydział Żelazną Dziewicą.

–Nie pozwolimy Kongresowi pochować go żywcem – obiecał mu Paul.

–Miło mi to słyszeć, Paul. Obawiam się jednak, że łatwiej powiedzieć niż zrobić.

–Lubię trudności, Bob. Gdyby ich nie było, i mnie by tu nie było.

Herbert zatrzymał wózek w otwartych drzwiach.

–*Touche* – powiedział i wyjechał na korytarz.

· Poniedziałek, 17.55 – Oguzeli, Turcja

Ibrahim i radiooperator Hasan stali na przewiewanym wiatrem polu. Mehmet klęczał pomiędzy nimi. Obaj uzbrojeni byli w czechosłowackie pistolety maszynowe Vz 25 kalibru 9 mm oraz rewolwery *Smith Wesson.38*. Na biodrach zwiślały im myśliwskie noże.

Ibrahim wziął broń Mehmeta. Jego brat klęczał, zgięty w pół. Po smagłych policzkach ciekły mu łzy. Recytował sury z Koranu.

–Wysyła swych strażników, by strzegli cię i bez wahania nieśli twą duszę do nieba, gdy dopadnie cię śmierć...

Zaledwie kilka minut temu Walid wysadził trójkę Kurdów wraz z plecakami i bronią na zboczu suchego wzgórza. Dał Mehmetowi złoty pierścień z oczkiem przedstawiającym dwa sztylety skrzyżowane pod gwiazdą. Ten pierścień identyfikował go jako dowódcę grupy. Następnie wystartował i poleciał w kierunku wysadzonej w powietrze tamy. Uderzył we wzburzone wody Eufratu i zatonął w nich wraz z helikopterem. Miejsce jego śmierci upamiętnił rozbryzg wody i rozwiewająca się natychmiast para. Trzej ocalali członkowie grupy z przerażeniem obserwowali, jak prąd znosi szczątki helikoptera.

Walid poświęcił siebie i maszynę, bowiem był to jedyny sposób, by znikła z ekranów tureckich radarów. Tylko w ten sposób był w stanie uchronić swój zespół przed zestrzeleniem przez Turków. Tylko w ten sposób był w stanie ochronić innych – tych, którzy mogli dalej prowadzić dzieło Partii Pracy Kurdystanu.

Mehmet zakończył modlitwę, pozostał jednak na klęczkach. Cichym, smutnym głosem spytał:

–Czemu ty, Walidzie? Byłeś naszym wodzem, naszą duszą.

–Mehmecie – powiedział cicho Ibrahim – patrole wkrótce tu dotrą. Musimy ruszać.

–Powinniście pokazać mi, jak pilotować helikopter – wyszeptał Mehmet. – Moje życie nie jest tak ważne jak wasze. Kto teraz powie lud?

–Mehmecie – powtórzył Ibrahim, tym razem z naciskiem. *Min fadlak*, proszę. Ty nas poprowadzisz. On dał pierścień tobie.

–Tak. – Mehmet skinął głową. – Ja was poprowadzę. Takie było ostatnie życzenie Walida. Wiele jeszcze pozostało do zrobienia.

Ibrahim nigdy jeszcze nie widział twarzy brata tak smutnej... i tak gniewnej. Nagle, nieoczekiwanie, pomyślał, że Walid pragnął także czegoś więcej. W sercach swych żołnierzy pragnął zaszcześcić takie płomień nienawiści.

Mehmet wstał. Brat podał mu Vz 25 i trzydziestkęósemkę.

–Dzięki ci, bracie – powiedział Mehmet.

–Hasan twierdzi – Ibrahim mówił to spokojnym, pewnym głosem – że możemy dotrzeć do Sanliurfy przed zachodem słońca. Możemy przemykać się u stóp wzgórz i tam, w razie konieczności, znaleźć schronienie. Poza tym jest tu trochę ruchu. Może uda nam się zdobyć samochód lub ciężarówkę?

Mehmet spojrzał na Hasana, stojącego w pełnej szacunku odległości.

–Nie ukrywamy się – oświadczył. – Zrozumieliście?

-Ajwa – powiedzieli jednocześnie obaj Kurdowie.

-Idziemy – rozkazał Mehmet. – I niech Prorok doprowadzi nas do domu...

naszego lub naszych nieprzyjaciół.

· Poniedziałek, 18.29 – Oguzeli, Turcja

Przed wyjazdem na Bliski Wschód Mike Rodgers robił to, co zawsze robił przed wyjazdem gdziekolwiek. Czytał. Gdy tylko było to możliwe, czytał wszystko, co żołnierze napisali o narodzie i państwie, do którego się udawał. Nim przyjechał tu w ramach Pustynnej Tarczy, a potem Pustynnej Burzy, przeczytał „Siedem Słupów Mądrości” T. E. Lawrence'a i „Z Lawrence'em w Arabii” Lowella Thomasa. Dwa punkty widzenia na tych samych ludzi i tę samą krainę. Tym razem odświeżył sobie lekturę pamiętników generała Charlesa "Chińczyka" Gordona z Chartumu i antologię opowiadań o pustyni. Słowa Lawrence'a opublikowane w tej antologii, pozostały mu w pamięci. Lawrence napisał między innymi „Pustynia na zawsze pozostanie ziemią niczyją”.

Rodgersowi bardzo spodobało się to sformułowanie.

Podobnie jak Arktykę i Antarktydę, pustynię można zająć na jakiś czas, nie sposób jednak jej posiąść. Inaczej niż w regionach podbiegunowych, gdzie przynajmniej lód topi się dając wodę, a pod stopami ma się grunt wystarczająco twardy, by coś na nim zbudować, pustynia miewa humory. W jednej chwili kipi z żaru, w następnej zamarza. W jednej chwili przewiewa ją huragan, w następnej zapada martwa cisza. Jeśli chce się żyć na pustyni, trzeba mieć nie tylko wodę i namiot, lecz także siłę charakteru. W odróżnieniu od Arktyki i Antarktydy, nie sposób jest przypląć tu wodą lub przylecieć samolotem, posunąć się dwa kilometry w głąb, zrobić kilka zdjęć lub zebrać odczyty przyrządów i odjechać. Od najdawniejszych czasów, czasów wielbłądzich karawan, ci, którzy przybywali na pustynię, przybywali z zamiarem jej przekroczenia. Tu, na wyżynie, w krainie nie tyle suchej co wręcz spieczonej słońcem, krainie gdzie tempo podróży mierzy się nie w kilometrach, lecz w metrach, podróż wymaga tyle samo wytrwałości co szczęścia.

Dzięki komunikacji radiowej i samochodom terenowym podróż przez turecki czyściec nie była dziś męką taką, jak na przełomie wieków. Nadal jednak nie brakowało tu miejsc przerażająco wręcz odosobnionych. Wystarczyło pół godziny jazdy motocyklem Sedena i Mike Rodgers zauważył, że, nawet populacja owadów przeredza się tu, by potem po prostu zniknąć.

Pochylił się do przodu w siodełku wielkiego Harleya. Wiatr targał jego krótko przyciętymi, przyprószonymi siwizną włosami. Zerknął na mały kompas, umieszczony na szczycie deski rozdzielczej motocykla, nad prędkościomierzem. Nadal jechali w kierunku miejsca, w którym po raz ostatni widziano helikopter, wzdłuż linii powodzi. Spojrzał na zegarek. Na miejsce powinni przyjechać za jakieś dwadzieścia minut.

Słońce zachodziło za wzgórze, jego czerwony blask stawał się coraz słabszy. Wystarczyło kilka minut, by na niebie pojawiły się gwiazdy – więcej gwiazd, niż widział kiedykolwiek.

Pułkownik Seden obrócił się ku niemu.

–Wyjeżdżamy na równinę! – krzyknął. – Tam, dalej, są tylko gruntowe drogi. Niezbyt uczęszczane, ale przynajmniej nie będzie tak rzucać.

Były to pierwsze słowa wypowiedziane przez pułkownika od czasu wyjazdu. Nic

nie szkodzi. Rodgers też nie lubił dużo mówić.

–Kutrem torpedowym na wzburzonym morzu też rzuca! – odkrzyknął. – jedzie się nam bardzo gładko!

–Nie wiem, czy potrafi pan w to uwierzyć, ale przed świtem temperatury w tym regionie spadają prawie do zera. Od października do maja drogi stają się nieprzejezdne z powodu śniegu.

Rodgers wiedział o tym z lektur. W tej części świata niezmiennie pozostawało tylko jedno – nie pustynne wiatry, nie piaski i granice, nie miejscowi i międzynarodowi gracze, dla których Bliski Wschód był niczym zielony stolik, lecz religia i to, co ludzie skłonni są zrobić ze względu na religię. Od czasu rządzonej przez kapłanów cywilizacji sumeryjskiej z piątego tysiąclecia p.n.e., ludzie byli tu gotowi walczyć o religię, zabijać w jej imieniu zwierzęta i innych ludzi, a także za nią umierać.

Mike Rodgers doskonale to rozumiał. Katolik z wychowania i wyboru, wierzył w boskość Chrystusa i gotów był zabijać, by móc modlić się do Boga i Jezusa na swój sposób. Uważał, że niczym nie różni się to od walki, zabijania i ran, odniesionych w obronie flagi i zasad jego ojczyzny. Cios zadaje się w obronie -honoru.

Nigdy jednak nie zamierzał nawracać nikogo siłą. W imię nawrócenia kogoś na katolicyzm mógł najwyżej podnieść głos.

Zamieszkujący pustynię ludzie byli inni. Przez sześć tysięcy lat wysłali miliony bliźnich do dziesiątek niebios zamieszkałych przez setki rozmaitych bóstw. Nic nie miało tego zmienić. Przyjeżdżając do Turcji generał miał nadzieję wyłącznie na lepsze poprowadzenie akcji opóźniającej.

Wjeżdżali na wzgórze. Seden zmienił bieg. Rodgers obserwował snop światła z reflektora, tańczący po gruntowej drodze. W odróżnieniu od terenu, po którym jechali jeszcze przed chwilą, były tu skały i niskie krzaczki.

–Droga ta – powiedział Seden – zaprowadzi nas bezpośrednio do...

Ciało pułkownika przechyliło się gwałtownie w prawo na sekundę przedtem, nim Mike Rodgers usłyszał huk strzału, po czym odchyliło się, strącając go z siodełka w momencie przewrócenia się motocykla. Rodgers ciężko uderzył o ziemię i potoczył się po niej przez parę metrów. Seden trzymał się motocykla, ślizgającego się na boku pod górę, przejechał tak jeszcze kawałek drogi.

Prawa część ciała generała Rodgersa płonęła bólem, kamienie rozdarły ciało na ramieniu i nodze. Motocykl zatrzymał się, oświetlając go blaskiem reflektora. W jego świetle widać było, że Turek się nie rusza.

Pułkowniku! – zawołał.

Seden nie odpowiedział. Walcząc z bólem, Rodgers zaczął czołgać się w jego kierunku. Chciał ściągnąć go z drogi, nim pojawi się jakiś samochód i rozjedzie ich obu, nim jednak zdołał do niego dotrzeć, poczuł na karku dotyk lufy. Zamarł.

Czyjeś kroki zazgrzytały na kamieniach. Dwaj mężczyźni podeszli do nieruchomego Turka.

W tym momencie Seden poruszył się. jeden z mężczyzn rozbroił go i ściągnął z drogi. Drugi zajął się motocyklem. Trzeci za kołnierz ściągnął z drogi także i

Rodgersa.

Ukryli się za wysokim, wąskim grzbietem pagórka.

Mężczyzna zajmujący się Amerykaninem znów przystawił mu lufę do karku, mówiąc jednocześnie coś po arabsku. Nie był Turkiem.

–Nie rozumiem – powiedział Rodgers. W jego głosie nie było strachu. Sądząc ze sposobu działania, napastnicy byli partyzantami. Ludzie ich pokroju nie szanowali tchórzy.

–Amerykanin? – spytał stojący za Rodgersem mężczyzna.

Generał obrócił się i spojrzał mu w twarz. Skinął głową.

Mężczyzna zawołał towarzysza imieniem Hasan, zajętego oględzinami motocykla. Hasan miał szczupłą twarz, bardzo wydatne kości policzkowe, głęboko osadzone ocy i kręcone, opadające na ramiona włosy. Otrzymał rozkaz w języku, który Rodgersowi wydawał się syryjską odmianą arabskiego. Wykonując go, postawił Amerykanina na nogi. Rodgers stał nieruchomo z lufą przyciśniętą do karku, Hasan zaś przeszukał go. Wyjął mu portfel z przedniej kieszeni spodni. W jednej kieszeni koszuli znalazł jego paszport, w drugiej telefon komórkowy.

Dokumenty Rodgersa identyfikowały go jako Carltona Knighta, pracownika wydziału badań nad środowiskiem naturalnym nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. Ślepy los zdecydować miał, czy terroryści kupią tę bajeczkę. Mundur Sedena identyfikował go natychmiast jako pułkownika tureckich sił bezpieczeństwa. Trzeba będzie wymyślić dobrą bajeczkę, tłumaczącą obecność oficera przy zwykłym pracowniku naukowym.

Bezpieczeństwo osobiste, pomyślał Rodgers. W końcu przecież właśnie zostałem zaatakowany.

Pozostawiając na boku wszystkie inne sprawy, Rodgers nie wiedział właściwie, czy to dobrze, że został zidentyfikowany jako Amerykanin, czy też wręcz przeciwnie. Niektóre grupy z Bliskiego Wschodu pragnęły sympatii Amerykanów, którą z pewnością odebrałoby im zamordowanie Amerykanina. Inne pragnęły pomocy arabskich ekstremistów, którą zdobywało się właśnie mordując Amerykanów. Jeśli to ci ludzie wysadzili tamę, nie sposób przewidzieć, co zrobią.

Rodgers pewien był wyłącznie jednego. Motocykl był pierwszym pojazdem, na jaki natknęli się na drodze i, biorąc pod uwagę powódź, ostatnim, który się na niej znalazł, przynajmniej na razie. Tę sytuację trzeba będzie obrócić na własną korzyść.

–Carlton Knight – przeczytał Hasan z paszportu. Przyjrzał się Rodgersowi. – Co tu robisz? – spytał.

–Przyjechałem do Turcji badać Eufrat. Kiedy zawałiła się tama, polecono mi tu przyjechać, przeprowadzić badania nad krótko i długoterminowymi skutkami ekologicznymi.

–Przyjechałeś z nim?

–Tak. Obawiano się o moje bezpieczeństwo.

Hasan przełożył rozmowę dla stojącego za nim, przyglądającego się im z wściekłością mężczyzny imieniem Mehmet. Trzeci z grupy opatrywał ranę Sedena.

Mehmet powiedział coś i Hasan skinął głową. Spojrzał na Rodgersa.

–Gdzie jest twój obóz?

–Na zachodzie – odparł Rodgers. – W Gazi Anept.

CR stał na południowym wschodzie, generał nie miał zamiaru doprowadzić do niego terrorystów.

Hasan prychnął pogardliwie.

–Na taką drogę nie macie wystarczającej ilości benzyny. Gdzie jest obóz?

–Powiedziałem ci, że w Gazi Anept. Kanister zostawiliśmy drodze, na stacji benzynowej. Mieliśmy go zabrać w drodze powrotnej.

Hasan nie był Turkiem, Rodgers założył więc, że nie ma pojęcia, czy w tamtym kierunku rzeczywiście znajduje się jakaś stacja benzynowa.

Hasan i Mehmet wymienili kilka zdań.

–Daj mi telefon do twojego obozu – powiedział w końcu Hasan. Otworzył telefon i przytrzymał go nad latarką. Patrzył na jeńca. Czekał.

Choć generał pozostał pozornie spokojny, serce zaczęło mu bić bardzo mocno. Myślał błyskawicznie.]ego głównym zadaniem była ochrona CR. Jeśli odmówi podania numeru, terroryści z pewnością zaczną podejrzewać, że nie jest tym, za kogo się podaje. Z drugiej strony wiedzieli przecieź, kim jest pułkownik i nie zabili go. Jego więc pewnie też nie zabiją, przynajmniej dopóki nie wydostaną się z Turcji.

–Bardzo mi przykro – powiedział – ale nie znam numeru. Telefon jest po to, żeby oni mogli zadzwonić do mnie.

Hasan przysunął się do niego o krok. Zapalniczka zapaliła się tuż przy piersi generała. Powoli podnosił ją do jego podbródka.

–Mówisz prawdę? – spytał.

Czując ciepło na skórze, Rodgers natychmiast spróbował się rozluźnić. Każdego walczącego w Wietnamie, za linią frontu, uczono jak wytrzymać tortury: bicie, przypalanie papierosami, porażanie prądem elektrycznym, stanie przez wiele dni po szyję w wodzie, podciąganie na linie za założone do tyłu ramiona. Wszystkie te „zabiegi” Wietnamczycy z Północy stosowali z dużym powodzeniem, każdego z nich próbowali też żołnierze Sił Specjalnych. Najważniejsze było nie poddawać się napięciu. Napięcie ściągało ciało, uwrażliwiała komórki skóry, zwiększało ból, a także skupiało na nim uwagę torturowanego. Żołnierzom radzono, by próbowali liczyć w myśli, dzieląc cierpienie na możliwe do zniesienia pięciosekundowe odcinki. Żeby starali się myśleć raczej o następnej chwili, niż o końcu cierpienia.

Płomień zapalniczki parzył mu ciało. Rodgers liczył.

–Prawda? – powtórzył Hasan.

–To... prawda – powiedział generał.

Mehmet powiedział Hasanowi kilka ostrych słów. Hasan zgasił zapalniczkę, uśmiechnął się drwiąco do jeńca, dał Mehmetowi telefon i podszedł do Seden.

Trzeci z terrorystów stał za Turkiem. W rękę trzyma rewolwer, z którego mierzył mu w głowę. Seden siedział, oparty o jego nogi.

Głowę niedbale zabandażowano mu rękawem jego własnego munduru. Drugi rękaw służył jako opaska uciskowa na zakrwawionym prawym ramieniu. Pułkownik był ledwie przytomny.

Hasan ukląkł obok niego. Zapalił papierosa, zaciągnął się nim kilkakrotnie i przyłożył rozżarzony czulek do jego brody. Półprzytomny Turek krzyknął głośno. Hasan natychmiast zakrył mu usta dłonią.

Powiedział coś po turecku. Seden gwałtownie potrząsnął głową. Terrorysta przyłożył mu papierosa do lewego ucha. Rozległ się kolejny krzyk. Seden odepchnął dłoń. Stojący za nim terrorysta przytrzymał go mocniej.

Nagle Mehmet wezwał Hasana, który podbiegł do niego natychmiast. Odbyła się cicha, krótka rozmowa.

Rodgers pragnął obejrzeć się, zobaczyć, o co chodzi, ale Mehmet odwrócił mu twarz lufą rewolweru. Całkowicie przytomny i utrzymywany w tym stanie przez ból szyi, Rodgers przysłuchiwał się im z napięciem. Usłyszał piśnięcie telefonu komórkowego. Hasan go włączył. Czemu?

I nagle przyszła mu do głowy jedyna, straszna odpowiedź na to pytanie. Mehmet wezwał towarzysza, by ten odczytał mu znajdujące się na telefonie angielskie napisy. Nad jednym z klawiszy widniał napis REDIAL, jego naciśnięcie umożliwiło powtórzenie ostatnio wybranego numeru. Ostatnim miejscem, do którego on sam dzwonił z tego telefonu, był obóz.

Hasan stał zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niego. Generał słyszał sygnał, sparaliżowany napięciem czekał, kto podniesie słuchawkę, co powie. Taka głupia, taka strasznie głupia wpadka...

–Słucham?

Telefon odebrała Mary Rose. Hasana najwyraźniej zdziwił kobiecy głos, ale nie powiedział nic. Rodgers modlił się, by dziewczyna przerwała połączenie. Miał ochotę krzyknąć, by wynosili się z CR, ale nie krzyknął, bo był zdania, że na to mogą nie mieć czasu. Zabraknie im czasu, jeśli ci trzech terroryści zabiją ich i natychmiast zaatakują.

–Słucham? – powtórzyła Mary Rose.

Nic nie mów, modlił się Rodgers. Dobry Boże, Mary Rose, nie odzywaj się, proszę...

–Generale Rodgers, nie słyszę pana – powiedziała Mary Rose. – Nie wiem, czy pan mnie słyszy, ale jeśli tak, zamierzam przerwać połączenie.

I przerwała połączenie. Hasan również wyłączył telefon i, uśmiechając się z triumfem, zamknął go, po czym włożył na miejsce, do kieszeni koszuli Amerykanina. Przez chwilę rozmawiał z towarzyszami. Potem obrócił spojrzenie na jeńca.

–Generale Rodgers – powiedział. – Mam wrażenie, że nie zajmuje się pan środowiskiem naturalnym. Amerykański wojskowy współpracuje z turecką służbą bezpieczeństwa... by znaleźć kogo? Być może nas? – Patrzył generałowi w oczy z tak bliska, że ich nosy praktycznie się stykały. – No więc znalazłeś nas. A ta osoba, która odebrała telefon... ona nie jest w Gazi Anept.

–Owszem, jest. Na komisariacie policji.

–Od Gazi Anept dzielą nas pasma wzgórz – powiedział z lekką pogardą Hasan. – Transmisja przez nie nie przejdzie. Równina jest wyłącznie na południowym wschodzie.

–To połączenie satelitarne. Przechodzi nad górami.

Stojący za Hasanem mężczyzna powiedział coś po arabsku. Hasan skinął głową.

–On mówi, że kłamiesz – syknął. – Połączenie satelitarne wymaga talerza... misy.

Nie mamy czasu na takie zabawy. Musimy się dostać do doliny Bekaa.

Z gniewem zwrócił się ku pułkownikowi Sedenowi. Pułkownik był teraz nieco przytomniejszy niż poprzednio, dyszał ciężko. Hasan klęknął przy nim i znów pstryknął zapalniczką. Płomień oświetlił twarz Turka, Rodgers dostrzegł w niej wyzwanie. Bogu niech będą dzięki.

Hasan zadał mu jakieś pytanie po turecku. Pułkownik nie odpowiedział. Terrorysta zatkał mu usta chusteczką, złapał go za włosy, by unieruchomić głowę, i podstawił mu płomień pod nos. Seden krzyczał głosem stłumionym przez knebel, nogami kopał ziemię. Tym razem Hasan nie od razu odsunął płomień. Krzyk przez zatkane usta stawał się coraz przenikliwszy, ruchy nóg coraz gwałtowniejsze.

Hasan zgasił zapalniczkę. Powiedział coś Turkowi do ucha. Pułkownik dyszał ciężko, drżał na całym ciele. Rodgers natychmiast domyślił się, że terrorysta zaraz „będzie go miał”. Tortury doszły do miejsca, w którym ciałem torturowanego przestaje rządzić umysł, a zaczyna ból. Wola została złamana, człowiek myśli już tylko o tym, jak uniknąć dalszych cierpień.

Hasan znów włożył mu chusteczkę w usta. Zapalił zapalniczkę pod jego lewą brwią. Seden zamknął oko, ale nie mogło mu to pomóc.

Płomień spalił mu brew, sięgnął czoła. Pułkownik mógł się załamać lada chwila. Rodgers nie chciał, by do końca swych dni żył z poczuciem winy... założywszy, że im obu uda się przeżyć.

–Przestańcie – powiedział. – Jestem gotów do współpracy.

Hasan zgasił zapalniczkę i puścił włosy jeńca. Seden złożył się jak scyzoryk.

–Czego chcecie? – Przyszedł czas na zmianę taktyki. Wyniosłe milczenie zastąpić miały informacje... i dezinformacje.

–Początkowo, generale, mieliśmy zamiar zabrać was jako zakładników – powiedział Hasan. – Teraz jednak zmieniliśmy plany.

Jasne było, jakie są ich nowe plany.

–Pomogę wam ukryć się lub opuścić kraj – obiecał Rodgers. – Nie zabiorę was jednak do obozu.

–Znamy okolicę. Znajdziemy go bez waszej pomocy. – Hasan był bardzo pewny siebie. – Nie będzie jednak takiej potrzeby. Twoi ludzie muszą dysponować pojazdami. Rozkażesz im, żeby przyjechali i zabrali cię.

–Nie sądzę.

Hasan podszedł do niego.

–Jeśli z Mehmetem, na motocyklu pułkownika, pojedziemy po ciemku do waszego obozu, ubrani w to, co pozostało z waszych ubrań. to jak sądzisz, zostaniemy zatrzymani?

–Moi ludzie spróbują was zatrzymać.

–Nie wcześniej niż znajdziemy się bardzo blisko nich, uzbrojeni i gotowi do ataku. Oni się zawahają. My z całą pewnością nie. Nas na to nie stać.

Rodgers błyskawicznie układał sobie w myśli możliwy scenariusz zdarzeń. Pupshaw prawdopodobnie nie zawaha się otworzyć ognia do motocykla, szeregową DeVonne może się jednak zawahać. A jeśli na warcie staną dziś Phil Katzen, Lowell Coffey lub Mary Rose Mohally, prawdopodobnie nie będą nawet uzbrojenia. Nie ma sposobu na usprawiedliwienie niemal pewnych strat, zwłaszcza jeśli CR tak czy inaczej wpadnie w ręce przeciwnika.

–Jaką mam gwarancję, że nie zabijecie mnie i pułkownika po tym, jak przeprowadzę rozmowę?

–Mogliśmy już was zabić – zauważył Hasan. – Mogliśmy zadzwonić do waszego obozu z informacją, że znaleźliśmy was zakrwawionych i nieprzytomnych. Twoi ludzie by po was przyjechali. Nie zrobiliśmy tego, generale. Im mniej ludzi zginie, tym lepiej.

–Im więcej macie zakładników, tym lepiej. O to chodzi, prawda?

–Bóg jest miłosierny. Jeśli zgodzicie się współpracować, pójdziemy za jego przykładem.

–Powódź zabiła ludzi niewinnych i ludzi wierzących – zauważył Rodgers. – Jak wówczas ujawniła się wasza łaskawość?

–Wierni poszli do wysokiego domu Boga. Niewierni żyli na ukradzionej nam ziemi. Są ofiarami własnej zachłanności.

–Nie własnej. Są ofiarami zachłanności ludzi dawno zmarłych.

–Mimo to, jeśli zdecydują się żyć tu nadal, nadal będą umierać.

Mehmet powiedział coś niecierpliwie do Hasana. Hasan skinął głową.

–Mehmet ma rację – powiedział do Rodgersa. – Rozmawialiśmy wystarczająco długo. Czas użyć telefonu. – Otworzył telefon i wręczył go Amerykaninowi. – Naciśnij wyłącznie przycisk REDIAL – powiedział. – I nie próbuj nikogo ostrzegać. Doprowadzi to wyłącznie do rozlewu krwi.

Rodgers spojrzał na telefon. Serce podpowiadało mu, że powinien rzucić telefon, rozdeptać go i w ten sposób zakończyć sprawę z tymi trzema. Co pomyślą sobie twoi ludzie, jeśli teraz się poddasz? – spytał sam siebie. Jeśli nie dasz im okazji, by sami podjęli decyzję czy walczyć, czy też się wycofać? Nie chodziło jednak o to, czy personel CR sam będzie o sobie decydował, czy nie. Opierając się, skazywał ich na śmierć. Poddając się teraz, może potem negocjować zwolnienie przynajmniej niektórych z nich, lub zablokować najnowsze elektroniczne urządzenia furgonetki. To przynajmniej byłoby coś.

Zawahał się. W ustach czuł gorzki smak porażki.

–Szybciej – popędził go Hasan.

Generał spojrzał na telefon. Powoli, bardzo powoli przycisnął przycisk REDIAL. Podniósł telefon do ucha. Hasan przysunął się bliżej, chcąc słyszeć rozmowę.

W tym momencie Rodgers uświadomił sobie, że wszystkie jego przemyślenia nie mają sensu. Nikt nie będzie mu rozkazywał, nikt nie zmusi go do wpędzenia przyjaciół w pułapkę.

· Poniedziałek, 18.58 – Sanliurfa, Turcja

Kiedy zadzwonił telefon, Lowell Coffey II drzemał w fotelu kierowcy CR. Obudził się natychmiast. Znalezienie właściwego przycisku zabrało mu dłuższą chwilę.

–Tu centrum badań archeologicznych – powiedział do słuchawki.

–Benedict, tu Carlton Knight.

Lowell nie przebudził się jeszcze do końca, był jednak wystarczająco przytomny, by rozpoznać głos Mike'a Rodgersa, a poza tym doskonale wiedział, że nie nazywa się Benedict. W rzeczywistość znał jednego tylko Benedicta, a mianowicie Benedicta Arnolda, zdrajcę, który razem z dwoma współnikami podczas wojny o niepodległość planował poddać West Point Anglikom. Ponieważ Mike Rodgers miał zerowe poczucie humoru, musiał istnieć jakiś powód, dla którego nazwał go Benedictem.

Wszystko to prawnik rozważył podczas krótkiej, niemal niezauważalnej przerwy w rozmowie, po której powiedział wesoło:

–Witam, panie Knight.

Jednocześnie włączył przycisk nagrywania, znajdujący się tuż nad widełkami telefonu. Otworzył okno od strony kierowcy i strzelił palcami. Phil Katzen i Mary Rose pożywiali się kurczakiem, którego rano kupili na targu i upiekli nad ogniskiem. Coffey skinął na nich, sygnalizując, że powinni podejść natychmiast, lecz cicho. Oboje od razu odłożyli tekturowe talerzyki i podbiegli na palcach do samochodu.

–Co tam u pana słyhać? – rzucił w słuchawkę Coffey.

–Niedobrze słyhać. Benny, nie zdążyliśmy dobrze zatam... zahamować.

–Nic się panu nie stało?

–Prawie nic. Poproś kapitana Johna Hawkinsa, by przyjechał po nas najszybciej jak to tylko możliwe.

–Powtórzę kapitanowi Hawkinsowi, co pan powiedział. – Coffey spojrzał na Mary Rose. Pokazał jej komputer i pomachał palcami, jakby uderzał w klawiaturę. Mary uniosła w górę wyprostowany kciuk potwierdzając, że zrozumiała i zasiadła do klawiatury. Wpisała nazwisko.

–Gdzie pan jest? – spytał prawnik. Rodgers nie musiał mu mówić, gdzie jest – Mary Rose i CR mogli go znaleźć z łatwością – chodziło po prostu o to, by Rodgers mógł mówić, przekazywać informacje.

–Masz mapę 3P jak perp? – spytał Rodgers.

–Mam, oczywiście. Niech ją tylko otworzę.

Coffey myślał błyskawicznie. Ich rozmowy słuchał najwyraźniej ktoś znający język angielski, lecz nie kolokwialną angielszczyznę, no i nie znający historii USA. Gdyby dobrze znał angielski, wiedziałby, że „perp” to skrót od „perpetrator”, przestępca. Gdyby znał historię, wiedziałby, kto to taki Benedict Arnold.

Co on chce mi powiedzieć? – zadał sobie pytanie Coffey. Czy to pułkownik Seden jest Benedictem Arnoldem? Czy może Mike sygnalizuje, że zmuszono go do zdradzenia CR? W każdym razie mowa jest o zdradzie popełnionej przez trójkę ludzi.

–Mapa gotowa – powiedział.

–No to świetnie. Jesteśmy na poboczu drogi jakieś trzysta metrów od początku

drogi gruntowej. Po wschodniej stronie pierwszego pasma jest wzgórze. Widzisz je?

–No jasne.

–Czekam tu na was.

–Potrzebne panu jakieś środki medyczne?

–Tylko trochę bandaża. I może odrobina whisky dla pułkownika. Sądzę, że powinniście się pośpieszyć.

Coffey wiedział, że Rodgers nie pije. Przypuszczał, że on albo Seden zostali postrzeleni.

–Rozumiem – rzucił do słuchawki. – Dotrzemy do was tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. – Zawahał się. – Jesteś pewien, że nic się wam nie stanie do naszego przyjazdu?

–Jakoś przeżyję, Benny – odparł Rodgers.

Coffey odwiesił słuchawkę i podszedł do Katzena.

–No, dobra – powiedział poważnie. – Zrozumiałem z tego, że Mike i pułkownik zostali ujęci przez trzech ludzi. Żaden z tej trójki nie mówi dobrze po angielsku. Najwyraźniej zajrzeli do jego paszportu wystawionego na nazwisko Carlton Knight. Wygląda na to, że Seden został postrzelony, a Mike'a zmuszono, żeby do nas zadzwonił. A ponieważ Mike się nie jąka, przez to „zatham... zahamować” z pewnością pragnął nam coś powiedzieć.

–Na przykład że wpadli na ludzi, którzy wysadzili tamę? – domyślił się Katzen, stojący za plecami Mary Rose.

–Albo ci ludzie wpadli na nich – stwierdził Coffey.

–Mam – powiedziała dziewczyna. – Kapitan John Hawkins. Moja baza danych mówi mi, że był angielskim żeglarzem, który wpadł w hiszpańską zasadzkę w Vera Cruz, w 1568 roku.

Katzen powoli pokręcił głową.

–Tylko Mike mógł wiedzieć coś takiego – powiedział.

Coffey usiadł na krześle generała. Wywołał Centrum na bezpiecznej linii, wbudowanej w komputer.

–Mary Rose – powiedział. – Mike wspomniał coś o trzystu metrach drogi gruntowej. Moglibyśmy przyjrzeć się jej bliżej?

–Już się robi – powiedziała dziewczyna. Wywołanie mapy okolicy zabrało jej niespełna sekundę. – Jechali z pustyni na równinę, a więc teraz powinni być... tu. – Przybliżyła region, w którym zaczynała się droga. – Są jeszcze jakieś dodatkowe informacje?

–Owszem. Mike powiedział mi, że przejechali przez wzgórze po wschodniej stronie pierwszego pasma...

–Mam. – Na ekranie pojawiła się generowana komputerowo trójwymiarowa mapa. – Północ-południe koordynaty E, wschód-zachód koordynaty H. Skontaktuję się z NBR. Zobaczymy, czy dadzą nam obraz.

–Powie o wszystkim Pupshawowi i DeVonne na wypadek, gdybyśmy musieli się stąd wynosić – powiedział Katzen.

Coffey tylko skinął głową. Na monitorze pojawiło się logo Narodowego Centrum

Rozwiązywania Sytuacji Kryzysowych – tak formalnie nazywało się Centrum. Nikt z pracowników nie bawił się w używanie pełnej nazwy. Wpisał swe osobiste hasło i otrzymał menu z wyborem wszystkich wydziałów. Wybrał Biuro Dyrektora. Komputer poprosił go o wpisanie pełnego imienia i nazwiska osoby, z którą chce rozmawiać, z podaniem nazwiska jako pierwszego. Dzięki tej procedurze odsiewało się dowcipne zgłoszenia hackerów, którym jakimś cudem udało się zajść aż tak daleko.

Hood, Paul David.

Syntetyzowany komputerowo głos polecił mu poczekać chwilę i, niemal nim skończył mówić, na ekranie pojawiła się twarz „Pluskwy” Beneta.

–Dobry wieczór, panie Coffey – powiedział Benet.

–Pluskwa, mamy tu poważną sytuację. Muszę porozmawiać z Paulem.

–Zaraz go zawiadomię.

Hood wszedł na bezpieczne satelitarne łącze w ciągu kilku zaledwie sekund.

–Co się stało, Lowell? – spytał.

–Paul, Mike jest w terenie i właśnie się zgłosił. Rozmawiał z nami, brzmiało to tak, jakby znalazł terrorystów, których szukał, i tak, jakby terroryści wzięli jego i tego tureckiego pułkownika jako zakładników.

–Zaczekaj chwilę. – Paul nie sprawiał wrażenia zachwyconego. – Potrzebny nam będzie Bob Herbert.

Obraz na monitorze komputera przedzieliła pionowa linia, po lewej widać było twarz Hooda, po prawej twarz Herberta. Szefowi wywiadu zjeżyły się rzadkie włosy. Wyglądał bardziej ponuro nawet od Paula.

–Lowell – poprosił – co się dzieje? Masz pojęcie, o co może chodzić tym sukinsynom?

–Nie mam zielonego pojęcia. Wszystko co wiemy to to, że mamy po prostu pojechać po Mike'a i tego tureckiego oficera.

–Pojechać gdzie?

–Na równinę.

–Kiedy?

–Natychmiast – wyjaśnił Coffey. – Mike bardzo wyraźnie zaznaczył, że mamy zbierać się natychmiast.

–Co oznacza, że ci, którzy ich trzymają, szukają sposobu na wyniesienie się z okolicy, a prawdopodobnie i z kraju. Może helikopter, którym uciekali, nie miał szans dolecieć dalej?

–Skąd dokładnie telefonował Mike? – spytał Hood.

–Z miejsca oddalonego od nas o jakieś dziewięćdziesiąt minut jazdy. Mary Rose właśnie kontaktuje się z NBR. Chcemy uzyskać od nich dokładne zdjęcia.

–Czy Mike wyznaczył termin, w jakim macie się tam znaleźć? – zainteresował się Herbert.

–Nie.

–Czy wysuwał jakieś dodatkowe żądania? – wtrącił Hood. Na przykład doprowadzenie na miejsce CR?

–Nie.

–Czy macie powody przypuszczać, że terroryści w ogóle wiedzą o CR? – Herbert.

–Nie mamy żadnych powodów.

–No, to przynajmniej coś – westchnął z ulgą Hood.

–Przepraszam na moment. – Mary Rose odwróciła się od komputera. – Steven Viens mówi, że za dwie do trzech minut może dać nam zdjęcia. Nadal ma w okolicy 30-45-3.

–Niech go Bóg błogosławi – westchnął Coffey. – Paul, Bob, słyszeliście?

Słyszałem – odparł Hood.

–Lowell, czy Mike mówił coś jeszcze? – Herbert.

Właściwie nie. Nie sprawiał wrażenia, jakby cierpiał. Informacje przekazywał spokojnie, odwołując się do niezbyt znanych faktów i postaci z historii: Benedicta Arnolda i jakiegoś angielskiego kapitana, który został schwytany w pułapkę przez Hiszpanów. Wydawało się jasne, iż usiłuje przekazać nam, że został zmuszony do powiedzenia tego, co powiedział i że powinniśmy się mieć na baczności.

–Te cholery chcą zakładnika – orzekł Herbert. – Jeśli nie zaczniemy strzelać, są szanse, że oni też nie zaczną.

–Sugerujesz, że powinniśmy podrzucić ich tam, gdzie chcą jechać? – spytał Hood.

–Po prostu podaję ci fakty – odparł Herbert. – Gdyby to ode mnie zależało, chętnie bym ich wszystkich rozwalił. Na szczęście nie zależy.

–Czy nasi żołnierze gotowi są do akcji?

–Phil właśnie przedstawia im sytuację – odpowiedział Coffey. – Jak postępujemy wobec tureckiego rządu? Siły bezpieczeństwa skontaktują się z nami, kiedy nie zdołają skontaktować się ze swoim człowiekiem.

–Ty wynegocjowałeś warunki naszego przyjazdu do Turcji przypomniał Coffeyowi Paul. – Co musimy im powiedzieć?

–Zależy, co zdecydujemy się zrobić. Jeśli zaczniemy strzelać, pogwałcimy ze dwadzieścia paragrafów umów międzynarodowych. Jeśli kogoś zabijemy, wpadamy po szyję w wiesz co. Jeśli to będzie Turek, wpadamy w wiesz co głową naprzód.

–A jeśli zabijemy terrorystów, którzy wysadzili tamę? – zainteresował się Hood.

–Jeśli udowodnimy, że to oni byli winni i podzielimy się zasługami z tureckimi siłami bezpieczeństwa, prawdopodobnie zrobią z nas bohaterów.

–Poproszę Marthę, żeby się z nimi skontaktowała – stwierdził Hood. – Martha może przedstawić im sytuację i zasugerować, żeby się nie wtręcali.

–Lowell – wtrącił Herbert – Mike nie mówił im, jaki dostarczy transport?

–O ile wiem, nie.

–Oznacza to, że jeśli ruszycie CR – mówił dalej Herbert – będziemy w stanie śledzić was nawet bez zdjęć z satelity. A ja będę was słyszał na komputerze.

–Nie zgadzam się – powiedział szybko Katzen. – Moim zdaniem Mary Rose powinna ogłupić programy.

–Nie! Pozostawi was to bez środków...

–Idą zdjęcia! – przerwała im Mary Rose. – NBR powinno załadować je i do ciebie, Paul.

Dokładnie w 0,8955 sekundy na monitorach komputerów pojawiło się zielonkawe zdjęcie, pokazujące opisany przez Rodgersa teren. Centrum i CR nadal utrzymywały połączenie głosowe.

–Tu są – powiedział Herbert.

Rodgers siedział przy motocyklu, wyglądało to tak, jakby ręce przywiązane miał do kierownicy. Nogi także związano mu w kostkach. Seden leżał na brzuchu, z rękami skrępowanymi na plecach. Na zboczu wzgórza siedział trzeci mężczyzna, paląc papierosa. Na kolanach trzymał pistolet maszynowy.

–Żyj! – westchnął Hood. – Bogu niech będą dzięki.

Coffey pochylił się w stronę ekranu.

–Widzę tylko trzy osoby – zauważył.

–Może Mike miał na myśli to, że ich wszystkich jest trzech? – zasugerował Paul.

–Nie. Powiedział mi wyraźnie, że jest trzech sprawców. Jeśli chcecie, mogę wam odegrać taśmę, ale jestem pewien tego, co słyszałem.

–Dwóch terrorystów może być w zasadzce – zauważył Herbert. – To ma sens, przesunęli się w przód i sprawdzają, kto po nich przyjedzie. Sprawdzają, czy Mike nie wezwał przypadkiem kawalerii.

–Nawet jeśli obserwują drogę – zauważył Hood – mamy dwóch żołnierzy Iglicy, o których mogą nie wiedzieć. Jeśli mają Mike'a za zwykłego, nieważnego szpiega nie będą się zapewne spodziewać, że przyślemy po niego uzbrojonych żołnierzy. Zwłaszcza takich, którzy doskonale znajdą sytuację.

–Co prowadzi wprost do mojego poprzedniego pytania – przypomniał im Herbert. – Pytania o to, czy macie zabrać ze sobą CR. Nadal uważam, że wszystkie jego systemy powinny pozostać aktywne. Paul?

Hood myślał przez chwilę.

–Phil, jesteś innego zdania, prawda? – spytał w końcu.

–Jeśli coś się nam stanie, damy im klucze do naszego sklepiku – stwierdził Katzen.

–Lowell?

–Z prawnego punktu widzenia mamy tu pewien problem – oznajmił Coffey. – Zarówno Turcy, jak i Kongres całkiem dokładnie określili, gdzie wolno nam prowadzić badania geologiczne.

–Jezu Chryste! – nie wytrzymał Herbert. – Terrorysty mają Mike'a jako zakładnika, a ty mówisz o ograniczeniach prawnych?

–Jest jeszcze coś – zauważył Katzen. – Iglica. Ktoś obserwujący furgonetkę może ich zauważyć. Ale jeśli zlikwidujemy część sprzętu, będzie można ukryć ich w schowku na akumulatory. Uzbrojonych i wyposażonych w noktowizory.

–Schowek na akumulatory... – powtórzył Herbert. – Żołnierze, jak wam się to podoba?

–W porządku – odpad natychmiast Pupshaw.

Hood spytał, czy wszyscy dobrze przyjrzeni się fotografii, a kiedy jego ludzie przytaknęli, pono łączność wizualną.

–Dobra – powiedział Paul. – Wkraczamy do akcji ogłupionym CR. Kto dowodzi?

–Nie możemy przeprowadzić akcji jako operacji militarnej wtrącił szybko Coffey. – Musielibyśmy mieć na nią pozwolenie Kongresu, a z pewnością nie dostaniemy go na czas. Więc przynajmniej w teorii musi to być operacja cywilna.

–Zgoda. Powtarzam pytanie. Kto dowodzi?

Nikt nie odpowiedział. Prawnik przyjrzał się twarzom, widocznym w zielonej poświacie monitorów.

–Chyba wypadło na mnie – powiedział bez entuzjazmu. – Mam starszeństwo.

–Nad Philem dwudniowe – stwierdził Herbert. – Cholera, Lowell, przecież ty w życiu nie wystrzeliłeś z broni palnej. Phil przynajmniej strzelał.

–Żeby odstraszyć morsy – przypomniał mu Lowell. – Nigdy nie strzelał do człowieka. Przynajmniej pod tym względem obaj jesteście dziewicami.

–A ja nie – wtrąciła Mary Role. – Podczas studiów raz w tygodniu strzelałam na strzelnicy klubowej na Manhattanie. I raz postraszyłam bronią faceta, który wszedł do mojego pokoju w akademiku. Nie obchodzi mnie, kto idzie, kto zostaje, a kto dowodzi – ja w każdym razie idę.

–Dziękuję ci bardzo – powiedział Hood. – Phil, dowodziłeś kilkoma paramilitarnymi akcjami Greenpeace, nie mylę się?

–Bardziej para niż militarnymi. – Katzen uśmiechnął się szeroko. – Dubeltówki naładowane ślepakami. Trzy akcje na terenie stanu Waszyngton, dwie na Florydzie, dwie w Kanadzie.

–Czujesz się na siłach objąć dowództwo?

–Jeśli muszę, owszem.

–Nie to chciałem usłyszeć – warknął Paul. – Czujesz się na siłach objąć dowództwo tej operacji?

Katzen zaczerwienił się mocno.

–Tak – odparł. Spojrzał na zacięte twarze Mary Rose i dwójki żołnierzy. – Jasne, do diabła! Mogę dowodzić.

–Doskonale. Lowell, wolałbym, żebyś został. Cokolwiek się zdarzy, ktoś musi być na miejscu, żeby załatwić jakoś sprawę z Turkami. Ty nadajesz się do tego najlepiej.

–Nie będę sio spierał. – Lowell spojrzał w oczy swym towarzyszom, po czym opuścił wzrok. Choć zgłosił się na ochotnika i dostał rozkaz uniemożliwiający mu wzięcie udziału w operacji, czuł się tchórzem. – Ale dla dobra misji... zobaczymy co będzie, kiedy zakończymy przygotowania, dobra?

–Oczywiście. Sam podejmiesz decyzję.

–Jestem ci bardzo wdzięczny. – Coffey zmarszczył brwi. W tym momencie wtrącił się Herbert.

–Zdajesz sobie sprawę z tego, Paul – powiedział – że tajna operacja, choćby i cywilna, sprawi, że zarówno Kongres, jak i rząd Turcji, na długo przyczepią się nam do tyłków. Jeśli się nam uda, oczywiście. Jeśli się nam nie uda, wszyscy będziemy produkować tablice rejestracyjne dla rządowych samochodów.

–Wiem – przytaknął Paul. – Ale teraz obchodzi mnie tylko jedno: jak wyciągnąć Mike'a.

–I ostatnia sprawa – dodał Herbert. – Nasze źródła w Ankarze informują, że rząd

turecki ogłosiłada chwila mobilizację środków wojskowych w celu zapobieżenia dalszym atakom. CR może wpaść na mocno nerwowe patrole.

–Po odłączeniu zasilania będziemy skazani wyłącznie na własne uszy i oczy – zauważył Katzen. – Lepiej trzymajmy je otwarte.

–Dopilnuję, żeby Viens trzymał otwarte także swe satelitarne oczy – obiecał Herbert.

–Dziękuję wam wszystkim – zakończył naradę Hood. – A teraz, proszę wybaczyć, rozłączam się i dzwonię do senator Fox. Lepiej, żeby nie dowiedziała się o wszystkim za pośrednictwem biura „Washington Post” w Ankarze.

Z tymi słowami przerwał połączenie. Herbert obiecał zorientować się, co wiedzą o ataku na tamę inne agencje i też się rozłączył. Załoga CR pozostała sama. Katzen zatarł dłonie.

–Świetnie, kochani – powiedział. – Mary Rose, czy byłabyś uprzejma wydatkować nam mapę? Ty będziesz prowadzić. Sandra, Walter – naszą trójkę czeka sesja strategii, przy udziale NBR. Obrócił się i podał rękę Coffeyowi. – A jeśli o ciebie chodzi, życz nam szczęścia. Możesz dojeść mojego kurczaka.

Coffey popatrzył na nich wszystkich z szerokim uśmiechem.

–Życzę szczęścia wam wszystkim. Będziecie go bardzo, ale to bardzo potrzebowali.

–A to niby czemu? – zdziwił się Katzen.

–Ponieważ z Turkami mogę negocjować przez telefon. Prawnik odetchnął głęboko. – Jadę z wami – oznajmił.

· Poniedziałek, 12.01 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

Paul Hood pracował nad problemem Mike'a Rodgersa, kiedy zadzwoniła do niego zastępczyni szefa personelu Białego Domu, Stephanie Klaw, z informacją, że Biały Dom rozkazuje mu stawić się o 13:00 w Sali Sytuacyjnej celem przedyskutowania kryzysu nad Eufratem. Paul wyjechał natychmiast, na odchodnym rozkazując „Pluskwie” Benetowi, by informował go natychmiast w przypadku jakiegokolwiek zmiany sytuacji w Turcji. Pod nieobecność Paula i Mike'a Centrum dowodzić miała Martha Macall. Bob Herbert z pewnością źle przyjmie tę nowinę – Martha była zawodowym politykiem z gatunku tych, których nie lubił i którym nie ufał. Wiedziała jednak, jak poruszyć się w labiryncie władzy i w kraju, i za granicą.

O tej porze dnia przejazd z bazy Sił Powietrznych Andrews do Białego Domu zajmował nawet godzinę. Wprawdzie Centrum dysponowało helikopterem, którym leciało się do stolicy piętnaście minut, w jednym z *CH53E Super Stallion* stwierdzano jednak kłopoty z głowica wirnika i flota powietrzna Centrum otrzymała tymczasowy zakaz lotów. Paulowi bynajmniej to nie przeszkadzało. Wolał samochód.

Niemal od razu wjechał na Pennsylvania Avenue, przebiegającą w niewielkiej odległości na północny wschód od bazy. Większość funkcjonariuszy rządowych dysponowała limuzynami z kierowcami, obwozącymi ich po mieście, Paul jednak zrezygnował z tego przywileju. Nie korzystał z samochodu z kierowcą także jako burmistrz Los Angeles. Uważał to za ostentację. Kwestie bezpieczeństwa specjalnie go nie martwiły. Nikt przecież nie pragnął go zabić, a gdyby nawet, lepiej osobiście wystawić się na strzał, niż ryzykować życiem żony, dzieci, matki. Poza tym nawet prowadząc mógł załatwiać sprawy przez telefon. Miał także okazję. słuchać muzyki i myśleć.

W tej chwili myślał o Mike'u Rodgersie.

Hood i jego następca różnili się praktycznie pod każdym względem. Mike był oświeconym autokratą, Hood inteligentnym biurokratą. Mike był zawodowym żołnierzem, Hood nigdy w życiu nie wystrzelił z broni palnej. Walka była drugą naturą Mike'a, drugą naturą Paula była dyplomacja. Mike cytował lorda Byrona, Ericha Fromma i Williama Tecumseha Shermana. Paul pamiętał niektóre wiersze Hala Davida i cytaty z Alfreda E. Neumana, podpatrzone w magazynie „Mad”, który namiętnie czytał jego syn. Mike był stuprocentowym introwertykiem, Paul ostrożnym ekstrawerykiem. Obaj nie zgadzali się ze sobą często i czasami gwałtownie, ale właśnie dzięki tym sporom, w których Mike nie wahał się wypowiedzieć swego zdania, Paul ufał swemu zastępcy i szanował go. A także lubił. Naprawdę go lubił.

Hood jechał spokojnie w gęstym ruchu, jakże charakterystycznym dla pory lunchu. Marynarka od garnituru leżała, złożona, na siedzeniu pasażera, na niej zaś leżał telefon komórkowy. Paul pragnął, by telefon zadzwonił już, natychmiast. Jeden Bóg wie, jak strasznie potrzebne mu są nowe informacje. I jak strasznie się ich boi.

Jechał prawym, najwolniejszym pasem. Prowadził instynktownie, rozmyślał o tym, że śmierć jest nieuniknioną ceną do zapłacenia za zdobyte informacje. Myśl tę w pierwszych miesiącach gracy w Centrum wbijał mu do głowy Bob Herbert. Tajni

agenci, zarówno ci operujący w kraju, jak i ci operujący za granicą, często bywali demaskowani, torturowani i mordowani. A nierzadko bywało odwrotnie – agenci musieli zabijać, by nie dopuścić do zdemaskowania.

Była jeszcze Iglica – wojskowe ramię Centrum. Żołnierze tej elitarnej jednostki ginęli podczas tajnych operacji. Oddział Centrum stracił do tej pory dwóch żołnierzy: Bossa Moore'a w Północnej Korei i podpułkownika Charlie'ego Squiresa w Rosji. Sam Hood ryzykował życiem, gdy wraz z francuskimi tajnymi agentami rozbił organizację europejskich neonazistów.

Śmierć była ryzykiem, którego istnienie przyjmowało się świadomie, lecz też ciężko odbijała się na ludziach, którzy przeżyli. Po śmierci Squiresa kilku żołnierzy Iglicy pograżyło się w niebezpiecznej depresji. Przez kilka tygodni nie byli w stanie pełnić najprostszych nawet obowiązków. Ci, którzy ocalili, nie tylko dzielili tycie i marzenia ofiar, mieli także poczucie, że w jakiś sposób zawiedli zmarłych przyjaciół. Czy dostarczone informacje były tak dokładne, jak mogłyby być? Czy wystarczająco szczegółowo przemyśleliśmy plany awaryjne i drogę odwrotu? Czy zastosowaliśmy nie środki ostrożności?

W tym zawodzie ceną sukcesu było również bezlitosne, nieuniknione poczucie winy.

Paul dojechał do Białego Domu za pięć pierwsza. Parę minut zabrało mu jednak parkowanie i przejście przez kontrolę bezpieczeństwa. Kiedy wreszcie wpuszczono go do środka, czekała już na niego szczupła, siwowłosa Stephanie Klaw. Ramie w ramię ruszyli korytarzem.

–Spotkanie właśnie się zaczęło – powiedziała Stephanie głosem tak miękkim jak trawiasty dywan korytarza. – Rozumiem, panie Hood, że nadal sam pan się wozi po Waszyngtonie?

–Owszem.

–Doprawdy, powinien pan dysponować samochodem z kierowcą. Zapewniam pana, że biuro głównego księgowego nie uzna tego za nadużycie pozycji służbowej.

–Jak sądzę, wie pani doskonale, że nie uznaję samochodów z kierowcami?

–Oczywiście, wiem o tym doskonale. Osobiście jestem skłonna uznać to za uroczą cechę charakteru. Czyżby nie wiedział pan jednak, panie Hood, że nasi kierowcy doskonale znają ruch uliczny w stolicy i umieją w nim manewrować? Że nasze samochody dysponują bardzo głośnymi syrenami, co także, w większości wypadków, pomaga? A poza tym zatrudnienie kierowcy zmniejsza statystyki bezrobocia, a my bardzo lubimy, kiedy zmniejszają się statystyki bezrobocia.

Hood spojrzał na towarzyszącą mu kobietę. Jej twarz była poważna, nieruchoma. Wiedział jednak, że nie on jest obiektem drwin, lecz cała masa urzędników, uwielbiających rozjeżdżać się rządowymi limuzynami po mieście i za miastem.

–A zostałyby pani moim kierowcą? – spytał.

–Nie, choć dziękuję za propozycję. Siadając za kierownicą przechodzę do grupy najwyższego zagrożenia zawałem. Nadużywałabym syreny.

Paul uśmiechnął się lekko.

Zatrzymali się przy windzie. Stephanie Klaw nosiła zawieszoną na szyi na

łańcuszku plastikową kartę, z jednej strony wyposażoną w jej zdjęcie, z drugiej – w magnetyczny pasek. Włożyła ją do czytnika, znajdującego się na lewo od drzwi. Otworzyły się. Paul wszedł do windy. Gospodyni przycisnęła czerwony guzik, który odczytał odcisk jej kciuka i zmienił kolor na zielony. Mimo to nie cofnęła ręki.

Niech pan nie denerwuje prezydenta – poprosiła.

–Zrobię, co w mojej mocy.

–I niech pan postara się powstrzymać innych od kłótni z Burkowem. To, co się stało, nie poprawiło mu humoru, a wie pan, jak jego zły humor odbija się na prezydencie. – Zbliżyła twarz do twarzy Hooda. – Prezydent musi przecież bronić swoich ludzi dodała.

–Bardzo cenię sobie lojalność – odparł wymijająco Paul. Klaw zdjęła palec z guzika i drzwi windy zamknęły się. Hood pomyślał, że superjastrząb Waszyngtonu, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, nie jest człowiekiem, z którym łatwo się zgodzić.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyhać było w windzie, był cichy szum umieszczonego pod sufitem wentylatora. Paul Hood podstawił twarz pod strumień chłodnego powietrza. Bardzo szybko zjechali na podziemny poziom Białego Domu – jego techniczne serce, gdzie odbywały się konferencje i gdzie znajdowało się centrum ochrony. Drzwi windy otworzyły się na mały gabinet. Na Paula czekał uzbrojony żołnierz piechoty morskiej, który sprawdził jego dowód tożsamości, podziękował i usunął się z drogi. Poza wartownikiem w gabinecie znajdowała się jeszcze jedna osoba – osobista sekretarka prezydenta, siedząca za małym biurkiem przed wejściem do Sali Sytuacyjnej. E-mailem zawiadomiła prezydenta, że Hood przyszedł. Wpuszczono go, do środka natychmiast.

Pośrodku jaskrawo oświetlonej Sali Sytuacyjnej stał długi mahoniowy stół, który otaczały wygodne, obite skórą fotele. Każde stanowisko wyposażone było w bezpieczny telefon *SIU 5*, karafkę z wodą i monitor komputera, klawiatura mieściła się na wysuwanej blacie pod monitorem. Na ścianach znajdowały się dokładne mapy elektroniczne, ukazujące lokalizację wojsk amerykańskich i obcych oraz miejsca, w których mogły powstać (flaga zielona) lub już powstały (flaga czerwona) problemy. Paul zauważył, że na granicy turecko-syryjskiej zdążono już umieścić czerwoną flagę. W przeciwległym kącie pokoju stał mały stolik, przeznaczony dla dwóch sekretarzy. Jeden z nich spisywał protokół na PowerBooku, drugi odpowiedzialny był za przekazywanie na monitory komputerów koniecznych w danej chwili map lub danych.

Ciężkie drzwi zamknęły się same. Nad wypolerowanym na wysoki połysk stołem obracały się dwa złote wiatraki o brązowych śmigłach. Paul powitał wszystkich zgromadzonych lekkim skinieniem głowy, a swego przyjaciela, sekretarza sianu Ava Lincolna, takie uśmiechem. Potem zwrócił się bezpośrednio do prezydenta, Michaela Lawrence'a.

–Dzień dobry, panie prezydencie – powiedział.

–Dzień dobry, Paul – odparł prezydent, były gubernator Minnesoty. – Av właśnie wprowadza nas w sytuację.

Prezydent najwyraźniej tryskał energią. Podczas trzech lat sprawowania urzędu nie odniósł takiego sukcesu w polityce międzynarodowej, który trafiłby na czołówki gazet. Samo w sobie nie oznaczało to, oczywiście, że w najbliższych wyborach poniesie klęskę, ale Lawrence uwielbiał zwyciężać i denerwowało go, że do tej pory nie sprokurował właściwej mieszanki siły militarnej, ekonomicznej potęgi i osobistej charyzmy, dzięki której mógłby rządzić na międzynarodowej scenie.

– Jeszcze chwilę, Av. – Prezydent uniósł dłoń. – Paul, jakie są najnowsze informacje o generale Rodgersie?

– Sytuacja się nie zmieniła. – Paul zajął miejsce w wolnym skórzanym fotelu pośrodku stołu. – Centrum Regionalne kieruje się w głąb Turcji, na miejsce, z którego telefonował generał. Zerknął na zegarek. – Powinno tam dotrzeć w ciągu pół godziny.

– Czy CR podejmie próbę odbicia zakładników? – spytał Burkow.

– Wolno nam ewakuować personel, który znalazł się w niebezpiecznej sytuacji – odparł Hood, ostrożnie dobierając słowa Nie mamy jednak pojęcia, jaką akcję możemy podjąć w obecnej Sytuacji.

– Wszystko można, jeśli chce się zapłacić cenę – stwierdził Burkow. – Twoim ludziom wolno użyć siły celem ocalenia życia zakładników. W bazie Sił Powietrznych Incirlik, praktycznie tuż za rogiem, mamy trzy tysiące siedmiuset żołnierzy.

– My dysponujemy dwójką żołnierzy Iglicy. Jednak, jak już wspomniałem, w tej chwili nie mamy pojęcia, co można zrobić. – Masz mnie osobiście informować o rozwoju sytuacji, gdziekolwiek będziesz – oznajmił prezydent.

Oczywiście, panie prezydencie – zgodził się Paul, nie bardzo rozumiejąc, co znaczy to „gdziekolwiek będziesz”.

– Av – powiedział prezydent – kontynuuj, proszę.

– Tak jest – odparł Av Lincoln.

Potęźnie zbudowany były pierwszoligowy baseballista zajrzał do notatek. Z łatwością przerzucił się ze sportu na politykę i jako jeden z pierwszych poparł kandydaturę Michaela Lawrence'a na prezydenta. Należał do tych nielicznych ludzi z grona jego najbliższych współpracowników, którym Hood ufał całkowicie.

– Paul – powiedział – właśnie mówiłem o mobilizacji w Turcji. Moje biuro jest w stałym kontakcie z ambasadorem Robertem Macaluso w Ankarze, a także konsulatami w Stambule, Izmirze i Adanie, oraz z ambasadorem Kande z ambasady Turcji w Waszyngtonie. Wszyscy oni potwierdzili, że o dwunastej trzydzieści naszego czasu Turcy zmobilizowali pół miliona żołnierzy sił lądowych i powietrznych, oraz postawili w stan wysokiej gotowości bojowej sto tysięcy żołnierzy marynarki, w tym jej lotnictwo i piechotę morską. Jest to praktycznie całość ich sił zbrojnych.

– Wraz z rezerwami? – spytał prezydent.

– Nie, panie prezydencie. – Na to pytanie odpowiedział sekretarz obrony Colon. – Jeśli muszą, Turcy znajdą jeszcze ze dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Spośród mężczyzn między dziewiętnastym a czterdziestym dziewiątym rokiem życia mogą też, jeśli zajdzie taka konieczność, zmobilizować do pięćdziesięciu tysięcy rezerwistów.

– Powiedziano nam, że siły lądowe i powietrzne zajmą pozycje wzdłuż Eufratu i na

granicy z Syrią – mówił dalej Lincoln. – Marynarka koncentruje się na Morzu Egejskim i Śródziemnym. Ankara zapewniła nas, że marynarka na Morzu Śródziemnym nie posunie się dalej niż południowy kraniec zatoki Alexandretta.

Paul zerknął na mapę na monitorze komputera. Wspomniany południowy kraniec znajdował się jakieś sześćdziesiąt parę kilometrów na północ od Syrii.

–Siły tureckie na Morzu Egejskim mają pilnować, by Grecy się nie wtrącali – powiedział Lincoln. – Damaszek nie udzielił na razie żadnej konkretnej odpowiedzi. W tej chwili trwa tam spotkanie z udziałem prezydenta, trzech wiceprezydentów i rady ministrów. Ambasador Moualem z ich ambasady tu, w Waszyngtonie, twierdzi, że Syria zareaguje we właściwy sposób.

–Co oznacza? – spytał prezydent.

–Co oznacza mobilizację – wyjaśnił generał Ken Vanzandt, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów. – Syna skoncentrowała swych żołnierzy przede wszystkim w bazach wzdłuż Orontesu na zachodzie, wzdłuż Eufratu pośrodku kraju i, na wschodzie, koło granicy z Irakiem. Syryjski prezydent wyśle na północ prawdopodobnie połowę tych sił, czyli jakieś sto tysięcy żołnierzy.

–Jak daleko na północ się posuną?

–Jak daleko się da, panie prezydencie. Staną prawdopodobnie o rzut kamieniem od armii tureckiej. Po stracie Wzgórz Golan w wojnie z Izraelem, w 1967, Syryjczycy wyjątkowo agresywnie bronią swego terytorium.

–Bardzo interesujące wydaje się to, że Turcy zmobilizowali prawie sześćset tysięcy ludzi – zauważył sekretarz obrony Ernie Colon. – To niemal trzykrotnie więcej niż siły Syryjskiej Armii Arabskiej, Syryjskiej Marynarki Arabskiej, Syryjskich Arabskich Sił Lotniczych i Syryjskich Arabskich Oddziałów Obrony Przeciwlotniczej razem wzięte. Turcy najwyraźniej mówią „Weźmiemy się za was, a jeśli wtrącą się inne narody, dla nich też coś zostanie”.

–Pozornie brzmi to całkiem nieźle – stwierdził generał Vanzandt – ale Turcy mają tu wielki problem Oczywiście, muszą zwalczać tego rodzaju terroryzm, to pewne, ale nawet gdyby nie wtrąciła się syryjska armia, bezpośredni atak na Kordów to niebezpieczne przedsięwzięcie. Atak na tamę 2 całą pewnością miał na celu zjednoczenie różnych kurdyjskich frakcji. Kontratak tureckiej armii bez wątplenia wzmoże tendencje do unifikacji. Wśród pięćdziesięciu dziewięciu milionów obywateli Turcji czternaście do piętnastu milionów to Kurdowie. Niezbyt zadowoleni z istniejącej sytuacji.

–To chyba za mało powiedziane – zauważył Lincoln. – Strzela się do nich, wypędza się ich gazem z domów, zabija bez sądu.

–Zaraz, spokojnie, Av – nie wytrzymał Burkow. – Wielu z tych Kordów to przecież terroryści.

–Wielu z tych Kordów nigdy nie było terrorystami.

Burkowi zignorował tę uwagę.

–Lany, o co chodziło z tą syryjską aferą, w zeszłym miesiącu? – spytał.

Dyrektor CIA, Larry Rachlin, splótł ręce na stole.

–Syryjczycy zrobili doskonałą robotę, trzymając prasę na dystans – powiedział –

ale sprawa wygląda tak. Kurdyjski agent zamordował im generała i jego dwóch doradców. Kiedy go ujęto, inny kurdyjski agent porwał żonę generała i jego dwie córki, i zażądał zwolnienia mordercy. Syryjczycy posłali mu głowę przyjaciela. Potem próbowali odbić zakładników. Kiedy atak się skończył, żona generała nie żyła. Córki i porywacz też. Zginęło także dwóch żołnierzy.

–Jeśli to Turcy terroryzują Kordów, to dlaczego ten agent zabrał się do Syryjczyków? – spytał prezydent.

–Ponieważ – wyjaśnił Rachlin – syryjski prezydent doszedł do całkiem słusznego wniosku, że w jego armii roi się od kurdyjskich agentów. Przysiągł, że wyłapie ich wszystkich.

Lincoln wyprostował się w fotelu. Na twarzy malował mu się wyraz obrzydzenia.

–Steve, Larry, o co w tym wszystkim chodzi?

–Chodzi o to – powiedział Burkowi – że czas przestać płakać nad tymi Kurdami. Są coraz bardziej gwałtowni, bezlitośni i jeden Bóg wie, ilu mają agentów w armii tureckiej. Jeśli się w to wmieszamy, ich agenci mogą zacząć atakować instalacje militarne NATO.

–W rzeczywistości może być znacznie gorzej – dodał Vanzandt. – Kurdowie mają liczących się sympatyków w tureckich partiach fundamentalistów islamskich. Mogą skorzystać z wywołanego wojną zamieszania i obalić świeckie rządy w obu krajach.

–Z chaosu rodzi się więcej chaosu – zauważył Lincoln.

–Dokładnie – przytaknął Vanzandt. – Precz z niedoskonałą demokracją, niech żyje religijna autokracja.

–Precz ze Stanami Zjednoczonymi – dodał sekretarz obrony Colon.

„Precz” to niezbyt właściwe słowo – wtrącił dyrektor CIA Rachlin. – Steve trafił w samo sedno. Zaczną na nas polować nie tylko w Turcji, lecz także w Grecji. Pamiętacie tych wszystkich afgańskich bojowników o wolność, których wyposażyliśmy i wyszkoliliśmy do walki z Sowietami? Wielu z nich zjednoczyło się z islamskimi fundamentalistami i słucha teraz szejka Safara al-Awdaha, Syryjczyka, jednego z najbardziej radykalnych duchownych regionu.

–Boże, jakbym chciał zobaczyć, jak ktoś kopie tego sukinsyna w tyłek – westchnął Steve Burkowi. – Jego przemówienia radiowe wysłały całe mnóstwo ludzi w autobusową podróż do Izraela... z bombami przywiązanymi do pleców.

–Ma wyznawców zwłaszcza w Arabii Saudyjskiej i Turcji mówił dalej Rachlin. – W Turcji rosną w siłę od chwili objęcia funkcji premiera przez przywódcę partii islamskiej, Necmettina Erbakana, w lecie 1996 roku. Ironia sprawa, że radykalizm wywołany jest nie tylko przez kwestie religijne. W latach osiemdziesiątych, kiedy Turcja zmieniła się z kraju o zamkniętym rynku w kraj o rynku globalnym, wzbogaciło się niewielu ludzi. Reszta pozostała uboga lub jeszcze bardziej zubożała. Tego rodzaju, ludźmi zawsze łatwo można manipulować.

–Fundamentaliści i wielkowiejska biedota to naturalni sojusznicy – stwierdził Av Lincoln. – I jedni, i drudzy należą do upośledzonych, i jedni, i drudzy pragną tego, co robią ich świeccy przywódcy.

–Larry – powiedział prezydent – wspomniałeś Arabię Saudyjską. Jeśli między

Turcją i Syrią dojdzie do eskalacji działań, jak zachowa się reszta państw regionu?

–Największą zagadką pozostaje Izrael – wyjaśnił Rachlin. Swój układ o współpracy wojskowej z Turcją Izrael traktuje bardzo poważnie. Od dwóch lat jego piloci startują do lotów ćwiczebnych z bazy w Akinci, położonej na zachód od Ankary. Powoli przerabia też tureckie *Phantomy 164* na bardziej nowoczesne *Phantomy 2000*.

–Nie zapomnij, że nie robi tego z dobroci serca – zauważył Colon – tylko za sześćset milionów dolarów.

–Słusznie. W przypadku wojny będzie nadal dostarczał Turcji części zamiennych, prawdopodobnie amunicji, a z pewnością informacji wywiadowczych. To ten sam. rodzaj porozumienia, jakie miał z Jordanią w 1994 roku. Jeśli jednak pozwoli Turkom startować ze swego terytorium w wojnie z Syrią, pewne jest, że Syryjczycy go zaatakują.

–Dla porządku – wtrącił Vanzandt. – Pomysł wzięcia przeciwnika w kleszcze działa w obie strony. Syria i Grecja dyskutują możliwość zawarcia sojuszu wojskowego, tak by każde z tych państw mogło, w miarę potrzeby, zaatakować Turcję z dwóch stron.

–A to małżeństwo z piekła rodem – zdumiał się Lincoln. Przecież Grecja i Syria nie mają żadnej innej płaszczyzny porozumienia.

–Co pokazuje, jak bardzo oba te państwa nienawidzą Turcji podsumował Burkow.

–Dobrze – przerwał im prezydent. – A inne kraje?

–Iran z pewnością nasili działalność swych marionetkowych partii w Ankarze – powiedział Colon. – Wezwie do strajków generalnych, marszy protestacyjnych i tak dalej, militarnie się jednak nie zaangażuje. Nie musi.

–Chyba że w konflikt wciągnięta zostanie Armenia – dodał Lincoln.

–Słusznie. Za chwilę do tego przejdziemy. Irak z pewnością wykorzysta wybuch walk jako pretekst do przesunięcia oddziałów i uderzenia na Kurdów, operujących na jego granicy z Syrią. A jeśli Irak się zmobilizuje, zawsze istnieje możliwość, że zrobi coś, by sprowokować Kuwejt, Arabię Saudyjską albo swego największego wroga, Iran. Ale, jak wspomniał Av, wielkim znakiem zapytania jest Armenia.

Sekretarz stanu skinął głową.

–Mieszkańcy Armenii to w większości chrześcijanie. Jeśli tamtejszy rząd przestraszy się islamskiej Turcji, może nie mieć wyjścia innego niż wzięcie udziału w konflikcie, po prostu w obronie własnych granic, Jeśli tak się zdarzy, Azerbejdżan, praktycznie w całości islamski, niemal z całkowitą pewnością uderzy na Armenię, by odzyskać Górny Karabach, który stracił w walkach 1994 roku.

–Turcja publicznie oznajmiła, że Górny Karabach należy do Azerbejdżanu - . przypomniał obecnym Colon. – Co spowodowało napięcia wewnętrzne w tym kraju, ponieważ mieszkają tam Ormianie, wspomagający armeńskich współwyznawców. Powinniśmy jeszcze wziąć pod uwagę możliwość wybuchu w Turcji wojny domowej, spowodowanej wydarzeniami w dwóch sąsiednich krajach.

–Może to właściwa chwila, by wspomnieć o rozszerzeniu NATO – zauważył Lincoln. – Przyjmijmy Polskę, Węgry i Czechy i pomóżmy im w stabilizacji. Użyjmy ich jako falochronu.

–Nie zdołamy tego dokonać na czas – sprzeciwił się Burkow.

–A więc najlepiej zacząć od razu – uśmiechnął się Av Lincoln. Prezydent potrząsnął głową.

–Av, nie chcę zajmować się teraz sprawami pobocznymi. Te kraje to nasi sojusznicy i z im pomożemy. Zajmuje mnie teraz zapobieżenie temu, co może wyniknąć z istniejącej sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Doskonale. – Lincoln lekko uniósł dłonie. – To była tylko uwaga na marginesie.

Hood przyjrzał się nowej mapie, którą jeden z sekretarzy przekazał właśnie na komputer. Armenia graniczyła z Turcją na zachodzie i Azerbejdżanem na wschodzie. Sporny region Górnego Karabachu znajdował się między Armenią i Azerbejdżanem.

–Oczywiście – przerwał milczenie Av Lincoln – największym niebezpieczeństwem nie jest wcale to, że Azerbejdżan i Armenia rozpoczną wojnę. Oba kraje razem mają powierzchnię mniej więcej połowy Teksasu z ludnością odpowiadającą ludności Los Angeles. Problem w tym, że Iran, znajdujący się bezpośrednio na południu, i Rosja, znajdująca się bezpośrednio na północy, zaczną przesuwać wojska w obronie swych granic. Iran bardzo pragnąłby dostać ten teren w swoje łapy. Jest tu ropa, gaz ziemny, miedź, pola uprawne i inne surowce naturalne. Rosyjscy twardogłowi też marzą o tym, by odzyskać dawne republiki.

–A w dodatku Armenię zamieszkują wierzący chrześcijanie dodał Vanzandt. – Iran wiele dałby, żeby się ich pozbyć. Bez Ormian cały Kaukaz stałby się de facto częścią islamskiego Iranu.

–Może. Istnieje jeszcze mnóstwo innych punktów zapalnych. Na przykład piętnaście milionów Azerów w północnych prowincjach Iranu. jeśli zdecydują się na secesję, Iran będzie musiał powstrzymać ich zbrojnie. Pięć milionów etnicznych mieszkańców Kaukazu w Turcji z pewnością walczyć będzie wspólnie ze swymi irańskimi braćmi. To oznacza wojnę między Turcją i Iranem. Jeśli rozpoczną oni wojnę o niepodległość, istnieje spora szansa, że cały Północny Kaukaz stanie w ogniu. Osetyńcy i Ingusze, Osetyńcy i Gruzini, Abchazi i Gruzini, Czeczeńcy i Kozacy, Czeczeńcy i Azerowie...

–Najbardziej denerwujące jest pewnie to, że zdaniem ludzi Boba Herberta z Centrum, Grady'ego Reynoldsa z CIA i moich, Damaszek nie ma prawdopodobnie nic wspólnego z wysadzeniem tamy – powiedział Colon. – Musieliby oszaleć, by za jednym zamachem odciąć sobie połowę zasobów wodnych.

–Może szukają międzynarodowego współczucia? – zasugerował Burkow. – Zdjęcia spragnionych dzieci i umierających star rów natychmiast zmieniłyby ich wizerunek w świecie, który spowodowałby pewnie, że Stany Zjednoczone zamiast pomagać Turcji i Izraelowi pomogłyby im.

–Tyle że na ich ziemi zaraz znalazłaby się wielokroć liczniejsza i lepiej uzbrojona armia turecka – sprzeciwił się Colon. Wysadzenie farny to wypowiedzenie wojny. NATO gwarantuje, że w przypadku wojny pomoc wojska i amerykańskich instytucji finansowych skierowana zostanie do Turcji. Izrael także pomógłby Turkom, zwłaszcza gdyby przy okazji mógł osłabić Syrię.

–Lecz przecież ma to zastosowanie tylko w przypadku wojny. Turcy mogą skoncentrować wojska na granicy z Syrią, Syria może skoncentrować wojska na

granicy z Turcją, ale jeśli Syryjczycy nie podejmą działań, wojny nie będzie.

–I wszyscy Arabowie uznają ich za pozbawionych honoru. Nie, Steve, to zbyt wydumane. O wiele sensowniej przyjąć, że tamę wysadzili syryjscy Kurdowie.

–Dlaczego Kurdowie mieliby chcieć wywołać międzynarodowy konflikt? – spytał prezydent. – Są wystarczająco zdesperowani, by atakować kraje, które zamieszkują?

–Od jakiegoś czasu spodziewaliśmy się zjednoczenia rozmaitych frakcji kurdyjskich nacjonalistów – zauważył Larry Rachlin. – jeśli się nie zjednoczą, będą likwidowane po kolei. Być może mamy do czynienia właśnie z próbą unifikacji.

–Kurdystan w diasporze – powiedział Lincoln.

–Właśnie tak.

–Wiesz, Steve, prawda wygląda w ten sposób, że generał Vanzandt ma wszelkie prawo niepokoić się tym, czego mogą dokonać Kurdowie. W tej chwili jest to najbardziej prześladowany naród na Ziemi. Mieszkają w Turcji, Syrii i Iraku i są gnębieni przez wszystkie trzy rządy. Do 1991 roku w Turcji nie pozwalano im nawet używać własnego języka. Pod presją krajów członkowskich NATO Turcja udzieliła im w końcu tego „przywileju”, ale tylko tego. Od 1984 roku, kiedy rebelianci kurdyjscy rozpoczęli walkę o suwerenność, zginęło dwadzieścia tysięcy Turków, a Kurdom nadal nie pozwala się zakładać żadnych stowarzyszeń. I nie mówię tu o partiach politycznych, lecz o chórach czy klubach literackich. Gdyby doszło do wojny, Kurdowie z pewnością by w niej walczyli, a potem z pewnością byłiby stroną w porozumieniu pokojowym. Tylko w ten sposób zyskują szansę na jakąkolwiek autonomię.

Prezydent zwrócił się do Vanzandta.

–Musimy poprzeć Turków – powiedział. – Musimy także zapobiec wciągnięciu w tę sprawę Grecji i Bułgarii, prawda?

–Owszem, panie prezydencie.

–Więc spróbujmy powstrzymać bieg zderzeń, nim dojdzie do konfliktu turecko-syryjskiego – zdecydował prezydent. – Av, jakie są szanse, że Turcy przekroczą granicę syryjską w pościgu za terrorystami?

–Cóż,. Ankarą jest mocno zdenerwowana, nie sądzę jednak, by miało dojść do naruszenia granicy. A przynajmniej nie przez duże oddziały.

–Dlaczego nie? – zdziwił się Vanzandt. – Przecież Turkom zdarzało się już ignorować suwerenność innych narodów. W 1990 przeprowadzili kilka krwawych ataków na separatystów kurdyjskich w północnym Iraku.

–Zawsze byliśmy zdania, że w tym wypadku mieli cichą zgodę Iraku – zauważył Rachlin z CIA. – Stany Zjednoczone nie pozwoliły na atak Saddamowi, więc niech zrobią to Turcy.

–W każdym razie – mówił dalej Lincoln – istnieje jeszcze inny, powód, dla którego Turcy mogą nie chcieć atakować Syrii. W 1987 roku dowiedzieli się, że wódz partyzantów kurdyjskich, Abdullah Ocalan, mieszka w Damaszku. Siedzi sobie w willi i kieruje atakami na tureckie wioski. Ankarą poprosiła Damaszek o pozwolenie na wprowadzenie zespołu uderzeniowego, który miał wziąć go do niewoli. Syryjczycy mieli tylko zejść im z drogi. Damaszek nie chciał jednak drażnić swoich Kurdów i

odmówił. Mimo to Turcy omal nie nakazali ataku.

–Co ich powstrzymało? – spytał prezydent.

–Bali się, że Damaszek poinformował o wszystkim Ocalana wyjaśnił Lincoln. – Nie chcieli atakować, by wrócić z pustymi karni. Utraciliby twarz na całym Bliskim Wschodzie.

–Powiedziałbym, że atak na tamę to prowokacja znacznie większa niż wszystko, co działo się w 1987 – zauważył Vanzandt.

–Owszem, ale problem pozostał ten sam. Co będzie, jeśli okaże się, że mokrą robotę wykonali nie syryjscy, lecz tureccy Kurdowie? Turcja atakuje Syrię w poszukiwaniu winnych, a tymczasem ma ich na swoim podwórku. Akcje Syrii rosną na międzynarodowej giełdzie, Turcji dramatycznie spadają. Turcja nie zdecyduje się na takie ryzyko.

–Panie prezydencie – powiedział sekretarz obrony Colon – niech pan pamięta, że wysadzenie tamy ugodziło nie tylko w Ankarę, lecz także w Damaszek. Moim zdaniem było to dzieło zjednoczonych Kurdów. Próbują wywołać wojnę turecko-syryjską zmuszając Turków, by wkroczyli do Syrii w pościgu za terrorystami. Moim zdaniem Kurdowie będą naciskać, póki nie dojdzie do poważniejszego naruszenia granicy.

–Po co? Spodziewają się dostać ojczyznę w wyniku porozumienia pokojowego?

Colon i Lincoln obaj jednocześnie skinęli głowami. Hood tymczasem przyglądał się jednej z map.

–Czegoś nie rozumiem – powiedział, podnosząc głowę. – Co zyskuje Syria nie dając Turkom zezwolenia na poszukiwanie terrorystów? Damaszek musi ponieść kosztą zabezpieczenia innych źródeł wody, na przykład Orontesu na zachodzie. Wygląda na to, że rzeka ta płynie przez Turcję do Syrii i Libanu.

Owszem – potwierdził Lincoln.

–Jeśli więc Turcja musi powstrzymać Kurdów i Syria musi powstrzymać Kurdów, dlaczego nie zjednoczą sił? To już nie jest sprawa Ocalana. Syria nie ryzykuje sprowokowania Kurdów. Oni już wstąpili na wojenną ścieżkę.

–Syria nie może porozumieć się z Turcją, ponieważ Turcy mają układ o pomocy wojskowej z Izraelem – wyjaśnił Vanzandt. Syria już raczej wspomogła polityczne cele Kurdów, by ocalić inne tamy, niż polityczne cele Turcji, pragnącej zniszczenia Kurdów.

–Syria raczej wspomogła wroga, niż przyjaciela innego wroga – podsumował Colon. – Teraz już wiesz, jak wygląda polityka na Bliskim Wschodzie.

–Lecz przecież Syria musiałaby oddać część swojej ziemi na państwo kurdyjskie! – zdziwił się prezydent.

–Czyżby? – odpowiedział pytaniem Av Lincoln. – Załóżmy, że Kurdowie dostają wreszcie czego chcą, czyli ojczyznę obejmującą część Turcji, Syrii i Iraku. Myśli pan, że Syryjczycy pozostaną bierni? Oni nie grają według obowiązujących zasad. Użyją terroryzmu celem odzyskania kontroli na tym, co było kiedyś ich terytorium, a także celem wciągnięcia części terytorium Turcji w granice Wielkiej Syrii. Dokładnie tak postąpili w Libanie.

–Generale Vanzandt, panowie – powiedział prezydent – musimy znaleźć jakiś

sposób na zagwarantowanie bezpieczeństwa tym innym źródłem wody, a także pomóc Turkom odszukać terrorystów. Proszę o propozycje.

–Lany, Paul – pierwszy zareagował generał Vanzandt – o wewnętrznych operacjach przeciw terrorystom możemy porozmawiać później. Przedstawicie wówczas prezydentowi swe propozycje. Hood i Rachlin skinęli głowami. – A jeśli chodzi o wodę. jeżeli przesuniemy grupę lotniskowca „Eisenhower” z Neapolu na wschodnią część Morza Śródziemnego, będziemy w stanie obserwować Orontes, a jednocześnie zapewnić bezpieczeństwo tureckim szlakiem komunikacyjnym. Musimy zabezpieczyć się przeciw greckim niespodziankom.

–W ten sposób wszyscy poczują się szczęśliwi – stwierdził Burkowi – chyba że Syryjczycy na swój jakże charakterystyczny paranoiczny sposób zdecydują nagle, że to wszystko to tylko zagrywka Stanów Zjednoczonych, pragnących pozbawić ich wody. A gdyby ktoś mnie pytał, powiem, że nie wydaje mi się to najgorszym pomysłem na świecie. Brak wody zmusiłby Damaszek do błyskawicznego wycofania się z terrorystycznego biznesu.

–Ilu zginęłoby przy tym niewinnych ludzi? – spytał Lincoln.

–Niewielu więcej niż wspomagani przez Syrię terroryści zabijają w ciągu następnych kilku lat – odparł natychmiast Burkowi. Wpisał hasło, wywołując na monitor jeden z plików ze swojego archiwum. – Mówiliśmy już tu o szejku ai-Awdahu, prawda? We wczorajszym przemówieniu radiowym nadanym z Palmyry w Syrii szejek był łaskaw powiedzieć: „Wzywamy Boga Wszechmogącego do zniszczenia amerykańskiej ekonomii i amerykańskiego społeczeństwa, do przekształcenia poszczególnych stanów w państwa, które obrócą się przeciwko sobie. Niech bracia obrócą się przeciwko braciom i niech będzie to kara za grzechy niewiernych”. Dla mnie niczym nie różni się to od wypowiedzenia wojny. Wiece, ilu chorych na umyśle fanatyków usłyszy te słowa i spróbuje wprowadzić je w czyn?

–Nie usprawiedliwia to ślepych uderzeń odwetowych – zauważył prezydent. – My przynajmniej nie jesteśmy terrorystami.

–Przecież wiem, panie prezydencie. Tylko że znudziło mi się granie według reguł, których najwyraźniej nie przestrzega nikt oprócz nas. Ładujemy dziesiątki miliardów w chińską gospodarkę, a Chińczycy wykorzystują te pieniądze na rozwój technologii nuklearnych, które sprzedają terrorystom. A dlatego na to pozwalamy? Bo nie chcemy, żeby amerykański biznes ucierpiał przez odcięcie go od chińskich rynków...

–Nie rozmawiamy tu o Chinach – przerwał mu Lincoln.

–Rozmawiamy o cholernej permanentnej różnicy zasad między nami a resztą świata. – Burkowi niemal krzyczał. – Przymykamy oczy, kiedy Iran sprzedaje broń terrorystom na całym świecie. Dlaczego? Ponieważ niektórzy z tych terrorystów dokonują zamachów w innych krajach, nie w naszym. W jakiś perwersyjny sposób zdobywamy w ten sposób sojuszników w walce z terroryzmem. Nie musimy znosić płynącej zewsząd krytyki, jeśli krytykuje się nas za to, że bronimy się przed tym, przed czym bronią się też inne narody. Chcę tylko powiedzieć, że mamy oto okazja przypiec piętę Syryjczykom. Jeśli odetniemy ich od wody, zdławimy ich ekonomi. Jeśli zdławimy ich ekonomię, Hezbollah, obozy terrorystów palestyńskich i nawet

nasi kochani Kurdowie znikają jak sen złoty.

–Zabij ciało, a zabijesz chorobę – zauważył Lincoln. – Daj spokój, Steve.

Powstrzymasz rozprzestrzenianie się epidemii – ciągnął Burkow. – Jeśli zrobimy z Syrii lekcję poglądową, gwarantuję wam, że Iran, Irak i Libia schowają pazurki i zrobią się grzeczne.

–Albo wzmogą wysiłki prowadzące do zniszczenia nas – podpowiedział Lincoln.

–Jeśli spróbują, zmienimy Teheran, Bagdad i Trypolis w kratery wystarczająco wielkie, by dało się sfotografować je z Marsa!

Zapadła pełna zażenowania cisza. Hood przypomniał sobie sceny z „Doktora Strangelove”.

–A gdyby zastosować odwrotną technikę? – spytał Lincoln. Zamiast zaciśniętej pięści wyciągnąć pomocną dłoń.

–Na przykład? – zainteresował się prezydent.

–Uwagę Syrii tak naprawdę zwróciłby nie przepływ wody, lecz przepływ pieniędzy – wyjaśnił Av. – Ich gospodarka leży w gruzach. Na ich rynku jest mniej więcej tyle samo produktów co piętnaście lat temu, kiedy mieli o jedną czwartą mniej ludności. Rozpaczliwie i bezskutecznie próbowali dorównać Izraelowi w sile militarnej, Arabia Saudyjska poważnie ograniczyła im pomoc, nie zarabiają wystarczająco wiele na rynku międzynarodowym, by kupić sobie to, czego potrzebują dla przemysłu i rolnictwa. Mają prawie sześć miliardów dolarów długu zagranicznego.

–Serce mi krwawi – wyznał Burkow. – Mam jednak nieodparte wrażenie, że wystarcza im forsy na finansowanie terrorystów.

–Przede wszystkim dlatego, że tylko w ten sposób mogą wywrzeć nacisk na bogate kraje – wyjaśnił Lincoln. – Założmy teraz, że dajemy Syrii marchewkę, nim sfinansuje kolejny terrorystyczny zamach. A dokładniej, damy im gwarantowany przez Stany Zjednoczone kredyt w Banku Eksportowo-Importowym.

–Tego nam nie wolno! – krzyknął Burkow. – Przede wszystkim Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy muszą potwierdzić zdjęcie ciężaru długu...

–Kraje finansujące mogą także spisać pożyczki dla krajów poważnie zadłużonych – zauważył Hood.

–Tylko pod warunkiem, że pożyczkobiorca zastosuje drastyczne reformy rynkowe pod kontrolą Banku i Funduszu!

–Są sposoby na obejście tych ograniczeń. Możemy pozwolić im na sprzedaż złóż złota...

–Skończy się na tym, że sami będziemy kupować ich złoto, finansując w ten sposób terrorystów dobierających się nam do tyłka. Nie, dziękuję. – Burkow był wyraźnie wyprowadzony z równowagi. Spojrzał na Ava Lincolną. – Jak długo Syria figuruje na czele listy krajów finansujących terroryzm, prawo wyraźnie zabrania nam udzielania jej pomocy finansowej.

–Atak bombą atomową na miasto uważa pan za dozwolony przez prawo? – spytał Paul.

–W samoobronie, owszem – odparł Burkow.

–Doroczny raport Departamentu Stanu na temat terroryzmu udowadnia, że Syria

nie była bezpośrednio wplątana w żaden atak terrorystyczny od 1986 roku, kiedy to dowódca ich wywiadu, Hafez al-Assad, zorganizował wybuch bomby na pokładzie samolotu rejsowego El Al z Londynu – zauważył Lincoln.

–Bezpośrednio wplątana! – roześmiał się Burkow. – Panie sekretarzu, to doprawdy wspaniale. Syryjczycy są równie winni rozwojowi światowego terroryzmu co John Wilkes Booth zabójstwu prezydenta Lincolna. I nie tylko terroryzmowi. W laboratoriach w dolinie Bekaa produkują kokainę oraz morfinę, doskonale fałszują banknoty studolarowe...

–Rozmawiamy o terroryzmie, Steve – przerwał mu Lincoln. Nie o kokainie. Nie o Chinach. Nie o wojnie atomowej. Tylko i wyłącznie o powstrzymaniu ataków terrorystycznych.

Burkow nie wytrzymał.

–Rozmawiamy o udzieleniu pomocy finansowej wrogom tego kraju! – krzyknął. – Nie macie zamiaru ich zniszczyć, to jedno. Nagradzanie ich jest jednak czymś zupełnie innym

–Drobiazg w postaci dwudziestu, powiedzmy trzydziestu milionów dolarów w gwarancji kredytowej na, powiedzmy, ofiary powodzi nie jest pomocą finansową, a już z pewnością nie jest nagrodą – zauważył Lincoln. – Po prostu podsycamy ich apetyt na przyszłą współpracę. W tej chwili tego rodzaju gest może także zapobiec wojnie.

–Oj, Steve, Steve – wtrącił prezydent. – W tej chwili interesuje mnie wyłącznie opanowanie i rozwiązanie tej szczególnej sytuacji. – Spojrzał na Hooda. – Paul, słuchaj, być może zażądam, żebyś ty załatwił tę sprawę. Kto jest twoim doradcą do spraw Bliskiego Wschodu?

To pytanie zaskoczyło szefa Centrum.

–Do tego mam Warnera Bickinga, ale...

–Chłopaka z Georgetown – przerwał mu Rachlin. – Byłego reprezentanta w boksie na Olimpiadzie 1992 roku. Wplątał się w tę pyskówkę, poszło o irackiego boksera, który chciał uciec i...

Hood zerknął na niego, zirytowany.

–Warner to godny zaufania doradca – powiedział.

–Facet bywa kompletnie nieobliczalny. – Rachlin zwrócił się bezpośrednio do prezydenta. – Krytykował politykę azylu politycznego, prowadzoną przez George Busha, w telewizji kablowej, ubrany wyłącznie w czerwone bokerskie szorty i rękawice. Prasa nazwała go „dyplomatą wagi muszej”. Z całej tej sprawy zrobiła wyłącznie żart.

–Mnie potrzebny jest bokser wagi ciężkiej, Paul – powiedział prezydent.

–Warner jest w porządku. – Hood zawsze bronił współpracowników. – Oficjalne raporty opracowuje też dla nas profesor Ahmed Nasr.

–Znam skądś to nazwisko.

–Spotkał go pan na kolacji u szejka Dubaju, panie prezydencie. Doktor Nasr to ten, który po deserze poszedł z pańskim synem pomóc mu napisać wypracowanie o panturkizmie.

–Oczywiście, pamiętam. – Prezydent uśmiechnął się. – Skąd do nas trafił?

–Pracował w Narodowym Centrum Studiów nad Bliskim Wschodem w Kairze – wyjaśnił Paul. – Teraz związany jest z Instytutem Pokoju.

–Jak zagrałby w Syrii?

–Powitaliby go tam z otwartymi ramionami, panie prezydencie. Jest gorliwym wyznawcą islamu i pacyfistą. Cieszy się także reputacja człowieka bezwzględnie uczciwego.

–O, do diabła! – powiedział Larry Rachlin. – Panie prezydencie, w tym szczególnym przypadku Steve ma we mnie sojusznika. Czy naprawdę potrzebujemy egipskiego harcerzyka namawiającego do umiaru rząd państwa finansującego terroryzm?

–Potrzebujemy, skoro wszyscy inni kręcą się w kółko za własnym ogonem. – Prezydent spojrzał na Burkowa, ale nie zganiał go. Paul nie spodziewał się niczego innego. Obaj znali się od zbyt dawna, obaj razem przeżyli zbyt wiele osobistych i zawodowych utarczek. Poza tym Paul wiedział, że prezydent wręcz cieszył się, kiedy Burkwów mówił coś, co jemu, jako naczelnemu dowódcy sił zbrojnych, nie powinno przejść przez gardło. – Paul – mówił dalej prezydent – chcę, żebyś pojechał do Damaszku z profesorem Nasrem.

Paul Hood drgnął lekko. Larry Rachlin i Steve Burkwów wyprostowali się w fotelach. Av Lincoln uśmiechnął się lekko.

–Panie prezydencie, nie jestem dyplomatą – zaprotestował szef Centrum.

–Ależ oczywiście, że jesteś – pocieszył go Av. – Will Rodgers twierdził, że dyplomacja to umiejętność powtarzania „dobry piesek” póki nie znajdzie się wystarczająco solidnego kija. Tyle z pewnością potrafisz.

–Z pewnością potrafisz też rozmawiać z Stryjczykami o wywiadzie i o bankowości – zauważył prezydent. – Dokładnie takiej dyplomacji potrzeba mi w tej chwili.

–Póki nie znajdziemy kija – wtrącił Steve Burkwów.

–Szczerze mówiąc, Paul – kontynuował prezydent – nie wolno mi posłać nikogo z członków gabinetu. Gdybym to zrobił, Turcy poczuli by się zlekceważeni. Osobiście czuję się tak zmęczony ustawianiem mnie jako pionka na szachownicy, jak obecni tu Steve i Larry. Musimy jednak spróbować dyskretnego podejścia. Pani Klaw dopilnuje, byś otrzymał odpowiednie materiały polityczne do lektury podczas lotu. Gdzie w tej chwili znajduje się Nasr?

–W Londynie, panie prezydencie – powiedział Hood. – Wykłada na jakimś sympozjum.

–No to możesz spotkać się z nim właśnie w Londynie. Doktor Nasr pomoże ci doszlifować i dobrze sprzedać wszystko, co twoim zdaniem może zadziałać. Zabierz ze sobą tego twojego studenta, jeśli chcesz. Dzięki niemu będziesz w stanie negocjować z pozycji siły, gdyby doszło do rozmów o uwolnieniu pułkownika Rodgersa. Ambasador Haveles w Damaszku dopilnuje wszystkich kwestii bezpieczeństwa.

Paul Hood pomyślał przede wszystkim o tym, że nie usłyszy dziś córki, grającej w szkolnej orkiestrze na flecie piccolo. Żonę zaniepokoi pewnie fakt, iż musi być

obecny w tej akurat części świata w tym akurat czasie. Z drugiej strony, choć ciężko jest być częścią historii, satysfakcję przecież sprawia to, że choć raz można pomóc ocalić życie kadzi zamiast je narażać.

–Po południu wsiadam do samolotu, panie prezydencie – powiedział.

–Dziękuję, Paul. – Prezydent zerknął na zegarek – Mamy pierwszą trzydzieści dwie. Generale Vanzandt, Steve, spotkanie Kolegium Szefów Sztabów i Rady Bezpieczeństwa odbędzie się w Gabinetce Owalnym o trzeciej. Chce pan przemieścić tę swoją grupę, generale?

–Panie prezydencie, sądzę, że byłoby to bardzo wskazane.

–Więc proszę to zrobić. I proszę przygotować plany wariantowe na wypadek nasilenia się napięcia między stronami konfliktu. Musimy utrzymać go w pewnych granicach.

–Tak jest, panie prezydencie – powiedział generał Vanzandt.

Prezydent wstał, sygnalizując zakończenie spotkania. Wyszedł mając po bokach Kurkova i generała, za nim zaś szli Rachlin i Colon. Sekretarz obrony pożegnał Paula przyjacielskim salutem.

Paul pozostał sarn przy konferencyjnym stole, próbując zebrać myśli. Podszedł do niego- Av Lincoln.

–Pierwszy raz grałem na pozycji miotacza w mistrzostwach powiedział sekretarz stanu – nie dlatego, że byłem gotów do gry, tylko dlatego, że spośród trzech lepszych ode mnie zawodników jeden był chory, drugi kontuzjowany, a trzeci zawieszony. Miałem wtedy osiemnaście lat i bałem się tak, że omal nie popuściłem w gacie, ale mimo to wygrałem swoją grę. Ty jesteś mądry, masz motywację, jesteś lojalny i kierujesz się sumieniem. Paul, wybijesz piłkę za boisko.

Hood wstał. Potrząsnął dłonią Lincolna.

–Dzięki, Av – powiedział. – Mam tylko nadzieje, że nie olśnię wszystkich moimi sukcesami do tego stopnia, że stracisz pracę.

Szli w stronę wyjścia z Sali Sytuacyjnej. Lincoln uśmiechnął się.

–Biorąc pod uwagę, o co idzie gra, mam nadzieję, że olśnisz – powiedział na pożegnanie.

· Poniedziałek, 20.17 – Oguzeli, Turcja

Lowell Coffey przyglądał się przemykającemu za zamkniętym oknem po prawej stronie furgonetki Centrum, mrocznemu pejzażowi tureckiej prowincji. Prowadziła Mary Rose, stukając nerwowo w kierownicę i podśpiewując pod nosem Gilberta i Sullivana. Dobrze wybrała, Coffey rozpoznał piosenkę „Słabi sercem nie zdobędą Pięknej Pani”.

Coffey także się denerwował. Próbował uspokoić się, zamykając oczy i przywołując pod powieki obraz samego siebie, jadącego z ojcem i bratem przez Dolinę Śmierci. Matka nazywała ich „Fasolą Coffeya”, bo jak fasola zapakowani byli ciasno w metalowej puszcze. Lowell oddałby wszystko za jeszcze jedną taką przejażdżkę. Jego ojciec zginął za sterami awionetki w 1983 roku. Brat ukończył Harvard i przeniósł się do Londynu jako współpracownik ambasady amerykańskiej. Matka opuściła kraj wraz z nim. Od tamtych czasów Lowell nie czuł się związany z nikim. Przyjął pracę w Centrum nie tylko dlatego, by mieć jakiś wpływ na życie ludzi, jak to przedstawił Katzenowi, lecz przede wszystkim po to, by poczuć się częścią zespołu. Teraz pracował w ramach CR, lecz nadal brakowało mu owego poczucia wspólnoty.

Czego trzeba, by się pojawiło? – pytał czasami sam siebie. Ojciec opowiadał mu o załodze bombowca i o tym, że jego załoga cieszyła się ową wspólnotą podczas II wojny światowej. Jakieś jej echo brzmiało w uczelnianej wspólnotcie uniwersytetu, który Lowell kończył. Co było tego przyczyną? Niebezpieczeństwo? Odizolowanie od innych? Wspólny cel? Lata znajomości? Prawdopodobnie wszystko po trochu, zdecydował prawnik. A jednak mimo sytuacji, w jakiej się znajdował – a może z powodu sytuacji, w jakiej się znajdował? – nadal miał to senne poczucie wyobcowania, rodzące się pod zamkniętymi powiekami z oszukiwania samego siebie i udawania, że nadal jest z nim ojciec, a góry, o których wiedział, że wznoszą się przed samochodem, to pasmo Panamint, które podziwiał jako mały chłopiec.

Przy terminalu CR, obsługiwanym zazwyczaj przez Mary Rose, siedział teraz Phil Katzen. Przyglądał się widocznej na monitorze barwnej mapie. Na monitorze Mike'a Rodgersa widniał radarowy obraz samolotów tureckich, operujących w środkowej i południowej Anatolii. Katzen obracał się co kilka sekund i przyglądał mu uważnie. W rejonie tym nie było na razie samolotów. Gdyby były, miałby obowiązek zidentyfikowania się i wykonania ich poleceń. Regulamin Centrum Regionalnego jasno określał możliwą aktywność CR w strefie działań wojennych. Treść instrukcji w postaci wydruku trzymał na kolanach.

Rozdział 17: Operacje CR w strefie działań wojennych. Podrozdział 1: Nie wypowiedziana wojna w strefie bez walk.

A. jeśli CR prowadzi rozpoznanie lub inne pasywne operacje na zaproszenie kraju zaatakowanego przez siły zewnętrzne lub na zaproszenie rządu zaatakowanego przez siły powstańcze i jego udział w konflikcie na rzecz zaatakowanego kraju jest legalny w świetle prawa Stanów Zjednoczonych (patrz rozdział 9) i odpowiada polityce administracji, personel CR ma pełną swobodę w operowaniu w

strefie/strefach bez walki oraz bliskiej współpracy z miejscowymi siłami wojskowymi, dostarczając im danych wymaganych, możliwych do uzyskania lub w zakresie określonym przez dyrektora Centrum lub prezydenta Stanów Zjednoczonych (patrz rozdział 9C, legalne operacje zgodne z kartą Narodowego Centrum Rozwiązywania Sytuacji Kryzysowych).

B. Każde działania CR lub personelu CR, opisane w rozdziale 17, podrozdział 1A, ulegają natychmiastowemu zakończeniu, jeśli CR otrzyma rozkaz opuszczenia strefy działań wojennych przez legalnie ustanowionego funkcjonariusza lub przedstawiciela legalnego rządu.

C. Jeśli CR zaproszone zostało na dany teren przez kraj zaatakowany w konflikcie, w którym Stany Zjednoczone pozostają neutralne, personel CR zobowiązany jest działać zgodnie z prawem Stanów Zjednoczonych (patrz rozdział 9A) i wykonywać tylko te działania, które nie uczynią Stanów Zjednoczonych stroną w nieprawnej agresji (patrz rozdział 9B) i dostarczać informacji, których wykorzystanie będzie chronić życie i własność obywateli Stanów Zjednoczonych tak długo, jak działalność ta nie doprowadzi do konfliktu z prawem Stanów Zjednoczonych Ameryki (patrz rozdział 9A, podrozdział 3) lub prawami kraju zapraszającego.

Podrozdział 2: Nie wypowiedziana wojna w strefie walk.

A: jeśli CR znajduje się w kraju prowadzącym wojnę i znalazł się w strefie walk, samo CR oraz jego personel zobowiązane jest wycofać się z największą możliwą szybkością do strefy, bezpieczeństwa.

1. Jeśli niemożliwa jest ewakuacja CR, ma ono zostać rozmontowane zgodnie z rozdziałem 1, podrozdział 2 (samorozmontowanie) lub rozdziałem 12, podrozdział 3 (zdalne rozmontowanie).

2. CR pozostanie w strefie walk tylko po uzyskaniu pozwolenia legalnego i uznanego rządu, w którego jurysdykcji znajduje się dana strefa. Jego działalność w strefie walk musi stosować się ściśle do praw Stanów Zjednoczonych (patrz rozdział 9A, podrozdział 4) i praw kraju zapraszającego.

a: jeśli wyżej wymienione prawa są ze sobą w sprzeczności, personel cywilny ma stosować się do praw miejscowych. Personel wojskowy zobowiązany jest stosować się do procedur

•wojskowych i prawa Stanów Zjednoczonych.

3. Jeśli CR znalazło się w strefie walk lub wkroczyło w strefę walk w momencie wybuchu konfliktu zbrojnego i jeśli przyczyną jego obecności jest w całości lub części zbadanie zdarzeń prowadzących do konfliktu zbrojnego i jego przebieg, w działaniach CR uczestniczyć może tylko personel wojskowy. Personel wojskowy działa w zakresie regulaminu jednostki Iglica, rozdziały 5 do 7.

a. jeśli w CR obecny jest personel niewojskowy, w tym, lecz nie wyłącznie, przedstawiciele prasy, nie wolno im brać udziału w działaniach CR.

B. Jeśli CR znalazło się w strefie walk po wybuchu konfliktu zbrojnego, zastosowanie znajdują przepisy rozdziału 17, podrozdział 2A Dodatkowo, CR musi posiadać jednoznaczne pozwolenie na obecność w danej strefie, wydane przez

legalny i uznany rząd lub jego przedstawiciela, posiadającego władzę w danej strefie.

1. Bez wyżej wymienionego pozwolenia CR działa wyłącznie jako obiekt cywilny, którego celem jest ochrona życia i mienia obywateli Stanów Zjednoczonych.

a. Jeśli wyżej wymienieni cywile znajdują się w obecności personelu wojskowego Stanów Zjednoczonych lub jeśli personel ten jest jedynym ocalałym personelem CR, nie może on działać jako siła partyzancka w rodzącym się lub istniejącym konflikcie, zarówno przeciw rządowi kraju zapraszającego, jak i w imieniu tego rządu, lub by osiągnąć założenie, cele, lub wymagania rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki.

1. Wyżej wymieniony personel wojskowy może użyć broni wyłącznie w samoobronie. Samoobrona zostaje niniejszym określona jako zbrojna obrona personelu Stanów Zjednoczonych, wojskowego i każdego innego, który postanowił opuścić strefę walk nie usiłując wpłynąć na wynik wyżej wymienionego konfliktu zbrojnego.

2. Wyżej wymieniony personel wojskowy może użyć broni w obronie miejscowych obywateli, którzy pragną opuścić strefę walk pod warunkiem, że obywatele ci w żaden sposób nie zamierzają wpłynąć na wynik wyżej wymienionego konfliktu zbrojnego.

Lowell Coffey był zdania, że rozdział 17, podrozdział 2, punkt B1a1 daje im, jako cywilom, prawo do wyciągnięcia Mike'a z kłopotów. Po drodze spierali się tylko, czy wyciągnięcie z podobnych kłopotów pułkownika Sedena jest aktem walki partyzanckiej. Pułkownik był tureckim żołnierzem, który wkroczył w strefę z zamiarem prowadzenia walki, tak więc rozdział 17, podrozdział 2, punkt B1a1 zdecydowanie się do niego nie stosował. Coffey twierdził jednak, że jeśli Seden jest ranny, mowa przeprowadzić jego ewakuację w zgodzie z kartą Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Zgodnie z rozdziałem 8, podrozdział 3, punkt A1a, CR mogło działać w zgodzie z kartą Czerwonego Krzyża i ewakuować rannych nie biorących udziału w walce. Zależało to od decyzji kierującego jego akcją.

Od miejsca, z którego telefonował Mike Rodgers, dzieliło ich jeszcze jakieś pięć minut jazdy. Szeregowi Pupshaw i DeVonne skulili się w schowkach na akumulatory, pod podniesioną podłogą. Większość akumulatorów usunięto i ustawiono z boku, by zrobić im miejsce. W rezultacie CR dysponowało wyłącznie radiem, radarem i łącznością telefoniczną. Poruszało się też napędzane paliwem, a nie elektrycznością.

Żołnierze Iglicy mieli na sobie czarne mundury do walki nocnej. Uzbrojeni byli w potężne M21. Nosili także wzmacniacze obrazu, umocowane do hełmów. Urządzenia te umożliwiały nie tylko widzenie w nocy, lecz także połączone były elektronicznie z czujnikami podczerwieni na M21. Czujniki owe, wielkości małych kamer wideo, zdolne były zidentyfikować cel na odległość do dwóch tysięcy dwustu metrów, nawet przez liście i gałęzie drzew. Dane w postaci wizualnej przekazywane były do prawego okularu. Ponieważ żołnierze znajdowali się w ciasnym wnętrzu, nie mieli na sobie plecaków z końcówką komputera. W normalnej sytuacji bojowej komputery owe przekazywały czarno-białe mapy terenu i inne dane do lewego okularu. Pupshaw i DeVonne musieli także pozostawić na zewnątrz pasy, dodatkową amunicję i maski przeciwgazowe, schowane teraz w małej szafce z tyłu furgonetki. Zaraz po wyjściu z

ukrycia DeVonne miała uzupełnić sprzęt dla obojga, podczas gdy zadaniem Pupshawa było prowadzenie rozpoznania przez jednostronne lustro z tyłu samochodu. Katzen, dowódca misji, mianował dowódcą akcji bezpośrednio Pupshawa, na co zezwalał mu regulamin CR.

–Pięć minut do celu – powiedział Katzen.

Szeregowi skulili się w schowkach akumulatorowych. Coffey pomógł im je zamknąć. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, podszedł do Katzena.

–Dobrze, że nie cierpią na klaustrofobię – powiedział.

–Gdyby cierpieli, nie byłiby w Iglicy – odparł Katzen.

Prawnik obserwował komputerową mapę, przesuwaną tak, że wzgórze, będące ich celem, wędrowało ku środkowi monitora.

–Mam pytanie – powiedział.

–Niech pan strzela, panie radco.

–Tak się zastanawiam... jaka właściwie jest różnica między morświnem a delfinem?

Katzen roześmiał się.

–Polega ona głównie na kształcie tułowia i pyska – wyjaśnił. Morświn na kształt torpedy, zęby jak łopaty i tępy pysk. Ciało delfinów przypominają ciała ryb, ich zęby są szerokie, pysk zaś ma kształt dziobu. Pod względem temperamentu nie ma prawie żadnych różnic.

–Delfiny wydają się jednak sympatyczniejsze, ponieważ w mniejszym stopniu przypominają drapieżniki, prawda?

–Owszem, tak.

–To może wojskowi powinni przemyśleć to sobie projektując kolejną generację okrętów podwodnych i czołgów. Przeciwnik może zawahać się przed storpedowaniem okrętu w kształcie przyjaznego delfina lub odpaleniem rakiety do czołgu wyglądającego jak słoń Dumbo.

–Na twoim miejscu pozostałbym przy prawie – stwierdził Katzen. Spojrzał przez przednią szybę. – Obudź się, Mary Rose. Według mapy powinniśmy w tej chwili wjeżdżać na wzniesienie...

–Widzę – przerwała mu dziewczyna.

Po grzbiecie Coffeya pociekł lodowaty pot. Zupełnie nie przypominało to sytuacji, kiedy stawał przed sędzią lub jakimś senatorem. Wówczas czuł treść, teraz strach. Furgonetka zjeżdżała stromo drogą, prowadzącą do stóp wzniesienia. Chwył się oparcia pustego siedzenia Mike'a.

–O, cholera – krzyknęła Mary Rose, z całej siły wciskając hamulce.

–Co się stało? – krzyknął Katzen.

Obaj z Coffeyem wyjrzeli przez przednią szybę. Pośrodku drogi leżała martwa owca o szorstkiej brudnobiałej wełnie. Droga była wąska, z obu stron ograniczona rowami. Żeby jechać dalej, trzeba było po niej przejechać.

–Dzika owca – zawyrokował Katzen. – Dzikie owce żyją tu, na północy, na wzgórzach.

–Pewnie potrafił ją samochód – powiedziała Mary Rose.

–Nie sądzę. Zwierzę tej wielkości... na wełnie powinny pozostać ślady opon.

–A co ty o tym sądzisz? – spytał Coffey. – Zastrzelono ją i rzucono na drogę?

–Nie wiem – przyznał Katzen. – Niektóre oddziały wojskowe strzelają dla treningu do dzikich zwierząt.

–Może nasi rozwalacze tam? – zaryzykowała Mary Rose.

–Nie – odparł zdecydowanie Katzen. – Oni by ją pewnie zjedli. Bardziej prawdopodobne, że był to oddział turecki. No dobrze, wieziemy dwójkę żołnierzy, którym wkrótce potrzebne będzie świeże powietrze. Rozjedź ją.

–Chwilę – powiedział Coffey.

Katzen spojrzał na niego, zdziwiony.

–O co chodzi? – spyta.

–Może... może ją zaminowano?

Phil skulił się w siedzeniu.

–Nawet o tym nie pomyślałem, Lowell. Dobra robota.

–Terrorysty mogliby ją zaminować, żeby zwolnić postępy oddziałów zmechanizowanych.

Phil Katzen zerknął na rowy po lewej i prawej stronie.

–Będziemy zmuszeni zjechać z drogi – zawyrokował.

–Chyba że zaminowano pobocza – powiedział prawnik. Może tę owcę rzucono na drogę, żeby skierować pojazdy na bok?

Dowódca akcji milczał przez chwilę, po czym zdjął latarkę z uchwytu między przednimi siedzeniami i otworzył drzwi od strony pasażera.

–W ten sposób do niczego nie dojdziemy – stwierdził. – Ściągnę tę cholerną owcę z drogi. Jeśli wylecę w powietrze, będziecie wiedzieli, że możecie spokojnie jechać dalej.

–O, nie – zaniepokoił się Coffey. – Nigdzie nie idziesz.

–A mamy wybór? Wykrywacz metali podłączony jest do głównego komputera. Rozłączyliśmy akumulatory i nie mamy czasu, żeby je podłączyć z powrotem.

–Musimy znaleźć czas. Albo przynajmniej wysłać Iglicę, niech zbadają drogę...

Katzen precyzyjnie się do wyjścia, siłą usuwając prawnika z drogi.

–Na to też nie mamy czasu. – Wyskoczył na drogę. – Poza tym Iglicy będziemy potrzebowali do wyciągnięcia Mike'a i pułkownika. – Uśmiechnął się. – Zrobiłem wiele dobrego dla zwierząt. To zwieszę nie odważy się mnie skrzywdzić.

–Proszę, uważaj na siebie – powiedziała Mary Rose.

Katzen obiecał jej, że będzie na siebie uważał i przeszedł przed furgonetkę. Coffey wychylił się z niej. Choć nocne powietrze było zdumiewająco chłodne, usta miał suche, a czoło wilgotne. Obserwował przyjaciela, podchodzącego do owcy w świetle latarki i reflektorów furgonetki. Jakies pięć metrów przed truchłem Katzen zatrzymał się, oświetlając drogę dookoła.

–Nie widzę żadnych przewodów – powiedział, poświecił przed siebie i powoli, ostrożnie, obszedł martwe zwierzę. – Nie wygląda też na to, żeby przekopano ziemię. – Podeszedł bliżej i oświetlił owcę. Krew zabłysła jaskrawą czerwienią. Wyływała z co najmniej dziesięciocentymetrowej rany. Katzen dotknął jej.

–Ani śladu koagulacji – powiedział. – Zabito ją najwyżej przed godziną. Rana bez wątplenia postrzałowa. – Pochylił się, zjrzał pod owcę. Wsunął pod nią lewą rękę. – Nie ma przewodów, nie ma plastiku... o ile mogę stwierdzić. Dobra, kochani. Ściągam to bydlę.

Krew, łomocząca w sercu i skroniach Coffeya, stłumiła cichy pomruk silnika furgonetki. Prawnik doskonale zdawał sobie sprawę, że do wybuchu nie były potrzebne żadne kable i przewody. Wystarczyło położyć martwe zwierzę na minie ziemnej.

Katzen odłożył latarkę i złapał owcę za zad. Lowell bał się, to prawda, lecz nie strach powstrzymał go przed dołączeniem do przyjaciela. Pozostał w furgonetce, bo wiedział, że gdyby coś stało się Katzenowi, on będzie musiał pomóc Mary Rose oraz kołnierzmom Iglicy wykonać zadanie.

Phil złapał owcę i pociągnął ją. Mary Rose ścisnęła ramię Lowella aż do bólu. Ciało zwierzęcia przesunęło się o kilka centymetrów. I znów kilka. Po pięciu sekundach owca leżała już na poboczu. Obszedł ją, poświecił latarką.

–Żadnych pułapek – oznajmił.

Obyło się bez niespodzianek. Phil wrócił do samochodu, mocno spocony.

–O co tu, do cholery, chodziło? – spytał, zdziwiony.

Coffey wpatrywał się w ciemność.

–Martwa owca mogła być ofiarą ćwiczeń w strzelaniu, tak jak przypuszczaliśmy – powiedział. – A może tam, na zewnątrz, rzeczywiście był ktoś, kto nas obserwował. Żeby sprawdzić, co mamy w środku.

Katzen sięgał już po klamkę drzwi, kiedy do wnętrza wpadł niewielki przedmiot i eksplodował z porażającym zmysły hukiem.

· Poniedziałek, 20.35 – Oguzeli, Turcja

Patrzą, a nie widzą, pomyślał Ibrahim.

Młody Kurd zastrzelił dziką owcę i wciągnął ją na drogę po to, by zatrzymać samochód. Kiedy samochód się zatrzymał, wyczołgał się z rowu, w którym się ukrywał, podpełzł do furgonetki od tyłu, wsunął się pod samochód i założył maskę przeciwgazową. Widział, że okna furgonetki są zamknięte. Wiedział, że do obezwładnienia Amerykanów wystarczy jeden granat gazowy.

Po wybuchu wszedł do samochodu i otworzył okna, by wypuścić dym. Zaskoczył go i uradował widok wszystkich tych komputerów. Samo wyposażenie, a i dane też, z pewnością dadzą się użyć.

Sprawdził stan trójki Amerykanów. Oddychali krztusząc się. Przeżyją. Pociągnął nieprzytomnego mężczyznę ku kabinie. Usadził ich wszystkich, plecami do siebie, za siedzeniem pasażera. Nożem wyciął kawałki pasów bezpieczeństwa, po czym związał jeńców ze sobą, nadgarstkami. Nogi skrępował każdemu z nich w udach i kostkach.

Rozejrzał się po wnętrzu furgonetki i zajął miejsce kierowcy. Nagle wydało mu się, że ktoś z tyłu się zadławił. Dostrzegł umieszczoną między siedzeniami latarkę. Oświetlił nią tył furgonetki: Dopiero teraz zauważył kłapy w podłodze. Podeszedł do nich, wyjmując trzydziestkęósemkę z kabury przy pasie.

Dwa schowki w podłodze wydawały się wystarczająco wielkie, by pomieścić człowieka. Znów usłyszał odgłos dławienia się. W lewym schowku z całą pewnością ktoś się ukrywał.

Ibrahim poczuł pokusę wpakowania w schowek paru kul przed podniesieniem kłapy, zdołał się jednak powstrzymać. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ktokolwiek tam jest, jest nieprzytomny, praktycznie uduszony gazem łzawiącym, tak jak pozostała trojka. Pochylił się i celując w podłogę z rewolweru, odrzucił pierwszą klapę.

Kobieta. Kobieta w czarnym mundurze, uzbrojona w M21, mająca przy hełmie coś wyglądającego jak noktowizor. Przytomna, ale nie całkiem. Pod jej głową dostrzegł kałużę wymiocin.

Ibrahim otworzył drugą klapę. Żołnierz, w takim samym mundurze i tak samo wyposażony jak kobieta.

A więc ten Amerykanin zdołał ostrzec swoich ludzi, pomyślał Ibrahim. Próbowali wprowadzić do akcji dwójkę żołnierzy. Próbowali ich zabić. Allah czuwał jednak nad nimi, błogosławione niech będzie imię jego.

Ibrahim wyciągnął ze schowka mężczyznę. Zdjął mu hełm i czarną koszulę, którą pociął na pasy. Posadził go na tylnym siedzeniu, ręce przywiązał mu do ud, stopy także. Kobietę posadził na drugim siedzeniu i skrępował podobnie.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, przyjrzał pięć jeńców, schował rewolwer do kabury i wrócił za kierownicę. Mrugnął trzykrotnie światłami – sygnał dla Hasana, by przepuścić samochód i szybko pokonał odległość dzielącą go od szczytu wzgórza.

· Poniedziałek, 14.01 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

Z głośników po obu stronach monitora komputera Paula Hooda rozległ się elektroniczny sygnał. Dyrektor Centrum spojrział na ekran. U dołu dostrzegł kod Boba Herberta. Wcisnął klawisz Ctrl.

–Tak, Bob?

–Szefie, wiem, że się śpieszysz, ale jest coś, na co powinieneś rzucić okiem.

–Coś nie tak? Co z Mike'em?

–Może to dotyczyć bezpośrednio właśnie Mike'a – powiedział Herbert – i bardzo mi przykro, ale wygląda kiepsko.

–Wysyłaj.

–Już się robi.

Paul odchylił się w fotelu i czekał. Jeszcze przed chwilą przegrywał tajne dane na dyskietki, które miał zabrać ze sobą do samolotu. Dyskietki te zostały specjalnie zaprojektowane do użytku podczas lotów rządowych. Plastik osłony rozgrzewał się w ogniu, choć nie topił. W przypadku katastrofy nie sposób było odczytać danych przez niepowołane osoby.

Biały Dom wysyłał helikopter do bazy Andrews. Paul wraz ze swym asystentem, Warnerem Bickingiem, miał znaleźć się w samolocie Departamentu Stanu, odlatującym do Londynu o piętnastej. Doktor Nasr powinien czekać na nich na Heathrow. Rejsowy samolot do Syrii startował godzinę później. Paul czekał, aż dane skopiują się na dyskietki, a kiedy twardy dysk przestał potrzaskiwać, nadal wpatrywał się w pusty ekran.

–Jeszcze sekundka – poinformował go Bob Herbert. – Na monitorze będziesz miał za chwilę obraz.

–Sekundkę poczekam. – W głosie Paula zabrzmiała nutka zniecierpliwienia. Właśnie próbował wyobrazić sobie, co może być gorszego od terrorystów, przetrzymujących jako zakładnika Mike'a Rodgersa.

Mike Rodgers zakładnikiem, pomyślał z goryczą. Rozgoryczona i zawiedziona żona. Jeszcze jeden problem i masz klasyczny hat trick

Tyle że nie o takim hat tricku marzył.

Niespełna dwie minuty temu Paul zadzwonił do Sharon z informacją, że nie będzie go w domu na wieczornej partyjce Scrabble z ich dobrymi przyjaciółmi, Robertem i Joyce Waldmanami z Wydziału Budownictwa i Rozwoju Miasta. Że nie zdąży na środowy szkolny koncert córeczki, Harleigh, grającej na flecie piccolo i niemal z pewnością nie będzie na pucharowym meczu piłki nożnej syna, Alexandra. Sharon zareagowała tak, jak zawsze reagowała, kiedy obowiązki zawodowe przedkładał nad życie rodzinne – zrobiła się nagle zimna, daleka. Taka też miała być, póki mąż nie wróci do domu. Reagowała tak częściowo dlatego, że bała się o niego. Amerykańscy funkcjonariusze rządowi i biznesmeni za granicą, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, wyróżniali się z tłumu i nie byli szczególnie lubiani, a po doświadczeniach męża z francuskimi Nowymi Jakobinami Sharon niepokoiła się o niego bardziej niż kiedykolwiek.

Chyba jednak bardziej niż bezpieczeństwo Paula żonę martwiło to, że czas ucieka, a nie spędzają go razem. Brakowało im wspomnień, wzbogacających małżeństwo... i czyniących je trwalszym. Co za ironia – Paul wyrzekł się polityki i bankowości ze względu na zbyt długie godziny pracy. Zarządzanie Centrum miało być w założeniu kierowaniem małą grupką ludzi, zajmujących się skromnymi, krajowymi kryzysami. Potem jednak pojawiła się historia koreańska i nagle Centrum awansowało do ligi międzynarodowej, w której stanęło w jednym szeregu z potwornie biurokratycznie obciążoną CIA Zakres odpowiedzialności Paula zwiększył się dramatycznie.

Sam fakt, że ciężko pracował, nie czynił z niego jednak złego człowieka. Zapewniał rodzinie życie na wysokim poziomie, a jego dzieci stykały się z interesującymi ludźmi i wydarzeniami. Niestety, Paul musiał zmagać się z tym, że przynależna mu wolność do pracy, ciężkiej pracy, powodowała u żony zwykłą, prostą zazdrość. Sharon musiała ograniczyć swe programy o zdrowej kuchni w kablowych audycjach Andy McDonnell do dwóch tygodniowo. Nie miała po prostu czasu, by występować codziennie, wozić dzieci tam, gdzie akurat miały być dowieszone i jeszcze prowadzić dom. Paul współczuł żonie, nic jednak nie potrafił poradzić na to, co się stało.

Chyba że wracałbym do domu na czas, pomyślał. Co brzmi, oczywiście, wspaniale, tyle że po prostu nie jest możliwe. Nie w mieście, funkcjonującym w rytmie czasu międzynarodowego.

–No, jest – powiedział Herbert. – Obserwuj lewą stronę monitora.

Paul pochylił się w fotelu. Widział bardzo drżący film, przedstawiający najwyraźniej CR, stojące w ciemności. Widoczny w dolnym lewym kącie monitora kod świadczył, że obserwuje sekwencję zdjęć wykonanych przez NBR, puszcanych jedno po drugim. Interwał między zdjęciami wynosił około sekundy.

–Czy patrzę na coś szczególnego? – spytał. – Czy to Phil?

–Owszem – przytaknął Bob Herbert. – Ściąga coś z drogi. Psa, może owcę. Ale nie to powinieneś sobie obejrzeć. Obserwuj tył CR.

Paul zastosował się do polecenia. W ciemności za furgonetką coś poruszyło się, zadrżało, choć oczywiście mogło to być skutkiem zakłóceń atmosferycznych między fotografowanym obiektem a satelitą. Nagle, tylko na jednym zdjęciu, pojawił się słabutki błysk. Kilka klatek później taki sam błysk zarejestrowany został w innym miejscu.

–Co to było? – spytał Hood.

–Przepuściłem zdjęcia przez komputer. Najpierw myśleliśmy, że mamy do czynienia z ćmą lub czymś takim, ale komputer potwierdził, że to odbicie, prawdopodobnie od kryształu kwarcu w zegarku. Obserwuj dalej.

Paul wpatrywał się w monitor. Widział Phila Katzena, wracającego do samochodu. Przez kilka klatek furgonetka stała nieruchomo z otwartymi tylnymi drzwiami. Nagle rozbłysło światło. Ktoś, najwyraźniej w masce przeciwigazowej, znalazł się w środku.

–No, nie. Tylko nie to!

Herbert zatrzymał film.

–Jak widzisz – powiedział – ktokolwiek znalazł się teraz w CR, jest uzbrojony. Wygląda to na trzydziestkęósemkę przy pasie i czechosłowacki VZ 25 kalibru 9 mm

na ramieniu. Darrell twierdzi, że w 1994 Kurdowie hurtowo kupowali pistolety maszynowe VZ 25 na Słowacji.

Obrazy na monitorze komputera znów nabrały życia. Przez chwilę Paul nie potrafił rozpoznać niczego, zdjęcia robione były niemal dokładnie z góry. Po chwili jednak, to, co zobaczył, uleczyło go z poczucia winy i sprawiło, że zapomniał o rodzinie.

–Za mniej więcej cztery minuty – powiedział Bob Herbert światła CR błysną trzykrotnie. Najwyraźniej ktoś, kto go teraz kontroluje, zasygnalizował coś komuś znajdującemu się przed pojazdem.

–Jak to się stało? – spytał Paul. – Mike przecież. nie powiedziałby im słowa o CR.

–Naszym zdaniem ci ludzie nie wiedzieli o nim nic, aż do chwili jego pojawienia się. Prawdopodobnie czekali po prostu, aż zjawi się wezwany przez Mike'a środek transportu. Mieli szczęście.

–Jak tego dokonali?

–Przypuszczam, że wystawili czujkę przy drodze. Na wszelki wypadek Użyli gazu, kiedy samochód zatrzymał się przed przeszkodą. Dobra nowina – intruz po wejściu nie zastrzelił naszych ludzi.

–Skąd wiesz?

–Widzielibyśmy błyski.

–Tak, oczywiście – powiedział Hood.

Zadałeś głupie pytanie, pomyślał. Do cholery, uważaj na to, co się dzieje.

–Być może zginęli w wyniku działania gazu?

–Niezbýt prawdopodobne – stwierdził Herbert. – Napastnicy nic nie zyskują zabijając załogę. Żywa załoga to zakładnicy. Mogą podpowiedzieć Kurdom, jak wydostać się z Turcji. Albo... – głos Herberta zrobił się niezwykle poważny -... zdradzić im sposób wykorzystania CR.

Paul doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Mike i oboje żołnierze Iglicy raczej umarliby, niż pomogli porywaczom poznać sekrety Centrum Regionalnego. Nie wiedział jednak, czy Phil Katzen, Coffey i Mary Rose poświęciliby życie dla zachowania tajemnicy. Nie wierzył także, by Mike im na to pozwolił.

–Nasze możliwości wyboru zostały poważnie ograniczone, prawda? – spytał.

–Poważnie – odparł Herbert.

Zgodnie z procedurami dotyczącymi CR, ustalonymi przez Rodgersa, Coffeya, Herberta i ich doradców, na wypadek przejęcia go przez wroga natychmiastową reakcją miało być „spalenie” sprzętu. Jednoczesne wciśnięcie klawiszy Ctrl, Alt, Del i F na którejkolwiek z klawiatur spowodowałoby przepływ z akumulatorów prądu o napięciu wystarczającym, by spalić główne obwody komputerów i ich zasilanie. Pod każdym praktycznym względem „spalone” CR zmieniało się w zwykłą, zasilaną benzyną lub gazem furgonetkę. Jeśli z jakiegoś powodu procedury tej nie można było uruchomić, załoga Centrum miała zniszczyć CR wszelkimi dostępnymi jej sposobami. Gdyby przeciwnik zyskał dostęp do łącz telekomunikacyjnych i kodów, zagrożone byłoby bezpieczeństwo narodowe oraz działalność i życie dziesiątków tajnych współpracowników.

Zaprojektowawszy systemy nawet Mike Rodgers przyznał, że nie ma sposobu

stwierdzić, co on lub ktokolwiek inny zrobi, gdyby CR kiedykolwiek dostało się w ręce nieprzyjaciela. Doświadczony negocjator w przypadkach porwania, Herbert przyznał nawet, że warto byłoby utrzymać zdolność operacyjną CR, gdyby dało się ją przehandlować za życie zakładników.

Ale przecież były to tylko przypuszczenia, pomyślał Hood. Nikt z nas nie sądził, by coś takiego miało się kiedykolwiek zdarzyć.

Na ekranie komputera zobaczył błyskające trzykrotnie światła samochodu. Na tym film się zakończył.

–Co się dzieje teraz – powiedział Bob Herbert – każdy z nas niech się domyśla samodzielnie. Na miejscu zapadła ciemność. Viens dał nam priorytet A-1 i próbuje zrobić zdjęcia w podczerwieni. Przeprogramowanie najbliższego satelity i zmiana orbity zajmie jednak do dziewięćdziesięciu minut.

Paul Hood wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w wygaszony monitor. Spełnił się oto jeden z jego najgorszych koszmarów. Wszystko co zaplanowali, wszystkie ich cuda techniki pokonali ludzie, których Mike Rodgers nazywał „ulicznym gangiem”. Ludzie walczący bez strachu i nie uznający w walce żadnych zasad. Ludzie nie bojący się śmierci i nie lękający się zabijania. Sam Paul Hood wyciągnął naukę ze strajków oraz zamieszek ulicznych w Los Angeles z czasów, kiedy był burmistrzem, a brzmiała ona: rozpacz czyni z przeciwnika śmiertelnego wroga.

Z owych czasów wyciągnął jednak jeszcze jedną naukę: przeciwności losu czynią silnego przywódcę jeszcze silniejszym. Będzie musiał przejść do porządku dziennego nad poczuciem winy, nad rozczarowaniem, będzie musiał zapomnieć o nieprzewyciężonej chęci kopnięcia czegoś, łącznie z sobą samym. Musi uspokoić się i być dowódcą swych ludzi.

–Bob – powiedział – w bazie Sił Powietrznych Incirlik mamy oddział uderzeniowy, prawda?

–Niewielki. Możemy go użyć wyłącznie w Turcji.

–A to dlaczego?

–Ponieważ w oddziale tym są też Turcy. Jeśli Amerykanie i Turcy wspólnie wkroczą do któregoś z krajów arabskiego, zostanie to odebrane jako akcja NATO, wywoła burzę wśród naszych europejskich sojuszników i robi nam wrogów nawet z przyjaznych krajów arabskich.

–Świetnie – stwierdził Hood. Oczyszczył ekran i wywołał nań szablon dokumentu. Zaczął wypełniać odpowiednie rubryki. W takim razie – powiedział – kieruję w rejon działań Iglicę.

–Bez uprzedniej zgody Kongresu?

–Jeśli Martha załatwi zgodę w ciągu najbliższych dziewięćdziesięciu minut, doskonale. Jeśli nie, działamy bez zgody. Nie będę czekać, aż dogadają się ci pyskacze.

–To rozumiem – stwierdził z satysfakcją Herbert. – Załatwię C-141B w wersji do operacji pustynnych.

–Jeśli CR pozostanie w Turcji lub w północnej albo wschodniej Syrii, Iglica może lądować w Incirlik. Jeśli przesunie się na południe lub zachód Syrii albo do Libanu,

powinniśmy mieć ją gdzieś w Izraelu.

–Izrael z radością powita każdego chętnego do nakopania. terrorystom w tyłek – ucieszył się Herbert. – Znam tam nawet odpowiednie miejsce na bazę.

Paul wziął do ręki pióro świetlne i podpisał się na monitorze. Jego podpis pojawił się na rozkazie bojowym Iglicy, noszącym numer 9. Zachował dokument na twardym dysku, po czym wysłał go e-mailem do Marthy Macall i pułkownika Bretta Augusta, nowego dowódcy Iglicy. Odłożył pióro. Postukiwał palcami w blat biurka, w żalobnym rytmie.

–Dobrze się czujesz? – spytał go Herbert.

–Jasne. Czuję się z pewnością o klasę lepiej, niż Mike i ci biedacy z CR.

–Mike ich przez- to przeprowadzi – powiedział Herbert. Słuchaj, szefie, może poczułbyś się lepiej, gdybyś zabrał się z Iglicą na Bliski Wschód. Oni przecież znajdują się tam przed tobą!

–Nie. Muszę porozmawiać z Nasrem o syryjskiej strategii. Poza tym ty, Mike, że nie wspomnę o Iglicy... wy wszyscy nosiliście kiedyś mundury. Ja nie. Nie czułbym się dobrze zajmując honorowe miejsce, na które nie zasłużyłem.

–Posłuchaj, co ci mówię. Lot C-1418 to nie przejażdżka na karuzeli w Disneylandzie. A poza tym przecież wcale nie uciekałeś przed mundurem. Podczas poboru byłeś 1A, tyle że cię nie wylosowali. Myślisz, że zaciągnąłbym się, gdyby komenda uzupełnień nie złapała mnie za kołnierz i nie powiedziała: „Panie Herbert, Wuj Sam pana potrzebuje”?

–Słuchaj, Bob, czułbym się nieswojo i to załatwia sprawę. Proszę, wprowadź pułkownika Augusta w sytuację i przedyskutuj z nim wszystkie szczegóły. Przefaksuj założenia misji do naszej ambasady w Londynie, chcę dostać je na Heathrow. Pluskwa ma cały rozkład jazdy.

–Zrobione, Paul. Ale nadal uważam, że przesadzasz z tym lotem C-141 B.

–Na to nic nie potrafię poradzić. Jeśli pojawi się coś nowego, masz dzwonić bezpośrednio do mnie. Chciałbym też, żebyś dostał jakąś fachową pomoc. Jak sądzisz, czy ma sens skorzystanie z naszych kurdyjskich źródeł osobowych?

–Nie, moim zdaniem nie ma to najmniejszego sensu. Gdyby nasze kurdyjskie źródła były bezbłędne, wiedzielibyśmy o zamiarze wysadzenia tamy. Wiedzielibyśmy przynajmniej, kim są ci, którzy ją wysadzili.

–Słuszna uwaga. Ale... kogokolwiek tam masz, sięgnij do tajnego budżetu i zapłać mu za informacje. Dobrze zapłać, nie stać nas na błąkanie się po omacku.

–Właśnie zamierzałem to zrobić.-W tej chwili rozmawiamy z naszymi informatorami. Próbuje uzyskać informacje dotyczące trasy ucieczki ludzi, którzy wysadzili tamę. Mamy też kogoś, kto mógłby znaleźć się na miejscu z Iglicą.

–Doskonale. Z samochodu zadzwonię do Marthy i wyjaśnię jej sytuację. Będzie musiała pójść do senator Fox i stanąć przed kongresową Komisją Nadzoru Wywiadu.

–Dobre wiesz, że Martha nie będzie z tego powodu ani odrobinę szczęśliwsza – ostrzegł Paula Herbert. – Właśnie montujemy tajną operację bez uprzedniej zgody Kongresu, płacimy kurdyjskim nieprzyjaciołom jej przyjaciół w Damaszku i Ankarze...

–Tylko że jej przyjaciele tyłka nie ruszą, żeby nam pomóc zdenerwował się Paul. –

Będzie musiała to przeżyć.

–Będzie musiała przeżyć także to, że operację zaplanowaliśmy bez jej udziału.

–Już mówiłem, zadzwonię z samochodu i wszystko jej wyjaśnię. Jest naszym szefem działu politycznego, na litość Boską, nie członkiem syryjskiego czy tureckiego lobby. – Paul wstał od komputera. – Jest coś, o czym zapomniałem? – spytał.

–Tak – odparł Herbert.

–Co?

–Mam nadzieję, że nie pomyślisz sobie, że wyrywam się przed orkiestrę, ale powinieneś przysiąc i uspokoić się trochę.

–Dzięki za radę, Bob. Sześcioro z moich ludzi jest w rękach terrorystów, wraz z kluczem do tajemnic wywiadu Stanów Zjednoczonych. Biorąc to wszystko pod uwagę sądzę, że jestem całkiem spokojny.

–Całkiem spokojny, zgoda – powiedział Bob Herbert – ale całkiem spokojny nie znaczy wystarczająco spokojny. Nie tobie jednemu rozpalono ognisko pod fotelem. Wczoraj wieczorem jadłem kolację z Donem Worby z biura głównego księgowego. Don powiedział mi, że w zeszłym roku przeszło sześćdziesiąt pięć procent hackerów, włamujących się do zasobów komputerowych Departamentu Obrony, odniosło sukces. Zdajesz sobie sprawę, ile tajnych informacji dostępnych jest teraz dla każdego? CR to tylko szpica w wielkiej i ważnej bitwie.

–Zgoda, tylko że właśnie ta szpica znajduje się pod moim dowództwem. Nie mów mi, że im więcej tym lepiej. Nie w takiej sytuacji.

–Dobrze, nie będę. Ale, Paul, przeżyłem więcej niż kilka sytuacji z udziałem zakładników. Wywiera się na ciebie ciśnienie emocjonalne, co samo w sobie jest straszne, ale dodatkowo jesteś też zdezorientowany. Zmuszono cię do działania poza naszym stabilnym układem. Nie masz listy startowej, nie masz powszechnie uznanych procedur. Przez kilka następnych dni... tygodni... miesięcy... obojętnie, ile potrwa ta sytuacja, będziesz zakładnikiem takim jak Mike, zakładnikiem kryzysu, podporządkowującym się każdemu kaprynowi terrorystów.

–To rozumiem -powiedział Paul. – Ale nie muszę przecież polubić.

–Nie, nie polubić. Musisz to po prostu zaakceptować. Musisz zaakceptować to, co się dzieje, i musisz zaakceptować swój udział w tym, co się dzieje. Dokładnie tak jest z Mike'em. Mike wie, co ma robić. Jeśli zdoła wyciągnąć swych ludzi, wyciągnie ich. Jeśli nie, zmusi ich, by bawili się w gry słów, wymyślali limeryki jeden Bóg wie o czym, zmusi ich, by rozmawiali o rodzinach. Jakoś ich przez to przeciągnie. Ten ciężar spoczywa na jego barkach. Ty musisz się zająć resztą. Ty musisz przekroczyć te wrota z dobrymi pomysłami w zanadrzu. Ty musisz pilnować, by po tej stronie wszyscy, włącznie z tobą, zachowali spokój i zdrowy rozsądek. A może to być bardzo trudne. Zyskamy pewnie informacje, że nasi ludzie są źle traktowani. Nie dostają wody, nie dostają jedzenia, są torturowani. W grupie mamy dwie kobiety. Być może zostaną zgwałcone. Jeśli nie jesteś rozluźniony i gotów na wszystko, pęknie. Gniew, mściwość, wypominanie sobie popełnionych pomyłek, to wszystko sprowadzi cię na manowce. Zacznieś popełniać błędy.

Hood wyjął dyskietki z komputera. Bob miał rację. On sam przecież miał już ochotę wyżyć się na Marthcie, na sobie samym, nawet na Mike'u. Kto mógł na tym zyskać... oprócz terrorystów?

–Mów dalej – powiedział. – Co właściwie powinienem zrobić? Jak radzić sobie w takiej sytuacji?

–Paul, do diabła, ja nigdy nie musiałem dowodzić zespołem. Zawsze byłem samotnikiem. Wymagano ode mnie wyłącznie udzielania rad. Udzielanie rad jest względnie łatwe. Z ludźmi, z którymi pracowałem, nic mnie nigdy nie łączyło. Nic takiego, co czujemy do Mike'a. Wiem tylko tyle: ludzie dowodzący podobnymi operacjami muszą wyzbyć się wszelkich uczuć. I gniewu, i współczucia. To znaczy, założmy, że dowiesz się, że któryś z terrorystów ma gdzieś dziecko albo siostrę. Założmy, że jesteś w stanie je porwać. Czy wówczas zagrasz w tę grę według ich reguł?

–Szczерze mówiąc, nie wiem. Nie chcę zniżyć się do ich poziomu.

–Na to właśnie zawsze liczą terroryści. Pamiętasz Orle Szpony z 1980 roku, kiedy Delta próbowała wydostać naszych zakładników w Teheranie?

–Pamiętam.

–Parametry misji zmusiły naszych chłopców do ulokowania punktu tankowania Delta 1 we względnie gęsto zamieszkanym terenie. W kilka minut po wylądowaniu żołnierze zatrzymali autobus z czterdziestoma czterema irańskimi cywilami. Nim cała operacja wzięła w łeb, plan zakładał przetrzymanie irańskich jeńców przez cały dzień i zwolnienie ich w bazie lotniczej Manzariyeh, którą mieliśmy zająć. Przepraszam cię, jeśli mówię jak Burkow, ale moim zdaniem powinniśmy zgarnąć tych Irańczyków i potraktować ich w taki sam gówniany sposób, w jaki oni traktowali naszych ludzi.

–Zrobilibyśmy z nich męczenników – zauważył Hood.

–Nie. Złamalibyśmy jeńców. Nie wzywalibyśmy prasy, nie palilibyśmy irańskich flag. Oko za oko, to wszystko. A kiedy wśród terrorystów na świecie rozniosłoby się, że jesteśmy gotowi grać w ich grę, zastanowiliby się dwa razy, nim wybraliby kogoś z nas. Myślisz, że Izrael nadal się trzyma, bo gra według przyjętych w cywilizowanym świecie zasad? Żadne takie! Ja widziałem te rzeczy z góry i mogę ci powiedzieć z całą pewnością, że nie jest to widok przyjemny. Jeśli współczucie wpłynie na twą ocenę sytuacji, może skończyć się na tym, że zdradzisz własnych ludzi.

Hood odetchnął głęboko.

–Jeśli współczucie nie będzie wpływać na ocenę sytuacji, przestaniemy być ludźmi – powiedział.

–Doskonale to rozumiem – przyznał Herbert. – Dlatego nigdy nie ubiegałem się o wyższy urząd w tym mieście. Za każdy centymetr kwadratowy pola manewru płaci się tu nie tylko krwią, lecz także duszą.

Paul schował dyskietki do kieszeni marynarki.

–Jednego bądź pewien, Bob – powiedział. – Nie wyrwałeś się przed orkiestrę. Dziękuję.

–Nie ma za co. I, szefie, jest jeszcze jedna sprawa.

–Jaka?

–Z czymkolwiek przyjdzie ci walczyć, pamiętaj, że nie walczysz sam. Nie wolno ci o tym zapomnieć, szefie.

–Nie zapomnę. – Paul Hood uśmiechnął się. – Dzięki Bogu mam ludzi, którzy nie pozwolą mi o tym zapomnieć.

Poniedziałek, 21.17 - Oguzeli, Turcja

Mike'a Rodgersa przywiązano do motocykla w bardzo niewygodnej pozycji. Ręce, skrępowane za plecami i uniesione, przywiązane do kierownicy, całkiem mu zdrętwiały. Plecy przyciśnięte miał do błotnika, nogi skrępowane w kostkach i wyprostowane.

Na duszy cierpiał jednak znacznie bardziej niż na ciele. Nie wiedział dokładnie, o co chodzi terrorystom. Wiedział, że jeden z nich, Ibrahim, cofnął się drogą za wzgórze. Jego tłumacz, Hasan, oddalił się jakieś czterysta, pięćset metrów na wschód. Ustawili się chyba tak, by mieć drogę pod ogniem krzyżowym. Jeden ze strzelców trzyma się blisko celu, nieco przed nim. Drugi pozostaje poza drogą, mocno przed celem. Kierowca nie może uciec, chyba żeby zawrócił. Jeśli snajperzy są dobrzy, najczęściej nie starcza mu czasu, by zawrócić.

Furgonetka przyjechała, a Mike nie słyszał strzałów. Czyżby terroryści kryli się na wypadek, gdyby to CR pierwsze otworzyło ogień?

Furgonetka zatrzymała się. Wsiadł z niej Ibrahim. Po kilku sekundach pojawił się Hasan i rzucił mu się w ramiona. Trzeci z terrorystów, Mehmet, wstał i objął ich obu. Przedtem trzymał się z tyłu, teraz jednak jasne było, że dowodzi akcją. Furgonetka CR stała maską do Rodgersa, który nie widział, co jest w środku. Nie było jednak wątpliwości, że terroryści panują nad sytuacją. Rodgers mógł mieć tylko nadzieję, że żołnierze Iglicy wydostali się z samochodu i właśnie flankują napastników, co zresztą sam kazałby im zrobić.

Ibrahim i Hasan weszli do samochodu, Mehmet zaś podszedł do generała. W prawej ręce trzymał pistolet maszynowy, w lewej nóż myśliwski. Przeciął więzy Mike'a, łączące go z kierownicą motocykla, pozostawił jednak pęta na nogach. Gestem nakazał mu podejść do furgonetki. Rodgers ukucnął, wyprostował się i żabką podskoczył we wskazanym mu kierunku. Łatwiej byłoby popełznąć, ale pełzać generał nie nauczył się w swym długim i bogatym w wydarzenia życiu. Ziemia wydawała się usuwać mu spod stóp, a jednak zdołał utrzymać równowagę.

Podszedłszy do furgonetki dostrzegł Coffeya, Mary Rose i Katzena. Leżeli bezwładnie na podłodze samochodu, przywiązani do podstawy siedzenia pasażera, z nogami związanymi w kostkach. Ibrahim pociągnął pułkownika Sedena, Mike Rodgers zaś podskoczył o krok. Zerknął w lewo, ku tyłowi samochodu. I zamarł.

Pupshaw i DeVonne siedzieli na fotelach przy terminalach komputerowych. Ręce i nogi przywiązano im do foteli, właśnie odzyskiwali przytomność. Rodgers poczuł, jak skręcają mu się wnętrzności. Żołnierze Iglicy wyglądali bardziej jak cielska upolowanych jeleni, niż jak żołnierze.

Coś poszło nie tak, ale co, to była kwestia na przyszłość. Tak czy inaczej, wszyscy Amerykanie wzięci zostali do niewoli. To, jak będą traktowani, jak długo przetrzymywani, wymagać będzie zapewne długich i skomplikowanych negocjacji.

Pierwszym obowiązkiem Rodgersa było w tej chwili pomóc żołnierzom Iglicy. Kiedy obudzą się i zorientują, jak zostali ubezwłasnowolnieni, stracą nie tylko wolę i ochotę do walki, lecz także poczucie własnej godności. Ranni, związani... to byli w

stanie przeżyć, bez poczucia godności nie dokonają jednak niczego, nawet jeśli zyskają wolność. Podczas treningu do walki z terrorystami i rozmów z nowym dowódcą Iglicy, Brettem Augustem, Rodgers, jeniec wojenny z Wietnamu, dowiedział się, że więcej zakładników odebrało sobie życie rok lub dwa po uwolnieniu, niż zginęło z rąk terrorystów. Zawstydzalo ich, że zostali pognębieni, z maltretowani, pozbawieni honoru. Szczególnie dotyczyło to zakładników wojskowych. Stopień i ordery były zewnętrznym dowodem odwagi i honoru, żołnierską krwią i ciałem. Kiedy kwalifikacje te poddał w wątpliwość status zakładnika, odwagę i honor odzyskać można było wyłącznie umierając. Umierając jak Wiking, twarzą do rzeczywistego lub wyimaginowanego przeciwnika, z mieczem w dłoni, lub jak pozbawiony honoru samuraj, w samotności rozcinający sobie brzuch. Tak czy inaczej, życie wydawało się nie do zniesienia.

Rodgers musiał także użyć, dla dobra swych żołnierzy, najważniejszego z czterech swych wojskowych atutów – kwartetu składającego się na honor żołnierza – zaryzykować życiem. Gdy stacjonował w zatoce Camranh, w południowo-wschodnim Wietnamie, zawsze były ofiary. Imiona zmarłych zapisano krwią, wyryto w marmurze. Inne obrazy wyryte zostały w twarzach żołnierzy. Kiedy żołnierz tulił do piersi przyjaciela, który stracił na minie ręce lub nogi, któremu pocisk z moździerza rozharatał twarz, kiedy tulił przyjaciela, któremu kula przestrzeliła pierś, gardło lub brzuch, pozostawały tylko dwa sposoby na umotywowanie go do dalszej walki. Po pierwsze, umożliwiano mu zemstę. Wojskowi psychologowie nazywali to „napaleniem”. Gra na gniewie raczej niż na konieczności wykonania zadania, doskonale nadawała się do szybkich wypadów i kontrataków w trudnych sytuacjach. Drugim sposobem, który Rodgersowi podobał się znacznie bardziej, był sposób stosowany przez niektórych dowódców – postawić na szali własne życie. Narzucało to oddziałowi imperatyw wspomaganie dowódcy. Nie leczyło się w ten sposób ran, lecz raczej tworzyło więź, całość większą niż suma części.

Mike Rodgers rozważył to wszystko w czasie, który zabrał mu jeden rzut oka na żołnierzy, uśmiechnięcie się do szybciej dochodzącego do siebie Pupshawa krótkim, dodającym odwagi uśmiechem i spojrzenie na maskę furgonetki.

Hasan sprawdzał, czy jeńcy nie mają przy sobie ukrytej broni. Mike czuł przyciśniętą do karku lufę. Mehmet popchnął go w lewo. Chciał, by generał wszedł do furgonetki.

Mike nie ruszył się. Skrętem ciała odsunął od siebie lufę.

Terrorysta bluzgnął jakimś arabskim przekleństwem. Wolną ręką pchnął jeńca ku drzwiom samochodu. Mike, nadal skrępowany, podskoczył w kierunku pchnięcia. Upadł i natychmiast spróbował się podnieść. Mehmet podszedł do niego, wymierzył mu w głowę. Nakazywał mu pozostać na miejscu.

Mimo wszystko generał Rodgers spróbował powstać. Nawet w ciemności widział zdumienie na twarzy terrorysty.

W tej chwili albo raz na zawsze ustali swe stosunki z Kurdem, albo zginie. Generał, ze związanymi nogami, prostował się, próbując złapać równowagę. Patrzył swemu prześladowcy prosto w oczy. Wielu terrorystów bez najmniejszych skrupułów

podkładało bomby, wahało się jednak, gdy trzeba było strzelić do patrzącego im w oczy zakładnika.

Nim generał zdołał powstać, Mehmet podniósł nogę. Pchnął go stopą, przewrócił na ziemię, kopnął w bok i znów wykrzyczał coś gniewnie po arabsku.

Kopnięcie oszołomiło Rodgersa, lecz także udzieliło mu informacji, której potrzebował. Arab wcale nie pragnął go zabić. Nie oznaczało to, oczywiście, że go nie zabije, tyle tylko, że – rozsądnie ryzykując – można go jeszcze trochę rozdrażnić. Generał obrócił się na bok, usiadł i znów spróbował wstać.

Mehmet, burcząc coś wściekle, próbował hakiem uderzyć go w głowę. Mike na widok wymierzonej pięści po prostu usiadł na ziemi. Pięść przeleciała nad nim.

–Ty sukinsynu! – wrzasnął Arab w swej topornej angielszczyźnie. Cofnął się o krok, podniósł rewolwer. Mike obrócił głowę. Patrzył mu wprost w oczy.

–Mehmet, przestań! – krzyknął Ibrahim. Podbiegł i własnym ciałem zasłonił Rodgersa. Dwaj porywacze rozmawiali ze sobą przez chwilę, Ibrahim wskazywał palcem na generała, furgonetkę i jeńców. Potem zapadła cisza. Wreszcie Mehmet wyrzucił dłonie w powietrze i odszedł. Ibrahim pomógł mu wciągnąć do samochodu pułkownika Sedena.

Rozmowa z Rodgersem spadła na barki Hasana.

Generał z trudem zdołał powstać. Wyprostował się, z dumnie uniesioną głową. Nie patrzył na Kurda. W sytuacji, w jakiej się znalazł, jeńcom polecano nie patrzeć w twarz porywaczy. Tworzyło to między nimi dystans, ciężar przełamania tej sytuacji spoczywał na przesłuchującym. Zadający pytania mógł być dobry lub zły, współczujący lub okrutny, zawsze jednak pozostawał wrogiem.

–Omal nie zginąłeś – powiedział Hasan.

–Nie po raz pierwszy mi się udało – odparł Rodgers.

–Ale być może po raz ostatni. Mehmet gotów był cię zastrzelić.

–Zabić człowieka to najmniejsza krzywda, jaką można mu zrobić. – Generał mówił wolno, wyraźnie, tak, by łatwo go było zrozumieć.

Mehmet i Ibrahim wrzucili wreszcie pułkownika Sedena do furgonetki i związali go razem z innymi. Hasan z ciekawością przyglądał się Amerykaninowi. Mehmet podszedł do Hasana, porozmawiali krótko i Hasan zwrócił się do Rodgersa.

–Mamy zamiar przejechać waszą furgonetką do Syrii – powiedział. Marszczył czoło, bardzo chciał wyrazić życzenia swego dowódcy po angielsku. – Są jednak rzeczy, których w tym autobusie nie rozumiemy. Akumulatory z tyłu i jakieś niezwykle urządzenia w kabinie. Mehmet chce, żebyś je wyjaśnił.

–Powiedz Mehmetowi, że używa się ich do znajdowania zakopanych murów, starych przedmiotów i innych tego rodzaju rzeczy. Powiedz mu także, że nie będę z nim rozmawiał, póki nie rozwiąże moich współpracowników i nie posadzi ich w tych siedzeniach. Mówiąc te słowa Rodgers obrócił się, przemawiał wystarczająco głośno, by słyszeli go Pupshaw i DeVonne.

Zmarszczki na czole Hasana pogłębiły się.

–Czy ja rozumiem? Chcesz ich uwolnić?

–Nalegam na to, by byli traktowani z szacunkiem.

–Nalegasz? Czy to oznacza, że stawiasz warunki?

Rodgers obrócił się i spojrział na mężczyzn, stojących z przodu samochodu.

–Oznacza to, że jeśli nie potraktujecie nas po ludzku, możecie siedzieć sobie tu, na pustyni, póki nie znajdzie was turecka armia. A znajdzie przed wschodem słońca, jeśli nie wcześniej.

Hasan przyglądał mu się przez chwilę, a potem zwrócił się do Mehmeta.

Pośpiesznie tłumaczył mu z angielskiego. Kiedy skończył, Mehmet podrapał się po nosie i zachichotał. Ibrahim siedział w fotelu pasażera. Nie śmiał się. Uważnie obserwował dowódcę. Po chwili Mehmet schował swój myśliwski nóż. Powiedział coś do Hasana.

Hasan zwrócił się do Rodgersa.

Mike wiedział, co teraz nastąpi. Terroryci uświadomili sobie, że nie są w stanie wyrzucić na niego bezpośredniego nacisku. Mehmet zorientował się także, że nie może wyrzucić nacisku na żołnierzy, każda skierowana pod ich adresem groźba przywracałaby im godność, co powitaliby z radością. Terroryci nie byli także w stanie zabić żadnego z cywilów. Ofiara mogła przecież posiadać cenne informacje.

Wymagali współpracy zespołu, Rodgers postawił jednak warunki, których po prostu nie mogli spełnić. Teraz więc zmuszeni zostali do sprawdzenia kolejnego z jego wojskowych atutów – grubości skóry. Musieli spróbować dowiedzieć się, jak wiele jest w stanie znieść. Do którego momentu zniesie tortury podległych mu cywilów, tortury fizyczne, psychiczne bądź jedno i drugie na raz. Podczas tortur spróbują także ustalić, kto jest tu słabym ogniwem i dlaczego, i jak można tym człowiekiem manipulować.

–Za dwie minuty – powiedział Hasan – Mehmet odetnie palec tej kobiecie. Potem co minutę będzie odcinał kolejne palce, aż zdecydujesz się współpracować.

–Ten samochód nie pojedzie na krwi – zauważył Rodgers. Nadal wpatrywał się w maskę furgonetki. Coffey i Mary Rose prawie się ocknęli, Phil Katzen także zdradzał objawy życia. Pułkownik Seden był nadal nieprzytomny.

Hasan przetłumaczył wypowiedź generała. Mehmet obrócił się, był wściekły. Wsiadł do kabiny furgonetki i uwolnił z więzów lewą rękę Mary. Ujął ją w dłoń i położył na swym udzie. Ostrze noża umieścił między jej małym a serdecznym palcem. Skaleczył dziewczynę, niezbyt poważnie, tyle by pociekła krew. Spojrział na zegarek.

Mary Rose oprzytomniała. Podniosła głowę.

–Co się dzieje? – spytała, bez powodzenia próbując wyswobodzić ramię. Kurd trzymał je mocno. Nie spuszczał wzroku z zegarka.

Coffey także powoli odzyskiwał przytomność. Siedział po lewej ręce Mary, widok terrorysty najwyraźniej go zaskoczył.

–Co się dzieje? – spytał. Na jego twarzy pojawił się wyraz prawdziwie prawniczego oburzenia. – I kim pan właściwie jest?

–Siedź cicho – powiedział Rodgers niegłośnie, lecz rozkazująco.

Oboje, dziewczyna i prawnik, spojrzeli na niego po raz pierwszy.

–Zachowujcie się spokojnie – mówił dalej Rodgers równym głosem. Czoło miał zmarszczone. Z całej jego postaci łatwo było odczytać informację: „Wpadliśmy w.

tarapaty, musicie mi zaufać".

Mary Rose sprawiała wrażenie takie, jakby nie wszystko zrozumiała, ale najwyraźniej usłuchała rozkazu. Lowell oddychał ciężko, wyraz oburzenia zniknął mu z twarzy, zastąpiony przerażeniem. Rodgers doskonale wyobrażał sobie, co prawnik myśli.

Co ty wyprawiasz, Mike. Znasz zasady obowiązujące w takich sytuacjach...

Generał rzeczywiście znał zasady, a były one bardzo proste. Żołnierzom pozwalano na podanie terrorystom imienia, nazwiska, numeru i niczego więcej. W odróżnieniu od żołnierzy, „cywilni zatrzymani” – bo tak eufemistycznie nazywano ich w języku Centrum – mieli tylko jedno zadanie: przeżyć. Co oznaczało, że jeśli terroryści chcieli informacji, cywile mieli wszelkie prawo im je dostarczyć. Po ich uwolnieniu ciężar akcji spoczywał na Centrum lub wojsku – mogli albo odnaleźć terrorystów, albo ochronić, ewakuować, a w ostateczności zniszczyć zagrożone instalacje. Był to objaw charakterystycznego rządowego syndromu – najpierw zawałać robotę, potem przesadzać z reakcją.

Dla Rodgersa takie postawienie sprawy było nie do przyjęcia. Cywil czy wojskowy, każdy człowiek winien był lojalność przede wszystkim krajowi, nie własnemu przeżyciu. Skapitulować nie pozwalał mu nie tylko gorący patriotyzm. Po prostu musiał być twardy. Jeśli nie zmuszą terrorystów, by ich szanowali, w niewoli, trwającej, obojętnie, godziny, dni czy miesiące, będą katowani, otoczeni pogardą.

–*Sifr dahiya* – powiedział Mehmet.

–Masz jedną minutę – oznajmił Rodgersowi Hasan. Młody Syryjczyk zwrócił się następnie do Mary Rose. – Być może dama nie okaże się tak uparta, jak jej dowódca. Być może pokaże nam, jak operować urządzeniami do prowadzenia tego samochodu. I być może zrobi to, póki może jeszcze nimi operować.

–Nie pokaże – powiedział spokojnie Rodgers.

Mary Rose patrzyła przed siebie rozszerzonymi ze strachu oczami. Zaciśnęła wargi, nie spuszczając wzroku z twarzy Rodgersa. Generał stał spokojny, wyprostowany jak struna – był kimś, na kim moda się oprzeć.

Hasan z kolei cały czas obserwował dziewczynę.

–Czy ten człowiek ma prawo mówić za ciebie? – spytał. Czy to on straci palce, w cierpieniu, jeden po drugim? Może zechcesz porozmawiać ze mną? Może nie chcesz zostać okaleczona?

–Ty trzymasz nóż, nie my – przerwał mu Rodgers.

–Słusznie. – Hasan obrzucił go szybkim spojrzeniem. – Ale wieśniak bijący upartego muła nie jest okrutny. Wykonuje po prostu swoją pracę. Jak my.

–Bez wyobraźni – zaatakował Rodgers. – I z całą pewnością jak tchórze.

–Każdy z nas robi to, co musi.

–*Talateen* – powiedział Mehmet.

–Trzydzieści sekund – przetłumaczył Hasan. Spojrzał na Coffeya i Katzena. – Może któryś z was jej pomoże? Jeśli zaczniecie współpracować z nami teraz, już, oszczędzicie strasznych cierpień nie tylko jej, lecz także sobie.

–*Iszreen* - warknął Mehmet.

–Dwadzieścia sekund- – Hasan spojrział na Coffeya. – Może ty? Chcesz zostać bohaterem, uratować ją?

Prawnik spojrział na Rodgersa. Rodgers wpatrywał się w szybę. Coffey odetchnął głęboko.

–Jeśli młoda dama pragnie mojej pomocy – powiedział, udając spokój – zawsze może mnie o nią poprosić. Nie zawiodę jej.

Mary Rose mrugnęła, strząsając łzy z rzęs. Uśmiechnęła się słabo. Nerwowo potrząsnęła głową.

–Aszara... - liczył Mehmet.

–Dziesięć sekund. – Hasan pochylił się nad Mary Rose. – Pokazujesz nam, że nie będziesz mówić, nie wierzę jednak, byś sądziła, że potrafisz zachować milczenie. Myśl, młoda kobieto. Nie masz wiele czasu.

–Tisa...

–Dziewięć sekund. Wkrótce będziesz ociekać własną krwią.

–Tamanya...

–Osiem. Będziesz nas błagała, żebyśmy pozwolili ci mówić.

–Saba...

–Siedem sekund. Z każdym obcinanym palcem ból będzie coraz trudniejszy do zniesienia.

Mary Rose oddychała ciężko. W oczach miała przerażenie.

–Jest odważniejsza od ciebie – powiedział z dumą Rodgers.

–Sitta... *kham*sa...

–To się jeszcze okaże – powiedział Hasan. – Masz jeszcze pięć sekund, młoda damo. Potem będziesz nas błagać, żebyśmy pozwolili ci mówić.

Podczas odliczania Hasan uśmiechał się z wyższością, Rodgers zauważył jednak, że teraz zaciska wargi. Czyżby obelgi wyprowadziły go z równowagi? A może niepokoił się, czy mimo wszystko otrzyma potrzebne informacje? A może, mimo pełnych sadystycznych fantazji komentarzy, źle znosił widok krwi?

–Arba...

–Cztery.

Syryjczycy mieli dwie minuty na rozmyślanie o swoim losie, a także na sprawdzenie, z jakiego żelaza wykuci są Amerykanie. Czekając na CR stracili przewagę czasu, którą mieli na starcie. Jeśli nie wyruszą już, w tej chwili, tureckie patrole będą dosłownie wszędzie. CR i jego załoga byli im niezbędnie potrzebni, zapewne zastanawiają się teraz nad tym, że być może nie docenili Amerykanów. Że, być może, powinni zrobić to, co proponował im generał. - *Talehta*...

–Trzy sekundy. Pomyśl o nożu, tnącym kość i mięśnie. Raz za razem, dziesięć palców.

Rodgers słyszał ciężki oddech dziewczyny. A jednak milczała, niech ja Bóg błogosławi. Z żadnego ze swych żołnierzy nie był tak dumny, jak teraz z niej.

–*Itneyn*...

–Dwie sekundy.

–Ty potworze! – wrzasnął Coffey i zaczął szamotać się w więzach. Syryjczycy nie

zwrócili na niego nawet najmniejszej uwagi. Katzen oprzytomniał już i teraz najwyraźniej próbował pojąć, o co chodzi.

–*Wehid.*

–Czas upłynął – oznajmił Hasan. Patrzył na Mary Rose. Mehmet jednak obserwował Rodgersa. Chwila wahania... i w jego oczach pojawiła się gorzka, straszna mściwość. Być może nie widział teraz generała, lecz jakiegoś swego osobistego wroga, kogoś, kto kiedyś zadał mu ból. Jego górna warga podwinęła się ukazując zęby i Rodgers wiedział już, że przegrał.

–Stój – powiedział, kiedy Kurd nacisnął nóż. Nadal patrzył w szybę, ale skinął głową tak, by nie było wątpliwości, co właściwie mówi. – Przestań. Poprowadzę samochód.

Hasan powtórzył te słowa po arabsku, choć Mehmet nie potrzebował tłumaczenia. Schował nóż. W jego twarzy nie było triumfu, ani radości.

Mary Rose rozplakała się.

Hasan uklęknął, wiążąc zakrwawioną dłoń dziewczyny do oparcia fotela. Mehmet skinął na Rodgersa, każąc mu iść przodem. Rodgers ruszył w kierunku kabiny samochodu, przystanął jednak przy Mary Rose, która siedziała z odchyloną głową, szlochając rozpaczliwie.

–Jestem z ciebie bardzo, bardzo dumny – powiedział.

Coffey pochylił głowę w jej kierunku. Dotknął włosami policzka dziewczyny.

–Wszyscy jesteście z ciebie dumni – stwierdził. – I pamiętaj, jesteście zespołem.

Mehmet patrzył na generała wściekłym wzrokiem. Generał ignorował go.

–Hasan – powiedział. – Ona krwawi. Mógłbyś obwiązać jej ranę?

Hasan podniósł na niego wzrok.

–Jeśli nie zrobię, o co prosisz, dasz kolejny pokaz siły? – spytał.

–Jeśli będę musiał.

Hasan popatrzył teraz na ranę. Myślał przez chwilę, a potem, kiedy ręka dziewczyny była już przywiązana do oparcia fotela, wyjął z kieszeni chusteczkę. łagodnie wsunął ją między palce zranionej dłoni.

Mehmet wyrwał ją natychmiast.

–*La!* – krzyknął, cisnął chusteczkę na ziemię i podeptał ją, wrzeszcząc na towarzysza.

Hasan spuścił wzrok.

–On kazał mi powiedzieć, że kiedy następnym razem wykonam twój rozkaz, odetnie dłonie i mnie, i tobie.

–Przykro mi, ale postąpiłeś słusznie. – Rodgers spojrzał na Mehmeta. Nadszedł czas na użycie trzeciego wojskowego atutu, zaskoczenia. – Hasan, powiedz swemu dowódcy, że przy podłączaniu akumulatorów będę potrzebował pomocy.

–Ja ci pomogę – stwierdził natychmiast Hasan.

–Nie dasz rady – skłamał Rodgers. – Tylko jedna osoba dysponuje odpowiednią wiedzą. Powiedz Mehmetowi, że potrzebuję pomocy szeregowej DeVonne. To ta kobieta, którą związaliście z tyłu samochodu. Powiedz mu też, że jeśli chce dojechać do Syrii, musi ją uwolnić.

Hasan odchrząknął. Generał miał wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie widział tak zagubionego człowieka. Powiedział coś do dowódcy. Oczy Mehmeta zwężyły się, nozdrza rozszerzyły. Trafienie w dziesiątkę. Prawdziwą przyjemnością było obserwowanie, jak terrorysta gotuje się z wściekłości i jak zmuszony zostaje do pojęcia jedynej możliwej decyzji, której strasznie nie chciał podjąć.

Skinął dłonią. Hasan przeszedł na tył furgonetki. Nagle dowódca Kurdów z całej siły kopnął generała. Hasan nie zatrzymał się, by podeprzeć padającego jeńca. Po prostu przeszedł nad nim, śpiesząc się, by uwolnić DeVonne. Najpierw odwiązał jej stopy od nóg fotela, potem skrępował je, a dopiero potem uwolnił jej ręce.

DeVonne próbowała pomóc dowódcy, ale Hasan ją odepchnął. Kiedy ruszyli w stronę schowków na akumulatory, znajdujących się z tyłu pojazdu, Rodgers wstał z wysiłkiem. Oparł się o komputer, podrzucając jednocześnie związane stopy.

W ten sposób wprowadził w życie pierwszą część niespodzianki. Druga uruchomi się sama, kiedy podłączą akumulatory i zaczną włączać urządzenia. Satelita ES4 natychmiast wychwyci wzrost natężenia pola elektromagnetycznego i wyśle do Centrum sygnał ostrzegawczy. Paul Hood będzie miał wówczas możliwość wyboru, od prostej obserwacji zaczynając, na możliwości zniszczenia CR kończąc.

Generał ruszył ku czekającym na niego Hasanowi i DeVonne. Na plecach czuł wściekle spojrzenie Mehmeta. Spojrzenie to sprawiało mu niezwykłą wręcz przyjemność, ponieważ dowiodło, że udało mu się wykorzystać czwarty i ostatni ze swych wojskowych atutów, a tym samym zachować nietknięty honor. Wbił pierwszy i niewielki – na razie – klin między dowódcę a jednego z jego żołnierzy.

· Poniedziałek, 14.23 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

Pułkownik Brett August prowadził akurat wykład ze strategii dla żołnierzy Iglicy, kiedy odezwał się jego pager. Spojrzał na wyświetlony numer – wzywał go Bob Herbert. Zimne niebieskie oczy Augusta wróciły na twarze siedemnastu żołnierzy. Wszyscy siedzieli wyprostowani w starych drewnianych ławkach. Mundury khaki mieli czyste, świeżo wyprasowane. Przed nimi stały otwarte PowerBooki.

Dźwięk pagera przerwał wykład o krwawym zamachu oficerów japońskich, którzy w 1936 roku próbowali zaprowadzić dyktaturę wojskową.

–Dowodzicie zbuntowanymi oddziałami w Tokio, w chwili zamachu – powiedział August, ruszając w kierunku drzwi. – Przed moim powrotem każdy z was opracuje alternatywny plan przejęcia władzy. Tym razem jednak plan ma być skuteczny. Możecie zachować lub odrzucić morderstwo premiera Saito i ministra finansów Takahasiego. Pozostawiam to do waszego uznania. Możecie także założyć więzie ich jako zakładników. Przetrzymanie zakładników mogło być bardzo skutecznym sposobem manipulowania opinią publiczną i kształtowania reakcji czynników oficjalnych. Honda, obejmujesz dowództwo na czas mojej nieobecności.

Starszy szeregowy Iszi Honda, ekspert od łączności w Iglicy, wstał i zasalutował wychodzącemu z sali oficerowi.

Idąc korytarzem Akademii FBI w Quantico, w Wirginii, pułkownik August nie rozmyślał bynajmniej o tym, czego chce od niego Herbert. August nie marnował czasu na jałowe rozmyślanie. Wierzył w siebie. Wierzył, że należy dać z siebie wszystko, ocenić swe działania i następnym razem postarać się jeszcze lepiej.

Miał wątpliwości, czy powinien podpowiedzieć swym studentom rozwiązanie z więzieniem zakładników. Prawdopodobnie nie powinien. Ciekawe, czy ktoś sam wpadłby na ten pomysł.

Postępy Iglicy od chwili, gdy objął dowództwo jednostki, oceniał jako zadowalające. Jego doktryna dowodzenia w ogóle była prosta. Rano pobudka i ćwiczenia fizyczne aż do wyczerpania. Dźwiganie ciężarów, wspinanie się po linie, biegi, pompki na kostkach palców i na jednej ręce, potem jeszcze kilkadziesiąt długości basenu i śniadanie. Następnie siedem kilometrów z pełnym obciążeniem, pierwszy truchtem, sześć biegiem. Pysznic, krótka przerwa i zajęcia teoretyczne. Tematem zajęć teoretycznych była strategia i techniki infiltracji, których nauczył się od kolegi z Mista'aravim, izraelskich komandosów, działających często w arabskim przebraniu. Przystępujący do zajęć po treningu fizycznym żołnierze byli zachwyceni, że mogą wreszcie usiąść, umysły zaś mieli czyste i gotowe na przyjęcie nowej wiedzy. August kończył ich dzień grą w baseball, siatkówkę lub koszykówkę, w zależności od pogody i dyspozycji jednostki.

W ciągu kilku zaledwie tygodni Iglica przeszła długą drogę. Dzięki treningowi fizycznie gotowa była stawić czoło każdemu wojskom na świecie, psychicznie żołnierze wyleczyli się niemal z szoku po śmierci podpułkownika Squiresa. W tym wypadku August konsultował się z Liz Gordon, psychologiem Centrum. Liz prowadziła terapię dwutorowo. Po pierwsze, pomogła im zaakceptować prawdę:

misja w Rosji była wielkim sukcesem, Iglicy udało się ocalić dziesiątki tysięcy ludzi. Po drugie, wspierając się analizą komputerową, udowodniła im, że ponieśli straty o wiele niższe od, w języku wojskowym, „akceptowalnego minimum”.

Wysoki, szczupły pułkownik August poruszał się szybko, nie sprawiając przy tym wrażenia śpieszącego się człowieka. Jego łagodne oczy patrzyły wprost przed siebie. Zdawał się nie dostrzegać mijających go w korytarzu pracowników FBI. Mimo że dowodził Iglicą od niedawna, już zdołał odizolować swój zespół od wpływów zewnętrznych. Znacznie mocniej od nieżyjącego Squiresa, August wierzył, że oddział uderzeniowy nie tylko musi być lepszy od innych formacji, lecz także musi wierzyć, że jest lepszy. Nie marzył o sytuacji, w której zwisa ze skalnej półki, atakowany przez przeważające siły nieprzyjaciela, a jego żołnierze zastanawiają się tymczasem, czy są wystarczająco dobrzy, by pokonać przeciwnika. Fraternalizacja z innymi jednostkami zmienia perspektywę, osłabia poczucie jedności i wspólnoty celów.

Pułkownik zajmował gabinet w skrzydle, w którym znajdowały się gabinety wyższych funkcjonariuszy FBI. Wybrał kod na panelu zamka cyfrowego, wbudowanego we framugę drzwi, i wszedł do środka. Samopoczucie poprawiało mu się zawsze, kiedy zamykając drzwi odcinał się od agentów FBI, których nazywał Białymi Koszulami. Nie w tym rzecz, by ich nie lubił lub nie szanował, raczej wraz przeciwnie. Byli to ludzie niewątpliwie mądrzy, odważni i pełni dobrych chęci. Kochali swój kraj równie mocno jak on. Tyle że przerażał go ich los. Byli dla niego czymś w rodzaju prześladowanej Sknerusa wizji nadchodzącego Bożego Narodzenia. Pułkownik nigdy nie marzył o wielkim biurku i wygodnym życiu, i dlatego właśnie mocno opierał się prośbom Mike'a Rodgersa pragnącego, by porzucił swe stanowisko w NATO i wrócił do Waszyngtonu. Ponieważ jednak Mike był przyjacielem z dzieciństwa, Iglica zaś jednostką o wyjątkowo ostrym i agresywnym profilu, August zgodził się przynajmniej spróbować.

Skłoniło go do tego największe z wyzwania – konieczność odbudowania jednostki, zdemoralizowanej przez śmierć przywódcy. Nie bez znaczenia pozostał też fakt, że mógł teraz spędzać więcej czasu z przyjacielem, Mike'em Rodgersem. Jako chłopcy mieli wspólne hobby: budowanie modeli samolotów i rozmowy o dziewczynach. Mike posunął się wręcz do tego, że, by zachęcić przyjaciela do powrotu do Stanów, odnalazł mu jego pierwszą wielką miłość.

No i proszę, zadziałało. Po pierwszym po latach spotkaniu z Barb Matthias, August wiedział już, że nigdy nie wróci do NATO. Kupił sobie Forda, by mieć czym jeździć, i starego Ramblera, by mieć przy czym pracować w weekendy, przeniósł się do kwater w Quantico i po raz pierwszy od czasów Wietnamu wrócił do roli czynnego żołnierza. Żołnierze Iglicy byli młodzi, lecz pełni entuzjazmu, a ich wyposażenie, najnowsze cuda techniki, wzbudzało podziw z niemalą domieszką strachu.

August podszedł do szarego metalowego biurka. Wcisnął przycisk AUTODIAL na swym bezpiecznym telefonie.

Słuchawkę podniósł Herbert.

–Dzień dobry, panie pułkowniku – powiedział.

–Dzień dobry, Bob.

–Włącz komputer. Znajdziesz tam podpisany rozkaz. Kontrsygnuj go i odeślij do mnie.

August włączył swego Hewletta-Packarda. Wprowadził hasło. Nadal nawet nie próbował domyślić się, o co chodzi, ale z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy będzie już mógł zaspokoić swą ciekawość.

Rozkaz Paula Hooda pojawił się na monitorze po kilku sekundach. Rozkaz nr 9 nakazywał jemu oraz całosci Iglicy przelecieć helikopterem z Quantico do Andrews, gdzie czekać miał na nich *G141B*. August podpisał go piórem świetlnym. Zachował dokument i powrócił do rozmowy z Herbertem.

–Dziękuję – powiedział mu Bob. – Porucznik Essex z sekcji generała Rodgersa spotka się z wami na pasie, o trzynastej zero zero. Od niego dowiesz się, na czym polega wasza misja. Szczegóły podładujemy do komputera, kiedy znajdziecie się już w powietrzu. Coś niecoś mogę ci jednak powiedzieć, i nie jest to bynajmniej dobra nowina. Mike i Centrum Regionalne zostali porwani, najprawdopodobniej przez kurdyjskich terrorystów.

August poczuł ucisk w gardle.

–Albo uda ci się odbić CR – mówił dalej Herbert – albo zamkniemy sklepik, dokładnie jak w regulaminie. Być może będziemy to musieli zrobić, nim znajdziesz się na scenie, ale ze zrozumiałych powodów wolelibyśmy poczekać na ciebie.

Zamknąć sklepik, powtórzył w myślach August. Czyli zniszczyć CR – niezależnie od tego, kto znajduje się w środku.

–Rozumiem – powiedział.

–Nie znam się z Mike'em od tak dawna jak ty, ale lubię go i bardzo szanuję. Jest jedynym znanym mi człowiekiem, który potrafi zacytować Arnolda Toynbee i na tym samym oddechu jakąś kwestię z filmu z Burtem Lancasterem. Bardzo chcę, żeby wrócił. Bardzo chcę, żeby oni wszyscy wrócili.

–Ja też. I jesteśmy gotowi ich wydostać.

–Doskonale. Powodzenia.

–Dziękuję ci – powiedział August.

Przerwał połączenie. Odetchnął głęboko, powoli, przez nos. Nappełnił ciało powietrzem od brzucha, jakby nappełniał butelkę. Techniki „wielkiego brzucha” nauczył się od wartownika obozowego, kiedy był jeńcem wojennym w Wietnamie. Posłano go tam, by znalazł zespół Skorpion, sformowany przez CIA w 1964, jego członkowie należeli do prześladowanej mniejszości wietnamskich katolików. Trzynastu jego członków uznano za zabitych, po latach pojawiły się jednak informacje, że ludzie ci nadal żyją. August wraz z pięciorgiem innych żołnierzy wysłany został celem ich odnalezienia. Dziesięciu pozostałych przy życiu Skorpionów znalazł w obozie jenieckim w Hajfongu... i natychmiast do nich dołączył. Wartownik Wietkongu, Kiet, wykonywał swoją pracę, bo musiał wyżywić rodzinę, był jednak humanistą i taoistą, w sekrecie uczącym jeńców sztuki „przetrwania bez wysiłku”. Jego poglądy w równej mierze co determinacja jeńca przyczyniły się do tego, że August przetrwał.

Pułkownik wypuścił powietrze z płuc, przez chwilę jeszcze stał nieruchomo, i

wyszedł z gabinetu. Szedł krokiem szybszym niż poprzednio, oczy mocniej mu płonęły.

Próbował otrząsnąć się z szoku, spowodowanego otrzymaną przed chwilą wiadomością, na swój własny, specyficzny sposób. Nie myślał o Mike'u Rodgersie, nie myślał o CR, lecz tylko o tym, co trzeba zrobić, by jego zespół znalazł się w powietrzu. Tej sztuczki też nauczył się w obozie – łatwiej poradzić sobie z kryzysem, jeśli rozbije się go na łatwiejsze do strawienia kawałki. Wisząc nad śmierdzącym, rojącym się od much szambie, piekąc się pod słońcem południa w klatce wielkości trumny, człowiek nie może zastanawiać się, kiedy wreszcie stąd wyjdzie – takie myślenie jest w stanie co najwyżej doprowadzić go do szaleństwa. Trzeba wytrzymać przez czas potrzebny chmurze, by przesunęła się znad wierzchołka jednego z drzew nad wierzchołek drugiego, przez czas potrzebny piętnastocentymetrowemu pająkowi, by przejść z gałęzi na gałąź, przez czas potrzebny, by sto razy odetchnąć głęboko, przeponą.

Jestem gotowy, powiedział sobie. Mój zespół też. A w każdym razie niech lepiej będzie gotowy, bo za pół minuty zacznę kopać go po tyłku tak, jak nikt go jeszcze nigdy po tyłku nie kopał.

· Poniedziałek, 15.13 – nad zatoką Chesapeake

Boeing 727 Departamentu Stanu oderwał się od pasa w bazie Andrews o 15.03 i niemal natychmiast znikł w chmurach, wiszących nisko nad Waszyngtonem. Przerobiony odrzutowiec pasażerski miał pozostać w chmurach tak długo, jak to tylko możliwe. Taka była standardowa procedura Departamentu Stanu, uniemożliwiająca wizualną obserwację i rozpoznanie maszyny przez terrorystów.

Lot był w ten sposób bezpieczniejszy, choć samolotem mocno rzucało.

Paul nie znał prawie nikogo z pozostałych mniej więcej czterdziestu pasażerów. Byli wśród nich mocno zbudowani, milczący DSA Diplomatic Security Agents, czyli ochrona dyplomatów – kilku zmęczonych dziennikarzy oraz, oczywiście, dyplomaci w czarnych garniturach, ze skórzanymi teczkami. Przed lotem odbyło się mnóstwo wywiadów, a korespondent ABC przy Departamencie Stanu, Hully Burroughs, już zabrał się do organizowania tradycyjnego zakładu. Każdy z biorących w nim udział wpłatał dolara i wybierał liczbę. Wyznaczano oficjalnego sędziego do pomiaru czasu. Przed lądowaniem sędzia liczył sekundy upływające między poleceniem zapięcia pasów a momentem, w którym koła dotknęły betonu pasa startowego. Ten, kto trafił właściwą liczbę, wygrywał.

Paul uniknął i wywiadów, i zakładu. Zajął miejsce przy oknie, od przejścia sadząc młodego Warnera Bickinga. Już dawno stwierdził, że chorobliwe gaduły gadają mniej, jeśli muszą się przy tym pochylać. Zwłaszcza po paru drinkach.

Siedem po trzeciej odezwał się jego pager z numerem Marthy, która najprawdopodobniej bardzo pragnęła kontynuować rozpoczętą w samochodzie rozmowę. Czuli się skrzywdzona tym, że do Damaszku leci Paul, a nie ona. Udowadniała, że ma więcej dyplomatycznego doświadczenia niż ktokolwiek w Centrum, a w dodatku zna prawie wszystkich dyplomatów na Bliskim Wschodzie. Chciała zabrać się z nim samolotem lub ustalić spotkanie w Londynie, Paul jednak po prostu jej odmówił. Po pierwsze, powiedział, to prezydent wydał rozkaz, nie on. Po drugie, tłumaczył, gdyby Martha opuściła Stany Zjednoczone, dowództwo Centrum musiałby objąć Herbert, a jedynym zadaniem Herberta miało być teraz prowadzenie sprawy CR i jego załogi.

Martha niemal rzuciła słuchawką.

Hood mógł użyć telefonu komórkowego dopiero dziesięć minut po starcie, czekał więc spokojnie na zezwolenie stewarda. Nim połączył się z Marthą, włączył laptopa. Ponieważ połączenie nie było zabezpieczone, oczekiwał odniesień do informacji zakodowanych na dyskietkach, zwłaszcza jeśli zdarzyło się coś nowego.

Kiedy Martha przyjęła rozmowę, Paul od razu zorientował się, że nie jest już tak wściekła. Z jej bezdźwięcznego, równego tonu głosu wywnioskował natychmiast, że coś się stało.

–Paul – powiedziała – tam, gdzie lecisz zmieniała się pogoda.

–Jaka to zmiana?

–O siedemdziesiąt cztery stopnie. Wiatry z północnego zachodu. Piękny czerwony zachód słońca.

–Siedemdziesiąt cztery stopnie, wiatry z północnego zachodu, czerwony zachód słońca?

–Tak.

–Chwileczkę.

Hood sięgnął do niewielkiej teczki i z kieszonki wyjął oznaczoną na czerwono dyskietkę. już teraz wiedział, że nie jest dobrze, ponieważ sytuację opisywał kod czerwony. Po włożeniu dyskietki do komputera wpisał kod 74NW. Po chwili pracy komputer spytał go o hasło. Wpisał PASHA – od Paul, Alexander, Sharon, Harleigh i Anna, tak miała na imię jego matka – i czekał.

Ekran zmienił barwę z niebieskiej na czerwoną. Paul kliknął myszą na białych literach OP w górnym lewym rogu.

–Warner – powiedział na widok otwierającego się pliku. – Sądzę, że ty też powinieneś się temu przyjrzeć.

Bicking pochylił się w jego kierunku. Razem przeglądali plik.

PROGNOZA CENTRUM 74NW/CZERWONY

1. Przedmiot: pierwszy stopień syryjskiej odpowiedzi na mobilizację turecką.

2. Scenariusz prowokacji: syryjscy i tureccy Kurdowie wspólnie uderzają na terenie Turcji.

3. Scenariusz reakcji: Turcja przesuwając pięćset do sześciuset tysięcy żołnierzy na granicę syryjską, by uniemożliwić przenikanie przez granicę kolejnych grup terrorystów (sprawdź 75NW/CZERWONY dla gwałtowniejszej reakcji tureckiej).

4. Rezultat: Syria dokonuje mobilizacji.

5. Prawdopodobny skład sił syryjskich: dostępna liczebność 30.000, w tym Syryjska Armia Arabska, Syryjska Marynarka Arabska, Syryjskie Arabskie Siły Powietrzne i Syryjskie Arabskie Wojska Obrony Przeciwlotniczej. Policja i siły bezpieczeństwa w liczbie 2.000 otrzymają zadanie obrony Damaszku i prezydenta. W ciągu pierwszych trzech dni mobilizacji spośród ludności. Siła w liczbie 1.580.000 mężczyzn w wieku od dziewiętnastu do czterdziestu dziewięciu lat zostanie zmobilizowana w ciągu dwóch tygodni. Niewystarczająco wyćwiczeni, w ciągu kolejnych dwóch tygodni rezerwiści poniosą prawdopodobne straty w wysokości 40-45%.

6. Tureckie wysiłki dyplomatyczne: intensywne. Turcja nie chce wojny.

7. Syryjskie wysiłki dyplomatyczne: umiarkowane. Biorąc pod uwagę wysoce świecki charakter tureckiego rządu, dziewięćdziesiąt procent syryjskiej populacji muzułmańskiej (11,3 miliona z 13 milionów) uzna konflikt za *dżihad*, czyli świętą wojnę.

8. Ramy czasowe początkowej fazy konfliktu: biorąc pod uwagę wysoce emocjonalne nastroje spowodowane atakiem terrorystów, istnieje 88% prawdopodobieństwa, że wojna wybuchnie w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin konfliktu. Nastroje będą się ochładzać z upływem czasu, toteż prawdopodobieństwo wybuchu walk w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin wynosi 7%, a później – 5%.

9. Pierwsza faza w konflikcie początkowym: Turcja nie zechce rozpocząć działań wojennych ze względu na możliwą reakcję Grecji. Mimo to aktualna doktryna zezwala jej na pościg za terrorystami, jeśli: „natura ich zbrodni jest taka, że usprawiedliwia pościg” (sprawdź Oficjalne dokumenty tureckich sił zbrojnych, plik 566-05/ZIELONY). Uważa się za wyjątkowo prawdopodobną umiarkowaną turecką reakcję, mającą zapobiec niepokojom wewnętrznym, wywołanym brakiem aktywności rządu, rozumianym przez obywateli jako słabość. Na naruszenie granicy przez Turcję Syria odpowie natychmiast, prawdopodobny jest atak przy użyciu różnych rodzajów broni w obrębie granic Syrii i poza ich obrębem.

10. Druga faza w konflikcie początkowym: Turcja zaatakuje każdy syryjski oddział w obrębie swych granic, lecz niemal z pewnością nie wkroczy na terytorium Syrii, poruszyłoby to bowiem jej własnych muzułmańskich obywateli. W tym momencie obie strony dokonały demonstracji siły w stopniu wystarczającym by się wycofać, na dalszej eskalacji działań mogłyby tylko stracić. Spodziewana jest intensyfikacja

działań dyplomatycznych, które najprawdopodobniej. okażą się skuteczne. Niewielki margines niepewności wynika z wariantów zachowań się sąsiednich państw (patrz punkt 11 poniżej).

11. Spodziewana odpowiedź innych państw: zakłada się, że każde z sąsiednich państw dokona kroków obronnych. Niektóre z dużym prawdopodobieństwem mogą dokonać kroków agresywnych.

A. Armenia: jej rząd wspomógł Turcję, chyba że Turcja wspomógł Azerbejdżan. Niezależnie od powyższego, nie należy spodziewać się żadnych kroków agresywnych w stosunku do żadnego państwa z wyjątkiem Azerbejdżanu. Rządowe siły bezpieczeństwa będą uważnie przyglądać się miejscowym Kurdom, nie sądzi się jednak, by miały podjąć przeciw nim kroki wojskowe (sprawdź Oficjalne Dokumenty Armenii, plik 364-2120/S/BIAŁY dla oficjalnej reakcji rządu amerykańskiego na sytuację w Armenii).

B. Bułgaria: z 21.000 żołnierzy w służbie zasadniczej zmobilizowane zostaną prawdopodobnie jedynie Wojska Ochrony Pogranicza. Ludność w 8,5% turecka. Nie ma powodu, by Turcy przekroczyli granicę bułgarską. Jeśli jej nie przekroczą, bułgarska armia będzie unikać konfrontacji.

C. Gruzja: jej rząd poprze Turcję, wstrzyma się jednak od działań wojskowych.

D. Grecja: wzmoże się aktywność patroli Marynarki Helleńskiej na Morzu Śródziemnym. W przypadku napotkania patroli tureckich może dojść do konfrontacji. W przypadku zaistnienia drugiej fazy walk między Turcją a Syrią, Grecja pozostanie prawdopodobnie neutralna, spróbuje jednak zająć terytoria sporne (sprawdź plik wysepki Imia, 645/E/CZERWONY.)

E. Iran: Iran niemal na pewno pozostanie militarnie pasywny. Z całą pewnością nasili się aktywność jego piątej kolumny.

F. Irak: w trakcie każdej pierwszej fazy walk Bagdad nasili akcje przeciw irackim Kurdom, uniemożliwiając im przyłączenie się do Kurdów tureckich i syryjskich. W czasie drugiej fazy walk może wysunąć tradycyjne roszczenia pod adresem Kuwejtu (sprawdź plik Wadi al Batin, 335/NW/CZERWONY).

G. Izrael: współpraca Izraela z Turcją obejmuje wyłącznie wspólne manewry wojskowe. Między tymi krajami nie ma układu o wzajemnej pomocy militarnej. Izrael postawi do dyspozycji Turcji swe źródle wywiadowcze. Jeśli dojdzie do drugiej fazy walk, Izrael może zgodzić się na przeprowadzenie kilku ograniczonych ataków lotniczych.

H. Jordania: Jordania prowadzi wspólne manewry lotnicze z Izraelem. Pozostałaby neutralna w konflikcie Izraela z krajami arabskimi, włączy się jednak do wojny Turcji z Syrią.

Paul wyczyścił ekran.

–Jakie są szanse na ponowną zmianę pogody? – spytał Marthę.

–Wygląda na to, że front 11F-Frank nie rozbuduje się.

Hood cofnął się o kilka stron dokumentu. Powtórzył Bickingowi to, co usłyszał od Marthy. Irak nie rozpoczął działań przeciw Kurdom, Paul wiedział jednak, że ten spokój nie będzie trwał wiecznie. Ostatnie raporty wywiadu oceniały liczebność

irackiej armii na ponad, pięć milionów żołnierzy, żądnych zemsty za upokorzenie, jakiego doświadczyli ich poprzednicy podczas wojny w Zatoce Perskiej.

–Jesteśmy także zdania, że 11D-David i 11G-George przesuną się wcześniej niż to zakładano.

Dyrektora Centrum to nie zaskoczyło. Mając w perspektywie zbliżające się wybory, prezydent Grecji czuł potrzebę dokonania czegoś wielkiego i patriotycznego, co zdobyłoby mu sympatię prawicy. Odebranie Turcji wysepek, o których przynależności do tej pory wyłącznie dyskutowano, z pewnością by mu pomogło. Jeśli zaś chodzi o Izrael, jego jastrzębi rząd z rozkoszą skorzystałby z okazji uderzenia na przeciwnika pod pozorem udzielenia należynej pomocy sojusznikowi.

–A jak mają się sprawy z frontem domowym?

–Meteorologowie obserwują sytuację i dyskutują. Odwołano kilka pikników, ale tylko pięć parasolek zostało złamanych.

Oznaczało to, że żołnierzom amerykańskim stacjonującym w tym regionie nie wydawano przepustek, i że wojska Stanów Zjednoczonych pozostaje w niskim stanie alarmowym Defcon Pięć.

–Będę cię informować – powiedziała jeszcze Martha – ale jedno mogę ci powiedzieć już teraz: w kwaterze naszych meteorologów jest mnóstwo smutnych twarzy.

Kwaterą meteorologów był Biały Dom.

–Jestem pewien, że boją się burz – stwierdził Paul. – I jestem pewien, że paru się doczekają.

–Parę burz przeżyją. Najbardziej boją się jednej, ale za to wielkiej – zakończyła Martha.

Paul podziękował jej i przerwał połączenie. Spojrzał na Bickinga. Ten szczupły, dwudziestodwuletni chłopak był adiunktem na wydziale nauk społecznych Uniwersytetu Georgetown. Specjalizował się w polityce krajów islamskich. Należał do grupy czterech ekspertów, którzy dołączyli ostatnio do Centrum jako doradcy jego dyrektora.

–Co o tym wszystkim myślisz? – spytał go Paul.

Bicking bawił się pasmem przydługich ciemnych włosów, nawijając je na palec wskazujący. Robił to zawsze, kiedy myślał.

–Jest bardzo duża szansa, że dojdzie do wybuchu – powiedział w końcu. – A kiedy już do niego dojdzie, być może obejmie on cały świat. Z Turcji napięcie może przesunąć się przez Grecję i Bułgarię do Rumunii i Bośni. Obecność na scenie Iranu może oznaczać wciągnięcie w konflikt Węgier, Austrii i Niemiec. W Niemczech mieszkają dwa miliony Turków, z czego pół miliona to Kurdowie. Oni z pewnością nie będą siedzieć biernie. Z Turcji fala może też ruszyć w innym kierunku, wprost do południowej Rosji.

–Mów dalej.

–Ten region od wieków najeżony jest wzajemnymi niechęciami i nienawiściami, nieustannie podsycanymi, nieustannie krzyżującymi się – Turcja i Grecja, Syria i

Turcja, Izrael i Syria, Irak i Kuwejt... plus mnóstwo innych konfiguracji. Wystarczy drobiazg i bam! A kiedy raz pojawi się szarańcza...

Paul skinął głową, zrezygnowany. Okazało się nagle, że w Damaszku ma do zrobienia znacznie więcej, niż tylko uratować CR.

Bicking szarpał kosmyk włosów nieco mocniej niż przed chwilą. Zerknął na szefa spod półprzymkniętych powiek.

–Mam pomysł – powiedział. – Pozwól mi popracować nad CR, a sam z doktorem Nasrem postaraj się uniemożliwić wybuch III wojny światowej.

–Być może zabraknie nam czasu na ratowanie CR – zauważył Hood. – Jeśli pojawi się choćby najmniejsza szansa, że Kurdowie go użyją, prezydent z pewnością nakaze odnalezienie go i zniszczenie.

–Słusznie. A odnalezienie go nie będzie żadnym problemem. Gdy tylko podłączą się do satelity, wojskowi dostaną sygnał i...

Paul złapał telefon.

–A teraz kupimy sobie trochę czasu – powiedział.

–Jak?

–Jeśli terroryści zdołają włączyć CR, sygnał musi przejść przez satelitę. Jeśli przejdzie, Matt Stoll być może potrafi go jakoś wyłączyć. Jeśli go wyłączy i CR oślepnie i ogłuchnie, być może uda się przekonać prezydenta, by dał nam czas potrzeby do negocjacji. Bicking nakręcał włosy na palec raz za razem.

–Dobry pomysł – stwierdził.

Hood czekał na połączenie. Plan zniszczenia CR był właściwie bardzo prosty. Furgonetki nie wyposażono w przycisk samozniszczenia, musiano zaprojektować ją jako całkowicie nie uzbrojoną, by mogła operować na terenie niektórych państw trzecich. Gdziekolwiek jednak operowała, zawsze była w zasięgu rakiety *Tomahawk*, którą można było wystrzelić z ziemi, wody lub powietrza, mającej zasięg dwóch tysięcy kilometrów. Wyposażona w komputer z wprowadzoną mapą terenu, była ona w stanie ugodzić CR dosłownie wszędzie.

. Telefon odebrał asystent Stopa i natychmiast wezwał szefa.

–Czy to bezpieczna linia? – spytał zdyszany Stoll.

–Nie – odpad Paul.

–No dobrze, słuchaj, słyszałeś o tej zaginionej grupie rockowej?

–Słyszałem. – Nie dysponowali kodem na opis sytuacji porwania CR, Matt więc musiał improwizować.

–Kable na scenie cały czas wytwarzają pole magnetyczne powiedział Stoll. – Bob nie mógł go wykryć, kiedy nasi rockersi wyciągnęli wtyczkę z gniazdka.

–Rozumiem.

–Doskonale. Nasz wysoki przyjaciel *ES4* zaczął znów odbierać sygnał.

ES4 oznaczało Satelitarny System Przeszukiwania Spektrum

Elektromagnetycznego. Czujniki wbudowane były w łańcuch wielofunkcyjnych satelitów, odczytujących promieniowanie na częstotliwościach od 10^{29} do 0 herców i o długości fali od 10^{-13} centymetra do nieskończoności, czyli promieniowanie gamma, promieniowanie rentgenowskie, ultrafioletowe, światło widzialne,

podczerwień, mikrofałe i fałe radiowe.

–Więc wiemy dokładnie, gdzie jest teraz grupa? – spytał Hood.

–Owszem. Nie wiemy jednak, co robi.

–Nie dają głosu?

–Nie dają. Znaczące wydaje się jednak to, że wokalista nie śpieszy się z nawiązaniem połączenia.

–Skąd wiesz?

–Zgodnie z przeprowadzonymi w domu testami na scenie rozkręcają się w cztery minuty z drobnymi. Rozumiesz?

–Rozumiem.

Akumulatory wyjęte z CR można podłączyć z powrotem w czasie przekraczającym nieco cztery minuty.

–W tempie, w jakim wokalista podłącza sprzęt, ich maszyna nie osiągnie pełnej mocy i nie ruszy z kopyta jeszcze przez jakieś piętnaście minut. Co oznacza, w sumie, jakieś dwadzieścia pięć minut.

–A to znaczy, że ta inna grupa nadal ma kontrolę nad sprzętem?

–Najprawdopodobniej.

A więc Mike gra na zwłokę, pozostając pod kontrolą Kurdów. Paul doskonale zdawał też sobie sprawę z tego, że jeśli Matt Stoll i Bob Herbert potrafili wyciągnąć prawidłowe wnioski z odczytów satelitarnych, to CIA i Departament Obrony też to potrafią. Jeśli uznają, że w pełni sprawne CR jest pod kontrolą Kurdów, jego los będzie przesądzony.

–Matt, czy jest jakiś sposób, żeby wyłączyć zespół, kiedy już się podłączy?

–Jasne.

–Jak tego dokonać?

–Wyślemy komendę połączenia. Gdy tylko sygnał od zespołu dotrze do czaszy, rozkażemy jej ignorować wszystkie inne sygnały z tego źródła. Może to zająć jakieś pięć sekund.

–Daj wokaliście piętnaście sekund. Jeśli zechce wysłać nam sygnał, uczyni to od razu. Potem go wyłącz. On zrozumie, co robimy i dlaczego.

–W porządku. Ale będziemy mieli na niego oko, nie?

–Jasne.

ES4 mógł bez problemu śledzić pole elektromagnetyczne CR, nad którym kontrolę przejąć powinien za parę minut satelita NBR. Gdyby Hoodowi udało się powstrzymać prezydenta od wydania rozkazu zniszczenia CR, mieli szansę wydostać swoich ludzi.

–Matt, ujmij to wszystko w raporcie i poślij do Marthy. Powiedz jej, że ma przekazać go dalej, do Waszyngtonu, z moją rekomendacją mówiącą, iż mamy czekać i obserwować. Ty tymczasem gotuj się do zamknięcia drzwi, które otworzy nasz zespół.

Paul przerwał połączenie i poinformował o wszystkim Bickinga. Zgodzili się, że jeśli CR zostanie wyłączone, prezydent da Iglicy szansę na odbicie go. Mimo nacisków doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Steve'a Burkowa, który miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa za wszelką cenę, prezydentowi z pewnością

nie będzie się uśmiechało wydanie wyroku na własnych ludzi. Oczywiście, o ile zneutralizowane zostanie wyposażenie jednostki.

Hood i Bicking zabrali się do studiowania dokumentów o Syrii, które podładowano im do komputerów. Paul jednak nie potrafił się skupić i oznajmił, że idzie coś zjeść. Warren obiecał, że w tym czasie wypunktuje stanowisko administracji.

Dyrektor Centrum poprosił jednego z dwóch stewardów o dietetyczną Pepsi. Popijał ją na stojąco, przyglądając się kabinie. Miękkie, wygodne fotele ustawione były w dwóch rzędach po dwa, wzdłuż szerokiego przejścia. Pasażerowie siedzieli, pochyleni nad komputerami.

Na ogół popracować można było z godzinę, potem drinki, nuda i reporterzy, którzy koniecznie musieli o czymś napisać, zmieniali lot w spotkanie towarzyskie. Za kabiną pasażerską znajdowały się dwa niewielkie stoły, przeznaczone do narad podczas posiłków. Teraz były puste, miały się jednak zapełnić około piątej, kiedy serwowano kanapki. Drzwi w ścianie za stołami prowadziły do skromnych pomieszczeń biurowych i sypialni, której sekretarz stanu używał czasami podczas lotów.

Paul rozmyślał nad tym, jak to możliwe, by najpotężniejszy naród w historii cywilizacji, mający do dyspozycji wielką armię i zdumiewające wręcz środki techniczne, oberwał w łeb od trzech uzbrojonych w karabiny facetów.

· Poniedziałek, 22.34 – Oguzeli, Turcja

Ibrahim siedział za kierownicą, obserwując zachowanie wskaźnika mocy podczas podłączania kolejnych akumulatorów. W miarę jak liczby na wskaźniku rosły równomiernie, wypróbował przyciski chcąc sprawdzić, jak włączać światła, klimatyzację i tak dalej. Znaczenia wielu zegarów i dźwigienek po prostu nie rozumiał.

Mehmet stał obok niego. Oparty o deskę rozdzielczą, palił papierosa. Ramiona skrzyżował na piersiach i nie spuszczał wzroku z Amerykanów w tyle furgonetki. Towarzyszył im Hasan, przyświecając latarką i kontrolując postęp prac.

Wszyscy jeńcy zdążyli już oprzytomnieć. Siedzieli w milczeniu tam, gdzie pozostawili ich Kurdowie. Katzen, Coffey, Mary Rose i pułkownik Seden przywiązani byli do podstawy bocznego fotela. Szeregowy Pupshaw tkwił, jak poprzednio, przy stanowisku komputerowym. Nie dano im ani wody, ani jedzenia, o które zresztą jeńcy wcale nie prosili. Nikt nie poprosił też o wypuszczenie go za potrzebą.

Ibrahim wyrzwał przez okno. Gdy tytko przywrócono furgonetce odrobinę mocy, natychmiast opuścił szybę, by pozbyć się z wnętrza zapachu papierosowego dymu. Ulubione papierosy Mehmeta zrobione były z tytoniu uprawianego przez Beduinów, pachnącego obrzydliwie słodko, niczym środek odstraszający komary. Nie pojmował, jak jego brat może czerpać przyjemność z czegoś tak wstrętnego.

No cóż, nie rozumiał, jakim cudem jego brat czerpie przyjemność z bardzo wielu rzeczy. Stosowania przemocy na przykład. Mehmetowi starcie z Amerykaninem sprawiło prawdziwą przyjemność. Obaj stracili w nim odrobinę ze swej godności, Ibrahim nie wątpił jednak, że Mehmet z utęsknieniem wyczekuje drugiej odłony.

Ze swej strony Ibrahim wiedział, oczywiście, że jest ona nieunikniona, ale wcale go to nie cieszyło. Przyjrzał się swej twarzy w bocznym lusterku, obserwował ją z przedziwną mieszanką zadowolenia i nienawiści. Wykonali dzisiaj kawał dobrej roboty, bez dwóch zdań, ale jakie miał prawo pozostać przy życiu? Walid walczył tak długo, tak bohatersko i dziś to on powinien dziękować w modlitwie Allahowi za zwycięstwo.

Ibrahim wstał, by lepiej się sobie przyjrzeć i nagle zauważył, jakie dziwne jest to boczne lusterko. Było szerokie i wklęsłe, co umożliwiało lepszą obserwację drogi za samochodem, zamontowano je jednak na również wygiętej podstawie, zbyt eleganckiej jak na tego rodzaju pojazd. Zaintrygowany wyjął nóż i zaczął dłubać nim z tyłu lusterka.

Dowódca Amerykanów, ten który powiedział, że nazywa się Knight, przerwał podłączanie akumulatorów i powiedział coś do Ibrahima. Hasan mu odpowiedział. Amerykanin przemówił znowu. Ibrahim obejrzał się. Knight nie sprawiał już wrażenia tak pewnego siebie jak przedtem i Ibrahim zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie wpadł na coś ważnego. Hasan wskazał na podłogę samochodu, Amerykanin pochylił się i wrócił do pracy. Ibrahim nadal dłubał przy lusterku.

Uwolnił lusterko po bokach, ale nadal było ono przymocowane w środku. Tylko że nie było to szkło, lecz coś znacznie lżejszego. Przypominało srebrną folię. Ibrahim wychylił się przez okno i dobrze się jej przyjrział. Zobaczył coś jeszcze, coś co

przypominało nadajnik.

Nie, pomyślał, nie nadajnik. Antenę radiową, jak te wielkie, których używali w lotnictwie.

Załżył lusterko na miejsce. Obejrzał się. Amerykanin przestał podłączać akumulatory i tylko się na niego gapił.

General stał przez chwilę niepewnie na związanych nogach, a potem oparł się o jeden z terminali komputerowych. Hasan podszedł do niego, złapał go za ramię i wciągnął go z powrotem do wnętrza w podłodze.

Ibrahim wstał z fotela. Nożem postukiwał się po rozwartej dłoni.

–Coś tu jest bardzo nie tak – powiedział do Mehmeta.

Mehmet zaciągnął się papierosem, rzucił go i rozdeptał.

–Co tu może być nie tak oprócz tego, że Amerykanin nie umie szybko pracować?

–Nie wiem. Gdybym miał bogatą wyobraźnię, powiedziałbym, że rama tego lusterka to bardzo mały nadajnik radiowy. – Nożem zatoczył krąg obejmując wnętrze furgonetki. – A te wszystkie komputery i monitory? Załóżmy, że nie służą odnajdywaniu zakopanych w ziemi miast. Załóżmy, że ci ludzie wcale nie są naukowcami. Załóżmy, że to tylko maskowanie.

Mehmet poderwał się na równe nogi. Już nie wydawał się taki zmęczony.

–Mów dalej, bracie – powiedział. Ibrahim wskazał nożem Rodgersa.

–Ten człowiek wcale nie zachowywał się jak naukowiec. Kiedy groziłeś dziewczynie, dokładnie wiedział, jak daleko może się posunąć.

–Chodzi ci o to, że zachował się tak, jakby już kiedyś przez to przechodził?

Miałem podobne uczucie, ale nie wiedziałem, dlaczego.

–Oni wszyscy zachowują się bardzo spokojnie. Nikt o nic nie błaga, nie prosi o wodę. – Wskazał Pupshawa i DeVonne. – Tych dwoje dało się skrępować bez słowa protestu.

–Jak dobrze wyćwiczeni żołnierze – stwierdził Mehmet. Rozejrzał się po wnętrzu furgonetki, jakby widział je po raz pierwszy. – Ale jeśli nie do badań, to do czego służy ten samochód?

–Jest centrum szpiegowskim – odparł niepewnie Ibrahim i nagle w jego głosie zabrzmiało zdecydowanie. – Tak, to na pewno jest centrum szpiegowskie.

Mehmet złapał go za ramię.

–Dzięki niech będą Prorokowi! Możemy go użyć i...

–Nie!

–Ale przecież dzięki niemu możemy wydostać się z Turcji. Możemy podsłuchiwać radiostacje wojskowe...

–A wojsko może podsłuchiwać nas. Nie z ziemi, tylko z góry.

–Wskazał lusterko nożem. – Całkiem prawdopodobne, że już nas podsłuchują, czekają, gdzie pojedziemy...

Mehmet spojrział na Rodgersa, pochylonego nad wnęką w podłodze, zakładającego klemy na akumulatory.

–*Abadan!* Nigdy! – krzyknął. – Tak czy inaczej ich oślepię. Wyrwał Ibrahimowi nóż. Pochylił się i przeciął więzy Mary Rose, którymi przywiązana była do krzesła, jej

ręce i nogi dalej były skrępowane. Rzucił ją na podłogę, na twarz. Oddał Ibrahimowi nóż. Klęknął przy leżącej kobiecie. Złapał ją za włosy tak mocno, że aż krzyknęła. Wyrwał trzydziestkęósemkę z kabury przy pasie i przyłożył lufę do karku dziewczyny.

Rodgers znów przerwał pracę. Nie podniósł się.

–Hasan! – krzyknął Mehmet. – Powiedz Amerykaninowi, że wiem, do kogo należy ten pojazd. Powiedz mu, że ma mi opisać, jak działa. – Uśmiechnął się triumfalnie. – I powiedz mu, że tym razem będę liczył tylko do trzech.

· Poniedziałek, 15.35 – nad Marylandem

Kiedy helikopter wylądował w bazie Andrews, porucznik Robert Essex czekał już na pułkownika Augusta. Wręczył mu dyskietkę, opakowaną w srebrną, wrażliwą na nacisk folię. Tylko odcisk kciuka pułkownika, sprawdzony przez jego komputer, umożliwi dostęp do danych.

August przyjął dyskietkę, tymczasem sierżant Chick Grey wprowadził szesnastu żołnierzy Iglicy do *C-141B*. Przerobiony *Lockheed C-141A* miał, w wersji *B*, kadłub długości pięćdziesięciu dwóch metrów, o siedem metrów dłuższy od swego poprzednika. Przeróbka objęła też instalację urządzeń do tankowania w powietrzu, wydłużających zasięg tego transportowca powyżej sześciu tysięcy pięciuset kilometrów.

Załoga samolotu pomogła Iglicy załadować ekwipunek. W niespełna osiem minut po wylądowaniu helikoptera cztery potężne silniki *Pratt Whitney* wyniosły odrzutowiec w niebo.

Pułkownik August wiedział, że jego poprzednik, podpułkownik Squires lubił rozmawiać ze swymi ludźmi na wszelkie możliwe obojętne tematy, od ulubionych powieści poczynawszy, na gatunkach kawy skończywszy. August rozumiał, że może to rozluźnić atmosferę, sprawić, by ludzie czuli się sobie bliżsi i bardziej za siebie nawzajem odpowiedzialni, nie było to jednak w jego stylu. I nie tego stylu uczył jako wykładowca, zaproszony do Centrum Sztuki Wojennej imienia Johna F. Kennedy'ego. Jeśli o niego chodziło, jedna z żelaznych zasad dowodzenia brzmiała: „Twoi ludzie nie mogą cię znać zbyt dobrze. Jeśli żołnierze nie wiedzą, co zrobić i jak się zachować, by zadowolić dowódcę, muszą po prostu cały czas się starać”. A wartownik, pilnujący go w obozie Wietkongu powtarzał: „Trzymamy się razem, trzymając się osobno”.

W kiepsko wygłuszonej kabinie hałas był wręcz nieznośny. Żołnierze siedzieli na twardych ławkach. To też odpowiadało ich dowódcy. Zimny, nieprzytulny samolot. Barka desantowa miotana potężnymi falami. Długi, wyczerpujący marsz w deszczu. Coś takiego zawsze hartuje skórę żołnierza.

Pod dowództwem starszego szeregowego Davida George'a żołnierze sprawdzili znajdujący się na pokładzie samolotu ekwipunek. Centrum utrzymywało w bazie Andrews magazyn z wyposażeniem na każdy klimat i każdy rodzaj misji. W ładunku przeznaczonym na tę misję znalazły się standardowe mundury maskujące w pustynnych kolorach, również maskujące chusty na twarze i pustynne czapki. Na wyposażenie składały się: kamizelki kuloodporne z kewlaru, parciane pasy, wentylowane ciężkie buty przeznaczone do użycia w gorącym klimacie, gogle z nietłukącego się szkła i torby noszone w pasie z kieszeniami na dodatkową amunicję, latarkę, granaty oszałamiające, płaskie granaty odłamkowe *M560*, zestaw pierwszej pomocy, karabinki do zjazdów na linie i wazelina do posmarowania skóry otartej podczas marszu, wspinaczki, pełzania lub dźwigania ciężarów. Żołnierze uzbrojeni byli w pistolety *Beretta* kalibru 9 mm z powiększonymi magazynkami oraz dziewięćmilimetrowe pistolety maszynowe *Heckler Koch MP5 SD3* ze składaną

kolbą i wbudowanym tłumikiem. Od czasu, kiedy użył tej broni po raz pierwszy, pułkownik uznał jej tłumik za pomysłowo zaprojektowany i skuteczny. Pierwsza jego część wchłaniała gazy, druga odrzut i płomień z lufy. Hałas zamka tłumili gumowe nakładki. Z odległości pięciu metrów nikt niczego nie słyszał.

Bob Herbert najwyraźniej spodziewał się walki w zwarciu.

Iglica wyposażona była także w sześć motocykli o specjalnie wytłumionych silnikach oraz cztery *FAV* – *Fast Attack Vehicles*, czyli Pojazdy Szybkiego Ataku. Zaprojektowano je tak, by w każdym zmieściły się trzy osoby. Po pustyni mogły poruszać się z prędkością przekraczającą sto dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Kierowca i pasażer siedzieli z przodu, strzelec na podwyższonym tylnym siedzeniu. Każdy pojazd uzbrojony był w karabin maszynowy kalibru 12,7 mm i czterdziestomilimetrowy moździerz.

Pułkownik August domyślał się dokąd zostali skierowani, nim przycisnął kciukiem folię na dyskietce. Folia utrwaliła odcisk palca, komputer odczytał go z dyskietki włożonej w napęd A i na monitorze pojawiły się zapisane na niej dane.

Był tam skrót informacji o losie CR, a także fotografie, które Herbert pokazał Hoodowi. Zebrane przez Boba Herberta dowody wskazywały na syryjskich Kurdów, prawdopodobnie powiązanych z Kurdami tureckimi. Ostateczne potwierdzenie Bob Herbert otrzymał przed niespełną godziną w postaci informacji od głęboko utajnionego agenta, działającego wśród syryjskich Kurdów, o wielokrotnych tajnych spotkaniach pomiędzy dwiema grupami, mających miejsce w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Na jednym z tych spotkań dyskutowano sprawę ataku na tamę.

Pułkownik August podejrzewał, że miejscem ich lądowania będzie Ankara albo Izrael. Jeśli Anka, wylądują w bazie NATO na północ od stolicy, jeśli Izrael, tajna baza lotnictwa Tel Nef niedaleko Tel Awiwu. Pułkownik odwiedził ją przed rokiem i pamiętał doskonale, że była zabezpieczona lepiej od większości odwiedzanych przez niego baz. Otoczono ją w całości drutem kolczastym, wewnątrz którego znajdowały się rozmieszczone co kilkadziesiąt metrów ceglane budki wartowników z owczarkami alzackimi. Dziewięć metrów za linią posterunków, także otaczając bazę, rozciągał się półtorametrowy pas piasku, pod którym zakopano miny. Podczas dwudziestu pięciu lat jej istnienia, tylko bardzo niewielu zwiadowców palestyńskich próbowało przeniknąć do bazy. Nikomu się to nie udało.

Z Ankary zespół miał polecieć na wschód, do obozu na terenie Turcji, z Tel Nef zaś mógł przelecieć lub przejechać na granicę turecką lub syryjską. Jeśli, w co zdawał się wierzyć Bob Herbert, CR wpadło w ręce syryjskich Kurdów, istniało spore prawdopodobieństwo, że będzie się kierowało do doliny Bekaa w zachodniej Syrii. Była to prawdziwa twierdza terrorystów – CR przydałoby się im niesłychanie. Jeśli Kurdowie syryjscy współpracowali z Kurdami tureckimi, terroryści mogli planować także pozostanie w Turcji i wycofanie się do wschodnich twierdz kurdyjskich wokół góry Ararat. To jednak byłoby dość ryzykowane. Ankara nadal prowadziła nieoficjalną wojnę z Kurdami, obejmującą tereny południowo-wschodnich prowincji: Diyarbakir, Mardin i Sird oraz leżącej na wschodzie prowincji Bingol.

Ponieważ rząd syryjski wspierał grupy terrorystyczne z doliny Bekaa, a zwłaszcza

Hezbollah, ten kierunek ucieczki wydawał się prawdopodobniejszy. Herbert był przekonany, że Syryjczycy nie zezwolą na operacje Iglicy w tym regionie.

Dokądkolwiek się w końcu udacie, pamiętajcie, że nie mamy jeszcze aprobaty kongresowej Komisji Nadzoru Wywiadu. Martha Macali spodziewa się ją otrzymać, choć być może zbyt późno, jak na nasze potrzeby. Jeśli terroryści nadal są w Turcji, spodziewamy się uzyskać dla was pozwolenie na pobyt w tym kraju i zorganizowanie bazy obserwacyjnej, działającej do momentu uzyskania aprobaty komisji. Jeśli terroryści przekroczą granicę syryjską, nie będziecie mieli prawa kontynuowania pościgu.

Pułkownik August uśmiechnął się lekko. Herbert napisał: „...nie będziecie mieli prawa...” Nie oznaczało to jednoznacznie, że Iglica nie może przekroczyć granicy. Kiedy po raz pierwszy pojawił się w Centrum, Mike Rodgers zachęcał pułkownika, by zapoznał się z językiem korespondencji między swym oddziałem a samym Centrum. Rozkazy, o czym August wiedział doskonale, wydawało się nie słowami, lecz tym, co ukryte było między nimi.

Odkrył przy okazji, że kiedy Mike albo Herbert powstrzymywali Iglicę, pisali po prostu „Nie wolno wam...”

Jasno, a raczej, w tym przypadku niejasno, Herbert zachęcał go do ataku.

Na dyskietce znajdowały się także mapy, możliwe drogi podejścia do poszczególnych obiektów, oraz różne scenariusze misji i drogi wycofywania się na wypadek, gdyby Turcy i Syryjczycy odmówili współpracy. Dotarcie do Tel Nef miało zabrać oddziałowi piętnaście godzin. August zabrał się do studiowania map, potem przejrzał plany misji, polegającej na okrążeniu przeciwnika i uwolnieniu zakładników, sporządzone osobno dla terenu górskiego i pustyni.

Dzięki latom spędzonym w europejskich oddziałach NATO, pułkownik doskonale znał geografię regionu oraz różne scenariusze możliwych akcji. Jedynym nieznanym czynnikiem była ewakuacja kogoś tak mu bliskiego. Wietnamski wartownik Kiet pomógł jednak Augustowi zrozumieć, że nieznanie nie jest straszne, a po prostu nowe.

Do skulonego nad mapami dowódcy podszedł Iszi Honda. August podniósł głowę. Honda trzymał w dłoni bezpieczny telefon *TAC SAT*, podłączony do anteny systemu telekomunikacyjnego samolotu.

–Tak?

–Moim zdaniem, powinien pan tego posłuchać, pułkowniku.

–Czego?

–Cztery minuty temu dostaliśmy to na *AL*

AC oznaczało Active-Line receiver – odbiornik aktywny – linię telefoniczną automatycznie zawiadamiającą Boba Herberta oraz Iglicę przy uaktywnieniu. Gdy Iglica odbywała misję, rozmowę przerzucano na *TAC-SAT*. Tylko kilka osób znało numer tej linii: prezydent, senator Fox oraz dziesięcioro najwyższych funkcjonariuszy Centrum.

August spojrział na szeregowego.

–Dlaczego nie poinformowano mnie natychmiast?

–Bardzo przepraszam, panie pułkowniku, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli sam najpierw sprawdzę, o co chodzi. Nie chciałem marnować pana czasu przedstawiając niekompletne dane.

–Następnym razem proszę marnować mój czas. Być może będę w stanie pomóc.

–Tak jest, panie pułkowniku. Przepraszam, panie pułkowniku.

–Co to takiego?

–Seria pisków. Ktoś do nas zadzwonił, a potem wcisnął serię powtarzających się cyfr.

August wziął od niego słuchawkę i podniósł do ucha. Drugie zatkał palcem, żeby lepiej słyszeć. Usłyszał dziewięć dźwięków różnej wysokości, po których nastąpiła przerwa. A po niej znów powtórzyło się te dziewięć dźwięków.

–To nie jest numer telefoniczny – stwierdził.

–Nie, panie pułkowniku – przytaknął Honda.

August słuchał tej dziwnej, nieharmonijnej muzyki.

–Zakładam, że każdy dźwięk odpowiada literze na tarczy telefonu? – spytał.

–Oczywiście, panie pułkowniku. Sprawdziłem możliwe kombinacje, ale żadna z nich nie ma sensu.

Honda wręczył dowódcy kartkę. Pułkownik przeczytał ją raz, a potem jeszcze raz. 7222528573. Spojrzał na telefon. Liczba możliwych permutacji zbliżała się prawdopodobnie do nieskończoności. Jeszcze raz przyjrzał się kawałkowi papieru. Kod, z całą pewnością kod, a jedyną osobą, mogącą przesyłać zakodowane informacje przez AL był Mike Rodgers.

–Szeregowy, czy ta informacja mogła dotrzeć do nas przez CR?

–Oczywiście, panie pułkowniku. Mogli użyć jednego z telefonów, wbudowanego w komputer.

–Komputer musiałby być włączony? Cyfry wprowadzono przez klawiaturę?

–Tak jest, panie pułkowniku. Albo mogli podłączyć telefon komórkowy do komputera i nadawać przez antenę satelitarną. Tak byłoby łatwiej, w mniejszym stopniu zwracaliby na siebie uwagę.

Pułkownik August skinął głową. A więc CR znów było pod prądem. Wymagało to współpracy co najmniej jednego członka załogi. Z rozwiązzanymi rękami, ponieważ miał szansę przesłać kod.

–Centrum też odebrało pewnie ten sygnał – powiedział. Proszę sprawdzić, czy coś z niego wyciągnęli.

–Natychmiast sprawdzę, panie pułkowniku. – Honda wyprężył się jak struna. Usiadł obok dowódcy i zadzwonił do Boba Herberta. Pułkownik August nie próbował nawet skoncentrować uwagi na mapach. Po prostu czekał na informacje, na wnioski, jakie Centrum wyciągnęło z w tak niezwykły sposób przekazanej wiadomości. Fakt, że była kodowana i bardzo krótka, nie przepełniał go jednak optymizmem co do sytuacji Mike'a Rodgersa.

· Poniedziałek, 22.38 – Oguzeli, Turcja

Tym razem Mike Rodgers nie miał wyboru.

Mehmet pragnął zabijać. Widać to było po jego oczach. Generał nie czekał nawet, aż doliczy do trzech. Gdy tylko Hasan przetłumaczył rozkaz współpracy, natychmiast uniósł dłonie do góry.

–Dobrze – powiedział stanowczym głosem. – Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

Hasan przetłumaczył. Mehmet zawahał się. Generał patrzył mu wprost w oczy.

Mehmet wyraźnie radował się tym, że trzyma wreszcie przeciwnika za gardło. Rodgers nie miał nic przeciwko temu, pomógł mu nawet, kapitulując od razu. Kurd musiał wiedzieć, że zwyciężył bez problemu, być może wyłącznie świadomość tak bezwzględного zwycięstwa zdolna była powstrzymać go przed zamordowaniem Mary Rose – z zemsty, urażonej dumy, kto wie? Istniał przecież ciągle sposób na powstrzymanie terrorystów, zwłaszcza jeśli Centrum przejęło i zrozumiało transmisję telefoniczną. Rodgers dysponował telefonem, który wcześniej Hasan włożył mu do kieszeni koszuli. Zaprogramował go, pochylony nad wnęką w podłodze CR, podłączając akumulatory. W kilka minut później, opierając się o terminal, wsunął telefon w specjalny uchwyt, podłączający go do komputerowej transmisji satelitarnej. Wsuniecie telefonu w uchwyt automatycznie odłączało zasilanie z baterii – telefon nie aktywował się przed włączeniem komputera.

Generał wrócił do pracy i przede wszystkim zasilił z akumulatorów najbardziej hałaśliwe systemy CR. Wraz z komputerem do życia wróciła klimatyzacja i alarm, który zaczął popiskiwać sygnalizując otwarcie okna. Syryjczycy nie słyszeli cichych trzasków dzwoniącego i ponawiającego transmisję telefonu. W dwie minuty później podłączone zostały wszystkie akumulatory i Mike wysunął związane nogi z wnęki w podłodze.

–Hasanie – powiedział cicho, spokojnie – czy mógłbyś powiedzieć swemu przyjacielowi, że wszystko jest przygotowane i że jestem gotów z nim współpracować? Powiedz mu też, że przepraszam go za to, że nie przedstawiłem mu od razu możliwości tego pojazdu. I że obiecuję, iż to się więcej nie powtórzy.

Pozwolił sobie na jedno krótkie spojrzenie na Mary Rose. Biedna dziewczyna oddychała głęboko, wyglądała tak, jakby całą siłę woli skupiła na tym, by nie wymiotować.

Mehmet uniósł jej głowę za włosy.

–Ty sukinsynu! – Pupshaw szarpał się w więzach.

–Spokój, szeregowy – ostrzegł go Rodgers, próbując zignorować wściekłość, która lada chwila mogła ogarnąć i jego.

Hasan skinął głową z wyraźnym zadowoleniem.

–Cieszę się, że widzisz teraz wszystko naszymi oczami – powiedział.

Generał milczał. Nic nie zyskałby tłumacząc, co sądzi o mężczyźnie terroryzującym bronią związanego, bezbronniego cywila. Jego głównym celem było teraz utrzymanie terrorystów w szoferce furgonetki, z dala od terminali

komputerowych.

Mehmet przekazał Mary Rose Ibrahimowi, który unieruchomił ją w uścisku. Podszedł do Rodgersa. Mike podskoczył mu na spotkanie związanych nogach. Zatrzymał się przy terminalu znajdującym się po przeciwnej stronie tego, do którego podłączył telefon. Opad dłoń na ramieniu Pupshawa, gestem dodając mu odwagi.

Mehmet przemówił do tłumaczącego jego słowa Hasana.

–On chce, żebyś mówił – powiedział.

Rodgers spojrział na Mehmeta. Gniew niemal znikł z twarzy kurdyjskiego dowódcy. Doskonale. Generał bardzo pragnął zwolnić nieco przebieg zdarzeń, porozmawiać, dać Centrum czas na odbiór i rozszyfrowanie sygnału, a także na ustawienie satelity nad CR, jeśli jeszcze tego nie zrobili. Miał wrażenie, że jeśli przekaze terrorystom część informacji o tym, do czego zdolny jest ten pojazd, nigdy nie domyślą się, do czego rzeczywiście jest zdolny – na przykład do pobierania danych z bardzo dobrze zabezpieczonych komputerów w Waszyngtonie. Gdyby terroryści dowiedzieli się o wszystkim, zagrożone byłoby bezpieczeństwo narodowe i życie tajnych agentów. I wówczas nie byłoby innej możliwości niż tylko wcisnąć Ctrl, Alt, Del i F, i zniszczyć sprzęt bez względu na konsekwencje.

–To stacja obserwacyjna Stanów Zjednoczonych – powiedział. – Słuchamy transmisji radiowych.

Hasan przetłumaczył to wyjaśnienie Mehmetowi. Pupshaw wił się w więzach.

–Generale, niech już nas raczej zabiją – szepnął.

–Cisza – napomniał go dowódca.

Hasan zakończył tłumaczenie. _

–Mehmet chce się dowiedzieć, czy wiecie o tym, czego dziś dokonaliśmy.

–Nie – odparł Rodgers. – Dziś po raz pierwszy użyliśmy naszych urządzeń. Nadal je testujemy.

Hasan tłumaczył. Mehmet powiedział coś, wskazując miniaturową antenę satelitarną.

–Możecie stąd wysłać wiadomość?

–Przez satelitę? – spytał z nadzieją Rodgers. – Tak, owszem, możemy.

–Komputerową i głosową? – zainteresował się Hasan.

Rodgers skinął głową. Jeśli Mehmet uzna CR za swój osobisty megafon, tym lepiej. Centrum będzie w stanie śledzić ich, po prostu słuchając transmisji.

Mehmet uśmiechnął się i powiedział coś Ibrahimowi. Ibrahim odpowiedział mu, zdradzając wielką pewność siebie. Mehmet odezwał się znowu i tym razem Ibrahim objął Mary Rose i wywłókł ją z furgonetki.

–Co tu się dzieje – spytała przerażona dziewczyna. – Generale... generale!

–Zostaw ją! – rozkazał Rodgers. – Przecież robimy, czego zażądałeś! – Skoczył przed siebie. – Jeśli kogoś potrzebujecie, weźcie mnie – powiedział.

Hasan powstrzymał go. Rodgers złapał go za włosy, ale nie zdołał utrzymać równowagi i Hasan odepchnął go tak, że Mike wpadł do najbliższej wnęki na akumulatory. Sandra wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc, ale powstrzymał ją gestem. Jeśli już ktoś miał tu być krzywdzony, to tylko on.

Usiadł na podłodze.

–Dobrze cię traktowałem! – wrzasnął Hasan i splunął mu w twarz. – Zwierzę!

Zasłużyłeś sobie na to!

–Przyprowadź ją – warknął Rodgers. – Przecież wykonuję wasze polecenia

–Milcz.

–Nie! Myślałem, że coś uzgodniliśmy! – odkrzyknął generał.

Mehmet podszedł i wymierzył mu w głowę z rewolweru. Powiedział coś do Hasana. Twarz miał nieruchomą.

Hasan przeczesał włosy palcami.

–Zdenerwowałeś mnie bez powodu, panie Rambo – stwierdził. – Ibrahim zabiera dziewczynę na motocykl Turka. Będzie jechał za nami, w pewnej odległości. Mehmet rozkazał ci użyć komputerów do wyłączenia satelity. Jeśli nas zatrzymają, wykluje jej oczy i pozostawi ją na pustyni.

Rodgers zaklął, ale tylko w myśli. Wpadł w pułapkę. Zrobił sobie wroga z Hasana. Cofnął się o krok i spróbował pomyśleć logicznie. Hasan rzucił go na wolny fotel przy terminalu komputerowym. W tym momencie Mehmet znowu przemówił.

–On mówi, że zmarnowaliśmy zbyt dużo cennego czasu przełożył Hasan. – Chcemy zobaczyć samochód z satelity. Rodgers potrząsnął głową.

–Nie ma takiej mo... – zaczął, lecz nie skończył.

Mehmet okręcił się na pięcie i kopnął Sandrę w twarz. Dziewczyna zorientowała się w porę i potoczyła po podłodze, zmniejszając siłę ciosu. Przewróciła się, ale natychmiast usiadła znowu. Patrzyła na terrorystów wyzywająco.

Rodgers odczuł to kopnięcie, jakby trafiło jego. Zapomniał o logice, choć z pewnością kiedyś sobie o niej przypomni. Spojrzał na Hasana.

–Powiedz Mehmetowi, że jeśli dotknie kogokolwiek z moich ludzi, nie dostanie ode mnie niczego.

Mehmet powiedział coś pośpiesznie.

–Mówi – przetłumaczył Hasan – że skopie ją na śmierć, jeśli nie dostanie dokładnie tego, czego żąda.

–To własność Stanów Zjednoczonych. Powiedz Mehmetowi, że niezależnie od ceny, nie podporządkowujemy się rozkazom dyktatorów. – Rodgers wściekle patrzył na Hasana. – Masz mu to przetłumaczyć, niech cię diabli!

Hasan przetłumaczył. Kiedy skończył, Mehmet znów zaczął kopać Sandrę. Nie związano jej rąk, więc mogła skrzyżować ramiona i zablokować większość ciosów. Potem dziewczyna złączyła dłonie i złapała go za łydkę. Pociągnęła mocno i terrorysta potknął się, cofnął...

–Tylko tak dalej, żołnierzu – szepnął Coffey.

Wrzeszczący, wściekły Mehmet przydepnął jej prawe kolano, a potem kopnął ją w brodę. Sandra nie zdążyła zareagować, kopnięcie rzuciło ją na ścianę. Mehmet podszedł i kopnął ją w brzuch. Dziewczyna opuściła ręce, oddychała szybko, płytko.

–Przestań, na litość boską – powiedział Katzen.

Mehmet dwukrotnie kopnął Sandrę w pierś. Jęknęła. Następny cios tracił ją w usta. Katzen robił się coraz bardziej wściekły, najpierw na terrorystów, a potem, w

końcu, jego wściekłość obróciła się przeciw Rodgersowi.

–Zabije ją – sapnął. – Jezu, zrób coś!

Rodgers dumny był ze swego żołnierza, nie mógł jednak pozwolić na to, by sytuacja wymknęła się spod kontroli. Sandra DeVonne lepiej przysłuży się demokracji żywa niż martwa.

–Doskonale – powiedział. – Zrobię wszystko, czego chcecie.

Mehmet dał sobie spokój. Sandra próbowała usiąść. Plamy krwi pozostały na jej policzku i ustach. Otworzyła oczy, spojrzała na Katzena. Katzen odetchnął głęboko.

Rodgers przytrzymał się stołu. Wsunął się w fotel. Położył dłonie na klawiaturze. Zawahał się. Gdyby byli tu tylko on i Pupshaw, jeszcze ewentualnie Katzen i Coffey, mógłby pewnie powiedzieć Kordom, żeby wynosili się do diabła. Poddając się jednak ich pierwszemu żądaniu wykazał, że nie jest gotów na wszystko. Atakując Hasana stracił szansę na podzielenie terrorystów. Zachował się głupio. Był zmęczony, bał się o Mary Rose... co się stało, to się nie odstanie. Pozostały mu tylko dwa atuty: gotowość na śmierć i zaskoczenie. Jak długo będzie w stanie utrzymać CR dla tych ludzi, tak długo pozostanie przy życiu. O ile pozostanie przy życiu, w którymś momencie zdoła ich zaskoczyć.

Pod warunkiem, że zachowasz przytomność umysłu, pomyślał. Nie daj się ponownie wyprowadzić z równowagi.

Mehmet powiedział coś. Hasan skinął głową.

–Chcemy zobaczyć Ibrahima na obrazie – powiedział.

Rodgers uruchomił programy NBR. Hasan i Mehmet patrzyli mu przez ramię. Kierując się wyświetlanymi na monitorze menu generał wpisał koordynaty i zażądał wizualizacji. Wstrzymał oddech, bowiem komputer poinformował go, że właśnie pracuje nad wizualizacją.

Niech to cholera, pomyślał. Niech to cholera, przecież ci Syryjczycy potrafią także czytać po angielsku.

–Właśnie pracuje – powtórzył Hasan i przetłumaczył to Mehmetowi. – To oznacza, że ktoś jeszcze poprosił o te informacje. Kto? – spytał.

–Pewnie jakieś wywiadowcze lub wojskowe organizacje w Waszyngtonie – odparł zgodnie z prawdą Rodgers.

Niespełna dwadzieścia sekund później obserwowali już z kosmosu samych siebie. Otrzymali obraz terenu o średnicy około czterystu metrów, typowy dla standardowej obserwacji.

Mehmet sprawiał wrażenie zadowolonego. Powiedział coś do Hasana.

–Mehmet chce dowiedzieć się, kto oprócz nas obserwuje ten teren – powiedział Hasan.

Nie warto było więcej kłamać. Terrorysty mogli skopać Sandrę na śmierć, a potem zabrać się do kogokolwiek innego. Rodgers kliknął na podświetloną ikonę satelity, pojawiła się krótka lista użytkowników obrazu. Na liście figurowały wyłącznie NBR i Centrum.

Hasan powiedział po arabsku, o czym rozmawiali. Mehmet odpowiedział mu..,

–Masz zamknąć oko satelity – przetłumaczył Hasan.

Rodgers nawet się nie zawahał. Jedną z reguł gry w zakładnika było wiedzieć, kiedy podbijać stawkę, a kiedy powiedzieć „pas”. Teraz nadszedł czas, by powiedzieć „pas”.

CR nie mogło wyłączyć 30-45-3, taki rozkaz musiał przyjść z NBR. Mogło jednakże wysłać transmisję białego szumu, pokrywającą teren o średnicy jakiś szesnastu kilometrów, czyniącą go niewidzialnym dla wszystkim form podglądu elektronicznego, od światła widzialnego po pole elektromagnetyczne.

Generał uruchomił program, dzięki któremu CR miało stać się niewidzialne dla satelitów nieprzyjaciela. Po uruchomieniu go i obejściu wbudowanych w system zabezpieczeń, pozostała mu do wykonania tylko jedna czynność: wcisnąć ENTER.

–Gotowe – powiedział.

Hasan przetłumaczył. Mehmet skinął głową. Rodgers wcisnął klawisz.

We trzech obserwowali zakłócenia, które rozmyły obraz na ekranie w rzędy kolorowych linii, aż stał się całkiem nieczytelny. Hasan przechylił się przez ramię generała i kliknął na ikonę satelity. NBR i Centrum znikły z listy instytucji, wykorzystujących obraz.

Mehmet zrobił krok w tył i uśmiechnął się. Wygłosił do Hasana dłuższe przemówienie, po czym obrócił się i wyjął z kieszeni kapciuch na tytoń.

Hasan spojrzał na Rodgersa.

–Mehmet chce uzyskać pewność, że zrobiłeś to, co obiecałeś.

–Zrobiłem. Sami możecie sprawdzić.

–Widziałem, jak znika obraz – powiedział Hasan. Palcem wskazał kieszeń, w której Rodgers trzymał telefon komórkowy. Użyj go – zażądał. – Zadzwoń do swojej kwatery głównej. Ja będę z nimi rozmawiał.

Rodgers skinął głową i sięgnął po telefon, zawieszony przy komputerze. Podniósł go, usiłując kciukiem wcisnąć przycisk STOP. Nie chciał, by terroryści usłyszeli dźwięk wybieranych przez aparat cyfr.

Hasan błyskawicznie wyciągnął rękę i złapał go za nadgarstek. Generał nie zdążył wcisnąć przycisku.

–Co ty wyprawiasz? – krzyknął Kurd. – Gdzie jest twój telefon?

–Zgubiłem go.

–Gdzie?

–Nie mam pojęcia. Chyba na zewnątrz, ale może leży gdzieś w samochodzie.

Mogłem go zgubić za każdym razem, kiedy mnie biliście albo przewracaliście.

Hasan zmarszczył brwi.

–Co to takiego? – spytał.

–Co?

Terrorysta spojrzał na telefon.

–Przecież on dzwoni – powiedział, zdumiony.

–Nie, nie dzwoni. – Rodgers uśmiechnął się dobrodusznie.

W przypadku kolejnych pytań o telefon mógł zrobić tylko jedno – sprawić, by terrorysta poczuł się jak idiota. – Trzeszczy z powodu zakłóceń, które wysyłamy do satelity. Gdyby był to numer, ktoś podniósłby słuchawkę. Popatrz, wykręcimy inny

numer i wszystko będzie w porządku.

Hasan chyba nie kupił tego wyjaśnienia, odwróciło jednak jego uwagę. Mehmet powiedział coś ostro. Rodgersowi wydawało się, że naciska Hasana i że Hasan odpowiada ze zniecierpliwieniem.

Hasan odetchnął głęboko. Spojrzał wściekle na Amerykanina.

–Wybierz numer – powiedział – a potem mnie przedstaw. Ja zrobię resztę.

Rodgers odczekał, aż Kurd uwolni przegub jego ręki. Potem nacisnął przycisk STOP, poczekał na sygnał i wystukał numer Boba Herberta. Ponieważ główna antena satelitarna, ta po stronie kierowcy, użyta została do wytworzenia elektronicznego szumu, antena w lusterku po stronie pasażera przejęta jej zadania i wysłała sygnał, łączący z satelitą, którego używało Centrum.

Po zaledwie kilku sekundach zaskoczony asystent Herberta wołał już do telefonu szefa sekcji wywiadu Centrum.

· Poniedziałek, 15.52 – Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Martha Macall rozmawiała właśnie z rzeczniczką prasowa Centrum, Ann Farris. Uzgadniały, jak najlepiej przedstawić misję Paula Hooda mediom. Martha siedziała za biurkiem, Ann zaś na pokrytej skórą kanapie, trzymając laptopa na kolanach. Wspólnie włączały sformułowania takie jak „misja wyjaśniająca” i „konstruktywna mediacja” w naszkicowaną przez Ann na brudno notatkę dla prasy. Cała sztuka polegała na tym, by przedstawić misję po wysadzeniu tamy raczej jako dyplomatyczną niż wywiadowczą, całkiem niezależnie od tego, że Paul Hood był w rzeczywistości dyrektorem Centrum.

Nagle w drzwiach pojawił się Bob Herbert, wjeżdżając na wózku inwalidzkim i oznajmiając z dumą, że złamano kod powtarzający się w transmisji CR.

–Złamaliśmy sygnał impulsowy – oznajmił z dumą. – Nadawano liczbę 722528573, co oznacza CRDBKKRD, co z kolei najwyraźniej tłumaczy się na „CR do Doliny Bekaa Kurdowie”. Kurdowie zabrali naszych ludzi do swej twierdzy w dolinie Bekaa.

Bob nie skończył mówić, kiedy zadzwonił telefon przy jego wózku. Porwał słuchawkę. Dzwonił Chingmy Yau, jeden z jego asystentów, z informacją, że CR znikło ze wszystkich ich satelitów.

–Jak to możliwe?! – wściekł się Herbert. – Jesteś pewien, że to nie awaria sprzętu po naszej stronie?

–Tego jestem całkiem pewien. Wygląda tak, jakby na CR spadła bomba atomowa. W promieniu szesnastu kilometrów nie odbieramy niczego oprócz zakłóceń.

–Co z *Rhyolite*? – *Rhyolite* był małym radioteleskopem, wiszącym nad Ziemią na orbicie geostacjonarnej. Posługując się wzmocnioną transmisją w szerokim paśmie, mógł wykryć nawet najśłabszy sygnał elektroniczny. Najpowszechniejszym z owych sygnałów była wstęga boczna, sygnał radiowy rozchodzący się pod kątem od wstęgi głównej. Specjaliści nasłuchu byli na ogół w stanie rozszyfrować treść sygnału głównego z sygnału wstęgi bocznej.

–*Rhyolite* też się wyłączył – powiedział Chingmy.

–W takim razie zakłócenia pochodzą z CR – stwierdził Herbert.

–Doszliśmy do tego samego wniosku. Pracujemy nad odzyskaniem łączności. Wygląda jednak na to, że ktoś wrzucił program zakłócający na komputery CR. Po prostu się przed nami bronią.

Herbert rozkazał asystentowi informować go o rozwoju sytuacji. Po niespełna minucie, niemal nim zdążył powrócić do dyskusji na temat danych dotyczących sytuacji w dolinie Bekaa, jego telefon zadzwonił znowu.

–Tak, Ching? – powiedział.

Tyle że tym razem nie był to jego asystent.

–Mam kogoś, kto chce z tobą porozmawiać – usłyszał Bob.

Herbert spojrzał na Marthę. Jego oczy płonęły.

–Mike – powiedział bezdźwięcznie, samym ruchem warg.

Martha położyła dłonie na klawiaturze komputera i wystukała:

PRIORYTET JEDEN

Wykryć rozmówcę na telefonie komórkowym Boba Herberta.

Natychmiast.

Wysłała tę informację e-mailem do Johna Quirka, szefa wywiadu radiowego, po czym skupiła uwagę na rozmowie Boba.

–Co widzicie patrząc na furgonetkę? – usłyszała pytanie.

–Najpierw chciałbym się dowiedzieć, z kim mam przyjemność? – odpowiedział pytaniem Herbert.

–Masz przyjemność z kimś, kto zatrzymał zespół sześciu osób. Jeśli chcesz, by pozostał on zespołem sześciu osób, a nie pięciu, odpowiedz na moje pytanie.

Bob Herbert powstrzymał swój temperament.

–Kiedy patrzymy na furgonetkę, nie widzimy nic – powiedział.

–Nic? Opisz to nic.

–Widzimy kolory. Zakłócenia. Paski. Prążki.

Herbert patrzył na Marthę. Na jej komputerze pojawiła się informacja Lokalizacja w toku. Od tej chwili wywiad radiowy miał dwadzieścia pięć sekund na zlokalizowanie rozmówcy.

–Czy jest coś, co możemy dla was zrobić? – Herbert bez wysiłku wrócił do płynnego, miękko akcentowanego, uspokajającego angielskiego ze swego rodzinnego stanu Mississippi. – Może porozmawiamy o zaistniałej... sytuacji? Znajdziemy z niej jakieś wyjście?

–Oczekujemy od was jednego – rozległ się głos w słuchawce. – Macie dopilnować, by rząd turecki nie zatrzymał nas w drodze do granicy, ani nie uniemożliwił nam jej przekroczenia.

–Ależ proszę pana, z pewnością rozumie pan, że tego nie możemy zagwarantować.

–Lepiej zagwarantujcie. Kiedy zadzwonię następnym razem, usłyszycie huk strzału, który zakończy życie jednego z waszych szpiegów.

I na tym rozmowa się skończyła. jednocześnie Martha z triumfem uniosła dłoń.

–Mamy! CR jest dokładnie tam, gdzie sygnalizował ES4 – powiedziała. – Tuż za Oguzeli w Turcji. Nie ruszyli się.

–Ale się ruszą – odparł Herbert.

Martha obróciła fotel, odwracając się od obecnych. Zadzwoiła do swego asystenta i poprosiła go o połączenie z ambasadorem tureckim w Waszyngtonie.

Czekała. Herbert postukiwał palcami w oparcie fotela.

–O czym myślisz, Bob? – spytała go Ann.

–O tym, że nie zdążę ściągnąć nikogo do Oguzeli, żeby ich śledził. A obserwacja z kosmosu daje nam wyłącznie śmieci.

–Jest jakiś inny sposób?

–Nie mam pojęcia – warknął Herbert. Za to, co się stało, wściekał się przede wszystkim na siebie. On przecież zajmował się kwestiami bezpieczeństwa.

–A co z Rosjanami? – podsunęła Ann. – Paul przyjaźni się z generałem Orłowem. Może Ośrodek w Sankt Petersburgu będzie w stanie ich zobaczyć.

–Po to wbudowaliśmy w CR zakłócaacz, żeby nie był. Paul może sobie przyjaźnić się z Orłowem, ale Waszyngton i Moskwa dopiero zaczęły zaloty..– Uderzył się pięścią jednej ręki w otwartą dłoń drugiej. – Najnowsza i najlepsza na świecie ruchoma jednostka wywiadu, a jesteśmy ślepi i głusi. Gorzej, terroryści mają teraz dostęp do *SINCGARS-V*.

–Co to takiego?

–Single-Channel Ground and Airborne System VHF. Radio, które podczas transmisji przeskakuje z częstotliwości na częstotliwość, losowo i w bardzo szerokim paśmie. Większość, na przykład te, których używa armia, dokonuje kilkuset takich skoków na sekundę, nasz skacze siedem tysięcy razy. Nawet jeśli satelita odbierze sygnał, nie sposób go zdekodować. Terroryści mają teraz i nadajnik, i odbiornik.

Martha uciszyła ich gestem dłoni. Rozmawiała z szefem sekretariatu ambasadora. Herbert zapadł w ponure milczenie. Martha zakończyła rozmowę i odwróciła się z fotelem w ich kierunku.

–Mamy- drobny kłopot – powiedziała.

–Co się stało? – spytała Ann.

–Za piętnaście minut mam rozmawiać z ambasador Kande o wysuniętym przez terrorystów rozkazie nieinterwencji. Jej zastępca uważa jednak, że niczego nie uda się nam wytargować. Ambasador otrzymała bardzo stanowczy rozkaz, by uczynić absolutnie wszystko celem ujęcia ludzi, którzy wysadzili tamę, żywych lub martwych. Spodziewam się, że będą mocno nas naciskać, byśmy powiedzieli im wszystko, co wiemy.

–Jakoś wcale mnie to nie dziwi – stwierdził nadal ponury Herbert. – W Waszyngtonie przydałaby się odrobina takiego ducha.

–Prawo pięści? Sprawiedliwość linczu? – nie wytrzymała Martha.

–Nie. Tylko zwykła staroświecka sprawiedliwość. Bez strachu o reperkusje, o to, który naród wstrzyma dostawy ropy, jeśli zrobimy to, która korporacja wycofa miliardy z naszych banków, jeśli zrobimy tamto, jaka grupa interesu wkurzy się i nagada nam, bo przydepnęliśmy ich okrutnych pupilków. Przydałaby się nam właśnie taka sprawiedliwość.

–Niestety, taka sprawiedliwość i ten kraj nie zostały dla siebie stworzone. Sprawiedliwy proces to jeden z fundamentów naszej wielkości.

–I naszej słabości. – Herbert westchnął ciężko. – Przedyskutujemy to sobie przy mrożonym jogurcie, kiedy skończy się ta sprawa, dobrze? – Wskazał palcem na komputer Marthy. – Wywołaj dla mnie mapę Turcji, dobrze?

Martha wywołała mapę. Bob podjechał do stolika.

–Granica turecko-syryjska ma jakieś czterysta osiemdziesiąt kilometrów – powiedział. – Jeśli prawidłowo zinterpretowaliśmy informację Mike'a, a sądzę, że zinterpretowaliśmy ją prawidłowo, CR kieruje się ku dolinie Bekaa. Dolina zaczyna się trzysta dwadzieścia kilometrów na południowy zachód od Oguzeli.

Martha zmierzyła odległość kciukiem i palcem wskazującym, a potem porównała ją z widoczną na dole skalą.

–Według mnie między Oguzeli a Morzem Śródziemnym jest nie więcej niż sto

sześćdziesiąt kilometrów granicy.

–A korytarz, w który wjedzie CR, będzie jeszcze mniejszy. Po przerwaniu tamy Eufrat wylał, więc pewnie nasi ludzie ominą rzekę szerokim łukiem na zachód, a potem pojedą prosto na południe. Spróbują przekroczyć granicę na odcinku jakichś stu kilometrów.

–To jednak sporo terenu do obserwacji, prawda? – spytała Ann.

–A lotów tureckich samolotów wojskowych i helikopterów raczej nie da się ukryć – dodała Martha.

–Być może wcale nie będziemy potrzebowali obserwacji z powietrza – wyjaśnił Bob – a sto kilometrów to nie tak wiele, jeśli wie się, gdzie szukać. – Na mapie przeciągnął linię przez Turcję do Libanu. – Teren tu jest raczej trudny, istnieje jedna, może dwie przyzwoite drogi.

–Racmani! – ucieszyła się Martha.

Herbert skinął głową.

–Wybaczcie proszę, ale jacy Racmani? – zdumiała się Ann.

–R-A-C-mani – wyjaśnił jej Herbert. – Redcoats Are Coming*. [Użyjemy siatki ludzi z telefonami, obserwujących teren z okien, wzgórz i bazarów. Poinformują o postępie CR naszego Racmana, a on poinformuje nas. To prymitywna technika, lecz skuteczna. Jedynym minusem tego systemu są przecieki na linii, kiedy ktoś informuje cel, że jest on celem.](#)

–Rozumiem – powiedziała Ann.

–Ale w naszym przypadku nie spodziewam się tego problemu – stwierdził Herbert.

–Jak to? – zdziwiła się Ann.

–Ponieważ ludzie, których zamierzam użyć, podrzynają gardła każdemu, kto się przeciw nim obróci. – Herbert przyjrzał się mapie. – Jeśli naszym celem jest Bekaa, Iglica musi wylądować w Tel Nef. Założywszy, że dostaniemy aprobatę Kongresu, Iglica przemieści się na północ, do Libanu, stamtąd zaś w dolinę. Jeśli Racman ich spotka, będziemy mieli szansę wyciągnięcia naszych ludzi.

–A możliwe, że także CR – dodała Martha.

Herbert obrócił wózek.

–Możemy spróbować – powiedział, ruszając w kierunku drzwi. – Mamy szansę, i to spore. Dam wam znać, co udało mi się załatwić.

Znikł w korytarzu. Ann pokręciła głową.

–Zdumiewający człowiek – powiedziała. – Raz jest Jamesem Bondem, raz Huckiem Finnem, raz Speedy Racerem, i to wszystko w ciągu kilku minut.

–Lepszym na razie nie dysponujemy – stwierdziła Martha. Mam tylko nadzieję, że jest wystarczająco dobry, by zrobić to, co trzeba zrobić.

· Poniedziałek, 23.27 – Kirjat Szmona, Izrael
Tak jest o wiele lepiej, pomyślał Falah Szibli.

Ten śniady, młody mężczyzna stał przed lustrem umieszczonym na szafce w swym jednopokojowym mieszkaniu, poprawiając plemienną, kraciatą czerwono-białą *kafflyeh*. Upewnił się, że równo spoczywa mu na głowie. Potem strzepnął łupież z kołnierza jasnozielonego policyjnego munduru.

Tak, o wiele, wiele lepiej.

Po siedmiu długich latach ciężkiej służby w Sayeret Habruzim, izraelskiej druzyjskiej jednostce rozpoznawczej, Falah marzył o zmianie. Wstąpiwszy do policji, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, włożył czysty mundur.]ego ciemniejszy, choć także zielony mundur wojskowy zawsze brudny był od błota, potu i kiwi, czasami jego krwi, ale częściej krwi przeciwnika. I na głowie nosił wtedy zielony beret lub hełm, nie zawój. Kiedy z dziury w ziemi lub zza muru wystaje tylko głowa, widząc zawój jakiś zdenerwowany Żyd łatwo może wziąć człowieka za szpiega i zacząć strzelać.

Falah spojrział na siebie po raz ostatni. Był dumny ze swego dziedzictwa, kochał adoptowaną ojczyznę. Wyłączył lampkę na szafce oraz stojący na nocnym stoliku wiatraczek i otworzył drzwi.

Nocne powietrze było przyjemnie chłodne. Kiedy dwudziestoletni Falah dołączył do obsady niewielkiego komisariatu policji w przysypanym piaskiem miasteczku na północy, poprosił o nocną zmianę i kierowanie ruchem na skrzyżowaniu. Służba w szeregach Sayeret Ha'Druzim była do tego stopnia ciężka, żeby już nie wspominać o ciągłym upale, że bardzo potrzebował odmiany. Opalenizna na twarzy powinna mu nieco zejść, zmarszczki wokół oczu powinny choć odrobinę się wygładzić. Stare rany powinny się zabliznić – mięśnie rozerwane przez pocisk, stopy pokryte odciskami podczas długich patroli, skóra rozdarta podczas czołgania się po ostrych skałach i pod kolczastymi krzakami w poszukiwaniu terrorystów, dusza skrwawiona koniecznością strzelania do braci – Druzów.

W tym kibucu terroryści praktycznie się nie pojawiali, woleli pustynię, rozciągającą się na zachodzie i wschodzie miasteczka. Od czasu do czasu zdarzał się jakiś pijany kierowca, skradziony motocykl, wypadek, poza tym praca policjanta była, na szczęście, nudna. Do tego stopnia, że przez większość nocy Falah i właściciel miejscowego baru, były dowódca drużyny Sayeret Ha'Druzim, przez dobre pół godziny po prostu plotkowali. W stylu sił specjalnych – stali pod latarniami, po przeciwnych stronach ulicy, i nadawali plotki alfabetem Morse'a, przy użyciu latarek.

Falah wyszedł na ganek, tak mały, że właściwie nie zasługiwał na tę nazwę, choć mieścił się na nim butany fotel, i w tym momencie zadzwonił telefon. Chłopak zawahał się. Do komisariatu szedł piechotą dwie minuty, jeśli wyjdzie teraz, zdąży na czas. Jeśli dzwoniła matka, dwie minuty zajmie jej tłumaczenie, że powinien wyjść. Z drugiej strony, być może to prześliczna Sara, kierowca autobusu. Mówiła, że weźmie sobie wolny dzień. Może zechce zobaczyć się z nim rano i...

Wrócił do mieszkania. Podniósł słuchawkę starego czarnego telefonu.

–Która z moich pań zaszczyliła mnie telefonem? – spytał.

–Żadna – odpowiedział męski głos w słuchawce.

Falah natychmiast stanął na baczność, wyprostowany jak struna. Zadziałał odruch – tak rozmawia się z dowódcą.

–Melduję się, panie sierżancie – powiedział. Tylko to, nic więcej. Na wezwanie sierżanta sztabowego Vilnai żołnierze Sayeret Ha'Druzim odpowiadali wyłącznie tymi czterema słowami, świadczącymi o gotowości do przyjęcia rozkazów.

–Żołnierzu – oznajmił sierżant – dżip straży granicznej podjedzie pod wasze mieszkanie za mniej więcej pięć minut. Kierowca ma na imię Salim. Macie z nim pojechać. Dostaniecie wszystko, czego będziecie potrzebowali.

Falah nadal stał na baczność. Bardzo chciał spytać: „Wszystko, czego potrzebuję do czego i na jak długo?”, ale pytając przekroczyłby pewną granicę. A poza tym, nie korzystali z bezpiecznej linii.

–Panie sierżancie, mam tu pracę i... – powiedział tylko.

–Zajęliśmy się twoją pracą – poinformował go sierżant.

Tak jak poprzednio, pomyślał chłopak. „Przyjmij tę robotę” powiedział mu wówczas sierżant. „Trening przynajmniej na coś ci się przyda”.

–Powtórz rozkaz – usłyszał w słuchawce.

–Dżip straży granicznej. Kierowca imieniem Salim. Podjedzie w ciągu pięciu minut.

–Spotkamy się mniej więcej o północy, Falah. Życzę przyjemnej podróży.

–Tak jest, panie sierżancie. Dziękuję, panie sierżancie.

Sierżant sztabowy Vilnai przerwał połączenie. Po chwili Falah także odłożył słuchawkę. Stał, bezmyślnie patrząc przed siebie. Wiedział, że ta chwila kiedyś nadejdzie, ale nadeszła szybciej, niż się spodziewał, znacznie szybciej. Policjantem był zaledwie przez kilka tygodni. Nie zdążył jeszcze zapomnieć słońca, płonącego nad Zachodnim Brzegiem.

Dlaczego zawsze ja? – pomyślał, wychodząc z domu. Usiadł na fotelu, nie przestając zadawać sobie tego pytania. I po co podniosłem tę cholerną słuchawkę, zastanawiał się jeszcze, przecież równie dobrze mógłbym jej nie podnosić. Gdyby nie podniósł, sierżant sztabowy Vilnai sam wskoczyłby do dżipa i zabrał go z komisariatu. Sayeret Ha'Druzim zawsze dostawało to, czego chciało.

Ciemnoszary dżip podjechał dokładnie o czasie. Falah podniósł się z fotela i podszedł do samochodu od strony kierowcy.

–Dokumenty – powiedział do ostrzyżonego na jeża kierowcy o dziecinnej twarzy.

Chłopak wyjął z kieszeni oprawioną w plastik legitymację. Falah obejrzał ją w świetle padającym z deski rozdzielczej i oddał kierowcy.

–Proszę się wylegitymować, żołnierzu Szibli – powiedział z kolei kierowca.

Falah skrzywił się. Z kieszeni spodni wyjął mały portfel. Pokazał swą legitymację policyjną i znaczek. Kierowca bardzo dokładnie przyglądał się fotografii.

–Tak, to ja – westchnął Falah. – Choć bardzo tego żałuję.

Kierowca skinął głową.

–Wsiadaj – powiedział, pochylając się i otwierając drzwi od strony pasażera.

Falah wsiadł. Kierowca zawrócił dżipa, nim zamknęły się drzwiczki od strony

pasażera.

Po starej gruntowej drodze ruszyli w milczeniu na północ. Falah wsłuchał się w stukot kamyków, wyrzucanych w powietrze przez opony dżipa. Od dawna nie słyszał tego dźwięku, oznaczającego pośpiech, a także i to, że coś się ma wydarzyć. Odkrył, że wcale mu go nie brakowało, a także, że nie spodziewał się usłyszeć go znowu tak szybko. W Sayeret Ha'Druzim mieli jednak takie powiedzenie: „Do nas zaciągasz się na całe życie”. Tak działo się od czasów wojny 1948 roku, kiedy to pierwsi muzułmańscy Druzowie wraz z Beduinami i wygnanymi z Rosji Czerkiesami na ochotnika bronili swego nowo powstałego państwa przed unią arabskich nieprzyjaciół. Potem wszystkich nie-Żydów zgromadzono w oddziale piechoty nazywanym Oddziałem 300 Izraelskich Sił Obrony. Dopiero jednak po wojnie sześciodniowej, w której Oddział 300 odegrał decydującą rolę, odpierając ataki Królewskiej Armii Jordańskiej na Zachodnim Brzegu, Izraelskie Siły Obrony i dowódca oddziału, Mahammed Mullah, sformowali wywodzącą się z niego elitarną druzyjską jednostkę rozpoznania znaną jako Sayeret Ha'Druzim.

Ponieważ doskonale mówili po arabsku i przeszli przeszkolenie spadochroniarskie, druzyjscy żołnierze często powoływani byli z cywila do wojska i zrzućani nad terytorium państw arabskich z zadaniem zdobywania danych wywiadowczych. Powoływano ich na czas od kilku dni do kilku miesięcy. Dowódcy lubili wzywać rezerwistów, gdyż oszczędzało im to kłopotu związanego z osłabieniem jednostek w służbie czynnej. A już najbardziej lubili powoływać weteranów Izraelskich Sił Bezpieczeństwa, którzy brali udział w ataku na Liban w 1982 roku. Sayeret Ha'Druzim walczyła na pierwszej linii frontu wokół obozów uchodźców palestyńskich. Wielu izraelskich Druzów zmuszonych było stawić czoło krewnym, służącym w armii libańskiej. Co więcej, zmuszeni byli także do walki ramię w ramię z wrogami swego narodu, falangistami chrześcijan-maronitów, walczącymi przeciw libańskim Druzom. Był to najcięższy test ich patriotyzmu, który okazał się za ciężki dla niejednego żołnierza Sayeret Ha'Druzim. Tych, którzy go przeszli, traktowano z szacunkiem i ufano im. Sierżant Vilnai ujął to kiedyś bardzo trafnie: „Udowodniliśmy naszą lojalność i w związku z tym przypadł nam zaszczyt, że do nas pierwszych będą strzelać w kolejnych konfliktach”.

Falah był za młody, by walczyć podczas inwazji 1982 roku, wykonywał jednak tajne misje w Syrii, Libanie i Iraku, oraz walczył jawnie, narażając się na wiele niebezpieczeństw, w Jordanii. Zadanie w Jordanii było jego ostatnim, a także najkrótszym i najtrudniejszym. Patrolując nadgraniczny pas doliny Jordanu po terrorystycznym ataku na miasteczko Maszav Argaman, Falah wyszedł przed swój mały oddział. Zauważył dziurę, wyciętą w pasach zasieków, rozpiętych na granicy. Pojedyncze ślady prowadziły prosto do Jordanii. W obawie, że terrorysta mu ucieknie, chłopak ruszył w pościg samotnie, wchodząc na jakieś czterysta metrów w głąb jałowych wzgórz. Następnie, po śladach – oraz wiedziony przeczuciem – skręcił w niewielki wąwóz. Dalej poruszał się już ostrożnie i w końcu dostrzegł mężczyznę, pasującego do opisu zamachowca, który – jak się później okazało – zabił miejscowego polityka i jego syna. Nie zawahał się. W tej części świata mało kto się

waha. Wymierzył CAR-15 w terrorystę, który jednocześnie strzelił do niego z Kałasznikowa. Huk obu strzałów zabrzmiał jednocześnie... i obaj mężczyźni upadli. Falah został ranny w bark. Jordańczyk zginął na miejscu.

Falah zdołał ukryć się przed jordańskim patrolem, który usłyszał strzały. Doczekał nocy i odczołgał się z powrotem w kierunku granicy. Skrajnie wyczerpanego znalazł go w końcu jego oddział.

Powiedziano mu, że dostanie medal. Marzył jedynie o kawie z kardamonem. Otrzymał w końcu jedno i drugie, na szczęście kawę najpierw. Szybko odzyskiwał zdrowie, po dziewięciu tygodniach znów pełnił służbę patrolową. Kiedy skończyła się jego tura, postanowił jednak, że znajdzie sobie nową pracę. Nie myślał bynajmniej o policji, bowiem, choć policja potrzebowała wyszkolonych wojskowych, płaciła kiepsko za bardzo długie godziny pracy, sierżant sztabowy Vilnai załatwił mu jednak właśnie tę robotę. Tak wyraźnej manifestacji osobistej troski nie sposób było zlekceważyć. Falah nie mógł zrezygnować z propozycji, choć oczywiście wiedział, że sierżant pragnął przede wszystkim utrzymać swego żołnierza w formie, a także mieć go blisko terenowej bazy Sayeret Ha'Druzim w Tel Nef.

Droga do Tel Nef zabrała im nieco ponad pół godziny. Kiedy znaleźli się już na miejscu, kierowca podwiózł Falaha pod mały parterowy budynek. Prawdziwe biura znajdowały się trzy metry pod nim, zabezpieczone zbrojonym betonem, chroniącym je przed syryjską artylerią, Scudami Irakijczyków i w ogóle jakąkolwiek skierowaną przeciw nim bronią konwencjonalną. W swej dwudziestoletniej historii budynek ten ostrzelany był przy użyciu niemal każdej z tych broni.

Falah przeszedł przez stanowisko kontroli przy wejściu na schody i wkroczył do małego gabinetu, w którym urzędowali porucznik Maton Yarkoni i sierżant sztabowy Vilnai. Wartownik zamknął drzwi i gość oraz sierżant stanęli oko w oko.

Porucznika z nimi nie było. Jak zwykle, przebywał w polu ze swymi żołnierzami – tylko dlatego sierżant spędzał w biurze aż tyle czasu. Falah był całkowicie pewien, że Vilnai spędzał stanowczo za mało czasu na słońcu. To prawdopodobnie powodowało, że był zawsze w złym humorze. Studiował mapy i komunikaty łączności, śledził, jak przemieszczają się oddziały, i analizował dane wywiadu w dziurze w ziemi, która nawet ascetycznego proroka doprowadziłaby do rozpacz.

Potęźnie zbudowany sierżant wstał na powitanie swojego żołnierza. Falah zasalutował, Vilnai zaś wyciągnął do niego rękę ponad metalowym biurkiem.

–Nie jesteś już w oddziale – przypomniał podwładnemu.

Falah uśmiechnął się i ujął wyciągniętą dłoń.

–Nie? – zapytał.

–W każdym razie nieoficjalnie – przyznał sierżant. Wskazał dłonią drewniane krzesło. – Siadaj, Falah. Zapalisz?

Druz, obywatel Izraela, zmarszczył brwi, zajmując wskazane mu miejsce. Wiedział, oczywiście, co oznacza częstowanie papierosem. Sam palił wyłącznie w towarzystwie Arabów, z których większość kopała jak parowozy. Wybrał sobie papierosa z leżącego na biurku pudełka. Sierżant podał mu ogień. Falah zaciągnął się i rozkaszał.

–Wyszedłeś z wprawy.

–Zupełnie. Chciałbym wrócić do domu.

–Kiedy tylko zechcesz.

–Jesteś dla mnie za dobry. – Falah spojrział na sierżanta przez chmurę dymu.

–Oczywiście, będziesz musiał przeczołgać się pod drutem kolczastym i przejść przez pole minowe wokół bazy – dodał sierżant.

Chłopak uśmiechnął się.

–Coś takiego robiłem kiedyś dla rozgrzewki – stwierdził.

–Wiem. Byłeś najlepszy.

–Nie przywykłem do komplementów.

–Dopiero niedawno zorientowałem się, że komplementy pomagają.

Falah zaciągnął się papierosem. Tym razem bardziej mu smakował.

–Mistrz pociąga sznurkami marionetek – stwierdził.

Dopiero teraz Vilnai uśmiechnął się.

–A więc tym jestem? Mistrzem pociągającym za sznurki? Istnieje tylko jeden taki mistrz, przyjacielu. – Usiadł, podniósł oczy na pomalowany na biało sufit. – Czasami... nie, przeważnie... mam wrażenie, że Allah nie potrafił zdecydować, czy gramy w tragedii, czy w komedii. Wiem tylko, że sztuka zawiera, jak zwykle, nieprzewidziane zwroty akcji.

Falah spojrział na swego dowódcę. Marzenia o wygodnym życiu rozwiały się jak dym na wietrze.

–Co się stało, sierżancie?

Vilnai położył dłonie na biurku i zapatrzył się na nie.

–Tuż przedtem, nim do ciebie zadzwoniłem, odbyłem konferencję z generałem Bar-Levim w Hajfie i amerykańskim oficerem wywiadu, Robertem Herbertem. Słyszałeś o ataku terrorystów na tamę Ataturk?

–W Kirjat Szmona nie mówi się o niczym innym. Jeśli nie liczyć opowieści o diamencie, który stary Nehemiah znalazł w piachu.

Pewnie zgubili go przemytnicy, ale wszyscy mieszkańcy są pewni, że pod miasteczkiem jest złożo diamentów.

Vilnai spojrział mu wprost w oczy.

–Bardzo przepraszam – opanował się Falah. – Proszę mówić dalej.

–Amerykanie testowali u nas nowe ruchome centrum wywiadowcze. Bardzo skomplikowane, z bezpośrednim dostępem do satelity, mogące śledzić każdą formę komunikacji elektronicznej. Wracając do Syrii terroryści, którzy wysadzili tamę... no, przynajmniej Amerykanie uważają, że to ci sami terroryści... trafili na ich jednostkę i porwali ją. Wraz z tym, co Amerykanie nazywają Centrum Regionalnym, do niewoli dostała się jego załoga. – Vilnai zajrzał do notatek. – Wśród nich jest dwójka żołnierzy oddziału uderzeniowego, generał Michael Rodgers, technik odpowiedzialny za wyposażenie Centrum i zdolny poinformować Syryjczyków o jego działaniu, dwaj pracownicy Centrum i funkcjonariusz tureckich sił bezpieczeństwa.

–Amerykanie powiedzieliby pewnie „wielki szlem” – zauważył Falah. – W Damaszku będzie dziś święto.

–Nie wydaje nam się, by stał za tym Damaszek.

–A więc Kurdowie?

Vilnai skinął głową.

–Wcale się nie dziwię – powiedział Falah. – Od przeszło roku mówi się o ich nowej ofensywie.

–Ja również słyszałem podobne plotki – przyznał Vilnai. Nie brałem ich jednak poważnie. Nie sądziliśmy, by byli w stanie zapomnieć o wewnętrznych podziałach, by stworzyć coś w rodzaju unii.

–Ale stworzyli. I sporo osiągnęli.

–Za pierwszym podejściem. Nasz amerykański przyjaciel, pan Herbert, jest zdania, że furgonetka z całym ekwipunkiem oraz jego ludzie są nadal w Turcji, lecz kierują się ku dolinie Bekaa. Z Waszyngtonu wysłano oddział uderzeniowy, mający odzyskać sprzęt i uratować ludzi.

–Ach. I potrzebują przewodnika. – Falah palcem wskazał swoją pierś.

–Nie – powiedział Vilnai. – Potrzebują kogoś, kto by odnalazł furgonetkę z całą zawartością.

· Wtorek, 0.45 – Barak, Turcja

Ibrahim prowadził furgonetkę przez czterdzieści kilometrów dzielących ich od Barak. Hasan zajęty był w tym czasie inwentaryzowaniem wyposażenia CR. Mehmet siedział na miejscu dla pasażera, mając u stóp czwórkę zakładników. Uczył się obsługi radia. Wszystkie pytania zadawał Mary Rose, za pośrednictwem Hasana. Rodgers nakazał dziewczynie udzielanie wyczerpujących odpowiedzi. Nie miał zamiaru drażnić terrorystów. Jeszcze nie.

Kilka minut wystarczyło Mehmetowi na odkrycie częstotliwości używanej przez tureckie wojska ochrony pogranicza. Mary Rose pokazała mu, jak się z nimi porozumieć. Nie skorzystał z okazji.

Tureckie graniczne miasteczko Barak leżało na zachód od Eufratu. Kiedy pojawiło się tam CR, wody powodzi wciąż zalewały podłogi drewnianych domów, sklepy i meczet w jego północno-zachodnim zakątku. Mieszkańcy opuścili swe domy, pozostało tu tylko kilka krów i kóz, oraz jeden starzec, siedzący na progu ze stopami w wodzie. Najwyraźniej nie miał ochoty wyjeżdżać gdziekolwiek.

Ibrahim przejechał na południe od właściwie kompletnie wymarłego miasteczka i zatrzymał furgonetkę niespełna trzy metry od zwojów drutu kolczastego, rozpiętego między niemal dwumetrowej wysokości słupami. Powiedział coś do Hasana, który skinął głową i podszedł do Rodgersa.

Generał przywiązany był do dwóch foteli, stojących przy terminalach komputerowych. Klęczał, twarzą zwrócony ku tyłowi samochodu. Szeregowego Pupshawa przywiązano do jednego z tych foteli, Sandrę umieszczono na drugim. Terrorysty wyświadczyli zakładnikom jedną tylko łaskę: pozwolili Katzenowi opatrzyć ranę pułkownika Sedena. Choć Turek stracił sporo krwi, sama rana nie wydawała się szczególnie groźna. Rodgers zdawał sobie sprawę, że Kurdami nie powodowało miłosierdzie. Potrzebowali Sedena, i to do czegoś rzeczywiście ważnego. W odróżnieniu od terrorystów, którzy z czasem traktowali zakładników coraz lepiej, ta trójka nie rozumiała najwyraźniej, co to znaczy ustępstwo, co to znaczy współczucie, a już z pewnością nie praktykowała miłosierdzia. Wręcz przeciwnie, swoim zachowaniem nie pozostawiła wątpliwości, że gotowa jest torturować i zabijać. Nie sposób było określić, do czego się posunie na swoim terenie, wśród towarzyszy. Być może nie ma zamiaru zabijać, ale najprawdopodobniej zakładnicy będą torturowani.

Rodgers wiedział, że wkrótce będzie musiał wystąpić przeciw terrorystom.

Hasan spojrzał na Pupshawa.

–Pójdiesz ze mną – powiedział i przeciął mu więzy na nogach.

–Dokąd go zabierasz? – spytał generał.

–Na zewnątrz.

Kiedy Amerykanin zobaczył, że Hasan przywiązuje ręce jeńca do klamki i każe mu stanąć na wąskim stopniu przy drzwiach od strony kierowcy, wiedział już, o co chodzi.

„Ziemia niczyja” między zasiekami od strony tureckiej i podobnymi zasiekami od

strony syryjskiej miała szerokość mniej więcej czterystu metrów. Z obu stron zasieki były, oczywiście, podłączone do prądu. Terrorysty zapewne doskonale zdawali sobie z tego sprawę, jeśli nie wiedzieli o tym wcześniej, wszystko powiedziały im chociażby martwe owady. Przecięcie któregokolwiek z drutów uruchamiało alarm w najbliższej strażnicy. Tureccy żołnierze zdążą pojawić się na miejscu, piechotą lub dzięki helikopterom, nim ktokolwiek zdoła przekroczyć granicę. Trudno powiedzieć, czy widok zakładników powstrzyma ich przed atakiem, czy może raczej wpłynie na jego formę. Należało jednak przypuszczać, że Turcy tak bardzo pragną zatrzymać terrorystów, którzy zniszczyli tamę, że najpierw będą strzelać, a dopiero potem sprawdzać papiery.

Rodgers nie był pewien, czy w tych okolicznościach powinien poinformować terrorystów o jeszcze jednej możliwości CR. Jeśli się dowiedzą, tym bardziej nie będą mieli ochoty go oddać. Ale... gra szła przecież o ludzkie życie.

Kiedy Hasan wrócił po Sandrę, generał zawołał go. Nie miał wyboru.

–Nie musicie robić tego, co robicie. Nasz samochód jest kuloodporny.

–Ale nie koła.

–Owszem, koła też. Zostały wyłożone kewlarem. Samochodowi nic nie może się stać.

Hasan milczał przez chwilę.

–Dlaczego mam ci wierzyć? – spytał w końcu.

–Spróbuj je przestrzelić.

–Chciałbyś! Turcy usłyszą.

–I pozabijają nas wszystkich.

Kurd zamilkł znowu.

–Jeśli nie kłamiesz i koła rzeczywiście są kuloodporne, możemy po prostu przejechać przez zasieki, tak?

–Nie. Karoseria jest metalowa. Przewodzi prąd. Zginie wszyscy.

Hasan przytaknął skinieniem głowy.

–Słuchaj – tłumaczył mu dalej generał – przywiązanie ludzi do samochodu nie powstrzyma Turków. Straż graniczna i tak będzie strzelać. Niech jadą w środku, to wszyscy będziemy bezpieczni.

Hasan gwałtownie potrząsnął głową.

–Jeśli pojawi się straż graniczna, to być może nie będzie strzelać – powiedział. – Zobaczą, że na zewnątrz przywiązany jest jeden z ich ludzi. No i będą też chcieli nas przesłuchać. – Pochylił się nad Sandrą i zaczął ją rozwiązywać.

–Znam ludzi takich jak oni! – krzyknął Mike. – Mówię ci, będą starali się zatrzymać samochód nie martwiąc się, kto zginie przy okazji, nawet gdyby miał to być jeden z nich. Co zrobisz, jeśli zechcą ścigać cię w głąb Syrii?

–To problem Syryjczyków, nie mój.

–Twój, jeśli znajdziemy się w krzyżowym ogniu! Jeśli dasz mi trochę czasu, przekroczymy granicę, a Turcy nawet się o tym nie dowiedzą.

Hasan zaprzestał rozwiązywania Sandry.

–Jak? – zainteresował się.

–Mamy w samochodzie izolowany kabel do podłączania się do łącz satelitarnych, gdy zachodzi taka potrzeba. Pozwól mi spiąć nim zasilanie na krótko, tak, żeby nie przerwać obwodu. Rozetnę zasilanie i przejedziecie bez problemu. Potem powtórzę to po drugiej stronie. Wszystko odbędzie się cicho i spokojnie, żadnych alarmów, żadnych patroli.

–Dlaczego miałbym ci ufać? Jeśli nawet przerwiesz obwód, nie dowiemy się o tym, póki nie pojawią się Turcy.

–Nic nie zyskam, ściągając nam na głowę Turków. Nawet jeśli nie zaczną strzelać, prawdopodobnie z zemsty zabijecie moich ludzi. Przecież to nie ma sensu.

Hasan rozważył ten problem. Przez chwilę rozmawiał z Mehmetem, a potem wrócił do generała.

–Jak długo to potrwa? – spytał.

–Najwyżej czterdzieści pięć minut. Mniej, jeśli mi pomożecie.

–Ja ci pomogę. – Hasan związał Sandrę i zabrał się do rozwiązywania generała. – Ale ostrzegam cię, jeśli spróbujesz ucieczki, zabiję cię i kogoś z twoich ludzi. Zrozumiałeś?

Rodgers tylko skinął głową.

Hasan rozwiązał wreszcie sznur i schował go do kieszeni. W szafce na narzędzia, z tyłu samochodu, znalazł nożyce do drutu. Amerykanin wyciągnął po nie rękę i terrorysta zawahał się. Mehmet wyjął rewolwer. Wymierzył w Mary Rose.

Rodgers dostał nożyce.

Podczas gdy Hasan brał kabel, generał użył zszywacza, by z dwóch podgumowanych podkładek pod komputerowe myszy zrobić rękawicę izolacyjną. Gdy skończył, wyszedł za Kurdem na zewnątrz.

W świetle reflektorów mógł pracować szybko. Pochylony nad zasilaniem zastanawiał się, co właściwie robi. Nie chodziło o ogrodzenie, tę pracę mógłby wykonać z zamkniętymi oczami. Wraz z Hasanem przecięli kabel na dwa trzymetrowe odcinki, zdjęli izolację z końcówek i za pomocą zaimprovizowanej rękawicy podłączyli je do drutu kolczastego. Potem położyli kabel na ziemi i przecięli zasilanie. Rodgers użył rękawicy, by odsunąć je ostrożnie i przybić zszywaczem do słupa.

Przez dwadzieścia siedem minut, które zajęło im wykonanie połączenia, myślał wyłącznie o tym, że jego obowiązkiem jest powstrzymanie sukinsynów, a nie pomaganie im w ucieczce. Próbował usprawiedliwić to, co robił, tłumacząc sobie, że i tak najprawdopodobniej udałoby się im uciec, a dzięki jego pomocy nic się przynajmniej nikomu nie stanie. Nie zmieniało to jednak faktu, że kolaboruje z wrogiem, gorzka to była świadomość i nie potrafił się jej pozbyć.

Gdy skończyli, Hasan zasygnalizował Mehmetowi, że wszystko jest w porządku. Mehmet nakazał im wsiąść do samochodu. Rodgers zdjął zaimprovizowaną rękawicę i rozciął więzy Pupshawa. Hasan przycisnął mu do czoła lufę rewolweru.

–Co robisz? – spytał ostro.

–Uwalniam mojego człowieka.

–Na wiele sobie pozwalasz.

–Myślałem, że tak się umówiliśmy: zrobię wam przejście przez zasilanie, a moi

ludzie pojedą w środku.

–Rzeczywiście, tak się umówiliśmy. – Zabrał Amerykaninowi nożyce. – Ale nie ty jesteś od rozcinania więzów.

–Przepraszam. Chciałem tylko przyspieszyć bieg spraw.

–Nie udawaj, że jesteś po naszej stronie. Kłamstwem obrażasz nie tylko mnie, ale i siebie. – Hasan opuścił broń i lufą pchnął zakładnika do samochodu.

Rodgers kątem oka obserwował lufę rewolweru. Wszedł na stopień, nadal miał poczucie, że nie wywiązuje się z obowiązków. Poza tym przed chwilą został upokorzony – przyłożono mu do głowy nabitą broń. Jest żołnierzem Armii Stanów Zjednoczonych. I jest jeńcem. Powinien próbować ucieczki, a nie wykonywać polecenia terrorystów, przysięgłych wrogów Ameryki i jej sojuszników z NATO.

Szybko rozważył dostępne opcje. Jeśli rzuci się na Hasana, być może uda mu się zdobyć rewolwer, zabić Kurda, a potem dwóch jego towarzyszy. W ciemności, na ziemi, ma całkiem spore szanse. Jeśli zaczeka na uwolnienie Pupshawa, szeregowy zapewne skoczy na znajdującego się tuż za nim, w samochodzie, Mehmeta. Przy odrobinie szczęścia tylko on i Pupshaw zaryzykują życiem. I gdyby nawet zginęli, terroryści nadal będą mieli cennych zakładników. Zakładnicy najprawdopodobniej ocaleją.

Pupshaw najwyraźniej także rozważał możliwość podjęcia jakiejś akcji. Generał widział to w jego ciemnych oczach, poruszających się za nim, czekających na sygnał. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli zaraz nie podejmie jakiś działań, nie tylko znienawidzi sam siebie, ale na dodatek straci szacunek podwładnych. Na podjęcie decyzji miał zaledwie chwilę.

Wiedział, że jeśli zdobędzie broń, nie będzie mógł się już wahać.

Mehmet powiedział coś. Hasan skinął głową i wyjął z kieszeni sznur. Szturchnął Rodgersa w kark.

–Obróć się – rozkazał. – Rozwiążę cię, kiedy dojedziemy do drugiej linii zasieków.

O, cholera, pomyślał generał. Miał nadzieję, że nie zwiążą go, póki nie wpuszczą Pupshawa do środka. Teraz, jeśli zdecyduje się działać, będzie działał sam, ze związanym żołnierzem na linii ognia.

Zerknął na szeregowego, który odpowiedział mu nieruchomym spojrzeniem.

Rodgers wyciągnął rękę do Hasana. Terrorysta wsunął broń za pasek i zaczął go wiązać. Generał powoli zagiął palce środkowy i serdeczny tak, by czubki wszystkich palców znalazły się na jednej linii. Potem zwarł je silnie i z całej siły uderzył nimi w gardło Hasana.

Syryjczyk zaczął się dławić. Generał wyciągnął prawą rękę po wetknięty do kabury rewolwer. Strzelił dwukrotnie w pierś Hasana, który nie wydając dźwięku upadł na ziemię.

Rodgers wskoczył do ciężarówki i wymierzył w Mehmeta.

–Zasłoń się mną! – krzyknął Pupshaw.

O tym nie mogło nawet być mowy. Nim jednak zdołał zrobić krok, by ominąć żołnierza, Ibrahim gwałtownie dodał gazu. Furgonetka skoczyła w przód, a generał upadł na podłogę. Szeregowy, nadal przywiązany do klamki, spadł ze stopnia,

samochód pędząc przed siebie włókł go nogami po ziemi.

Mehmet wyskoczył z przedniego siedzenia i rzucił się na Rodgersa. Amerykanin próbował wymierzyć w niego z rewolweru, Kurd zaś wyciągnął nóż. Rodgers zdołał odtrącić jego ramię, z nieprawdopodobną wręcz szybkością terrorysta przerzucił jednak nóż – jego ostrze prześlizgnęło mu się po palcach – ujął go między kciuk i palec wskazujący, obrócił i chwycił mocno tak, że ostrze znów mierzyło w generała.

Ibrahim zahamował nagle. Rodgers i Mehmet rzuceni zostali na zakładników, przywiązanych do podstawy przednich siedzeń. Hałas pracującego na wysokich obrotach silnika umilkł i noc znów była cicha, Ibrahim zaś sięgnął po broń. Krzyczał coś do Mehmeta, celując Rodgersowi w głowę.

Mary Rose wrzasnęła.

Nim Mehmet zdołał wystrzelić, przez równinę dobiegło ich wycie syren. Patrol musiał usłyszeć strzały. Ibrahim nie wahał się wrzucił wsteczny bieg. Podjechali do ciała Hasana, Mehmet wyskoczył i wrzucił je do samochodu. Hasan leżał na podłodze, martwy, z szeroko otwartymi niewidzącymi oczami. Krew zaplamiła mu koszulę na piersi i przeciekała przez materiał z boku.

Przez chwilę trwała jeszcze rozmowa, dotycząca prawdopodobnie natychmiastowej egzekucji Rodgersa. Ibrahim aż trząśł się z wściekłości, terroryści zdecydowali jednak najwyraźniej, że kolejny strzał pozwoliłby Turkom zlokalizować ich dokładniej.

Mehmet wciągnął także do samochodu oszołomionego, okrwawionego Pupshawa i przywiązał go do fotela. Ibrahim tymczasem kopnął Rodgersa, a potem, leżącego na wznak, przywiązał do nogi fotela. Odjechali wreszcie. Ibrahim wciskał gaz do podłogi.

Podczas jazdy Mehmet bił generała. Po każdym uderzeniu w szczękę pluł mu w twarz. Przerwał, kiedy dojechali do zasieków. Wysiadł i przeciął je szybko, odciągając każde pasmo drutu i owijając je wokół słupa. Nie musieli już zachowywać dyskrecji.

Rodgers otworzył oczy, na które spływała krew. Zobaczył Sandrę szarpiącą się w więzach. Powoli pokręcił głową.

–Nie – powiedział. Opuchnięta szczęka strasznie go bolała. Musisz przeżyć... poprowadzić...

Kiedy zasieki zostały już przecięte, Ibrahim ruszył i furgonetka przejechała przez granicę. Zatrzymała się, by Mehmet mógł wsiąść. Siedział, oczyszczając pierścień z krwi, Ibrahim zaś prowadził CR w ciemną noc.

· Poniedziałek, 18.41 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

–Nic mi nie musisz mówić – powiedziała Martha Macali do Boba Herberta, który właśnie wjechał do jej gabinetu. – CR przekroczyło granicę syryjską.

Fotel Herberta odbijał się w wiszących na ścianie oprawionych w ramy złotych płytach, które ojciec Marthy, Mack Macall, otrzymał w czasie swej długiej kariery piosenkarza. Bob podjechał do jej biurka. Zmarszczył brwi.

–Złapaliśmy wiadomość z transmisji radiowej tureckiego patrolu. Wyczytałaś to w mojej twarzy?

–Nie. – Martha postukała gumką na końcu ołówka w monitor komputera. – Obserwowałam transmisje komputerowe, do których podłączyliśmy się w Turcji i zresztą nie tylko w Turcji. Przypomina mi to krach na giełdzie w 1987 i transakcje komputerowe, które do niego doprowadziły.

–Bo to jest coś w rodzaju transakcji komputerowych. A raczej komputerowej wojny. Nazywają to KOZ.

–Nigdy o tym nie słyszałem. – Martha przetarła zmęczone oczy. – Mógłbyś wyjaśnić mi znaczenie tego skrótu?

–Komputerowa Odpowiedź Zbrojna. Każdy kraj wybiera formę reakcji na podstawie swych własnych programów symulacyjnych.

Martha skrzywiła się.

–Jeśli to wojna komputerowa, to system lada chwila zawali mi się od tego tłoku. Tureckie siły bezpieczeństwa oznajmiły, że ich patrol przeszedł do Syrii, zgubił ślad furgonetki i powrócił. Z powodu naruszenia granicy Syryjczycy mobilizują rezerwy, a Turcja wysyła żołnierzy w pas nadgraniczny. Izrael postawił swe siły w stan najwyższej gotowości bojowej. Jordania zaraz zacznie wysyłać nad granicę czołgi, a Irakijczycy przesuwają się zdecydowanie w stronę Kuwejtu.

–Zdecydowanie?

–Są gotowi na dłuższy pobyt na pustyni – wyjaśniła Martha. – Zupełnie jak przed Pustynną Tarczą. Jakby tego wszystkiego było mało, Colon właśnie poinformował nas, że Departament Obrony rozkazał jednemu z naszych lotników wraz z eskortą wpląć na Morze Czerwone..

–Defcon...?

–Cztery.

Herbert rozluźnił się trochę.

–Tworzymy już linie zaopatrzenia z Oceanu Indyjskiego, na wypadek, gdyby okazały się konieczne. Publicznie demonstrujemy poparcie dla naszego sojusznika z NATO. Prywatnie nakopiemy w dupę każdemu, kto nam się nawinie pod nogę, byle tylko nie dopuścić do wybuchu tej beczki prochu. Prezydent gotów jest zrobić wszystko, by ograniczyć konflikt, nim przeniesie się na Turcję i Rosję.

–Pewnie nie tyle, ile Syria i Iran robią, by konflikt właśnie tam się rozprzestrzenił – zauważył Herbert.

–Te łobuzy z pewnością gotowe są wykorzystać każdą okazję – przyznała Martha – ale przecież nikt nie chce, by cały ten region zmienił się w jedno wielkie pole bitwy.

Nie zapomnij, że podczas Pustynnej Burzy Syria była po naszej stronie.

–Dali nam kilka samolotów i pozwolenie na walkę o źródła ich wody – zakpił Bob.

– Zostawmy Syryjczyków. Najgorsze ze wszystkiego jest właśnie to, że nikt nie chce, żeby działo się to, co się dzieje, a większość graczy zdaje sobie sprawę, że usiedli przy stole zmuszeni do tego przez kilku Kurdów.

–Zupełnie jak „Dom, który wybudował Jack”.

–Jaki dom?

–Taki wierszyk z mojego podwórka. Szczury rozdrażniły kota, kot obudził psa, zaczęła się bójka w menażerii i kłaki poleciały do domku, który wybudował Jack.

–Bardziej przypomina to „Nawiedzony dom na wzgórzu” westchnął Herbert. – Koszmar za koszmarem.

–Poruszamy się w innych kręgach kulturowych – zażartowała Martha, unosząc brwi.

–I to nas chroni przed nudą. Mam też dobrą nowinę. Mój przyjaciel, kapitan Gunni Eliaz z 1. Brygady Piechoty Golańskiej w Izraelu skontaktował mnie z kimś, kto zna dolinę Bekaa jak nikt inny. Już tam jedzie, udając kurdyjskiego bojownika o wolność. Sprawdzi, co się dzieje. Matt pracuje nad danymi geograficznymi z tego regionu, wyodrębniając miejsca, gdzie może dojechać CR.

–Czego właściwie szuka?

–Przede wszystkim jaskiń. Co za ironia – osłaniając samochód przed zwiadem satelitarnym terroryści zostawili nam informację, gdzie właściwie są. Z dokładnością do szesnastu kilometrów. Porównujemy te dane ze znanymi nam bazami Kurdów. Zobaczymy, czy uda się nam wybrać najbardziej prawdopodobne miejsce. I nadal podsłuchujemy przypadkowe fragmenty rozmów telefonicznych i radiowych.

–A potem oswobodzenie zakładników będzie już sprawą Izraelczyków i Iglicy. A może wszystkich zabije rakietą?

W tym momencie zadzwonił telefon Herberta. Bob natychmiast go odebrał. Zaraz zatkał sobie palcem drugie ucho.

–Co? – Niemal krzyczał. Nieprzytomnym wzrokiem patrzył w podłogę, na Marthę i w sufit. – Co jeszcze? Znaleźli coś jeszcze? – Spojrzał przed siebie. – W ogóle nic? Dobrze, Ahmet. *Tessekur*. Dziękuję. Dziękuję ci bardzo. – Przerwał połączenie. Niech to diabli!

–Co się stało?

–Między zasiekami na granicy turecko-syryjskiej jest wąski korytarz. Turecki patrol graniczny usłyszał strzał. Znaleźli tam CR. Kiedy się cofnęli, znaleźli także ślady sześciu kół w wachlarzach ziemi i świeżą krew.

–Wachlarzach ziemi?

–Ziemia rozrzucona na kształt wachlarza obok śladu opon. Wachlarz występuje, kiedy samochód gwałtownie rusza.

–Rozumiem. Sześć opon. A więc to było CR?

Herbert skinął głową.

–I przed czymś uciekali?

–Wtedy jeszcze nie byli ścigani. Turcy twierdzą, że przedostali się przez zasieki

spinając linię na krótko. Byli już za granicą, kiedy patrol usłyszał strzał i zdał sobie sprawę z tego, że granica została przekroczona. CR odjechało na długo przed przybyciem patrolu. Ten pośpiech musiało spowodować coś innego.

–Bob, nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje. – W głosie Marthy wyraźnie słyhać było zniecierpliwienie. – Po pierwsze, do kogo ich zdaniem strzelano i dlaczego?

–Nie wiedzą. – Bob Herbert zamknął oczy. – Ja też nie wiem. Muszę pomyśleć. Dlaczego CR uciekało? Przestraszyli się, że ktoś usłyszał strzał? Możliwe. Ale to wcale nie jest takie ważne. Najważniejsze pytanie brzmi: do kogo strzelano? Gdyby zabito kogoś z zakładników, terroryści najprawdopodobniej pozostawiliby ciało.

–A gdyby tylko został ranny?

–Wątpliwe.

–Jak możesz być tego taki pewny?

–Turcy słyszeli wystrzał. CR jest dźwiękoszczelne. Huk zostałby w znacznym stopniu stłumiony. Gdyby któryś z zakładników miał zostać ranny, musiałby próbować ucieczki w ciemności. Strzał, zakładnik pada, samochód podjeżdża do miejsca, w którym leży. Samochód nigdzie nie podjechał. Stał. spokojnie przy zasiekach. Nie. Znam Mike'a Rodgersa. Moim zdaniem mieli właśnie przekroczyć granicę syryjską, więc postanowił ich powstrzymać.

–I nie zdołał – powiedziała Martha bezbarwnym głosem.

Herbert spojrzał na nią z nie maskowanym gniewem.

–Nie mów tak, jakby coś spieprzył. Sam fakt, że spróbował... że ktoś spróbował... to wielkie osiągnięcie. Cholernie wielkie osiągnięcie.

–Mówiłam z pełnym szacunkiem – usprawiedliwiła się natychmiast Martha

–No, bo... tak to zabrzmiało i...

–Uspokój się, Bob. Bardzo mi przykro.

–Jasne. Kierowcom z tylnego siedzenia zawsze jest bardzo przykro. Przez takich jak oni straciłem żonę i nogi. Łatwo jest być rozgrywającym, kiedy ogląda się mecz na taśmie. Trochę trudniej, gdy człowiek gra na boisku.

–Nigdy nie twierdziłam, że na boisku jest łatwo. – Martha postukała w biurko długimi, zaokrąglonymi paznokciami. – Może wrócilibyśmy do pomysłów na walkę z naszym wspólnym przeciwnikiem?

–Dobrze już, dobrze. – Herbert westchnął ciężko. – Muszę sobie to wszystko przemyśleć – stwierdził.

–Zacznijmy od hipotezy. Załóżmy, że Mike zranił lub zabił jednego z terrorystów. Będą musieli za to zapłacić...

–Słusznie. Pytanie brzmi: kto zapłaci?

–Zapewne ktoś spośród zakładników?

–Niekoniecznie. Są trzy możliwości. Przede wszystkim nie zabiją Mike'a. Jeśli nawet nie znają jego stopnia wojskowego, musieli zorientować się, że jest przywódcą, a więc zakładnikiem cennym, którego trzeba zachować przy życiu. Mogą go torturować, żeby ostrzec innych przed podejmowaniem prób ucieczki, ale to praktycznie nie działa. Zakładnik, który widzi jak inny zakładnik zostaje poddany

torturom, wpada w panikę i chce uciec ze strachu. – Herbert złożył głowę na regulowanym zagłówku wózka. – Więc mamy alternatywę. Jeśli zginął któryś z terrorystów, jego towarzysze mogą zechcieć przeprowadzić egzekucję zakładnika. Ofiarę wybierają przez losowanie – zapalka bez łebka oznacza kulę w tył głowy. Mike'owi zabronią udziału w losowaniu, choć zmuszą go do przyglądania się egzekucji.

–Jezu Chryste!

–Tak, to niemiła perspektywa. Z drugiej strony egzekucja ożywia w zakładnikach ducha oporu. Terrorysty używają tego środka w zasadzie wyłącznie wtedy, kiedy chcą wysłać komuś zwłoki, żeby pokazać, że nie żartują. Na razie Waszyngton nie otrzymał nawet informacji, że nasz zespół wzięto do niewoli.

–Scenariusz numer dwa wydaje się więc nieprawdopodobny stwierdziła z nadzieją Martha.

Bob skinął głową.

–Owszem, tyle że terroryści nie mogą pozostawić próby ucieczki bez kary. Więc co robią? Mają możliwość numer trzy, która jest ulubioną opcją terrorystów z Bliskiego Wschodu. Uderzają w cel równej wagi. Innymi słowy, jeśli zginął porucznik, zabijają gdzieś porucznika. Jeśli zabity został przywódca cywilny, szukają jakiegoś działacza politycznego lub urzędnika państwowego.

Martha zaprzestała stukania w blat.

–Jeśli za wszystko to odpowiadają Kurdowie, to brak im raczej możliwości mocnego uderzenia, przynajmniej w najbliższej przyszłości – zauważyła.

–Słusznie. Naszym zdaniem nie zinfiltrowali żadnej z naszych zagranicznych baz, a gdyby nawet którąś zinfiltrowali, nie zdradziliby się z tym dla czegoś takiego. Uderzą prawdopodobnie na ambasadę.

–Największe poparcie mają w Turcji, Syrii, Niemczech i Szwajcarii. – Martha uniosła nagle głowę i spojrzała Herbertowi wprost w oczy. – Czy wiedzą o podróży Paula? – spytała.

–Damaszek został o niej poinformowany, ale nie poda żadnej informacji, póki Paul nie wyląduje w Londynie. – Herbert natychmiast ruszył w stronę drzwi. – Jeśli Damaszek wie, Kurdowie też już pewnie wiedzą. Mam zamiar poinformować o wszystkim Paula i ostrzec nasze ambasady w Europie, i na Bliskim Wschodzie.

–Ja zajmę się ambasadami na Bliskim Wschodzie – zaproponowała Martha. – Aha, Bob... przepraszam za to, co powiedziałam. Nie chciałam okazać Mike'owi braku szacunku.

–Przecież wiem. Ale to nie to samo, co okazać mu szacunek.

Znikł za drzwiami. Martha pozostała w gabinecie, zastanawiając się nad tym, dlaczego w ogóle przepraszała.

Ponieważ Paul zostawił cię, żebyś tu rządziła, pomyślała. Dyplomacja wcale nie musi być przyjemna, wystarczy by była skuteczna.

Martha zadzwoniła do swej asystentki, Aurory. Wygnała z głowy wszystkie nieważne myśli, w tej chwili liczyło się tylko bezpieczeństwo amerykańskich dyplomatów.

Aurora chwyciła słuchawkę. Pierwsze rozmowy przeprowadziła ze Stambułem i Ankarą.

· Wtorek, 2.32 – Membij, Syria

Ibrahim zatrzymał samochód dopiero, gdy wjechali piętnaście kilometrów w głąb Syrii. Nie wiedział, czy ściga ich turecki patrol graniczny. Nic nie słyszał, ale nie oznaczało to wcale, że Turcy nie jadą po śladach samochodu. Gdyby ich ścigano, wróg nie ośmieliłby się jednak dojechać za nimi do Membij.

Przyjazd długiej, białej furgonetki przebudził sporą grupkę ludzi. Z okien i ganków domów przyglądali się sześciokołowemu pojazdowi, przejeżdżającemu drogą. Ibrahim nie zatrzymywał się na razie, jechał na południe, za miasteczko, nie pragnąc wzbudzić zainteresowania większego, niż to absolutnie konieczne. Zakładnicy nie należeli do Syryjczyków, lecz do Kurdów. I tak też miało pozostać.

Dopiero kiedy zatrzymał samochód, kiedy obejrzał się i zobaczył, jak Mehmet pochyla się nad zwłokami Hasana, pozwolił sobie na wyrażenie żalu po śmierci towarzysza. Mehmet zmówił już modlitwę, teraz i on odmówił swą część z Koranu.

Na klęczkach, z pochyloną głową, powiedział cicho:

–I wyśle swych strażników, którzy będą cię strzec i twej duszy, kiedy ogarnie cię śmierć. Po śmierci wszyscy wracamy do Boga, naszego jedyne go Pana.

Ibrahim patrzył na człowieka, który dokonał tego strasznego czynu, błyszczącymi od łez oczami. Amerykanin leżał na podłodze samochodu, tam, gdzie pozostawił go Mehmet. Twarz miał opuchniętą po pobiciu, lecz w jego oczach nie było żalu. Wzrok miał skupiony, stanowczy.

Niedługo już będziesz tak patrzył, przysięgł w myśli Ibrahim. Sięgnął po nóż.

–Wykluję mu te ślepie, a potem wyrwę serce – powiedział.

Mehmet złapał go za rękę.

–Nie! Allah patrzy na nas, sędzi nas. Nie jest to najlepsza chwila do zemsty.

Ibrahim wyrwał rękę z jego uścisku.

–Za zło odpłacę złem, Mehmedie! – krzyknął. – Koranowi się nie sprzeciwisz. Ten człowiek musi ponieść karę.

–Ten człowiek już wkrótce znajdzie się na Sądzie Bożym. Możemy go użyć w inny sposób.

–Jak? Wystarczy nam zakładników.

–Prawie nic nie wiemy o tym samochodzie. Od niego dowiemy się wszystkiego.

Ibrahim splunął na podłogę.

–Raczej umrze, niż coś nam powie. Trzeba go zabić, bracie.

–Ktoś śmiercią zapłaci za śmierć Hasana. Przecież jesteśmy w domu, bracie. Możemy skontaktować się z naszymi ludźmi. Powiedz im, żeby wyznaczyli kogoś z naszych wrogów i uderzyli w niego. Ten człowiek musi cierpieć za życia. Musi cierpieć patrząc, jak cierpią jego towarzysze. Widziałeś, jak załamał się, kiedy zagroziłem tej kobiecie obcięciem palców. Pomyśl o tym, o ile gorsze będą dla niego najbliższe dni.

Ibrahim nadal wpatrywał się w Rodgersa. Sam jego widok napełniał go nienawiścią.

–I tak wykluję mu oczy.

–We właściwym czasie. Teraz jednak wszyscy jesteśmy zmęczeni i pogrążeni w żałobie. Nie myślimy tak jasno, jak powinniśmy. Skontaktujmy się z komendantem, niech on zdecyduje, jak najlepiej pomścić śmierć Hasana i Walida. Potem zasłonimy więźniom oczy, zakończymy podróż i odpoczniemy. Zasłużyliśmy sobie na odpoczynek.

Ibrahim spojrzał na brata, a potem na Rodgersa. Niechętnie schował nóż do pochwy.

Na wszystko przyjdzie czas.

· Wtorek, 7.01 – Stambuł, Turcja

Rozłożony nad lśniąącymi wodami Bosforu, gdzie spotykają się Azja i Europa, Stambuł jest jedynym miastem rozciągającym się na dwóch kontynentach. We wczesnych wiekach chrześcijaństwa znany jako Bizancjum, od 324 roku do 1453 roku nazywany Konstantynopolem, wybudowany na siedmiu wielkich wzgórzach, jest największym miastem w Turcji i jej największym portem. Ośmiomilionowa ludność wzrasta co dnia, w miarę jak nocami przybywający tu mieszkańcy wsi budują szałas w jego granicach. Ich domy, zwane *gecakondu*, zbudowane nocą", chroni stare prawo Osmanów stanowiące, że nie można zburzyć dachu wzniesionego w nocy. Osiedla szałasów zostają wreszcie zrównane z ziemią, na ich miejscach wyrastają bloki mieszkalne, za którymi kolejni przybysze wznoszą kolejne szałas, dramatycznie kontrastujące ze wspaniałymi mieszkaniami, doskonałymi restauracjami i drogimi butikami dzielnic Taksim, Harbiye i Nisantasi. Mieszkający tu *Istanbullus* jeżdżą BMW, noszą złotą i diamentową biżuterię, weekendy zaś spędzają w *yali* – drewnianych rezydencjach, wzniesionych na brzegach Bosforu.

Zastępczyni szefa amerykańskiej misji, Eugenie Morris, została zaproszona do takiej właśnie rezydencji charyzmatycznego tureckiego magnata samochodowego, Izaaka Bory. Amerykański konsul w Stambule podlegał formalnie ambasadzie w Ankarze, dzięki temu sprawy handlowe i polityczne załatwiono tu w sposób mniej oficjalny i mniej biurokratyczny. Czterdziestosiemioletnia pani konsul brała udział w uroczystej kolacji w *yali* pana Bory wraz z przedstawicielami amerykańskich firm. Potem odesłała kierowcę oraz drugi samochód, który przywiózł dwóch agentów DSA – Agencji Bezpieczeństwa Dyplomatów. Jej funkcjonariusze dosłownie siedzieli na ogonie każdemu urzędnikowi, wyjeżdżającemu z misji w celach zarówno prywatnych, jak i służbowych. Mieli prawo użyć siły, by chronić powierzonych ich opiece urzędników. Zatrudniała ich ambasada lub konsul, byli więc zwolnieni od odpowiedzialności karnej za swe czyny.

Kiedy oba samochody powróciły na miejsce o siódmej lano, Eugenie czekała na nie w holu rezydencji wraz z panem Borą. Lokaj w liberii otworzył im drzwi, po czym wyszedł za nimi, niosąc torby gości. Jeden z agentów ochrony czekał za niskim żelaznym ogrodzeniem, obserwując krępego biznesmena, idącego wraz z Amerykanką krótką, wyłożoną kamieniami ścieżką. Drugi siedział za kierownicą samochodu, którego silnik pracował cały czas. Za *yali* widać było jasne wody Bosforu, lśniąące w porannym słońcu. Jasno lśniły także liście drzew i płatki kwitnących w ogrodzie kwiatów.

Eugenie zatrzymała się w momencie, w którym zatrzymał się jej gospodarz. Machał rękami, najwyraźniej odpędzając szerszenia, gotowego w każdej chwili usiąść na jego haczykowatym nosie. Agent za ogrodzeniem stał nieruchomo, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Obie dłonie trzymał pod ciemną sportową marynarką, gotów w każdej chwili wyciągnąć trzydziestkęósemkę. W samochodzie, ukryty za jego przyciemnionymi kuloodpornymi szybami, siedział kierowca, mający do swej dyspozycji obrzyna i *Uzi*.

Pan Bora przykucnął, przybierając pozycję najzupełniej niezgodną z jego pozycją towarzyską, po czym z triumfem odprowadził wzrokiem szerszenia, który pomknął w kierunku wód Bosforu. Eugenie klasnęła w dłonie i oboje ruszyli ku bramie.

Z dala dobiegł ich dźwięk motocyklowego silnika Agent stojący przy ogrodzeniu obrócił się lekko, by móc go obserwować. Na wysokim siodełku siedział chłopiec, ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Na głowie miał biały kask. Na plecach wisiała mu płócienna torba kurierska ze sterzącymi z niej kopertami. Agent zwrócił uwagę przede wszystkim na kurtkę, szukając typowych wypukłości. Chłopak zapiął kurtkę pod szyję, a więc zapewne nie przygotowywał się do sięgnięcia po broń. Uwagę należało więc zwrócić raczej na torbę.

Motocyklista nie zwalniając minął bramę i samochody.

Agent odwracał się właśnie, kiedy zza gęstej zasłony liści- wyleciało coś i upadło na ścieżkę. Eugenie i pan Bora przystanęli i patrzyli na to coś, co podtoczyło się im pod nogi.

Agentowi na zewnątrz, wpatrzonemu w drzewa, nie udało się otworzyć bramy.

–Cofnąć się! – krzyknął.

W tym momencie wybuchł granat.

Eugenie i jej gospodarz nie zdążyli się cofnąć. Nad ścieżką pojawiła się chmura szarobiałego dymu. Wybuchowi granatu towarzyszył trzask i tępy odgłos odłamków uderzających w żelazo, wbijających się w drewno... i w ciało. Także stojący na ulicy agent upadł z piersią rozszarpaną odłamkami. Eugenie i jej gospodarz padli na kamienie ścieżki jak ścięci, wijąc się konwulsyjnie.

W sekundę po eksplozji ruszył samochód ambasady. Wzmocnionym stałą zderzakiem rozbił bramę. Zatrzymał się przy ciałach. Za nim pomknął samochód ochrony. Kierowca ustawił go bokiem i wyskoczył, trzymając w ręku obrzyna. Osłaniany przez samochód, wstał i wystrzelił w kierunku, z którego nadleciał granat. Struga śrucin wryła ścieżkę wśród gałęzi, oczyszczając je z liści, które spadły na ziemię niczym zielony deszcz.

Z góry odpowiedział mu pistolet maszynowy. Agent padł na ziemię, szukając osłony za samochodem. Strzelec w kominiarce na twarzy skierował ogień na ranną Amerykankę i jej tureckiego gospodarza. Na białej bluzce i żakiecie Eugenie pojawiła się czerwona linia. Podrzucone kulami ciało zadrżało i znieruchomiało. Napastnik zignorował Borę, czołgającego się powoli w kierunku- domu. Lokaj siedział w holu ze słuchawką telefonu przyciśniętą do ucha.

Agent ochrony wstał zza samochodu, za którym się ukrył. Już miał powtórnie strzelić do zamachowca na drzewie, kiedy usłyszał trzask i dostrzegł toczący się ku niemu drugi granat. Rzucił go ktoś stojący za jego plecami. Obejrzał się i na drodze, za drzewem, dostrzegł motocyklistę.

Granat wybuchł i samochód podskoczył lekko. Kołysał się jeszcze, kiedy agent wyrwał ze skrytki Uzi. Potrzebował teraz broni maszynowej. Potoczył się po ziemi, przywarł do niej i zaczął strzelać. Motocyklista jechał w jego kierunku, klucząc między samochodami i kryjąc się za nimi.

Agent wymierzył w bok, strzelając pod podwoziem. Przestrzelił opony, motocykl

zatonął się i uderzył w bok samochodu. Strzelec już miał wczłogać się pod niego, by dosięgnąć napastnika, kiedy usłyszał stłumiony odgłos. To mężczyzna, który rzucił pierwszy granat, zeskoczył z drzewa na dach. Stał na nim na szeroko rozstawionych nogach, mierząc w dół z rewolweru. Nim zdołał nacisnąć spust, kierowca służbowego wozu Eugenie wyciągnął czterdziestkępiątkę i dwukrotnie strzelił do niego z tyłu. Jeden strzał trafił go w udo, zamachowiec upadł, ześlizgnął się z dachu i ciężko spadł na ziemię. Z głębokich kieszeni jego czarnego swetra wysypało się kilka granatów.

Ochroniarz przeczołgał się pod otwartymi drzwiami samochodu, wstał i rozbroił jęczącego napastnika. Zebrał granaty, a następnie wrzucił je do samochodu. Potem ostrożnie podszedł do motocyklisty. Śniady chłopak leżał na wznak. Prawą rękę miał złamaną. Kość promieniowa przebiła marynarkę, zaś złamana kość udowa lewej nogi spodnie. Z torby kurierskiej wysypało się jeszcze siedem granatów.

Jeden z nich trzymał w spoczywającej na piersi lewej ręce. Wyrwał zawleczkę.

–Padnij! – wrzasnął agent.

Kierowca Eugenie padł na ziemię za swym samochodem. Agent przeskoczył przez maskę swego wozu. Niemal w tej samej sekundzie wybuchł odbezpieczony granat, powodując eksplozję pozostałych siedmiu.

Uderzony odłamkami samochód zadrżał i zakołysał się na resorach. Opony pękły z głośnym hukiem. Agent siedział w kucki za jedną z nich, poczuł jak drętwieje mu noga – to odłamek wbił się w piętę. Znieruchomiał i tylko mocniej przycisnął się do karoserii, szukając maksymalnej ochrony.

Huk wybuchów ucichł. Agent wstał powoli, ściskając w dłoniach *Uzi*.

Obaj napastnicy nie żyli. Granaty rozszarpały ich na strzępy. Kierowca samochodu Eugenie trzymał się za zranioną odłamkiem dłoń, w której ścisnął pistolet, ale przynajmniej stał o własnych siłach. Bora zdołał doczołgać się do domu, leżał na podłodze, nad nim zaś klęczał lokaj. Służba kryła się pod ścianami.

Ciszę po walce rozdarł jęk syren. To przyjechały cztery samochody tureckiej policji państwowej, każdy z funkcjonariuszy trzymał w ręku Smith Wessona kalibru 0,38 cala. Policjanci rozbiegli się po ogrodzie i domu. Agent odłożył *Uzi* na dach samochodu, sygnalizując w ten sposób policjantom, że jest tym dobrym facetem. Kulejąc podszedł do leżącego kolegi. Był martwy, podobnie jak zastępczyni szefa misji.

Kierowca Eugenie zbliżył się do niego, nadal trzymając pistolet w okrwawionej dłoni. Spojrzał na oficera policji, a potem na swą rękę. Policjant oznajmił, że karetka zaraz tu będzie.

Agent i kierowca wsiedli, każdy do swojego samochodu, by przez radio poinformować szefów o tym, co zaszło. Reakcja na wiadomość o zamachu była chłodna, wyważona. W podobnych sytuacjach nie wolno ulegać emocjom. Prasa, a także informowani przez prasę wrogowie, nie mieli prawa wiedzieć, jak wielką wściekłość i strach wywołali.

Zawiadomiwszy dowódców, obaj mężczyźni usiedli w samochodzie agenta.

–Dzięki za załatwienie tego faceta na dachu – powiedział agent.

Kierowca ostrożnie oparł się o tylne drzwiczki.

–Wiesz, Brian, żaden z nas nic nie mógł na to poradzić – stwierdził.

–Bzdura. Powinniśmy wyjść jej naprzeciw. Chciałem, ale Lee powiedział, że nasza podopieczna nie lubi, kiedy kryje się ją zbyt blisko. Kurwa mać! Bliskie krycie byłoby lepsze od tego, co ją spotkało.

–Gdybyśmy po nią wyszli, leżelibyśmy sztywni. Spodziewali się, że po nią wyjdziemy. Obaj w sumie mieli jakieś piętnaście granatów. Domowa ochrona spieprzyła sprawę. Założę się, że ten facet przesiedział na drzewie całą noc, czekając na panią Morris. A ten dupek na motorze jechał pewnie za nami.

Przyjechały trzy karetki. Sanitariusze zabrali się do opatrywania ran, a potem odprowadzili rannych do środka. Inni zajęli się gospodarzem. Położyli go na nosze, jęczącego, że coś takiego nigdy by się nie zdarzyło, gdyby nie ci cholerni cudzoziemcy, i odtransportowali do szpitala.

–Właśnie tak wygrywają – powiedział agent, siedząc w karetce obok kierowcy. – Straszą facetów takich jak Bora, żeby grali wyłącznie w drużynie narodowej.

–Niewiele trzeba, żeby przstraszyć takich Borów – odpad kierowca, wpatrując się we wbitą w ramię igłę kroplówki. – Zobaczymy, co będzie, kiedy wdadzą się w szarpaninę ze Stanami Zjednoczonymi.

· Wtorek, 5.55 – Londyn, Anglia

Paula Hooda i Warnera Bickinga oczekiwały na Heathrow limuzyna służbowa i terenówka z trzema agentami z ochrony dyplomatów. Amerykanie spodziewali się, że dwugodzinną przerwę między lotami spędzą na lotnisku, funkcjonariusz jednak już przy wejściu wręczył Paulowi pilny faks. Szef Centrum odszedł do kąta i przeczytał go. Dowiedział się z niego, że Bob Herbert załatwił mu przejazd z przedstawicielem ambasady do budynku ambasady przy Grosvenor Square 24/31. Bardzo ważne jest, pisał Herbert, by Hood zatelefonował do Centrum, używając bezpiecznej linii.

Wraz z Bickingiem zostali następnie skierowani do sali dla VIP-ów, gdzie zagranicznych dygnitarzy przeprowadza się, komfortowo i błyskawicznie, przez odprawę celną.

O tak wczesnej porze ruch był niewielki. Jechali szybko. Paul czuł się zdumiewająco dobrze. W samolocie przespał trzy godziny, a potem wypił dwie filiżanki słabej kawy. Podbudowany snem i kawą przez jakiś czas będzie w stanie przyzwoicie funkcjonować. Jeśli podczas kolejnego lotu złapie jeszcze trzy, może nawet cztery godziny snu, do Damaszku doleci w doskonałej formie. Ożywił go także, choć i niepokoił, niezwykle faks Boba. Gdyby wieści były dobre, Herbert jakoś dałby mu to do zrozumienia.

Obok Paula siedział Bicking. Założył nogę na nogę i niecierpliwie kiwał wiszącą w powietrzu stopą. Choć przepracował całe siedem godzin lotu, studiując komputerowe scenariusze możliwego starcia, był przytomniejszy od swego zwierzchnika.

Cholera, jest wystarczająco młody, żeby się nie męczyć, pomyślał Paul obserwując, jak słońce rozprasza londyńską mgłę wczesnego poranka. Dawno temu, kiedy był jeszcze bankierem, on sam też potrafił nie spać, a pracować. Śniadanie w Nowym Jorku lub Montrealu, późny obiad w Sztokholmie albo Helsinkach, śniadanie następnego dnia w Atenach, może w Rzymie. Obywał się bez snu przez czterdzieści osiem godzin. Pogardzał nawet snem, uważając go za stratę czasu. A teraz szedł do łóżka, marząc nawet czasami, by nie było w nim żony, pragnąc tylko leżeć, ciesząc się zasłużonym odpoczynkiem.

Wkrótce po tym, jak wyruszyli z lotniska, kierowca podał mu zapieczętowaną kopertę od ambasadora. Znajdował się w niej terminarz zajęć z informacją, że spotkanie z doktorem Nasrem wyznaczono w ambasadzie, na godzinę siódmą.

W normalnych warunkach Paula Hooda cieszyła każda wizyta w Londynie. Jego pradziadkowie urodzili się tu, mieszkali w Kensington i Paul niemal instynktownie reagował na klimat miasta. Dziś jednak, gdy samochód mijał wiekowe domy, nad którymi nadal ciążył czar (a czasami koszmar) rzucony niegdyś przez ludzi wspaniałych i ludzi nieprawdopodobnie wręcz podłych, nie myślał o nich, lecz o Herbercie, o CR i o tym, że samochód ochrony trzyma się dziwnie blisko limuzyny. Zazwyczaj jechał dyskretnie, z tyłu. Dziwił się także, że przydzielono im nie dwóch, lecz trzech agentów. Na ogół zastępcy ambasadora przysługiwało właśnie dwóch ochroniarzy.

Na wszystkie te pytania otrzymał odpowiedź, kiedy zaprowadzono go do jednego z gabinetów w majestatycznym, starym gmachu ambasady i mógł wreszcie zadzwonić do Centrum. Od Boba dowiedział się o zamachu w Turcji i o tym, co wyglądało na podjętą przez zakładników nieudaną próbę uwolnienia się podczas przekraczania przez CR granicy syryjskiej, a także o możliwym wzajemnym związku tych dwóch spraw. Kiedy zapytał o tę możliwość, Bob przekazał mu parę informacji, które na razie nie miały trafić do prasy.

–Jednym ze służących Bory był turecki Kurd – powiedział Herbert. – To on wpuścił zamachowca na teren posiadłości.

Paul zerknął na zegarek.

–Przecież do zamachu doszło niespełna godzinę temu. Jakim cudem udało im się tak szybko ustalić, kto zrobił co?

–Turcy zadali kilka pytań za pomocą gumowych pałek i samozaciskających się więzów – wyjaśnił Herbert. – Służący zeznał, że rozkazy otrzymywał z Syrii, ale nie wiedział od kogo i skąd. Znał tylko pseudonim: Yarmuk. Sprawdzamy tego Yarmuka, ale na razie wiemy tylko, że imię to wypłynęło przy okazji bitwy z 636 roku, kiedy Arabowie pokonali Bizantyjczyków i odzyskali Damaszek.

–Wygląda na to, że ktoś w Syrii udziela im dokładnych informacji – zauważył Paul.

–Jestem tego samego zdania. Tyle że nie możemy ostrzec Damaszku, bo, po pierwsze, mogliby nam nie uwierzyć i, po drugie, mogliby sprzymierzyć się z Kurdami, tylko po to, by utrzymać pokój w regionie.

–A co z motocyklistą? Kurd czy najemnik?

–Och, Kurd, oczywiście. Od czterech tygodni mieszkał w dzielnicy nędzy na obrzeżach miasta. Naszym zdaniem wysłana go z któregoś z obozów w strefie działań wojennych na wschodzie Turcji jako członka zespołu, który miał uderzać na wyznaczone cele w Stambule po ataku na tamę. Odciski palców były w aktach policyjnych Ankary, Jerozolimy i Paryża. Jak na dwudziestotrzyletniego chłopaka miał nie lada osiągnięcia. Wszystkie jako bojownik o wolność narodu kurdyjskiego. Zamachowcy używali granatów takich, jakich Kurdowie używają we wschodniej Turcji. Stare, bez zabezpieczenia zawleczone. Jeszcze z NRD.

–Pewnie mają piątą kolumnę, gotową do ataku także w innych miastach – zauważył Hood.

–Niewątpliwie. Choć ci w Ankarze rozbiegli się już pewnie jak karaluchy. Poinformowałem o wszystkim prezydenta. Mam wrażenie, że Kurdowie mają zamiar zamienić Ankarę, Sambu i Damaszek w strzelnice, i że jest to część jakiegoś większego planu.

–Chcą wywołać wojnę, bo po niej, podczas rozmów pokojowych, mogliby wywalczyć sobie ojczyznę, co? Rozmawialiśmy o tym w Białym Domu.

–Strzał w dziesiątkę. Mam jedną dobrą wiadomość: umieściliśmy Druza w dolinie Bekaa. Czeka na CR. Możemy je ulokować z dokładnością do szesnastu kilometrów, ten weteran Sayeret Ha'Druzim poinformuje nas, gdzie dokładnie znajdują się nasi ludzie. Iglica będzie w Izraelu za jakieś pięć godzin. Wtedy się z nim skontaktują.

–Co wiemy o reakcjach w Ankarze i Damaszku?

–Ankara analizuje informacje, dokładnie tak jak my, w Damaszku zaś rośnie napięcie. Generał Bar-Levi z Hajfy jest w kontakcie ze swymi ludźmi z Mista'aravim, zakonspirowanymi głęboko we wschodniej dzielnicy.

–To ci, którzy udają Arabów?

–Właśnie. Doskonale wyszkoleni żołnierze oddziałów specjalnych. Widzą i słyszą praktycznie wszystko. Twierdzą, że rozpoczęto bezprecedensową akcję przeciw Kurdom. Aresztowania, doniesienia o torturach, poważna sprawa. Czuję, że sytuacja lada chwila może się jeszcze pogorszyć. – Bob przerwał na chwilę. Wiesz, Paul – mówił dalej – chodzi mi o Mike'a. Jeśli przelał krew podczas próby odbicia CR, to mam nadzieję, że atak w Turcji był odpowiedzią na tę próbę.

–Dlaczego?

–Bo oznaczałoby to, że Kurdowie każą nam wprawdzie zapłacić, ale nie chcą zrobić mu krzywdy. Wiesz, kto zwykł postępować w ten sposób?

–Wiem. Cech B. DeMille. Ilekroć chciał ustawić sobie aktorkę, wrzeszczał na jej charakteryzatorów albo rekwizytorkę. Straszyl babkę, ale nie pozostawiał żadnych śladów.

–Doskonale, Paul. Zaimponowałeś mi.

–Burmistrz Los Angeles dowiaduje się nie takich rzeczy. – Hood spojrzal na zegarek i nagle zdenerwował się na samego siebie. Patrzył nań zaledwie przed minutą. – Bob, muszę ruszać w drogę. Niedługo spotykam się z doktorem Nasrem. Na lotnisku. A wiesz, jak ściagam na siebie korki.

–Wiem, wiem. Jak Hiob choroby.

–Owszem. Poza tym czuję się kompletnie bezużyteczny.

–Nie bardziej bezużyteczny niż ja – westchnął Herbert. Kiedy tylko dowiedziałem się o tym incydencie na granicy, natychmiast rozesłałem ostrzeżenia do ambasad. Dotarłem do ochrony w każdej z nich, ale Eugenie Morris po prostu wymknęła się z sieci. Sukinsyny znają nasz sposób działania. Zaatakowali owieczkę, która odłączyła się od stada.

–To nie twoja wina. Zareagowałeś prawidłowo i szybko.

–A takie w sposób oczywisty dla przeciwnika i to się musi zmienić. Jeśli wróg wie, gdzie są twoi ludzie i jak się do nich dostać, a ty nie, zaczynają się prawdziwe problemy.

–Stuprocentowa przewidywalność...

–Wiem, wiem – przerwał mu Bob. – Uczysz się biznesu tracąc pieniądze. W tym biznesie tracisz ludzi. Śmierdząca sprawa, ale tak już jest.

Paul żałował, że nic nie ma już w tej sprawie do powiedzenia. Cóż, Bob miał po prostu rację. Dyskutowali niektóre założenia akcji Iglicy, między innymi to, że oddział znajdzie się w Izraelu, nim rozpocznie się kolejna sesja Kongresu. Bardzo prawdopodobne, że Iglica będzie musiała wejść do akcji, nim Komisja Nadzoru Wywiadu będzie w stanie udzielić jej pozwolenia. Poinformował Herberta, że podpisał rozkaz, w którym przejmował osobistą odpowiedzialność za wszystkie działania oddziału-. Nie miał zamiaru pozwolić żołnierzom wysychać na pustyni, marnując szanse na oswobodzenie Rodgersa i członków zespołu CR.

Bob życzył mu jeszcze powodzenia w Damaszku i na tym skończyła się ich rozmowa. Samotny w cichym i mrocznym gabinecie, Hood przez chwilę rozważał, jak daleko jest skłonny się posunąć. By ocalić życie sześciu osób – i nie mając wcale pewności, że ludzie ci żyją – zamierzał zaryzykować życiem osiemnastu komandosów. Statystycznie nie miało to najmniejszego sensu, więc dlaczego wydawało się jedynym słusznym posunięciem? Bo wymagał tego honor narodu oraz prosta lojalność wobec współpracowników? Istniało wiele doskonałych powodów, żaden z nich jednak nie był w stanie ulżyć ciężarowi, który dźwigał wydając rozkazy i dopilnowując ich wykonania.

Mike'a Rodgersa, chodzącej wyroczni moralnej, nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny, pomyślał, siedząc w ciężkim, bejcowanym drewnianym fotelu.

Ruszył do drzwi, depcząc wspaniały perski dywan, i dołączył do Warnera Bickinga, czekającego nań w sekretariacie. Sekretarka podała mu filiżankę kawy. Przyjął ją z wdzięcznością. Potem we trójkę, wraz z młodym pracownikiem ambasady, omawiali wydarzenia w Turcji, czekając na doktora Nasra.

Doktor pojawił się w ambasadzie za pięć siódma. Wszedł i natychmiast ruszył w ich kierunku szybkim, energicznym krokiem. Egipcjanin miał może metr sześćdziesiąt wzrostu, maszerował wyprostowany, z podniesioną głową i stalowoszarą kozią bródką wymierzoną do przodu niczym kopia. Jego oczy, ukryte za grubymi okularami, emanowały inteligencją. Doktor miał na sobie doskonale odprasowany jasnoszary garnitur, niemal w tym samym odcieniu co jego siwe włosy. Dostrzegł Paula, uśmiechnął się do niego szeroko i natychmiast, przez pół pokoju, wyciągnął drobną dłoń o krótkich palcach.

–Przyjacielu – powiedział do wstającego Hooda. Uścisk jego dłoni był krótki, mocny. – Jak dobrze znów cię widzieć.

–Wygląda pan doskonale, doktorze. Jak tam rodzina?

–Żona czuje się wspaniale i przygotowuje właśnie nową serię recitali. Tym razem wyłącznie Liszt i Chopin. „Sonata h-moll” słyszysz ją i płaczesz. „Tasco” – jakie to cudowne. A „Etiuda Rewolucyjna” – wspaniała, wspaniała! W końcu roku zagra w Waszyngtonie. Dostaniecie, oczywiście, specjalne zaproszenie.

–Bardzo dziękuję.

–Powiedz mi, jak czuje się pani Hood i maleństwa.

–Kiedy widziałem się z nią ostatnio, wszystko wydawało się w największym porządku, a maleństwa wcale nie były takie małe. – Hood naraz poczuł się winny, że tak mało czasu poświęca rodzinie. Obrócił się, by przedstawić swego asystenta. – Doktorze Nasr, nie miał pan chyba okazji spotkać pana Bickinga.

–Nie miałem, ale czytałem pańską pracę poświęconą perspektywom demokracji w Jordanii. W samolocie będziemy mieli okazję o niej porozmawiać.

–Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Bicking, wyciągając rękę.

Poszli do samochodu. Nasr szedł w środku. Paul szybko przekazał doktorowi i Warnerowi to, czego dowiedział się od Boba. Bicking zajął miejsce obok kierowcy. Ruszyli. Nasr pogładził bródkę ściskając ją kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki.

–Moim zdaniem masz rację – powiedział Egipcjanin. – Kurdowie chcą mieć własne państwo. Pytanie brzmi: jak daleko posuną się, by państwo to sobie wywalczyć. Bez niego zginą.

–Więc w czym właściwie rzecz? – spytał Hood.

Nasr przestał bawić się bródką.

–Rzecz w tym, przyjacielu, by dowiedzieć się, czy wysadzenie tamy było ich właściwym celem, czy też kryją w rękawie jakiś znacznie groźniejszy atut.

· Wtorek, 11.08 – dolina Bekaa, Liban

Dolina Bekaa biegnie przez Liban i Syrię. Znana także pod nazwą El Bika i Al Biqua, rozdziela łańcuchy górskie Jabal Lubnan i Antyliban. Ma sto dwadzieścia kilometrów długości i od ośmiu do piętnastu kilometrów szerokości. Jest przedłużeniem Wielkiego Uskoku Afrykańskiego i jednym z najżyźniejszych terenów na Bliskim Wschodzie. Rzymianie nazywali ją *Coele Syria* – „Płytką Syria”. Od początków pisanej historii ludzkości toczono wojny o uprawiane w niej zboża, winną latorośl, daktyle i orzechy.

Mimo doskonałych warunków uprawy coraz mniej rolników pracuje jednak w jej najdalszych – i najżyźniejszych – zakątkach, tam gdzie lasy są najgęściejsze, a szczyty gór najwyższe. Mimo że biegnie tędy droga Bejrut-Damaszek, góry i lasy wywołują atmosferę prawdziwego odosobnienia. Z dołu do wielu zakątków doliny dotrzeć można jedną tylko ścieżką. Z góry zakątki te osłaniają przed niepowołanym okiem skalne półki i gęsta roślinność. Przez wieki szukali tam schronienia religijni fanatycy i członkowie przeróżnych sekt. W czasach współczesnych jako pierwsi ukryli się tu członkowie grupy, która zaplanowała zamach na generała Bake Sidqi, krwawego dyktatora Iraku, zamordowanego w sierpniu 1937 roku. W ich ślady poszli partyzanci palestyńscy i libańscy, by ćwiczyć oddziały, mające, najpierw przeciwdziałać powstaniu Izraela, a potem walczyć z nim. Spiskowano tu także przeciw Iranowi szacha, przeciw Jordanii i Arabii Saudyjskiej oraz wszystkim tym państwom, których rządy zwracały się ku niewiernemu Zachodowi. Choć nie przybywają tu już archeolodzy, poszukujący zabytków greckich i rzymskich, żołnierze odkryli więcej jaskiń, niż naukowcy. Sprzedają wydobyte z nich zabytki, by zdobyć pieniądze na swą walkę, używają ich jako kwater, w których planują akcje wojskowe i propagandowe. W chłodzie pieczar stoją obok siebie maszyny drukarskie, butelkowana woda i generatory.

Z błogosławieństwem Syrii Kurdowie operowali tu już od niemal dwudziestu lat. Choć Syryjczycy sprzeciwiali się planom powstania państwa kurdyjskiego, syryjscy Kurdowie poświęcali wiele czasu i wysiłku, by pomóc swym braciom z Iraku i Turcji przetrwać w walce z wysyłanymi przeciw nim wojskami. Walcząc z Ankarą i Bagdadem, syryjscy Kurdowie niejako automatycznie wspomagali Damaszek. Nim rząd Syrii zdążył zorientować się, że jego kraj może również stać się celem ataków, Kurdowie umocnili się w dolinie Bekaa do tego stopnia, że niemal nie sposób było ich stamtąd wygnać. Syryjscy przywódcy zastosowali więc politykę gry na przeczekanie, żyjąc nadzieją, że większość ataków skierowana będzie na północ lub wschód.

Paradoksalnie, to ONZ, naciskając na Ankarę i Bagdad, by przerwały ataki, umożliwiła niedawno Kurdom zjednoczenie się i zaplanowanie poważnej ofensywy. W bazie Deir, w najgłębszych jaskiniach na północy doliny, odbyła się seria tajnych spotkań. Osiem miesięcy zajęło syryjskim, tureckim i irackim Kurdom zaplanowanie operacji Yarmuk, której celem było wykorzystanie precyzyjnych, chirurgicznych akcji militarnych do wywołania zamieszania na Bliskim Wschodzie. Dowódcą bazy i

operacji Yarmuk był pięćdziesięciosiedmioletni absolwent południowo-kalifornijskiej uczelni, turecki Kurd imieniem Kajahan Siriner. Siriner od wielu lat przyjaźnił się z syryjskim Kurdem, Walidem al-Nasri, najbardziej zaufanym spośród grona jego oficerów.

Używając radiostacji CR, Mehmet skontaktował się z bazą Deir i zawiadomił ją, że jest w drodze. Z bazą kontaktował się na częstotliwości używanej przez co bogatszych miejscowych farmerów do kontaktu z pasterzami. Imiona i nazwy kodowano. Gdyby ktoś podsłuchiwał rozmowę, z pewnością nie zorientowałby się, kto rozmawia z kim. Mehmet poinformował Sirinera, że przybywają z kilkoma wołami – a więc przeciwnikami pozbawionymi męskości. Gdyby powiedział, że przybywa z bykami, oznaczałoby to, że przeciwnik jest uzbrojony i to oni są zakładnikami. Siriner zdawał sobie jednak sprawę, że Mehmet mógł zostać zmuszony do wysłania tak sformułowanej informacji. Nie miał zamiaru ryzykować.

Przybycie CR, wspinającego się po łagodnej pochyłości zbocza, oznajmił dźwięk gniecionych gałęzi, pryskających spod kół kamieni i odbijający się echem pomruk silnika. Furgonetkę dostrzeżono dopiero po minucie. Jechała zygzakiem w stronę jaskini, omijając miny. Stała w miejscu, gdzie gałęzie były zbyt gęste, by jechać dalej. Kiedy odtworzyły się drzwi kabiny, z ukrycia wybiegło czterech Kurdów z czarnymi zawojami na głowach, ubranych w mundury polowe i uzbrojonych w pistolety maszynowe. Nim zdolali okrążyć samochód, Ibrahim wyłączył silnik. Mehmet wysiadł, uniósł rewolwer i trzykrotnie wystrzelił w powietrze. Gdyby był zakładnikiem, nie pozwolono by mu zachować broni. Głośno dziękując Bogu i jego Prorokowi, Mehmet schował rewolwer i podszedł do najbliższego z bojowników. Objął go i wyszeptał mu na ucho wieść o śmierci Hasana.

Trzej żołnierze podeszli do otwartych drzwi. Ibrahim nie powitał ich uściskiem – całą uwagę zwracał na skrępowanych jeńców, którym dokładnie zasłonięto oczy, rozluźnił się dopiero, gdy odprowadzono ich do jaskini. Tam zostali powtórnie skrępowani, Ibrahim tymczasem podszedł do Mehmeta, stojącego jeszcze przy furgonetce.

Kurdowie powrócili z płachtami maskującymi i szybko przykryli nimi CR. Ibrahim przytulił brata do piersi.

–Drogo za to zapłaciliśmy – powiedział, płacząc.

–Wiem – szepnął mu do ucha Mehmet. – Taka była wola Boga, a Hasan i Walid spoczywają teraz na jego łonie.

–Wolałbym, żeby byli z nami.

–Ja także. Chodź. Siriner zechce wysłuchać raportu z przebiegu misji.

Obejmując się, bracia poszli ku wejściu do jaskini. Ibrahim pierwszy raz znalazł się w sanktuarium zjednoczonych sił bojowników o wolność narodu kurdyjskiego. Niegdyś miał nadzieję, że trafi tu w innych okolicznościach jako obserwator, cichy i pokorny. Jako świadek historii, a nie tworzący ją bohater.

Nie czuł się bynajmniej bohaterem.

Baza Deir nazwana została od syryjskiego słowa oznaczającego monastyr. W ten sposób Kajahan Siriner oddał sprawiedliwość sekretnemu i pełnemu wyrzeczeń

życiu, jakie wiedli tu on i jego ludzie. Centrum dowodzenia znajdowało się w podziemnej części jaskini. Wykopano tu tunel i zrobiono schody z betonowych bloków. Przykryto go klapą, która, zamknięta, niczym nie odróżniała się od podłoża. Wyłożono ją także grubą gumą tak, by idący po niej człowiek nie usłyszał różnicy w dźwięku kroków.

Za klapą pieczara ciągnęła się na północ. Tu kwaterowało kilkudziesięciu bojowników – spali na pryczach, jedli przy składanych stolikach.

Dalej jaskinia rozwidlała się. Wschodni korytarz był niemal prostą kontynuacją biegnącego na północ tunelu. Na całej długości oświetlało go dzienne światło. Był suchy, tu znajdowała się zbrojownia, generatory, a także druga – po centrum dowodzenia kwatery dowódcy polowego grupy, Kenana Arkina. Wysoki, chudy Kurd z Turcji pozostawał w stałym kontakcie z różnymi kurdyjskimi frakcjami. Tu też kończyła się naturalna jaskinia, żołnierze jednak przebili ścianę aż do niewielkiego wąwozu, szczelnie osłoniętego nawisem skalnym, uniemożliwiającym dostrzeżenie go z powietrza, co czyniło z niego doskonałą strzelnicę.

We wschodnim korytarzu wygrzebano dziesięć małych, mrocznych jam, wyłożono je metalową siatką i przykryto stalowymi kratami, na których leżały żelazne belki, umocowane po obu stronach do również żelaznych pionowych uchwytów. Jamy, o głębokości mniej więcej dwa i pół metra, pełniły rolę więziennych cel, przeznaczonych każda dla dwóch osób. Potrzeby naturalne załatwiano przez nieco większe oko siatki.

Ze stropu, biegnącego stąd wąskiego korytarzyka, zwisały żarówki, sam bunkier Sirinera kończył się żelaznymi drzwiami, zrobionymi z włazu i płyty pancerza syryjskiego czołgu, zniszczonego przez wojska Izraela. Trzy metry pod poziomem jaskini było przyjemnie chłodno, a wewnątrz samego bunkra komendanta dwa wielkie wiatraki poruszały zatęchłe powietrze. Pomieszczenie było niemal kwadratowe i miało powierzchnię porównywalną z powierzchnią dużej windy towarowej. Ściany były nagie, pod sufitem zaś rozpostarto-płachtę przezroczystej folii plastikowej, naciągniętej i umocowanej po rogach – jej zadaniem była ochrona przed odłamkami skały i pyłem na wypadek ostrzału artyleryjskiego. Na ziemi leżały chodniki, całe umeblowanie składało się zaś z małego metalowego biurka, składanych krzeseł z leżącymi na siedzeniach haftowanymi poduszkami, niszczarki do papieru za biurkiem oraz, dalej, radiostacji ze słuchawkami i stołka.

Dowódca oddziału, Kajahan Siriner, powitał wchodzących Mehmeta i Ibrahima stojąc za biurkiem. Ubrany był w szarozielony mundur, na głowie zaś miał biały zawój z czerwonym pasem. U boku nosił trzydziestkęósemkę w kaburze. Był człowiekiem średniego wzrostu i szczupłej budowy, miał cienki wąsik, bardzo ciemną cerę i jasne oczy. Na palcu wskazującym lewej ręki nosił złoty pierścień ze wzorem dwóch srebrnych sztyletów skrzyżowanych pod gwiazdą.

Podobnie jak Walid, Siriner także miał bliznę, głęboką i poszarpaną, biegnącą od grzbietu nosa do połowy prawego policzka. Ranę odniósł jako przywódca kurdyjskich akcji aprowizacyjnych w Turcji. Jego zadaniem było prowadzenie niewielkich oddziałów do tureckich wiosek, w których rekwirowano żywność. Jeśli

wieśniacy opierali się, stosowano siłę. Żołnierzy tureckich zabijano na miejscu, niezależnie od tego, czy stawiali opór, czy nie.

Dowódca opuszczał jaskinię tylko w ostateczności. Istniało niebezpieczeństwo, że – nawet w nocy – zabić go mogą tureccy i iraccy snajperzy, rozlokowani na sąsiednich wzgórzach.

Fakt, że dowódca przywitał ich na stojąco, Mehmet i Ibrahim przyjęli z radością i z ulgą. Z radością, ponieważ w ten sposób czcił ich sukces. Z ulgą, ponieważ dawał im w ten sposób do zrozumienia, że nie wini ich za śmierć Walida i Hasana.

–Dziękuję Allahowi za wasz bezpieczny powrót i za powodzenie waszej misji – powiedział Siriner głębokim, dźwięcznym głosem, który wydawał się wypełniać to niewielkie pomieszczenie. – Jak rozumiem, przywieźliście ze sobą bogate łupy.

–Tak, komendancie – odparł Mehmet. – To pojazd nie znanego nam rodzaju, który Amerykanie używają do szpiegowania. Siriner skinął głową.

–Czy jesteście pewni, że po drodze do bazy nikt was nie szpiegował? – spytał.

–Dzięki temu pojazdowi oślepiłszy satelitę, komendancie wyjaśnił Ibrahim. – Jesteśmy absolutnie pewni, że nikt nas nie widział.

Siriner się uśmiechnął.

–Czego dowodzą także ich loty zwiadowcze, odbywane w tym regionie – przyznał. Spojrzał na Mehmeta. – Masz na palcu pierścień Walida. Powiedz mi, jak zginął. I jak zginął Hasan.

Mehmet zrobił krok wprzód. Hasan poinformował wprawdzie bazę o śmierci Walida, jeden z wartowników zaś powiedział dowódcy o śmierci Hasana, teraz jednak miał poznać szczegóły. Wysłuchiwał ich na stojąco, usiadł dopiero, kiedy Mehmet skończył relację.

–Amerykanin jest naszym jeńcem, prawda? – upewnił się.

–Tak jest.

–Wie, jak działa sprzęt, który zdobyliście?

–Tak jest. Niektórzy z jeńców wydają się także znać pewne zasady operowania nim.

Siriner myślał przez dłuższą chwilę, po czym wezwał żołnierza, który pełnił funkcję jego ordynansa. Potężny, śniady chłopak wpadł do pomieszczenia i zasalutował. Dwudziestu pięciu żołnierzy, stanowiących stałą załogę bazy, stosowało się ściśle do wszelkich zasad wojskowych.

Dowódca oddał honory.

–Sadik – powiedział – przywódca Amerykanów ma być torturowany tak, by inni musieli go słyszeć.

Ibrahim raczej nie wierzył, by tego Amerykanina udało się złamać, nie wtrącał się jednak z nieproszonymi radami. U swych podwładnych Siriner tolerował tylko słowa: „Tak jest, komendancie” i „Przepraszam, komendancie”.

–Tak jest, komendancie! – powiedział ordynans.

–Mehmecie, słyszałem, że wśród jeńców są także kobiety.

–Tak jest.

–Sadik, wybierz kobietę, która ma obserwować tortury. Będzie następna w

kolejce. Pojazd ma być w pełnej gotowości do następnego etapu naszej operacji. Może poprowadzi żołnierzy na terytorium nieprzyjaciela.

–Tak jest.

Ordynans został odprawiony. Siriner obrócił się ku swym żołnierzom.

–Mehmecie, widzę, że masz na palcu pierścień Walida – powiedział.

–Tak jest. Dał mi go nim... odszedł.

–Był moim wiernym przyjacielem. Pomścimy jego śmierć.

Dowódca wyszedł zza biurka. Na jego twarzy malowała się przedziwna mieszanka żalu i dumy. Ibrahim widział już taki wyraz na twarzach tych, którzy tracili przyjaciół i braci, mężów i synów w walce o idee równie im bliską co oni.

–Zgodnie z oczekiwaniami, syryjska armia przesuwa się na północ. Mehmecie, wiesz, jaką rolę odegrać miał Walid w drugiej fazie operacji?

–Tak jest. Po powrocie miał przejąć obowiązki dowódcy polowego Kenana, który z kolei powinien dowodzić wypadem na posterunek armii syryjskiej w Kuteife.

Dowódca stanął tuż przed nim i spojrzał mu w oczy.

–Ten atak ma wielkie znaczenie dla naszego planu. Allah jest miłosierny. Sprawił, że do nas wróciłeś. Uważam to za znak, Mehmecie al-Raszid. Znak, że ty, nie Kenan, przejmiesz zadanie Walida.

Mehmet szeroko otworzył zmęczone oczy.

–Komendancie?

–Chcę, żebyś poprowadził żołnierzy z bazy Deir na Kuteife, a potem do Damaszku. Nasz człowiek czeka na sygnał.

Mehmet nie potrafił obronić się przed zdumieniem.

–Oczywiście, komendancie. To dla mnie zaszczyt.

Siriner objął go i poklepał po plecach.

–Wiem, że musisz być zmęczony. Bardzo ważne jest jednak, by w Damaszku reprezentował mnie bohater naszej sprawy. Idź, spotkaj się z Kenanem. On udzieli ci instrukcji. Możesz spać czekając na Syryjczyków.

–Komendancie, powtarzam, że to dla mnie zaszczyt.

–Z ciebie także jestem bardzo dumny, Ibrahimie – powiedział.

–Dziękuję, komendancie.

–Ze względu na rolę, jaką odegrałeś w tym naszym zwycięstwie, przeznaczam ci specjalne zadanie. Chciałbym, żebyś został przy mnie.

Kąciki ust Ibrahima opadły lekko.

–Ależ komendancie, bardzo chciałbym znaleźć się przy boku mego brata

–Doskonale to rozumiem. – Siriner objął teraz Ibrahima i uścisnął go. – A jednak potrzebuję człowieka, który potrafi poradzić sobie z Amerykanami i ich pojazdem. Nie jest to sprawa odwagi lub jej braku, lecz tylko zwykłej skuteczności działania.

–Komendancie, przecież to Hasan rozmawiał...

–Pozostaniesz tutaj. – Tym razem był to rozkaz. Siriner cofnął się o krok. – Prowadziłeś samochód z Turcji. Zapewne dostrzegłeś rzeczy, które mogą okazać się pomocne. Masz także doświadczenie z maszynami. Pod tym względem o niebo przewyższasz wszystkich mych żołnierzy.

–Rozumiem, komendancie. – Ibrahim zerknął na brata kątem oka, nie obracając głowy. Trudno mu było powstrzymać się przed okazaniem rozczarowania.

–Porozmawiam z Amerykanami. Chcę, byście teraz odpoczęli.

–Dziękuję, komendancie – powiedział Ibrahim.

Siriner spojrział jeszcze na Mehmeta.

–Powodzenia. – I usiadł za biurkiem. Audiencja dobiegła końca. Bracia wykonali w tył zwrot i wyszli do tunelu. Zatrzymali się, patrząc sobie w oczy.

–Tak mi przykro – powiedział Ibrahim. – Moje miejsce jest przy twym boku.

–Będziesz mi jeszcze bliższy. – Mehmet położył dłoń na sercu. – Będziesz tu.

Chcę być z ciebie dumny, braciszku.

–Będziesz. A ja proszę, zachowaj ostrożność.

Przez długą chwilę bracia obejmowali się, ale w końcu Mehmet uwolnił się z uścisku i ruszył tunelem na spotkanie z dowódcą polowym. Ibrahim wrócił na kwaterę. Usiadł na nie zajętej pryczy i zdjął buty. Położył się powoli, prostując palce i naciągając mięśnie nóg, obolałe po akcji. Zamknął oczy. Słyszał żołnierzy, mijających jego pryczę w drodze do cel.

Siriner „porozmawia” oczywiście z Amerykanami. Będzie ich torturować. Tak długo, aż się załamią. Potem jedynym zadaniem jego, Ibrahima, będzie pomaganie towarzyszom w obsłudze komputerów i prowadzeniu furgonetki.

Nie było w tym nic wspaniałego. Nie miał nawet pewności, że osiągnie coś rzeczywiście użytecznego. Ale był bardzo zmęczony i być może nie myślał jasno.

W każdym razie oczekiwał, że uda się złamać Amerykanów. Bardzo pragnął, by skapitulowali, by krzyczeli i płakali. Kto dał cudzoziemcom prawo do wtrącania się w kurdyjską walkę o wolność? A tchórzliwie odebrać życie bojownikowi, który wykazał się nie tylko bohaterstwem, lecz i współczuciem... nie, to niewybaczalne.

Słuchał brzęku odsuwanych -krat. Z jamy wyciągnięto dwójkę jeńców, pozostali krzyczeli coś ze swych cel. Ich krzyki ogrzewały mu duszę jak ogień w zimną noc ogrzewa ciało. Potem zaczął rozmyślać o tym, co zdarzyło się dziś i o burzy, jaką wznieca, nim skończy się dzień. Myślał o swym bracie i o dumie, którą czuł z powodu tego, co zamierza zrobić. Myśli te ogrzały go i wreszcie Ibrahim zapadł w sen.

· Wtorek, 11.43 – dolina Bekaa, Liban

Kiedy Sandra DeVonne była dziewczynką, z przyjemnością pomagała ojcu, pracującemu w kuchni ich mieszkania w South Norwalk w Connecticut. Za dnia, ojciec kierował barem szybkiej obsługi przy zawsze zatłoczonej Post Road, w nocy mieszał w wielkiej misie składniki, z których próbował wyprodukować lody smakujące lepiej niż jakikolwiek inne, dostępne na rynku. Po dwóch latach udało mu się stworzyć przepis na śmietankowe lody, które jego żona sprzedawała na meczach małej ligi baseballowej i jarmarkach. Kiedy minął następny rok, rzucił pracę w barze i zaczął sprzedawać lody w kiosku przy drodze nr 7 w Wilton, w Connecticut. Po dwóch latach otworzył drugi kiosk. Na kilka miesięcy przed wstąpieniem córki do Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych otworzył dwunasty punkt sprzedaży Lodów Śmietankowych Carla, a także otrzymał tytuł Najlepszego Afroamerykańskiego Biznesmena Roku stanu Connecticut.

Obserwując pracującego po nocach ojca Sandra nauczyła się przede wszystkim cierpliwości, a także poświęcenia i milczenia. Ojciec pracował niczym artysta, w napięciu, nie znosząc, by ktoś mu przeszkadzał. Pamiętała chwile, kiedy na twarzy miał tyle cukru pudru, że wyglądał jak mim. Prawie godzinę siedziała kiedyś na małym drewnianym kuchennym stole, kręcąc korbką maszynki do lodów i z wysiłkiem powstrzymując się od śmiechu. Gdyby się roześmiała, głęboko uraziłaby tatę. Przez tę długą, bardzo długą godzinę pracowała z zamkniętymi oczami, nucąc cichutko kolejne piosenki z listy przebojów, robiła co mogła, żeby się nie roześmiać.

To nie była mała kuchenka mieszkania w South Norwalk, a ten mężczyzna nie był jej ojcem, Sandra jednak znów czuła się mała i bezradna. Ręce wykręcono jej do tyłu i przykuto do umieszczonego na wysokości pasa żelaznego pierścienia. Naprzeciw niej, po drugiej stronie jaskini, Mike Rodgers wisiał z rękami przykutymi do pierścienia umocowanego w kamiennym stropie jaskini, ledwie dotykając palcami stóp ziemi. Jeden z Kurdów rozciął jego koszulę nożem, a potem, niemal machinalnie, przeciął mu skórę pod nosem, rysując nad górną wargą krwawe wąsy.

W blasku jedynej świecącej tu żarówki Sandra widziała twarz generała. Patrzył w jej kierunku, ale nie na nią. Krew zalewała mu usta i ściekała na pierś, lecz on koncentrował się na czymś wspomnieniu, wierszu, marzeniu – a jednocześnie zbierał siły, by wytrzymać coś, co miało dopiero nastąpić.

Po kilku minutach pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich trzymał zapaloną już i syczącą małą, gazową lampę lutowniczą, drugi szedł charakterystycznym, dumnym krokiem. Ręce założył za plecy, blade oczy biegały od jednego jeńca do drugiego. Nie było w nich litości, nie było pożądania, lecz tylko fanatyczne przekonanie o słuszności i konieczności podejmowanych działań.

Mężczyzna zatrzymał się, stojąc plecami do Sandry.

–Jestem dowódcą – powiedział głębokim głosem, mocno akcentowaną angielszczyzną. – Nie obchodzą mnie wasze nazwiska. Jeśli umrzecie, też mnie to nie obejdzie. Macie po prostu powiedzieć mi wszystko, co wiecie o obsłudze waszego pojazdu. Jeśli będziesz zwlekał, umrzesz tu, gdzie stoisz, a my zajmiemy się z kolei

tą młodą damą. Ona cierpieć będzie w inny sposób. Spojrzał na Sandrę. – Znacznie bardziej poniżający. – Znow skupił się na generale. – Kiedy skończymy z nią, zabierzemy się do następnego członka twojej grupy. Jeśli zdecydujesz się współpracować, powrócisz do celi. Zabiłeś wprawdzie jednego z naszych, ale tak postąpiłby każdy dobry żołnierz. Nie mam zamiaru karać żołnierza, zostaniecie wszyscy zwolnieni, kiedy tylko ustalimy warunki. Czy chcesz powiedzieć nam, co wiesz?

Rodgers milczał. Mężczyzna czekał zaledwie parę sekund.

–Dowiedziałem się, że na pustyni wytrzymałeś płomień zapalniczki – mówił dalej. – Doskonale. Żebyś wiedział, co czeka cię teraz. Przypieczemy ci tors. Potem zdejmujemy spodnie i zabierzemy się za uda. Będziesz krzyczał, aż krew rzuci ci się z gardła. Czy jesteś pewien, że nie chcesz zacząć mówić?

Mike milczał. Kurd westchnął, po czym skinął głową na mężczyznę z lampą. Mężczyzna podszedł do jeńca i powoli zbliżył płomień do jego lewej pachy.

Generał zacisnął zęby. Oczy mu się rozszerzyły, stopy oderwały od podłogi. Wystarczyło kilka sekund, by ciężkie powietrze jaskini przesycił nieznośny smród zwęglonego ciała i spalonych włosów. Sandra oddychała przez usta, tylko w ten sposób mogła powstrzymać się od wymiotów.

Dowódca Kurdów zauważył to i przykrył jej usta dłonią, zmuszając ją do oddychania przez nos. Naciskał też jej żuchwę, więc nie mogła go ugryźć.

–Z mojego doświadczenia wynika, że ktoś z grupy zawsze udziela potrzebnych nam informacji – powiedział. – Jeśli teraz zaczniesz mówić, ocalisz ich wszystkich. łącznie z tym mężczyzną. Twoja rasa była gnębiona przez wieki i nadal jest gnębiona. – Cofnął rękę. – Czy nie rozumiesz, co przeżywamy?

Sandra знаła zasadę mówiącą, że zakładnikom nie wolno dyskutować z terrorystami. Ale ten terrorysta coś jej uświadomił. Dał jej szansę.

–Rozumiem, co przezywacie. Ale nie rozumiem tego, co robisz.

–Możesz zakończyć tortury. Nie jesteś archeologiem, lecz żołnierzem. – Gestem głowy wskazał Rodgersa. – On przeszedł odpowiedni trening. Widzę to. Czuję. – Podszedł bliżej dziewczyny. – Nie lubię torturować ludzi. Mów. Pomóż mi, a pomożesz jemu. Pomożesz mojemu narodowi. Ocalisz życie wielu ludzi!

Sandra milczała.

–Rozumiem cię – mówił Kurd. – Nie pozwolę jednak, by codziennie ginęły dziesiątki kobiet i dzieci – tylko dlatego, że komuś nie podoba się nasza kultura, nasz język, nasza forma islamu. Setki Kurdów siedzą w syryjskich więzieniach, gdzie torturują ich członkowie Mukhabarat, tajnej policji. Z pewnością rozumiesz, jak bardzo pragnę im pomóc.

–Rozumiem. I współczuję. Cudze okrucieństwo nie usprawiedliwia jednak twojego okrucieństwa.

–Nie jestem okrutny. Bardzo chcę, by to się skończyło. Sam byłem torturowany. Pod skórę wprowadzono mi przewody elektryczne pod napięciem – to nie zostawia śladów. Martwe zwierzę, zawieszona na szyi komuś trzymanemu w rozgrzanej celi nie zostawia śladów, ani ukąszenia zwabionych smrodem much, ani wymioty.

Turecki oddział zgwałcił moją żonę. Umarła. Na wzgórzach znalazłem jej ciało. Gwałcono ją w sposób tak okrutny, że nie potrafisz sobie tego wyobrazić. – Kurd spojrział na Rodgersa. – Inne narody nie paliły się do udzielenia nam pomocy. Specjalny wysłannik Stanów Zjednoczonych bez przekonania próbował pogodzić walczące ze sobą w Iraku klany Talabani i Barzani. Nie miał pieniędzy, nie mógł dać broni. Nic nie działał. Amerykańskie lotnictwo próbowało przeszkodzić Irakowi w bombardowaniu Kurdów na północy. Im się udało, więc Irakijczycy zatruli nam po prostu źródła wody. Temu nie zdołało zapobiec żadne lotnictwo. Najwyższy czas, żebyśmy sami sobie pomogli. Najwyższy czas, by naród poprowadził jeden wódz.

Dlatego właśnie nie powinniśmy z wami rozmawiać, pomyślała Sandra. Ten człowiek posługiwał się nieodpartą logiką. I w jednym miał absolutną rację: ktoś z pewnością zacznie mówić. Ale nie ona. Złożyła przysięgę, a częścią tej przysięgi było zobowiązanie do wykonywania rozkazów. Generał nie chciał, żeby mówiła, więc nie może mówić. Nie będzie mówić. Lepiej umrzeć, niż przez całe życie dźwigać ciężar takiej winy.

Kajdanki, którymi skuto ręce Mike'a, zadzwoniły o żelazne kółko w stropie jaskini. Sandra patrzyła na przywódcę Kurdów. Po minucie płomień przeniesiono na drugi bok generała. Tym razem drgnął... i ona drgnęła również. Otworzył usta, oczy mu się wywróciły, całe ciało drżało. Kopał skrępowanymi nogami, ale nie krzyczał.

Spokojny, rozluźniony Kurd obserwował, jak oprawca przenosi płomień na kark ofiary, której ciało wygięło się w łuk, drżało. Mike zamknął oczy. Z jego otwartych ust wydobył się głośny bulgot. Gdy tylko zdał sobie z tego sprawę, zmusił się do zaciśnięcia zębów.

Choć w jej oczach pojawiły się łzy, choć usta miała suche ze strachu, Sandra milczała.

Nagle rozległ się wydany po arabsku rozkaz. Kat cofnął się o krok i wyłączył lampę. Dowódca obrócił się ku dziewczynie.

–Daję ci kilka chwil do namysłu. Przez te kilka chwil nie będziesz musiała patrzeć, jak cierpi twój przyjaciel. – Uśmiechnął się. – Przyjaciel... a może dowódca? Zresztą nie ma to najmniejszego znaczenia. Pomyśl o ludziach, którym możesz pomóc. Swoich ludziach... i moich. Proszę, byś pomyślała też o Niemcach z czasów II wojny światowej. Czy patriotami byli ci, którzy słuchali rozkazów Hitlera, czy ci, którzy robili to, co należało zrobić?

Zamilkł i czekał przez chwilę. Sandra milczała. Wyszedł w końcu, a za nim wyszedł terrorysta z lampą.

Kiedy ich kroki ucichły, dziewczyna spojrziała na dowódcę. Mike z wysiłkiem uniósł głowę.

–Nic... nie mów! – rozkazał jej.

–Nic nie powiem – obiecała.

–Nie żyjemy w faszystowskich Niemczech. – Rodgers dyszał ciężko. – A oni są... terrorystami. Użyją CR, by zabijać. Ro... rozumiesz?

–Tak.

Mike zwiesił głowę. Przez łzy dziewczyna widziała ciemne krwawe rany pod jego

pachami. Ma rację, pomyślała. Ci ludzie zabili tysiące wysadzając tamę. Będą zabijać dalej i – jeśli uda się im użyć CR do śledzenia wojsk przeciwnika i podsłuchiwania jego rozmów – także skuteczniej. Kurdowie byli prześladowani, owszem, ale czy lepiej żyłoby się im pod rozkazami takiego człowieka? Człowieka, który cierpiał, a jednak skłonny był spalić zakładnika żywcem, a innych trzymać w wygrzebanych w ziemi jamach. Gdyby był Syryjczykiem, czy tolerowałby tureckich Kurdów? Gdyby był Turkiem, czy tolerowałby irackich Kurdów?

Nie wiedziała, lecz, jeśli generał Rodgers gotów był umrzeć raczej niż mówić, ona pójdzie w jego ślady.

Usłyszała kroki. Oprawcy wracali. Widziała, jak Mike oddycha głęboko, zbierając siły i poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Szarpnęła się w więzach żałując, że nie może umrzeć walcząc.

W jaskini pojawił się tylko oprawca z zapaloną lampą lutowniczą, dowódcy z nim nie było. Kurd podszedł do jeńca. Spokojnie, jakby rozpalał węgiel w grillu, skierował płomień na obojczyk ofiary.

Rodgers odrzucił głowę. Zaciskał zęby przez długą, bardzo długą chwilę, lecz w końcu zaczął jednak krzyczeć.

· Wtorek, 3.55 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

Bob Herbert pił piątą kubek kawy, Matt Stoll właśnie skończył siódmą puszkę wody mineralnej. Obaj pracowali w gabinecie Stolla, wychodząc z niego wyłącznie do toalety. Siedzieli w Centrum kamieniem, mimo że służbę objęła już nocna zmiana.

Obaj przeglądali zdjęcia doliny Bekaa, robione od 1975 roku przez satelity, szpiegów i izraelskich komandosów z Sayeret Tzanhanim. Wiedzieli, że CR jest gdzieś w dolinie, ale nie wiedzieli gdzie. Loty F16, startujących z bazy Incirlik, nie dostarczyły żadnych nadających się do wykorzystania informacji. Gęste lasy i kamuflaż czyniły obserwację wizualną kompletnie bezcelową. A wyjąwszy sygnał zakłócający niskiej mocy – CR zostało albo wyłączone, albo ukryte w jaskini lub pod skalnym nawisem. Gdyby nie to, czujniki podczerwieni coś by złapały. Wojskowe samoloty wysyłały także mikrofały, starając się wzbudzić pasywną tarczę radaru CR. Gdyby Rodgers był w stanie dotrzeć do samochodu i włączyć jego transponder, CR odpowiedziałoby kodowanym sygnałem. Jak do tej pory żadnego sygnału nie odebrano.

Nie mając nic lepszego do roboty, Matt i Bob przeglądali zdjęcia. Herbert nie był całkiem pewien, czego właściwie szuka, obserwował jednak kolejne obrazy na dwudziestodwujęciocalowym monitorze komputera Stolla i starał się myśleć jak nieprzyjaciel.

Zgodnie z oceną wywiadu tureckiego, potwierdzoną przez wywiad Izraela, kurdyjskich bojowników było około piętnastu tysięcy, z czego dziesięć tysięcy w górskich obozach wschodniej Turcji i północnego Iraku. Resztę podzielono na oddziały, liczące od dziesięciu do dwudziestu bojowników. Niektóre z nich miały przydzielone określone tereny Damaszku, Ankary i innych wielkich miast, zadaniem innych było prowadzenie ćwiczeń, nadzór nad łącznością i utrzymywanie linii zaopatrzenia biegnących przez dolinę Bekaa. Dolina stała się teraz najwyraźniej także schronieniem szczególnie agresywnego oddziału Kurdów syryjskich. Oddziały co najmniej ściśle współpracujące z Kordami z Iraku i Turcji.

–No więc terroryści mają CR... – zaczął po raz nie wiadomo który Herbert.

Matt opuścił głowę na skrzyżowane na blacie biurka ramiona.

–Tylko nie to, Bob – jęknął.

–Właśnie, że to.

–Przecież musi być coś, czego jeszcze nie próbowaliśmy. Farmerzy w dolinie kontaktują się ze swoimi pracownikami przez telefony komórkowe. Podśluchajmy je. Może coś usłyszymy.

–Moi ludzie ich podśluchują. Jak na razie niczego nie usłyszeli. – Bob pociągnął łyk ciepłej kawy z wyszczerbionego, poplamionego kubka, który stał kiedyś na biurku szefa Biura Służb Strategicznych, „Dzikiego” Billa Donovana. – A więc, terroryści mają CR. Wrócili do swej kwatery głównej. Ponieważ nie możemy znaleźć terrorystów, musimy znaleźć ich bazę. Pytanie brzmi: czego szukamy?

–Każde centrum dowodzenia musi mieć dostęp do wody, generatory prądu, antenę radiową do łączności oraz, prawdopodobnie, osłonę z gęsto rosnących drzew

– wyliczał Stoll monotonnym głosem. – Przerabialiśmy to aż do znudzenia. Wodę można transportować ciężarówkami lub helikopterami, spaliny generatora można odprowadzić zwykłą gumową turą i rozproszyć tak, że nie dostrzegą jej czujniki ciepła w samolotach, a antenę radiową łatwo ukryć.

–Transportowanie wody pitnej helikopterem wymaga od cholery i trochę lotów – zauważył Herbert. – Jest duża szansa, że zostaną one zauważone.

–Nawet w nocy?

–Nie. W nocy masz dużą szansę, że rozsmarujesz się na którymś z tych szczytów, zwłaszcza jeśli używasz dwudziesto – lub nawet trzydziestoletniego ptaszka. Jeśli zaś chodzi o ciężarówki-cysterny, to mają one to do siebie, że poruszają się po drogach. Więc jeśli baza nie leży nad strumieniem – a w tym regionie nie ma znowu tak wielu strumieni – musi być przy drodze, co najmniej polnej drodze.

–Jasne. A to daje nam trzydzieści albo i czterdzieści możliwych miejsc. Oglądamy w kółko te same zdjęcia, powiększamy ich różne fragmenty, analizujemy na komputerze dane geologiczne... i nadal nie mamy nic.

–Tylko dlatego, że najwyraźniej nie szukamy tego, czego powinniśmy szukać. Działalność człowieka zawsze pozostawia po sobie jakiś ślad. – Herbert czuł ogarniający go gniew. Choć nie miał satelity i technicznych środków rozpoznania, którymi posługiwał się w normalnej sytuacji, powinien przecie znaleźć te ślady. „Dziki” Bill Donovan je znajdował. Życie wielu ludzi i bezpieczeństwo narodowe zależało od tego, czy je znajdzie. – Doskonale – powiedział. – Wiemy, że ich baza znajduje się gdzieś tu. Jakie inne ślady mogłyby wskazywać na jej istnienie?

Stoll podniósł głowę.

–Ukryte wśród pnączy zasieki z drutu kolczastego, których nie zobaczymy z powietrza. Miny, których w ogóle nie mamy szansy zobaczyć. Niedopałki papierosów, które moglibyśmy zobaczyć, gdybyśmy mieli jakiegoś satelitę. To już było, Bob!

–No to zabierzmy się do sprawy inaczej – zaproponował Herbert.

–Świetnie. Zamieniam się w słuch. Strzelaj.

–Jesteś przywódcą terrorystów. Czego przede wszystkim wymagasz od swej bazy?

–Powietrza. Jedzenia. Wychodka. To chyba najważniejsze.

–Jest jeszcze coś. Coś znacznie ważniejszego. Najważniejsze jest dla ciebie bezpieczeństwo. Połączenie walorów obronnych i możliwości ukrycia się.

–Przed czym? Przed szpiegami czy atakiem wojska? Z powietrza czy z ziemi? Będziesz atakował czy wycofywał się?

–Chodzi o zabezpieczenie przed bombardowaniem. Nalot i ogień artyleryjski to najłatwiejszy sposób zniszczenia bazy.

–Świetnie. Dokąd nas to prowadzi?

–Wiemy, że większość tych jaskiń jest z... jak to nazwał Phil w tej swojej analizie?

–Nie pamiętam. Skała porowata, skała gąbczasta, coś takiego. Coś, co można rozbić kiepskim ciosem karate.

–Właśnie. Chodzi o to, że taka skała chroni przed obserwacją z powietrza, ale nie atakiem. Co chroni przed atakiem?

Przed atakiem? – powtórzył Stoll. – Mówiłeś, że terroryści w Bekaa przemieszczają się ciągle jak szczury. Najlepszą obroną jest zachowanie w tajemnicy miejsca pobytu.

–Prawda. Ale możliwa jest przecież zmiana sytuacji.

–Jak to?

–Logistyka – wyjaśnił Herbert. – Jeśli ci terroryści koordynują działania w co najmniej dwóch krajach, muszą mieć jakieś centrum, w którym gromadzą broń, materiały wybuchowe, mapy, informacje.

–Istnieją jeszcze komputery i telefony komórkowe, a je transportuje się całkiem łatwo.

–Te cudeńka rzeczywiście są mobilne – przyznał Herbert. Ale nasi klienci muszą też ćwiczyć, przygotowując się do bardzo specyficznych misji. – Wypił łyk kawy z dna kubka, między zębami poczuł zmielone ziarenka. Wypluł je, nie zastanawiając się nad tym, co robi. – Dobrze, przemyślmy to sobie. Kiedy jakiś oddział ćwiczy przed jakąś misją specjalną, przede wszystkim buduje makietę miejsca, które zaatakuje.

–Bob, ci faceci z całą pewnością nie wybudowali nigdzie makiety tamy!

–Oczywiście. Bo i nie musieli.

–A to czemu?

–Bo atak na tamę wymagał wyłącznie brutalnej siły. Terroryści nie musieli pracować nad techniką, nie musieli ćwiczyć – podlecieli, zrzucili bombę, odlecieli i tyle. Ale jeśli był to wyłącznie wstęp, a prawie na pewno był, z pewnością zaplanowali następne uderzenia. Ataki, które trzeba już przećwiczyć.

–Dlaczego? Co każe ci przypuszczać, że nie będą to kolejne manifestacje siły?

Herbert dopił kawę. Znow poczuł w ustach ziarenka. Wypluł je do kubka i odsunął go.

–Historia uczy, Matt, że pierwsze uderzenie wojny lub pewnego etapu wojny jest wielkie, zaskakujące, i o znaczeniu strategicznym, jak Pearl Harbor albo lądowanie w Normandii. Szokuje, destabilizuje. Potem przeciwnika nie da się już zaskoczyć, więc trzeba działać bardziej metodycznie. Ataki muszą być lepiej przemyślane i przygotowane, chirurgiczne.

–Na przykład zajęcie ważnego miasta, zabójstwo przywódców opozycji...

–Dokładnie tak. A to wymaga ćwiczeń na makietach. W połączeniu z innymi czynnikami: łączność, dostawy, dowodzenie, oznacza to także posiadanie stałej bazy.

–Może. – Matt wskazał palcem monitor. – Ale nie w jaskiniach z miękkiej skaty, jakie mamy tutaj. Ich się nie da wzmocnić. Popatrz. Na początek, nie są wcale takie duże. Dwa metry wysokości, półtora szerokości. Gdyby podeprzeć je stemplami, wzmocnić żelaznymi szynami, w środku nie zostałoby nawet tyle miejsca, żeby się obrócić.

Bob żuł przez chwilę nie zmielone ziarno kawy, a potem wyjął je z ust. Przyglądał mu się nieobecny spojrzeniem.

–Czekaj, czekaj... – powiedział. – Ziemia!

–Co?

Herbert wyrzucił wreszcie nieszczęsne ziarenko.

–Ziemia. Wewnątrz takiej jaskini nie wybudujesz wiele, ale przecież możesz kopać!

Wietkong robił tak przez całą wojnę!

–Masz na myśli podziemny bunkier, prawda?

–Jasne. To idealne rozwiązanie. No, i uprości nam poszukiwania. W takich jaskiniach nie użyjesz materiału wybuchowego, bo strop zawali ci się na głowę...

–Ale możesz wykopać tunel – dokończył Stoll. Był wyraźnie podniecony. – Musisz wykopać tunel!

–Słusznie. A kopie się w ziemi.,

–Z opisów przy tych zdjęciach wynika, że większość jaskiń wyłobily w skale strumienie.

–Większość, ale zapewne nie wszystkie.

Matt zamknął plik ze zdjęciami i wywołał rezultaty badań geologicznych, które załatwił im Katzen, nim wyruszył w teren. Z napięciem wpatrywali się w monitor, podczas gdy komputer wyszukiwał słowo: GLEBA. Znalazł trzydzieści siedem odwołań do składu gruntu. Przeglądali je, szukając informacji o względnie nowych pracach ziemnych. Przebijali się przez cyfry, procenty i terminy geologiczne, aż wreszcie Herbert zauważył coś interesującego.

–Czekaj! – krzyknął. Złapał mysz, cofnął się o stronę. – Popatrz, Matt. Syryjskie studium rolnicze ze stycznia tego roku. Zaczął przeglądać je uważnie. – Geologowie zwrócili uwagę na anomalię w regionie porośniętym dębami korkowymi w górach Chouf.

Matt zerknął w notatki.

–Święty Jezu, CR jest gdzieś tam!

Herbert nie odrywał wzroku od monitora.

–Piszą tu, że warstwa pozioma A charakteryzuje się niezwykle aktywnością biotyczną oraz proporcją materii organicznej typową dla warstwy poziomej B. Ruch odbywa się na ogół z warstw A do warstwy B, rozdrobniona ziemia przenika w głąb. Koncentracja materii międzywarstwowej sugeruje jedną z dwóch możliwości. Po pierwsze, próbowano użyć grunt ziemią bardziej aktywną, a potem zarzucono te plany, albo, po drugie, w pobliżu odbywały się prace archeologiczne. Poziom aktywności biologicznej sugeruje, że warstwa gruntu B została tu złożona w ciągu poprzednich czterech do sześciu tygodni.

Stoll spojrział na Herberta.

–Prace archeologiczne... a może budowa bunkra? – zapytał.

–Możliwe. Bardzo możliwe. I czas pasuje. Znaleźli tę anomalię cztery miesiące temu. Ktoś kopał tam pięć do sześciu miesięcy temu. Pięć, sześć miesięcy wystarczy na założenie bazy i przeprowadzenie ćwiczeń.

Matt zaczął wstukiwać komendy.

–Co robisz? – zainteresował się Bob.

–NBR regularnie fotografuje dolinę Bekas. Jeśli ktoś tam kopał, to może nie tylko

łopata?

–No tak, te jaskinie są odpowiedniej wielkości. Może kupili sobie koparkę, buldożer, i wtedy, w nocy...

–Pozostałyby głębokie ślady opon. Może nie od samego sprzętu, ale ciężarówki albo naczepy, którą go przywieziono.

Odpowiednie pliki zostały załadowane. Matt wywołał program graficzny. Następnie wpisał hasło ŚLADY KÓŁ. Z menu wybrał następnie opcje NIE SAMOCHODY OSOBOWE. Komputer zabrał się do roboty. Minęła minuta i podał informację o trzech zdjęciach. Matt wywołał je na monitorze.

Wszystkie trzy pokazywały wyraźne, głębokie ślady przed tą samą jaskinią.

–Gdzie jest ta jaskinia? – spytał Bob.

Matt kazał komputerowi wyszukać jaskinię w plikach geograficznych. Koordynaty pojawiły się po zaledwie kilku sekundach.

Stoll podniósł puszkę Taba.

–Mamy ich! – powiedział z triumfem, unosząc ją do ust. Herbert tylko skinął głową, porwał telefon komórkowy i zadzwonił do generała Bar-Leviego w Hajfie z informacją, że do jego komputera zaraz załaduje się przez modem pewna mapa.

· Wtorek, 13.00 – Damaszek, Syria

W ciągu ostatnich dwudziestu lat Paul Hood odwiedził wiele straszliwie zatłoczonych lotnisk w bardzo wielu miastach. W Tokio lotnisko jest, na przykład, wielkie, lecz porządne, pełne biznesmenów i turystów, o ruchu, którego skali nie potrafił sobie przedtem nawet wyobrazić. W Vera Cruz w Meksyku lotnisko było małe, przestarzałe, upalne i tak wilgotne, że w ogóle nie sposób tego sobie wyobrazić. Pasażerowie, wpatrzeni w tablicę, na której kredą wpisywano godziny odlotów i przylotów, nie mieli nawet siły się wachlować.

Nigdy jeszcze nie widział jednak niczego choćby przypominającego to, co zobaczył po wejściu do terminalu na lotnisku w Damaszku. Tu po prostu nie było gdzie szpilki wetknąć. Na lotnisku tłoczyli się przede wszystkim dobrze ubrani i zachowujący spokój ludzie. Bagaż trzymali przeważnie na głowach, bo nie było go gdzie postawić. Ubrojeni policjanci czuwali przy wyjściach, odsuwając tłum, gdy było to konieczne, i pomagając pasażerom, którzy właśnie wylądowali. Pasażerowie wysiadali z samolotów, wyjścia zamykano i dalej każdy musiał radzić sobie sam.

–Czy ci ludzie przylecieli, czy odlatują? – spytał doktora Nawa. Musiał krzyczeć, wołający członków rodziny, przyjaciół i asystentów ludzie wzniecali nieprawdopodobny wręcz hałas.

–Chyba odlatują – odkrzyknął Nasr. – Ale nigdy przedtem nie widziałem tu niczego takiego. Coś się stało!

Paul odwrócił się bokiem i zaczął przeciskać się przez tłum. Miał wrażenie, że czuje rękę, wślizgującą mu się pod marynarkę. Cofnął się, potrącając Nasra. Jeśli ludzie uciekają z Syrii, paszport i pieniądze są na wagę złota. Przyciskając ręce do boków, wspiał się na palce. Jakieś pięć metrów dalej dostrzegł unoszący się nad głowami tłum kawałek białego kartonu z wypisanym na nim jego nazwiskiem.

–Chodźcie! – krzyknął do Nasra i Bickinga.

Z trudem precyzyjnie się do ubranego w czarny garnitur młodego mężczyzny.

–Dzień dobry panu. Jestem z DSA, nazywam się Davies, a to agentka Fernette! – krzyknął mężczyzna, gestem głowy wskazując stojącą u jego boku dziewczynę. – Proszę się nas trzymać. Przeprowadzimy was przez kontrolę celną.

Mężczyzna i dziewczyna – Yul i Madeleine – odwrócili się i ruszyli przed siebie ramię przy ramieniu. Hood wraz z resztą towarzystwa poszedł za nimi, praktycznie następując im na pięty. Agenci rozpychali się łokciami, pracowali ramionami i niemal przewracali ludzi, przepychając się wśród nich. Hooda nie zdziwił brak eskorty syryjskich sił bezpieczeństwa. Na to zajmował zbyt niskie stanowisko. Zdziwiło go jednak, że na lotnisku jest tak niewielu policjantów. Umierał z niecierpliwości, musiał, po prostu musiał dowiedzieć się, co się stało, ale nie chciał przeszkadzać agentom.

Do głównego terminalu dotarli dopiero po dziesięciu minutach. Tu już nie było aż tak tłoczno i bagaż mogli odebrać względnie spokojnie. Czekali, aż się pojawi, Paul zaś miał okazję zamienić kilka słów z agentami.

–Doszło do starć na granicy – powiedziała Fernette. Miała krótkie kasztanowate włosy, ostry głos i wyglądała na najwyżej dwadzieścia dwa lata

–Poważnych?

–Tak. Syryjscy żołnierze otoczyli turecki patrol, który przekroczył granicę w poszukiwaniu terrorystów. Do Syryjczyków strzelano. Odpowiedzieli ogniem. Trzech Turków zginęło, nim patrol zdołał się wycofać.

–Bywało gorzej – zauważył Nasr. – Stąd ta panika?

Agentka spojrzała na niego ciemnymi oczami.

–Chodzi o to, co stało się później. Syryjski dowódca nie przerwał pościgu, jego żołnierze wkroczyli na terytorium Turcji i starli z powierzchni ziemi turecki posterunek straży granicznej. Tych, którzy się poddali, zamordowano.

–O mój Boże! – krzyknął Bicking.

–Kim był ten dowódca? – spytał Egipcjanin.

–Kurdem.

–I co dalej? – niecierpliwił się Paul.

–Dowódcę zdegradowano, a Syryjczycy wycofali się. Jednak dopiero wtedy, gdy Turcy przesunęli na granicę oddziały piechoty i czołgi. Na tym, o ile wiem, wszystko na razie się skończyło.

–Więc ucieka kto może?

–Nie, właściwie nie. Na lotnisku są przeważnie Jordańczycy, Saudyjczycy i Egipcjanie. Rządy wysyłają po nich specjalne samoloty. Boją się, że ich kraje staną po stronie Turcji. Uciekają na wszelki wypadek.

Pojawiły się bagaże. Po ich odebraniu goście wraz z agentami przenieśli się do małej salki na skraju północnej części terminalu. Błyskawicznie przeszli przez kontrolę celną i natychmiast znaleźli się w czekającym na nich samochodzie. Paul z uśmiechem rozsiadł się w wielkiej limuzynie, prowadzonej przez amerykańskiego szofera. Prezydent musiał wysłać go na koniec świata, żeby zmusić go do podróżowania czymś takim.

Drogę na północ, do miasta, pokonali szybko i bez problemu. Prawie nie napotykali innych samochodów. Kierowca okrążył miasto i wjechał w ulicę Szalik al-Mouaed. Skręcił na zachód, ku Mansour. Gmach ambasady był pod numerem drugim.

Na obu ulicach tłoczego zwykle miasta nie widzieli żadnego samochodu.

Kiedy jechali wąską uliczką, Nasr pokręcił głową.

–Bywam tu niemal od urodzenia – powiedział łamiącym się głosem. – Jeszcze nigdy nie widziałem tego miasta tak opustoszałego. Damaszek i Aleppo to dwa najstarsze miasta świata. Okropny widok.

–Z tego co wiem, na północy jest jeszcze gorzej, doktorze powiedziała agentka.

–Ludzie wyjechali czy siedzą w domach? – spytał Paul.

–I jedno, i drugie, proszę pana. Prezydent zakazał tłoczyć się na ulicach, na wypadek, gdyby nagle musiały ich użyć armia albo jego gwardia.

–Nie rozumiem. Przecież to, co się dzieje, dzieje się dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd. Turcy nie posuną się do tego, żeby zaatakować stolicę.

–Oni nie – wtrącił Bicking – ale założę się, że rząd boi się swych własnych obywateli. Kurdów, jak ten oficer, który zaatakował Turków.

–Właśnie – przytaknęła dziewczyna. – Ogłoszono godzinę policyjną. Piąta po południu. jeśli ktoś wyjdzie po piątej, zostaje natychmiast aresztowany.

–A ludzie nie lubią miejscowych aresztów – dodał Davies. W Damaszku aresztanci są traktowani raczej surowo.

W ambasadzie Hooda powitał ambasador H. Peter Haveles. Paul spotkał już tego prawnika, specjalizującego się w zagadnieniach handlu międzynarodowego, na przyjęciu w Białym Domu. Haveles łysiał i nosił grube okulary. Miał jakieś metr siedemdziesiąt, garbił się jednak i przez to sprawiał wrażenie jeszcze niższego. Mówiło się, że dostał nominację na ambasadora, bo jest przyjacielem wiceprezydenta. Jego poprzednik, usłyszawszy te plotkę powiedział podobno, że to stanowisko daje się wyłącznie najgorszemu wrogowi.

–Dzień dobry, Paul – powiedział ambasador. Nie podszedł do drzwi.

–Dzień dobry, panie ambasadorze.

–Lot był Przyjemny?

–Słuchałem starych przebojów na kanale czwartym i spałem. Nie mógł być bardziej przyjemny.

–Brzmi nieźle – przyznał bez przekonania Haveles. Potrząsnął wyciągniętą dłonią, patrząc na doktora Nasra.

–To zaszczyt gościć pana u nas, panie doktorze – powiedział.

–To zaszczyt korzystać z waszej gościnności – odpad Nasr. Żałuję tylko, że spotykamy się w tak ponurych okolicznościach.

Ambasador przywitał jeszcze Warnera, ale cały czas wpatrywał się w Egipcjanina.

–Są gorsze niż się panu wydaje. Proszę do gabinetu, tam będziemy mogli porozmawiać spokojnie. Napijcie się czegoś, panowie?

Nikt nie przyjął tej propozycji. Haveles gestem wskazał gościom drogę. Powoli ruszyli korytarzem, gospodarz szedł między Paulem a doktorem, Warner za szefem. W korytarzu rozlegało się echo ich kroków, ambasador zaś opowiadał o rozmieszczonych tu i ówdzie starych wazach. Oświetlone od góry, wyglądały bardzo efektownie na tle dziewiętnastowiecznych fresków, ukazujących sceny z czasów kalifów Umajjadów w pierwszym wieku naszej ery.

Okrągły gabinet ambasadora znajdował się w głębi budynku. Był niewielki, lecz bardzo dekoracyjny, otoczony kolumnami podtrzymującymi kopułę – miniaturę kopuły w katedrze w Basrze. Światło padało przez przeszklony otwór w suficie. W sali nie było okien.

Goście rozsiedli się na miękkich, brązowych fotelach. Haveles zamknął drzwi i zasiadł za wielkim biurkiem. Wydawał się za nim jeszcze mniejszy.

–Mamy informatora w pałacu prezydenckim – powiedział z uśmiechem. – Podejrzewamy, że pałac ma informatora u nas. Najlepiej jest rozmawiać prywatnie.

–Oczywiście – przytaknęła Hood.

Ambasador splótł dłonie na biurku.

–W pałacu panuje przekonanie, że na terenie Damaszku znajduje się grupa zamachowców-samobójców. Wiedzą, że zamach ma nastąpić dziś, późnym popołudniem.

–Czy ta informacja została potwierdzona? – zainteresował się Paul.

–Miałem nadzieję, że pomożecie nam, panowie, w jej potwierdzeniu. A jeśli nie wy, to przynajmniej wasi ludzie. Otrzymałem zaproszenie od prezydenta, właśnie na dziś. – Zerknął na stojący na biurku stary zegar z kości słoniowej. – Wizyta ma się rozpocząć za półtorej godziny. Mam pozostać tam do wieczora. Najpierw rozmowa z prezydentem, potem kolacja...

–Czy to ten sam prezydent, który kazał waszemu sekretarzowi stanu czekać na audiencję dwa dni? – zdziwił się Nasr.

–A prezydent Francji musiał siedzieć w poczekalni cztery godziny, nim został przyjęty – zawtórował mu Bicking. – Przywódca Syrii nie opanował lekcji.

–Jakiej lekcji? – zniecierpliwiał się Hood.

–Lekcji przodków – wyjaśnił Warner. – Przez cały niemal XIX wiek zapraszali przeciwników do swych namiotów i uwodzili ich gościnnie. Miękkie poduszki i słodko pachnące perfumy wygrały więcej wojen niż miecz i przelew krwi.

–Ale mimo tych zwycięstw Arabowie nigdy się nie zjednoczyli – zauważył Nasr. – Prezydent nie uwodzi nas uprzejmością. Okazuje nam pogardę, by uwieść swych braci – Arabów.

–Panowie – wtrącił ambasador – pragnę z całym szacunkiem zauważyć, że obaj pomijacie to, co w tej sprawie najważniejsze. Mogę skończyć? Dziękuję. Na to spotkanie prezydent zaprosił także ambasadorów Rosji i Japonii. Podejrzewam, że będziemy zmuszeni dotrzymać mu towarzysztwa, póki nie skończy się ten kryzys.

–Oczywiście. – Hood skinął głową. – Cokolwiek przydarzy się jemu, przydarzy się i wam.

–Założywszy, że prezydent w ogóle pojawi się na przyjęciu zauważył Bicking. – Być może nie ma go nawet w Damaszku.

–Istnieje taka możliwość – przyznał ambasador.

–Jeśli atak nastąpi – powiedział doktor Nasr – to, nawet gdyby prezydent przebywał wówczas z dala od pałacu, Waszyngton, Moskwa i Tokio nie będą mogły poprzeć napastnika, niezależnie od tego, czy okaże się Kurdem, czy Turkiem.

–Oczywiście.

–Być może będą to nawet żołnierze syryjscy, przebrani za Kurdów – zauważył Bicking. – Zabiją wszystkich z wyjątkiem prezydenta. Prezydent przeżyje „cudem” i dla milionów Arabów, nienawidzących Kurdów, stanie się natychmiast bohaterem.

–To także nie jest wykluczone. – Haveles spojrział na Hooda. – I właśnie dlatego, Paul, każdy okruch informacji, który uda ci się znaleźć, będzie niezwykle cenny.

–Natychmiast skontaktuję się z Centrum – obiecał Paul. A tymczasem, kiedy będę mógł spotkać się z prezydentem?

–To już załatwione.

Hoodowi nie podobała się mina ambasadora w chwili, gdy wypowiadał te słowa.

–I kiedy mam się z nim spotkać?

Haveles uśmiechnął się po raz pierwszy od początku rozmowy.

–Masz towarzyszyć mi do pałacu.

· Wtorek, 13.33 – dolina Bekaa, Liban

Phil Katzen skulił się na siatce, leżącej na dnie ciemnej jamy. Szybko przyzwyczał się do duchoty swego małego więzienia, do panującego w nim smrodu potu i odchodów, wydalonych przez jego poprzednich lokatorów. Wszystkie tego rodzaju zmartwienia wywietrzały mu z głowy, kiedy zaczęto torturować Rodgersa i w nozdrzach poczuł swąd palonego ciała.

Kiedy generał zaczął krzyczeć, w oczach Phila Katzena pojawiły się łzy. Płakał teraz, patrząc na Lowella Coffeya, siedzącego na siatce i obejmującego ramionami podciągnięte pod brodę kolana.

–Gdzie jesteś, Lowell? – spytał.

Prawnik podniósł głowę.

–Wróciłem na studia – wyjaśnił. – Przed. fikcyjnym sądem bronię wyrzuconego z pracy robotnika, który wziął na zakładnika swego szefa. Mam wrażenie, że teraz inaczej bym to rozegrał.

Phil tylko skinął głową. Cóż, studia niczego właściwie człowieka nie uczą. Na studiach podyplomowych miał dodatkowe zajęcia w ramach przygotowania do dłuższych wizyt w obcych krajach. Wśród nich był też semestr ćwiczeń z wykładającym gościnnie profesorem Bryanem Lindsayem Murrayem z kopenhaskiego Centrum Badawczo-Rehabilitacyjnego Ofiar Wojny. W tym czasie, przed zaledwie dziesięcioma laty, w Stanach Zjednoczonych zarejestrowano niemal pół miliona ofiar tortur – uciekinierów z Laosu i Południowej Afryki, z Filipin i Chile. Ludzie ci przychodzili na zajęcia porozmawiać ze studentami. Wśród nich byli ludzie bici bezlitośnie w podeszwy stóp, którzy utracili na zawsze zmysł równowagi. Byli także tacy, którym przekłuwano bębenki i wrywano zęby, tacy, którym wbijano drzazgi pod paznokcie rąk i nóg, oraz ci, którym wciskano w gardło elektryczne pręty do poganiania bydła. Jedną z kobiet zamknięto w dzwonie – przykryto szklaną kopułą, aż stała po kolana we własnym pocie. Dzięki tym zajęciom i rozmowom studenci mieli lepiej zrozumieć mechanizm tortur i potrafić sobie z nimi poradzić, gdyby ich kiedykolwiek torturowano.

Było to jedno wielkie, przeraźliwe, intelektualne oszustwo.

Katzen wiedział już jednak, że w jednej sprawie na wykładach nie kłamano. Jeśli przeżyją to, co się teraz dzieje, rany fizyczne zagoją się, psychiczne zaś nie. Im dłużej pozostaje się w niewoli, tym trudniejsze do wyleczenia okazują się pourazowe zachwiania emocjonalne. Ataki paniki – albo całkowitej zależności – będzie w stanie wzbudzić każde wspomnienie zdarzeń z dzisiejszego dnia. Zapach wilgotnej ziemi. Krzyk. Ciemność. Popchnięcie. Pot ściekający pod pachą. Dosłownie wszystko.

Spojrzał na Coffeya. Pozycja płodu, oczy zapatrzone w przestrzeń... widział w nim samego siebie i wszystkich zakładników. Czas spędzony w furgonetce CR umożliwił im przejście pierwszego etapu na długiej drodze, którą przechodził każdy zakładnik – zaprzeczenia temu, co się stało. Teraz przechodzili fazę akceptacji, która- może trwać wiele dni. Potem przyjdą wspomnienia szczęśliwych dni – u Coffeya ta faza już się zaczęła – a wreszcie bunt.

Jeśli w ogóle dożyją fazy buntu.

Zamknął oczy, ale spod powiek nadal płynęły łzy. Rodgers powarkiwał teraz, jak zamknięty w klatce pies. Łańcuchy dzwoniły, tak się w nich szarpał. Sandra DeVonne mówiła coś do niego spokojnie, pomagając mu zachować determinację.

–Jestem z tobą – powtarzała cichym melodyjnym głosem. – Wszyscy jesteśmy z tobą.

–Wszyscy! – wrzasnął Pupshaw z jamy sąsiadującej z jamą, w której siedział Katzen. – Wszyscy jesteśmy z tobą!

Rodgers zaczął krzyczeć, krótko, gniewnie, urywanie. W jego krzyku brzmiało straszne cierpienie. Całkowicie zagłuszył głos Sandry. Pupshaw kłął. Mary Rose z jamy po prawej wymiotowała, tak, to musiała być Mary Rose – Seden nie odzyskał przytomności.

Nie słychać było ani jednego normalnego, zwykłego dźwięku. Wystarczyło kilka krótkich chwil, by grupa wykształconych, inteligentnych ludzi zmieniła się w stado przerażonych, ogarniętych paniką zwierząt.

Nie mógł tak po prostu tu siedzieć. Obrócił się, Wbił palce w siatkę i wstał powoli. Coffey podniósł na niego wzrok.

–Phil?

–Co?

–Pomóż mi wstać. Chciałbym rozprostować kości, ale nogi mam jak z waty.

–Jasne. – Katzen złapał przyjaciela pod pachy i pomógł mu się podnieść. Potem puścił go powoli. – Wszystko w porządku?

–Chyba tak. Dzięki.

Katzen obrócił się w stronę ściany jamy. – Lowell, muszę ci coś powiedzieć. Nie wstałem po to, żeby się przeciągnąć.

–O co ci chodzi?

Phil podniósł sowę i spojrzał na kratę zamykającą jamę od, góry. Rodgers krzyczał teraz raz za razem. Walczył z bólem i przegrywał.

–Na litość Boską, przestań! – jęknął. Opuścił głowę, kręcił nią w prawo i w lewo. – Jezu Chryste, powstrzymaj ich!

Coffey otarł czoło chusteczką.

–Co za ironia – zauważył. – jesteśmy na podwórku pana Boga, a on nawet nas nie słucha. A jeśli słucha, to ma plan, w którym nie umiem znaleźć ani odrobiny sensu.

–Ja też. Chyba że my się mylimy, a oni mają rację. Może Bóg stoi po ich stronie?

–Po stronie tych potworów? Nie uwierzę. – Coffey przeszedł jamę w dwóch chwiejnych krokach. Zatrzymał się koło przyjaciela.

–Phil? Dlaczego wstałeś? Co masz zamiar zrobić?

–Chcę ich powstrzymać. – jak?

Katzen oparł głowę o siatkę na ścianie jamy.

–Poświęciłem życie ratowaniu zagrożonych gatunków i ekosystemów. – Ściszył głos do szeptu. – I robiłem to walcząc, ryzykując życiem.

–Wiem, że jesteś twardym facetem. Wielokrotnie ci to powtarzałem. A ja? Niedługo będziesz musiał udzielić mi części tej twojej siły. Nie wiem, jak sobie

poradzę w tych... okolicznościach. Szybko podniósł głowę i zaraz ją opuścił. Konspiracyjnie pochylił się w stronę przyjaciela. – Ale jeśli myślisz, żeby stąd zwać, to jestem z tobą. Wolę walczyć, niż kurczowo trzymać się życia. Wiem, że wystarczy mi siły do walki.

Katzen spojrzał na prawnika. Nie widział go wyraźnie, padające z góry światło było bardzo słabe.

–Ani myślę zaczynać wojnę, Lowell. Mam za to zamiar ją skończyć.

Rodgers zawył głośniejsze niż poprzednio i Phil Katzen zamknął oczy. Był to krótki krzyk, jakby generał natychmiast zacisnął zęby, ale rozdzierał uszy i serce.

–Nie mamy prawa siedzieć tu i nic nie robić – powiedział zdecydowanie. – Nic nie robiąc, skazujemy na śmierć Mike'a Rodgersa, a potem nas wszystkich. I dlaczego, Lowell?

–Żeby inni mogli żyć. Ci, którzy umrą, kiedy CR dostanie się w ręce terrorystów.

–To tylko przypuszczenie. Ja mówię o lojalności wobec przyjaciół.

–A co z lojalnością wobec ojczyzny?

–Kiedy CR zostanie włączone, włączy się także system namierzania. Centrum z pewnością go zlokalizuje. A kiedy już zlokalizuje sygnał, wojsko zmieni CR w parę... wraz z terrorystami. Nikt go przeciw nikomu nie użyje. Jeśli czegoś nie zrobimy, nie dożyjemy jednak tej szczęśliwej chwili.

–To jest dopiero przypuszczenie – zaprotestował prawnik. A poza tym, przecież i tak już nie żyjemy. Te sukinsyny nie za bardzo przejmują się Amnesty International. Nie obchodzi ich, jakie ślady tortur będzie miał na ciele Mike. Nie spodziewają się, by ktokolwiek kiedykolwiek zobaczył jego ciało.

–Tym bardziej trzeba działać! Palą Mike'a żywcem, a jeden Bóg wie, co zamierzają zrobić z Sandrą. Jeśli przejmujemy inicjatywę w jakiś, jakikolwiek sposób, mamy szansę przeżyć z godnością, a przynajmniej umrzeć z godnością.

–Pomoc tym sukinsynom to nie śmierć z godnością. To zdrada – powiedział Coffey.

–Zdrada czego? Regulaminu?

–Zdrada kraju. Phil, nie wolno ci tego zrobić.

Katzen odwrócił się do niego plecami. Podniósł rękę, palcami zaczepił o kratę. Coffey obszedł go, by móc spojrzeć mu w oczy.

–Pod wieloma względami zawiodłem, nawet samego siebie – powiedział – ale teraz nie mogę zawieść. Nie potrafiłbym żyć ze świadomością, że zdradziłem.

–Nikogo nie zdradziłeś. – Katzen podciągnął się, ustami przywarł do kraty. – Przestańcie! – wrzasnął. – Wyciągnijcie mnie stąd. Powiem wam, co chcecie wiedzieć.

Cisza zapadała powoli, stopniowo – najpierw umilkł Pupshaw, potem ucichł syk lampy, potem jęki Rodgersa i na końcu głos DeVonne. Przerwał ją zgrzyt butów po kamykach. Ktoś oświetlił Katzena latarką. Phil zeskokczył na dno jamy.

–Zdecydowałeś się mówić? – spytał głęboki głos.

–Tak.

Coffey odwrócił się i usiadł.

–Kim są ludzie z twojej grupy? – spytał ten sam głos.

–Większość z nich to ekolodzy – powiedział Katzen, osłaniając oczy przed światłem latarki. – Przyjechali badać zmiany, jakie w ekosystemie Eufratu spowodowało wybudowanie tamy. Ten, którego torturujecie, jest technikiem, a nie żadnym „dowódcą”. To mnie chcecie!

–Ciebie? A kim ty jesteś?

–Oficerem wywiadu Stanów Zjednoczonych. Turek, ten pułkownik i ja przyjechaliśmy z ekologami szpiegować Ankarę i Damaszek.

Stojący na górze terrorysta milczał przez chwilę.

–Ten obok ciebie. Czym się zajmuje? – spytał w końcu.

–To prawnik. Przyjechał pilnować, byśmy nie złamali prawa międzynarodowego.

–Kobieta, którą tu mamy. Mówisz, że jest naukowcem?

–Taka – Katzen modlił się, by mężczyzna o głębokim głosie mu uwierzył.

–W czym się specjalizuje?

–W kulturach – wtrąciła Sandra. – Galaretowatych substancjach, zawierających środki odżywcze. Hoduje się w nich mikroorganizmy i tkanki dla celów naukowych. Mój ojciec ma w tej dziedzinie kilka patentów. Pracuję z nim.

Latarka zgasła. Terrorysta powiedział kilka słów po arabsku. W chwilę później krata została podniesiona. Katzena wyciągnięto z jamy, ale trzymano go na muszce. Stał przed ciemnoskórym mężczyzną z blizną na policzku. Po lewej widział kątem oka wiszące za związane dłonie Rodgersa. Sandra przywiązana była do ściany po prawej.

–Nie wierzę, że jesteście ekologami – powiedział śniady mężczyzna – ale nie ma to najmniejszego znaczenia. O ile zgodzisz się pokazać nam, jak działa sprzęt w waszym samochodzie.

–Zgodzę się.

–Nic im nie mów – sapnął Rodgers.

Katzen spojrzał wprost na niego i kolana się pod nim ugięły. Twarz generała nadal skrzywiona była z bólu. I to czarne, błyszczące, spalone ciało...

Rodgers splunął krwią.

–Zostań, gdzie jesteś! – rozkazał. – Nie przyjmujemy rozkazów od zagranicznych dowódców.

Ciemnoskóry terrorysta obrócił się i z całej siły uderzył go w szczękę. Rozległ się wyraźnie słyszalny trzask. Głowa jeńca odskoczyła do tyłu.

–Przyjmujecie rozkazy od zagranicznych dowódców, których jesteście gośćmi – powiedział mężczyzna i spojrzał na Katzena. Nie był już tak spokojny jak przed chwilą. – Kiedy wasze życie zależy od tego, czy spodoba się im to, co pokażecie.

Katzen spojrzał na generała.

–Bardzo mi przykro. Wasze życie jest dla mnie ważniejsze od tej zasady – usprawiedliwił się.

–Tchórz! – wrzasnął Rodgers.

–Zdrajca – syknęła Sandra, szarpiąc łańcuchem.

–Nie słuchaj ich – poradził Katzenowi dowódcą. – Ocaliłeś ich wszystkich... a

także samego siebie. To się nazywa lojalność, nie zdrada.

–Nie oczekuję twojej aprobaty – powiedział Katzen.

–Możesz oczekiwać tylko plutonu egzekucyjnego – powiedziała Sandra. –

Zagrałam w twoją grę, bo myślałam, że masz jakiś plan. – Spojrzała na Kurda. – On nie wie nic o pojeździe! A ja nie jestem naukowcem.

Kurd podszedł do niej powoli.

–Taka młoda i taka gadatliwa – powiedział. – Kiedy sprawdzimy, co ten pan naprawdę wie, wrócę tu z moimi żołnierzami i wtedy sobie porozmawiamy.

–Nie! – zaprotestował Katzen. – Jeśli zrobicie coś komukolwiek z moich przyjaciół, nici z umowy!

Terrorysta odwrócił się gwałtownie i uderzył go w twarz grzbietem dłoni.

–Mnie się nie mówi „nie” – warknął, lecz opanował się niemal natychmiast. –

Pokażesz mi, jak działa wasz pojazd. Zrobisz to bez zwłoki. – Lewą ręką mocno ujął Sandrę za kark. Prawą ręką ścisnął jej policzki. – A może lepiej ci się będzie pracować, jeśli zaczniemy obcęgami wrywać jej zęby jeden po drugim?

Katzen uniósł dłonie.

–Nie róbcie tego – powiedział i po policzkach popłynęły mu łzy. – Proszę, nie róbcie jej nic złego. Będę współpracował.

Dowódca Kurdów uwolnił zakładniczkę, a jeden z jego ludzi mocno popchnął Katzena w plecy. Katzen potknął się i ruszył przed siebie. Minął dziewczynę, spojrzenie jej oczu wydało mu się groźniejsze niż przyciśnięta do kręgosłupa lufa. Zmrużone i wściekłe, przeklinały go do głębi duszy.

Phil Katzen wyszedł na słońce, mrużąc oczy. Nadal płakał. Nie był tchórzem. Własnym ciałem osłaniał foki, chroniąc je przed myśliwymi. Po prostu nie mógł pozwolić, by przyjaciele cierpieli i umierali. Wiedział jednak, że od dziś ci ludzie, których znał od roku i na których bardzo mu zależało, nie będą już jego przyjaciółmi.

· Wtorek, 12.43 – Tel Nef, Izrael

C-141B wylądował na pasie parę minut po południu. Pułkownik August i jego siedemnastu żołnierzy zdążyło już przebrać się w pustynne mundury, nałożyć na twarze maskujące chusty, a na głowę czapki. Przywitali ich żołnierze izraelscy, którzy udzielili im pomocy w rozbijaniu namiotów, pod którymi ukryto ładunek.

Kapitan Szlomo Har-Zion wręczył pułkownikowi Augustowi wydrukowaną wiadomość. Wypisana była szarokremowym atramentem na białym, odbijającym słońce papierze. W ten sposób zabezpieczono ją przed odczytaniem przez ewentualnych wywiadowców, rozlokowanych na sąsiednich wzgórzach. O szczegółach nie rozmawiano. Arabscy szpiedzy często wykorzystywali środki elektroniczne i ludzi umiejących czytać z ruchu warg.

August zmieniał kąt odbicia światła, poruszając dokumentem w miarę jego czytania. Dowiedział się z niego, że Centrum ustaliło prawdopodobną lokalizację CR i zakładników. Izraelski agent został wysłany w teren, by przeprowadzić rekonesans poprzedzający akcję Iglicy. Będzie kontaktował się bezpośrednio z kapitanem Har-Zionem. Jeśli dane o lokalizacji potwierdzą się, Iglica ma natychmiast wkroczyć do akcji.

August podziękował izraelskiemu oficerowi i powiedział, że wkrótce do niego dołączy.

Pomógł swym żołnierzom i oddziałowi izraelskiemu przy rozładowaniu i przygotowaniu pojazdów. Sześć motocykli schowano w namiotach. Cztery pojazdy szturmowe *FAV* przygotowano w następnej kolejności. Sprawdzone połączenia w silnikach na wypadek, gdyby przewody rozłączyły się podczas lotu. Wyczyszczono także mechanizmy i dopasowano celowniki ich półcalowych karabinów maszynowych i czterdziestomilimetrowych moździerzy. Samolot odleciał natychmiast po zatankowaniu paliwa, by zminimalizować szanse zidentyfikowania przez obserwatorów lub rosyjskie satelity. Gdyby został zidentyfikowany, uzyskane informacje przekazano by szybko do stolic wrogich państw i kiedyś, w przyszłości, wykorzystano przeciwko Waszyngtonowi.

Podczas gdy żołnierze sprawdzali ekwipunek, pułkownik i sierżant Grey udali się do bezpiecznego, pozbawionego okien budynku. Wspólnie z izraelskimi doradcami, dwaj żołnierze Iglicy przejrzeni mapy doliny Bekaa oraz omówili grożące w tym regionie niebezpieczeństwa, począwszy od min, a skończywszy na farmerach, mogących pracować jako element kurdyjskiego systemu wczesnego ostrzegania. Izraelczycy obiecali monitorować transmisje na falach krótkich i zagłuszać te, które udałoby się im podsłuchać.

Poza tym Augustowi pozostało do zrobienia tylko to, co robił najgorzej. Musiał czekać.

· Wtorek, 13.45 – dolina Bekaa, Liban

Falah maszerował przez prawie całą noc. Spał krótko, przed świtem. Słońce było jego budzikiem – i do tej pory nigdy go nie zawiodło – ciemność zaś zasłona. Ciemność także nigdy go nie zawiodła.

Na szczęście Falah doskonale obywat się minimalną ilością snu. Jeszcze jako młody chłopak, dorastający w Tel Awiwie czuł, że śpiąc coś traci. Jako nastolatek wiedział już, że traci coś z każdym zachodem słońca. Kiedy dorósł, po zachodzie słońca miał lepsze rzeczy do roboty.

Pewnego dnia zapłacisz za to, pomyślał.

Szczęście miał też pod innym względem. Podwieziono go do granicy Libanu, zdołał więc przejść większą część drogi przed odpoczynkiem. Dwadzieścia siedem kilometrów dzieliło go jeszcze od ujścia doliny Bekaa, znalazł też odpowiedni gaj oliwny, oddalony od głównej drogi. Przykrył się opadłymi liśćmi, maskującymi i ogrzewającymi jednocześnie, i zasnął, mając na zachodzie góry Libanu, na wschodzie zaś pogórze Antylibanu. Przedtem jednak upewnił się, że przełęcz między szczytami jest we właściwym miejscu. Chciał, by słońce obudziło go, nim wynurzy się zza gór i obudzi całą dolinę.

Mieszkańcy dosłownie każdej syryjskiej doliny ubierają się inaczej. Materiały, płaszcze, spodnie i spódniczki ozdobione charakterystycznymi kolorami i wzorami, kity i inne ozdoby różnią się tu między sobą bardziej niż gdziekolwiek na świecie. Częściowo jest to kwestia tradycji, częściowo wygody. Wśród Kurdów z południowej części doliny jedyną tradycyjną częścią stroju był zawój. Przed opuszczeniem Tel Nef Falah odwiedził „szafę”, czyli doskonale wyposażoną garderobę jednostki. Wybrał zniszczoną czarną galabiję, czarne sandały i charakterystyczny czarny, sztywny, ozdobiony kitami zawój. Wziął także czarne okulary przeciwsłoneczne w grubych oprawkach. Pod podartą, luźną czarną szatą owinął się w talii ciasnym gumowym pasem, do którego przyczepione były dwa wodoszczelne woreczki. W tym na prawym biodrze. znajdował się fałszywy turecki paszport z kurdyjskim nazwiskiem i adresem w kurdyjskiej wiosce. Nazywał się Aram Tunas, pochodził z Semdinli.

Tu też znajdowała się miniaturowa radiostacja.

W woreczku na drugim biodrze miał Magnum.44, zabrane kurdyjskiemu jeńcowi. Obok radia znajdowała się kodowana mapa, wydrukowana barwnikiem konsumpcyjnym na baraniej skórze. Wzięty do niewoli Falah zawsze mógł zjeść mapę. Podano mu także hasło, identyfikujące go wobec Amerykanów, którzy mogliby przybyć na odsiecz zakładnikom. Były to słowa Mojżesza: „Zamieszkać na tej ziemi”. Bob Herbert uważał, że na Bliskim Wschodzie misja CR powinna posługiwać się Pismem Świętym, lecz nie cytatem z Ewangelii lub Koranu, którego ktoś mógłby użyć niechcący. Po podaniu hasła Falah powinien także przedstawić się jako szejek Midian. Gdyby go ujęto i torturowano, oprawcy prawdopodobnie nie domyśliliby się, że jeńiec musi się także przedstawić. Gdyby podstawili kogoś na jego miejsce, człowiek ten zdradziłby się podając nazwisko z paszportu.

Falah miał także duży bukłak na wodę z krowiej skóry, przewieszony przez lewe

ramię. Na prawym ramieniu niósł torbę ze zmianą bielizny, jedzeniem i EAR – Echelon Audio Receiver, czyli Szeregowym Odbiornikiem Dźwięku, składającym się z małej, składanej, anteny parabolicznej, nadajnika oraz odbiornika sygnałów dźwiękowych i miniaturowego komputerka. W komputer wbudowany był cyfrowy magnetofon i program filtrujący, oparty na efekcie Dopplera. Użytkownik mógł wybrać dźwięk do analizy według częstotliwości lub stopnia oddalenia. Wystarczyło nacisnąć guzik na klawiaturze i odgłos docierający do uszu operatora jako pierwszy był automatycznie eliminowany, by uczynić miejsce dla następnego. Jeśli warunki były dobre, *EAR* słyszał zza przeszkody terenowej. Dane dźwiękowe można było również nagrać i odtworzyć później.

W niespełna pięć minut po obudzeniu pochyłony nad strumieniem Falah pił już wodę przez słodkawą łodygę trzciny. Rozkoszował się jej smakiem, kiedy nagle jego radio zaczęło wibrować. Wystarczyło przestawić wyłącznik, by rozległo się popiskiwanie, kiedy jednak człowiek schodził do podziemia lub śledził przeciwnika, popiskiwanie nie było czymś, za czym tęsknił.

Falah kucnął. Na otwartym terenie nie siadał nigdy. Znacznie więcej czasu zabierało zerwanie się równe nogi w przypadku niebezpieczeństwa.

Żując trzcinę powiedział po arabsku:

–*Ana rahgil achmel muzehri*. Jestem farmerem.

–*Inta mineyn?* Skąd pochodzisz?

Rozpoznał głos sierżanta Vilnai, tak jak Vilnai z pewnością rozpoznał jego głos. Ze względów bezpieczeństwa należało jednak dokończyć wymiany hasła.

–*Ana min Bejrut* Jestem z Bejrutu. – Gdyby był ranny, odpowiedziałby *Ana min Herml* Gdyby dostał się do niewoli powiedziałby: *Ana min Tyre*.

Gdy tylko wypowiedział słowo „Bejrut”, sierżant podał mu liczby: osiem, sześć, sześć, dziesięć, zero, dwadzieścia sześć. Falah je powtórzył. Potem wyciągnął mapę z woreczka. Przedstawiała ona dolinę, ujętą w siatkę. Pierwsze dwie liczby były koordynatami siatki. Następne dwie identyfikowały miejsce w określonym kwadracie. Ostatnie dwie określały wysokość. Oznaczały, że poszukiwana jaskinia znajdowała się na ścianie skalnej, prawdopodobnie przy drodze.

–Mam – powiedział Falah. Rzeczywiście, znalazł lokalizację na mapie i – co więcej – wiedział, że jest to doskonałe miejsce na bazę. Z tyłu znajdował się wąwóz, w którym z łatwością zmieścił by się helikopter i urządzenia treningowe.

–Idź tam – powiedział sierżant. – Przeprowadź rozpoznanie i potwierdź, jeśli coś znajdziesz. Potem czekaj.

–Przyjąłem. *Sahl*.

–*Sahl*.

Słowo *sahl*, oznaczające „łatwizna”, było indywidualnym kodowym zakończeniem rozmowy Fala. Wybrał je sam, ze względu na jego ironię. Bardzo wysoki procent zakończonych sukcesem misji spowodował jednak, że dowódcy żartem twierdzili, że mówi szczerą prawdę i odgrażali się, że w końcu przydzielą mu naprawdę niebezpieczne zadanie. Falah powtarzał wówczas, że jeśli znajdą mu coś jeszcze niebezpieczniejszego, owszem, podejmie się. Proszę bardzo.

Odłożył radio i popatrzył na mapę. Jęknął. Od jaskini dzieliło go przeszło dwadzieścia kilometrów. Czekala go droga pod górę, po trudnym terenie, wliczając krótkie odpoczynki jakieś pięć, pięć i pół godziny marszu. Wiedział także, że gdy tylko wejdzie w dolinę, radio będzie praktycznie bezużyteczne. Z Tel Nef będzie musiał porozumiewać się połączeniem EAR.

Falah wypluł trzcinę, którą żuł do tej pory, zabrał jednak kilka na zapas. Schował je głęboko pod szatę i ruszył w drogę. Wyszedł z formy. Kiedy wreszcie dotarł do jaskini, ledwie powłóczył nogami, a stwardniałe niegdyś stopy krwawiły na piętach. Potworzyły się też na nich wielkie bąble, skóra zaś była oślizgła od potu. O krwi i bólu zapomniał jednak natychmiast, gdy tylko Przez gęste krzaki dostrzegł rzędy drzew i drogę. Pomiędzy lasem a jaskinią, na stromej gruntowej drodze stała biała furgonetka, przykryta płachtą maskującą i strzeżona przez dwóch ludzi, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Jakies czterysta metrów dalej widział przesiekę, prowadzącą za górę.

Przykucnął za głazem, dobre czterysta metrów od celu. Zdjął torbę. Wykopał dulek, usypując ziemię w schludną kupkę. Rozejrzał się, znalazł odpowiedni wiecheć trawy i przykrył ją.

Zakończywszy przygotowania, całą uwagę skupił na jaskini. Wejście do niej znajdowało się w skale, na wysokości przeszło osiemnastu metrów, nad wierzchołkami drzew. Moim było do niego dotrzeć tylko stromo wznoszącą się drogą. Dokładnie obejrzał podejście. Wiedział, że teren wokół zagajnika, a także sam zagajnik, z pewnością zaminowano, nie spodziewał się jednak kłopotów z tego powodu. Kiedy pojawi się Iglica, po prostu podda się Kurdom. Przyjdą po niego, a nie będą przecież szli po minach.

Nagle dostrzegł wychodzącego z jaskini człowieka, ubranego w koszulę khaki i szorty. Za nim szedł Kurd, celujący mu w plecy z rewolweru. Był tam ktoś jeszcze, ale nie wyszedł z jaskini. Stał w cieniu i patrzył. Więźnia podprowadzono do samochodu.

Falah otworzył torbę i wyjął z niej rozłożony na trzy części EAR. Komputer był tylko nieco większy od typowej kasety magnetofonowej. Postawił go na kamieniu. Następnie zabrał się do ustawiania anteny. Złożona, miała rozmiar i kształt niedużej parasolki. Otwierała się po naciśnięciu przycisku, w czym także przypominała parasolkę. Po naciśnięciu drugiego przycisku rozłożył się trójnóg. Antenę postawił na kamieniu i podłączył do komputera. Potem znalazł słuchawki. Je również podłączył, włączył zasilanie i nastawił dystans na ocenioną na oko odległość, która dzieliła go od jaskini.

Najpierw usłyszał kilka słów po turecku. Rozkazał komputerowi przesunąć nasłuch o poziom. Tym razem w słuchawkach usłyszał arabski.

–...ile czasu? – spytał męski głos.

–Nie wiem – odpowiedział drugi mężczyzna. – Niewiele. Dowódcę obiecał Ibrahimowi, a kobiety swoim porucznikom...

–A nie nam? – warknął pierwszy głos.

Mamy dowód na współpracę tureckich i syryjskich Kurdów, pomyślał. Wcale go

to nie zaskoczyło, czuł tylko satysfakcję. Kiedy skończy nasłuch, prześle nagranie do Tel Nef. Stamtąd zostanie pewnie wysłane do Waszyngtonu. Amerykański prezydent poinformuje prawdopodobnie Damaszek i Ankarę. Nagrana rozmowa była także dowodem na to, że w jaskini przetrzymywani są inni zakładnicy. Przed nawiązaniem kontaktu z Tel Nef, postanowił spróbować posłuchać, co dzieje się w jaskini.

Ustawił komputer na nasłuch co trzy metry. Słyszał ludni mówiących po turecku, po arabsku, aż wreszcie w słuchawkach rozległ się także angielski, stłumiony i trudny do zrozumienia. Wiedział, jak Kurdowie urządzają na ogół swe bazy i domyślił się, że więźniowie trzymani są w jamach.

–Zdrada... już wolę umrzeć.

–...będzie...

Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, a potem wprowadził do komputera nowe koordynaty. Antena, mocno oparta na trójnogu, zaczęła się obracać. Izraelski satelita telekomunikacyjny, z którym musiał się połączyć, znajdował się na orbicie geostacjonarnej dokładnie nad Libanem i wschodnią Syrią.

Kiedy czekał na połączenie, zobaczył Kurda wybiegającego z furgonetki. Kurd biegł w stronę mężczyzny stojącego w cieniu wejścia. Falah wcisnął przycisk CANCEL i ręcznie obrócił antenę w stronę jaskini. Ustawił odległość.

–...włączył wewnętrzny komputer – usłyszał. – Dostaliśmy informację, że gdzieś w pobliżu pracuje antena satelitarna.

Kryjący się w cieniu mężczyzna spytał spokojnie, gdzie jest ta antena.

–Na południowym zachodzie – odparł Kurd. – W odległości pięciuset metrów.

Falah usłyszał wszystko, co było mu potrzebne do podjęcia decyzji. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie wygra z terrorystami wyścigu i w żaden sposób ich nie pokona. Miał tylko jedno wyjście. Wcisnął przycisk, wysyłający do bazy sygnał kodowy, po czym zwinął antenę i trójnóg, i wrzucił je do wykopanego wcześniej dołka wraz z wyjętym z jednego z worków radiem oraz zdjętymi z nóg sandałami. Zasypał dołek ziemią, maskując ją przygotowaną wcześniej trawą. Na pierwszy rzut oka nikt nie zorientuje się, że ziemia pod kępą trawy została poruszona. Złapał torbę i popelzł na północny wschód, w stronę jaskini, z której wybiegało właśnie kilkunastu Kurdów. Rozbili się na grupy po trzech i ruszyli przed siebie, ostrożnie przemykając się między minami.

Czołgał się po kamieniach i trawie, by zostawić jak najmniej śladów. Oddalwszy się o jakieś sto metrów od kamienia, zza którego obserwował terrorystów, młody Druz położył torbę, włożył drugą parę sandałów, dzięki którym miał teraz zostawiać ślady zupełnie niepodobne do tych, które zostawił podczas obserwacji, podniósł torbę i pobiegł, powtarzając w myśli szczegóły życia Arama Tunasa z Semdinli.

· Wtorek, 14.03 – Kuteife, Syria

Baza syryjskiej armii składała się zaledwie z kilku drewnianych budynków-i rzędów namiotów. Od północnego zachodu i południowego wschodu broniły jej dwie sześciometrowe wieże strażnicze, granice zaś wyznaczały zasieki z drutu kolczastego, rozpięte na trzymetrowych słupach. Wzniesiono je jedenaście miesięcy temu, po powtarzających się atakach Kurdów na Kuteife, gdzie szukali żywności.

Dzięki bazie ataki na tę dużą wioskę praktycznie ustały.

Dwudziestodwuletni kapitan wojsk łączności Hamid Moutamin doskonale wiedział, że ataki najpierw przeprowadzano, a potem zarzucono, z pewnych szczególnych względów. Kiedy dowódca kurdyjskiego oddziału, Siriner, postanowił założyć bazę w dolinie Bekaa, uznał, że bliskość instalacji militarnych będzie mu bardzo na rękę. Bezpośredni dostęp do bazy wojsk syryjskich grał ważną rolę w jego planach. Baza została wybudowana i kapitan Moutamin wykorzystał dziesięć lat nienagannej służby wojskowej, by uzyskać przeniesienie do Kuteife, ponieważ to także miało znaczenie dla planów Sirinera. Osiągnąwszy oba założone cele, Siriner mógł już spokojnie zająć się swą bazą.

Moutamin nie był Kurdem i w tym leżała jego siła. Ojciec Hamida zarabiał na życie jako wędrowny dentysta, obsługujący wiele kurdyjskich wiosek. Miał tylko jednego syna, który po szkole i podczas wakacji towarzyszył mu w krótkich podróżach do pacjentów. Pewnego razu, nocą – Hamid miał wówczas czternaście lat – na granicy Raqqi, na północy, ich samochód zatrzymał patrol armii syryjskiej. Czterech żołnierzy obrabowało ojca ze złota, którego używał na-plomby, zabrało mu także kapciuch tytoniu i obrączkę. Hamid próbował sprzeciwić się, zaprotestować, ale ojciec mu na to nie pozwolił. Odjechał i po kilku minutach zjechał na pobocze. Na pustyni, na opuszczonej drodze, pod jasno świecącym księżycem, dostał ataku serca i umarł. Hamida odwiózł do domu jeden z jego kurdyjskich pacjentów, stary drukarz imieniem Dżalal. Zatelefonował do matki chłopca, która przysłała po niego wuja. Pogrzeb odbył się w atmosferze smutku... i bezsilnej wściekłości.

Hamid rzucił szkołę. Poszedł do pracy: musiał utrzymać matkę i siostrę. Pracował pyry taśmie w fabryce radioodbiorników, mając wiele czasu na myślenie. Nadal odwiedzał Dżalala. Po dwóch latach stary drukarz, zachowując wszelkie środki ostrożności, przedstawił go innym młodym ludziom, mającym powody, by nienawidzić syryjskiej armii. Wszyscy oni byli Kurdami, wszyscy opowiadali mu o kradzieżach, morderstwach i torturach. Hamid musiał w końcu uwierzyć, że nie tylko armia, lecz całe państwo jest po prostu złe. I że zło trzeba wykorzenić. Przyjaciel Dżalala zaprosił go na spotkanie z młodym, przebywającym akurat w okolicy Turkiem, Kajahanem Sirinerem. Siriner postanowił stworzyć nowe państwo, gdzie schronienie znaleźliby wszyscy prześladowani, sprawiedliwe państwo, w którym, wreszcie, mogliby żyć wolni. Hamid spytał go, w czym może pomóc. Siriner wyjaśnił, że przeciwnika najlepiej osłabia się od środka. – Poprosił chłopaka, by stał się tym, czego najbardziej nienawidzi i Hamid wstąpił do wojska. Ponieważ w cywilu skradał radia, dostał przydział do jednostki łączności.

Przez nieco ponad dziesięć lat Hamid służył swym syryjskim dowódcom na pozór wiernie i z entuzjazmem. Jednocześnie przekazywał syryjskim Kurdom informacje o ruchach wojsk, informacje, dzięki którym mogli unikać kontaktu z nieprzyjacielem, kraść zaopatrzenie, atakować patrole.

Teraz dostał najważniejsze zadanie w swej karierze. Miał poinformować dowódcę bazy, że przypadkiem udało mu się przechwycić informacje przekazywane przez tureckiego Kurda, operującego w pojedynkę na wschodnich zboczach gór Antylibanu, niespełna pół kilometra na zachód od wioski Zebdani, tuż przy syryjskiej granicy. Najwyraźniej – powiedział dowódcy – człowiek ten działa już od jakiegoś czasu, przekazując informacje o ruchach wojsk syryjskich. Podał mu także dokładne koordynaty miejsca, z którego działał agent.

Dowódca bazy uśmiechnął się. Najwyraźniej miał całkowitą pewność, że, jeśli złapie i złamie Kurda szpiegującego dla Turków, dostanie awans i dowództwo znacznie bardziej prestiżowej bazy. Zadanie ujęcia szpiega dostał oddział dwunastu żołnierzy, wyposażonych w trzy dżipy.

Hamid uśmiechnął się do siebie. Potem sprawdził, czy motocykl, który miał zamiar zabrać, zatankowany został do pełna.

· Wtorek, 14.22 – Zebdani, Syria

Mehmeta obudzono łagodnie po przeszło dwóch godzinach snu. Powoli otworzył oczy. Dostrzegł śniadą twarz na tle niebieskiego, pogodnego nieba.

–Żołnierze są już blisko – powiedział Majeed Ghaderi. Przybywają, dokładnie tak, jak przewidział Hamid.

–Dzięki niech będą Allachowi. – Mehmet przeciągnął się na sienniku i wstał. Nie wypoczął, ale -dzięki dwugodzinnej drzemce przynajmniej nie był już tak strasznie wyczerpany. Umył twarz wodą z manierki. Wytarł się energicznie i spojrzął na Majeeda, kuzyna Walida i jego oddanego doradcę, którego poinstruowano, by obudził Mehmeta na chwilę przed atakiem.

Chłopak niemal nie odzywał się, kiedy przejeżdżali przez przełęcz, a oczy miał nadal czerwone od płaczu po śmierci bliskiego mu człowieka. Teraz jednak, kiedy nadszedł wreszcie czas, w zaczerwienionych oczach błyszczała determinacja, w głosie zaś słyhać było radość. Mehmet był z niego dumny.

–Idziemy – powiedział.

Poszedł za Majeedem. Przekroczyli wgłębienia, wypłukane przez wodę, spływającą z roztopionego śniegu, ostrożnie okrążyli kilka głazów i zajęli pozycje.

Na szczytach niewysokich wzgórz rozstawiono czternastu kurdyjskich snajperów. Poniżej, pod skałą, ustawiono radio. Rozpalono, a następnie zgaszono ognisko. Syryjczycy z całą pewnością zauważą dym, po czym, zgodnie z regulaminem, zatrzymają dżipy i schronią się za nimi. Będą gotowi osłonić ogniem jednego żołnierza, który zbliży się zbadać miejsce. I znajdą się w krzyżowym ogniu snajperów. Pierwsi oberwą Syryjczycy, pilnujący szczytów wzgórz. Nim reszta zdąży przenieść ogień, zginie. Do Syryjczyków będzie się strzelać, o ile to tylko możliwe, w głowę, tak by nie zachlapać mundurów krwią. Kurdowie potrzebowali dziesięciu mundurów.

Mehmet dołączył do swoich żołnierzy. Obserwowali nadjeżdżające dżipy i przyjęli pozycje strzeleckie. Czekali, aż żołnierze wysiądą z samochodów. Mehmet skinął głową, kurdyjscy bojownicy odbezpieczyli karabiny. Skinął głową powtórnie – zaczęli strzelać.

Wielu Kurdów polowało na dzikie indyki, dziki i zające, po prostu po to, by wyżywić rodzinę. O amunicję było trudno, nauczyli się więc trafiać za pierwszym strzałem. W pierwszej fazie dziesięciu Kurdów strzelało do żołnierzy rozlokowanych najbliżej wzgórz, w tym do tego, który podszedł zobaczyć fikcyjne obozowisko. Dziesięciu Syryjczyków zginęło od razu. Dziesiąty włożył hełm, powalił go dopiero dwukrotny postrzał w gardło. Pozostali żołnierze podnieśli wzrok. Zamarli na chwilę, starając się wypatrzeć strzelców, strzelcy zaś natychmiast tworzyli ogień. Skutecznie nie ocalał nikt.

Mehmet, trzymając w dłoni pistolet, poprowadził swych ludzi w dół zbocza. Tak, zabili wszystkich żołnierzy. Gestem nakazał reszcie oddziału zejść ze stanowisk. Dziesięć ciał obdarto z ubrań, po czym wszystkich zabitych załadowano do jednego dżipa. Założywszy mundury armii syryjskiej, Kurdowie wskoczyli de pozostałych

dwóch samochodów, podczas gdy reszta oddziału oczyszczała pole walki.

Mehmet strzepnął kurz z naramienników munduru pułkownika i poprowadził swych ludzi przez suchą równinę.

Turcja i Syria zamknęły granice dla turystów, nowoczesna droga M1 była więc prawie całkowicie opustoszała. Dwa dżipy ruszyły nią na południe. Od Damaszku – i kresu ponad osiemdziesięcioletniego cierpienia – dzieliło ich zaledwie dwadzieścia pięć minut jazdy.

· Wtorek, 13.23 – Tel Nef, Izrael

Sierżant sztabowy Vilnai i pułkownik Brett August od przeszło godziny siedzieli w podziemnej, zbudowanej z betonowych bloków sali łączności. Większość czasu spędzili wpatrzni w szczegółowe mapy, ukazujące dolinę Bekaa z powietrza. Siedząca za nimi, kruczowłosa Gila Harareet czekała na informacje od Falaha.

Zaledwie kilka minut temu dołączył do nich dowódca bazy, porucznik Maton Yarkoni. Weteran wojny Yom Kippur z 1973 roku, niewysoki, lecz zbudowany jak byk, porucznik miał nieco byczą twarz i – zgodnie z informacjami Augusta – także temperament rozdrażnionego byka. Natychmiast podał im informacje o najwyższym stopniu gotowości armii izraelskiej, wprowadzonym, kiedy wojska syryjskie zaczęły przesuwac się na północ. W przypadku wojny Izrael gotów był przyjść z odsieczą Turcji.

–Ani Izrael, ani NATO nie mogą sobie pozwolić na to, by Turcję rozdrapały zwalczające się nawzajem frakcje – powiedział porucznik Yarkoni. – NATO potrzebuje osłony przed islamskimi fundamentalistami. Izrael, podobnie jak Syria, potrzebuje wody. Warto przystąpić do wojny, by państwo to pozostało nienaruszone.

–Co robi NATO? – zainteresował sil Vilnai.

–Przed chwilą rozmawiałem z generałem Kevinem Burke'em z Brukseli – odparł Yarkoni. – USA zwiększają swą obecność wojskową na Morzu Śródziemnym. Gotowość wojsk NATO we Włoszech podwyższono z Defcon 4 na Defcon 3.

–Mądrze – wtrącił August. – Nim objąłem dowództwo Iglicy, służyłem w NATO we Włoszech. Stawiam dwa do jednego, że Defcon 3 wprowadzono, by zmusić Grecję do natychmiastowego zajęcia stanowiska. Albo dołączają do swych sojuszników z NATO i pomagają osłonić Turcję, albo muszą wejść w sojusz z Syrią. A jeśli Grecja dołączy do Syrii, włoski but kopnie ją wprost w dupę.

Sierżant Vilnai powoli pokręcił głową.

–Wojna na Bliskim Wschodzie spowoduje rozbitcie NATO -. orzekł. – Świat uzależnił się od mikrosojuszy. Kraj sprzymierza się z innym krajem, ale frakcje w danym kraju sympatyzują z frakcjami w jeszcze innym. Wkrótce państwa w ogóle znikną.

–Pozostaną tylko grupy interesu – dodał pułkownik August. – Zwalczający się wodzowie plemienni i królowie.

W tym momencie na konsoli rozbłysło czerwone światło. Dziewczyna z nasłuchu siedziała nieruchomo, łowiąc informacje nagrywane na magnetofon cyfrowy. Dwa krótkie piski, jeden długi, przerwa i kolejny długi. Sygnał powtórzył się raz i umilkł.

Gila Harareet zdjęła słuchawki i obróciła się w stronę stojącego przy radiostacji komputera.

–No i co? – spytał niecierpliwie Yarkoni.

–To kodowy sygnał zagrożenia.

Nagranie poszło bezpośrednio do komputera, który rozkodował je i wyświetlił rezultat na monitorze.

Zakładnicy na miejscu. Nieprzyjaciel nadchodzi. Próbuje uniknąć kontaktu.

–A więc go zauważyli – powiedział Yarkoni.

O niepokoju pułkownika Augusta świadczyło wyłącznie nagle zaciśnięcie zębów. Nie należał do ludzi łatwo uzewnętrzniających emocje...

–Czy istnieje jakaś szansa na ponowny kontakt z waszym człowiekiem? – spytał.

–To raczej nieprawdopodobne – odpad Vilnai. – Jeśli Falah jest w niebezpieczeństwie, z pewnością porzucił radio. Nie może pozwolić sobie na to, żeby go z nim złapano. Uważa, że jest szansa na ujście pogoni, więc będzie próbował. Jeśli mu się uda, być może wróci po radio. Jeśli uzna, że nie ma szans na ucieczkę, przedstawi się terrorystom jako nowy rekrut.

August spojrzął na radiooperatorkę, ale tak naprawdę wcale jej nie widział. Widział za to twarze załogi CR. Każda minuta oczekiwania wiele kosztowała pułkownika. Prześladowała go myśl, że kiedy wreszcie wejdą do akcji, będzie za późno. Czekanie na informacje miało sens, przynajmniej do tej chwili, teraz było jednak jasne, że nie otrzyma już żadnych nowych informacji. Opóźnianie akcji wydawało się w tej sytuacji bezsensowne.

–Poruczniku – powiedział – chcę wprowadzić do akcji moich ludzi.

Yarkoni podniósł głowę i spojrzął mu wprost w oczy.

–Wiemy, dokąd musimy się udać – nalegał August. – Wraz z sierżantem Vilnai przestudiowaliśmy drogi podejścia z zachodu i wschodu. – Podeszedł bliżej, mówiąc głosem napiętym, niewiele różniącym się od szeptu. – Poruczniku, nie chodzi wyłącznie o załogę CR. Jeśli ta jaskinia jest główną kwaterą kurdyjskich terrorystów, możemy ich z niej wykurzyć. Możemy skończyć tę wojnę, nim się na dobre zaczęła.

Yarkoni opuścił głowę. Ciemne oczy w byczej twarzy stały się jeszcze ciemniejsze.

–W porządku – powiedział. – Zaczynajcie. I niech Bóg ma was w swojej opiece.

–Dziękuję.

Zasalutował porucznikowi. Yarkoni odsalutował.

August wyszedł. Vilnai zapisał mapy na dyskietkach, po czym pośpieszył za pułkownikiem, który dołączył do swego oddziału, przygotowującego się do walki tuż przy granicy zasieków.

W dziesięć minut później cztery szturmowe pojazdy pustynne mknęły przez równinę z prędkością blisko stu trzydziestu kilometrów na godzinę, rozwinięte w szyk w kształcie klina: dwa z przodu, dwa za nimi, rozstawione szerzej, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wewnątrz szyku jechało sześć motocykli w dwóch rzędach po trzy. Karabiny maszynowe i granatniki były załadowane, strzelcy gotowi do odparcia ataku.

Pułkownik August jechał w pierwszym pojeździe.

Droga z bazy do granicy potrwa mniej więcej dwadzieścia minut. Za pięć minut z Tel Nef wystartują izraelskie helikoptery, by przekroczyć granicę i odciągnąć wojska syryjskie i libańskie, umożliwiając Iglicy zbliżenie się do celu. Droga z granicy do jaskini miała jej zabrać pół godziny.

Mapy sporządzone ze zdjęć satelitarnych zostały załadowane do chronionych hasłem komputerów pojazdów szturmowych. Pułkownik August i sierżant Grey

dyskutowali taktykę ataku i oderwania się od nieprzyjaciela. Jeśli zakładnicy żyją, Iglica użyje wszystkich dostępnych środków, by ich wydostać. Jeśli odbicie CR okaże się możliwe, odbiją je, jeśli nie – zniszczą. Jeśli celów tych nie da się osiągnąć bez rozlewu krwi, trzeba będzie krew przelać. August był na to przygotowany.

Skończywszy naradę z Greyem, pułkownik założył okulary przeciwsłoneczne. Od czasów Pustynnej Burzy nie dowodził żadną akcją bojową, ale teraz był gotów. Spojrzał na zamglone szczyty gór. Gdzieś tam więziono Mike'a Rodgersa. Iglica ocali Mike'a, a jeśli okaże się, że jest już za późno, że generał, jego najstarszy i najlepszy przyjaciel nie żyje, on sam wykona trzecie – po odbiciu zakładników i CR – zadanie.

Własnoręcznie zabije sukinsyna, który zamordował mu kumpla.

· Wtorek, 14.24 – Damaszek, Syria

Paul Hood uznał Damaszek za nie wyeksploatowaną żyłę złota. Być może za długo był burmistrzem wyjątkowo przyjaznego turystom Los Angeles, a być może miał po prostu skrzywioną perspektywę.

Meczety i minarety, podwórce i fontanny... jakież wspaniałe wydawały się ze swymi ozdobnymi fasadami i cudownymi mozaikami. Szarobiałe mury otaczające Stare Miasto, położone na południowym wschodzie stolicy Syrii, sprawiały wrażenie jednocześnie naruszonych zębem czasu i majestatycznych. W XIII wieku broniły miasta przed atakami krzyżowców i do dziś nosiły ślady tych zmagania. Długie odcinki muru, zrujnowane przez czas i oblegających, pozostawiono nie odbudowane.

Przyglądając się tym niepowtarzalnym zabytkom przez przyciemniane okna należącej do ambasady limuzyny, Paul Hood nie myślał jednak o przeszłości. Myślał o tym, że gdyby w tej części świata panował pokój, że gdyby ten kraj nie finansował terroryzmu, że gdyby ludzie mogli tu spokojnie przyjeżdżać i podróżować, Damaszek byłby zapewne jednym z najpopularniejszych celów dla turystów z całego świata. Zarobione na turystyce pieniądze rząd mógłby wydać na odsalanie wód Morza Śródziemnego i nawodnienie pustyni, mógłby budować szkoły, tworzyć miejsca pracy, mógłby nawet inwestować w biedniejsze kraje arabskie.

Ale cuda, niestety, nie zdarzają się, powiedział do siebie Hood. Choć Damaszek był miastem kosmopolitycznym, należał do kraju, którego rząd miał cel. Celem syryjskiego rządu było rozszerzenie syryjskiej władzy na sąsiednie państwa.

Audycja u prezydenta miała odbyć się w sercu Starego Miasta, w pałacu wybudowanym przez gubernatora Assada Paszę al-Azema w 1749 roku. Ustalenie tego miejsca spotkania z pewnością miało wiele wspólnego z kwestiami bezpieczeństwa, prezydenta łatwiej było w końcu bronić za nadal imponującymi murami Starego Miasta. Miało jednak także przypomnieć obywatelom, tym, którzy zgadzali się z prezydentem, i tym, którzy się z nim nie zgadali, że Syria rządzona jest z pałacu, zbudowanego przez gubernatora dynastii Osmanów.

Wszyscy cudzoziemcy są nieprzyjaciółmi.

Na ogół takie podejście to paranoiczną propagandą, dziś jednak, jak na ironię, było najzupełniej uzasadnione. Bob Herbert ujął to zgrabnie podczas rozmowy, jaką Paul przeprowadził z nim z ambasady: – To zupełnie jak zepsuty zegarek, który dwa razy na dobę pokazuje dokładną godzinę. Dziś wrogami są tureccy i syryjscy Kurdowie.

Herbert powiedział jeszcze, że agenci z Damaszku donoszą o aktywności w kurdyjskim podziemiu. Dziś rano, począwszy od ósmej trzydzieści, większość Kurdów zaczęła opuszczać pięć, rozrzuconych po mieście, bezpiecznych domów. Syryjczycy nie zaczepiali ich sądząc, że Kurdowie będą spiskować przeciw Turcji. Dopiero tuż przed dwunastą siły bezpieczeństwa zorientowały się, że może nastąpić atak zjednoczonych sił kurdyjskich i dokonały nalotu na domy. Nie znaleziono w nich nikogo.

Ludzie Herberta zdołali nie stracić kontaktu z garstką czterdziestu ośmiu

spiskowców. Wszyscy oni znajdowali się w pobliżu Starego Miasta. Niektórzy siedzieli na brzegach Barady, płynącej wzdłuż północno-wschodniego odcinka murów. Inni odwiedzili muzułmański cmentarz, znajdujący się przy południowo-zachodniej ścianie.

Żaden nie przekroczył granicy staromiejskich murów.

Bob powiedział, że nie przekazał tych informacji Syryjczykom z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciał ryzykować dekonspiracji swych źródeł w Damaszku. Po drugie, nie chciał, by Kurdowie wpadli w panikę. Jeśli spiskowano przeciw prezydentowi, celem był wyłącznie prezydent i jego najbliższe otoczenie. Gdyby zamachowcy wpadli w panikę, mogłoby dojść do strzelaniny na ulicach. Trudno przewidzieć, ile byłoby wówczas ofiar wśród mieszkańców stolicy Syrii.

Limuzyna wjechała na Stare Miasto od południowo-zachodniej strony. Mury zawaliły się tu na odcinku co najmniej pięciuset metrów. Wyłomu pilnowano ze szczególną ostrożnością – zablokowano go zaparkowanymi zderzak w zderzak dżipami, pozostawiając zaledwie pięćdziesięciometrową przerwę pośrodku. Wzdłuż przerwy stało kilkunastu żołnierzy, wszyscy uzbrojeni w pistolety *Makarowa* i karabiny *AKM*. Turystom sprawdzano paszporty, mieszkańcy musieli pokazywać dowody osobiste.

Limuzynę zatrzymał groźnie wyglądający kapral. Zabrał pasażerom paszporty i przez radiotelefon skontaktował się z pałacem. Przepuścił ich dopiero otrzymawszy pozwolenie, dla każdego gościa z osobna. Kierowca przejechał kawałek i zatrzymał się, czekając na samochód ochrony. Potem pojechali ulicą al-Amin na południowy wschód i skręcili w lewo. Następnie skręcili w prawo przy bazarze al-Bazuriye i przejechali trzysta metrów. Po drodze minęli najstarsze publiczne łaźnie Damaszku, Haman Nur al-Din, oraz gospodę Assada Paszy, w której mieszkał przed wybudowaniem pałacu.

Pałac powstał w niewielkiej odległości od Wielkiego Meczetu, zwanego także Meczetem Umajjadów, nazwanego tak na pamiątkę dynastii, której członkowie przebudowali go na początku VIII wieku. Meczet ten stał na ruinach starej rzymskiej świątyni. Jeszcze wcześniej, trzy tysiące lat temu, istniała w tym miejscu świątynia poświęcona Hadadowi, aramejskiemu bogu słońca. Choć palony kilkakrotnie podczas różnych wojen, meczet odbudowywano za każdym razem i jest on dziś jednym z najświętszych miejsc islamu.

Pałac niewiele ustępował Wielkiemu Meczetowi. Trzy skrzydła, jedno kuchenne z kwaterami służby, drugie przeznaczone dla gości i trzecie, rezydencjonalne, otaczały wielki dziedziniec z dużym stawem pośrodku, zarośnięty gajem drzew cytrusowych. Po południowej stronie pałacu znajdowała się wielka sala o marmurowych ścianach, pośrodku której tryskała fontanna. Tu odbywały się publiczne audiencje.

Pałac zazwyczaj otwarty był dla zwiedzających, choć prywatne apartamenty zamykano, kiedy mieszkał w nim prezydent. Dziś jednak został zamknięty w całości. Patrolowała go gwardia pałacowa.

Samochody zaparkowały przy północno-zachodnim skrzydle. Agentów zaproszono do pokoju ochrony, ambasadora zaś i towarzyszących mu gości

poprowadzono do wielkiej sali przyjęć, znajdującej się przy końcu korytarza. Zaciągnięto ciężkie zasłony na oknach, kryształowe kandelabry płonęły pełnym blaskiem. Ciemne boazerie na ścianach pokryte-były pięknymi płaskorzeźbami o znaczeniu religijnym. Meble były wspaniale intarsjowane. Pośrodku ściany położonej naprzeciw wejścia znajdował się wielki *mahmal*, czyli palankin, okrywający liczące sobie kilkaset lat wydanie Koranu. Zaprojektowany tak, by mógł go nieść wielbłąd, palankin pokryty był zielonym aksamitem ozdobionym srebrną nicią. Na jego szczycie znajdowała się złota kula, także inkrustowana srebrem.

Ambasador Japonii, Akira Serizawa, był już na miejscu wraz ze swymi doradcami, Kiyoi Nakajimą i Masaru Onaką. Obecny był także siwowłosy doradca prezydenta, Aziz Azizi. Japończyk powitał wchodzących Amerykanów grzecznym ukłonem, Azizi na ich widok uśmiechnął się szeroko. Haveles przywitał każdego z obecnych uściskiem dłoni, a następnie przedstawił swych gości. Potem odszedł porozmawiać na stronie z Japończykiem. Nadal uśmiechnięty, Azizi wziął na siebie ciężar konwersacji z Hoodem, Bickingiem i Nasrem. Prezydencki doradca nosił czarne przeciwsłoneczne okulary, miał także kozią bródkę. Od białej, umieszczonej w uchu słuchawki biegł biały przewód, znikający dyskretnie pod marynarką tej samej barwy.

–Bardzo mi miło poznać panów – powiedział poprawną angielszczyzną. – Z przykrością stwierdzam jednak, że znam jedynie doktora Nasra, i to wyłącznie z reputacji, jaką cieszą się jego prace. Przeczytałem właśnie pańską książkę „Skarby i żal”, tę o karawanie do Mekki.

–To dla mnie zaszczyt. – Doktor Nasr lekko skłonił głowę.

Syryjczyk nadal sztucznie się uśmiechał.

–Czy naprawdę sądzi pan, panie doktorze, że Beduini zaatakowaliby karawanę i pozostawili dwadzieścia tysięcy ludzi okrutnej śmierci na pustyni, gdyby nie zmuszały ich do tego rozpacz i głód?

Nasr powoli uniósł wzrok i spojrzał mu prosto w oczy.

–W owych czasach, w tamtym miejscu, Beduini byli wyłącznie chciwymi barbarzyńcami. Ich potrzeby nie usprawiedliwiają czynów.

–Jeśli moi osiemnastowieczni przodkowie byli, jak pan to ujął, chciwymi barbarzyńcami, to tylko ze względu na ucisk Imperium Osmańskiego. Prześladowanie to potężny motyw.

Bicking przygryzł wargę. Spojrzał na Aziza

–Jak potężny? – spytał.

Syryjczyk nadal się uśmiechał.

–Trawa pożąda wolności aż tak, że przebija chodnik. Korzeń potrafi rozbić skały. Pożądanie wolności to potęga, panie Bicking.

Paul Hood nie był pewien, czy słucha dyskusji historyków, przepowiedni władców, czy też może jednego i drugiego na raz. Niezależnie od tego, czego dotyczyła rozmowa, Azizi sprawiał wrażenie siedzącego na płocie kota, Nasr zaś właściciela ogrodu, szukającego odpowiedniej wielkości kamienia. Na szczęście w tym momencie przyjechali Rosjanie i prezydencki doradca, usprawiedliwiając się zasadami gościnności, odszedł, by ich przywitać.

–Może ktoś wytłumaczyłby mi, co tu się właściwie dzieje? – poprosił Paul.

–Miałeś przykład rywalizacji, trwającej od kilku stuleci – wyjaśnił Bicking. – Egipcjanie przeciw Beduinom. Założę się, że Azizi to Hamazrib. Oni zawsze doskonale przystosowywali się do kultury najeźdźcy, ale to ludzie dumni, bardzo dumni.

–Przesadnie dumni – burknął Nasr. – Ślepi na prawdę. Przecież jego naród słynie z okrucieństwa.

–Z pewnością jego wrogowie są o tym szczerze przekonani zakpił Bicking. Paul zerknął na Syryjczyka, oprowadzającego Rosjan po sali. Amerykańskim gościom Azizi nie okazał aż takiego zainteresowania

–Czy ten jego krótki wykład o wolności mógł być zawołowanym ostrzeżeniem pod adresem Kurdów? – spytał

–Beduini są zawziętymi wrogami Kurdów i z wzajemnością wyjaśnił Bicking. – Nie pomagali by sobie nawzajem, jeśli o to ci chodzi.

–Wcale nie o to mi chodzi. Widziałeś, jaką pułapkę zastawił na doktora Nasra. Być może ambasador Haveles trafił w dziesiątkę mówiąc, że zaproszono nas tu jako przynętę.

–A może to tylko atak paranoi? – podpowiedział Bicking.

–Paranoja do zawadza choroba ambasadorów – dorzucił Egipcjanin.

Przedstawiono im grupę czterech Rosjan. Azizi oznajmił, że prezydent wkrótce zaszczyli gości swą obecnością. Następnie gestem przywołał służbę, do tej pory niewidoczną, stojącą za drzwiami. Oczami wyobraźni Paul widział już zamaskowanych terrorystów, uzbrojonych w pistolety maszynowe i koszących ogniem wszystkich obecnych, z ulgą przyjął więc widok służących w liberjach, uzbrojonych wyłącznie w tace.

Poczekajmy, aż pojawi się prezydent, pomyślał.

Rosyjski ambasador zapalił papierosa i, w towarzystwie tłumy czy, rozpoczął w kącie rozmowę z Havelesem i Japończykiem. Azizi podszedł do drzwi i stał tam, podczas gdy goście w jednej wielkiej grupie jedli *szawarma* – cienko pokrojone kawałki baraniny – i *khubz*, przyprawioną na ostro pastę z pieczonej fasoli na praśnym chlebie. Rozmowy dotyczyły przede wszystkim ataku terrorystycznego w Turcji oraz właściwej interpretacji ruchów wojsk w poszczególnych państwach. Paul dostrzegł, jak w pewnym momencie Azizi mocniej wciska słuchawkę w ucho. Zamarł na chwilę, po czym rozejrzał się po sali.

–Panowie – powiedział – prezydent Syryjskiej Republiki Arabskiej.

–A więc pojawi się osobiście – szepnął Bicking, pochylając się do ucha szefa. – Co za niespodzianka!

–Musiał się pojawić – wtrącił Nasr. – Musiał pokazać, jaki jest nieustraszony.

Rozmowy ucichły. Zebrani obrócili się w kierunku drzwi. Rozległ się dźwięk kroków na marmurowej posadzce korytarza. W chwilę później do sali wszedł leciwy prezydent, wysoki, ubrany w szary garnitur i białą koszulę z czarnym krawatem. Siwe włosy miał zaczesane do tyłu. Towarzyszyło mu czterech ochroniarzy.

Azizi dołączył do prezydenckiej grupy, kierującej się ku ambasadorom.

Stojący między Bickingiem i Nasrem Paul Hood zmarszczył nagle brwi.

–Chwileczkę – powiedział. – Ten ochroniarz po lewej... nogawki spodni przylegają mu do nóg!

–I co z tego? – zdziwił się Bicking.

Spojrzenia Hooda i ochroniarza skrzyżowały się.

–To przez elektryczność statyczną. – Paul ruszył w stronę ochroniarza, chcąc bliżej mu się przyjrzeć. – W samolocie czytałem sieciowy biuletyn z Izraela. Wspomniano w nim, że terroryści używają zapalników elektromagnetycznych, by zdetonować bomby przymocowane do ciała i...

Ochroniarz krzyknął nagle coś, czego Paulowi nie udało się zrozumieć. Nim jego towarzysze zdążyli zacieśnić szyk wokół prezydenta, pojawiła się wokół niego kula ognia. Siła wybuchu przewróciła zebranych, strzaskała także kryształowy kandelabr. Paul runął na podłogę, w uszach mu dzwoniło, widział czarną chmurę dymu, rozpraszającą się w powietrzu, czuł spadające okruchy kryształu.

Ktoś pociągnął go za rękaw marynarki. Zerknął w prawo. Bicking stał, machając ręką i starając się rozpędzić dym. Krzyknął coś, ale Hood nie usłyszał słów. Chłopak skinął głową, wymierzył w niego palec, zacisnął pięść i wystawił kciuk najpierw w górę, potem w dół.

Znaczenie tych gestów łatwo było zrozumieć. Paul poruszył rękami i nogami. Pokazał uniesiony kciuk.

–Nic mi nie jest! – krzyknął.

Bicking skinął głową. Z opadającej chmury dymu wypełził doktor Nasr. Krwawił, chyba z ran na czole i karku. Hood obejrzał jego rany. Egipcjanin znalazł się bliżej wybuchu, ale to nie była jego krew. Gestem nakazał Nasrowi, by leżał nieruchomo, odwrócił się i postukał w głowę Bickinga.

–Chodź ze mną – powiedział. Wskazał na siebie, na chłopaka i na miejsce, zajmowane przez prezydenta i ochroniarzy. Warner skinął głową. Szef nakazał mu jeszcze trzymać głowę nisko, na wypadek, gdyby miała wybuchnąć strzelanina. Bicking powtórnie skinął głową.

We dwóch, powoli, ruszyli w kierunku drzwi.

Zbliżyli się do miejsca, w którym nastąpił wybuch. Przede wszystkim uderzył ich charakterystyczny zapach azotu, przypominający pozostający w zamkniętym pomieszczeniu zapach spalonych zapalek. W chwilę później, poprzez rzadniejący dym, dostrzegli miejsce eksplozji, krew rozprysniętą na ścianach, kałuże krwi na marmurowej posadzce.

Jako pierwsze na ich drodze znalazły się porozrzucone fragmenty ciała terrorysty. Ręce i nogi zniknęły, Bicking zatrzymał się na chwilę, odwrócił głowę. Paul pełził dalej. Poruszał łokciami, odsuwając na bok odłamki szkła, zadając sobie jedno pytanie: dlaczego nikogo nie zainteresował jeszcze ten wybuch? Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wysłać asystenta po pomoc, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nie chciał, by chłopak wpadł na jakiegoś wyprowadzonego z równowagi żołnierza i oberwał.

Żaden z ochroniarzy nie przeżył. Wybuch dosłownie rozerwał dwóch z nich,

rozdarł też kamizelki kuloodporne. Dwa pozostałe ciała leżały w nie uszkodzonych kamizelkach, głowy i kończyny tych ludzi najeżone jednak były dwucalowymi gwoździami i kulkami z niewielkich łożysk – ulubionym materiałem terrorystów-samobójców.

Hood podpełzł do prezydenta i jego doradcy. Prezydent zginął na miejscu, Azizi żył jeszcze, jakkolwiek był nieprzytomny. Krwawił z ran na piersi i prawym boku. Paul delikatnie ściągnął z jego ciała zakrwawione kawałki garnituru i koszuli, pragnąc sprawdzić, czy krwawienie można było jakoś powstrzymać

Azizi drgnął.

–Wiedziałem... wiedziałem, że coś takiego musi się zdarzyć jęknął.

–Leż, nie ruszaj się – szepnął Paul Hood. – Jesteś ranny.

–Prezydent...

–Prezydent nie żyje.

–Nie! – Azizi szeroko otworzył oczy.

–Bardzo mi przykro. – Powoli odzyskiwał słuch, choć miał nieprzyjemne wrażenie, że uszy wypełnia mu wata. Słyszał huk strzałów, dobiegających prawdopodobnie sprzed pałacu. Czy to towarzysze terrorysty próbowali wedrzeć się do środka, czy też może gwardziści otworzyli ogień do uciekających zamachowców? Strzały stawały się z każdą chwilę głośniejsze. Paul zaniepokoił się, miał wrażenie, że zbliżają się raczej niż oddalają.

Azizi wiał się z bólu.

–To nie... – nie zdołał skończyć. Zachłysnął się. – To nie prezydent – wykrztusił w końcu.

Hood zdzierał z niego okrwawione szmaty.

–Jak to?

–Sobowtór...

Dyrektor Centrum zamarł. Słowa doradcy docierały do niego powoli. Jeden zero dla paranoi, pomyślał. Poklepał Syryjczyka po ramieniu.

–Nie męcz się. Spróbuję zahamować krwotok i zadzwonię po karetkę.

–Nie! Oni muszą... przyjść.

–Co?

–Śledziliśmy ich. Czekaliśmy...

–Na kogo czekaliście?

–Wielu... resztę...

Hood zdarł resztki ubrania z ciała Syryjczyka. Z rany na piersi za każdym uderzeniem serca tryskał strumyk krwi. Skrzywił się, nie miał pojęcia, jak pomóc rannemu. Kucnął, ściskając go za rękę.

–Dlaczego nie pozwolisz mi wezwać doktora? – spytał.

–Muszą... wejść...

–Kto? Spodziewasz się ataku?

–Jest ich... wielu. Zamachowiec... Kurd. Wielu Kurdów... zniknęło... są w mieście i...

Nagle, jak na zwolnionym filmie, głowa Aziza opadła na bok Krew nadal tryskała z

rany, oddech rannego stawał się jednak coraz płytszy. Jeszcze chwila, i powieki opadły na jeszcze przed chwilę szeroko otwarte oczy. Nastąpiło głębokie westchnienie... i cisza.

Paul puścił rękę martwego. Spojrzał w prawo – Nasr przedarł się przez dym, a za nim trzech ambasadorowie. Rosjanin sprawiał wrażenie oszołomionego, Haveles prowadził go za ramię. Za nimi szedł Japończyk, niezbyt pewnie trzymając się na nogach. Ich doradcy, mocno oszołomieni wybuchem, zostali nieco z tyłu.

–Mój Boże,– westchnął Haveles. – Prezydent...

–Nie – przerwał mu Hood. Słyszał już całkiem dobrze. – Sobowtór. To dlatego nie ma tu gwardii. Użyli go, żeby zdemaskować wtyczkę.

–Nie doceniłem tego człowieka. Gdybyśmy zginęli, a on nie, zdobyłby sobie nowych sojuszników.

–I dostałby, czego chciał, gdyby zamachowiec nie wpadł w panikę.

–W panikę? Co ma pan na myśli?

Hood dostrzegł, że krew przestała ciec z rany na piersi martwego Syryjczyka.

–Zamachowiec liczył na to, że pozostali ochroniarze będą patrzyli przed siebie i nie dostrzegą, co się dzieje. Zaskoczyło go, że ktoś zauważył skutki działania elektryczności statycznej, gdy uzbroił zapalnik elektromagnetyczny. – Palcem wskazał martwego terrorystę. – Musiał działać od wielu lat, by dotrzeć tak blisko prezydenta.

–Kim był?

–Aziz sądzi... sądził... że to Kurd. Jestem tego samego zdania. Coś się tu dzieje, coś większego, niż tylko próba wywołania wojny między Syrią a Turcją.

–Ale co? – zdziwił się ambasador.

–Nie mam zielonego pojęcia – przyznał Hood.

Okrzyki zza drzwi stawały się coraz głośniejsze i wyraźniej się zbliżyły.

–Gdzie jest nasza ochrona?! – zawołał Rosjanin.

–Tego też nie wiem – odparł Paul, bardziej do siebie niż do pytającego.

Podejrzewał jednak najgorsze. Spojrzał przez rzedniejący dym. – Ambasadorze Adriejew, czy nic się nie stało pańskim ludzom?

–*Niet.*

–Ambasadorze Serizawa Nic panu nie jest?

–Wszystko w porządku – padła odpowiedź kogoś z otoczenia ambasadora.

Dyrektor Centrum sprawdził stan reszty ofiar wybuchu. Nikt nie pozostał przy życiu. Kilka osób – wliczając w to samego terrorystę – oddało życie, by wywabić z jamy innych terrorystów. Co za szaleństwo!

–Warner! Słyszysz mnie?

–Tak – dobiegł go stłumiony głos. Bicking prawdopodobnie mówił przez chusteczkę.

–Masz telefon?

–Mam.

–Zadzwoń do Centrum. – Paul zamilkł, przysłuchując się dobiegającym z dala odgłosom wybuchów. Myślał o Kurdach, których ludzie Herberta śledzili aż do bram

pałacu. – Opowiedz Bobowi, co się tu dzieje. Powiedz mu, że być może jesteśmy oblężeni.

Hood zgarbił się i, unikając wznoszącej się chmury dymu, ruszył w kierunku drzwi.

–Dokąd pan idzie? – spytał go Haveles.

–Chcę sprawdzić, czy mamy jakąś szansę, żeby się stąd wydostać.

· Wtorek, 14.53 – dolina Bekaa, Liban

Falah nic z tego nie rozumiał. Biegł szybko, klucząc wśród wzgórz, niezależnie jednak od tego, jak szybko się poruszał, Kurdowie deptali mu po piętach. Zupełnie, jakby mieli w górze obserwatorów, ale to przecież niemożliwe, drzewa rosły tu gęsto, a on przecież prawie cały czas uciekał pod drzewami. Żywno to, jakimś cudem, pościg cały czas trzymał się trzydziści do pięćdziesięciu metrów za nim.

W końcu, wyczerpany i zdumiony, zaprzestał ucieczki. Zdjął z głowy przeпоcony zawój, znalazł kij, rozwiesił na nim kawałek płótna niczym mały namiot, wsunął pod niego głowę i udał pogrążonego w drzemce. Kurdowie pojawili się w niespełna minutę później. Otoczyli go szerokim kręgiem i zaczęli się zbliżać. Otworzył oczy, usiadł i uniósł dłonie.

–*Al malak!* Nie tak szybko! – krzyknął.

Nadal się zbliżali, deptając niskie krzaczki, omijając drzewa. Zatrzymali się dopiero, kiedy krąg ścieśnił się tak, że stali dosłownie ramię w ramię.

–Co robicie? – spytał Falah. – Czego chcecie? w

Jeden z mężczyzn kazał mu założyć ręce za plecy i wstać powoli. Spełnił natychmiast rozkaz. Próbował spytać, co się dzieje. Kazali mu być cicho. Ten rozkaz wypełnił także. Skrępowano mu ręce, a drugi koniec sznura związano na szyi. Został zrewidowany, podczas rewizji terroryści znaleźli oczywiście broń i paszport. Dali go jednemu ze swych ludzi, który biegiem ruszył w stronę bazy. W końcu i jego poprowadzono do jaskini, z twarzą uniesioną w niebo. Kiedy pod stopami poczuł gruntową drogę, starał się stąpać tak ciężko, jak to tylko możliwe. Być może żołnierze Iglicy dostrzegą jego ślady i dzięki nim znajdą bezpieczne przejście wśród min.

Po drodze minął furgonetkę. Przechodząc obok zauważył coś, czego nie mógł dostrzec z ukrycia. W środku paliły się światła, słychać było także niski szum. Albo terroryści wyszkoleni byli wystarczająco dobrze, by samodzielnie rozpracować komputery, w co raczej trudno uwierzyć, albo też ktoś załamał się podczas tortur. Wyjaśniało to w każdym razie zaciekłość i precyzję pościgu. Ucieszył się, że nie nadał głosowej wiadomości do Tel Nef. Tę z pewnością udałoby się im wyłapać. Krótki sygnał kodowy zginął, być może, w trzasku zakłóceń, a nawet jeśli nie, skąd mieliby wiedzieć, co oznacza?

Wprowadzono go do jaskini.

Młody żołnierz armii izraelskiej wiedział całkiem sporo o grupach działających w tej części świata. Palestyński Hamas i Hezbollah lokowały się zazwyczaj na wsiach lub farmach, tak, by każdy skierowany przeciw nim atak groził stratami wśród ludności cywilnej. Libański Front Wyzwolenia, którego celem było obalenie syryjskich rządów w Libanie, działał w małych, ruchliwych grupkach. Grupy Kurdów były nieco większe, lecz również i one preferowały mobilność. Po wejściu do jaskini Falah wytężył wzrok, nie dostrzegł jednak niczego, co świadczyłoby o mobilności. Miejsca do spania z pryczami i materacami, światło elektryczne, broń na specjalnych stojakach, zapasy żywności. Choć przelotnie, dostrzegł też coś, co w Sayeret

Ha'Druzim nazywali „Tropami Szatana” – płytkie jamy, łączące ziemię z piekłem, bo przecież nikt nigdy nie wyszedł z nich żywy. Falah nie marnował czasu na zastanawianie się, czy opuści jaskinię żywy. Trening, który przeszedł, nie ograniczał się do wyrobienia w żołnierzu pozytywnego nastawienia, lecz wykorzeniał nastawienie negatywne.

Nadal związanego, zaprowadzono go po schodach na dół, do pomieszczenia będącego najwyraźniej centrum dowodzenia grupy. Zdumiało go, jak starannie wykończony jest wnętrze. Ci ludzie z pewnością nie spodziewali się, by ktoś próbował ich wykurzyć. Ciekawe, czy to ma być serce nowego kurdyjskiego państwa? Przesuniętego ze wschodniej Turcji, gdzie znajdowało się przed wiekami, na zachód. Obejmującego część Syrii i Libanu. Z dostępem do Morza Śródziemnego.

Za biurkiem siedział mężczyzna pogrążony w lekturze jakichś papierów. Za nim skulił się na stołku inny mężczyzna, mający na uszach słuchawki, słuchający radia i robiący notatki. Eskortujący Falaha terrorysta zasalutował. Siedzący za biurkiem człowiek oddał honory i wrócił do lektury czegoś, co wyglądało jak transkrypcje rozmów radiowych. Minęły dwie, może nawet trzy minuty nim wziął paszport Falaha, otworzył go, przyjrzał mu się przez chwilę i odłożył na bok. Spojrzał na jeńca. Nierówna, czerwona blizna przecinała jego twarz od grzbietu nosa do środka prawego policzka. Oczy miał nieruchome, jasne, martwe.

–*Isayid Aram Tunas*. Pan Aram Tunas – powiedział Siriner.

–*Ajwa, akooja*. Tak, mój bracie – odparł Falah.

–Jestem twoim bratem? – zdziwił się dowódca.

–*Ajwa*. Obaj jesteśmy Kurdami. – Falah potrząsnął zaciśnięta w pięść dłonią. – Obaj jesteśmy bojownikami o wolność.

–A więc z tego powodu tu przybyłeś? By walczyć z nami ramię przy ramieniu?

–*Ajwa*. Słyszałem o wysadzeniu tamy. Słyszałem plotki, z których wynikało, że ci, co tego dokonali, mają obóz w dolinie Bekaa. Pomyślałem sobie, że poszukam ich i dołączę do nich.

–To dla mnie zaszczyt. Skąd masz broń?

–Jest moja, komendancie. – W głosie Falaha brzmiała duma.

–Od kiedy?

–Kupiłem ją na czarnym rynku, w Semdinli, dwa lata temu. Była to częściowo prawda. Rewolwer został kupiony na czarnym rynku, dwa lata temu, choć nie on go kupił.

Siriner odłożył broń. Od radiooperatora odebrał nowe depesze, nie spuszczał jednak wzroku z jeńca.

–Wykryliśmy na wzgórzach kogoś wyposażonego w radio. Widziałeś go, może słyszałeś?

–Nikogo nie widziałem, komendancie.

–Dlaczego uciekałeś?

–Ja? Przecież ja nie uciekałem. Kiedy pańscy ludzie otoczyli mnie, właśnie odpoczywałem.

–Byłeś spocony.

–Na dworze jest wielki upał. Wolę iść, kiedy robi się chłodniej. Przez głupotę nie zorientowałem się, że jestem tak blisko celu.

Siriner przyglądał mu się uważnie.

–A więc pragniesz walczyć wraz z nami, Aramie – stwierdził raczej niż spytał.

–Tak. Bardzo.

Dowódca zerknął na żołnierza, stojącego za plecami Falaha.

–Rozwiąż go, Abdullah – powiedział.

Żołnierz spełnił rozkaz. Gdy tylko uwolniono mu głowę, Falah rozluźnił mięśnie karku. Wolne dłonie kilkakrotnie zacisnął w pięści.

Siriner wskazał jego broń.

–Weź ją – powiedział.

–Dziękuję, komendancie.

–Mamy tu wiele do roboty. Jeśli chcesz służyć u mnie, będziesz wypełniał rozkazy bez wahania i bez zbędnych pytań.

–Tak jest.

–*Tayib*. Doskonale – powiedział Siriner. Abdullah, zabierz go do więźniów.

–Tak jest! – odpowiedział natychmiast żołnierz.

–Wśród naszych jeńców jest dwójka Amerykanów, Aramie. Mężczyzna i kobieta – tłumaczył Siriner. – Masz strzelić im z twojego rewolweru w tył głowy. Kiedy ich zastrzelisz, powiem ci, co zrobić z ciałami. Jakies pytania?

–Nie mam żadnych pytań, komendancie.

Falah popatrzył na rewolwer, podniósł go błyskawicznie, wymierzył w głowę siedzącego za biurkiem mężczyzny i pociągnął za spust. Rozległ się suchy trzask. Broń była nie nabita.

Siriner uśmiechnął się. Falah poczuł na karku zimny dotyk lufy.

–Widzieliśmy cię z amerykańskiego samochodu – powiedział dowódca Kurdów. – Są tam różne urządzenia do obserwacji przeciwnika. Widzieliśmy, jak uciekałeś. Wiedzieliśmy, że nas szpiegujesz.

Falah zaklął pod nosem. Przecież widział furgonetkę, tę, na której Amerykanom tak strasznie zależało. Powinien założyć, że jest wykorzystywana. Za takie błędy ktoś prawie zawsze płaci życiem. Najwyraźniej jemu też przyjdzie zapłacić tę cenę.

–Interesujące, bardzo interesujące – zauważył Kurd. – Większość żydowskich szpiegów posunęłaby się do popełnienia morderstwa. Jesteś więc Druzem albo Beduinem. Wy bywacie bardziej wrażliwi.

Rzeczywiście, agenci Izraela, schodzący do podziemia głęboko i na długo, musieli robić wszystko, by nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń. Konieczne poświęcenie w imię większego dobra. Druzowie i Beduini, zarówno zwiadowcy, jak i agenci, nie pracowali w ten sposób.

Siriner z uśmiechem zabrał Falahowi jego czterdziestkęczwórkę.

–Na marginesie, to ja sprzedaję je na czarnym rynku w Semdinli – dodał jeszcze. – Aram Tunas to mój bardzo dobry klient. Zupełnie go nie przypominasz. I nie myślisz jak on. Wyjąłem tylko jeden nabój, żeby broń nie wydała ci się za lekka. Powinieneś strzelić powtórnie.

Falah przeklął się za głupotę. Ten człowiek miał oczywistą rację, a on powinien strzelić po raz drugi.

Siriner nie spuszczał z niego wzroku.

–Może przed pożegnaniem zechciałbyś mi powiedzieć, kto to jest Veeb?

–Co takiego?

Kurd wyjął spod biurka radio.

–Veeb. Z kim próbowałaś się skontaktować?

Druz nie miał pojęcia, o co chodzi, ale przecież nie robiło to nikomu żadnej różnicy. Gdyby powiedział prawdę, i tak by mu nie uwierzono. Więc milczał.

–Nieważne. – Siriner wezwał do siebie jeszcze jednego żołnierza. Wręczył mu broń jeńca.

–Zabierzcie naszego szpiega na zewnątrz i zabijcie go – rozkazał. – Dopilnujcie, by jego ciało wróciło do Żydów. Użyjcie radia w samochodzie, by poinformować Amerykanów, że w przypadku podjęcia kolejnej próby ich ludzie wrócą do domu tak jak ten.

Falaha wyprowadzono pod lufami dwóch, wycelowanych w tył głowy, rewolwerów. W wojsku nauczono go, jak walczy się z przeciwnikiem, celującym do człowieka z tyłu. Jeśli przeciwnik jest praworęczny, należy obrócić się w kierunku ruchu wskazówek zegara, jeśli leworęczny, w przeciwnym. Odpowiednio prawy lub lewy łokieć trzyma się na wysokości pasa, wyciągnięty lekko do tyłu. Podczas obrotu odtrąca się broń łokciem, tak że jej lufa zostaje odchylona od celu. Można tego dokonać nawet ze związanymi rękami, ale tylko w przypadku jednego przeciwnika. Siriner najwyraźniej doskonale znał ten sposób, skoro wyznaczył dwóch strażników.

Falah miał tylko jedno wyjście. Za chwilę znajdą się poza jaskinią, w pełnym słońcu. Spróbuje skosić przeciwników. Padnie na ziemię, wyciągnie nogę i zatoczy nią jak najszerszy krąg. Miejsca mu nie zabraknie – choć pewnie przynajmniej jeden z terrorystów będzie miał czas, żeby wystrzelić.

Młody Druz przyzwyczał się wprawdzie do życia w cieniu śmierci, nie miał jednak okazji przyzwycząć się do klęski. Jeśli czymś się martwił to właśnie tym, że przegrał. Bolało go też, że Sara, najładniejszy kierowca autobusu na świecie, nie dowie się nigdy, co zaszło. Nawet gdyby znaleziono jego ciało, nikt jej o tym nie powie. Izrael pod żadnym pozorem nie przyzna się, że wysłał swojego agenta do doliny Bekaa. Do szału doprowadzała go myśl o tym, że dziewczyna posądzi go prawdopodobnie o to, że uciekł przed nią.

Na skórze poczuł ciepłe promienie popołudniowego słońca. Zatrzymali się na drodze, tuż za wyjściem z jaskini. Strażnik stał przy samochodzie, w odległości kilku metrów od jeńca. W rękę trzymał rewolwer. Patrzył na nich, twarz miał bez wyrazu.

Falah pomodlił się do Boga i pożegnał z rodzicami. Był gotów umrzeć tak, jak żył. Walcząc.

· Wtorek, 14.59 – Damaszek, Syria

Dwa dżipy pędziły w stronę bazaru al-Bazuriye. Mehmet widział dym, wypływający przez okna po południowo-wschodniej stronie pałacu. Uśmiechnął się. Przy północno-wschodniej i południowo-zachodniej ścianie Kurdowie już zajmowali pozycje i strzelali do policji. Turyści, klienci staromiejskich handlarzy i sami handlarze uciekali we wszystkich możliwych kierunkach, powiększając tylko nieprawdopodobne wręcz zamieszanie. Kilkunastu Kurdów doskonale wiedziało, do kogo strzelać, a do kogo nie, garstka policjantów znalazła się jednak w znacznie mniej komfortowej sytuacji. W zasięgu wzroku mieli setki biegających w panice, padających na ziemię i czołgających się po niej ludzi, z których każdy mógł być wrogiem.

Mehmet stanął na przednim siedzeniu dżipa, obok kierowcy. Chciał, żeby jego ludzie go widzieli, chciał, żeby widzieli, jaki jest dumny. Po dziesięcioleciach cierpliwego oczekiwania, dziesięcioleciach karmienia się nadzieją, po długich miesiącach planowania akcji, wolność znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Dzięki zamontowanej w dżipie radiostacji wiedział, że właśnie dziś znienawidzona tajna policja Mukhabarat zatrzymała podejrzanych Kurdów i przeszukała kryjówki w poszukiwaniu broni. Broń ukryta jednak została. przed wieloma dniami. Część zakopano na cmentarzu, część, zabezpieczoną w wodoodpornych workach, zatopiono w rzece. Późnym rankiem kurdyjscy bojownicy rozlokowali się blisko skrytek, udając pogrążonych w żalu żałobników lub po prostu spacerując wzdłuż rzeki.

Broń wydobyto dopiero po wybuchu, sygnalizującym śmierć tyrana i początek nowej ery.

Strzały słyhać było wszędzie dookoła. Choć oddziały jadący teraz dżipami w momencie zamachu miał być tuż przed pałacem, Mehmet nie martwił się. Jego ludzie walczyli dzielnie i przejęli inicjatywę. Wierny Akbar dostał rozkaz odpalenia bomby, jeśli tylko będzie miał pewność, że wraz z nim zginie prezydent. Akbar był tureckim agentem, urodzonym z kurdyjskiej matki, prawdziwym męczennikiem sprawy. W szafce zostawił list z informacją, że dokonuje zamachu, by pomścić dziesięciolecia ludobójstwa, którego ofiarą padły tysiące rodaków jego matki.

Natychmiast po zamachu ich człowiek w ochronie miał zneutralizować agentów towarzyszących zachodnim dostojnikom. Zadaniem Mehmeta i jego oddziału było wyłącznie unieszkodliwienie pozostałych pyry życia żołnierzy z gwardii pałacowej i zabezpieczenie pałacu. Po jego wykonaniu nadejdzie czas na zrzućenie syryjskich mundurów i wezwanie Sirinera do Damaszku. Wojska syryjskie zgromadziły się na północy, wzdłuż granicy z Turcją, Irak próbuje wykorzystać zamieszanie, głodnym wzrokiem spoglądając na Kuwejt. W tej sytuacji Kurdowie z trzech państw bez problemu ruszą na Damaszek. Przemawiając w imieniu narodu kurdyjskiego, oznajmia światu o zbrodniach Syryjczyków, Irakijczyków i Turków. Zwrócą na siebie oczy świata i zażądadają nie tylko sprawiedliwości, lecz czegoś znacznie większego: ojczyzny. Niektóre państwa z pewnością potępią ich metody, a jednak od czasów

rewolucji amerykańskiej do momentu powstania Izraela żadne państwo nie narodziło się bez gwałtu. W ostatecznym rozrachunku najważniejsza jest przecież słuszność sprawy, a nie metody, stosowane w jej imieniu.

Policjanci odskoczyli, przepuszczając dżipy. Ich dowódcy zasalutowali Mehmetowi. Policja sądziła pewnie, że stoi, by dodać im odwagi, nappełnić ich nadzieją.

I niech tak zostanie, pomyślał Mehmet. W końcu naprawdę przyjechał im pomóc... w ten sam sposób, w jaki władze zawsze pomagały jego ludowi: morderstwem, zagładą.

Dżipy podjechały do zachodniej ściany pałacu. Mehmet wyskoczył z samochodu, jego żołnierze bez wahania poszli za nim. Dziesięciu mężczyzn w syryjskich mundurach szło wyprostowanych, jakby każdy z nich miał się za zaczarowanego. Podeszli do ozdobnego żelaznego ogrodzenia. Na teren pałacu wpuścił ich strażnik, kryjący się za marmurową rzeźbą przedstawiającą wielbłąda naturalnych rozmiarów. Był to strażnik miejski, a nie żołnierz ochrony prezydenta.

–Co się tu dzieje? – spytał Mehmet. Kule padały wokół niego, drąc ciemnozieloną darń, lecz przecież Kurdowie wiedzieli, kim jest i nie zamierzali go trafić.

Strażnik krył się przed kulami za kamiennym wielbłądem.

–Słyszałem wybuch – powiedział. – W sali przyjęć wschodniego skrzydła.

–Gdzie był prezydent?

–Sądzimy, że właśnie tam.

–Sądzicie? – warknął Mehmet.

–Ostami kontakt mieliśmy przed wybuchem. Jeden z agentów ochrony przekazał innemu informacje, że prezydent opuszcza pokoje, by udać się na spotkanie z cudzoziemcami.

–Agent ochrony? Nie żołnierz gwardii pałacowej?

–Nie, to był pałacowy policjant – odparł strażnik.

Mehmeta mocno to zaskoczyło. Dokądkolwiek udawał się prezydent, zarówno w obrębie pałacu, jak i poza nim, łącznością i zabezpieczeniem terenu zajmował się zawsze elitarny oddział jego gwardii.

–Czy wezwano karetkę? – spytał.

–Nic o tym nie wiem.

Mehmet spojrział na pałac. Od wybuchu minęło dobre pięć minut. Gdyby coś się stało prezydentowi, najpierw wezwano by jego osobistego lekarza, który z całą pewnością byłby już na miejscu. Coś tu się nie zgadzało.

Skinął trzymanym w dłoni pistoletem, nakazując strażnikowi opuszczenie posterunku i dołączenie do oddziału, po czym pobiegł w kierunku pałacu.

· Wtorek, 7.07 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

Marthę Macall obudził pisk pagera. Spojrzała na wyświetlacz. Wywoływał ją Curt Hardaway.

Spędziła noc w Centrum, drzemiąc w spartańsko urządzonej świetlicy dla personelu. Zasnęła dopiero o trzeciej nad ranem. Sama przed sobą musiała przyznać, że kiedy coś wyprowadzało ją z równowagi, była jak pies broniący kości, a perspektywa oddania kontroli nad Centrum zastępcy Paula na nocnej zmianie, Gurtowi Hardawayowi, mocno wyprowadziła ją z równowagi. Sprawy zagraniczne wymagały po prostu delikatności, a Curt umiał tylko rozpychać się łokciami. Posunęła się aż do zapytania asystentki Lowella Coffeya, Aideen Marley, kto ma prawo podejmowania decyzji, jeśli coś wydarzy się w nocy. Okazało się, że gdyby to Paul Hood pozostał na służbie podczas nocnej zmiany, miałby prawo podejmować wiążące decyzje, lecz, zgodnie z kartą Centrum, pełniący obowiązki dyrektora nie dysponuje aż taką władzą. Do wpół do ósmej rano Centrum rządził Hardaway.

Miała nadzieję, że nie stało się nic wielkiego. Hardaway był kuzynem i protegowanym dyrektora CIA, Larry'ego Rachlina, mianowanie go na to stanowisko było prostą koniecznością. Prezydent pragnął odciąć Centrum od wpływów CIA, na jego dyrektora mianował więc człowieka z zewnątrz, by jednak zadośćuczynić społeczności agentów, zmuszony był na jego zamiennika wyznaczyć weterana. Pochodzący z Oklahomy Hardaway był nawet całkiem sympatycznym facetem i intelektualnie dorastał do powierzonych mu obowiązków, Martha szybko jednak odkryła, że, po pierwsze, brakowało mu polotu, po drugie, nie umiał wykorzystać polotu współpracowników. Miał także niezwykły talent mówienia szybciej niż myślał. Na szczęście dla Centrum, triumwirat Hood-Rodgers-Herbert w ciągu dnia trzymał sprawy w garści wystarczająco mocno, by Hardaway nie był w stanie niczego spieprzyć nocą.

Podniosła słuchawkę telefonu, stojącego przy kozetce. Wystukała numer Curta. Natychmiast podniósł słuchawkę.

–Lepiej, żebyś zaraz się do mnie pofatygowała – powiedział. – Ten burdel na pewno przejdzie na twoją zmianę.

–Już idę – odparta Martha i przerwała połączenie. Oto cały Hardaway, taktowny jak zwykle.

Świetlica dla personelu znajdowała się obok Czołgu, pozbawionej okien sali konferencyjnej, otoczonej elektroniczną pajęczyną. Na świecie nie istniało jeszcze urządzenie, zdolne podpatrzeć lub choćby podsłuchać, co się tam dzieje. Idąc korytarzem w lewo, wzdłuż kolistej ściany, dochodziło się najpierw do gabinetu Boba Herberta, potem Mike'a Rodgersa, a na końcu Paula. Hooda. Martha skręciła w prawa. Jako pierwsze znajdowało się tu jej biuro, potem gabinet łącznika z FBI i Interpolem, Darrella McCaskeya, następnie sala komputerowa Matta Stopa, który nazywał ją "orkiestrą", po nich zaś biura prawne, królestwo Coffeya, i ochrony środowiska, gdzie rządził Katzen, a także dział psychologii, ambulatorium, pokój łączności, niewielki gabinet Iglicy – domena Bretta Augusta i dwuosobowy gabinet

rzeczniczki prasowej Centrum, Ann Farris.

Mimo że szła szybko, Bob Herbert dogonił ją na swym wózku.

–Czy Curt powiedział ci, o co właściwie chodzi? – spytał.

–Nie – odparta zgodnie z prawdą. – Wiem tylko, że burdel potrwa do mojej zmiany.

–Niestety, to prawda. W Damaszku mamy prawdziwe piekło. Właśnie dzwonił Warner. W pałacu Azema miał miejsce samobójczy zamach, w wyniku którego zginął sobowtór prezydenta.

–Ten szewc?

Herbert skinął głową.

–A więc prezydenta najprawdopodobniej nie ma nawet w Damaszku – stwierdziła Martha. – Co z ambasadorem Havelesem?

–Był w pałacu. Trochę wstrząśnięty, ale nic więcej. O ile wiem, pałac jest teraz oblegany. Na nieszczęście Warner telefonował z sali, w której miał miejsce wybuch i niewiele mógł nam powiedzieć. Przełączyłem go na Curta. Tę linię trzymamy wolną.

–Co z Paulem?

–Wyszedł poszukać agentów ochrony, którzy przyjechali razem z nim.

–Powinien zostać na miejscu. Być może agenci trafią na miejsce, nim on ich znajdzie i wyprowadzą wszystkich... oprócz niego.

–Nie jestem pewien, czy ktokolwiek jest w stanie wyprowadzić kogokolwiek skądkolwiek i gdziekolwiek. Chyba że zna jakieś tajne wyjścia. Izraelski zwiad satelitarny ukazał walkę wokół pałacu. Czterdziestu do pięćdziesięciu napastników w strojach cywilnych akurat wdziera się na mury. Dostępu bronić im będą żołnierze armii syryjskiej, którzy właśnie pojawili się na scenie. W liczbie całych dziesięciu.

–Zasłużyli na to, wysyłając wszystkie wojska na północ – stwierdziła spokojnie Martha. – A co to wszystko właściwie oznacza?

–Niektórzy z moich ludzi sądzą, że Turcja zaatakowała ze wsparciem Izraela – powiedział Herbert. – Iran twierdzi, że myśmy to wszystko zaaranżowali. Larry Rachlin od dawna marzył o obaleniu tego ich prezydenta, bo Syryjczycy popierają terroryzm, ale przysięga, że CIA nie ma z tym nic wspólnego.

–A jakie jest twoje zdanie? – zainteresowała się Martha, pukając do drzwi gabinetu Hardawaya. Zamek odskoczył natychmiast. Zawahała się, nim je otworzyła.

–Ja tam stawiam na Kurdów – powiedział Herbert.

–Dlaczego?

–Ponieważ tylko Kurdowie mogą na tym wszystkim zyskać. Przeprowadziłem także proces eliminacji. Moi ludzie w Turcji i Izraelu są szczerze zaskoczeni obrotem sytuacji.

Martha skinęła głową.

Weszli do gabinetu Hardawaya.

Chudy, brodaty Curtis Sean Hardaway siedział za biurkiem, wpatrując się w komputer. Oczy miał podkrążone, kosz na śmieci wypełniony był papierkami po gumie do żucia. Zastępca Mike'a Rodgersa, młody generał William Abrams, zajął miejsce w wygodnym fotelu z wysokim oparciem. Na kolanach trzymał otwartego

laptopa. Gęste czarne brwi prawie schodziły mu się nad nosem. Pomiędzy czerwonymi policzkami widać było lekko rozchylone, wąskie usta.

Wyposażony w głośnik telefon na biurku Hardaway'a potrzaskiwał od czasu do czasu tak, że słychać go było w całym gabinecie.

Curt rozgryzł kolejny kawałek gumy do żucia.

–Dzień dobry, Martho – powiedział. – Bob, Warner nie odezwał się od czasu, kiedy przełączyłeś go na mnie.

–Strzały z broni ręcznej – odezwał się Abrams spokojnym, równym głosem. – I trzaski zakłóceń na liniach wojskowych.

–Więc nie wiemy, czy Paul dotarł do agentów ochrony – stwierdziła Martha

–Niczego nie wiemy. Prezydent chce mieć scenariusz ewakuacji na siódmą piętnaście, a, prawdę mówiąc, możliwości mamy mocno ograniczone. W ambasadzie jest piechota morska, której nie wolno działać poza ambasadą i...

–Zawsze mogą wyciągnąć ludzi najpierw, a na pytania odpowiadać później – wtrącił Abrams.

–Jasne – przyznał Hardaway. – W Incirlik stacjonuje Delta. Można ich zebrać i przerzucić na dach pałacu w czterdzieści minut.

–Co spowodowałoby pewne problemy, gdyby za tym wszystkim stali Turcy – zauważył Abrams. – Głupio tak strzelać do sojuszników.

–Nawet kiedy ratujemy ambasadora? – spytała Martha.

–Tyle że to nie ambasador był celem zamachu – przypomniał jej Abrams. – Na razie nie mamy informacji, jakoby ambasador w ogóle był zagrożony.

Hardaway zerknął na zegarek.

–Istnieje jeszcze jedna opcja – zauważył. – Możemy skierować do Damaszku Iglicę. Rozmawiałem z Tel Nef. Są w stanie odwołać oddział i przerzucić go helikopterami do pałacu w ciągu pół godziny.

–Nie! – Herbert niemal krzyczał.

–Spokojnie, Bob – wtrąciła Martha. – Aideen załatwił sprawę z Komisją Nadzoru Wywiadu. Mogą oficjalnie operować na Bliskim Wschodzie. Z trzech naszych oddziałów tylko oni są tam całkiem legalnie.

–Nie ma mowy. Potrzebujemy ich, żeby wyciągnąć naszych ludzi z doliny Bekaa. Martha spojrzała mu prosto w oczy.

–Tylko nie zaczynaj z tym twoim „nie ma mowy” – ostrzegła. – Nie wtedy, kiedy na linii ognia znaleźli się Paul i ambasador...

–Nie wiemy, czy grozi im bezpośrednio niebezpieczeństwo.

–Bezpośrednie niebezpieczeństwo! – Tym razem to ona podniosła głos. – Pałac jest ostrzeliwany!

–A CR i jego personel wpadli w łapy terrorystów! – Herbert nawet nie próbował się opanować. – To przynajmniej wiemy na pewno, a Iglica jest już prawie na miejscu. Niech skończą misję, dla której w ogóle ich tam wysłaliśmy. Chryste, oni pewnie nie mają nawet planów pałacu! Nie można wysłać ich tak na ślepo.

–Są. uzbrojeni i dobrze wyekwipowani. Nie nazwałabym tego wysyłaniem na ślepo.

–Ale przygotowywali się do akcji w dolinie Bekaa. Tym się zajmowali. Słuchaj, masz na linii Warnera. Poczekajmy, aż zgłosi się Paul. Niech on do nas zadzwoni.

–Przecież wiesz, co powie.

–Wiem, jak jasna cholera – warknął Bob. – Powie, że Iglica ma robić swoje, a ty masz trzymać swoje ambicje na bardzo krótkiej smyczy.

–Moje ambicje?

–No jasne. Uratujesz ambasadora i zdobędziesz sobie sto punktów w Departamencie Stanu. Co ty sobie myślisz, że nikt nie wie, jaką wyznaczyłeś sobie dróżkę do kariery?

Martha aż zeszywniała z wściekłości.

–Odezwij się do mnie jeszcze w ten sposób, a wszystkie twoje dróżki okażą się ślepe!

–Martho, uspokój się – przerwał im Hardaway. – Bob, ciebie to także dotyczy. Nie przespałeś nocy. A mnie i tak brakuje czasu. Dyskusja o Iglicy w każdym razie wydaje się raczej akademicka. O siódmej trzydzieści prezydent zdecyduje o zniszczeniu CR Tomahawkim, wystrzelonym z USS „Pittsburgh”, znajdującym się teraz na Moczu Śródziemnym.

–Jezu Wszechmogący! – nie wytrzymał Herbert. – Przecież obiecał, że da nam trochę czasu!

–I dał. A teraz boi się, że Kurdowie użyją CR przeciw Syryjczykom i Turkom.

–Oczywiście, że go użyją – wtrącił Abrams. – Jeśli już go nie używają.

–A więc zakładasz, że wiedza, jak go użyć. Uruchomienie zainstalowanego w CR sprzętu nie przypomina ruszenia jakimś cholernym wypożyczonym samochodem!

–Jeśli ktoś pokaże im jak, nie widzę różnicy.

Herbert obrzucił Abramsa wściekłym spojrzeniem.

–Uważaj, Bill...

–Bob, wiem, jak bardzo przyjaźnisz się z Mike'em. Tylko że nic nie wiemy o tym, co terroryści mogli zrobić, by zmusić naszych ludzi do mówienia.

–Jestem pewien, że twój dowódca doceni zaufanie, jakie w nim pokładasz.

–Nie chodzi o Mike'a – wtrąciła Martha. – Wśród zakładników jest trójka cywilów. Nie są tacy twardzi jak Rodgers.

–Mało jest ludzi równie twardych jak Rodgers – przytaknął Bob. – I to jeszcze jedna przyczyna, by ich wszystkich wyciągnąć jak najszybciej! Potrzebujemy Mike'a. I jesteśmy coś winni ludziom, których tam wysłaliśmy.

–Wyciągniemy ich, jeśli to tylko będzie możliwe.

–Jeśli zrezygnujemy już teraz, to wyciągnięcie ich automatycznie okaże się niemożliwe! Jezu, jak ja bym chciał, żebyśmy mówili tym samym językiem.

–Ja też – stwierdziła chłodno Martha. – Właściwe pytanie brzmi: „Czy zakładnicy nie są już przypadkiem straceni? Czy nie powinniśmy skierować tego, co mamy, na Damaszek?”

–Martha ma rację – powiedział Hardaway. – Jeśli prezydent wyda rozkaz zniszczenia CR rakieta, nie będziemy mieli wyboru. Zmusi nas do przerwania misji Iglicy. Jeśli jej nie odwołamy, oddział podzieli los załogi.

Herbert splótł leżące na kolanach dłonie i zacisnął je mocno.

–Więc musimy dać Iglicy więcej czasu. *Tomahawk* doleci na miejsce w pół godziny. Pół godziny może wystarczyć do wyciągnięcia naszych ludzi. Jeśli jednak wycofamy Iglicę, Mike i reszta są martwi, koniec, kropka. Czy ktoś tu nie zgadza się z tą oceną sytuacji?

Nikt się nie odezwał. Hardaway znów zerknął na zegarek.

–Za dwie minuty muszę przedstawić prezydentowi naszą ocenę sytuacji w Damaszku. Martha?

–Moim zdaniem powinniśmy skierować tam Iglicę. Ci ludzie są odpowiednio wyposażeni, są w polu, to jedyna legalna opcja obronna, jaka nam pozostała.

–Bill?

–Zgadzam się z Martha. Moim zdaniem nasi ludzie są lepiej wyszkoleni od Delty, a już z całą pewnością od strzegącej ambasady piechoty morskiej.

Hardaway spojrzał na Herberta.

–Bob?

Herbert potarł twarz dłońmi.

–Zostawcie Iglicę w spokoju. Przecież mogą wycofać się na pięć minut przed uderzeniem *Tomahawka*. Będą mieli co najmniej pół godziny na wyciągnięcie zakładników.

–Iglicy potrzebujemy w Damaszku – powiedziała powoli Martha.

Bob przycisnął palce do czoła. Nagle opuścił ręce.

–A co będzie, jeśli znajdę wam pomoc dla Paula i ambasadora?

–Kogo? – zdziwiła się Martha.

–Przynajmniej spróbuję. Nie-wiem, czy Żelazna Łapa da mi tych ludzi.

–Kogo? – powtórzyła.

–Ludzi, którzy mogą znaleźć się na miejscu w pięć minut. Herbert podniósł słuchawkę bezpiecznego telefonu, stojącego na małym stoliku przy zajmowanym przez Abramsa fotelu z wysokim oparciem. Przyciskiem wybrał wolną linię i polecił swemu asystentowi, by skontaktował się z generałem Bar-Levim w Hajfie.

Hardaway zerknął na zegarek.

–Słuchaj, muszę dzwonić do prezydenta – powiedział.

–Powiedz mu, że potrzebuję pięciu minut. – Bob Herbert spojrzał w zmęczone oczy zastępcy dyrektora Centrum. – Powiedz mu, że albo wyciągnę Paula i ambasadora bez pomocy Iglicy, albo do południa na biurku Marthy znajdzie się moja rezygnacja.

· Wtorek, 12.17 – Morze Śródziemne

Tomahawk to pocisk raketowy średniego zasięgu, który można wystrzeliwać z wyrzutni torpedowych lub ze specjalnie skonstruowanych pionowych wyrzutni lądowych. Istnieją trzy rodzaje: TASM, używany przeciw okrętom, *TLAM-N*, klasy ziemia-ziemia wyposażony w głowicę jądrową oraz *TIAM C* z głowicą konwencjonalną, i wreszcie *TIAM-D*, z głowicą zawierającą subamunicję.

Siedmiopółmetrowy *Tomahawk* startuje na silniku raketowym. Po trzydziestu milisekundach z jego kadłuba wysuwają się i rozkładają małe skrzydła. Silnik raketowy wyłącza się po kilku sekundach i zastąpiony zostaje silnikiem odrzutowym. Rakieta osiąga prędkość marszową, nieco przekraczającą osiemset kilometrów na godzinę. Leci nisko, czy to nad wodą, czy też nad lądem. System nawigacyjny utrzymuje ją na trasie do celu dzięki informacjom pobieranym od radarowego wysokościomierza. Trasa przelotu zapisana jest w pokładowym komputerze, rakieta szybko osiąga pierwszy zaprogramowany wcześniej punkt leżący na brzegu. Z tego miejsca kieruje się na pierwszy punkt nawigacyjny, którym jest na ogół wzgórze, budynek, w każdym razie coś stałego i nieruchomego. *TERCOM*, czyli system porównania geograficznego, prowadzi następnie raketę od punktu do punktu, przy często występujących gwałtownych skrętach i równie gwałtownych zmianach wysokości. Sprawdzanie kursu odbywa się przez *DSMAC*, elektrooptyczny system porównywania obrazów, czyli małą kamerę, która podaje do komputera dane wizualne, porównywane następnie z danymi, zapisanymi w pamięci *TERCOM*. Jeśli między danymi w obu systemach występuje różnica, pojawia się, na przykład, zaparkowana ciężarówka, nowo wzniesiony dom i tak dalej, *DSMAC i TERCOM* badają resztę zapisanych danych i szybko określają procent zgodności i prawdopodobieństwo, że rakieta nadal leży na kursie do celu. Jeśli dane z dwóch źródeł: pamięci i kamery, różnią się zasadniczo, komputer wysyła sygnał, na który odpowiedzieć można tylko na dwa sposoby. „kontynuuj” lub „przerwij lot”.

Dane dla *TERCOM* przygotowuje DMA, Defence Mapping Agency, czyli Kartograficzna Agencja Obrony i ona dostarcza je do centrum planowania bojowego, właściwego dla danego teatru działań wojennych. Stamtąd łączem satelitarnym wędrują one do miejsca odpalenia. Jeśli odpalenie ma nastąpić na terenie, którego DMA nie ma w komputerze, agencja ściąga dane z satelity. Jeśli dane geograficzne są wystarczająco dokładne, *Tomahawk* jest w stanie trafić w cel wielkości samochodu osobowego, znajdujący się w odległości dwóch tysięcy kilometrów.

Rozkaz prezydencki M-98-13 dotarł na stanowisko radiooperatora na USS „Pittsburgh” o dwunastej siedemnaście czasu lokalnego. Zakodowany rozkaz przesłano w formie cyfrowej bezpiecznym łączem satelitarnym. Został on błyskawicznie rozkodowany i dostarczony do rąk własnych dowódcy okrętu podwodnego, komandora George'a Breeena.

Rozkaz dokładnie określał stojące przed dowódcą okrętu zadanie, cel oraz podawał kod przerwania lotu. O dwunastej trzydzieści, jeden z dwudziestu czterech *Tomahawków*, w które uzbrojony był „Pittsburgh”, miał zostać wystrzelony na cel w

dolinie Bekaa w Libanie. Padano precyzyjne koordynaty oraz dane *TERCOM* dla komputera rakiety. W przypadku, gdyby cel zaczął się przemieszczać, *Tomahawk* miał przejść na rezerwowy program prowadzący i przeszukać horyzont w poszukiwaniu promieniowania widzialnego i mikrofalowego oraz innych podanych czynników w odpowiedniej kombinacji, mogącej oznaczać wyłącznie cel. Samozniszczenie rakiety dowódca nakazać mógł tylko po odebraniu kodu PAŁAC.

Komandor Breen podpisał rozkaz i przekazał go oficerowi uzbrojenia, porucznikowi E. B. Ruthayowi. W pomieszczeniu kontroli ognia wraz z operatorem konsoli bosmanem Donnym Maxem wprowadził on dane do pamięci komputera *Tomahawka*. Po ich załadowaniu i sprawdzeniu, prędkość okrętu zmniejszono do czterech węzłów i „Pittsburgh” wyszedł na głębokość peryskopową. Komandor Breen wydał rozkaz wystrzelenia rakiety. System hydrauliczny otworzył jeden z dwunastu znajdujących się z przodu kadłuba włazów przykrywających aparaty torpedowe. Usunięto ciśnieniową osłonę rakiety.

Tomahawk był gotów do wystrzelenia.

Dowódca dostał informacje o stanie przygotowań. Upewnił się, że w zasięgu wykrywalności nie ma nieprzyjacielskich okrętów ani samolotów lub helikopterów, po czym wydał Ruthayowi rozkaz odpalenia. Oficer potwierdził rozkaz, włożył w otwór konsoli specjalny klucz, przekręcił go i wcisnął przycisk. „Pittsburgh” zadrżał wyczuwalnie, rakieta zaś ruszyła w liczący siedemset trzydzieści kilometrów lot.

Pięć sekund zajęło komandorowi Breenowi potwierdzenie, że z rakieta wszystko w porządku. Natychmiast wydał rozkaz oddalenia się od miejsca wystrzelenia *Tomahawka*. Załoga zabrała się do roboty.

Operator konsoli bosman Danny Max pozostał na stanowisku, które miał opuścić dopiero po trzydziestu dwóch minutach. Cały czas monitorował lot rakiety. Jeśli kapitan wyda oficerowi uzbrojenia rozkaz przerwania lotu, jego zadaniem będzie wprowadzenie kodu PAŁAC dla łącza satelitarnego, a następnie wciśnięcie przycisku samozniszczenia.

USS „Pittsburgh” nie pierwszy raz wystrzeliwał *Tomahawki*. Zdarzyło mu się wysłać kilkanaście tego typu rakiet podczas Pustynnej Burzy. Wówczas wszystkie odnalazły cele. Nigdy jednak nie otrzymał rozkazu przerwania lotu którejś z wystrzelonych już rakiet.

Danny Max po raz pierwszy wystrzeliwał raketę w sytuacji bojowej. Dłonie miał wilgotne, usta suche. Było dla niego kwestią profesjonalnej dumy, by dziewięćdziesięciopięcioprocentowa celność *Tomahawka* nie obniżyła stuprocentowej skuteczności „Pittsburga” na jego wachcie. Spojrzał na cyfrowy zegar mierzący czas lotu. Trzydzieści jeden minut.

Max miał też nadzieję, że nie dostanie rozkazu przerwania lotu. Gdyby taki rozkaz otrzymał, przez ładne parę tygodni musiałby wysłuchiwać dowcipów o „strzelaniu ślepakami”.

Lecąca rakieta bez przerwy przesyłała w stronę statku dane. Miała właśnie przekroczyć strefę czasową.

Trzydzieści minut.

**–Leć, malutka – powiedział Max cicho. Uśmiechał się ojcowskim uśmiechem. –
Leć, skarbie, leć.**

· Wtorek, 15.33 – dolina Bekaa, Liban

Phil Katzen siedział w CR, przy terminalu Mary Rose. Po obu jego stronach stało dwóch uzbrojonych i znających angielski Kurdów. Każdą wykonywaną-czynność musiał dokładnie opisywać. Jeden z strażników notował jego wyjaśnienia, drugi słuchał ich uważnie.

Katzen czuł, jak pot ścieka mu po ciele. Był zmordowany, oczy go bolały. Czuł się winny i to bolało także. Czuł się winny, nie miał jednak wątpliwości, że zrobił to, co należało zrobić.

Kiedy był chłopcem, bawiącym się w żołnierzy, często zadawał sobie pytanie: „Jak zachowałbym się, gdyby mnie torturowano?” Odpowiadał na nie zawsze: „Chyba nieźle, pod warunkiem że będą mnie tylko bili, topili i może jeszcze porażali prądem”. Jak każdy chłopiec, myślał wyłącznie o sobie. Chłopcy nigdy nie zadają sobie pytania: „Jak się zachowam, kiedy będą przy tobie torturować innego człowieka?” Okazało się, że odpowiedź brzmi: „Bardzo źle”. Zaskoczyło go to, ale, oczywiście, wiele czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni bawił się na podwórku w wojnę. Ukończył studia w Berkeley. Widział kampus sparaliżowany studenckimi marszami przeciw łamaniu praw człowieka w Chinach, Afganistanie, Birmie. Opiekował się studentami, osłabionymi strajkami głodowymi przeciw karze śmierci. Sam brał udział w „tygodniu bez ryb”, ogłoszonym w proteście przeciw japońskim technikom połowów, których ofiara, oprócz tuńczyków, padały także delfiny. Jeden dzień chodził półnagi, zwracając w ten sposób uwagę na tragiczny los indonezyjskich robotników.

Po doktoracie zaczął działać w Greenpeace. Potem pracował dla wielu organizacji ekologicznych, z których większość czasami miała pieniądze, ale przeważnie ich nie miała. W czasie wolnym budował domy u boku byłego prezydenta Jimmy Cartera i pracował w schronisku dla bezdomnych w Waszyngtonie. Dowiedział się, że cierpienie rodziców, którzy nie są w stanie wyżywić dzieci, tragiczny los dobrych ludzi walczących z tyranią, tortury zadawane zwierzętom... to wszystko boli go bardziej niż normalny fizyczny ból. Odczuwał cierpienia innych bardziej niż swoje, a bezradność tylko pogarszała sytuację.

Katzen czuł się torturowany, kiedy torturowano Mike'a Rodgersa. Czuł się poniżony, odczłowieczony, bo Sandrze DeVonne kazano przyglądać się torturom i w dodatku powiedziano jej, że będzie cierpieć znacznie bardziej. Teraz, patrząc wstecz, wiedział, że to go właśnie złamało, że złamało go poczucie, iż dla niej i dla siebie musi odzyskać choć odrobinę zwykłej Ludzkiej godności. Zdawał sobie także sprawę z tego, że zadał Mike'owi ból większy niż fizyczne tortury. Pracując w Greenpeace odkrył jednak, że płaci się zawsze, nawet gdy chce się zrobić coś dobrego. Ratując foki pozbawiasz pracy myśliwych. Ratujesz sowy i pracę tracą drwale.

A teraz siedział tu, objaśniając działanie CR ludziom, którzy torturowali Mike'a. Jeśli przestanie, cierpieć będą zakładnicy, przyjaciele. Jeśli nie przestanie, najprawdopodobniej wielu niewinnych ludzi odniesie rany lub nawet zginie, na przykład ten biedak, wykryty na wzgórzach przez system zobrazowania termicznego.

Z drugiej strony, uda mu się uratować życie wielu Kurdom.

Za wszystko trzeba zapłacić. Za wszystko.

Najważniejsze, że udało mu się kupić trochę czasu zakładnikom. Czas zrodził nadzieję, czas oraz pewność, że Centrum nie porzuci ich na łaskę losu. Jeśli można im w jakiś sposób pomóc, Bob Herbert z pewnością znajdzie sposób.

Katzen przeszedł kurs przetrwania i samoobrony. Wymagano tego od wszystkich pracowników Centrum. Podróżujący za granicą amerykańscy pracownicy rządowi są łakomym kąskiem. Muszą znać co najmniej podstawy psychologii, wiedzieć coś o broni, umieć walczyć i umieć przeżyć. Katzen wiedział, że musi zachować przytomność umysłu, musi wiedzieć, co się wokół niego dzieje i to niezależnie od tego, jak bardzo jest zmęczony i jak bardzo wstrząsnęło nim to, co się stało.

Phil Katzen wierzył w Herberta, zdecydował się więc kupić mu czas, pracując tak wolno, jak to tylko możliwe. Postanowił także włączyć jako pierwsze te systemy, które mogłyby przydać się jemu samemu. łączność, monitory podczerwieni, radar, tego rodzaju sprzęt podstawowy. Ponieważ strażnicy znali angielski, pominął częstotliwość, na której komunikowano się z Iglicą. Nagra ich rozmowy i wysłucha ich później, jeśli tylko będzie to możliwe.

To Katzen, niechcący, zwrócił uwagę Kordów na samotnego szpiega, podsłuchującego ich nowoczesnym radioodbiornikiem, prawdopodobnie *TAC SAT-3*. Z pomocą systemu zobrazowania laserowego Kurdowie z łatwością śledzili go podczas ucieczki, przez radio przekazując ścigającym dokładne informacje o jego ruchach. Nie wiedzieli jednak, że zwiadowca zdołał przesłać sygnał do Izraela – Katzen obserwował ruchomą antenę paraboliczną jego radia, szukającą sygnału satelity. Gdy tylko dostrzegł, gdzie się kieruje – w tym miejscu na niebie pracował tylko satelita izraelski – natychmiast przełączył się na program symulacyjny, w którym agent terenowy próbował skontaktować się z oddziałem rozpoznania o nazwie kodowej Veeb, od Victory Brigade – „Brygada Zwycięstwa”. Veeb był oddziałem składającym się z żołnierzy nieokreślonej narodowości, operującym w nieokreślonym miejscu na granicy syryjsko-izraelskiej. Zadaniem ćwiczenia przy użyciu tego programu symulacyjnego było odkrycie z pomocą CR, czym oddziałem jest Veeb i gdzie dokładnie się znajduje.

Po ujęciu Falaha Katzen wykorzystał dostępny mu sprzęt do podsłuchania tego, co dzieje się w jaskini. Rozmowa toczyła się po arabsku, więc nie miał pojęcia, czego dotyczy, wyraz zadowolenia na twarzy strażników powiedział mu jednak, że oni zrozumieli wszystko. Zerknął przez okno furgonetki – bardzo tradycyjna metoda – i dostrzegł terrorystów wyprowadzających więźnia. Niewątpliwie zostanie zamordowany. Pewnie był szpiegiem.

Albo zwiadowcą Iglicy.

Katzen odetchnął pytko. Otarł czoło chusteczką. Ryzykował życiem dla niedźwiedzi i fok, dla delfinów i sów. Nie miał zamiaru siedzieć wygodnie i przyglądać się śmierci człowieka.

–Muszę odetchnąć świeżym powietrzem – powiedział nagle.

–Pracuj! – rozkazał mu strażnik, stojący po prawej stronie.

–Jasna cholera, przecież muszę zaczerpnąć świeżego powietrza! Co wy sobie wyobrażacie? Że ucieknę? Przecież będziecie mnie mieli na tym monitorze – wskazał go palcem – a poza tym... dokąd mógłbym uciec?

Stojący po lewej strażnik zacisnął usta.

–Tylko na chwilę – powiedział.

Kord złapał go za kołnierz koszuli i poderwał na nogi. Przyłożył mu do głowy trzydziestkąósemkę.

Chodź – powiedział, prowadząc go do zamkniętych drzwi samochodu.

Otworzył drzwi... Schodzili po dwóch schodkach, Katzen jako pierwszy.

Przypomniawszy sobie jak na treningu uczono go wykorzystywać schody. Przykucnął. Przez chwilę rewolwer celował ponad jego głową. Upewniwszy się, że jego pozycja jest bezpieczna, błyskawicznym ruchem sięgnął lewym ramieniem przez pierś, za siebie, złapał za rękaw kurtki strażnika, pociągnął go ku sobie i przerzucił Kurda przez ramię.

Terrorysta przeleciał nad nim, głową w przód i wylądował na plecach. Phil skoczył i wylądował na nim w momencie, kiedy Kurd próbował się podnieść. Zaciśniętą pięścią mocno uderzył Kurda w nadgarstek. Trzydziestkaósemka wypadła z niej i Katzen był już uzbrojony.

Zerknął na dwóch Kurdów i ich jeńca-szpiega. Zatrzymali się na drodze, jakieś dwadzieścia metrów od samochodu. Jeden z nich patrzył na niego.

–*Ju af!* Stój – krzyknął.

Katzen słyszał kroki biegnącego do drzwi terrorysty, który pozostał w CR. Spojrzał na tego, którego udało mu się rozbroić. Chciał ratować życie, nie zabijać, ale jeśli zaraz czegoś nie zrobi, sam zginie.

Przestrzelił leżącemu prawą stopę.

Nie zwracając uwagi na krzyk bólu, spojrzawszy na jeńca i jego dwóch strażników. Ten, który obejrzał się na furgonetkę, właśnie podnosił broń. W tym momencie jeniec obrócił się w prawo jak dziecinny bąk, usuwając się spod wymierzonej w niego lufy. Ugiął prawe ramię, unosząc łokieć na wysokość głowy i podczas obrotu na pięcie odtrącił nim broń. W jednej chwili zszedł z linii strzału. Obracał się, póki nie stanął twarzą do Kurda. Terrorysta próbował znów w niego wymierzyć, chłopak jednak uniósł dłonie tak, jakby miał zamiar klasnąć i machnął nimi, celując w dłoń z bronią. Uderzył w nią obiema rękami, jedną nieco bliżej łokcia, łamiąc rękę terrorysty w nadgarstku, Katzen usłyszał trzask pękającej kości. Rewolwer upadł na ziemię. Bezbronny przed chwilą jeniec podniósł go natychmiast.

Wszystko to zdarzyło się w jednej chwili. Phil widział, co się dzieje, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Kurd z CR ciężko zbiegał po schodkach. Z lewej, z jaskini, dobiegały głośnie krzyki. Lada chwila zaczęła dać się strzelać z trzech stron. Mógł zrobić tylko jedno: uciekać przed siebie. Za drogą teren opadał gwałtownie, nie wiadomo jak głęboko, ale i tak to jakaś szansa, zwłaszcza w porównaniu z gradem kul. Katzen przeskoczył wijącego się na ziemi Kurda, przetoczył się przez drogę i zaczął staczać się po zboczu.

Słyszał trzask łamanych gałęzi, na ramionach i piersi czuł uderzenia kamieni.

Kurczowo ścisnął broń, wolną ręką osłaniając twarz. Ktoś strzelał, ale daleko, huk strzałów niemal całkowicie stłumiony został przez odgłosy upadku. To chyba nie do niego strzelano. Za daleko, krawędź drogi z pewnością była bliżej.

Zatrzymał się na pniu drzewa, rosnącego skośnie na zboczu. Stracił oddech, ale nie to było najgorsze. Miał wrażenie, że pękło co najmniej jedno żebro. Leżał przez chwilę, odetchnął... zabolalo. Rozległy się kolejne strzały. Zmrużył oczy, patrząc w błękitne niebo. Nagle na jego tle dostrzegł twarz tego strażnika, który pozostał wewnątrz CR, a zaraz potem, obok twarzy, rękę z rewolwerem.

Podczas upadku nie zgubił broni. Spróbował unieść rękę, ale całe jego ciało przeszył nieznośny ból. Nie, to mu się nigdy nie uda.

Leżał dysząc, czekając na kulę. Nagle dostrzegł, jak głowa Kurda odskakuje w prawo, odskakuje jeszcze raz, obraca się i znika z pola widzenia. Ręka wypuściła broń. Pojawiła się nowa twarz – jeńca, którego wyprowadzano z jaskini.

Jeniec gestem nakazał Katzenowi, by pozostał na miejscu.

Jakbym w ogóle mógł się ruszyć, pomyślał Phil.

Jego wybawiciel usiadł na ziemi z wyprostowanymi nogami i zjechał po zboczu jak na sankach. Ręce wyciągnął przed siebie, co pomagało mu zachować równowagę, w każdej dłoni trzymał rewolwer. Wbijając pięty w ziemię zatrzymał się bezpiecznie obok drzewa. Ześlizgnął się za pień, odłożył broń, zabrał Katzenowi jego trzydziestkęósemkę. Ranny Amerykanin spróbował się unieść. Syknął przez zaciśnięte zęby. Bolało jak cholera.

–Przepraszam. Chciałem, żebyś ukrył się za pnem.

–Nie się nie stało. Dziękuję.

–Nie, to ja ci dziękuję. Tylko dzięki tobie poradziłem sobie z nimi. Załatwiłem także tego, który chciał zabić ciebie.

Katzen poczuł ukłucie żalu. Uciekając, spowodował śmierć czterech ludzi. Wiedział, że tak liczyć nie można, ale mimo to ich śmierć ciążyła mu na sercu.

–W jaskini jest ich więcej. Jakiś dwudziestu, a także szóstka moich ludzi.

–Wiem. Nazywam się Falah i jestem...

–Nie! Na górze, w samochodzie, uruchomione jest nagrywanie. Oni nie wiedzą, jak je odegrać, ale nie ma gwarancji, że kiedyś tam wrócimy.

Falah skinął głową.

Katzen uniósł się na łokciu.

–Nazywam się Phil. Czy przeprowadzałeś dla kogoś zwiad?

Chłopak skinął głową, wymierzył w niego palec i zsalutował.

Iglica. To z nimi próbował skontaktować się przez radio.

–Rozumiem. Co mieli zrobić gdybyś nie...

Przerwał, bo Falah szarpnął go gwałtownie, a potem położył się przy nim. Teraz i on też usłyszał odgłos kroków. Obrócił głowę tak, że mógł patrzeć w górę zbocza. Dostrzegł lufę pistoletu maszynowego. Skulili się za drzewem i w tym momencie pistolet zaczął strzelać. Pociski uderzały w pień i w ziemię tuż obok nich. Ostrzał trwał może sekundę, choć wydawał się znacznie dłuższy.

Phil zerknął na towarzysza, by sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Potem spojrział

w górę. Poszarpana kora sterczała z pnia na wszystkie strony. Pomyślał, że to chyba pierwszy przypadek, kiedy drzewo ocaliło ekologa, a nie odwrotnie.

Jak długo to jeszcze potrwa? – pomyślał.

Falah wziął broń i, nadal leżąc płasku na ziemi, wycelował w górę. Znow usłyszeli kroki, lecz ich dźwięk ucichł niemal natychmiast.

I w tym momencie Katzen zdał sobie sprawę ze strasznej rzeczy. Nie wyłączył systemu obrazowania na podczerwień, który nadal pracował na terminalu Rodgersa. Choć ci terroryści, którzy nauczyli się czegoś o pracy CR nie żyli, ktokolwiek mógł przecież wejść do środka i spojrzeć na monitor. Każdy – w promieniu dwustu metrów od jaskini – widoczny był w postaci czerwonego punkcika. Wyływająca z ran ciepła krew również byłaby widoczna i rozpoznawalna.

Żaden z nich nie był ranny i terroryści są tego doskonale świadomi.

Pochylił się ku towarzyszowi.

–Mamy problem – szepnął. – W furgonetce widać nas tak, jak poprzednio widać była ciebie. Podczerwień. Wiedzą, że nie zginęliśmy.

I znow kroki, a po nich cienki, rozpaczliwy jęk. Katzen uniósł głowę. Dostrzegł stojącą na krawędzi drogi Mary Rose, a za nią Kurda, widział tylko jego nogi pomiędzy jej nogami.

–Hej, wy! – krzyknął jakiś głos. – Macie się poddać, nim doliczę do pięciu. Jeśli nie wyjdziecie, będziemy zabijać zakładników, jednego po drugim, zaczynając od tej kobiety. Raz!

–On to zrobi – szepnął Falah.

–Dwa!

–Wiem. Widziałem, jak załatwiają takie sprawy. Wychodzę.

–Trzy!

–Zabiją cię! – Falah położył mu dłoń na ramieniu.

–Cztery!

–Może nie. – Katzen wstał powoli. Co za ból! – Nadal ranie potrzebują. Cholera, ale szybko liczy ten sukinsyn. Jestem ranny! – krzyknął. – Wychodzę najszybciej jak potrafię.

–Pięć!

–Nie, czekaj...! Powiedziałem...

Nagle na tle niebieskiego nieba pojawiły się czarne krople krwi.

–Nie! – krzyknął Phil Katzen. Ze skrzywioną w męce twarzą patrzył, jak Mary Rose pada na kolana. Krew opadła deszczem na ich kryjówkę. – Chryste, nie!

· Wtorek, 15.35 – Damaszek, Syria

Podłoga pałacowego biura ochrony była śliska od krwi.

Agenci DSA nie żyli, podobnie dwaj ochroniarze ambasadora Japonii i trzech ambasadora Rosji. Zabito ich bezlitośnie w małym, pozbawionym okien pokoju, umeblowanym dwoma stołkami i wielką konsolą z wprawionymi w nią dwudziestoma małymi, czarno-białymi ekranami telewizji przemysłowej. Każdy z nich ukazywał sceny chaosu i szaleństwa, jakie opanowały wszystkie zakątki pałacu.

Człowiek, który prawdopodobnie zamordował agentów, ubrany w niebieski mundur straży pałacowej, nie żył także. Obok niego leżał *Kałasznikow*, w głowie zaś miał kilka dziur po pociskach. Jeden z Rosjan najwyraźniej zdążył wyciągnąć pistolet. Dobrze strzelał.

Paul Hood nie miał zamiaru zatrzymać się tutaj. Sprawdził tylko, czy ktoś nie ocalał. Upewniwszy się, że nie, nadal na czworakach, wystawił głowę na korytarz. Zewsząd dobiegały strzały, już nie tak odległe jak przedtem. Sala przyjęć, zaledwie o dwadzieścia parę metrów, wydała mu się nagle bardzo odległa, prawie nieosiągalna. Drzwi wyjściowe, w przeciwległym kącie korytarza, znajdowały się znacznie bliżej. Nie ucieknie jednak bez innych. Taktycznie o wiele sensowniej byłoby ściągnąć ich tutaj.

Przypomniał sobie o telefonie komórkowym Warnera Bickinga.

Wrócił do pokoju ochrony. Obaj jego agenci mieli telefony komórkowe, ale jeden z nich roztrzaskał pocisk, a drugi rozbił się, kiedy jego właściciel upadł na podłogę. Rosjanie i Japończycy nie mieli telefonów.

Paul przysiadł na piętach. Zastanawiał się, co ma teraz zrobić.

Przecież to biuro ochrony, do cholery! – powiedział sam do siebie. Muszą mieć tu telefon.

Przesunął dłonią wzdłuż krawędzi konsoli. Rzeczywiście, mieli telefon, w zamkniętej wnęce, pod najniższym monitorem po prawej. Podniósł słuchawkę, wyposażoną w podświetlane klawisze. Kiedy wystukiwał numer Bickinga, ręka mu drżała. Bicking prawdopodobnie nadal rozmawiał z Centrum. Ciekawe, pomyślał, czy ktokolwiek używał kiedyś funkcji oczekiwania na połączenie w środku strzelaniny.

Obserwował monitory. Usłyszał sygnał. Dwa piśnięcia i Bicking odebrał rozmowę.

–Tak?

–Warner, tu Paul.

–Jezu Chryste – Bicking roześmiał się nerwowo. – Dobrze, że nie pomyłka. Co znalazłeś?

–Wszyscy martwi. Jakie wiadomości z Centrum?

–Kazali mi czekać. Bob powiedział przedtem, że coś się dzieje, ale nie może mi powiedzieć, co.

–Pewnie bał się podsłuchu. – Hood potrząsnął głową. – Właśnie patrzę na monitory i nie wiem, jak ktokolwiek... czekaj!

Dostrzegł jak jednym z korytarzy idzie oddział armii syryjskiej.

–Co się dzieje? – spytał Bicking.

–Nie jestem pewien, ale być może z odsieczą nadjeżdża kawaleria.

–Gdzie?

–To chyba ten korytarz, gdzie jestem, od przeciwnej strony.

–Są bliżej nas?

–Tak.

–Powinienem wyjść im naprzeciw?

–Nie, chyba nie. Idą w waszym kierunku.

–Pewnie dostali rozkaz wyciągnięcia ambasadorów. Może lepiej będzie, jak wrócisz?

–Chyba tak.

Strzały po drugiej stronie korytarza, tej bardziej oddalonej od sali przyjęć, stawały się coraz głośniejsze. Już niedługo rebelianci dotrą do biura ochrony.

Paul nie odrywał wzroku od monitorów. Syryjczycy nie zaglądali do rozmieszczonych wzdłuż korytarza pokojów i nie osłaniali się nawzajem. Szli prosto, zdumiewająco pewni siebie. Albo tacy byli cholernie odważni, albo nie mieli pojęcia, co tu się właściwie dzieje.

Albo, pomyślał Paul, nie obawiają się ataku.

Częścią jego pracy było coś, co nazywał permanentnym podejrzywaniem spisku. Funkcjonowanie Centrum opierało się na nieustannym zadawaniu sobie pytania, „a co, jeśli...?”, zarówno w przypadku morderstwa dokonanego przez pojedynczego zabójcę, jak i w przypadku próby zamachu stanu. Paul Hood nie wyznawał bynajmniej spiskowej teorii dziejów, ale nie był ter człowiekiem szczególnie naiwnym.

Żołnierze nadal poruszali się szybko, bez wahania. Przesunął spojrzenie na drugi monitor, bo właśnie minęli jedną z kamer.

–Paul? – odezwał się Bicking. – To co, idziesz?

–Nie rozłączaj się.

–Centrum kazało mi czekać i...

–Nie rozłączaj się!

Hood niżej pochylił się nad monitorami. Minęło kilka sekund i na korytarzu, za maszerującymi Syryjczykami, pojawili się dwa mężczyźni w czarnych zawojach na głowach, trzymający w dłoniach, jak mu się zdawało, pistolety *Makarow*. Jeden z żołnierzy obejrzał się. I tyle. Nawet nie zwolnił kroku!

–Wagner, wyście się stamtąd.

–Dlaczego?

–Zbierz wszystkich i wyście się w cholerę! Przyjdźcie tu, do mnie. Ta cholerna kawaleria nie jest po naszej stronie.

–Zrozumiałem.

Paul ścisnął słuchawkę w dłoniach. Za plecami żołnierzy pojawiali się kolejni napastnicy, nie kryjąc się bynajmniej i nie wywołując żadnej reakcji. Albo syryjskie wojsko brało w tym wszystkim udział, albo ci ludzie tylko podszywali się pod żołnierzy armii. Tak czy tak, sytuacja z groźnej właśnie zmieniła się w śmiertelnie niebezpieczną.

–O, cholera! – Żołnierze właśnie skręcili w ostatni z korytarzy. – Warner, nie ruszajcie się z miejsca.

–Co?

–Siedźcie na tyłkach tam, gdzie jesteście! – wrzasnął Hood. Nie musiał już obserwować żołnierzy na monitorach. Zobaczyłby ich, gdyby wystawił głowę na korytarz. Głowę albo...

Opuścił wzrok na zalaną krwią podłogę. Leżał na niej pistolet Rosjanina oraz *Kałasznikow* mordercy. Paul Hood tyle wiedział o broni palnej, ile nauczył się na obowiązkowych w Centrum strzelaniach. Na strzelnicy zresztą szczególnie się popisał, zwłaszcza w porównaniu z Mike'em i Bobem, którzy, ze stanowisk po obu jego bokach, raz po raz walili w środek tarczy. Lecz i to, czego się nauczył, być może jakoś mu wystarczy. Jeśli zmusi Syryjczyków, by się wycofali, może Warner i ambasadorzy zdążą wynieść się z sali przyjęć.

–Warner – szepnął do słuchawki – w waszą stronę zacierają żołnierze. Prawdopodobnie zamachowcy. Na ziemię i czekajcie, póki się nie odezwę. Potwierdź.

–Już leżę – odparł Bicking.

Paul upuścił słuchawkę, podniósł karabin, leżący we krwi, pokrywającej podłogę. Wstał i zakręciło mu się w głowie, nie wiedział, czy dlatego, że wyprostował się tak gwałtownie, czy też dlatego, że ręce i podeszwy butów lepiły mu się od krwi zamordowanych ludzi. Pewnie i jedno, i drugie. Zrobił krok nad ręką jednego z amerykańskich agentów. Stanął w drzwiach.

Serce waliło mu jak młotem, ręce drżały. Był bankierem i burmistrzem Los Angeles, poszedł do Centrum, bo miała to być intelektualna robota za biurkiem. Miał zapobiegać kryzysom, a nie taplać się w krwi.

Przecież wiesz, cholera, że to, co dobre, nie trwa wiecznie, pomyślał, próbując się uspokoić. Odetchnął głęboko. Albo strzelasz, przyjacielu, albo rodzinka ma znajomy pogrzeb.

Wychylił się na korytarz, spojrzął na żołnierzy, zmierzających w kierunku sali przyjęć. Opracował sobie w myśli coś w rodzaju planu. Po pierwsze, spróbuje porozumieć się jakoś z tymi ludźmi. Po drugie sprawdzi, jak reagują na prowokację.

–Czy ktoś z was mówi po angielsku? – krzyknął.

Żołnierze zatrzymali się. Od sali przyjęć dzieliło ich jakieś pięć metrów, od miejsca, w którym stał, jakieś trzydzieści parę. Dowódca, nie odwracając głowy, powiedział coś do jednego z żołnierzy. Żołnierz zrobił krok do przodu.

–Ja znam angielski – powiedział. – Kim jesteś?

–Amerykaninem, gościem waszego prezydenta. Właśnie rozmawiałem przez telefon z dowódcą gwardii pałacowej. Rozkazał, by wszystkie lojalne oddziały natychmiast do niego dołączyły. Znajduje się w galerii północnej.

Żołnierz przetłumaczył jego słowa dowódcy. Dowódca wydał rozkaz, dwaj żołnierze wykonali w tył zwrot i oddalili się korytarzem.

Musiał sprawdzić, pomyślał Paul, ale przecież nie użył radia. Jeśli jest tam rzeczywiście gwardia pałacowa, nie chce, żeby gwardziści się o nim dowiedzieli.

Dwaj żołnierze zniknęli za rogiem korytarza. Dowódca wydał kolejny rozkaz. Jego oddział rozdzielił się. Czterech ludzi poprowadził ku sali przyjęć, trzech zaś ruszyło w kierunku Paula, z gotową do strzału bronią w rękach. Nie, nie mieli zamiaru go

uratować. Pytanie, czy chcą zakładnika, czy trupa? W końcu, próbując zamordować prezydenta, zabili przy okazji ładnych parę osób. Wliczając w to agentów ochrony, w których krwi stał. A nawet jeśli brali jeńców, w co należało wątpić, Paul nie chciała narażać kraju, rodziny, siebie, ludzi z sali przyjęć, na długą niewolę. Mike Rodgers powiedział kiedyś trafnie: „Na dłuższą metę jest to po prostu śmierć, tyle że trochę inna”.

Przycisnął broń do biodra, na udzie czuł łukowaty kształt magazynka. Celując nisko, wyślizgnął się na korytarz i wystrzelił w podłogę tuż przed pierwszym z idących ku niemu mężczyzn. Zaskoczyły go uderzenia wyskakujących z wyrzutnika łusek, ale strzelać nie przestał.

Czterej żołnierze, zmieniający ku sali przyjęć, wycofali się, trzech idący w jego kierunku uskoczyli do ściany, skryli się za dużym wielbłądem z brązu, i odpowiedzieli ogniem.

Paul Hood przestał strzelać i uskoczył za futrynę. Zaciśnięte na kolbie palce miał kredowobiałe, oddychał szybko, serce waliło mu w piersi znacznie mocniej niż przedtem. Napastnicy z korytarza także przerwali ogień. *Kałasznikow* wydał mu się bardzo lekki, prawdopodobnie kończyła się amunicja. Podniósł z podłogi zakrwawiony pistolet. Sprawdził magazynek. Załadowany mniej więcej w dwóch trzecich. Siedem, może osiem strzałów.

Widział, że zostało mu mało czasu. Musi wyskoczyć na korytarz i znów zacząć strzelać, tym razem mierząc wyżej. Zerknął na monitor. Żołnierze, wśród nich dowódca, nie próbowali się zbliżyć. Dołączyli do nich jacyś oberwańcy, przywódcy obu grup właśnie ze sobą rozmawiali.

Hood wiedział, że wystarczy parę sekund i napastników będzie po prostu zbyt wielu, by sobie z nimi poradził.

Podpełzł powoli do drzwi. W jednym ręku trzymał karabin, w drugim pistolet, lufy obu były uniesione. Nie czuł się bynajmniej jak John Wayne, Burt Lancaster czy Gary Cooper, był po prostu uzbrojonym przerażonym dyplomata.

Przerażonym dyplomata, w którego rękach spoczywa życie ludzi uwięzionych w sali przyjęć, pomyślał. Nadstawił uszu, ale z korytarza nie dobiegł go żaden dźwięk. Wstrzymując oddech podrzucił broń do biodra i wysunął się na korytarz.

Stał twarzą w twarz z żołnierzem, który wsunął mu pod brodę lufę pistoletu.

· Wtorek, 15.37 – dolina Bekaa, Liban

Przed przeniesieniem do Iglicy, sierżant Chick Grey był kapralem elitarniej antyterrorystycznej formacji Delta Force. Na szkolenie w Fort Bragg zgłosił się jeszcze jako szeregowy. To, że w zaledwie kilka-miesiący awansował na starszego szeregowego, a potem kaprała, zawdzięczał dwóm szczególnym umiejętnościom.

Po pierwsze, celował w skokach z dużej wysokości z opóźnionym otwarciem spadochronu. Jego dowódca w Fort Bragg rekomendując go do awansu na starszego szeregowego ujął to w ten sposób: „Ten facet umie latać”. Grey potrafił otworzyć spadochron później i wylądować dokładniej niż jakikolwiek żołnierz w historii Delt. Sam sierżant twierdził, że ma po prostu rzadkie wyczucie prądów powietrza. Jego zdaniem pomagało mu to także w drugiej specjalności.

Grey był również strzelcem wyborowym. Podpułkownik Charles Squires nalegał na jego rekrutację do Iglicy, pisząc do Mike'a Rodgersa tak: „Kapral Grey to urodzony snajper, generale. Potrafi trafić w dziurę po pańskim pocisku, który trafił w dziesiątkę”.

Raport nie wspominał o tym, że Grey potrafił nie mrugać tak długo, jak długo było to konieczne. Wypracował tę umiejętność, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że wystarczy jedno mrugnięcie, by nie trafić „w dziurkę od klucza”, jak to nazywał, zwłaszcza jeśli mrugnęło się akurat w chwili optymalnej do strzału.

Przed kilkoma sekundami siedzący na gałęzi drzewa Grey patrzył przez celownik *Redfield* o dwunastokrotnym powiększeniu założony na karabin snajperski *Remington 7,62 mm M401*. Nie mrugnął od przeszło dwudziestu sekund, od chwili, kiedy terrorysta wyprowadził z jaskini Mary Rose Mohalley, trzymając jej rewolwer przy głowie, od chwili, kiedy pułkownik August wydał pozwolenie „zdjęcia” celu w każdej chwili. Przez te dwadzieścia parę sekund Grey nie tylko obserwował uważnie rozwijającą mu się przed oczami scenę, lecz także przysłuchiwał się wszystkiemu, co zostało powiedziane na dole. W uszach miał słuchawki, podłączone do sześciocalowej anteny parabolicznej, przyczepionej do gałęzi za jego plecami. Bez problemu słyszał rozmowy prowadzone obok zaparkowanego na drodze nieruchomego CR.

Podczas każdej próby uwolnienia zakładników jest chwila, kiedy snajper dokonuje emocjonalnego raczej niż ściśle profesjonalnego osądu tego, co będzie musiał zrobić. By ocalić zakładnika, trzeba odebrać życie człowiekowi. Nie jest to bynajmniej decyzja ostateczna, sytuacja zmienia się czasami bez ostrzeżenia i trzeba być zawsze gotowym na rezygnację ze strzału, lecz decydując się na samą możliwość zadania śmierci z zimną krwią, snajper osiąga wewnętrzny spokój. Jeśli porywacz nie zginie – szybko, bezboleśnie – może zginąć zakładnik Świat staje się czarno-biały, snajper nie zastanawia się, czy sprawa, o którą walczą terroryści, jest słuszna i sprawiedliwa, czy też wręcz przeciwnie.

W tym momencie snajpera ogarnia niemal niezmierny spokój. W ostatnich sekundach przed strzałem jest tylko zimną, nieprawdopodobnie sprawną maszyną. W kilka sekund po strzale beznamiętnie ocenia rezultat, odczuwając wyłącznie

odrobinę profesjonalnej dumy.

Sierżant Grey odczekał, póki terrorysta nie wypowie słowa „pięć” po czym strzelił, trafiając go w lewą skroń. Siła uderzenia pocisku odrzuciła Kurda w prawo, ciało obróciło się jeszcze i upadło na wznak. W powietrze trysnęła krew, spadając na drogę, na której leżał martwy człowiek. Mary Rose poczuła jedynie, jak rozluźnia się uścisk terrorysty, nogi ugięły się pod nią i opadła na kolana. Nikt nie pośpieszył w jej kierunku. W chwilę później ktoś zaczął się wspinać po zboczu, w kierunku drogi. Sierżant nie czekał, by sprawdzić, co się dzieje.

Pod drzewem stali szeregowi David George i Terrence Newmayer. W momencie, gdy terrorysta został „zdjęty”, sierżant Grey odczepił antenę i podał ją Georgowi, oddał karabin Newmayerowi i zsunął się z drzewa. Porządkując sprzęt miał świadomość, że wiele jeszcze pozostało do zrobienia.

Cała trójka dołączyła do pułkownika Augusta i reszty oddziału. Żołnierze Iglicy pozostawili pojazdy niespełna pół kilometra dalej, tak, by terroryści nie usłyszeli dźwięku silników. Na ich straży pozostawili dwóch żołnierzy, po czym podeszli do jaskini... po gęsto tu rosnących drzewach. Badanie w podczerwieni nie wykazało obecności wartowników, wędrówka z gałęzi na gałąź służyła więc dwóm celom. Po pierwsze, nie nadeptną na miny, które z pewnością broniły dostępu do bazy. Po drugie, na wypadek gdyby CR pracowało śledząc teren, na monitorach ukazałaby się tylko informacja o czymś poruszającym się w gałęziach drzew. Biorąc pod uwagę odległość, istniała szansa, że Kurdowie zinterpretują członków Iglicy jako stado sępów, których w tym regionie nie brakowało.

Przez trzy minuty, które sierżant Grey spędził na drzewie, pułkownik August i kapral Pat Prementine, używając lornetek, obserwowali, co dzieje się na skalnej półce oddalonej o trzysta metrów. Jedenastu żołnierzy Iglicy stało za nimi w ciasnej grupie.

Kapral Prementine nadal obserwował teren przed jaskinią, pułkownik August natomiast opuścił lornetkę.

–Dobra robota, sierżancie – powiedział.

–Dziękuję, panie pułkowniku.

–Panie pułkowniku – powiedział Prementine. – Ktoś jest przy niej. Jeśli to nasz człowiek, dziewczyna jest bezpieczna.

August skinął głową.

–Tam, na dole, był prawdopodobnie Phil Katzen i nasz kontakt. Ruszamy w jednej lub dwóch grupach. W jednej, jeśli w celu uwolnienia zakładników będziemy musieli zaatakować jaskinię. W dwóch, jeśli zakładników...

–Panie pułkowniku – przerwał mu kapral. – Sukinsyny podzielili zakładników na dwie grupy.

August natychmiast podniósł lornetkę do oczu. Sierżant Grey także spojrzął w kierunku jaskini. Na ziemię przed wejściem rzucono właśnie trójkę zakładników. Grey widział kryjących się przy wejściu Kurdów, choć stali w głębokim cieniu.

–Kapralu, zamaskować się i ruszać z zespołem A. Natychmiast – warknął pułkownik. – Atakować jaskinię. My ubezpieczamy.

–Tak jest, panie pułkowniku. – Prementine wraz z siedmioma idącymi gęsiego żołnierzami pobiegł w stronę jaskini.

–George! Scott!

–Tak jest

–Granaty paraliżujące.

–Tak jest.

Dwaj szeregowi otworzyli skrzynkę z bronią, którą przynieśli z *FAV*. David George montował pomalowany na szaro moździerz, Jason Scott tymczasem wyjął z zapieczętowanych toreb cztery granaty paraliżujące. W ciągu dwóch sekund zawarty w granatach gaz bursztynowy odbierał przytomność każdemu w promieniu dwunastu metrów od miejsca wybuchu. Potem Scott pomógł George'owi zamontować ciężką podstawę. Moździerz był gotów do oddania strzału w ciągu trzydziestu sekund. Szeregowy George przepatrywał przedpole, Scott tymczasem regulował kierunek strzału i kąt podniesienia lufy.

–Sierżancie Grey – rozkazał August – z powrotem na drzewo. Noktowizor. Zameldujecie, co widać we wnętrzu jaskini.

–Już się robi, panie pułkowniku.

Sierżant złapał karabin i ruszył w kierunku drzewa, z którego przed chwilą zszedł. Newmayer tymczasem wyjął z plecaka noktowizor, którego taśma już przedtem została wyregulowana tak, by pasować na hełm snajpera. Celownik *Redfield* wyposażony był w adapter, dopasowujący go do lewego bądź prawego okularu noktowizora.

–Sierżancie, wygląda na to, że zakładnicy mają nogi związane sznurami, prowadzącymi do jaskini. Sprawdźcie, czy da się zdjąć ludzi trzymających te sznury.

–Tak jest, panie pułkowniku. – Grey rozpoczął wspinaczkę na znajomą grubą gałąź, z której miał idealny widok ponad wierzchołkami okolicznych drzew. Usłyszał piśnięcie radiostacji starszego szeregowego Isziego Hondy. Łącznościowiec zgłosił się, słuchał przez chwilę, po czym polecił komuś czekać.

–Panie pułkowniku – powiedział – biuro pana Herberta ma wiadomość AE.

AE oznaczało *All Ears*, dla wszystkich. Choć zazwyczaj oznaczało to rozkaz natychmiastowej ewakuacji, Grey nie zaprzestał wspinaczki.

–Jaką?

–Pan Herbert informuje, że pięć minut temu okręt podwodny „Pittsburgh” wystrzelił *Tomahawka*. Pocisk trafi w CR za dwadzieścia pięć minut. Pan Herbert doradza nam, żebyśmy się natychmiast wycofali.

–Doradza? A więc to nie rozkaz?

–Nie, panie pułkowniku.

August skinął głową.

–Szeregowy George?

–Tak, panie pułkowniku?

–Te sukinsyny mają dostać, co się im należy, rozumiecie?

· Wtorek, 15.38 – Damaszek, Syria

Paul Hood nie zobaczył bynajmniej przed oczami historii swego żyda, kiedy jego podbródek uniosła ku górze lufa pistoletu. Dwaj Kurdowie rozbroili go, a on tymczasem poczuł się tak słabo i dziwnie jak we śnie. Czy w ten sposób ludzki umysł radzi sobie z ciężkim szokiem? Może, ale wystarczyło mu przytomności na to, by zadać sobie pytanie, o czym, do cholery, myślał, kiedy zdecydował się na walkę z terrorystami. Był przecież urzędnikiem, nie żołnierzem. I do tego stopnia przejął się dowódcą zamachowców – tym, co robił i tym, dokąd się kierował – że zupełnie zapomniał o trzech żołnierzach, którzy uskoczyli pod ścianę. Jak zawsze w tych sprawach, Mike Rodgers miał rację. Mike lubił powtarzać, że wojna nie przebacza.

Terrorysty, którzy zabrali mu broń, odstąpili go o krok. Jeden z nich obrócił się. Paul obserwował dowódcę, który wraz ze swymi ludźmi zaczął się do niego zbliżać. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który jest zadowolony z siebie, człowieka triumfującego, lecz raczej kogoś, kto stara się jak najlepiej wypełnić swoje obowiązki. Zatrzymał się przy drzwiach, spojrzął w korytarz, skinął głową. Żołnierz, który go obserwował, obrócił się i powiedział jedno słowo do kolegi, nadal wciskającego lufę pistoletu w podbródek Hooda. Terrorysta chrząknął i spojrzął Paulowi wprost w twarz. Uśmiechał się.

Paul Hood zamknął oczy. W myślach pożegnał się z rodziną. Usta miał pełne śliny, nie mógł jednak przełknąć, przez tę cholerną lufę! To bez znaczenia. Za chwilę skończy się i przelknięcie, i uśmiech, już za chwilę nigdy nie zamknie zmęczonych oczu, nic mu nigdy się nie przyśni...

W korytarzu rozległ się huk strzału. Paul drgnął. Usłyszał jęk, więc otworzył oczy. Kurd, który jeszcze przed sekundą się uśmiechał, leżał teraz na podłodze, trzymając się za lewe udo. Paul Hood zobaczył, jak na podłogę padają dwaj następni napastnicy. Pociski wyrwały ohydne dziury w ich nogach i na wysokości krzyża. Obaj nie żyli.

Spojrzął na korytarz. W jego kierunku zbliżała się grupa Syryjczyków. Paul stał, nie wierząc, że żyje i nie mając pojęcia, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Przywódca Kurdów zamarł tymczasem, a jego ludzie zgromadzili się za nim. Stali zaledwie metr od sali przyjęć.

Dowódca spojrzął na swych martwych żołnierzach, obrócił się i zaczął wrzeszczeć na zbliżających się Syryjczyków.

Hood, o którym w tej gorącej chwili chyba po prostu zapomniano, wskoczył do biura ochrony. Nagle uderzył się w czoło – powinien podnieść broń któregoś z zabitych. Za późno teraz o myśleć. No, przynajmniej żyje. Na giełdzie zwykło się mówić, że sukcesy osiągają grający na wyżkę kursów, zwani niedźwiedziami, i byki, czyli gracze grający na zniżkę, a nie świny, czyli spekulanci, liczący na krótkoterminowy zysk.

Złapał za telefon.

–Wagner, jesteś tam?

–Jasne Co się dzieje?

–Nie jestem pewien. Jacyś Syryjczycy po cywilnemu właśnie zastrzelili paru żołnierzy.

–Cudo, cholera...

–Może i cudo. Nie sądzę, by ci żołnierze mieli zamiar nam pomóc. Słyszysz, co mówi ich dowódca?

–Zaczekaj. Podejdę bliżej. – Chwila przerwy. – Paul? Powiedział, że nazywa się Mehmet al-Raszid i chce wiedzieć, co ci inni wyrabiają. Powiedział im, że jest kurdyjskim przywódcą, a nie żołnierzem syryjskiej armii.

–A co mówią ci Syryjczycy?

–Nic.

Hood spojrział na monitor.

–Wagner, podejrzewam, że ci Syryjczycy nie wzięli Kurdów za żołnierzy. Mam wrażenie, że doskonale wiedzieli, co robią.

Mehmet krzyknął coś.

–Co on mówi? – zniecierpliwił się Hood.

–Rozkazuje tamtym ludziom, żeby się przedstawili. A także, żeby zajęli się postrzelonymi.

Paul patrzył na ekran. Serce biło mu szybko.

–Słuchaj, ten Mehmet właśnie unosi broń. Warner, Syryjczycy na pewno nie są z zamachowcami!

–Może to oddziały ochrony prezydenta? Powinny być tu parę wieków temu.

–Nie mam pojęcia. Słuchaj, Warner, dzwoni do Centrum i powiedz im, co tu się dzieje. Dowiedz się, czy wiedzą coś o odsieczce.

–A nie powiedzieliby mi wcześniej?

–Nie przez otwartą linię. Teraz bezpieczeństwo łączności nie ma już najmniejszego znaczenia.

Mehmet zatrzymał się. Przez krótką chwilę panowała niemal absolutna cisza, a potem przybysze cofnęli się o kilka kroków i jak jeden mąż otworzyli ogień do grupy Kurdów.

–O, kurwa! – wrzasnął w słuchawkę Bicking. – Nic nie słyszę! Co za hałas!

Kilku ludzi Mehmeta padło, nim Kurdowie zdążyli odpowiedzieć ogniem. Sam dowódca nie mógł strzelać, bowiem cel zasłaniał mu jego ludzie. Gestem nakazał wycofać się tym, którzy przeżyli. Kurdowie uciekali omijając go, on zaś osłaniał ich ucieczkę krótkimi seriami, wymierzonymi na wysokości pasa. Kilku Syryjczyków padło, ale chyba mieli na sobie kamizelki kuloodporne, bo zaraz się podnieśli. Mehmet jednak nie miał kamizelki. Wydawało się, że dostał kilkakrotnie, nim odwrócił się i w niezdarnych podskokach dopadł sali przyjęć. Gdy tylko zniknął, strzelanina ustała i Syryjczycy ruszyli przed siebie.

Paul chwycił telefon.

–Warner, zapomnij o Centrum, kryj się! Kurdowie już są u ciebie!

Cisza.

–Warner, masz ukryć się natychmiast Słyszysz mnie?

–Słyszę, słyszę, ale może jest coś, co mógłbym...

–Nie ma Schowaj się gdzieś!

Na ekranie jednego z telewizorów Paul zobaczył pięciu Kurdów, wkraczających do sali przyjęć przed swym rannym dowódcą. Nie odzywał się. Jeśli Bicking zdołał się gdzieś ukryć, głos z telefonu mógł go tylko zdradzić. Odłożył słuchawkę i patrzył, co się dzieje.

Za drzwiami biura ochrony znów rozległy się strzały. Zobaczył kogoś idącego korytarzem. Podniósł wzrok w sam czas, by dostrzec człowieka, który miał go zastrzelić, wślizgującego się przez drzwi, zamierającego na chwilę z przerażająco skrzywioną twarzą i zwijającego się w pozycji płodu. W jego piersi ziały trzy straszne dziury. Kurd oddychał przez chwilę, rżąc ciężko, a potem ucichł. Na jego twarzy, nawet po śmierci, pozostał grymas.

Paul poczuł mdłości.

W chwilę później próg przekroczył jeden z Syryjczyków, wielki facet, mający co najmniej metr dziewięćdziesiąt, z białym zawojem na głowie i gęstą czarną brodą. Uzi, które niósł przy boku, dymiło lekko. Na piersi jego kurтки khaki widać było dwie dziury po pociskach. Zatrzymał się, wypełniając swą osobą całe drzwi.

–Ty Hood? – spytał toporną angielszczyzną. Jego niski głos brzmiał tak, jakby normalny mężczyzna przemawiał w głębi jaskini.

–Owszem.

Wielkolud kopnął pistolet martwego Kurda. Broń potoczyła się po rozlanej na podłodze świeżej krwi.

–Bierz – powiedział, osłaniając swarz luźnym rąbkiem zawoju – Użyj, jak trzeba.

Paul podniósł pistolet.

–Kim jesteś? – spytał.

–Mista'aravim. Zostań tu.

–Chcę pójść z wami.

Wielkolud tylko pokręcił głową.

–Powiedziano mi, że pan Herbert osobiście nakopie mi w dupę, jeśli coś ci się zdarzy. – Z przepastnej kieszeni spodni wyjął magazynek i załadował go do pistoletu maszynowego.

–A co z innymi?

–Poszukaj wideo. Znajdziesz taśmy, zabierz.

–Doskonale. Ale ambasador... moi współpracownicy...

–Ja się nimi zajmę. Wrócę po ciebie. – I gigant spokojnie wyszedł na korytarz.

Gdzieś, w innym skrzydle pałacu, rozległa się seria strzałów. Tu słychać było tylko ciężkie kroki brodacza. Cisza wydała się Hoodowi niezwykle złowieszcza.

Podszedł do konsoli. Na monitorze widział jak „Syryjczyk”, który z nim rozmawiał, dołącza do swoich ludzi. Mista'aravim – głęboko zakonspirowane w społeczności arabskiej oddziały komandosów Izraela. Herbert utrzymywał bardzo dobre kontakty z hierarchią wojskową tego kraju i prawdopodobnie zwrócił się do nich o pomoc. Konspiracja, dlatego ten facet poprosił o znalezienie taśm. Nie może pozostawić po sobie filmu, na którym byłaby jego twarz.

Pięciu żołnierzy stało po obu stronach drzwi, prowadzących do sali przyjęć.

Mocowali coś do marmurowej ściany. Prawdopodobnie C-4. Użyją środka wybuchowego, zaskakując napastników i jednocześnie robiąc sobie miejsce na prowadzenie ognia

Paul Hood zaczął szukać magnetowidów. Znalazł dwa, wyłączył je i wyjął kasety. Nagle zatrzymał się i zaklął.

Twarze żołnierzy Mista'aravim nagrały się nie tylko na taśmach wideo, lecz także w pamięci Kurdów. I z tego powodu wszyscy Kurdowie będą musieli zginąć. Izraelczycy prawdopodobnie zasypią tę salę ogniem a pistoletów maszynowych, tak dla wszelkiej pewności. W ten sposób działali. Czasami dobrych należy poświęcić wraz ze złymi, dla dobra społeczności.

Hood nie miał zamiaru do tego dopuścić. Podniósł słuchawkę telefonu.

–Warner, jeśli mnie słyszysz, nie rób nic. Mam wrażenie, że za chwilę rozpęta się pie...

I za chwilę piekło rzeczywiście się rozpętało. Umieszczone na ścianach na wysokości piersi ładunki wybuchły, ujawniając zamaskowane twarze komandosów. Kurdowie otworzyli do nich ogień. Broń żołnierzy Izraela odpowiedziała im jednym, zwiastującym śmierć głosem.

· Wtorek, 15.43 – dolina Bekaa, Liban

Dostrzegłszy mgiełkę krwi Phil Katzen zaczął przeklinać Kordów wielkim głosem. Nie zwracając już uwagi na ostry ból w boku, zaczął wspinać się w stronę drogi.

Falah odłożył broń i złapał go w pasie.

–Czekaj! – krzyknął. – Czekaj, coś tu się nie...

Katzen wcisnął czoło w suchą ziemię.

–Zabili ją. Zastrzelili ją z zimną krwią. – Bił ziemię pięściami.

–Moim zdaniem nie – zauważył Falah. – Ciii... zdaje się, że ją słyszę.

Katzen uspokoił się. Usłyszał zgrzyt biegów – to CR odjeżdżało. Potem, z drogi, dobiegł go cichy szloch.

–Mary Rose? – spytał z niedowierzaniem. Nadal słyszał tylko pucz, nic więcej. Zerknął na Falaha. – Jeśli żyje, to coś musiało się stać facetowi, który miał ją zastrzelić.

–Słusznie. – Falah podniósł broń. – Pewnie to jego krew widzieliśmy.

–Ale... co tu się dzieje? Nie wierzę, żeby któremuś z zakładników udało się wydostać. Jamy zamknięte były żelaznymi kratami!

–Nikt nie uciekł. Gdyby uciekł, słyszałoby krzyki, bieganinę. A tymczasem wręcz przeciwnie, nie słyszymy nic. Nikt się nie rusza. – Falah spojrzał na południe. Zmrużył oczy. – Jeśli zgina Kord, to znaczy, że ktoś wiedział, co robi. Godzinę temu wyłączyłem radio. Godzina to dość, żeby podjąć decyzję, wydać rozkaz ataku i dotrzeć na miejsce. Mały, szybki oddział nie miałby z tym problemu.

Iglica, pomyślał Falah. Pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Katzena, nim jednak udało mu się dostrzec ruch w wierzchołkach drzew, usłyszał dobiegający z góry krzyk. Ktoś krzyczał po angielsku, grożąc zabiciem zakładników.

–To nie do nas – stwierdził Falah. – Terrorystę zastrzelił snajper. On mówi do jego ludzi.

–Przecież gdyby ktoś tam był, pokazałby się na monitorach CR

–Chyba go Przystawili. – Falah minął Katzena, wręczając mu po drodze jeden z rewolwerów. – Zastań tu – powiedział. – Spróbuję znaleźć ich, ostrzec...

Przerwał mu cichy stuk i gwizd, dobiegający z południowego wschodu. Katzen dostrzegł czarny pocisk, lecący w stronę jaskini. Po kilku sekundach pojawił się drugi, a po nim trzeci. Wybuchły po kolei, wysyłając w powietrze pomarańczowe chmury.

–Neofosgen!

–Co?

–Gaz paraliżujący. Na około pięć minut wywołuje objawy przypominające ciężki atak astmy. Tylko Iglica nim dysponuje.

Odnieśli wrażenie, że po pełnym rozprężeniu gaz zaczyna się skraplać na ziemi w postaci piany, która rozlała się w kałużę i zaczęła przelewać przez drogę. Obaj mężczyźni widzieli, jak Mary Rose pada na ziemię, ciężko walcząc o oddech.

–Idziemy – zdecydował Katzen. – Za jakieś dwie minuty gaz – zbieleje, tracąc jednocześnie właściwości toksyczne. Może uda się nam wyciągnąć naszych ludzi,

nim Kurdowie oprzytomnieją.

–Nie. Zostaniesz tutaj. Masz połamane żebra, będziesz tylko przeszkadzał.

–A gównu! Zostanę z Mary Rose, ale wyłażę na górę.

Tym razem Falah nie zaprotestował. Rozpoczęli wspinaczkę w kierunku drogi. Szybkość i zręczność, z jaką poruszał się jego towarzysz, wprawiła Phila w osłupienie. Ostatnio pracował prawie wyłącznie za biurkiem i zapomniał, z jaką łatwością niektórzy ludzie się poruszają.

Wsadził broń za pasek i zaczął się czołgać. Cały czas patrzył to w górę, to na południe, to w dół. Mimo że od dawna nie był w terenie, pamiętał jak zaskakująco szybko potrafiła uderzyć Iglica: jeśli neofosgen dał im pięć minut na wdarcie się do jaskini i uporządkowanie tego burdelu, zdążą w pięć minut i jeszcze zostanie trochę czasu.

Patrzył właśnie na południe, kiedy usłyszał kroki na drodze. Spojrzał w górę. Falah nadal wspinał się po zboczu, a piana nadal była brązowawa, toksyczna. Nie widział samej drogi, ale chmura zaczęła falować, jakby w jej wnętrzu poruszali się ludzie. Nagle obok leżącej Mary Rose pojawił się żołnierz w pustynnym mundurze maskującym, z maską przeciwigazową na twarzy. Uklęknął przy niej, wziął ją pod pachy i delikatnie ściągnął ze zbocza. Potem przerzucił sobie dziewczynę przez ramię i znikł jak duch.

Falah przeskoczył ostatnie kilka metrów, dzielące go od drogi. Stojąc niemal na granicy wyraźnie odcinającej się chmury gazu od czystego powietrza, spojrzawszy w dół, uśmiechnął się szeroko, pokazał Katzenowi uniesiony w górę kciuk i pobiegł w kierunku jaskini.

Phil nie miał już po co wspinać się na górę. Ból czuł w całym ciele, od szczęki po pas, więc z rozkoszą ułożył się na miękkiej trawie. Oddychał powoli, używając „techniki Buddy”, której nauczył się na kursach pierwszej pomocy, przeponą, a nie klatką piersiową. Ból złamanego żebra zmniejszył się nieco."

Leżał tak sobie, słuchając słabego, lecz regularnego oddechu i odgłosu nieregularnych kroków po ziemi i kamieniach, kiedy nagle drgnął. Strzały. Sądząc z echa, strzelano gdzieś, w głębi jaskini.

Ugiął nogę w kolanie, oparł się na dłoniach i powoli, niezdarnie zaczął pełznąć w górę.

· Wtorek, 15.45 – Damaszek, Syria

Mehmet stał chwiejnie, obiema rękami podpierając się o blat wielkiego stołu, stojącego przy *mahmal*, kiedy wybuchły ładunki. Bardzo pragnął bronić maleńkiej twierdzy swych ludzi, ale po prostu nie miał siły. Nie miał nawet siły sprawdzić, czy nie uchowali się tu jacyś szczęściarze, których nie zabiła bomba zamachowcy-samobójcy, Sabera Moszeni.

Wybuch wstrząsnął jego ciałem. Otrzymał dwa postrzały w nogę i w lewy bok. Wstydził się swej słabości, miał jednak szczęście, bowiem udało mu się uniknąć dwóch wystrzelonych przez atakujących serii – pocisków lecących na wysokości pasa, i tych lecących na wysokości kolan. Jego żołnierze już takiego szczęścia nie mieli. Zajęli pozycje pośrodku sali, kryjąc się za krzesłami i kolumnami, gotowi do kontrataku. Ogień karabinów G3 po prostu ich ściał.

Leżąc na posadzce, czując pod policzkiem chłód marmurowych płytek, Mehmet słyszał, jak ogień atakujących słabnie. A więc jego ludzie nie żyją. Jego jednak nie trafiła podczas szturmu ani jedna kula. Uniósł powieki, tylko odrobinę, zobaczył podłogę, roztrzaskane kryształy, rozszarpane ciała. Zobaczył także, jak w wyrwanych wybuchem dziurach w ścianach pojawiają się twarze, zamaskowane rąbkami zawojów, okrywających nosy i usta. Już wcześniej podejrzewał, że nie ma do czynienia z elitarnym oddziałem gwardii pałacowej. Ci ludzie nie chcieli, żeby ktoś widział ich twarze. A poza tym gwardia pałacowa nie strzelała, by zabić. Używała gazu, by pojmać jeńców i potem torturować. Prezydent bardzo lubił wiedzieć wszystko o wszystkich możliwych spiskach, a trupa nie da się przecież przesłuchać. A w końcu ci ludzie strzelali na ślepo w sali, w której znajdował się święty *mahmal*. Żaden muzułmanin nie byłby zdolny do takiego świętokradztwa.

Nie, ci ludzie z pewnością nie byli Syryjczykami. Mehmet podejrzewał, że to komandosi Mista'aravim, Izraelczycy udający Arabów. Mimo że był poważnie ranny, mimo że wokół niego umierali jego ludzie, uśmiechnął się. Co za ironia! Kurdowie, przynajmniej w części, opłacani byli przecież przez Izrael, marzący o destabilizacji Syrii.

W ciemności dostrzegł leżący na podłodze pistolet, który upuścił podczas ataku. Podniósł go i zacisnął dłoń na rękojeści, wsunął palec pod spustu. W pałacu nadal byli syryjscy Kurdowie... i nadal walczyli. Więc on też będzie walczył.

Komandosi wkroczyli do sali, pozostawiając za drzwiami jednego człowieka, który pilnował korytarza. Dwóch szło wzdłuż północnej ściany, dwóch wzdłuż południowej. Zbliżali się do niego, wpatrzeni w ciemność, oglądając zwłoki, sprawiali wrażenie, jakby kogoś szukali.

Mehmet osłabł z upływu krwi, walczył jednak, by nie stracić przytomności. Żołnierze znajdowali się teraz jakieś sześć metrów od niego. Ci przy południowej ścianie szli w stronę znajdującej się z tyłu alkowy, ci przy północnej właśnie mijali dwie przestębnowane pociskami otomany. Po obu stronach otoman stały rosnące w ceramicznych doniczkach niewielkie cedry, przecięte teraz niemal na pół.

Za dalszym drzewkiem coś się poruszyło.

–Uwaga! – krzyknął po arabsku jakiś głos, zagłuszony niemal natychmiast strzałami. Mehmet strzelał do stojących przy drzewach komandosów. Bliższego dwukrotnie postrzelił w nogę, dalszy padł z kula w plecach. Obrócił się, celując w tych po przeciwnej stronie sali, kiedy nagle ktoś na niego skoczył. Mocna teka przycisnęła do podłogi jego dłoń z pistoletem, twarda pięść trafiła go w szczękę.

–Cofnij się! – krzyknął inny głos.

Ciemna postać odskoczyła i Mehmet dostrzegł dwie obracające się w jego kierunku lufy. Zasypała go lawina pocisków. Instynktownie zamknął oczy. Kute trafiły go w prawy bark, w plecy, w szyję, w szczękę, w bok. Ale nie czuł bólu. Kiedy strzały ucichły, nie czuł już nic. Nie mógł poruszyć się, nie mógł oddychać, nie mógł nawet otworzyć oczu.

Allachu, zawiodłem, pomyślał, czując wszechogarniający smutek. Lecz smutek znikł wraz z zanikiem świadomości i nie liczyły się już ani klęska, ani zwycięstwo.

· Wtorek, 15.51 – Damaszek, Syria

Warner Bicking wstał i podniósł ręce nad głowę. Prawa krwawiła mu od ciosu, który zadał Kurdowi.

–Jestem po,waszej stronie – powiedział po arabsku. – Czy mnie rozumiecie?

Niewysoki mężczyzna o szerokim czole, na którym widać było kilkucentymetrową bliznę, podrzucił broń do ramienia. Podchodząc do Wagnera skinął na swego towarzysza, prawdziwego giganta, wskazując mu rannych. Bicking zerknął w prawo – gigant bez wysiłku zarzucił sobie jednego z nich na ramię, a potem, również bez wysiłku, podniósł drugiego.

–Jestem Amerykaninem – przedstawił się Bicking. – A ci ludzie to moi współpracownicy. – Wskazał donicę, zza której wstawali właśnie Nasr i ambasador Haveles.

Pozostawiony na korytarzu żołnierz obrócił się nagle.

–Ktoś nadchodzi! – zameldował.

Niski, spojrzał na wielkoluda.

–Dasz radę? – spytał

Wielkolud tylko skinął głową. Poprawił sobie rannego, którego zarzucił na prawe ramię. Mógł teraz strzelać przed siebie, pomiędzy jego nogami.

–Idziesz z nami – powiedział niski do Bickinga.

–Ludzie, kim wy jesteście? – spytał Haveles, robiąc jeden, niepewny krok w ich kierunku. Warnerowi przypominał ofiarę wypadku samochodowego, oszołomioną, niemal nieprzytomną, ale upierającą się, że nic jej nie jest.

–Przysłano nas, żebyśmy was zabrali. Albo pójdziecie teraz, albo tu zostajecie.

–Są z nocni, przedstawiciele rządów Japonii i Rosji – powiedział Haveles. – Schowali się we wnęce, o, tam.

–Tylko wy. – Niewysoki, zapewne dowódca, obrócił się ku stojącemu w drzwiach żołnierzowi. Ten skinął głową, wyszedł na korytarz i skręcił w lewo. – Już!

Bicking wziął ambasadora pod rękę.

–Idziemy. Gwardia pałacowa będzie, musiała poradzić sobie z tym bałaganem.

–Nie – zaprotestował Haveles. – Zostanę z nimi.

–Panie ambasadorze, przecież walki...

–Zostanę. – Ambasador nie dał się przebłagać. Wagner wiedział, że nie ma co kontynuować sporu.

–Doskonale, panie ambasadorze. Do zobaczenia w ambasadzie.

Haveles wrócił i sztywnym, mechanicznym krokiem ruszył do mrocznej alkowy, służącej także jako bar. Dołączył tam do innych, szukających bezpieczeństwa w cieniu.

Wielkolud ruszył przed siebie. Za nim szedł niewysoki dowódca.

Żołnierz, który jako pierwszy znikł w korytarzu, wrócił z Paulem Hoodem. Wręczył kasety wideo dowódcy i cała grupa ruszyła przez hol. Dwaj zamaskowani żołnierze szli jako pierwsi, wielkolud zamykał pochód.

–Gdzie ambasadorowie? – spytał Paul. – Czy nic się nikomu nie stało?

Warner Bicking pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Spojrzał na swą okrwawioną dłoń. Od sześciu lat nie miał okazji zadać przyzwoitego, nokautującego ciosu.

–Prawie nikomu – powiedział, mając na myśli Kurda.

–Co?

–Wszyscy Kurdowie nie żyją. Ambasador Haveles jest w lekkim szoku, ale nie zdecydował się na ewakuację. Nasi przyjaciele dokładnie wiedzieli, kogo chcą zabrać ze sobą. I kogo nie chcą.

– Tylko my – stwierdził Hood.

–Owszem, tylko my.

–Bob musiał podpisać mnóstwo weksli, żeby nas tak po prostu wyciągnąć.

–Bez wątpienia. Cóż, z dyplomatycznego punktu widzenia rusz ambasador postąpił prawdopodobnie całkiem sprytnie. Na scenie międzynarodowej rozegrałyby się prawdziwe zawody w obrzucaniu gównem, gdyby wyszło na jaw, że ratowano tylko Amerykanów. A przecież Japończycy i Rosjanie nie splunęliby na naszego ambasadora, nawet gdyby palił się żywym ogniem.

–No to się mylisz. Moim zdaniem, owszem, splunęliby.

Podeszli do złotych drzwi. Idący przodem odstrzelił zamek i otworzył je kopniakiem. Kiedy weszli, idący z tyłu gigant zamknął drzwi, a jeden z żołnierzy na czele kolumny włączył latarkę. Przeszli szybko przez wielką salę balową. W niemal całkowitej ciemności Bicking czuł ciężar złotych draperii, ciężar wieków.

Za drzwiami rozległ się nagle odgłos kroków. Trzej żołnierze Mista'aravim zamarli w pół kroku, obrócili się i wymierzyli broń w kierunku dźwięku. Latarka zgasła. Niski dowódca pośpieszył ku złotym drzwiom.

–Macie iść przed siebie i zaczekać na nas w kuchni – szepnął gigant do Hooda, Nasra i Bickinga.

Bez dyskusji spełnili jego polecenie. Po drodze Paul obejrzał się jeszcze przez ramię. Dowódca komandosów wyglądał przez otwór w drzwiach, stanowiący pozostałość po zamku. Nikt nie śpieszył się otworzyć drzwi, więc izraelscy komandosi pozostawili je w spokoju.

Ich nieduży dowódca powiedział coś do swych żołnierzy.

–Gwardia pałacowa – przetłumaczył Bicking. On, Paul i Nasr biegli przez wielką kuchnię.

–A więc to tylko teatr, dokładnie tak, jak przewidział ambasador – wtrącił Nasr.

–Co ma pan na myśli? – spytał Hood.

–Syryjski prezydent spodziewał się czegoś takiego – wyjaśnił Egipcjanin. – Ambasador Haveles zresztą też. Dopuścił do tego, by w centrum walk znalazł się jego sobowtór oraz ambasadorowie kilku mocarstw, chronieni wyłącznie przez agentów bezpieczeństwa...

–...przypominających efektywnością amerykańską ochronę muzeów – dokończył za niego Bicking. – Ćwiczą ich w walce jeden na jednego. Jeśli zdarzą się poważne problemy, mają dzwonić po pomoc.

–No właśnie – przytaknął Nasr. – Kiedy prezydent zyskał już pewność, że

Kurdowie wysłali większość swych sił do pałacu, przysłał elitarną gwardię, żeby się z nimi rozprawiła.

–Prezydent robi sobie z innych narodów tarczę, za którą chowa się przed przeciwnikami – wyjaśnił Bicking. – Używa Libanu, by szczuć terrorystów przeciw Izraelowi, Grecji przeciw Turcji, Iranu przeciw całemu światu. Powinniśmy wcześniej przygotowane się na taką ewentualność.

Strzały padały coraz gęściej i wydawały się coraz bliższe. Oczami wyobraźni Paul Hood widział oddziały doskonale uzbrojonych żołnierzy maszerujących korytarzami, strzelających do każdego. Ranni Kurdowie być może trafią do niewoli, nie wyobrażał sobie jednak, by jakikolwiek Kurd pragnął się poddać. Z pewnością wszyscy wolą śmierć od syryjskiego więzienia.

Zatrzymali się przy kolejnych-drzwiach. Dowódca kazał im czekać. Wyciągnął z kieszeni niewielki kawałek C-4 wraz z zapalnikiem czasowym, otworzył drzwi i znikł. Jego żołnierze z pewnością nie należeli do grona najsympatyczniejszych ludzi, jakich Warner Bicking miał okazję poznać w swoim niedługim życiu, ale umieli właściwie się wyekwipować, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

–Czy Haveles jest bezpieczny? – zainteresował się Hood.

–Trudno powiedzieć – przyznał doktor Nasr. – Cokolwiek się zdarzy, prezydent Syrii może tylko wygrać. Jeśli Haveles zginie, to przez Kurdów, i Stany Zjednoczone wstrzymają pomoc dla nich, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Jeśli przeżyje, to wyłącznie dzięki gwardii Pałacowej.

Dowódca komandosów wrócił i gestem nakazał innym, by szli za nim. Przez spiżarnię cała grupa wydostała się do niewielkiego ogrodu, otoczonego trzymetrowym murem, z bramą w południowym krańcu. Szli wyłożoną kamieniem ścieżką pośród idealnie utrzymanych, sięgających pasa żywopłotów. Doszli do końca ścieżki i zatrzymali się. Czekali w odległości mniej więcej sześciu metrów od bramy. Jeszcze chwila i ładunek eksplodował, wrywając dziury w bramie i w ogrodzeniu. Jednocześnie do krawężnika podjechała wielka ciężarówka z płócienną budą.

Na ulicy nie było przechodniów. Odgłosy walki – albo miejscowa policja – przepłoszyła ich skutecznie. Bardziej już dziwił brak dziennikarzy. Bicking nie musiał nawet zastanawiać się nad tą sprawą. To dlatego uciekali okrężną drogą. Wybawcy nie marzyli bynajmniej o tym, by cały świat zobaczył ich zdjęcia.

Dowódca odchylił płachtę. Gestem wezwał ich do przejścia przez bramę.

Ciężarówka przeraźliwie śmierdziała rybą, ale nikogo to nie zniechęcało. Hood, Bicking i Nasr weszli jako pierwsi. Pomogli wielkoludowi, niosącemu na ramionach dwóch rannych, oraz reszcie jego przyjaciół. Rannych położono na płóciennych workach, reszta pasażerów rozsiadła się na lepkich od tłuszczu drewnianych beczkach, stojących przy ścianie szoferki. Nie minęła minuta, gdy ciężarówka ruszyła na południowy wschód. Kierowca skręcił w lewo, minęli liczący sobie tysiąc sześćset lat Łuk Rzymski i kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Ciężarówka mknęła na północny wschód.

Doktor Nasr odchylił płachtę budy.

–Tego należało się spodziewać – powiedział z satysfakcją.

–Czego? – zdziwił się Hood.

Egipcjanin puścił płachtę. Pochylił mu się do ucha.

–Jedziemy do dzielnicy żydowskiej – powiedział. Paul pochylił się, żeby lepiej widzieć. – Chodzą plotki, że Mista'aravim operują właśnie stąd.

Bicking także miał coś do powiedzenia.

–Stawiam całe moje oszczędności, że w tych beczkach są nie tylko ryby.

Wieziemy tu pewnie broń w ilości wystarczającej, żeby rozpocząć niewielką wojnę.

Ciężarówka zwolniła. Jechała teraz krętą i wąską uliczką. W nieregularnych odstępach, pod różnymi kątami w stosunku do ulicy, stały przy niej wysokie domy, biel ścian słońce spaliło na brudnożółty kolor. Ich facjatki wisiały nisko nad ulicą, pranie zaś jeszcze niżej, tak nisko, że momentami ocierało się wręcz o plandekę. Rowery i małe miejskie samochodziki poruszały się po ulicy własnym, nieśpiesznym rytmem, utrudniając manewrowanie wielkiej ciężarówki.

Wjechali wreszcie w ciemną ślepią uliczkę. Komandosi wyskoczyli i skierowali się ku drewnianym drzwiom domu po lewej stronie. Powitały ich dwie stare kobiety, które pomogły im przenieść rannych do mrocznej kuchni. Ułożono ich na podłodze, na kocach. Kobiety zdjęły im zawoje i spodnie, a następnie obmyły rany.

–Może moglibyśmy w czymś pomóc? – spytał Paul Hood. Nikt mu nie odpowiedział.

–Nie bierz tego do siebie – szepnął mu w ucho doktor Nasr.

–Nie wezmę. Przecież widzę, że mają co robić.

–Zachowywałyby się w ten sposób, nawet gdyby żaden z ich ludzi nie został ranny. Mają fioła na punkcie zachowania tajemnicy

–I nic dziwnego – wtrącił Bicking. – Mista'aravim zinfiltrowało Hezbollah i Hamas. Pojawiają się w getcie tylko wtedy, kiedy utrzymanie tajemnicy jest najważniejsze. Gdyby ktoś ich tutaj zobaczył, kosztowałoby to nie tylko żywe żołnierzy. Z całą pewnością nie uszczęśliwił ich rozkaz ocalenia bandy Amerykanów.

Nie przebrzmiało jeszcze echo jego słów, a kierowca ciężarówki i trzech zamaskowani mężczyźni wstali. Dowódca zadzwonił gdzieś, jego ludzie pożegnali ciepło kobiety, a potem wyszli z kuchni. Zgrzytnęła skrzynia biegów, zawył silnik i ciężarówka wycofała się z uliczki.

Jedna z kobiet nie odstępowała rannych, inna wstała i zwróciła się do nowo przybyłych. Z całą pewnością niespełna trzydziestoletnia, miała metr pięćdziesiąt parę wzrostu. Kasztanowate włosy wiązała w ciasny kok, gęste czarne brwi sprawiały zaś wrażenie, że jej ciemne oczy są ciemniejsze niż w rzeczywistości. Miała okrągłą twarz, pełne usta, oliwkową cerę. Na czarną suknię włożyła zakrwawiony fartuch.

–Który jest Hood? – spytała.

–To ja. – Paul uniósł palec. – Czy waszym ludziom nic nie grozi?

–Mamy nadzieję – powiedziała dziewczyna. – Posłaliśmy po lekarza. Ale twój towarzysz ma rację. Naszych ludzi nie cieszy, że musieli wziąć udział w tej akcji. Jeszcze mniej cieszy ich, że dwaj ich przyjaciele zostali ranni. Niełatwo będzie wytłumaczyć sąsiadom i znajomym w pracy, dlaczego się nie pokazują i co się im stało.

–Rozumiem – powiedział Hood.

–Jesteście teraz w mojej restauracji – mówiła dalej kobieta. – Zostaliście tu dostarczeni jako ryby. Innymi słowy, nikt nie może zobaczyć was poza tym pokojem. Odwieziemy was do ambasady, kiedy zamknę lokal na noc. Nie mam ludzi, żeby załatwić to szybciej.

–To także doskonale rozumiem.

–Macie jak najszybciej zadzwonić do pana Herberta. Jeśli nie macie telefonu, jakiś dla was znajdę. Rozmowa nie może się pokazać na naszym rachunku.

Bicking sięgnął do kieszeni. Wyjął telefon komórkowy.

–Dobra, sprawdzimy, czy jeszcze działa – powiedział. Otworzył go i włączył, przez chwilę słuchał sygnału, po czym oddał telefon Hoodowi.

Paul przeszedł do kąta, wybrał numer Centrum. Połączono go z biurem Marthy, gdzie ona sama, Bob i ich asystenci oczekiwali informacji.

–Martha... Bob... – powiedział – to ja, Paul. Ahmet i Warner są w porządku. Dzięki za wszystko, co dla nas zrobiliście.

Choć stał ładnych parę metrów od Paula i telefonu, Warner usłyszał okrzyki radości. Na myśl o tym, jak wielką ulgę czują jego przyjaciele, łzy napłynęły mu do oczu.

–Co z Mike'em? – spytał Paul, próbując niczego nie zdradzić.

–Wiemy, gdzie go trzymają – odparł Herbert. – Brett jest na miejscu. Czekamy na wiadomości.

–Rozmawiam z telefonu komórkowego. Zadzwonź do mnie natychmiast, kiedy tylko się czegoś dowiesz.

Paul przerwał połączenie. Kiedy przekazywał to, co usłyszał, pojawił się lekarz. Amerykanie stanęli w kącie, schodząc innym z drogi. Patrzyli, jak doktor robi rannym miejscowe znieczulenie. Dziewczyna, z którą rozmawiali, klęknęła przy jednym z mężczyzn. Włożyła mu do ust drewnianą łyżką, a potem przycisnęła mu ramiona do piersi tak, by nie mógł nimi wymachiwać. Skinęła głową i lekarz zabrał się do wyjmowania pocisku z nogi. Reszta kobiet, dysponując tylko bandażami i miską wody, próbowała powstrzymać krwawienie.

Ranny wił się w bólu.

–Zawsze twierdziłem, że najgorsze w tej dyplomatycznej robocie jest to, że czasami musisz po prostu wsadzić mordę w kubek i nie robić absolutnie nic – szepnął do Hooda Bicking.

Paul pokręcił głową.

–Wcale nie. Najgorsze jest dowiedzieć się, że, w porównaniu z ludźmi z pierwszej linii, choćbyś robił nie wiem co, nie robisz nic.

Lekarz rozkazał kobietom, by unieruchomiły nogę rannego mężczyzny. Paul, mimo że nikt go nie prosił o pomoc, oddał telefon asystentowi i podszedł do nich. Złapał bandaż, wcisnął ramię pomiędzy ciap kobiet i zaczął ścierać krew tak skutecznie, jak to tylko możliwe.

–Dziękuję – powiedziała dziewczyna, która przed chwilą wydawała im instrukcje.

Paul milczał. Warner Bicking zauważył, że milczenie ostatnio przychodzi jego

szefowi ze zdumiewającą wręcz łatwością.

· Wtorek, 15.52 – dolina Bekaa, Liban

Żołnierze Iglicy zabrali z pojazdów tylko to, co uznali za niezbędne. Pod mundury założyli kamizelki kuloodporne, mieli także maski przeciwgazowe. W plecakach nieśli granaty neofosgenowe, flary i ładunki C-4. Ich uzbrojenie składało się z pistoletów *Beretta* 9 mm z powiększonym magazynkiem oraz pistoletów maszynowych *Heckler Koch MP5 SD3*. Każdy z nich miał też plastikowe kajdanki kciukowe – małe, lekkie, którymi można było skrępować każdego człowieka wiążąc mu kciuki. Nadawały się one również do tworzenia łańcucha przywiązanych jeden do drugiego więźniów,

Żołnierze Iglicy wiedzieli, że ich cel będzie nieruchomy, postanowiono więc, że podzielą się na dwie drużyny. Pierwsza zaatakuje obiekt, druga pozostanie w odwodzie. Druga drużyna miała także za zadanie uniemożliwienie ucieczki żołnierzom przeciwnika oraz zablokowanie drogi ewentualnym posiłkom.

Jedyna różnica między pułkownikiem Augustem a jego poprzednikiem, podpułkownikiem Squiresem, polegała na tym, że August był zwolennikiem działania zespołowego. Squires zawsze dzielił oddział na pary, z których każda miała do wykonania jedno zadanie w ramach ogólnego planu. Jeśli któryś z celów taktycznych nie został osiągnięty, wprowadzano w życie plan zastępczy, wprowadzano do akcji zespół rezerwowy lub przerywano misję. Squires w całej swej karierze ani razu nie musiał przerwać misji. Stosował „miękkie”, skuteczne techniki infiltracji i zawsze łapał zaskoczonego przeciwnika ze spuszczoneymi spodniami. Brett August wyznawał zupełnie inną filozofię – najpierw zadać silny cios, a potem kontynuować atak. Squires wierzył w technikę domina, August preferował raczej przewrócenie stolika, na którym rozgrywano partyjkę.

Drużyna A, którą dowodził kapral Prementine, składająca się z ośmiu żołnierzy, bez przeszkód przedartła się drogą do wejścia do jaskini. Żołnierze mieli rozkaz poruszać się szybko za zasłoną ognia z pistoletów maszynowych, najpierw strzelać, a potem zadawać pytania. Gdy dotarli do chmury gazu, nie sięgała już ona pasa, unosiła się nieco powyżej kolan.

Szeregowy Williams, który miał za zadanie zabrać z terenu akcji ocaloną przez snajpera Iglicy zakładniczkę, nie zdążył jeszcze odłączyć od oddziału, kiedy z lewej, od strony zbocza, kapral usłyszał: – Zamieszkać na tej ziemi.

Zatrzymał oddział, unosząc dłoń z rozpostartymi palcami. Gdyby zacisnął ją w pięść, oznaczałoby to otwarcie ognia. Żołnierze zamarli, gotowi wykonać każdy rozkaz. Podano im wprawdzie właściwe hasło, ale przecież ujawnienie hasła można wymusić torturami. Dostrzegli młodego mężczyznę, wychodzącego z chmury gazu, z podniesionymi rękami, uzbrojonego w rewolwer wiszący na palcu wskazującym lewej dłoni.

–Kim jesteś? – spytał spod maski przeciwgazowej Prementine.

–Jestem szejkiem Midian – padła odpowiedź.

–Nie ruszaj się. – Kapral obrócił dłoń tak, że kciuk wskazywał do tyłu. Każdy z żołnierzy miał wykonywać swoje zadanie. Williams poszedł w stronę zakładniczki, reszta drużyny pobiegła ku wejściu do jaskini. Dzieliło ich od niego zaledwie

dwadzieścia metrów.

Kapral ruszył przez chmurę gazu, która sięgała mu teraz zaledwie do kostek. Zatrzymał się o jakiś metr od mężczyzny, który podał hasło. Ten wciąż stał z uniesionymi rękami.

–Macie jeszcze jednego zakładnika, tam. Żyje – powiedział. Pozostała piątka jest nadal w jaskini. Nie mam pojęcia, co z waszą furgonetką. Przed kilkoma minutami gdzieś ją przestawiono. Może wprowadzili ją do środka? Moim zdaniem jest też miejsce z tyłu, tam mógłby się zmieścić nawet samochód.

Nadal trzymając mężczyznę na muszce, Prementine obejrzał się. Na zboczu, nie więcej niż trzy metry niżej, dostrzegł Phila Katzena. Phil z wysiłkiem pełził pod górę. Podniósł głowę i pokazał kapralowi uniesiony w górę kciuk Tymczasem na scenie wraz z drugą drużyną znalazł się August. Jego żołnierze rozproszyli się po zboczu, czterech z nich zaczęło się wspinać. Zajmą pozycje przy wejściu do jaskini. Pozostali żołnierze Iglicy podzielili się. Trzech miało przedrzeć się przez chmurę gazu i wziąć bezpośredni udział w zdobywaniu bazy terrorystów. Ze środka na razie do nich nie strzelano.

Kapral przyjrzał się stojącemu przed nim zwiadowcy.

–Wiesz, gdzie trzymają jeńców? – spytał.

–Wiem.

Podczas gdy rozmawiali, wrócił Williams. nałożył Mary Rose na drodze, z dala od rozpraszającej się chmury gazu.

–Co z nią? – spytał Prementine.

–Oszołomiona, ale żyje.

–Zanieś ją do pułkownika i jego ludzi. Pomóż panu Katzenowi. Oddaj swoją maskę szejkowi.

–Tak jest! – Williams był wyraźnie rozczarowany, choć starał się zamaskować uczucia właściwą dla doskonale wyszkolonego żołnierza agresywną skutecznością działania.

Drużyjski zwiadowca założył maskę przeciwgazową, kapral tymczasem sprawdził, co robią jego żołnierze przed wejściem do jaskini. Dwóch z nich prowadziło ogień do środka, strzelając na wysokości ramion dorosłego mężczyzny, czterech odprowadzało na bok uwolnionych zakładników oraz kaszlących, ślaniających się na nogach Kurdów, których następnie skuwano kajdankami. Prementine przechylił się nad zboczem i pokazał dwa palce. Dwaj najbliżsi szczytu zbocza żołnierze pośpieszyli pomóc załodze CR. Nie było czasu, by wyprowadzić ją z zasięgu działania lecącego już *Tomahawka*. Na razie zostali zniesieni do stóp wzgórza, gdzie nie groził im postrzał, gdyby doszło do wymiany ognia.

Sześciu żołnierzy Iglicy z drużyny A przegrupowało się po obu stronach wejścia do jaskini. Cały czas obserwowali pułkownika, trzymającego dłoń na wysokości twarzy. August opuścił dłoń. Dwóch ludzi, stojących najbliżej wejścia, rzuciło do środka flary i ruszyło w głąb jaskini, przytulając się do jej ścian. Za nimi ruszyli dwaj następni.

W świetle flar zobaczyli pięciu dławiących się Kurdów, leżących w cienkiej

warstwie gazu. Pierwsi dwaj żołnierze strzelili przed siebie krótkimi serami, dwaj następni skuli jeńców. Ostatnia dwójka wyprowadziła Kurdów na zewnątrz. Następne pierwsza dwójka rzuciła granaty neofosgenowe oraz flary i znów ruszyła przed siebie.

Stojący u wylotu jaskini kapral spojrzął na zegarek. Siedem minut do uderzenia *Tomahawka*. Augustowi, stojącemu u stóp skały, pokazał siedem palców.

Pułkownik skinął głową i pokazał mu cztery palce.

Prementine spojrzął na stojącego przy nim druzyjskiego zwiadowcę.

–Mamy cztery minuty na wyciągnięcie naszych ludzi – powiedział Wskazał na rewolwer, który Falah włożył za pas. – Użyj broni, jeśli będziesz musiał. Chcę, żeby wszyscy moi ludzie wyszli stąd bezpiecznie.

–Ja też – odparł Falah i ruszył w kierunku jaskini.

· Wtorek, 14.55 – dolina Bekaa, Liban

Mike Rodgers stał na dnie przeszło dwumetrowej jamy, jednej z tych, w których uwięzieni byli zakładnicy. Dłońmi trzymał się zamykającej ją kraty, tak by oparzenia na rękach nie stykały się z oparzeniami na bokach. Mimo to cały aż drżał z bólu, spowodowanego ściekającym na rany potem.

Pułkownik Selen uwięziony był w sąsiedniej jamie. Odzyskał przytomność, cierpiał jednak od otrzymanego wcześniej postrzału. Sandra DeVonne karmiła go ryżem i podawała wodę – póki jej, szeregowego Pupshawa i Lowella Coffeya nie zabrano na dwór.

W jaskini panowała cisza, przerywana tylko jękami Sedena i, od czasu do czasu, nerwowymi cmoknięciami żującego gumę wartownika.

Rodgers podejrzewał, że pozostałych zakładników zaprowadzono do CR, Ten cholerny sukinsyn, Phil Katzen, z całą pewnością uruchomił go i powiedział terrorystom wszystko, co wiedział o działaniu zamontowanego w furgonetce sprzętu. Potem wyprowadzono także Mary Rose, żeby zmusić ją do mówienia. Generał miał wrażenie, że niedługo później usłyszał strzał. Miał nadzieję, że nie zamordowali biednej dziewczyny tylko po to, żeby pokazać innym, że są gotowi na wszystko. Czepiał się tej nadziei kurczowo, tak jak i nadziei na to, że dowódca Kurdów przeżyje i że osobiście będzie miał przyjemność załatwić sukinsyna.

Pchnął kratę do góry, by sprawdzić, jak mocno się trzyma. Nie ustąpiła ani na milimetr. Wsadził palce przez drucianą siatkę, otaczającą ściany jamy i próbował podkopać kratę. Siatka miała małe oka, wcisnął pod nią zaledwie czubek palca, niczego nie osiągnął i dał sobie spokój.

Nagle na zewnątrz rozległy się wybuchy. Generał wytężył słuch, miał wrażenie, że rozpoznaje wybuchy granatów, ale nie był tego całkiem pewien.

Zaraz potem usłyszał krzyki, nie tylko sprzed jaskini, ale także z kwater żołnierzy. Opuścił ręce, stanął na dnie jamy i zachwiał się.

–Pułkowniku Selen? – spytał, nie troszcząc się już o to, że zdradza terrorystom prawdziwą tożsamość zakładników. – Pułkowniku, czy pan mnie słyszy?

Turek nie odpowiedział. Nie odezwał się też wartownik. Nie próbował ich uciszyć – jeszcze jeden dowód na to, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Rodgers stał przez chwilę nieruchomo, nasłuchując. Nie słyszał cmokania żującego gumę Kurda. Chyba w ogóle go tu nie było.

–Pułkowniku Selen! – wrzasnął.

–Słyszę – odpowiedział mu słaby głos.

–Pułkowniku, czy może mi pan powiedzieć, co tu się właściwie dzieje?

–Krzyczeli... krzyczeli coś o gazie. Krzyczeli... żeby brać maski. Gaz, pomyślał Mike. Pierwsza faza ataku Iglicy przeciw obiektowi nieruchomemu zakładała użycie neofosgeny celem obezwładnienia przeciwnika. Wydarzenia zaczęły nabierać tempa.

Generał Rodgers poczuł przyływ sił. Teraz najbardziej pragnął przyłączyć się do walki. Znowu próbował podnieść kratę. Przykrywała ona jamę niczym właz przy wejściu do studzienki kanalizacyjnej, nie mógł jej jednak ruszyć z powodu szyny,

biegnącej przez jej środek. Spróbował unieść ją z jednej strony, potem z drugiej, ale krata znajdowała się za wysoko, by był w stanie właściwie wykorzystać całą swą siłę.

Nagle przyszło mu do głowy, że jest sposób na obrócenie kraty. Zdjął buty i skarpetki. Obie skarpetki przeciągnął przez dziury w kracie, jedną po prawej, drugą po lewej, i związał. Rękami uchwycił się kraty po przeciwnej stronie, podciągnął się i wsadził nogi w zaimprovizowane strzemiona.

Cierpiał straszliwie. Poparzona skóra naciągnęła się, z ran popłynęła krew. Nie miał jednak zamiaru przestać. Nie miał zamiaru dopuścić, by żołnierze Iglicy znaleźli go w śmierdzącej dziurze, jak lisa czekającego na śmierć. Wziął głęboki wdech, po czym z całej siły pociągnął kratę dłońmi, jednocześnie kopiąc ją nogami w „strzemionach” ze skarpetek. Poczul, że się poruszyła, jeszcze raz – pociągnął z jednej strony, kopnąc z drugiej. Krata ze zgrzytem przesunęła się po przytrzymującej ją przez środek szynie.

Rodgers zeskoczył na dno jamy. Ramiona bolały go z wysiłku. Słyszał strzały, krótkie serie. Żołnierze Iglicy. Tak, to z pewnością Iglica.

Na szczycie jamy znajdowała się metalowa obręcz, do której przymocowano siatkę, okrywającą ściany. Obręcz miała mniejszą średnicę od kraty, która leżała na niej i nie mogła obrócić się bardziej, ale zrobiona była z miedzi, cieńszej i nie tak twardej jak żelazo. Krata już się przekrzywiła, przyłożenie właściwej siły we właściwym punkcie mogło teraz skrzywić obręcz i obrócić kratę do końca.

Staął pod kratą, w miejscu, w którym opadła lekko. Wcisnął palce w ciasną szczelinę między nią a miedzianą obręczą. Zawisł na rękach. Pot drażnił mu rany, lecz ból tylko podniecił wściekłość generała i dodawał mu sił. Podciągnął nogi do piersi i nagle opuścił je gwałtownym ruchem. Odczekał chwilę i powtórzył manewr. Tym razem usłyszał zgrzyt metalu i obręcz ustąpiła odrobinę. Nie puszczał się. Jeszcze kilka sekund i oto pojawiła się szczelina, przez którą mógłby się już precisnąć. Ból nadal dawał mu sił i choć krata wisiała praktycznie pionowo, nie puszczał jej. Zdołał nawet wyciągnąć rękę i uchwycić szynę, która jeszcze przed chwilą nie pozwalała mu wyjść, a teraz mogła okazać się jedynym środkiem do odzyskania wolności. Zacisnął na niej palce, po czym natychmiast chwycił ją drugą ręką. Wisiał tak przez chwilę, jakby miał zamiar się podciągnąć. Ramiona drżały mu ze zmęczenia, dłoni prawie nie czuł, ale nie zamierzał się puścić. Wiedział, że z dna jamy nie doskoczy tak wysoko.

Krzyknął z bólu i z gniewu. Podciągnął się tak, że brzuchem dotknął szyny. Odpoczął przez chwilę i zarzucił na nią nogę, a potem się na niej położył. Kilka ruchów i... był wolny!

Staął na krawędzi jamy. Porwał kawałek żelaza, który teraz był jego jedyną bronią.

–Wróćę po pana, pułkowniku – powiedział i ruszył przed siebie opustoszałym korytarzem. Z północy dobiegł go pomruk pracującego silnika. Doszedł do zakrętu głównego korytarza, kiedy po prawej, dość daleko, zapaliła się flara. Rodgers skręcił, ale nie na południe, w kierunku flary i wyjścia z jaskini. Wiedział już, co tam znajdzie.

Ruszył w lewo.

Szedł tunelem, ocierając się plecami o ścianę. Nogi mocno zgiął w kolanach, płynnie przenosząc ciężar ciała z jednej na drugą. Bose stopy stąpały po ziemi praktycznie bezszelestnie.

Przeszedł tak mniej więcej piętnaście metrów, nim zobaczył najpierw puste stojaki na broń, a potem dwóch Kurdów. Jeden z nich rozmawiał przez antyczną krótkofalówkę. Zachowywał się nerwowo, a więc prawdopodobnie albo przekazywał swym ludziom informacje o tym, co się dzieje, albo wzywał pomocy. Za pasem miał pistolet. Drugi stał na straży, uzbrojony w karabin AKMS. Zaciągał się mocno ręcznie skręconym papierosem. Nieco dalej pracowały dwa generatory, spaliny odprowadzane były przez leżące na podłodze rury.

Rodgers zatrzymał sil w odległości dziesięciu metrów od strażnika. Szedł powoli, bokiem, niemal ocierając się o ściany tunelu. Mocniej zacisnął palce na kawałku metalu. Ból ramion i poparzonych boków dodawał mu energii, pozwalał skupić uwagę. Zatrzymał się. Wisząca nad głową żarówka rzucała na podłogę tunelu szeroki krąg światła. Jeszcze krok i z pewnością zostanie zauważony.

Przez chwilę zastanawiał się, co powinien teraz zrobić, po czym odciągnął prawe ramię tak, że koniec metalowego pręta niemal dotykał ziemi. Wszystko zależało teraz od tego jednego, jedyne go rzutu.

Wyrzucił pręt całą siłą ramienia i odchylonej w nadgarstku dłoni. Trafił uzbrojonego strażnika w prawą łydkę. Kurd pochylił się w tę stronę, niemal tracąc równowagę. Generał już biegł w jego kierunku. Dopadł terrorysty, zdołał złapać karabin i wbić kolbę przeciwnikowi między nogi.

Strażnik puścił broń i upadł. Już leżącego, generał uderzył kolbą karabinu w kark. Wymierzył broń w łącznościowca. Kurd posłusznie podniósł ręce do góry. Został rozbrojony. Generał gestem kazał mu wstać, i to polecenie zostało natychmiast wykonane. Potem Mike Rodgers pochylił się jeszcze, zabrał leżącemu papierosa i wsadził go sobie w usta. Zabrał pręt i, prowadząc przed sobą jeńca, ruszył w kierunku wyjścia z jaskini, tam gdzie widać było błysk dziennego światła i głośno warczały generatory.

· Wtorek, 15.56 – dolina Bekaa, Liban

Drużyna A zatrzymała się na widok chmury neofosgeny, unoszącej się nad fragmentem ziemi w głównej jaskini. Dwaj idący na jej czele żołnierze wstrzymali pozostałych, unosząc dłonie, po czym poszli sprawdzić teren.

Kapral Prementine oraz Falah zostali przy wejściu do jaskini, przyglądając się sytuacji w świetle wypalającej się już flary. W jednym miejscu brązowy gaz unosił się nieco wyżej niż wszędzie indziej – jego chmura przybrała kształt zbliżony do prostokąta. Taki efekt spowodować mogło wyłącznie ciepło. Ciepło bijące ze znajdującej się poniżej pomieszczenia... w którym byli ludzie.

Prementine spojrział na zegarek. Sześć minut do trafienia rakiety. Jeśli CR znajdowało się czterysta metrów od jaskini, obojętnie w jakim kierunku, zginą w wybuchu wraz z nim. Nie mieli czasu na wycofanie się. Musieli znaleźć jeszcze dwóch zakładników.

Prowadzący drużynę także doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Jeden z nich wyciągnął z plecaka kawałek C-4. Przyklepił go do klapy, w miękką masę wcisnął zapalnik i gestem nakazał kolegom, żeby się cofnęli. Żołnierze położyli się w rozpraszającej się szybko chmurze gazu. Dołączył do nich, a w pięć sekund później ładunek eksplodował.

Odlamki żelaza z rozbitej klapy poleciały we wszystkich kierunkach, świstały nad głowami żołnierzy, a jeden z nich omal nie trafił kaprała. Z dołu padły strzały. Prementine wycofał się z jaskini, jego żołnierze nie mogli atakować dalej.

Kapral uświadomił sobie, że część Kurdów zdążyła założyć maski i przyczaić się na dole. Trudno będzie ich stamtąd wykurzyć. Walka odbędzie po ciemku, a schodzący po schodach nie będą mieli czystego pola ostrzału. Nawet użycie granatów nie gwarantuje zwycięstwa, a poza tym właśnie tam uwięzieni są pewnie Mike Rodgers i pułkownik Seden.

Niemniej to dolne pomieszczenie trzeba zdobyć, i to szybko. Jedynym sposobem było posłanie czterech ludzi. Dwaj mieli zeskoczyć jeden za drugim, jak najszybciej zidentyfikować cele i otworzyć ogień. Jeśli będą mieli odrobinę szczęścia, przeciwnik odpowie ogniem powstrzymanym przez kamizelki kuloodporne. Jeśli będą mieli więcej niż odrobinę szczęścia, zdejmą przeciwnika, nim ten zorientuje się, że żołnierze Iglicy mają na sobie kamizelki.

Kiedy pierwsi dwaj żołnierze zdobędą przyczółek, do środka wskoczą dwaj następni i pomogą im skończyć robotę.

Tego rodzaju operacje były najniebezpieczniejsze, Iglicy jednak zaczynało brakować czasu. Innego wyjścia nie mieli.

Kapral podszedł ostrożnie do wejścia do jaskini. Flary zgasły, zdawał sobie sprawę z tego, że na tle błękitnego nieba jest doskonale widoczny. A jednak nikt do niego nie strzelał. Stał daleko od podziemnego pomieszczenia i Kurdowie nie mogli go zobaczyć. Uniósł ręce, by dać czterem ze swych żołnierzy rozkaz przygotowania się do akcji: dwa palce u każdej dłoni wzniesione w górę. Żołnierze potwierdzili przyjęcie rozkazu, pokazując uniesione kciuki. Prementine chciał już posłać ich do

przodu, wskazując palcami przed siebie, kiedy z tyłu jaskini dostrzegł ruch.

Otworzył dłonie, powstrzymując atak. Z ciemności wynurzyło się dwóch mężczyzn. Jako pierwszy szedł Kurd, niosąc dwa duże plastikowe kanistry. Idący za nim człowiek w jednym ręku trzymał karabin *AKMS*, a w drugim żelazny pręt z przywiązaną do niego białą chusteczką. Z ust zwiślał mu zapalony papieros. Prementine nie mógł się wręcz doczekać, kiedy zobaczy, kogo ma przed sobą.

Kurd i jego wartownik weszli w krąg światła.

–General Rodgers – powiedział kapral cicho na widok półnagiego mężczyzny. Idący przed nim człowiek nie mógł być tureckim żołnierzem, bo Rodgers trzymał mu przy głowie lufę *AKMS*.

–Był torturowany – powiedział Falah.

–Widzę – przytaknął Prementine.

–Powinieneś zabrać go stąd najszybciej jak to będzie możliwe. Ja pójdę po ostatniego zakładnika.

General odłożył pręt z zawiązaną chusteczką. Uniósł otwarty dłoń – rozkazywał żołnierzom czekać. Kapral spojrzał na zegarek. Pięć minut do uderzenia rakiety. Muszą skontaktować się z Centrum najpóźniej za trzy minuty, inaczej nie będzie już czasu na rozbrojenie głowicy *Tomahawka*. Prementine wiedział doskonale, że August nie da znać Centrum, jeśli cały teren bazy nie zostanie zajęty, gdyby CR zostało przesunięte gdzieś, gdziekolwiek, miałby kłopoty z wyjaśnieniem, dlaczego nie dopuścił do zniszczenia go. „Żeby ocalić żołnierzy i zakładników” nie byłoby żadnym wyjaśnieniem. W dłuższym okresie czasu CR w rękach nieprzyjaciela zabiłoby z pewnością o wiele więcej ludzi.

Pot ściekał kapralowi z czata. Kołnierze jego munduru nadawał się już do wyżęcia. Prementine obserwował Kurda, idącego przez nieszkodliwą już chmurę neofosgeny. Widział, jak postawił kanistry koło wejścia do dolnego pomieszczenia i otworzył je. Rodgers podszedł bliżej, gestem nakazał jeńcowi unieść ręce, podłożył mu pod brodę lufę karabinu, a potem nagą stopą przewrócił oba kanistry, jeden po drugim. Benzyna wylała się z nich i zaczęła ściekać w dół.

Rodgers wraz z Kurdem cofnęli się o kilka kroków. General wyjął z ust zapalonego papierosa i wrzucił go w kałużę benzyny. Obaj cofnęli się, gdy przez klapę strzeliły w niebo płomienie. Fala gorącego powietrza zmusiła do cofnięcia się także żołnierzy Iglicy. Rozległy się dzikie krzyki, płonący ludzie biegali w dolnym pomieszczeniu, na oślep pchając się na schody.

–Pomóżcie im – krzyknął kapral, wbiegając do jaskini. Drużyna A ruszyła w głąb jaskini, a wraz z nią Falah. Razem wyciągali płonących terrorystów. Prementine podbiegł do Rodgersa poprzez płomienie.

–Milo znów pana zobaczyć, generale – powiedział.

–Kapralu, w jednej z jam więziony jest jeszcze pułkownik Seden. CR stoi teraz przy wylocie wschodniego korytarza. Chroni je sześciu do siedmiu Kurdów.

Prementine spojrzał na zegarek.

–*Tomahawk* doleci tu za cztery minuty – powiedział. – Mamy tylko dwie minuty na zdobycie CR. – Odwrócił się. – Drużyna A, tędy! – rozkazał.

Żołnierze natychmiast przerwali dotychczasowe zajęcia i ruszyli przed siebie. Kapral gestem wskazał im, że mają przejść przez wschodni korytarz, po czym z uchwytu przy pasie zdjął radiotelefon.

–Pułkownik – zameldował – potrzebujemy tu drużyny B jako odwodu. Generałem Rodgersem powinien zająć się lekarz, mamy też wielu rannych Kurdów. Będziemy próbowali odbić CR. Proszę przygotować się do wydania rozkazu samozniszczenia rakiety.

–Przyjęte, kapralu – odpowiedział August.

Prementine jeszcze raz zasalutował Rodgersowi i ruszył tunelem. Po drodze minął jednego ze swych ludzi, skuwającego jeńca generała. Reszta szła dalej. Korytarz skręcił w lewo, potem w prawo i otworzył się na wąwóz. Podczas gdy jego ludzie stali, przyciśnięci do ścian, Prementine wyjrzał na zewnątrz i dostrzegł CR, stojące jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, maską w ich stronę, ukryte pod skalną półką. Po jego obu stronach, dwóch Kurdów kryło się wśród suchych krzaków. Co najmniej dwóch znajdowało się w środku. Nie wyglądało na to, by używali jego elektroniki, prawdopodobnie nie wiedzieli, jak.

Iglica miota zaledwie nieco ponad minutę, by „zdezynfekować” CR. Nadal istniała możliwość, że któryś z żołnierzy nadepnie na minę albo że Kurdowie odjadą opancerzoną furgonetką. Drużyna musiała znaleźć się w samochodzie przed zawiadomieniem Centrum o zwycięstwie.

Kapral pomyślał, że to cholerna ironia losu – furgonetka była kulo – i ognioodporna. Na wypadek, gdyby dostała się kiedyś w ręce nieprzyjaciela, wymyślono tylko jedno: zniszczenie za pomocą pocisku manewrującego z głowicą bojową o masie dwustu kilogramów. Znow znalazł się w sytuacji zmuszającej go do ataku na uzbrojonego i ufortyfikowanego przeciwnika. I do zwyciężenia go w niespełna sześćdziesiąt sekund.

–Kapralu!

Odwrócił się. Zobaczył pułkownika Augusta i szeregowych Davida George'a i Jasona Scotta.

–Tak, panie pułkowniku?

–Usuńcie się.

Zrobił miejsce żołnierzom, którzy błyskawicznie ustawili moździerz.

Tak jest. Ale, panie pułkowniku...

–Spokojnie, kapralu. Rozmawiałem z Philem Katzenem. Nie powiedział porywaczom ani słowa a zewnętrznych możliwościach CR.

–Rozumiem. – Prementine poczuł się dość głupio. Pułkownik nie zapomniał, oczywiście, że pocisk z moździerza nie zaszkodzi furgonetce. Powinien wcześniej domyślić się, o co chodzi.

Grey, Newmayer – rozkazał August – ustawcie się do ognia krzyżowego na pojazd. Jeśli zaczną do nas strzelać, odpowiedzcie ogniem, ale pilnujcie się, żeby nie trafić w karoserię, bo od razu domyślą się, że blefujemy.

Tak jest!

Dwaj szeregowi rozstawili się po przeciwnych stronach wyjścia z jaskini, stając na

granicy cienia. Jeden z Kurdów wystrzelił krótką serię do Newmayera, który odpowiedział mu ogniem. Nikt nie został trafiony.

August odetchnął głęboko. Spojrzał na szeregowych.

–Musimy pokazać się przeciwnikowi – zdecydował. – Ściągnę na siebie ogień. Wy idziecie za mną.

Żołnierze potwierdzili przyjęcie rozkazu. August wyjął z kabury *Berettę* i wyszedł z cienia. Szedł szybko w stronę wyjścia, a za nim podążali jego żołnierze.

Prementine po raz kolejny spojrzął na zegarek. Trzydzieści sekund na telefon do Centrum. Radiooperator Iszi Honda kucnął tuż obok niego.

–Jesteście gotowi? – spytał nerwowo kapral.

–Mam na linii pana Herberta – odpad Honda – a on ma na innej linii Biały Dom. Rozmawiałem z nim. Doskonale zna sytuację. Prementine uniósł pistolet maszynowy, gotów wspomóc zespół.

Nie myślał jednak o akcji, lecz o *Tomahawku* i o tym, co się z nimi stanie, jeśli głowica nie zostanie rozbrojona na czas. Pułkownik wymierzył w CR, wystrzelił kilkakrotnie i nadal szedł przed siebie. Prementine i Williams też strzelali do Kurdów, przyciskali ich do ziemi. George i Scott szybko wycelowali moździerz w furgonetkę.

Pułkownik August schował *Berettę*. Stał twarzą w stronę CR, wyciągając dłonie z wyprostowanymi palcami tak, by ukryci w środku Kurdowie mogli je wyraźnie widzieć.

–Dziesięć – krzyknął, chowając kciuk. – Dziewięć – Schował mały palec. – Osiem... siedem... sześć... pięć... cztery... Kurdowie nie wytrzymali. Ci, którzy pilnowali samochodu z zewnątrz, rwali się do ucieczki. Ci w środku wyskoczyli przez drzwi od strony pasażera i dołączyli do przyjaciół.

–Grey, Newmayer, ubezpieczajcie nas! – krzyknął August. Iglica, naprzód!

Prementine wraz z Hondą pozostali w odwodzie. Zegarek kaprała wskazywał, że pozostało im tylko dziesięć sekund. Ktoś, ukryty na zbocza wąwozu, strzelił do pułkownika. Grey odpowiedział ogniem, pułkownik biegł dalej. Wreszcie wskoczył do CR, a za nim w środku znaleźli się Williams, Scott i George.

Pięć sekund. Kapral czuł, jak serce mocno wali mu w piersi. August wychylił się z samochodu.

–Jest nasz! – krzyknął.

–Przełącz – rozkazał Hordzie kapral.

–Tu drużyna B oddziału Iglica – zameldował przez telefon Iszi Honda. – Odbiliśmy CR. Powtarzam, odbiliśmy CR.

· Wtorek, 8.00 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

W rzeczywistości Bob Herbert miał dwie otwarte linie do Białego Domu, na wypadek, gdyby zdarzyła się jakaś awaria łączności. Zarówno telefon Marthy Macall, jak i jego komórka z wózka, połączone były z gabinetem przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów. Bob rozmawiał przez telefon komórkowy, Martha trzymała przy uchu słuchawkę swego telefonu. Byli w gabinecie sami, nocna zmiana wróciła do domów, a funkcjonariusze ze zmiany dziennej nadal pracowali nad kryzysem, który ogarnął Bliski Wschód.

–Iglica odbiła CR – zawiadomił generała Kena Vanzandta. Proszę o natychmiastowe zniszczenie *Tomahawka*.

–Przyjąłem, czekaj – powiedział generał.

Herbert czekał, nie rozłączając się. Przed chwilą uruchomił drogę służbową, którą na swój własny użytek nazywał „droga papierową”. Informacja z pola walki przechodziła przez szczeble wojskowej biurokracji, by wreszcie trafić z powrotem na pole walki. Nigdy nie zrozumie, dlaczego żołnierzom, którzy przecież ryzykują życiem, nie pozwala się wysłać sygnału samozniszczenia PAŁAC, albo przynajmniej dlaczego nie może tego zrobić dowódca „Pittsburgha”, komandor Breen.

Vanzandt zdążył już zapewne przekazać rozkaz swemu łącznikowi z Marynarką. Przy odrobinie szczęścia łącznik skontaktuje się bezpośrednio z okrętem podwodnym. Bezpośrednio i natychmiast. Rakieta uderzy w cel za nieco ponad dwie minuty, nie ma czasu na pomyłki i opóźnienia. Czas potrzebny, żeby przyzwoicie kichnąć, przybliżył raketę o dwieście metrów do celu.

–Co za głupota – burknął do siebie.

–Konieczna procedura, by wyrobić sobie prawidłowy obraz sytuacji – odparła Martha.

–Daj mi spokój. Jestem zmęczony i boję się o naszych ludzi w polu. Nie traktuj mnie jak idioty, dobrze?

–To nie zachowuj się jak idiota.

Bob wsłuchiwał się w szum linii, zaledwie odrobinę bardziej irytujący niż Martha Macall.

W końcu odezwał się głos generała Vanzandta.

–Bob, komandor Breen dostał już rozkaz i właśnie przekazuje go swojemu oficerowi uzbrojenia.

Kolejne piętnaście sekund opóźnienia.

–Słuchaj, robimy wszystko tak szybko, jak to tylko...

–Wiem – przerwał mu Herbert. – Przecież wiem. – Zerknął na zegarek. – Kolejne piętnaście sekund zajmie im transmisja. Dłużej, jeśli... o, cholera!

–Co się stało?

–Nie mogą posłać kodu samozniszczenia przez satelitę. CR otoczone jest strefą interferencji, która zakłóci odbiór sygnału.

–O, cholera! – powtórzył Vanzandt i złapał za telefon, łączący go z „Pittsburghiem”.

Bob słyszał jak rozmawia z komandorem Breenem. Pragnął tylko wjechać do najbliższej łazienki i powiesić się. Jak mógł napomnieć o tak ważnej sprawie? Jak mógł?!

–Zorientowali się, że satelita nie odpowiada i przełączyli się na bezpośrednią linię radiową – poinformował go generał.

–To też będzie nas kosztować trochę czasu – syknął przez zaciśnięte zęby Bob. – *Tomahawk* uderzy w cel za minutę.

–Wiec marny jeszcze maleńką rezerwę.

–Nie mamy żadnej rezerwy. Czym napakowali tego *Tomahawka*?

–Jest uzbrojony w standardową głowicę o masie dwustu kilogramów.

–Załatwi wszystko w promieniu dobrych trzystu pięćdziesięciu metrów.

–Miejmy nadzieję, że uda się unieszkodliwić ją, nim znajdzie się w tej odległości. A przy samozniszczeniu wybucha tylko rakieta, nie głowica. Twoim ludziom nic się nie stanie.

Herbert drgnął.

–Co się stanie, jeśli rakieta wybuchnie w jaskini?

–A dlaczego miałyby wybuchnąć w jaskini? – zdziwiła się Martha. – Dlaczego w ogóle miałyby wlecieć do jaskini?

–Ponieważ nowa generacja *Tomahawków* wykorzystuje udoskonalony system naprowadzania. – Herbert próbował myśleć głośno, nie całkiem pewny, czy wyciąga właściwe wnioski. – Jeśli nie otrzyma danych topograficznych, identyfikuje cel przez zaprogramowaną kombinację danych wizualnych, satelitarnych i elektronicznych. Rakieta nie dostanie prawdopodobnie danych wizualnych, bo CR ukryte jest za górą. Łącze satelitarne nie funkcjonuje. Pozostaną dane elektroniczne, przechodzące prawdopodobnie właśnie przez jaskinię, bo pozostałe drogi ekranuje zbocze góry. Rakieta wleci do jaskini. Czujniki zapobiegają uderzeniu w cokolwiek, co nie jest CR. Na przykład w ściany.

–Ale nie ominie ludzi? – zaniepokoiła się Martha.

–Ludzie są za mali, żeby czujniki pocisku manewrującego ich dostrzegły. W każdym razie nie boję się detonacji głowicy, tylko samego samozniszczenia. Nawet jeśli rozkaz wyjdzie we właściwym czasie, do *Tomahawka* dotrze w momencie, gdy ten będzie już w jaskini. Wybuch silnika i paliwa zniszczy tam dosłownie wszystko.

Na moment zapadła cisza. Herbert spojrzął na zegarek i chwycił słuchawkę telefonu łączącego go z Izzim Hondą.

–Szeregowy, słuchajcie! – krzyknął.

–Tak?

–Kryjcie się! Kryjcie się wszyscy! Jest duża szansa, że ta cholerna rakieta sednie wam na kolana!

· Wtorek, 16.01 – dolina Bekaa, Liban

Mike Rodgers nie miał ochoty przyglądać się, jak drużyna B pomaga Kurdom, jak wyprowadza płonących ludzi z piekła, w które zmieniło się pomieszczenie na dole. Żołnierze używali ziemi, by stłumić płomień na mundurach i włosach nieprzyjaciół. Wyprowadzali ich na zewnątrz, na światło dzienne, gdzie można już było udzielić im pierwszej pomocy medycznej.

Rodgers nie miał zamiaru ryzykować w tej akcji ratunkowej swym własnym, poparzonym ciałem. Nie podobało mu się to, co myśli i czuje, nie podobało mu się, że pragnie, by ci ludzie cierpieli, wszyscy razem i każdy z osobna. A rzeczywiście pragnął, by cierpieli – tak jak cierpiał on.

Uniósł głowę. Bolały go ramiona i poparzone boki. Ból zadali mu ludzie, dla których prawo i moralność były tylko pustymi słowami. Ludzie, którzy skompromitowali swą sprawę, torturując bezbronnego człowieka.

Wrócił do jaskini. Za chwilę zajmie się Sedenem. Teraz musiał sprawdzić, czy jest w jego mocy odzyskanie CR. CR, którym dowodził i które stracił.

Idąc, nasłuchiwał uważnie. Słyszał strzały i głos Bretta Augusta, liczącego od dziesięciu do zera. Dotarł na miejsce dokładnie w chwili, gdy Iszi Honda zawiadamiał Centrum, że CR zostało odbite.

Generał oparł się o ścianę jaskini. To Brett August odniósł zwycięstwo, on nie miał do niego żadnego prawa. Opuścił głowę i słuchał. W głosach żołnierzy Iglica słyhać było ulgę. Drużyna A zabezpieczyła furgonetkę. Czuł się samotny, choć nie do końca. Włoski poeta Pavese napisał kiedyś: „Na tym świecie mężczyzna nigdy nie jest naprawdę samotny. W najgorszej sytuacji ma przecież towarzystwo chłopca, młodzieńca, a wreszcie dorosłego mężczyznę... tego, którym był kiedyś”.

Rodgers czuł przy sobie obecność żołnierza i mężczyzny, którym był jeszcze wczoraj.

Po, jak mu się wydawało, zaledwie kilku sekundach, choć w rzeczywistości musiało to trwać znacznie dłużej, usłyszał głos Hondy, wołającego pułkownika Augusta.

–Panie pułkowniku – powiedział Honda – *Tomahawk* może uderzyć w CR. Istnieje także niebezpieczeństwo, że sygnał samozniszczenia dotrze do niego w ostatniej chwili. Poradzono nam, żebyśmy się ukryli...

–Iglica, zbiórka!

Rodgers podbiegł do zbierających się żołnierzy.

–Pułkowniku, tu! – krzyknął.

–Generał obejmuje dowodzenie! – krzyknął August. – Honda, połącz się z drużyną B. Niech zabiorą jeńców i zjedzą ze zbocza.

–Tak jest!

Kiedy prowadzący żołnierzy Rodgers dobiegł do jaskini, w której więziono zakładników, słyhać już było basowy ryk zbliżającego się *Tomahawka*. Jamy okazały się doskonałym schronieniem. Tę, w której nadal siedział Seden, Mike otworzył sam i pilnował, by wskakujący do niej żołnierze nie stratowali rannego.

Honda wskoczył do jednej z jam jako ostatni. Widząc, że wszyscy są ukryci najlepiej jak to możliwe, Rodgers cofnął się o krok. Stał przy tylnej ścianie jaskini, słuchając rosnącego basowego ryku. Myślał o *Tomahawku*, dziele amerykańskiego intelektu, talentu, ducha i poczucia misji, i był dumny ze swego narodu: Dumą napawało go także CR. Obie maszyny pracowały doskonale, tak, jak je zaprogramowano. Obie bezbłędnie wykonywały swe zadania. Podobnie jak żołnierze Iglicy, z których także był dumny. Jeśli zaś chodzi o niego samego, to chciałby zginąć w wybuchu, niezależnie od tego, jaką formę ten miał przybrać... gdyby nie to, że miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

Ściany i podłoga jaskini drżały. Ze stropu odpadały kawałki skały. Pocisk manewrujący wleciał do środka z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę.

Ściany zaledwie zaczynały świecić odbitym światłem płomienia wyrzucanego przez silnik *Tomahawka* kiedy rakietą wybuchła. Jaskinię zalało oślepiające białe światło, które natychmiast zmieniło się w krwistoczerwoną poświatę. Rodgers zakrył uszy dłońmi, ale nie stłumił w ten sposób huk eksplozji. Widział ścianę ognia przesuwającą się błyskawicznie głównym korytarzem, widział kawałki roztrzaskanej rakiety odbijające się od ścian, ślizgające się po podłodze, fruujące w powietrzu. Duże i małe, wpadały do pieczary, w której się schronili. Były wśród nich koziółkujące arkusze ostrej jak brzytwa stali, były spalone na żużel części jakiegoś wyposażenia. Żaden odłamek nie dotarł chyba do jam, w których schronili się żołnierze, ale jaskinia pogrążyła się w ciemności – wszystkie żarówki zgasły. Generał musiał przykucnąć, obrócony twarzą do ściany, bynajmniej nie dlatego, żeby osłonić się przed resztkami *Tomahawka* lecz by – przynajmniej częściowo – osłabić skutki walącej w niego fali gorącego powietrza, tak gorącego, że trudno było się w nim poruszyć, oddychanie zaś sprawiało ból.

Najpierw ucichł dźwięk, potem znikły promienie. Jako ostatnia cofnęła się fala żaru. Generał usłyszał kaszel siedzących w jamach żołnierzy. Wyprostował się i podszedł do nich.

–Są ranni?

Rozległo się głośnie, chóralne „nie”. Mike złapał za pierwszą rękę, na którą po omacku natrafił i wyciągnął z jamy sierżanta Greya.

–Pomóżcie innym, sierżancie – rozkazał. – Potem macie sformować zespół, znaleźć i zabezpieczyć głowicę. Ja sprawdzę, co z CR.

–Tym zajął się już chyba pułkownik August, panie generale.

–Jak to? Gdzie jest pułkownik?

–Z nami go nie było, panie generale. Powiedział, że odprowadzi samochód dalej od jaskini. Chciał dać nam szansę na wypadek, gdyby rakietą uderzyła w cel.

Generał jeszcze raz rozkazał mu pomóc innym przy wychodzeniu z jam, sam zaś pobiegł w stronę tylnego wyjścia z jaskini. W biegu wyjął zza paska pistolet.

Jaskinia oparta się wysiłkom Marynarki, która miała najwyraźniej ogromną ochotę ją zniszczyć. Wokół pełno było wprawdzie nadal płonących szczątków, leżących na podłodze i wbitych w ściany, co przypominało Rodgersowi grafiki Gustava Dore przedstawiające dantejskie piekło, ale sklepienie jaskini nie zawaliło się. Mike skręcił

w lewo, w kierunku wyjścia do wąwozu. Staniał się na nogach. Na znalezienie przyjaciela musiał poświęcić resztkę sił.

Dotarł wreszcie do zachodniego wyjścia, ale nie zobaczył CR. Widział tylko drzewa otaczające teren wzgórza, płonące szczątki *Tomahawka* i długie cienie, rzucane przez popołudniowe słońce. CR nie było.

Nagle dostrzegł gruntową drogę, prowadzącą do leśnej przecinki. Centrum Regionalne stało na niej, jakieś dwieście metrów stąd. Pułkownik August biegł w jego kierunku.

–Generale! – krzyknął. – Nic się nikomu nie stało?

–Przypiekło nas trochę, ale wszystko w porządku.

–Co z głowicą?

–Posłałem sierżanta Greya z paroma ludźmi, żeby ją odszukali. August znalazł się tuż przy przyjacielu. Złapał go za nadgarstek i łagodnie przysunął do ściany jaskini.

–Na wzgórzach pozostało jeszcze kilku uzbrojonych Kurdów – wyjaśnił. Sięgnął po radia. – Horda?

–Tak jest.

–Dajcie mi kaprala Prementine.

Prementine zgłosił się niemal natychmiast.

–Kapralu, czy drużyna B poniosła jakieś straty?

–Jestem z nimi – padła odpowiedź. – Wyprowadzili jeńców i wynieśli się sprzed jaskini przed samozniszczeniem *Tomahawka*. Nic się nikomu nie stało.

–Doskonale. Weźcie trzech ludzi i zabezpieczcie CR. Tylko się pośpieszcie.

–Parne pułkowniku, może warto byłoby zapolować na tych, którzy uciekli? – zasugerował Prementine.

–Nie. Chcę mieć CR na drodze, a nas w środku, najszybciej jak to tylko możliwe. Wynosimy się stąd.

–Tak jest, panie pułkowniku.

August zawiesił radio przy pasku. Spojrzał na Rodgersa.

–Generale, powinniśmy dać panu jeść, pić i zapewnić jakąś opiekę lekarską – powiedział.

–Dlaczego? Czyżbym wyglądał na aż tak wypalonego?

–Szczерze mówiąc, tak. I to dosłownie.

Rodgers nie od razu zorientował się, co właściwie powiedział, a kiedy już uświadomił sobie dwuznaczność swych słów, nie uśmiechnął się. Nie mógł. Czegóż mu brakowało. Czuł pustkę, czuł dziurę. próżnię w miejscu. gdzie jeszcze niedawno była duma. Nikt nie potrafi żartować sam z siebie, kiedy czuje się tak mało wart, że nie potrafi nawet zaakceptować żartu.

Do jaskini weszli w milczeniu.

Sierżant Grey wraz ze swymi ludźmi odnalazł głowicę w głównym tunelu. Wbiła się w ziemię, kiedy rakietą dokonała samozniszczenia. Zdumiewające, ale głowica, umieszczona w tego typu rakietach tuż przed zbiornikiem paliwa, za systemem *TERCOM* i kamerą *DSMAC*, pozostała nie naruszona. Detonator został zamontowany w module nadładunkiem wybuchowym. Korzystając z wydrukowanej na obudowie

modułu instrukcji, detonator można było łatwo przeprogramować lub usunąć. August rozkazał sierżantowi zaprogramować odliczanie, ale nie uruchamiać jeszcze zegara.

Przyjaciele wyszli następnie z jaskini i ruszyli w dół zbocza. Po drodze August opowiedział Mike'owi o bohaterskim zachowaniu Katzena, który – atakując terrorystów – uratował druzyjskiego zwiadowcę przed pewną śmiercią i w ten sposób umożliwił Iglicy dokonanie błyskawicznego ataku na jaskinię.

Rodgers zawstydział się. Nie wolno mu było zwątpić w ekologa. Powinien wiedzieć, że jego współczucie wyrosło na pożywce siły, a nie słabości.

U stóp wzgórza Williams wraz z Falahem oraz żołnierzami drużyny B najlepiej jak potrafił zajmował się rannymi Kurdami. Złączeni kciukami więźniowie otrząsnęli się już ze skutków działania gazu. Siedzieli teraz, oparci o drzewo. Przywiązani jeden do drugiego, nie mogli uciec. Siedmiu poparzonych rozłożono na trawie. Zgodnie z instrukcjami Williamsa z gałęzi ułożono stosy, na których mogli ułożyć nogi, co ułatwiało oddychanie. Ci najbardziej poparzeni dostali tę niewielką ilość plazmy, którą dysponowała Iglica. Tym, którzy doznali szoku oddechowego i zaczęli się dusić, podano zastrzyki epinefryny. Iniekcje aplikował Falah, który w Mista'aravim przeszedł podstawowe szkolenie medyczne.

Załoga CR siedziała na głazach lub oparta o drzewa, jak najbliżej głównej drogi, cała z wyjątkiem rannego Sedena, którym zajmowała się Sandra DeVonne. Ludzie patrzyli na dolinę i nie zauważyli pojawienia się swego dowódcy. Mike'owi było to jak najbardziej na rękę.

–Szeregowy, jak tylko będzie to możliwe, proszę zająć się generałem Rodgersem – rozkazał August.

–Tak jest, panie pułkowniku.

Generał spojrział na Sedena. Sandra DeVonne zdjęła poszarpaną koszulę i właśnie obmywała mu alkoholem ranę postrzałową.

–Nim należy się zaopiekować w pierwszej kolejności – powiedział.

Generale – zaprotestował Brett August – pańskie rany powinny zostać opatrzone jak najszybciej.

–Pułkownik Seden pierwszy. To rozkaz.

August zerknął na Turka, a potem na Williamsa.

–Dopilnujcie, by zajęto się wszystkimi rannymi – powiedział.

–Tak jest – odparł sanitariusz.

Całą swą uwagę Rodgers skupił teraz na Kurdach. Spojrział na jednego z nich, ostatniego z lewej. Terrorysta był nieprzytomny, pierś i ramiona miał poparzone. Oddychał ciężko, nieregularnie.

–Kiedy nas złapano, ten człowiek przyłożył lufę rewolweru do głowy pułkownika Sedena – powiedział. – Nazywa się Ibrahim. Trzymał go pod bronią, podczas gdy jego towarzysz, Hasan, przypalał pułkownika papierosami.

Williams podszedł do rannego.

–Na nieszczęście dla niego nie spodziewam się, by nasz przyjaciel Ibrahim miał kiedykolwiek stanąć przed sądem – orzekł. Poparzenia trzeciego stopnia górnej części ciała, możliwe poparzenie płuc. Nitkowe tętno.

Rodgers na ogół litował się nad rannymi żołnierzami, niezależnie od tego, w co wierzyli i o co walczyli, ten człowiek nie był jednak żołnierzem, lecz tylko terrorystą. Od początku, od wysadzenia w powietrze tamy, aż po porwanie CR, walczył prawie wyłącznie przeciw nie uzbrojonym cywilom. Nie był wart współczucia.

August spojrział przyjacielowi prosto w oczy.

–Generale, niech pan da spokój, usiądzie, odpocznie.

–Za chwileczkę. – Mike podszedł do następnego jeńca. Na piersiach, ramionach a nogach widniały czerwone plamy poparzeń. Był przytomny. Gniewnymi oczami wpatrywał się w niebo.

August niedbale wskazał go lufą pistoletu.

–A ten? – spytał.

–Jest najzdrowszy z całej bandy – odparł sanitariusz. – Chyba przywódca, ludzie go osłaniali. Poparzenia drugiego stopnia i łagodny szok. Wyjdzie z tego.

Rodgers przez chwilę przyglądał się Kurdowi, a potem przykucnął obok niego.

–To on mnie torturował – powiedział.

–Zabieramy go do Stanów. Stanie przed sądem. Poniesie karę za to, co zrobił.

Generał nadal przyglądał się Sirinerowi, nie do końca przytomnemu, lecz patrzącemu na świat z nieubłaganą nienawiścią.

–A kiedy będzie trwał jego proces, ktoś porwie i zamorduje pracujących w Turcji Amerykanów. Albo na pokładzie lecącego do Turcji amerykańskiego samolotu wybuchnie bomba. Albo bomba wybuchnie w siedzibie firmy, robiącej z Turcją jakieś interesy. Wiesz, do czego doprowadzi ten proces?

–Nie, generale, nie wiem – odparł August. – . Proszę mi to wyjaśnić.

–Problem w tym, że Kurdowie rzeczywiście mają się na co skarżyć. – Rodgers nie spuszczał wzroku z Sirinera. – Problem w tym, że użyją procesu jako wygodnego forum do wygłoszenia swych skarg. Są narodem uciskanym, więc świat uzna uprawiany przez tego człowieka terrorizm za coś zrozumiałego, nawet koniecznego. Jego sadyzm – przypalanie człowieka lampą lutowniczą i grożenie bezbronnej kobiecie najgorszymi torturami – zmieni się przed sądem w bohaterstwo. Ludzie powiedzą, że doprowadziło go do tego cierpienie jego ludu.

–Nie wszyscy. Już my tego dopilnujemy.

–Jak? Przecież nie możesz się nawet przyznać, że tu byłeś?

–Ty wystąpisz jako świadek. Porozmawiasz z prasą. Jesteś inteligentnym człowiekiem, no i bohaterem wojennym.

–Powiedzą, że tylko pogorszyłem sprawę, próbując ich szpiegować. Że sam się o to prosiłem, bo jeszcze w Turcji zabiłem jednego z ich ludzi.

Usłyszeli warkot ośmiocyndrowego silnika CR. Po chwili furgonetka pojawiła się na drodze. August stanął między Sirinerem a przyjacielem.

–Później porozmawiamy na ten temat, generale – zaproponował. – Nasza misja skończona. Możemy być z tego dumni.

Milce milczał.

–Dobrze się czujesz?

Tym razem generał skinął głową.

Brett August ostrożnie cofnął się o krok i wyjął radiotelefon.

–Grey – powiedział. – Przygotować się do rozpoczęcia odliczania.

–Tak jest, panie pułkowniku.

–Żołnierze, przygotować się do...

Przerwał mu huk strzału z pistoletu. August odwrócił się błyskawicznie. Milce stał z nagim ramieniem wyciągniętym pod kątem prostym. Z lufy pistoletu unosił się dym, wpadając mu w nieruchome oczy. Patrzył na Sirinera. Z dziury w czole Kurda powoli sączyła się krew.

Pułkownik obrócił się i podbił generałowi dłoń z bronią. Ten nie opierał się.

–Teraz i ja zakończyłem swą misję, nie tylko ty – powiedział spokojnie generał.

–Mike, coś ty zrobił?

–Odzyskałem godność.

August puścił dłoń przyjaciela i Rodgers wyszedł na drogę. Załoga CR zerwała się, słysząc huk strzału, i rozglądali się dookoła. Mike mógł się już uśmiechnąć, i rzeczywiście, uśmiechnął się szeroko. Pozostało mu już tylko przeprosić Phila Katzena. Cieszył się perspektywą przeprosin.

August był blady jak śmierć. Rozkazał Williamsowi dokończyć opatrywanie Kurdów. Seden miał poczekać, aż znajdą się w furgonetce. Pistolet, z którego Rodgers zabił Sirinera, wręczył Sandrze DeVonne, z niedowierzaniem wpatrującej się w twarze pozostałych żołnierzy Iglicy.

–Panie pułkowniku – powiedziała z naciskiem dziewczyna. My niczego nie widzieliśmy. Nikt z nas niczego nie widział. On zginął podczas wymiany ognia.

Brett August z goryczą potrząsnął sową.

–Znam Mike'a od dzieciństwa. Nigdy nie skłamał. Nie sądzę, by zamierzał teraz zaczynać.

–Stanie przed sadem!

–Wiem – warknął August. – Tego się najbardziej obawiam. Milce ma zamiar zrobić dokładnie to, co jego zdaniem miał zrobić ten Kurd. Użyć procesu jako trybuny.

–I co powie?

Pułkownik odetchnął głęboko. Głos mu drżał.

–Powie, że pokazał Ameryce, jak postępować z terrorystami. Powie, że pokazał terrorystom, że Ameryka ma dość. – Pułkownik poszedł w stronę gotowego do drogi CR. – Ludzie, ruszamy! – krzyknął. – Pora rozwalić, w diabły, tę cholerną jaskinię.

· Wtorek, 18.03 – Damaszek, Syria

Konwój samochodów prezydenckiej służby bezpieczeństwa podjechał do ambasady amerykańskiej w Damaszku o 17.45. Ambasadora Havelesa odprowadzono do wejścia, gdzie od ludzi prezydenta przejęło go dwóch amerykańskich *marines*. Karawan z ciałami martwych agentów DSA podjechał do budynku ambasady od tyłu.

Haveles poszedł wprost do swojego gabinetu, spokojny, mimo że w jego oczach nadal odbijało się przerażenie. Natychmiast zadzwonił do ambasadora Turcji w Damaszku. Przekazał mu informacje uzyskane w pałacu z pierwszej ręki, zapewnił także, że za porwanie helikoptera patrolu granicznego, wysadzenie tamy i incydent na granicy syryjsko-tureckiej odpowiadają kurdyjscy terroryści, a nie Syryjczycy. Poprosił, by ambasador, jak najszybciej skontaktował się z dowódcami armii i skłonił ich do obniżenia stopnia gotowości bojowej. Ambasador obiecał, że bez zwłoki przekaże otrzymane informacje.

Paul Hood pojawił się kilka minut później. Jemu, Warnerowi Bickingowi i doktorowi Nasrowi zawiązano na głowach *kaffiye*, na oczy założono przeciwsłoneczne okulary i odprowadzono ich do przystanku autobusowego. Widząc podobne przebieranki na filmach, Hood zawsze uważał je za hollywoodzką teatralną ekstrawagancję, lecz teraz, kiedy jego samego przebrano za Araba, przeszedł dzielące ich od przystanku ponad pół kilometra, jakby urodził się na Ibn Assaker. Po prawdzie, to i nie miał wyboru. Gdyby rozpoznał go jakiś dziennikarz albo zachodni urzędnik, odprowadzające ich kobiety zostałyby narażone na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nikt go jednak nie rozpoznał. Choć trasy autobusów zmieniono tak, by omijały Stare Miasto, trzej Amerykanie dojechali do ambasady zaledwie w pół godziny. Dwaj *marines* zatrzymali ich, oczywiście, natychmiast. Odwijając *kaff'iyeh* – tylko w ten sposób mógł udowodnić, że jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje Paul poczuł się jak Claud Rains „Niewidzialnym człowiekiem”. Na szczęście przy monitorze śledzącej wejście kamery siedział agent DSA. Zobaczywszy, z kim ma do czynienia, agent zbiegł na dół i natychmiast zgarnął ich wszystkich do środka.

Hood pośpieszył do najbliższego telefonu, by od razu skontaktować się z Bobem Herbertem. Zamknął za sobą drzwi, prowadzące do gabinetu zastępcy ambasadora, Johna LeCoza, i stanął przed wielkim mahoniowym biurkiem. Ciężkie zasłony osłaniające okna pogrążyły małe wnętrza w mroku i ciszy. Kiedy wystukiwał numer telefonu komórkowego Boba, Paul pomyślał, że Sharon i dzieciaki wiedzą już pewnie, co się zdarzyło w Damaszku, i chyba bardzo się denerwują. Zawahał się, lecz postanowił, że zadzwoni do nich później. Nie podobała mu się ta decyzja, ale przecież przede wszystkim musiał dowiedzieć się, co z CR.

Herbert przyjął rozmowę po pierwszym sygnale. Przekazując dobre wieści sprawiał wrażenie przygnębionego, co zdecydowanie kłóciło się z jego charakterem. *Tomahawk* dostał rozkaz samozniszczenia, doskonale. Iglica weszła do akcji, wyciągnęła CR i jego załogę, po czym w komplecie, wraz z zakładnikami, wróciła do bary Tel Nef. Armia syryjska dostała informacje o rannych terrorystach i już ich

szuka. W krótkim wywiadzie dla CNN, dowódca Syryjskiej Armii Arabskiej przypisał wybuch w jaskini nieumiejętnemu obchodzeniu się Kurdów z materiałami wybuchowymi, co zostanie, oczywiście, potwierdzone po przesłuchaniu ocalałych z wybuchu, choć jednocześnie syryjscy oficjele upierali się, że nikt nie ocalał. Chcieli też wiedzieć, jak Kurdowie zdołali przełamać zabezpieczenia w Damaszku i Kamisli. Zastępca Havelesa skonsultował się z generałem Vansandtem i zgodził się na udzielenie im tych informacji.

Paul był szczęśliwym człowiekiem, póki Herbert nie poinformował go o torturach, jakim poddano Mike'a i o tym, jak z zimną krwią zastrzelił on związanego kurdyjskiego przywódcę.

–Ilu i jakich mamy świadków? – spytał po krótkiej chwili milczenia.

–Ten numer nie przejdzie – uświadomił mu Herbert. – Mike chce, żeby ludzie dowiedzieli się, co zrobił... i dlaczego zrobił to, co zrobił.

–Przeszedł piekło – zlekceważył sprawę Hood. – Porozmawiamy z nim, kiedy dojdzie da siebie.

–Paul...

–Będzie musiał zmienić zeznania. Nie ma wyboru. Jeśli trafi przed sąd, zmuszą go, żeby zdradził, co robiliśmy w Turcji i dlaczego. Będzie musiał ujawnić kontakty, metody działania, zdradzić prowadzone przez nas operacje.

–W sytuacjach mających wpływ na bezpieczeństwo narodowe stenogramy sądowe mogą zostać utajnione...

–Prasa i tak zainteresuje się sprawą – zauważył Hood. – A potem zainteresuje się nami. Dziennikarze są w stanie zdekonspirować wszystkie nasze operacje na Bliskim Wschodzie. Co z pułkownikiem Augustem? Przecież to najstarszy przyjaciel Mike'a. Nic nie może zrobić?

–A myślisz, że nie próbował? Mike oznajmił mu, że terroryzm to największe niebezpieczeństwo przed jakim stoi współczesna Ameryka. Powiedział, że nadszedł czas, by ogień zwalczać ogniem.

–Musi być w szoku – stwierdził Hood.

–Zbadali go w Tel Nef. Nic mu nie jest.

–Mimo tego, co przeszedł?

–Nie po raz pierwszy był w piekle, ale zawsze wychodził z niego obronną ręką – przypomniał mu Bob. – W każdym razie izraelscy lekarze są zdania, że jest stuprocentowo zdrowy psychicznie, a sam twierdzi, że wszystko sobie przemyślał.

Hood sięgnął po długopis i notes.

–Podaj mi telefon do bazy, dobrze? Chcę z nim porozmawiać, nim zrobi coś, czego będzie później żałował.

–Nie możesz z nim rozmawiać.

–A to czemu?

–Ponieważ już zrobił to „coś”. Paul poczuł ucisk w żołądku.

–A co on takiego zrobił, Bob?

–Zadzwoił do generała Thomasa Esposito z dowództwa operacji specjalnych i przyznał się do dokonania zabójstwa. Jest teraz pod strażą w szpitalu bazy. Czeka

na żandarmerię i adwokata, których mają mu przysłać z bazy Sił Powietrznych Incirlik. Szczerze mówiąc, Paul, miałem cholerne problemy z powstrzymaniem pewnego izraelskiego starszego sierżanta sztabowego nazwiskiem Vilnai od zaaplikowania mu cyjanku przez kroplówkę. Vilnai boi się, że podczas procesu zdekonspirowani zostaną jego ludzie.

Paul nagle zdał sobie sprawę z zapachu, jaki wydzielają ciężkie zasłony. Gabinet już nie wydawał mu się bezpieczny, raczej klaustrofobiczny.

–Doskonale – powiedział, starając się mówić jak najspokojniej. – Podaj mi alternatywę. Przecież musi być jakaś alternatywa.

–Do głowy przychodzi mi tylko jedna. Możemy spróbować uzyskać dla Mike'a prezydencki akt łaski.

Paul natychmiast się ożywił.

–Świetny pomysł! – stwierdził.

–Przypuszczałem, że tak właśnie pomyślisz. Dzwoniłem już do generała Vanzandta i Steve'a Burkowa. Wyjaśniłem im sytuację. Poprą nas, zwłaszcza Steve, który, szczerze mówiąc, cholernie mnie zaskoczył.

–Jakie mamy szanse?

–Jeśli utrzymamy sprawę w tajemnicy przez najbliższe kilka godzin, jakieś tam mamy. Ann pilnuje dla nas prasy. Jeśli dziennikarze czegoś się dowiedzą, prezydent nie zrobi nic, póki nie odbędą się wszystkie przesłuchania. Generał armii amerykańskiej z zimną krwią zabija rannego, bezbronno Kurda – polityczne ryzyko w kraju i zagranicą będzie dla niego nie do zaakceptowania.

–Jasne – przytaknął Hood z obrzydzeniem. – Nawet w przypadku Kurda, który przypalał generała lampą lutowniczą.

–Ten generał był szpiegiem. W tym wypadku opinia publiczna nie będzie po naszej stronie.

–Nie będzie, masz rację. W jaki sposób możemy wpłynąć na prezydenta?

–Jest z nami sekretarz obrony. Za dziesięć minut spotyka się z wiceprezydentem. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Ann twierdzi, że jak na razie dziennikarze nie zainteresowali się tymi siedmioma rannymi Kurdami z doliny Bekaa. Kupili bajeczkę dowódcy armii syryjskiej. Jak długo uganiają się za „napięciami nadgranicznymi”, jak to nazwali, jesteśmy względnie bezpieczni, być może historia Mike'a przecieknie im między palcami. A my razem z nią.

–Popracuj nad aktem łaski, Bob. Z Marthą. Macie użyć wszelkich możliwych kruczków.

–Nie martw się, użyjemy.

–Chryste Przenajświętszy, zamknęli mnie tu i czuję się zupełnie bezużyteczny. Jest może coś, co mógłbym zrobić?

–Może jedno. Mnie po prostu zabraknie czasu.

–Co takiego? – spytał z nadzieją Hood.

–Módl się. Módl się, jak najmocniej potrafisz.

· Wtorek, 12.38 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

Bob Herbert siedział na wózku, czytając jednostronicowy dokument- opatrzony klauzulą tajności tylko do wglądu adresata. Dokument zaadresowany był do prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych, wydrukowano go zaś na papierze firmowym Białego Domu.

Prezydent za biurkiem czytał kopię tego samego dokumentu. W Gabinetcie Ovalnym obecni byli także: doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Burkow, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów generał Vanzandt, doradca prawny Białego Domu Roland Rizzi i Martha Macali. Niektórzy stali, niektórzy siedzieli, każdy z nich dysponował jednak kopią dokumentu. Kiedy Rizzi poinformował, że prezydent rozważy możliwość podpisania aktu ułaskawienia generała Rodgersa, w ciągu półtorej godziny przygotowano jego brudnopis.

Prezydent odchrząknął. Akt łaski przeczytał raz, cicho, po czym odczytał go na głos. Zawsze tak robił sprawdzając, jak dokument brzmiałby jako mowa, na wypadek, gdyby musiał bronić publicznie tego, co postanowił prywatnie.

–Niniejszym zwalniam bezwarunkowo generała Armii Stanów Zjednoczonych Michaela Rodgersa od odpowiedzialności za wszystkie czyny, które popełnił bądź mógł popełnić, służąc lojalnie swej ojczyźnie podczas działań wywiadowczych, podjętych przez Stany Zjednoczone Ameryki wspólnie z Republiką Turecką.

Rząd i naród Stanów Zjednoczonych Ameryki odniosły wielkie korzyści dzięki odwadze i zdolnościom przywódczym, jakimi wykazał się generał Michael Rodgers podczas swej długiej i nienagannej służby wojskowej. Ani nasz naród, ani jego poszczególne instytucje, nie odniosą korzyści z dalszego badania działań generała Rodgersa, które, według wszelkich dostępnych nam świadectw, świadczyły o jego bohaterstwie i znakomitym osądzie sytuacji, pozbawione zaś były znamion egoizmu.

Prezydent z aprobatą skinął głową. Palcem wskazującym postukał w dokument. Zerknął w lewo, na stojącego obok niego tęgiego, łysiejącego Rolanda Rizziego.

–Dobra robota, Rollo – przyznał.

–Bardzo dziękuję, panie prezydencie.

–Powiem więcej: wierzę w to, co tu napisano. A nieczęsto mam okazję powiedzieć coś takiego o dokumentach, które podsuwa mi się do podpisu.

Martha i Vanzandt nie zdołali powstrzymać chichotu.

–Ten zabity... To był obywatel syryjski, który zginął w Libanie, prawda?

–Tak, oczywiście, panie prezydencie.

–Na wypadek, gdyby zdecydowali się na nas nacisnąć... jaką właściwie jurysdykcję mają w tej sprawie Damaszek i Bejrut?

–Teoretycznie – wyjaśnił Rizzi – mogliby wystąpić o ekstradycję generała Rodgersa. My, oczywiście, odmówilibyśmy zastosowania się do ich żądań.

–Syria oferuje schronienie większej liczbie międzynarodowych przestępców, niż jakikolwiek kraj na Ziemi – wtrącił Burkow. Dla odmiany nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wystąpili o ekstradycję generała. Z rozkoszą osobiście powiedziałbym im „nie”.

–Mogą utrudnić nam życie wykorzystując prasę?

–Dziennikarze zażądają dowodów, panie prezydencie – powiedział Rizzi. –

Występując o ekstradycję Syryjczycy także musieliby przedstawić dowody.

–Właśnie – zainteresował się prezydent. – Co się stało z ciałem kurdyjskiego przywódcy?

–Pozostało w jaskini, która służyła im za kwaterę główną wyjaśnił Bob Herbert. – Iglica wysadziła jaskinię, detonując głowicę *Tomahawka*.

–Nasz wydział prasowy oznajmił, że człowiek ten zginął w swej kwaterze na skutek wybuchu – dodała Martha. – Nikt tego nie zakwestionuje. Kurdowie też będą zadowoleni.

–Doskonale. – Prezydent ujął czarne wieczne pióro. Zawahał się. – jaką mamy pewność, że generał Rodgers zaakceptuje treść tego dokumentu? Może napisze książkę albo zwoła konferencję prasową?

–Mogę za niego poręczyć – powiedział generał Vanzandt. To nasz człowiek, panie prezydencie.

–Trzymam cię za słowo.

Prezydent podpisał akt ułaskawienia. Rizzi zabrał z biurka dokument i czarne pióro. Prezydent wstał i ruszył w stronę drzwi, Rizzi podszedł tymczasem do Boba i wręczył mu pióro, na pamiątkę. Herbert zacisnął je w garści, na szczęście, po czym wsadził je do kieszeni koszuli.

–Uświadom generałowi – powiedział jeszcze prawny doradca prezydenta – że cokolwiek zrobi od tej chwili, za skutki zapłacą karierą ludzie, którzy mu uwierzyli.

–Jemu nie trzeba tego uświadamiać.

–Sporo przeszedł w Libanie. Dopilnujcie, żeby przyzwicie wypoczął.

–Oczywiście, dopilnujemy – powiedziała Martha, która podeszła do nich podczas rozmowy. – I, Roland, dzięki za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

Martha i Herbert opuścili Biały Dom. Po drodze Bob pomachał jeszcze wesoło do zastępczyni szefa personelu Białego Domu, pani Klaw.

Przemierzając wyłożony dywanami korytarz prowadzący do wyjścia, Bob Herbert myślał o tym, że Vanzandt miał absolutną rację: Mike Rodgers nie robi nic, co mogłoby narazić – lub choćby tylko zawstydzić – ludzi, którzy dziś się za nim ujęli. Rizzi też miał jednak rację. Mike przeszedł piekło. I nie chodzi tylko o tortury. Jutro miał wrócić wraz z Iglicą i, kiedy już wróci, najbardziej cierpieć będzie z tego powodu, że CR zostało porwane będąc pod jego opieką. Słusznie czy też niesłusznie, będzie się winił za cudem odwróconą klęskę misji oraz za psychiczne i fizyczne tortury, którym poddano załogę pojazdu i pułkownika Sedena. Będzie musiał żyć ze świadomością, że Iglica została niemal starta z powierzchni ziemi przez wystrzeloną przez Amerykanów rakietę, ponieważ nie udało mu się w pełni przewidzieć rozwoju wypadków. Psycholog Centrum, Liz Gordon, która wpadła na Boba, kiedy wyjeżdżał do Białego Domu, powiedziała mu, że będzie to dla niego najcięższy krzyż.

–I nie ma pewnego sposobu, żeby pomóc mu go nieść – powiedziała. – Z niektórymi ludźmi można po prostu rozsądnie porozmawiać. Można próbować wytłumaczyć im, że żadna ludzka siła nie zapobiegłaby powstaniu określonej

sytuacji, A przynajmniej istnieje sposób na przekonanie ich, że w innych sprawach zachowali się wspaniale, że mimo wszystko dokonali czegoś wielkiego. Z Mike'em jest tak, że albo coś jest białe, albo coś jest czarne. Albo spieprzył sprawę, albo nie. Albo terroryści zasługiwali na to, by przeżyć, albo nie. Dodaj do tego, że i on, i jego ludzie utracili poczucie godności, że cierpieli – a ich cierpienie było jego cierpieniem, tego możesz być pewny – no i masz całkiem przyzwoitą psychozę.

Herbert zrozumiał ją aż za dobrze. Był szefem placówki CIA w Bejrucie, kiedy na terenie ambasady, w 1983 roku, wybuchł samochód-pułapka. Wśród setek ofiar była także jego żona. Od tej pory nie zdołał choćby na dwadzieścia cztery godziny uwolnić się od poczucia winy, nie potrafił ani na chwilę przestać zadawać sobie pytania: „Coby było, gdyby...” Nie pozwolił jednak, by mu to przeszkodziło. Korzystał z tego, czego się nauczył, by zapobiegać przyszłym Bejrutom.

Po wyjściu on i Martha wsiedli do specjalnej furgonetki, którą Bob poruszał się po Waszyngtonie. Kiedy Herbert wjeżdżał po pochylni do samochodu, pomyślał, że jest jeszcze nadzieja., Czas i pomoc przyjaciół mogą wyprowadzić Rodgersa na prostą drogę. W końcu on sam powiedział kiedyś Liz: „Z własnego doświadczenia wiem, że człowiek nie tylko uczy się przez całe życie, ale i egzaminy, które musi zdawać po drodze, robią się z wiekiem coraz trudniejsze”.

Liz zgodziła się z nim.

–I popatrz, Bob – powiedziała tylko – a każdy myśli, że najtrudniej jest dostać się na studia.

Ma rację, pomyślał Herbert, podczas gdy kierowca Marthy manewrował po ciasnym parkingu, z którego mieli wyjechać na Pennsylvania Avenue. Przez następnie kilka dni, tygodni, cholera wie, ile czasu to zajmie, jego życiowym celem będzie przekonanie Mike'a, że prawda wygląda właśnie tak.

· Środa, 23.34 – Damaszek, Syria

Ibrahim al-Raszid otworzył oczy. Próbował wyrzeć na dwór przez brudne okna więziennego szpitala. Nozdrza wypełniał mu zapach środków dezynfekcyjnych.

Zdawał sobie sprawę z tego, że znalazł się w Damaszku i jest więźniem syryjskich sił bezpieczeństwa. Zdawał sobie także sprawę z tego, że został poważnie ranny, choć nie wiedział, jak poważnie. Tę wiedzę zawdzięczał temu, że od czasu do czasu na chwilę odzyskiwał przytomność i słyszał, jak strażnicy i pielęgniarki rozmawiają o nim. Ich głosy wydawały mu się dalekie i stłumione przez bandażę, którymi owinięto mu głowę.

Podczas krótkich okresów przytomności Ibrahim uświadamiał sobie także inne rzeczy. Pamiętał, że mężczyzna w mundurze próbował zadawać mu pytania, ale on nie był w stanie na nie odpowiedzieć. Nie mógł po prostu poruszyć wargami. Pamiętał, że niesiono go do kąpieli. Skóra schodziła z niego płatami, jak wosk z wypalanej świecy. Potem zabandażowano go i odniesiono do łóżka.

We śnie młody Kurd widział wszystko znacznie wyraźniej. Pamiętał pobyt w bazie Deri, pamiętał swego dowódcę, Sirinera. Nadal słyszał jego krzyk: „W kierunku naszej bazy nie wystrzelą ani jednego pocisku!” Pamiętał, jak stał ramię w ramię z Sirinerem, jak strzelał, ścianą ognia powstrzymując nieprzyjaciela przed wtargnięciem do kwatery dowódcy. Pamiętał wszystkie wykrzykiwane wówczas obelgi, pamiętał ogień, pamiętał, jak wylało się na nich jezioro ognia. Pamiętał, jak bił się po ciele, tłumiąc płomienie, i jak pomagał ciałami martwych żołnierzy utworzyć ścieżkę, po której mógłby wydostać się z pułapki ich przywódca. Pamiętał, jak go wyciągnięto, całego pokrytego ziemią, zanesiono gdzieś, pamiętał, że widział ziemię, a potem usłyszał strzał.

Po policzku spłynęła mu łza.

–Komendancie...

Ibrahim próbował obrócić się, spojrzeć na swych towarzyszy. Nie mógł. Wszystko przez te bandażę, pomyślał. Ale... nie ma to przecież najmniejszego znaczenia. Czuł, że jest sam. Rewolucja? Gdyby zwyciężyli, nie byłby tu sam, za towarzystwo mając wyłącznie wrogów.

Nasi ludzie zaufali nam, a my ponieśliśmy klęskę, pomyślał.

Ale... czy rzeczywiście ponieśli klęskę? Czy jest klęską zasianie ziarna, które pielęgnować będą inni? Czy jest klęską podjąć działania, które od dziesięcioleci kusiły najdzielniejszych? Czy jest klęską zwrócenie uwagi świata na nieszczęścia ludu, z którego się wywodzi?

Ibrahim zamknął oczy. Pod powiekami widział komendanta Sirinera, widział Walida, Hasana i innych. Widział też swego brata, Mehmeta. Żyli, obserwowali go i wydawali się zadowoleni.

Czy jest klęską, jeśli w raju dołączysz do towarzyszy broni? Ibrahim jęknął cicho i dołączył do towarzyszy broni.

· Środa, 21.37 – Londyn, Anglia

Paul Hood rozmawiał z Mike'em Rodgersem z Londynu, podczas przerwy w podróży do Waszyngtonu. Rodgers miał właśnie opuścić bazę Tel Nef i wraz z Iglicą powrócić do Waszyngtonu.

Ich rozmowa była krótka i, w odróżnieniu od wszystkich innych, odbywała się w atmosferze napięcia. Rodgers być może bał się dać ujście wściekłości, frustracji, smutkowi czy co tam czuł, w każdym razie zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Wydobyć z niego informacji o stanie zdrowia i panujących w bazie warunkach wymagało zadawania bardzo szczegółowych pytań. Udzielane szorstkim głosem odpowiedzi wydawały się co najmniej niezadowolające. Paul był pewien, że to skutek zmęczenia i depresji, przed którymi ostrzegala go Liz.

Wystukując numer Hood nie miał zamiaru informować generała o prezydenckim akcie ułaskawienia. Uważał, że tę informację najlepiej będzie przekazać Mike'owi gdy wypocznie, i że powinni to zrobić ludzie, którzy przy owym dokumencie pracowali. Ludzie, których zdanie szanował. Ludzie, którzy byliby w stanie wyjaśnić mu, że zrobili to, co zrobili w interesie bezpieczeństwa narodowego, a nie po to, by wyciągnąć go z kłopotów. W końcu jednak postanowił, że Mike ma prawo wiedzieć o wszystkim, co zaszło. Lepiej by wykorzystał lot do Waszyngtonu na zaplanowanie swej przyszłości w Centrum, niż na zastanawianie się, jaki będzie miał proces, do którego przecież nie dojdzie.

Rodgers przyjął wiadomość o ułaskawieniu spokojnie. Poprosił Paula, by podziękował Herbertowi i Marthcie za ich starania. Słuchając jego słów Paul Hood doznał jednak przemożnego wrażenia, że oto wkracza między nich coś niedopowiedzianego. Gorycz, złość, coś niezwykle smutnego, jakby akt łaski pieczętował winę Mike'a raczej niż jego niewinność.

Miał wrażenie, że Rodgers mówi mu „do widzenia”.

Po rozmowie z generałem, Hood zadzwonił do pułkownika Augusta. Rodgers i August dorastali po sąsiedzku, w Hartford, w Connecticut. Poprosił dowódcę Iglicy, by użył wspomnień, żartów z dawnych lat, wszystkiego, co tylko przyjdzie do głowy, by zając czymś Rodgersa i odgonić jego myśli od wydarzeń ostatnich dni. August obiecał, że zrobi co w jego mocy.

Na Heathrow Paul i Warner Bicking ciepło pożegnali doktora Nasra. Obiecali, że zjawią się, by posłuchać, jak jego żona gra Chopina i Liszta. Bicking posunął się jednak aż do tego, że zaproponował zastąpienie „Etiudy rewolucyjnej” czymś pozbawionym aż takiego ładunku polityki. Nasr nie oburzył się na tę propozycję.

Pasażerowie lotu Departamentu Stanu z Londynu do Waszyngtonu gremialnie gratulowali Hoodowi jego dokonań. Zupełnie nie przypominało to protekcyjnego poklepywania po ramieniu na oficjalnych przyjęciach w Waszyngtonie. Obecni na pokładzie samolotu przedstawiciele władz sprawiali wrażenie takie, jakby cieszyły ich plotki o Iglicy, która w dolinie Bekaa złamała niemal wszystkie prawa, obowiązujące w stosunkach międzynarodowych. Cieszyło ich to chyba niemal tak, jak wiadomość o wytropieniu i zneutralizowaniu terrorystów, którzy wysadzili tamę Ataturk i o tym, że

tureccy i syryjscy żołnierze wycofali się znad granicy. Zastępca sekretarza stanu Tom Andrea ujął to całkiem trafnie: „W końcu zawsze znudzi cię gra według reguł, których nie uznaje nikt oprócz ciebie”.

Andrea bardzo pragnął dowiedzieć się także, kto pomógł Hoodowi, Nasrowi i Bickingowi wydostać się z pałacu po wydarzeniach w Damaszku. Paul popijał wodę mineralną i milczał.

Samolot wylądował na miejscu w środę, O 22.30. Kompania honorowa odebrała trumny z ciałami zabitych agentów DSA. Paul czekał na pasie, póki nie załadowano ich do karawanu. Potem wsiadł do limuzyny, czekającej na niego i Warnera Bickinga. Limuzynę wysłała mu Stephanie Klaw z Białego Domu, dołączając do niej odręczną notatkę. „Paul” – napisała. – „Witaj w domu. Bałam się, że weźmiesz taksówkę”.

Najpierw pojechali do domu Hooda. Na pożegnanie Paul ujął dłoń Warnera Bickinga.

–I co czuje ktoś, kto był pionkiem w grze, prowadzonej przez dwóch prezydentów? – spytał go.

–Wiesz, to dodaje człowiekowi energii – przyznał Bicking z uśmiechem.

Paul spędził godzinę z dziećmi. Kolejne dwie godziny spędził kochając się z żoną.

Nie zasnął jednak. Leżał, trzymając dłoń żony w swej dłoni. Myślał o tym, że mógł popełnić błąd informując Rodgersa o prezydenckim ułaskawieniu.

· Czwartek, 1.01 – nad Morzem Śródziemnym

Zaciągnąwszy się czterdzieści lat temu do Armii, Mike Rodgers trafił na sierżanta „Bałaganiarza” Boyda. Skąd wzięło się to przezwisko nie wiedział, ale nie miał wątpliwości, że musiało mieć posmak ironiczny, bowiem sierżant był najporządniejszym, najdokładniejszym i najbardziej zdyscyplinowanym człowiekiem, jakiego zdarzyło mu się poznać w życiu.

Sierżant Boyd wpajał swym ludziom dwie prawdy. Po pierwsze, odwaga to najważniejsza cecha żołnierza. Po drugie, honor ważniejszy jest nawet od odwagi.

–Człowiek honorowy – mawiał, parafrazując Woodrowa Wilsona – to ten, który swe zachowanie podporządkowuje zasadom służby.

Mike Rodgers wziął sobie do serca te słowa. Pożyczył także od Boyda książkę, którą sierżant zawsze trzymał na biurku „Słynne cytaty” Barletta. To ona rozpoczęła trwającą już cztery dekady przygodę miłosną generała z mądrością wielkich mężów stanu, żołnierzy i uczonych. Dzięki niej Mike zaczął pożerać książki: od Epikteta do świętego Augustyna, od Homera do Hemingwaya. Dzięki niej zaczął myśleć.

Może za wiele myślałeś, powiedział sobie.

Siedział na drewnianej ławce w trzęsącym się *C-141B*, milcząc i niezbyt uważnie słuchając pułkownika Augusta, opowiadającego Lowellowi Coffeyowi i Philowi Katzenowi jak to w lidze młodzieżowej rywalizowali na śmierć i życie, który będzie miał więcej wybić w trybuny.

Mike Rodgers wiedział, że nigdy w życiu nie postąpił jak tchórz i nigdy w życiu nie zachował się niehonorowo. Wiedział także, że wraz z tą misją na Bliskim Wschodzie skończyła się jego kariera żołnierza. Sądził, że skończyła się w chwili, gdy nie udało mu się odbić CR z rąk Kurdów na granicy syryjskiej. Zachował się wówczas niezdarne, głupio, tego rodzaju błędów nie wolno po prostu popełniać ludziom na jego stanowisku. Śmierć przywódcy terrorystów tchnęła jednak w niego nowe życie, już nie jako żołnierza walczącego w polu, lecz żołnierza zwalczającego terroryzm. Na sali sądowej zaczęłaby się jego odważna, honorowa walka przeciw straszliwemu przeciwnikowi.

Teraz, pomyślał, nie zostało mi już nic.

–Generale – spytał August – jak nazywała się ta łapaczka, która w końcu wykluczyła nas obu. Ta z piątej klasy?

–Laurette – odparł Rodgers. – Nie pamiętam nazwiska.

–Właśnie, Laurette. Dziewczyna słodka jak miód. Ślicznie wyglądała mimo maski, rękawic i gumy balonowej pod policzkiem.

Rodgers się uśmiechnął. Dziewczyna rzeczywiście była ładna. A ich walka o rekord – co za wyścig. Jednak każdy wyścig kończy się wygraną jednego, a klęską wielu.

Jak ten właśnie zakończony wyścig na Bliskim Wschodzie.

Wygrała Iglica – co za popis! Kto przegrał? Przede wszystkim Kurdowie, zmiażdżeni w swej bazie, Turcja i Syria, nadal mające w swych granicach miliony niezadowolonych obywateli, oraz Mike Rodgers, który pokpił sprawy bezpieczeństwa

i próbę ucieczki, źle osądził charakter lojalnego współpracownika oraz z zimną krwią zamordował jeńca.

Ameryka przegrała także. Przegrała kierując go z powrotem do maleńkiego gabinetu w Centrum, zamiast poprzeć go w wojnie z terrorystami.

A to już prawdziwa wojna...

Gdy leżał w szpitalu bazy, wiele myślał na ten temat. Z ławy oskarżonych miał zamiar powiedzieć, że każdy naród atakujący obywatela amerykańskiego, gdziekolwiek i z jakichkolwiek pobudek, praktycznie wypowiada wojnę Ameryce. Miał też zamiar zwrócić się do prezydenta z apelem, by każde porwanie Amerykanina, podłożenie bomby w amerykańskim samolocie, wysadzenie amerykańskiego budynku traktować jako *casus belli*, akt agresji skierowany przeciw Stanom Zjednoczonym, przesądzający o wypowiedzeniu wojny. Wypowiedzenie wojny nie oznaczało przecież automatycznego ataku na żołnierzy i ludność danego kraju, pozwalało jednak zablokować mu porty i zatapiać każdy próbujący przerwać blokadę statek, pozwalało sparaliżować transport atakami raketowymi na lotniska i drogi, pozwalało doprowadzić do załamania handlu i ruiny ekonomicznej, które nieuchronnie skończyłyby się obaleniem władzy popierającej terroryzm.

Wraz z końcem terroryzmu skończyłaby się takie wojna.

Takie plany snuł Mike Rodgers. Gdyby dokonana na Kurdzie egzekucja została uznana za pierwszy strzał w wojnie z terroryzmem, zachowałby honor. A jednak okazało się, że zabił tylko człowieka, który go torturował, że dokonał wyłącznie aktu zemsty. Charlotte Bronte napisała kiedyś: „Zemsta wydaje się aromatyczna jak wino, pozornie łagodne, pozostawiające jednak na języku ostry, metaliczny posmak”.

Opuścił głowę. Nie pragnął cofnąć się w czasie, nie pragnął wyprostować palca, zaciskającego się na spuście. Zabicie tego Kurda oszczędziło Ameryce nieszczęścia procesu, manifestacji gazetowej sprawiedliwości, prawnych przepychanek między oskarżeniem i obroną, Kurdów zaś obdarzyło męczennikiem za sprawę zamiast przegranego pechowca. Na Boga, żałował jednak, że wystrzelona wówczas kula nie zabiła ich obu. Uczono go, by za wszelką cenę służył krajowi, strzegł jego wartości i jego flagi. Akt ułaskawienia gwałcił i jedno, i drugie. Okazując mu miłosierdzie, ojczyzna pogwałciła to, co znacznie ważniejsze – sprawiedliwość.

Błąd popełnili ludzie, którzy niewątpliwie chcieli dobrze. Lecz mimo to kraj wymagał, by błędowi temu zadośćuczynić.

Rodgers wstał sztywno, skrępowany bandażami na ramionach i piersi. Złapał za linkę, biegnącą przez kadłub samolotu na wysokości ramion.

August podniósł głowę.

–Dobrze się czujesz? – spytał.

–Tak. Idę do łazienki – odpowiedział z uśmiechem generał. Spojrzał z góry na nieco nienaturalnie ożywionego przyjaciela. Z niego też był dumny i cieszył się, że August wygrał wyścig.

Łazienka samolotowa była zimnym pomieszczeniem, oświetlonym jedną żarówką.

Wracając Mike mijał aluminiowe regały, na których złożony był ekwipunek Iglicy. Jego rzeczy znajdowały się w torbie, którą miał w CR. Istniał jeszcze sposób na

odzyskanie honoru.

–Nie ma go tu – usłyszał za plecami jakiś głos. Odwrócił się. Zobaczył poważną twarz Bretta Augusta. – Pistoletu, z którego zastrzeliliś terrorystę – mówił dalej Brett. – Nie ma go tu.

Generał wyprostował się.

–Nie miał pan prawa grzebać w worku oficerskim, pułkowniku.

–Myli się pan, panie generale. Jako najwyższy stopniem oficer nie biorący udziału w przestępstwie, do którego przyznał się sprawca, miałem obowiązek skonfiskować narzędzie przestępstwa, celem przedstawienia go jako dowodu przed sądem.

–Zostałem ulaskawiony.

–Owszem, wiem, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Czy chce pan, żebym zwrócił panu broń, panie generale?

Patrzyli sobie w oczy. Żaden nie opuścił wzroku.

–Tak – powiedział Rodgers. – Chcę.

–Czy to rozkaz?

–Tak, pułkowniku, to rozkaz.

August obrócił się i przykucnął przy najniższej z trzech półek. Otworzył pierwsze z pięciu pudeł, zawierających broń ręczną Iglicy. Wręczył Rodgersowi jego pistolet.

–Proszę bardzo, generale – powiedział.

–Dziękuję, pułkowniku.

–Nie ma za co. Czy planuje pan użyć pistoletu, panie generale?

–To chyba wyłącznie moja sprawa.

–Nad tym twierdzeniem można już byłoby dyskutować, generale. Znajduje się pan w stanie skrajnego napięcia nerwowego. Stanowi pan również zagrożenie dla generała armii amerykańskiej. Przysięgałem bronić życia innych żołnierzy.

–A także wykonywać rozkazy. Proszę wrócić na swoje miejsce, pułkowniku.

–Nie, panie generale.

Rodgers stał trzymając pistolet w opuszczonej dłoni. Siedzący w połowie kadłuba DeVonne i Grey właśnie wstawali z ławki. Sprawiali takie wrażenie, jakby mieli zamiar rzucić się biegiem w ich kierunku.

–Pułkowniku – powiedział Mike. – Ojczyzna popełniła dzisiaj poważny błąd.

Wybaczyła człowiekowi, który nie prosił o wybaczenie i nie zasługiwał na nie. Robiąc to, naraziła na niebezpieczeństwo swych obywateli i swe instytucje.

–To, co zamierza pan zrobić, niczego nie zmieni, panie generale.

–Dla mnie zmieni.

–Mówi pan jak jakiś cholerny egoista, generale. Proszę pozwolić, że przypomnę panu, że kiedy pozwolił pan zdobyć bazę Laurette Jak jej-tam, też nie sądził pan, by dało się z tym żyć. Kiedy Laurette obiegała bazę, machnął pan kijem tak mocno, że gdyby nie złapał go przestraszony najlepszy przyjaciel, walnąłby się pan w głowę, najprawdopodobniej odnosząc poważną kontuzję. Życie jednak toczyło się dalej i nieszczęśliwy pałkarz ocalał później życie niezliczonych ludzi – w Południowo-Wschodniej Azji, podczas Pustynnej Burzy i ostatnio w Północnej Korei. Jeśli generał ma zamiar jeszcze raz walnąć się w łeb, niech wie, że niegdysiejszy kumpel z

baseballowej drużyny znów go powstrzyma. Ojczyzna pana potrzebuje.

–Czy bardziej potrzebuje mnie, czy honoru? – spytał Rodgers, patrząc wprost w oczy przyjaciela.

–Honor ojczyzny spoczywa w sercu jej obywateli. Jeśli uciszy pan swe serce, generale, odbierze pan narodowi to, co chce pan, jak twierdzi, dla narodu zachować. Czasami trudno jest żyć, ale obaj widzieliśmy już zbyt wiele trupów. I nie tylko my.

Rodgers spojrział na żołnierzy Iglicy. Sprawiali wrażenie czujnych, ożywionych. Mimo to, co przeżyli w Libanie, mimo śmierci szeregowego Moore'a w Północnej Korei i pułkownika Squiresa w Rosji, nadal byli pełni entuzjazmu, nadal z nadzieją patrzyli w przyszłość. Nadal wierzyli w siebie i w system, któremu służyli.

Rodgers powoli odłożył broń na półkę. Nie wiedział, czy zgadza się z Augustem we wszystkich sprawach, ale jednego był pewien: to, co zamierzał zrobić przed chwilą, raz na zawsze wyleczyłoby ich z entuzjazmu. Choćby z tego powodu warto było przemyśleć sobie wszystko jeszcze raz.

–Nazywała się Delguercio – powiedział. – Laurette Delguercio.

August uśmiechnął się.

–Wiedziałem. Mike Rodgers nie zapomina niczego. Chciałem po prostu sprawdzić, czy słuchasz, co mówię. Nie słuchałeś. Dlatego poszedłem za tobą.

–Dzięki, Brett.

Pułkownik zacisnął usta i skinął głową.

–No dobra, a czy opowiedziałeś im, jak na ostatniej zmianie w ostatnim meczu sezonu z piłką w ręku przysięgałem, że w następnym sezonie pobiję ciebie i Laurette?

–Właśnie miałem zamiar.

Mike Rodgers poklepał przyjaciela po ramieniu.

–No to idziemy – powiedział, skręcił, by ominąć go i skrzywił się, bo bandaż otarł poparzone ciało.

Usiadł, kiwnął głową Greyowi i DeVonne. Siedział. na twardej ławce, uważnie słuchając Bretta Augusta opowiadającego o czasach, kiedy mała liga była najważniejsza w świecie, a nadzieja na rewanż w następnym sezonie czyniła życie znośnym.

· Piątek, 8.30 – Waszyngton, Dystrykt Columbia

„Zebranie rodzinne”, jak nazywał tę uroczystość Południowiec z pochodzenia, Bob Herbert, jak zwykle obyło się bez zbędnego hałasu.

Zawsze, gdy pracownicy Centrum powracali z niebezpiecznej lub trudnej misji, ich koledzy pieczołowicie pilnowali zasady „wszystko jak zwykle”. W ten sposób szybko powracało się do dobrej, skutecznej i zwyczajnej pracy.

Pierwszy dzień Paula Hooda zaczął się w jego gabinecie. Podczas lotu z Londynu Paul przejrzał materiały, nadesłane modmem do komputera przez jego asystenta, „Pluskwę” Beneta. Okazało się, że musi podjąć kilka natychmiastowych decyzji, więc e-mailem poinformował Herberta, Marthę, Darrella McCaskeya i Liz Gordon o porannym spotkaniu. Hood nie wierzył w powolne przystosowanie się do niewygód związanych z szybką zmianą stref czasowych, wierzył natomiast w to, że kiedy zadzwoni budzik trzeba wstać i zabrać się do załatwienia pierwszej sprawy na dziś.

Mike Rodgers wyznawał najwyraźniej tę samą prostą zasadę. Paul zadzwonił do niego do domu o wpół do siódmej, spodziewając się, że odezwie się automatyczna sekretarka, Mike podniósł jednak słuchawkę tak przytomny, jakby w ogóle się nie kładł. Na spotkanie przyjechał wkrótce po McCaskeyu i Herbercie. Obecni podali sobie ręce, powiedzieli: „Miło znów cię widzieć” i tylko Herbert pozwolił sobie na skierowaną do Rodgersa uwagę: „Wyglądasz jak krowi placek”. Martha i Liz przybyły minutę później. Generał wykorzystał wolną chwilę, by oschle podziękować Marthcie i Bobowi za uzyskanie ułaskawienia. Czując, że jest to dla niego niezręczna chwila, Paul natychmiast przeszedł do spraw bieżących.

–Po pierwsze, Liz, miałaś może okazję pogadać z naszymi bohaterami? – spytał.

–Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Lowellem i Philem. Wzięli dziś wolny dzień, ale nic im nie będzie. Phil ma złamane dwa żebra. Lowell cierpi z powodu zranionego ego i ukończonych czterdziestu lat, ale nie ma obawy, przeżyje.

–A już miałem nadzieję, że wyżyję się dziś na naszym czterdziestolatkę – westchnął Herbert.

–Poczekaj do poniedziałku – powiedziała trzydziestodwuletnia pani psycholog. – Do poniedziałku z pewnością mu nie przejdzie.

–A co z Mary Rose? – przerwał im Paul.

–Potrzeba jej trochę wolnego, ale tu też wszystko będzie w porządku.

–Sukinsyny korzystały z jej cierpienia, żeby nas zmuszać do współpracy – stwierdził ponuro Rodgers. – Powtarzali ten numer raz za razem.

–Możesz mi wierzyć albo nie, ale właśnie to może jej pomóc. Ludzie, którzy przeżyli jedno takie nieszczęście, uważają na ogół, że los się do nich uśmiechnął. Po kilku zaczynają wierzyć, że są twardsi niż początkowo przypuszczali.

–Ona jest twarda – zauważył generał.

–Niewątpliwie. Podtrzymajmy ją w tym przekonaniu, a zrobi się twarda także w codziennym życiu.

–Zawsze twierdziłem, że ta cicha irlandzka woda brzegi rwie – powiedział Bob. Paul podziękował Liz i spojrzął na Herberta.

–Bob, należą ci się podziękowania za pomoc, której udzieliłeś mi, Mike'owi i Iglicy. Gdyby twoi ludzie nie pojawili się tam w najważniejszym momencie, ja, Warner Bicking, doktor Nasr i ambasador Haveles wrócilibyśmy do domu w trumnach.

–Ten twój Druz to takie wyjątkowy facet. Bez niego Iglica nigdy nie znalazłaby CR na czas – dodał Rodgers.

–Ci ludzie są najlepsi na Bliskim Wschodzie – przyznał Herbert. – Mam nadzieję, że wspomnisz o tym Kongresowi, kiedy przyjdzie czas zatwierdzania budżetu.

–Senator Fox dostanie pełny, tajny raport – oznajmił Paul.

–Skoro przy tym jesteśmy, Steven Viens nadal potrzebuje naszej pomocy – przypomniał mu Herbert. – Powołano specjalnego oskarżyciela do zbadania tajnego budżetu NBR. Steven odnosi wrażenie, że robi się z niego kozła ofiarnego, a ja się z nim zgadzam. Dla porządku przypomnę tylko, że wraz z Mattem Stollem pracowali całą noc nad ponownym uruchomieniem naszych satelitów.

–Wiem, że jest w porządku, Bob. Bądź pewny, że zrobimy dla niego co w naszej mocy. Mike, kto pilnuje zwrotu CR?

–Mam zamiar popracować nad tym z dowódcą Tel Nef i pułkownikiem Augustem. Na razie jest bezpieczne w bazie. Kiedy w regionie zapanuje coś w rodzaju spokoju, wrócimy tam i ściągniemy je.

–Doskonale. A teraz, jeśli znajdziesz dziś trochę czasu – Bob, ciebie też to dotyczy – chcę, żebyśmy zrobili zestawienie, z którego wyniknie, ilu ludzi ocalał i ile forsy oszczędził Viens podczas pracy w NBR. Może nawet wciągniemy do tego naszą księgowość, co powinno zadowolić rachmistrzów z Kapitolu.

Rodgers skinął głową.

–Zaraz posadzę do roboty naszą księgowość – obiecał Herbert.

Paul Hood zwrócił się teraz ku Marthcie i Darrelowi, którzy siedzieli na skórzanej kanapie. Darrell zachowywał, jak zwykle, stoicki spokój, Martha jednak niecierpliwie huśtała nogą.

–Wy dwoje – powiedział – nie będziecie w stanie w niczym nam pomóc. Jutro lecicie do Hiszpanii. – Martha natychmiast się ożywiła. – Podczas lotu z Londynu dostałem raport od Beneta. Policja w Madrycie aresztuje nacjonalistów baskijskich. Dostali cynk, że niedługo ma zdarzyć się coś dużego. Coś, co może mieć poważne konsekwencje międzynarodowe.

McCaskey twarz miał nieruchomą, Martha jednak uśmiechała się szeroko. Uwielbiała ćwiczyć swe dyplomatyczne zdolności. Uwielbiała także zdobywać międzynarodowe wpływy.

–Szef ich sił bezpieczeństwa poprosił o pomoc wywiadowczą i dyplomatyczną – mówił dalej Paul. – Zostaliście wybrani. Benet i Departament Stanu właśnie zbierają dla was materiały. Będą gotowe przed waszym jutrzejszym lotem.

–Pożyczę ci przewodnik, Darrell – zażartował Bob.

–Nic mu nie będzie. Znam hiszpański – powiedziała Martha.

Paul patrzył na Boba i Herbert czuł na sobie ciężar tego spojrzenia. Poruszył się w wózku, ale nic nie powiedział. Hood wiedział od Beneta o tarciach między tą dwójką i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że pod nieobecność Marthy musi

coś zrobić z tym fantem. Podejrzał, że zapobieżenie wojnie między Marthą Macall a Bobem Herbertem może się okazać trudniejsze od zapobieżenia wojnie między Turcją a Syrią.

Spotkanie zakończyło się, ale Hood poprosił Rodgersa o pozostanie. Kiedy Herbert wyjechał z gabinetu, zamykając za sobą drzwi, wstał i wyszedł z biurka. Usiadł na fotelu, naprzeciwko generała.

–Ciężko było, prawda? – spytał.

–Wiesz, co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze? – odpowiedział pytaniem Mike. – To, że bywało ciężiej. Wzięło mnie nie tylko to, przez co musieliśmy przejść.

–Chcesz mi coś powiedzieć?

–Owszem. Mam zamiar złożyć rezygnację.

Nie ukrywając zdumienia, Paul Hood patrzył, jak Mike Rodgers wyjmując z kieszeni kopertę, pochyla się sztywno i kładzie ją na biurku. – Rezygnuję z chwilą znalezienia zastępstwa – dodał jeszcze.

–Dlaczego sądzisz, że przyjmę twoją rezygnację?

–Ponieważ w Centrum na nic ci się już nie przydam. Nie, inaczej. Powiedzmy, że mojemu krajowi bardziej przydam się gdzie indziej.

–Gdzie na przykład?

–Nie chcę sprawiać wrażenia panikarza, Paul, ale dopiero tam, na Bliskim Wschodzie, w całej pełni uświadomiłem sobie pewne sprawy. Ameryka ma bardzo przebiegłego i bardzo niebezpiecznego przeciwnika.

–Terroryzm?

–Terroryzm. A z terroryzmem nie umiemy walczyć. Rząd jest skrzępowany traktatami i problemami ekonomicznymi. Instytucje typu CIA albo Centrum i tak mają za wiele roboty. Linie lotnicze, firmy z oddziałami za granicą, żołnierze stacjonujący za granicą nie radzą sobie nawet z ochroną własnych ludzi. W dodatku do elektronicznych i satelitarnych ośrodków wywiadowczych potrzebujemy agentów, ludzi. Musimy też działać znacznie bardziej zdecydowanie opierając się na informacjach wywiadu... mamy na myśli działania prewencyjne. Rozmawiałem z Falahem, tym Druzem, który pomógł nam w dolinie Bekaa. Był na takiej pół-emeryturze i póki nie wrócił w teren, w ogóle nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakuje mu akcji. Teraz jest gotów. Porozmawiam też z naszymi sojusznikami w innych krajach. Wykorzystam niektóre z kontaktów Boba. Paul, wierzę, że coś takiego jest niezbędne bardziej, niż wszystko, w co wierzyłem do tej pory. Żeby zwalczyć terroryzm, musimy być sprytniejsi i bardziej niebezpieczni od samych terrorystów.

Paul przyglądał mu się z napięciem.

–Mam zamiar namówić cię do zmiany zdania – powiedział.

–Daj spokój. Już zdecydowałem.

–Wiem. Nie o to chodzi. Mam zamiar namówić cię, żebyś wycofał rezygnację.

Dlaczego nie sformować takiej jednostki w ramach Centrum?

Teraz z kolei zdumiał się Rodgers. Odzyskał głos dopiero po kilku sekundach.

–Paul, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziałeś? Mnie nie

chodzi o inne wykorzystanie Iglicy. Mówię o nowym oddziale!

–Rozumiem.

–Nie zmienimy przecież karty, na podstawie której działamy.

–Więc nie będziemy jej zmieniać.

–Skąd w takim razie weźmiemy pieniądze?

–Tego akurat możemy nauczyć się na błędach Stevena Viensa. Nie martw się, znajdę forszę. Edowi Cohranowi można zaufać. Do diabła, jestem pewien, że złapie się takiej okazji rękami i nogami. Zawsze zazdrościł ci tych twoich filmowych wyczynów. Sporo nauczyliśmy się także z błędów popełnionych w Turcji. Sprawdzimy dane, będziemy lepiej wykorzystywać CR. Będzie w terenie, w gotowości, niezależnie od tego, czy jest akurat potrzebne, czy nie.

–Ruchoma jednostka *stealth*, tak?

–I żołnierze wykorzystujący technologię *stealth*. Widzę tu spore możliwości. A ty masz w sobie siłę przekonania wystarczającą, by puścić to wszystko w ruch.

Rodgers pokręcił głową.

–A co z samą działalnością operacyjną? W Libanie zabiłem terrorystę. Było to *imperium in impero*, prawo pięści. Osądziłem go i wydałem wyrok. Nie mam zamiaru zaklinać się, że już nigdy nie zrobię niczego takiego. Życie niewinnych Amerykanów wydaje mi się najważniejsze.

–Wiem. I nie powiem, że bym się z tobą nie zgadzał.

–Doprawdy? – prychnął Rodgers. – Paul, to zupełnie do ciebie niepodobne.

Przecież jesteś przeciwnikiem kary śmierci!

–Oczywiście. Ale kierując takim zespołem jak ten, miastem takim jak Los Angeles, zresztą nawet zajmując się rodziną, człowiek szybko odkrywa, że to, za czym jesteś albo czemu jesteś przeciwny, nie ma w pewnym momencie znaczenia. Trzeba po prostu odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki środek najlepiej prowadzi do celu. Mike, ty przecież nie zrezygnujesz. Już prawie wyobraziłem sobie ciebie w szatach pustynnego patriarchy, z laską w jednym ręku, a *Uzi* w drugim, polującego na terrorystów. Obaj nie najlepiej byśmy na tym wyszli. Ufam ci i chcę ci pomóc.

Hood sięgnął na biurko, zdjął z niego kopertę i wyciągnął ją w kierunku Rodgersa. Generał nie odebrał jej.

–Bierz – powiedział Paul.

–Jesteś pewien, że nie składasz tej oferty tylko po to, żeby mieć mnie na oku i pilnować, bym nie stał się aniołem z płomienistym mieczem?

–Tyle masz doświadczenia, że z pewnością nie zdołałbym cię upilnować, nawet gdybym chciał. Ale nie martw się, tak naprawdę chodzi mi tylko o to, by utrzymać. Boba z dala od Marthy. Jemu ta propozycja spodoba się z pewnością.

Rodgers wreszcie się uśmiechnął.

–Przemyślę to sobie – obiecał. – Muszę przemyśleć sobie wiele spraw. Przed kilkoma godzinami marzyłem wyłącznie o tym, by ostatecznie wycofać się z tego cholernego wyścigu. Ludzie ruszyli mi na pomoc, nieproszeni, nie pozwalając mi w pojedynkę znaleźć wyjścia z kłopotów, które sam sprokurowałem albo samemu ponieść konsekwencje własnych działań.

–Tak przecież postępowaleś całe życie.

–Prawda. – Rodgers zamilkł i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przestrzeń. – Potem mój bardzo, bardzo stary przyjaciel przypomniał mi, że nawet jeśli sam startujesz w wyścigu nie oznacza to, że jesteś samotny.

–Miał rację. Zdaje się, że Benjamin Franklin powiedział kiedyś coś na ten temat.

–Owszem. Powiedział Kongresowi: „Musimy trzymać się razem, albo znajdą dla nas osobne szubienice”.

–Otóż to. Kim jesteś, by polemizować z Benjaminem Franklinem? A poza tym czy on, John Adams, i Synowie Wolności nie byli przypadkiem taką grupą, o jakiej właśnie myślimy? – Paul nadal trzymał kopertę w wyciągniętej ręce. – Słuchaj – mówił dalej – nie chcę cię broń Boże naciskać, ale ramię mi mdleje i nadal nie pragnę twego odejścia. Co powiesz? Razem czy osobno?

Mike spojrział na kopertę... i nagle wydarł mu ją ruchem tak gwałtownym, że Paula aż to zdziwiło.

–Zgoda – powiedział. – Razem.

–To świetnie. A teraz sprawdźmy, czy uda się nam uratować przed sępami naszego przyjaciela Viensa.

Wezwał Boba. Zabrali się do roboty z entuzjazmem przekraczającym wszystko, czego Paul Hood był do tej pory świadkiem. Nie miał zamiaru dziękować Kordom za tę zgodę i entuzjazm, kiedy jednak czekał na pojawienie się księgowego Centrum, Eda Colahana, przypomniał sobie słowa innego wroga Ameryki, wypowiedziane w innym momencie historii. Po ataku na Pearl Harbor, ataku, który miał skruszyć amerykański opór na Pacyfiku, japoński admirał Yamamoto poczuł się w obowiązku wypowiedzieć następujące słowa: „Lękam się, że udało nam się tylko obudzić śpiącego giganta i przepelnić go straszliwą determinacją”.

Upoważnił Rodgersa do przedyskutowania ich najnowszych pomysłów z Bobem Herbertem. Nie pamiętał, by kiedykolwiek którykolwiek z nich był równie przebudzony i równie zdeterminowany jak dziś.

KONIEC

* W oryginale *Melting pot* (ang.) tygiel – tak nazywają swój kraj Amerykanie, ze względu na stapianie się w jeden naród wielu ras i kultur [przyp. red.].

* Kopała na Skale-jerozolimska świątynia, z której Mahomet wstąpił do nieba [przyp. red.].

* (dosł.) Twardzi jeźdźcy – nazwa nadana podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej 1898 roku 1. Pułkowi Kawalerii Ochotniczej [przyp. red.].

* Redcoats Are Coming (dosłownie: nadchodzą Czerwone Kubraki) – tym okrzykiem podczas Rewolucji Amerykańskiej ostrzegano o zbliżaniu się oddziałów brytyjskich, których żołnierzy nazywano tak od koloru mundurów [przyp. red.].

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-04

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/